

Dumas - Kawaler de Maison-Rouge

Tytuł oryginału

LE CHEVALIER DE MAISON-ROUGE

Adaptacja

H. B. SEKELY

na podstawie tłumaczenia w wydaniu

JÓZEFA ŚLIWOWSKIEGO
(Warszawa 1890)

OCHOTNICY

Okładkę i stronę tytułową projektował

JERZY SOWIŃSKI

Działo się to wieczorem dnia 10 marca 1793 roku.

Na wieży kościoła Panny Marii wybiła godzina dziesiąta,
& rozlegający się w powietrzu dźwięk zegara wydawał się
smutny, monotony, wibrujący.

Noc zalegała nad Paryżem, nie burzliwa, przerywana
błyskawicami, lecz zimna i mglista.

Inny był wówczas Paryż, niż go dzisiaj znamy. Dziś ośle-
pia on wieczorem tysiącami świateł, odbijających się
w złocistym błocie. Dziś pełen jest spieszących się prze-
chodniów, śmiechu i szeptów, ma liczne przedmieścia, któ-
re są szkołą grubiaków i groźnych występ-
ków. Wówczas było to miasto wstydlive, bojaźliwe, pra-
cowite, którego mieszkańcy, przebiegając z jednej ulicy
na drugą, kryli się w zakątkach lub w bramach, jak zwie-
rzyna, która osaczona przez strzelców dusi się we własnej
norze.

Przez skazanie na śmierć króla Ludwika XVI Francja
zerwała z całą Europą. Do trzech nieprzyjaciół, z którymi
zrazu walczyła, to naczy do Prus, Austrii i Piemontu,
przyłączyły się: Anglia, Holandia i Hiszpania. Szwecja
tylko i Dania zachowały dawną neutralność.

Sytuacja Francji była tragiczna: kraj został zablokowa-
ny przez całą Europę, a przejściem między górnym Renem

a Escaut dwieście pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy maszerowało przeciwko Republice.

Zewsząd wyparto generałów francuskich. Miączyński opuścić musiał Akwizgran i cofnąć się ku Liege. Steingla i Neuilly'ego odparto w Limburskie. Vallence i Dampierre, zmuszeni do odwrotu, pozwolili sobie zabrać część tab-iru. Przeszło dziesięć tysięcy zbiegów, opuściwszy armię, rozsypało się po kraju. Na koniec Konwent, pokładając jedyną nadzieję w generale Dumouriez, słał do niego gońca za gońcem z poleceniem, aby opuścił brzegi Biesboos, gdzie przygotowywał się do wylądowania w Holandii, i aby przybył objąć dowództwo armii rozłożonej nad rzeką Meuse.

Jak w każdym żywym organizmie najbardziej wrażliwe jest serce, tak Francja właśnie w Paryżu najbardziej boleśnie odczuwała każdy cios, jaki jej zadawały napady, bunty lub zdrady. Każde zwycięstwo wywoływało radość, każda porażka rodziła groźne powstania. Łatwo więc pojąć, jakie wrażenie zrobiły wiadomości o niepowodzeniach, których po kolei doznawała armia.

W wigilię dnia 9 marca w Konwencie odbyło się jedno z najburzliwszych posiedzeń. Wszystkim oficerom wydano rozkaz udania się natychmiast do swych pułków, a Danton, śmiały projektodawca, którego nieprawdopodobne pomysły jednak się spełniły, wstępując na mównicę, zawołał: „Brak wojska, powiadacie! Dajmy Paryżowi sposobność ocalenia Francji, zażądajmy od niego trzydziestu tysięcy ludzi, pošlijmy ich generałowi Dumouriez, a nie tylko Francja będzie ocalona, ale utrzymamy Belgię, a Holandię podbijemy.”

Projekt ten przyjęto pełnymi uniesienia okrzykami. Wezwano sekcje do zebrania się jeszcze tego wieczoru. W każdej sekcji otwarto listę wpisów. Zawieszono wszystkie widowiska dla podkreślenia powagi chwili, a na ratuszu, na znak żałoby, zatknięto czarny sztandar.

Przed północą trzydzieści tysięcy nazwisk wypełniło listy ochotników.

Tego jednakże wieczoru powtórzyło się to, co miało miejsce we wrześniu: w każdej sekcji zapisujący się ochotnicy żądali, aby przed ich wyruszeniem ukarano zdrajców.

Zdrajcami zaś byli kontrrewolucjoniści, skryci spiskowcy, którzy od wewnątrz grozili rewolucji, zagrożonej z zewnątrz. Lecz, jak łatwo pojąć, nazwa ta przybierała naj-

szersze znaczenie, jakie jej według własnego upodobania nadawały stronnictwa, trzęsące podówczas Francją. Że zaś żyrondyści byli najsłabsi, górale więc zdecydowali, że żyrondyści-są zdrajcami.

Nazajutrz, dnia 10 marca, wszyscy deputowani górale znajdowali się na posiedzeniu. Uzbrojeni jakebini zajęli trybuny, wyrzuciwszy przedtem kobiety. Wtem zjawia się mer wraz z .radą Gminy, potwierdza raport komisarzy Konwentu o pełnej poświęcenia postawie obywateli, ale zarazem powtarza wyrażone wczoraj jednomyślnie życzenie - aby ustanowiono nadzwyczajny trybunał do sądzenia zdrajców.

Natychmiast zażądano raportu komitetu. Komitet zgromadził się w jednej chwili, a w dziesięć minut patem Robert Lindet przybył z oświadczeniem, że powołany będzie trybunał złożony z dziewięciu sędziów politycznie niezależnych. Trybunał podzielony zostanie na dwie sekcje i ścigać będzie na żądanie Konwentu lub bezpośrednio, wszystkich, którzy zdradzili naród.

Widzimy więc, że władza Konwentu była coraz większa. Żyrondyści dopatrywali się w tym wyroku wydanego na siebie i powstałi. „Umrzemy raczej - wołali - niż pozwolimy na wprowadzenie tej weneckiej inkwizycji!” Odpowiadając na ten cukrzyk, górale zażądali głosowania. „Tak jest - zawołał Feraud - głosujmy, abyśmy dali poznać światu ludzi, którzy w imieniu prawa chcą zabijać niewinność.”

I rzeczywiście głosowano. Wbrew wszelkim przypuszczeniom większość oświadczyła: 1. że ustanowieni będą przysięgli, 2. że wybrani zostaną w równej liczbie z poszczególnych departamentów, 3. że mianować ich będzie Konwent.

W chwili przyjęcia tych trzech wniosków dały się słyszeć głośne okrzyki. Konwent, przyzwyczajony do odwiedzin pospólstwa, kazał spytać, czego od niego żądają. Odpowiedziano, że deputacja ochotników, którzy jedli obiad w składzie zboża, prosi, aby Konwent pozwolił im prze-defilować.

Natychmiast otworzono drzwi i pojawiło się sześciuset ludzi uzbrojonych w pałasze, pistolety i piki, na pół pijanych, którzy wśród oklasków przedefilowali, wznosząc okrzyki domagające się śmierci zdrajców.

- Tak - odrzekł im Collot-d'Herbois - tak, moi przy-

jaciele, mimo intryg ocalimy was i wasze prawa.

I słowom tym towarzyszyło spojrzenie skierowane w stronę żyrondistów. Spojrzenie to miało oznaczać, że naród nie jest jeszcze wolny od niebezpieczeństwa.

Istotnie, zaraz po skończeniu posiedzenia Konwentu górale rozpraszają się po innych klubach, śpieszą do kordelierów i jakobinów, projektują, aby wyjąć zdrajców spod prawa i wyróżnić ich jeszcze tej nocy.

Żona Louveta mieszkała przy ulicy Saint-Honore, w pobliżu klubu jakobinów. Usłyszawszy wrzawę, wychodzi i wstępuje do klubu, dowiaduje się o projekcie i czym prędzej śpieszy donieść o tym mężowi. Louvet bierze broń, następnie biegnie od mieszkania do mieszkania, aby uprzedzić swych przyjaciół, ale nie zastaje nikogo. Służący jednego z przyjaciół powiada mu, że są u Petiona. Louvet udaje się tam natychmiast i widzi, że tam radzą najspokojniej nad dekretem, który nazajutrz mają przedstawić w Konwencji. Wierzą, iż przypadek da im większość głosów i że dekret przeprowadzą. Opowiada im, co się dzieje,

oświadcza, co przeciwko nim knują kordelierzy i jakobini, i na koniec wzywa, aby ze swej strony obmyślili jakieś radykalne środki działania.

Wówczas Petion, jak zawsze spokojny i obojętny, wstaje, idzie do okna, otwiera je, patrzy w niebo, wyciąga na zewnątrz ręce i cofając je mówi:

- Deszcz pada. Tej nocy nic z tego nie będzie.
Przez otwarte okno słychać ostatnie dźwięki zegara bijącego godzinę dziesiątą.

Cóż to takiego stało się w Paryżu, wieczorem dnia 10 marca i co sprawiło, że wśród wilgotnej ciemności, wśród groźnego milczenia, domy, nieme i ponure, podobne były raczej do grobów?

Silne patrole Gwardii Narodowej z nastawionymi bagnetami, wojska obywatelskie, żandarmi przeglądający zakątki każdej bramy i każde przejście byli jedynymi mieszkańcami miasta, którzy śmieli wyjść na ulicę: instynkt ostrzegał wszystkich, że szykuje się jakaś rzecz straszna, nieznana.

Drobny, zimny deszcz, który uspokoił Petiona, bardziej jeszcze powiększył zły humor i niezadowolenie czuwających. Każde spotkanie zdawało się być przygotowaniem do

potyczki, bo po rozpoznaniu wszyscy z niedowierzaniem, powoli i niechętnie wymieniali hasła.

Widząc ich potem, jak wracali, można było rzec, iż bali się nawzajem, aby ich kto z tyłu nie napadł.

Tego więc wieczoru, kiedy Paryż drżał z panicznej trwogi, która stała się zjawiskiem tak częstym, iż powinien był już się do niej przyzwyczaić, tego wieczoru, kiedy skrycie mówiono o potrzebie wyróżnienia rewolucjonistów, którzy przedtem w przeważającej liczbie głosowali z zastrzeżeniem za śmiercią króla, dziś wahali się wydać wyrok śmierci na królową, więzioną w Tempie wraz z dziećmi i szwagierką - tego wieczoru jakaś kobieta owinięta

w mantylę koloru Ula, ukrywszy, a raczej zanurzywszy głowę w kapturze tej mantyli, przemykała się wzdłuż domów ulicy Saint-Honore, chroniąc się to w głębi jakiejś bramy, to za rogiem muru, ilekroć dostrzegła z dala nadchodzący patrol. Stojąc nieruchomo jak posąg, wstrzymywała oddech, póki patrol nie przeszedł. Wówczas znów biegła szybko i niespokojnie, póki nowe tego rodzaju niebezpieczeństwo nie zmusiło ją powtórnie do zatrzymania się w jakiejś bramie.

W ten sposób, dzięki przedsiębranym środkom ostrożności, przebiegła już była bezkarnie część ulicy Saint-Honore, gdy nagle na rogu ulicy Grenelle wpadła nie w ręce patrolu, lecz w ręce małego oddziału dzielnych ochotników, którzy jedli obiad w składzie zbożowym, a których patriotyzm podniosły liczne toasty wzniesione na cześć przyszłych zwycięstw.

Biedna kobieta krzyknęła i usiłowała umknąć przez ulicę Coq.

- Hej! hej! Obywatelko! - zawołał przywódca ochotników, wskutek bowiem wrodzonej człowiekowi potrzeby posiadania dowódców, zacni patrioci już go sobie wybrali. - Hej! hej! A dokądże to?

Uciekająca nie odpowiedziała, lecz biegła dalej.

- Pal! - zawołał przywódca. - To przebrany mężczyzna! To uciekający arystokrata!

I szcęk dwóch czy trzech strzelb, nierówno opadających na niepewne ręce, oznajmił biednej kobiecie, że wkrótce rozkaz zostanie wykonany.

- Nie! Nie! - zawołała nagle, zatrzymawszy się. -
Nie, obywatelu, mylisz się. Nie jestem mężczyzną...

- A więc zbliż się - rzekł dowódca - i odpowiadaj.
Dokądże to idziesz, nocna piękności?

- Ależ, obywatelu, ja nigdzie nie idę... Ja wracam.

- A, wracasz?

10

- Tak jest.

- Jak na uczciwą kobietę, to zbyt późno wracasz, oby-
watelko.

- Idę od chorej krewnej.

- Biedna mała kotka - powiedział przywódca, ma-
chnąwszy ręką tak, że przestraszona kobieta zatrzęsła się
gwałtownie. - A gdzie masz kartę?

- Kartę? Jak to, obywatelu? Co przez to rozumiesz
i czego żądasz ode mnie?

- Czy nie znasz dekretu Gminy?

- Nie.

- Słyszałaś przecież, jak go ogłaszano?

- Nie. Cóż to znowu za dekret, mój Boże?

- Przede wszystkim już się teraz nie mówi Bóg, lecz
Najwyższa Istota.

- Przepraszam. Omyliłam się. To stare przyzwycza-
jenie.

- Złe, arystokratyczne przyzwyczajenie.

- Będę się starała poprawić, obywatelu, lecz mówiłeś...

- Mówiłem, że dekret Gminy zabrania wychodzić po
godzinie dziesiątej wieczorem bez karty obywatelskiej.
Czy masz tę kartę?

- Niestety, nie mam.

- Zostawiłaś ją u swej krewnej?

- Nie wiedziałam, że trzeba wychodzić z tą kartą.

- A więc chodźmy do najbliższego posterunku, tam wytłumaczysz się grzecznie przed kapitanem. Jeżeli będzie z ciebie zadowolony, każe cię dwom żołnierzom odprowadzić do domu, a jeżeli nie, zatrzyma cię aż do czasu zasięgnięcia dokładniejszych informacji. W lewo zwrot, szybko naprzód marsz!

Na skutek okrzyku przerażenia, jaki wydała zatrzymana, przywódca ochotników zrozumiał, że biedna kobieta bardzo lękała się tego środka.

11

- Oho - rzekł - jestem pewien, żeśmy złowili jakąś znakomitą zwierzynę. No, dalej w drogę, moja mała!

I przywódca schwycił rękę podejrzaną kobiety, wziął ją pod ramię i mimo krzyków i łez pociągnął za sobą do posterunku w Palais-Egalite.

Zbliżali się właśnie do roгатki Serge-nts, gdy nagle jakiś wysoki młodzieniec, otulony płaszczem, ukazał się na rogu ulicy Croix-des-Petite-Champs w chwili, gdy zatrzymana błagała o wolność. Ale przywódca ochotników, nie zważając na to, grubiańsko pociągnął ją za sobą. Kobieta krzyknęła na wpół ze strachu, na wpół z bólu.

Młodzieniec widział walkę, słyszał krzyk, przebiegłszy więc z jednej strony ulicy na drugą, spotkał się oko w oko z małym oddziałem.

- Co to jest? Co robicie z tą kobietą? - zapytał tego, który wyglądał na przywódcę.

- Nie wtrącaj się, pilnuj lepiej swego nosa.

- Co to za kobieta, obywatelu, i czego od niej chcecie? _ powtórzył młodzieniec głosem jeszcze bardziej stanowczym.

- A ty coś za jeden, że śmiesz nas pytać?

Młodzieniec rozpiął płaszcz, na jego wojskowym mundurze zabłysła szlifa.

- Jestem oficerem, jak widzicie - rzekł.

- Oficerem... gdzie?

- W Gwardii Obywatelskiej.

- Cóż stąd! Cóż nam do tego? - odezwał się jeden z ochotników. - My nie znamy żadnych oficerów Gwardii Obywatelskiej!

- Co, co on tam mówi? - zapytał drugi przeciągłym akcentem, charakterystycznym dla ludu, a raczej pospólstwa paryskiego.

- On mówi - powtórzył młodzieniec - że jeżeli szlify nie nakazują szacunku dla oficera, to pałasz nakaże szacunek dla szlif.

12

To mówiąc, nieznajomy obrońca młodej kobiety cofnął się o krok, odrzucił fałdy swego płaszcza i przy świetle latarni błysnął jego szeroki, mocny pałasz. Potem nagłym ruchem, świadczącym, że nawykł do zbrojnej walki, chwycił przywódcę ochotników za kołnierz kurtki i przytykając mu koniec pałasza do gardła, rzekł:

- Teraz pomówimy z sobą po przyjacielsku.

- Ależ, obywatelu!... - odpowiedział przywódca, usiłując się wyrwać.

- Uprzedzam cię, że jeśli się tylko poruszysz, jeśli poruszy się któryś z twoich ludzi, natychmiast rozplątam cię moim pałaszem.

Tymczasem dwaj ludzie z oddziału ciągle pilnowali kobiety.

- Pytałeś mnie, kto jestem - mówił dalej młodzieniec - chociaż nie miałeś do tego prawa, bo nie jesteś dowódcą regularnego patrolu. Mniejsza jednak o to. Wiedz, że nazywam się Maurycy Lindey, dnia dziesiątego kwietnia dowodziłem baterią kanonierów. Jestem porucznikiem Gwardii Narodowej i sekretarzem sekcji Braci i Przyjaciół. Czy ci to wystarczy?

- Ach, obywatelu poruczniku - odrzekł przywódca, ciągle zagrożony ostrzem, które mu coraz bardziej ciążyło - to zupełnie co innego! Jeżeli jesteś w istocie tym, za kogo się podajesz, to jesteś dobrym patriotą.

- Wiedziałem dobrze, że trochę z sobą pogawędziwszy, •wnet się porozumiemy. No, na ciebie teraz kolej. Odpowiadaj, dlaczego ta kobieta krzyczała i coście jej zrobili?

- Prowadziliśmy ją na odwach.

- A to dlaczego?

- Bo nie ma karty obywatelskiej, a os-tatni dekret Gminy każe aresztować każdego przechodnia spotkanego po godzinie dziesiątej na ulicach Paryża bez karty obywatelskiej. Czyżbyś miał zapomnieć, że ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, że czarny sztandar powiewa na ratuszu?

13

- Czarny sztandar powiewa na ratuszu i ojczyzna jest w niebezpieczeństwie dlatego, że bandy niewolników marszerują na Francję - odrzekł oficer - nie zaś dlatego, że jakaś kobieta chodzi po ulicach Paryża po godzinie dziesiątej. Lecz mniejsza o to, obywatele. Gmina wydała dekret, postępujcie zgodnie z prawem i gdybyście mi byli od razu to wszystko powiedzieli, porozumienie między nami nastąpiłoby prędzej i nie byłoby tak burzliwe. Dobrze jest być patriotą, ale również dobrze jest znać się na grzeczności, a ponadto obywatele winni szanować oficerów, którzy, jak mi się zdaje, sami mianowali. A teraz prowadźcie sobie tę kobietę, gdzie wam się tylko podoba.

- Och, obywatelu! - chwytając Maurycego za rękę zawołała z kolei kobieta, która z trwogą słuchała całego sporu. - Obywatelu! Nie zostawiaj mnie na pastwę tych grubianów na pół pijanych.

- Dobrze - odpowiedział Maurycy - podaj mi rękę, odprowadzę cię wraz z nimi na odwach.

- Na odwach? - ze strachem powtórzyła kobieta. - A po cóż mnie tam macie prowadzić, kiedy nikomu nic złego nie zrobiłam?

- Zaprowadzą cię na odwach - odpowiedział Maurycy - nie dlatego, abyś coś złego zrobiła, nie dlatego nawet, aby przypuszczano, że się możesz tego dopuścić, ale dlatego, że rozkaz Gminy zabrania wychodzić bez pozwolenia, a ty go nie masz. - - -

- Ależ ja nie wiedziałam...

- Obywatelko, znajdziesz na odwachu zacnych ludzi,

którzy uwzględnią twoje tłumaczenie. Nie powinnaś się niczego obawiać.

- Panie - odpowiedziała młoda kobieta, ściskając rękę oficera - nie zniewag się obawiam, lecz śmierci, bo jeżeli zostanę zaprowadzona na odwach, będę zgubiona.

14

NIEZNAJOMA

W głosie kobiety tyle było trwogi, a zarazem godności, że Maurycy zdrzął. Głos nieznajomej jak prąd elektryczny przeniknął jego serce.

Odwrócił się ku ochotnikom. Upokorzeni, że jeden człowiek umiał utrzymać ich w szachu, rozmawiali między sobą chcąc widocznie odzyskać powagę, było ich bowiem ośmiu przeciwko jednemu, a trzech miało strzelby, pozostali zaś pistolety i piki. Maurycy posiadał tylko pałasz, walka więc nie mogła być równa.

Nieznajoma równie dobrze to rozumiała i opuściwszy głowę na piersi, westchnęła.

Maurycy zaś, zmarszczywszy brwi, zacisnąwszy zęby, z obnażonym ciągle pałaszem, wahał się między współczuciem, które mu nakazywało bronić tej kobiety, a obowiązkiem obywatela, który mu radził wydać ją w ręce władzy.

Wtem na rogu ulicy Bons-Enfants zabłysło kilka luf karabinowych i dał się słyszeć miarowy krok patrolu, który widząc stojącą gromadkę, zatrzymał się o kilka kroków, a kapral zawołał:

- Kto idzie!

- Przyjacieł! - krzyknął Maurycy. - Zbliź się tu, Lorin.

Ten, który rozkaz otrzymał, zbliżył się żywo, krocząc na czele ośmiu żołnierzy. -K

- Czy to ty, Maurycy? - spytał kapral. - Rozpustniku, co robisz o tej godzinie na ulicy?

- Widzisz, że wracam z posiedzenia Braci i Przyjaciół.

- Tak... i udajesz się na posiedzenie sióstr i przyjaciół-

łek. Znamy się na tym.

15

- Nie, mylisz się, przyjacielu. Szedłem teraz wprost do siebie i oto spotkałem na drodze obywatelkę, wyrywającą się z rąk obywateli ochotników. Podbiegłem i spytałem, dlaczego ją aresztowano.

- Poznaję cię teraz - rzekł Lorin. - Taki to charakter mają francuscy rycerze.
Następnie, zwracając się do ochotników, zapytał: -

- A dlaczego aresztowaliście tę kobietę?

- Jużśmy to powiedzieli porucznikowi - odrzekł przywódca małego oddziału. - Nie miała karty obywatelskiej.

- O! o! - rzekł Lorin - a to ci wielka zbrodnia!

- Nie wiesz więc, jaki jest rozkaz Gminy? - spytał przywódca ochotników.

- Prawda! prawda! Ale jest drugi rozkaz, który znosi tamten.

- Jaki?

- Chciej tylko posłuchać:

Bo miłość wyrok wydała,
Ze nawet i na Parnasie
Piękność i młodość będzie miała
Wolny przystęp i w dnia czasie.

I cóż ty na ten rozkaz, obywatelu? Ja myślę, że jest bardzo odpowiedni w tym momencie.

- Prawda, ale nie jest ostateczny. Po pierwsze, nie był ogłoszony w Monitorze, po wtóre, nie jesteśmy wcale na Parnasie, po trzecie, teraz jest noc, a wreszcie, obywatelka nie jest może ani młoda, ani ładna, ani miła.

- Założę się, że przeciwnie - podchwycił Lorin. -
No, obywatelko, przekonaj mnie, że mam słuszność, podnieś kaptur i niech wszyscy osądzą, czy ten wiersz mógł cię dotyczyć?

- O, panie! - zawołała młoda kobieta, tuląc się do Maurycego. - Bronieś mnie przed nieprzyjaciółmi, broń-

że teraz przed przyjaciółmi, błagam cię!

1 S

- Widzicie, jak ona się kryje? - rzekł przywódca ochotników. - To musi być szpieg arystokratów albo nocna włóczęga, ladaco jakieś.

- Och, panie! - zawołała młoda kobieta, czyniąc krok w stronę Maurycego i odsłaniając twarz przecudnej urody. - O, spojrzysz na mnie, czym podobna do tego, co oni mówią?

Maurycy patrzył oczarowany. Nigdy nie marzył o podobnym widoku, lecz trwało to zaledwie chwilę, gdyż nieznajoma szybko zakryła twarz.

- Lorin - rzekł Maurycy - powiedz, że sam zaprowadzisz aresztowaną na odwach. Masz do tego prawo. Jesteś dowódcą patrolu.

- Dobrze - odpowiedział młody kapral - rozumiem cię.

I zwracając się do nieznajomej, dodał:

- No, no, moja piękna, ponieważ nie chcesz ujawnić, kim jesteś, musisz się udać z nami.

- Jak to, z wami? - zawołał przywódca ochotników.

- A tak, odprowadzimy obywatelkę na ratusz, gdzie stoimy na warcie, a tam dowiemy się, co to za jedna.

- Nic z tego nie będzie - odrzekł przywódca pierwszego oddziału. - Ona do nas należy, my więc się nią zajmiemy.

- Ej, obywatele, obywatele - odezwał się Lorin - widzcie, że się pogniewamy.

- Gniewajcie się lub nie, do licha, wszystko mi jedno. My jesteśmy prawdziwymi żołnierzami Republiki i kiedy wy patrolujecie ulice, my musimy przelewać krew na granicach.

- Strzeżcie się, abyście jej tu po drodze nie przelali, a to bardzo łatwo może nastąpić, jeżeli nie będziecie grzeczniejsi.

- Grzeczność to rzecz arystokratów, a my jesteśmy san-

kiuloci - odparli ochotnicy.

3 - A- Dumaa

17

- No, no - rzekł Lorin - nie mówcie przy pani o podobnych rzeczach. Może ona Angielka. Nie gniewaj się o to przypuszczenie, mój piękny nocny ptaszku - rzekł uprzejmie zwracając się do nieznajomej, i dodał:

Tak wyrzekł poeta, a więc niech tak będzie.
Powtórzmy słowa poety pieszczone.
Anglia dla niego to gniazdo łabędzie,
Na wielkie jezioro puszczone.

- Aha, zdradzasz się - rzekł przywódca ochotników. -
Sam się przyznajesz, że jesteś agentem Pitta, na żołdzie angielskim i...

- Milcz! - zawołał Lorin. - Nie znasz się wcale na poezji, mój przyjacielu, będę więc z tobą mówił prozą. Słuchaj: my, gwardziści narodowi, jesteśmy łagodni i cierpliwi, ale wszyscyśmy dziećmi Paryża, to znaczy, że jeśli nam kto zalezie za skórę, damy mu po uszach.

- Pani - rzekł Maurycy - widzisz, na co się zanosi.
Za pięć minut tych kilkunastu ludzi będzie biło się o ciebie. Czyż dobra wola tych, którzy pragną cię bronić, zasługuje na przelew krwi?

- Panie - odpowiedziała nieznajoma załamując ręce -
tylko jedną rzecz mogę panu wyznać: jeżeli każesz mnie areztować, sprowadzi to na mnie i na innych tak wielkie nieszczęście, że wolę, abyś mnie zabił bronią, którą trzymasz w ręku, i trupa mego wrzucił do Sekwany, niż gdybyś miał mnie opuścić. '

- Dobrze - odrzekł Maurycy. - Biorę wszystko na siebie.

I puściwszy ręce pięknej nieznajomej, które trzymał w swoich, rzekł do gwardzistów narodowych:

- Obywatele! Jako wasz oficer, jako patriota, jako Francuz, rozkazuję wam, abyście bronili tej kobiety. A ty, Lorin, jeżeli któryś z tych łotrów pisnie choć słowo, na bagnety go!

18

- Za broń! - zakomenderował Lorin.

- O Boże! Boże! - zawołała nieznajoma, osłaniając głowę kapturem i opierając się o kamienny słupek. - O Boże! Miej mnie w swojej opiece!

Ochotnicy starali się ustawić w szyku do obrony. Jeden z nich strzelił nawet z pistoletu i kula przeszła kapelusz Maurycego.

- Do ataku broń! - krzyknął Lorin.

I wśród ciemności nocy wszczęła się walka i zamieszanie, dało się słyszeć parę wystrzałów z ręcznej broni, potem krzyki i przekleństwa. Nikt jednak nie przybył na miejsce bó[^]ki, bo, jak wspomnieliśmy, krążyły głuche wieści o rzezi, mniemano więc może, że to jej początek. Kilka okien wprawdzie otworzyło się, lecz je natychmiast zamknięto.

Ochotnicy, mniej liczni i nie tak dobrze uzbrojeni, w jednej chwili zostali pokonani. Dwóch ciężko raniono, czterech przyparto do muru z bagnetem przy piersi.

- A co? - odezwał się Lorin. - Spodziewam się, że teraz będziecie łagodni jak baranki. Co do ciebie, obywatelu Maurycy, zobowiązuję cię odprowadzić tę kobietę na ratusz. Jesteś za nią odpowiedzialny, rozumiesz?

- Rozumiem - odrzekł Maurycy i dodał po cichu: - A hasło?

- Tam, do diabła - szepnął Lorin, drapiąc się w ucho. - Hasło!

- Może boisz się, abym nie zrobił z niego złego użytku?

- O, na honor! - przerwał Lorin. - Użyj go, jak chcesz, wszak to twoja rzecz.

- Powiesz więc? - rzekł znowu Maurycy.

- Zaraz, ale pozwól najpierw pozbyć się tych włóczągów. A potem, zanim się rozstaniemy, chcę ci udzielić jeszcze jednej dobrej rady.

- Dobrze, zaczekam.

Lorin wrócił ku swym gwardzistom, którzy ciągle trzymali ochotników w szachu.

- No cóż, czy dosyć już macie teraz? - spytał.

- Dosyć, dosyć, ty psie żyrondistowski - odparł przywódca.

- Mylisz się, mój przyjacielu - spokojnie rzekł Lorin. - Jesteśmy lepsi od ciebie sankiuloci, bo należymy do klubu Termopile, któremu, jak się spodziewam, nikt nie odmówi patriotyzmu. Każ odejść tym obywatelom!

- Jeżeli jednak ta podejrzana kobieta...

- Gdyby była podejrzana, uciekłaby już podczas utarczki, zamiast czekać jej końca.

- Hm! - mruknął jeden z ochotników. - Obywa tel^ Termopil mówi prawdę.

- Zresztą, przekonamy się o tym, bo przyjaciel mój odprowadzi ją do ratusza, a my tymczasem wstąpimy gdzieś napić się za pomyślność narodu.

- Wstąpimy napić się? -- powtórzył przywódca.

- Tak jest, mam wielkie pragnienie, a znam ładną tawernę przy ulicy Thomas-du-Louvre.

- Czemuś tego od razu nie powiedział, obywatelu? Żalujemy mocno, żeśmy zwątpili o twoim patriotyzmie. No, ale teraz, w imię narodu i prawa, uściskajmy się.

- Uściskajmy się - rzekł Lorin.

To mówiąc ochotnicy z zapalem ucałowali narodowych gwardzistów. W owym czasie równie chętnie ściskano się, jak zabijano.

- - A teraz, przyjaciele - zawołały razem oba połączone oddały - na róg ulicy Thomp.s-du-Louyre!

- - A my? - żałośnie odezwali się ranni. - Czyżbyście mieli nas tu zostawić?

- Ma się rozumieć! - rzekł Lorin. -- Zostawimy dzielnych, którzy przez pomyłkę polegli w walce ze współziomkami i patriotami. No, ale przyślemy wam nosze,

a tymczasem dla rozrywki śpiewajcie sobie Marsylianki.

20

Potem, gdy gwardziści i ochotnicy, prowadząc się pod ręce, zmierzali ku placowi Palais-figalite, Lorin zbliżył się do Maurycego, który wraz z nieznajomą stał na rogu ulicy

Co q, i dodał:

- Maurycy, przyrzekłem dać ci radę. Oto ona: chodź z nami, a nie kompromituj się odprowadzaniem tej obywatelki, która wprawdzie wydaje się czarująca, ale tym bardziej podejrzana. Czarujące kobiety, które o północy biegają po ulicach Paryża...

- Panie - rzekła kobieta - błagam cię, nie sądź mnie z powierzchowności!

- Przede wszystkim robi pani wielki błąd, mówiąc mi „panie”, rozumiesz, obywatelko? No, ale i ja mówię ci także „pani”.

- Tak jest, masz słuszość, obywatelu, ale pozwól twe-
mu przyjacielowi spełnić dobry uczynek.

- A to w jaki sposób?

- Przez odprowadzenie mnie do domu i zaopiekowanie się mną w drodze.

- Maurycy, Maurycy! - rzekł Lorin. - Rozważ do-
brze, co czynisz. Narażasz się strasznie!

- Wiem o tym - odpowiedział młodzieniec - ale cóż
chcesz! Jeżeli opuszczę tę biedną kobietę, pierwszy lepszy
patrol znowu ją zaaresztuje.

- O tak, tak. Gdy tymczasem przy tobie, panie, chcia-
łam powiedzieć przy, tobie, obywatelu, będę ocalona!

- Słyszysz? Powiada, że będzie ocalona! - podchwycił
Lorin. - Więc grozi jej jakieś wielkie niebezpieczeństwo.

- No, no, mój kochany Lorin, bądźmy sprawiedliwi -
odparł Maurycy. - Jest to albo dobra patriotka, albo ary-
stokratka. Jeśli jest arystokratką, to znaczy, że źle zro-
biliśmy, opiekując się nią, a jeśli jest dobrą patriotką, to
bronić jej było naszym obowiązkiem.

- Wybacz, przyjacielu, nie wiem, co by na to powiedział Arystoteles, ale twoje rozumowanie nie ma sensu.

ai

- Ech, Lorin - odrzekł Maurycy - dosyć już tej gadaniny. Proszę cię, pomówmy rozsądnie. Powiesz mi hasło czy nie?

- Widzisz, Maurycy, żądasz ode mnie albo poświęcenia obowiązku dla przyjaciela, albo poświęcenia przyjaciela dla obowiązku. A ja boję się, mój drogi, abym nie poświęcił obowiązku!

- Mój drogi, jedno albo drugie, wybieraj. Ale, na Boga, wybieraj natychmiast!

- Ale nie nadużyjesz mojej dobroci?

- Przyrzekam.

- To za mało: przysięgnij!

• - Ale jak?

- Przysięgnij na ołtarzu ojczyzny.

Lorin zdjął kapelusz, podał go Maurycemu od strony, gdzie była kokarda, a ten uważając to za bardzo naturalne, z całą powagą złożył żadaną przysięgę na tym zaimprovizowanym ołtarzu.

- Więc, słuchaj - rzekł Lorin - oto hasło: „Galia i Lutecja"! A choćby ci kto powiedział, jak mnie przed chwilą: „Galia i Lukrecja", nie rób z tego kwestii, jedno i drugie brzmi po rzymsku.

- Obywatelko - odezwał się Maurycy - teraz jestem na twoje usługi. Dziękuję ci, Lorin.

- Szczęśliwej podróży! - odrzekł tenże wkładając na głowę „ołtarz ojczyzny" i wierny swemu upodobaniu, oddalił się śpiewając.

III

ULICA FOSSES-SAINT-VICTOR

Maurycy, znalazłszy się sam z młodą kobietą, był przez chwilę zakłopotany. Obawa, aby nie został oszukany, peł-

na uroku piękność nieznajomej zaniepokoiły jego republikańskie sumienie i wstrzymały go w chwili, gdy miał po-
dać rękę młodej kobiecie.

- Dokąd idziesz, obywatelko? - zapytał.

- O, bardzo daleko - odpowiedziała.

- Ale dokąd?

- W stronę Ogrodu Botanicznego.

- Dobrze. Chodźmy!

- O, mój Boże - rzekła nieznajoma - wiem, że na-
przykrzam się panu, lecz proszę mi wierzyć, gdybym była
narażona na zwykle niebezpieczeństwo, nie nadużywałabym
pańskiej wspaniałomyślności.

- Więc z jakiego to powodu - odpowiedział Maury-
cy - znajdujesz się pani o tej godzinie na ulicach Pary-
ża? Czy prócz nas spostrzegłaś choćby jedną osobę?

- Już panu mówiłam, że byłam z wizytą na przed-
mieściu Roule. Wyszłam w południe nie wiedząc wcale, co
zaszło, powracając, również nie wiedziałam o niczym. Cały
czas spędziłam w domu znajdującym się nieco na uboczu.

- Tak - podchwycił Maurycy półgłosem - zapewne
w jakiejś jaskini arystokratycznej. Obywatelko, przyznaj
się, że prosząc mnie o obronę, w duchu śmiejesz się z tego,
że się jej podejmuję.

.- Ja? - zawołała. - Jak to?

- Bez wątpienia. Masz przed sobą republikanina, który
przez to, że się tobą opiekuje, zdradza swoją sprawę.

- Obywatelu - odparła żywo nieznajoma - jesteś
w błędzie, gdyż tak samo jak ty kocham Republikę.

- Zatem jesteś, obywatelko, dobrą patriotką, a więc po-
co się ukrywasz? Skąd idziesz?

- Litości, mój panie! - zawołała nieznajoma.

W słowach „mój panie” przebijało tak głębokie i deli-
katne uczucie wstydu i żalu, że Maurycy, uległszy wraże-
niu, jakie wywołały na nim jej słowa, pomyślał: „Zapew-
ne ta kobieta powraca z jakiejś czulej schadzki.” Na tę

myśl uczuł jakby ukłucie w sercu, i sam nie wiedząc dlaczego, stał się od tej chwili milczący.

Tymczasem nasi nocni wędrowcy doszli już do ulicy Verrerie. Po drodze spotkali trzy czy cztery patrole, które usłyszawszy hasło, przepuściły ich. Dopiero oficer, dowodzący ostatnim, czynił pewne trudności. Maurycy oprócz hasła musiał wymienić swoje nazwisko i miejsce zamieszkania.

- Dobrze - odpowiedział oficer - a obywatelka?...

- Co, obywatelka?

- Kto ona jest?

- To... to siostra mojej żony.
Oficer przepuścił ich.

- Pan jest żonaty? - wyszeptała nieznajoma.

- Nie, pani, a dlaczego o to pytasz?

- Bo łatwiej było powiedzieć - odparła, śmiejąc się - iż jestem pańską żoną.

- Pani - odpowiedział Maurycy - imię żony jest świętym tytułem i lekkomyślnie nie powinno się nim szafować. Nie mam zaszczytu znać pani.

Obecnie przyszła kolej na nieznajomą: poczuła się dotknięta. Milczała.

W tej chwili przechodzili przez most Marie. Nieznajoma przyśpieszyła kroku, jak gdyby zbliżała się do kresu swojej drogi.

- Zapewne jesteśmy w dzielnicy, gdzie pani mieszka? - zapytał Maurycy.

- Tak, obywatelu - odrzekła nieznajoma - ale tu właśnie bardziej niż gdziekolwiek potrzebuję twej pomocy.

- Pani, zabraniasz mi być niedyskretnym, a jednocześnie swymi słowami coraz bardziej podniecasz moją ciekawość. To nieszlachetne! Proszę o nieco więcej zaufania. Sądzę, że na nie zasłużył. Czy ze swojej strony nie uczy-

nisz mi pani tego zaszczytu, abym się dowiedział, z kim mówię?

24

- Mówisz pan z kobietą - z uśmiechem przerwała nieznajoma - którą uwolniłeś od największego w życiu niebezpieczeństwa i która też do śmierci nie przestanie ci być za to wdzięczna.

- Ja tyle nie żądam, droga pani. Nie bądź mi tak wdzięczna, lecz raczej wyjaw mi swe nazwisko.

- To niemożliwe.

- A jednak musiałabyś je wyjawić pierwszemu lepszemu sierżantowi, gdyby cię zaprowadzono na odwach.

- Nie, nigdy! - zawołała nieznajoma.

- W takim razie poszłabyś, pani, do więzienia.

- Gotowa byłam na wszystko.

- A więzienie w obecnych czasach...

- Równa się rusztowaniu, wiem o tym dobrze.

- A wolałabyś pani rusztowanie?

- Wolałabym niż zdradę... Bo wyjawić moje nazwisko byłoby to samo, co zdradzić!

- Widzę, że miałem słusność, utrzymując, że jako republikaninowi dziwną mi pani każesz odgrywać rolę!

- Gra pan rolę wspaniałomyślnego. Spotyka pan biedną kobietę, którą znieważają, nie pogardzasz nią, chociaż nie należy do ludu, a ponieważ może stę znów spotkać ze zniewagami, aby ją ochronie, odprowadzasz ją pan do dzielnicy, w której mieszka. Oto wszystko.

- Tak, słusznie pani mówi, że „to wszystko”. Ja również tak bym myślał, gdybym cię nie był widział. Lecz piękność twoja i język, jakim mówisz, świadczą, że jesteś kobietą znakomitego rodu. To wszystko stoi w takiej sprzeczności z twoim ubiorem i z tą nędzną dzielnicą, iż utwierdzam się w przekonaniu, że wycieczka pani o tej porze kryje w sobie jakąś tajemnicę. Milczysz, pani? No, dobrze, więc nie mówmy o tym. Jak daleko jeszcze do

mieszkania pani?

Znaleźli się właśnie na ulicy Fosses-Saint-Victor.

25

- Widzisz pan ten mały czarny budynek? - spytała nieznajoma, wskazując ręką na dom, położony za murem Ogrodu Botanicznego. - Tam się pożegnamy.

- Jestem na twe usługi, pani.

- Gniewa się pan?

- Bynajmniej, ale właściwie jakież to ma znaczenie?

- ' Wielkie, bo chcę prosić pana o jeszcze jedną łaskę.

- O jaką?

- O bardzo czułe i bardzo szczere pożegnanie... O pożegnanie przyjacielskie!

- O przyjacielskie pożegnanie? Zbyt wielki czyni mi pani zaszczyt. Szczególny to przyjaciel, który nie zna nazwiska przyjaciółki, nie zna jej adresu, bo go przed nim ukrywa z obawy zapewne, aby jej nie nudził swymi odwiedzinami.

Młoda kobieta spuściła głowę i nic nie odpowiedziała.

- Wreszcie, proszę pani - mówił dalej Maurycy - jeśli natrafiłem na ślad jakiejś tajemnicy, nie na mnie gniewać się należy. Nie starałem się o to wcale.

- Otóż jesteśmy u celu - rzekła nieznajoma. Przed nimi widać było starą ulicę Saint-Jacques z czarnymi, wysokimi domami i uliczki, na których znajdowały się liczne farbiarnie i garbarnie, gdyż o parę kroków stamtąd płynęła rzeczka Bievre.

- Jak to? - spytał Maurycy. - Tutaj pani mieszka?

- Tak, panie.

- To niemożliwe.

- A jednak tak jest w istocie. Zegnam cię, dzielny rycerzu. Zegnam cię, wspaniałomyślny protektorze!

- Zegnam panią - odpowiedział z lekką ironią Maury".
cy. •- Lecz chciej mi pani powiedzieć, dla mego spokoju,
czy żadne d już teraz nie grozi niebezpieczeństwo?

- Żadne.

-- No, więc odchodzę.

26

Rzekłszy to, Maurycy cofnął się ł zimno uklonił.
Nieznajoma stała przez chwilę nieruchomo na swoim
miejscu.

- Nie chciałabym w ten sposób rozstać się z panem -
rzekła. - Proszę cię, panie Maurycy, podaj mi rękę.

Maurycy zbliżył się do nieznajomej i spełnił jej żądanie.
W tym momencie poczuł, że nieznajoma wsuwa mu pierś-
cień na palec.

- No, no, obywatelko, co czynisz? Czy nie zdajesz so-
bie sprawy, że tracisz jeden z twych pierścionków?

- Panie - rzekła - źle czynisz.

- O mało nawet nie okazałem się niewdzięczny, praw-
da?

- No, proszę cię... panie... mój przyjacielu... nie opusz-
czaj mnie w ten sposób. Powiedz, czego żądasz? Czego ci
potrzeba?

- Może tego, bym został opłacony? - powiedział z go-
ryczą młody człowiek.

- Nie, nie - odparła nieznajoma z czarującym uśmie-
chem - chcę tylko, abyś mi pan przebaczył, że muszę
ukryć przed tobą pewną tajemnicę.

Maurycy, widząc mimo ciemności piękne oczy, błysz-
czące od łez, czując drżenie delikatnej ręki, którą trzymał,
słyszając głos, który zabrzmiał tak błagalnie, zapomniał
o gniewie zupełnie.

- Chciałbym ujrzeć panią raz jeszcze - zawołał z za-
pamię.

- Niepodobna.

- Chociaż raz tylko, na jedną godzinę, minutę, sekundę...

- Niepodobna, powtarzam panu.

- Jak to? - zapytał Maurycy. - Więc pani mówi na serio, że już jej nigdy nie zobaczę?

- Nigdy - odrzekła niby bolesne echo nieznajoma.

27

- O pani, ulituj się nade mną - powiedział Maurycy. I podniósł głowę, i potrząsnął nią tak, jakby chciał się uwolnić od nieuchronnej siły przeznaczenia.

Nieznajoma spoglądała nań z dziwnym wyrazem twarzy. Widać, że sama była bliska uczucia, jakie w nim wzbudziła.

- Posłuchaj pan - rzekła po chwili milczenia, przerywanego jedynie westchnieniem, które Maurycy na próżno usiłował stłumić. - Czy przysięgniesz mi pan na honor, że zamkniesz oczy w chwili, w której każę ci to uczynić, że ich nie otworzysz przynajmniej w ciągu sześćdziesięciu sekund? Ale... na honor.

- Jeżeli przysięgnę, to cóż się ze mną stanie?

- Przekonasz się, że dowiodę ci mojej wdzięczności w taki sposób, w jaki przyrzekam, że jej nigdy ł nikomu dowodzić nie będę, chociażby nawet więcej niż pan dla mnie uczynił, co zresztą byłoby bardzo trudne.

- Ale w końcu, czy nie mogę wiedzieć?...

- Nie, zawierz mi pan, a zobaczysz.

- Doprawdy, pani, nie wiem, czyś jest aniołem, czy szatanem.

- Przysięgasz pan?

- No, dobrze. Przysięgam.

- Cokolwiek bądź nastąpi, nie otworzysz pan oczu... Cokolwiek nastąpi... Czy rozumie pan dobrze? Chociażbyś nawet czuł, że cię pchnięto sztyłem.

- Czuję się jakby odurzony tym żądaniem.

- Przysięgasz pan? Zdaje mi się, że niewiele ryzykujesz.

- A więc przysięgam, cokolwiek się stanie... - powiedział Maurycy, zamknął oczy i zatrzymał się. - Pozwól mi, pani, ujrzeć cię raz jeszcze - rzekł. - Raz tylko, błagam.

Młoda kobieta odrzuciła kaptur z uśmiechem niezupełnie

as

pozbawionym zalotności. W świetle księżyca wynurzającego się właśnie spoza chmur młody człowiek po raz wtóry ujrzał spadające w puklach długie, czarne jak heban włosy, wspaniałe łuki brwi, dwoje wielkich omdlewających oczu o wykroju migdała, kształtny nos i świeże błyszczące usta jak korale.

- Jesteś pani piękna, cudownie piękna, zbyt piękna! - zawołał Maurycy.

- Zamknij pan oczy - powiedziała nieznajoma.

Maurycy spełnił żądanie.

Młoda kobieta ujęła obie jego ręce i nagle zdawało mu się, jakby przy swej twarzy poczuł pachnące ciepło i jakby jakieś usta dotknęły jego ust, zostawiając w nich pierścień, którego przyjąć nie chciał przed chwilą.

Dotknięcie to było nagłe jak myśl, a palące jak płomień. Maurycy doznał wrażenia podobnego do bólu, tak było niespodziewane i dojmujące, tak wniknęło w głąb jego serca i tak nim wstrząsnęło.

Uczył nagły ruch i wyciągnął ręce przed siebie. •

- Przysięga - zawołał oddalony głos.

Maurycy zakrył oczy rękami, aby pokonać pokusę. Nie liczył już, nie myślał, ale stał niemy, nieruchomy, poruszony do głębi.

Po chwili usłyszał jakby trzask zamykanych drzwi o pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kroków od niego, po czym zapadła głucha cisza.

Wtedy dopiero otworzył oczy i spojrzał wokoło jakby

przebudzony ze snu. Może byłby sądził, że się w istocie przed chwilą obudził, że wszystko, co się zdarzyło, było tylko snem, gdyby w zaciśniętych ustach nie trzymał pierścienia, który świadczył, że ta niezwykła przygoda była rzeczy wiś tością.

29

IV

ÓWCZESNE ZWYCZAJE

Gdy Maurycy Lindey ocknął się i spojrzął wokół siebie, zobaczył tylko ciemne uliczki. Szukał, przypominał sobie, ale mieszało mu się w głowie. Noc była ciemna, księżyc, który wynurzył się na chwilę spoza chmur, aby oświecić piękną twarz nieznajomej, teraz znowu skrył się za nimi. Po chwili okrutnej niepewności młodzieniec nasz udał się do swego mieszkania przy ulicy Roule.

Na ulicy Sainte-Avoye zdziwił go widok mnóstwa patroli, krążących po dzielnicy Tempie.

- A co to znowu nowego, sierzancie? - zapytał dowódcę patrolu, który wrócił właśnie z ulicy Fontaines, gdzie dokonał rewizji.

- Co nowego? - odpowiedział sierżant. - Oto chciano dzisiejszej nocy wykraść wdowę po Capecie z całym jej gniazdem.

- A to jakim sposobem?

- Obcy patrol, dowiedziawszy się, nie wiem za czym pośrednictwem, o hasle, dostał się do Tempie w ubiorze strzelców Gwardii Narodowej i miał dokonać wykradzenia. Na szczęście, ten, co grał rolę kaprała, mówiąc z oficerem dyżurnym użył wyrazu „panie” i zdradził się, arystokrata!

- Do diabła! - rzekł Maurycy. - A czy zatrzymano spiskowców?

- Nie. Patrol zdołał dostać się na ulicę i przepadł.

- Czy jest jakaś nadzieja schwytania łotrów?

- Ważne tylko było, aby ująć jednego z nich, mianowicie dowódcę... Wysoki, chudy. Jeden z członków straży miejskiej wprowadził go między gwardzistów. Nabiegaliśmy się za zbrojem, ale znalazł tylne drzwi i uciekł ulicą

Madelonnettes.

30

W każdym innym przypadku Maurycy pozostałby całą noc z patriotami czuwającymi nad bezpieczeństwem Republiki. Niestety, od godziny nie tylko miłość do ojczyzny zajmowała jego myśli. Poszedł więc dalej swoją drogą, gdyż świeża wiadomość zatarła się szybko w jego pamięci. Zresztą wieści o usiłowaniach wykradzenia tak często się powtarzały i patrioci tak dobrze wiedzieli, iż w pewnych okolicznościach używano tych pogłosek jako środka politycznego, że naszego młodego republikanina nie napawało to niepokojem.

W domu zastał Maurycy swego oficjalistę - w owej epoce nie było służących, dlatego używamy słowa „oficjalista” - który czekając na niego zasnął i śpiąc, chrapał z niepokojem.

Obudził go, przestrzegając wszystkich względów należnych bliźniemu, kazał zdjąć sobie buty i odesłał go, aby mu nie przeszkadzał w rozmyślaniach. Potem położył się, a ponieważ było późno, sen wkrótce pokonał jego zmęczony umysł.

Nazajutrz znalazł Maurycy ąltetoliku obok łóżka - list.

Pismo było wytworne, kreślone nieznaną ręką. Spojrzał na pieczętkę, widniał na niej tylko jeden angielski wyraz:

„Nothing” - Nic.

Otworzył i odczytał następujące słowa:

„Dziękuję!

Dozgonna wdzięczność w zamian za wieczne zapomnienie!...”

Maurycy zawołał oficjalistę - prawdziwi patrioci nie dzwoniłi, bo dzwonek przypominał czasy niewolnictwa, a ponadto wielu oficjalistów, obejmując służbę u swych panów, zastrzegało to sobie, a panowie zgadzali się chętnie na ten warunek.

Oficjalista Maurycyego przed trzydziestu laty otrzymał na chrzcie świętym imię Jan. Obecnie, uważając, że „Jan”

31

tchnie arystokracją i deizmem, sam zmienił sobie imię na „Scewola”.

- Scewola - zapytał Maurycy - co to za list?

- Nie wiem, obywatelu.

- Kto ci go dał?

- Odźwierny.

- A jemu kto przyniósł?

- Jakiś goniec zapewne, bo nie widzę narodowej pieczęci.

• - Zejdź i poproś do minie odźwiernego.

Odźwierny przybył natychmiast, bo wzywał go Maurycy, a Maurycyego lubili wszyscy, z którymi łączyły go jakiegokolwiek stosunki. Oświadczył on, że gdyby chodziło o innego z lokatorów, to byłby go poprosił, aby pofatygował się na dół.

Odźwierny nazywał się Arystydes.

Maurycy dowiedział się od niego, że list przyniósł jakiś nieznajomy około ósmej rano. Nasz młodzieniec nadaremnie powtarzał pytania, na próżno zadawał je w różny sposób - odźwierny nie był w stanie nic więcej mu powiedzieć. Maurycy prosił go, aby przyjął dziesięć franków, i zaklinał, aby w wypadku gdyby ten sam człowiek znowu się pojawił, ostrożnie wyszedł, dokąd się uda, i zawiadomił go o tym.

Spieszmy wyznać, że ku wielkiemu zadowoleniu Ary-

stydesa, upokorzonego nieco propozycją śledzenia bliźniego, człowiek ów więcej się nie pokazał.

Gdy Maurycy pozostał sam, zmiął list, zdjął pierścionelek z palca i położywszy go wraz z listem na stole, odwrócił się do ściany ze stanowczym zamiarem, aby zasnąć na nowo. Lecz po upływie godziny odrzucił tę myśl i całował pierścionelek, a list odczytywał od początku. Pierścionelek ozdobiony był bardzo pięknym szafirem.

List, jak powiedzieliśmy, miał kształt małego bileciku,

o miłą „pachnącego” arystokracie.

Podczas gdy Maurycy pilnie mu się przyglądał, otworzyły się drzwi pokoju. Maurycy wsunął pierścionek na palec, a list ukrył pod poduszką. Czyż byłby to wstyd rodzącej się miłości? Czy była to obawa patrioty, który nie chciał, aby wiadano, że ma stosunki z ludźmi na tyle nierozsądnymi, iż mają odwagę pisać list, którego sam zapach mógł zdradzić rękę kreślącą go i tę, co go odpieczętowała?

Młody człowiek, który wszedł do pokoju, miał na sobie strój patrioty, niezwykle elegancki: kurtkę z cienkiego sukna, kaszmirowe spodnie i cienkie jedwabne pończochy. Wytworna frygijska czapka purpurowego koloru była piękniejsza od czapki Parysa.

Człowiek ten miał za pasem parę pistoletów z eks[^]królewskiej fabryki w Wersalu oraz krótki, prosty pałasz.

- Cóż to, śpisz, Brutusie! - rzekł nowo przybyły. - Śpisz, gdy ojczyzna w niebezpieczeństwie! Wstydz się!

- Nie, Lorin, nie śpię, lecz marzę - odparł śmiejąc się Maurycy.

- Rozumiem.

- Ale ja nie rozumiem.

- Ba! A piękna Eucharis?

- Co za Eucharis?

- No... ta kobieta.

- Jaka kobieta?

- Kobieta z ulicy Saint-Honore, kobieta zatrzymana przez patrol, owa nieznajoma, dla której wczoraj obaj ryzykowaliśmy nasze głowy.

- A, prawda! - odpowiedział Maurycy, który wiedział doskonale, co chce powiedzieć jego przyjaciel, ale udawał, że go nie rozumie. - Nieznajoma kobieta!

- Cóż to za jedna?

- Nie wiem.

- A czy ładna chociaż?

• A. Dumas

33

- Phi! - ziewnął Maurycy, pogardliwie wydymając usta.

- Biedna, zapomniana kobieta po jakiejś miłosnej schadzce.

Tak, bo mimo naszej słabości
Miłość zawsze nas dręczy i zawsze w nas gości.

- Być może - szepnął Maurycy, z odrazą odtrącając od siebie podobną myśl, w tej chwili bowiem wolałby widzieć w swej pięknej nieznanym uczestniczkę jakiegoś spisku, niż zakochaną w kimś kobietę.

- A gdzie ona mieszka?

- Nie wiem.

- No, no, nie wiesz? To niemożliwe!

- Dlaczego?

- Boś ją odprowadzał.

- Uciekła mi na moście Marie.

- Uciekła? - zawołał Lorin, wybuchając głośnym śmiechem. - Kobieta ci uciekła? Żartujesz sobie chyba!

Gołąb pod oknem sokoła

Na próżno wlatuje w chmury,

Na próżno matki młode jagnię woła,

Gdy w nie wilk topi pazury.

-! Mój Lorin - rzekł Maurycy - czy ty już nigdy nie nauczysz się mówić po ludzku? Okropnie mi dokuczasz tą swoją nieznośną poezją.

- Jak to, po ludzku? Zdaje mi się, że mówię lepiej niż inni. Mówię, jak obywatel Demoustier, wierszem i prozą. Co do mojej poezji, to, mój kochany, zamam pewną Emilię, która ma wielkie dla niej uznanie. Ale wróćmy do twojej.

- Do mojej poezji?
- Nie, do twojej Emilii.
- Alboż ja mam jakąś Emilię?
- No, no! Czyżby twoja gazela przemieniła się w ty-

34

gryslęc i pokazała ci zęby, dzięki czemu jesteś zły, choć zakochany?

- Ja zakochany? - zawołał Maurycy, potrząsając głową.

- No, tak, ty zakochany.

Nie ujdiesz Amora grotów.
On prędkiej serca dosięga,
Niż gdy Jowisza potęga
Miota pioruny wśród grzmotów.

- Lorin - powiedział Maurycy, chwytając klucz leżący na stole - jeżeli powiesz jeszcze choć jeden wiersz, natychmiast zaczną gwizdać.

- Mówmy zatem o polityce. Po to nawet tu przyszedłem. Czy wiesz, co słyhać?

- Wiem, że wdowa po panu Capele chciała uciec.

- Ba! To jeszcze nic.

- Cóż zatem więcej?

- Sławny kawaler de Mais&n-Rouge jest w Paryżu.

- Doprawdy? - zawołał Murycy, siadając na posłaniu.

- Tak, sam we własnej osobie.

- Kiedy się zjawił?

- Wczoraj wieczorem.

- Jakim sposobem?

- Przebrany za strzelca Gwardii Narodowej. Jakaś ary-

stokratka, przebrana, jak utrzymują, za prostą kobiecinę, wyniosła mu ubranie za roгатki, a potem, idąc z nim pod rękę, wprowadziła go do mias-ta. Stojący na warcie powzięli podejrzenie dopiero wtedy, gdy oni już przeszli. Wdzieli, jak owa kobieta niosła pod pachą zawiniątko, a później wracała pod rękę z jakimś niby wojskowym. Było w tym coś podejrzanego. Straż zaalarmowała więc wszystkich i pobiegła za nimi. Zniknęli w jednym z pałaców przy ulicy Saint-Honore, którego drzwi, jakby zaczarowane, otworzyły się przed nimi. Pałac miał drugie wyjście na

s*

35

Champs-Élysées, kawaler de Maison-Rouge i jego współniczka zniknęli. Zniszczy się pałac, zgilotynuje właściciela, ale to nie przeszkodzi wcale kawalerowi pokusić się ponownie o to, co mu się przed czterema miesiącami nie udało po raz pierwszy, a wczoraj po raz drugi.

- Nie schwytano go? - spytał Maurycy.

- Schwytajże Proteusza, mój kochany, schwytaj go, gdy wiesz, jak to na złe wyszło Arysteuszowi. Pastor Aristoeus fugiens Peneia Tempe.

- Strzeż się - rzekł Maurycy, przykładając klucz do ust.

- Strzeż się ty, do licha, bobyś wygwizdał nie mnie, ale Wergiliusza.

- Prawda, nie powiem ani słowa więcej, ale wróćmy do kawalera de Maison-Rouge.

- Trzeba przyznać, że to dzielny człowiek.

- Tak jest, trzeba rzeczywiście nie lada odwagi, aby się puszczać na podobne przedsięwzięcia.

- Albo nie lada miłości.

- Wierzysz więc w tę miłość kawalera do królowej?

- Nie wierzę, ale mówię o niej tak jak wszyscy. Wreszcie, tylu za nią szalało, cóż by więc było dziwnego, gdyby go uwiodła? Mówią, że uwiodła Bamave'a.

- Mniejsza o to, ale kawaler musi mieć stosunki w sa-

mym Tempie.

- Być może:

Miłość kraty kruszy,
Miłość zamki łamie.

- Lorin!

- A, zapomniałem.

- Więc i ty w to wierzysz?

- Dlaczego bym nie miał wierzyć?

- Choćby dlatego, że królowa musiałaby mieć przynajmniej ze dwustu kochanków.

36

- Dwustu? Może trzystu, czterystu. Jest przecież dosyć ładna. Nie mówię, że to ona ich kochała, ale że oni ją kochali. Wszyscy widzą słońce, ale słońce nie każdego widzi.

- Tak więc, powiadasz, że kawaler de Maison-Rouge...

-- Powiadam, że tropią go w tej chwili, a jeżeli umknie chartom Republiki, da dowód, że jest przebiegłym lisem.

- Cóż Gmina na to wszystko?

- Gmina przygotowuje postanowienie, na mocy którego na frontowej ścianie każdego domu wywieszona będzie lista wszystkich jego mieszkańców? płci obojga. Czemuż to w sercu ludzkim nie ma okna, przez które by każdy mógł widzieć, co się w nim dzieje.

- Wspaniały pomysł! - zawołał Maurycy.

- Okna w sercach ludzi?

- Nie, wywieszenie listy na drzwiach każdego domu. Maurycy istotnie myślał, że to mu da sposobność odnalezienia nieznajomej lub przynajmniej naprowadzi go na

jej ślad.

- Prawda? - pytał Lorin. - Założyłem się już, że ten środek dostarczy nam od razu pięciuset arystokratów. Ale,

ale... Dziś rano przyjmowaliśmy w klubie deputację ochotników. Przybyła pod przewodnictwem naszych nocnych przeciwników, których opuściłem, kiedy już byli spici na śmierć. Przybyła, powiadam ci, z girlandami kwiatów i wieńcami nieśmiertelników.

- Doprawdy? - zawołał Maurycy. - A ilu ich było?

- Trzydziestu, wszyscy ogoleni i z bukietami. „Obywatele klubu Termopile! - rzekł ich mówca. - Jako prawdziwi patrioci pragniemy, aby żadne nieporozumienie nie mąciło jedności Francuzów i dlatego przybywamy na nowo zawrzeć związek braterski.”

- A potem?

- Potem przystąpiliśmy do zawarcia braterskiego związ-

37

ku na nowo i powtórnie, jak mówi Diafoirus. Ze stolika sekretarza i dwóch butelek z bukietami zrobiono ołtarz ojczyzny. A ponieważ byłeś bohaterem uroczystości, wzywano więc cię po trzykroć, ażeby cię uwieńczyć, że zaś nie odpowiadałeś, a trzeba było koniecznie coś uwieńczyć, uwieńczono więc popiersie Washingtona. Tak odbyła się cała ceremonia.

W chwili gdy Lorin kończył swe opowiadanie, które w owej epoce nie było wcale śmieszne, na ulicy dał się słyszeć zgiełk i odgłos bębnów, najpierw odległy, potem coraz bliższy. Dawano jakiś sygnał.

- Co to jest? - spytał Maurycy.

- To ogłaszają postanowienia Gminy - odrzekł Lorin.

- Biegnę do sekcji - powiedział Maurycy, wyskakując z łóżka i wołając na oficjalistę, aby go ubrał.

- Ja zaś pójdę spać - rzekł Lorin. - Dzięki twoim krewkim ochotnikom spałem tylko dwie godziny tej nocy. Jeżeli nawet dojdzie do bitki, nie przerywaj mi snu. Gdyby zanosło się na dobrą awanturę, przyjdź mnie obudzić.

- Dlaczegoś się tak wystroił? - spytał Maurycy spoglądając na Lorina, który zabierał się do wyjścia.

- Bo idąc do ciebie, muszę przechodzić przez ulicę Bethisy, a tam w jednym domu na trzecim piętrze jest

okno, które otwiera się zawsze, ilekroć przechodzę.

- I nie boisz się, że cię mogą wziąć za eleganta?

- Ja? Elegant? O, znają mnie wszyscy jako prawdziwego sankiulotę. Lecz i dla płci pięknej trzeba uczynić jakąś ofiarę. Miłość ojczyzny nie pogardza miłością kobiety, owszem, jedna zaleca drugą. Tylko mi nie zaprzeczaj, bo natychmiast zadenuncjuję cię jako arystokratę i każę cię ogolić tak, abyś nigdy nie mógł .nosić peruki. Bądź zdrow, drogi przyjacielu!

Lorin wyciągnął serdecznie rękę do Maurycego, którą ten równie serdecznie uścisnął, i wyszedł, żując pastylki

V

KTO TO BYŁ OBYWATEL MAURYCY LINDEY

Maurycy LŁndey, ubrawszy się spiesznie, udał się do sekcji przy ulicy Lepelletier, której, jak wiemy, był sekretarzem. My tymczasem skreśliliśmy czytelnikowi obraz poprzedniego życia tego człowieka, którego wprowadziliśmy na scenę, bowiem natury dzielne i szlachetne bliskie są naszemu sercu.

Młodzieniec mówił najczystsą prawdę, oświadczając wczoraj nieznanym, że nazywa się Maurycy Lindey i mieszka przy ulicy Roule. Mógł być dodać, że pochodzi z owej półarystokracji, zaliczanej do klasy średniej. Ojciec jego, poczciwy Lindey, który przez całe życie narzekał na despotyzm, umarł z przerażenia i trwogi, kiedy 14 lipca 1789 roku Bastylia zdobyta została rękami ludu, a despotyzm został zastąpiony zbrojną wolnością.

Pozostał po nim jednak - niezależny pod względem majątkowym, republikanin - jeśli chodzi o uczucia i zapatrywania.

Rewolucja więc przypadła na okres, kiedy Maurycy był w pełni sił i męskiej dojrzałości, jak przystoi atlecie mającemu wstąpić w szranki. Otrzymał on wykształcenie republikańskie, pogłębione przez uczęszczanie do klubu i czytanie ówczesnych pism. Bóg jeden wie, ile Maurycy musiał czytać. Głęboka i wyrozumowana pogarda dla hierarchii, filozoficzna równowaga ducha, wstręt do przesądów, żarliwa sympatia dla nowych idei i dla ludu, a do tego najbardziej arystokratyczne zachowanie - oto były jego przymioty.

Pod względem fizycznym - Maurycy Lindey był mężczyzną Hczącym pięć stóp i osiem cali wzrostu, miał lat

39

dwadzieścia pięć lub dwadzieścia sześć, był muskularny jak Herkules, piękny jak pięknym może być Francuz o pogodnym czole, niebieskich oczach, ciemnych falujących włosach, różowych policzkach i zębach jak kość słoniowa.

Skreśliwszy obraz tego człowieka, wspomnijmy teraz o jego stanowisku.

Maurycy, wprawdzie niebogaty, lecz niezależny, szanowany, noszący popularne nazwisko, znany z liberalnego wychowania, a bardziej jeszcze z liberalnych zasad, stanął na czele stronnictwa, złożonego z młodych mieszczan patriotów. Być może sankiuloci uważali, iż jest nieco zbyt zimny i opanowany, zaś członkowie sekcji - iż jest zbyt elegancki, lecz pierwsi wybaczyli mu tę oziębłość, bo najbardziej sękate pałki łamał jak kruchą trzcinę, drudzy zaś wybaczyli elegancję, widząc, że każdy, którego wejście nie podoba się Maurycemu, ugodzony pięścią w czoło, od razu pada na ziemię.

Co się tyczy jego zasług obywatelskich, to brał on udział w zdobyciu Bastylji, należał do wyprawy wersalskiej, walczył jak lew dnia dziesiątego sierpnia, i sprawiedliwie przyznać mu należy, że w owym pamiętnym dniu położył trupem tylu patriotów, ilu Szwajcarów, zarówno bowiem nie mógł ścierpieć mordercy w karmanioli, jak i nieprzyjaciela Republiki w czerwonym mundurze.

On to, aby skłonić obrońców zamku do poddania się oraz wstrzymać przelew krwi, rzucił się na działo, do którego właśnie paryski artylerzysta przykładał już ogień, on pierwszy wdarł się oknem do Louvre'u pomimo strzałów pięćdziesięciu Szwajcarów i tyluż szlachty, rozstawionej na czatach. I zanim poddali się, jego straszmy pałasz poharał przeszło dziesięć mundurów. Widząc, że przyjaciele jego mordują więźniów, którzy ciskali broń, wyciągali ręce i błagali o darowanie im życia, zaczął z wściekłością siec przyjaciół, przez co zjednał sobie sławę, godną pięknych dni Rzymu i Grecji.

40

Po wypowiedzeniu wojny Maurycy wstąpił do wojska i jako porucznik ruszył ku granicy wraz z oddziałem ty-

siąca pięciuset ochotników, których miasto wyprawilo przeciw najeźdźcom. Za nimi wkrótce podążać mieli ochotnicy również w liczbie tysiąca pięciuset.

W pierwszej bitwie, pod Jemmapes, kula, przesywszy żelazne muskuły jego łopatki, oparła się aż na kości. Przedstawiciel ludu, znający Maurycego osobiście, odesłał go do Paryża. Przez cały miesiąc Maurycy, trawiony gorączką, wił się na łożu boleści, lecz w styczniu wstał i jeżeli nie formalnie, to faktycznie zarządzał klubem Termopile, do którego należało stu młodzieńców spośród paryskiego mieszczaństwa, uzbrojonych po to, aby stawić czoło wszelkim zakusom na korzyść Capeta. Co więcej, Maurycy ze zmarszczoną brwią, bladym czołem, z sercem ściśniętym jednocześnie uczuciem nienawiści i litości towarzyszył z wydobytą szpadą przy straceniu króla i sam jeden może w całym tłumie milczał, gdy spadła głowa syna świętego Ludwika, którego dusza wstępowała do nieba. Wtedy dopiero, kiedy już wszystko się skończyło, wznosił w górę swą straszliwą szpadę. Wszyscy jego przyjaciele krzyknęli:

„Niech żyje wolność!”, nie zauważywszy, że tym razem głos Maurycego nie przyłączył się do ich okrzyków.

Taki oto był człowiek, zmierzający, dnia jedenastego marca rano ku ulicy Lepelletier.

Okolo godziny dziesiątej Maurycy przybył do sekcji, której był sekretarzem.

Panowało tam wielkie wzburzenie, szło bowiem o głosowanie nad pismem Konwentu w sprawie poskromienia żyrondistowskich spisków. Oczekiwano więc Maurycego niecierpliwie.

Najważniejszą sprawę stanowił powrót kawalera de Maison-Rouge i śmiałość, z jaką ten zagorzały buntownik znalazł się po raz drugi w Paryżu, pomimo wiadomości, że nałożono na jego głowę nagrodę. Jego to powrotowi

41

przypisywano dokonany w dniu poprzednim zamach w Tempie. Każdy objawiał swą nienawiść i pogardę dla zdrajców i bogaczy.

Wbrew jednak powszechnemu oczekiwaniu Maurycy był ponury i milczący. Szybko zredagował proklamację, w trzy godziny skończył całą pracę i spytał, czy posiedzenie jest już zamknięte, a otrzymawszy odpowiedź twierdzącą,

wziął kapelusz i udał się na ulicę Saint-Honore.

Tutaj Paryż wydał mu się zupełnie inny. Ujrzał znowu narożnik ulicy Coq, gdzie w nocy spotkał piękną nieznaną, wyrrywającą się z rąk żołnierzy. Stamtąd do mostu Marie szedł tą samą drogą, którą przybył w jej towarzystwie, zatrzymywał się wszędzie, gdzie widział patrole, powtarzał rozmowę, jaką z nią prowadził. Tylko że teraz była godzina pierwsza po południu i słońce, przyświecając mocno, na każdym kroku przypominało mu minione wydarzenie.

Przeszedłszy przez most, dostał się wkrótce na ulicę Victor, jak ją podówczas nazywano.

- Biedna! - szepnął Maurycy. - Nie zastanowiła się wczoraj, że noc trwa tylko dwanaście godzin, że zatem tajemnica jej również nie może trwać dłużej. Przy blasku słońca znajdzie drzwi, za którymi skryła się przede mną, a kto wie, może i ją samą zobaczę w jakimś oknie.

Był już wtedy na starej ulicy Saint-Jacques i stanął tak, jak mu wczoraj kazała nieznajoma. Na chwilę przymknął oczy - sądził może, biedny szaleniec, że wczorajszy pocałunek powtórnie sparzy mu usta. Uczuł jednak tylko samo jego wspomnienie, jakkolwiek i ono go parzyło.

Maurycy otworzył więc oczy i ujrzał po prawej i lewej stronie uliczki błotniste, źle wybrukowane, z barierami i mostkami przerzuconymi nad strumykiem. Widać tam było drewniane arkady, bramy liche i przegniłe. Było to siedlisko pracy w całej swej nędzy, siedlisko nędzy w ca-

42

łej swej brzydocie. Tu i ówdzie ogród otoczony bądź żywopłotem, bądź palisadą przeplataną gałązkami, bądź skóry schnące pod szopami, wydzielające przykrą woń garbnika. Zastanawiał się, szukał przez dwie godziny, ale nic nie znalazł. Dziesięć razy zagłębiał się w ów labirynt i dziesięć razy wracał w to samo miejsce, aby nie zabłądzić. Lecz wszystkie jego usiłowania były daremne, wszystkie poszukiwania bezowocne. Zdawało się, że mgła i deszcz zmyły zupełnie ślad młodej kobiety.

- Ha! - rzekł sam do siebie - marzyłem. Ta kloaka ani przez chwilę nie mogła służyć za schronienie mojej pięknej nocnej wieszczce.

Nasz zawzięty republikanin odznaczał się zupełnie innym rodzajem realistycznej poezji, niż jego przyjaciel, wpadł bowiem na tę myśl nie chcąc przyćmić blasku okalającego nieznajomą, chociaż myśl ta była wynikiem rozpacz.

- Żegnam cię, moja piękna i tajemnicza! - rzekł. - Potraktowałaś mnie jak szaleńca lub jak dziecko. Bo czyżbyś była mnie tu przywiodła, gdybyś tu mieszkała? Nie! Tyś tu tylko przeszła jak bocian po bagnisku. Nie znać tu twego śladu, jak nie znać śladu ptaka prującego powietrze.

VI TEMPLE

Tego dnia gdy Maurycy, boleśnie zawiedziony, wracał przez most Toumelle, kilku gwardzistów w towarzystwie Santerre'a, dowódcy paryskiej Gwardii Narodowej, przeprowadzało ścisłą rewizję w wielkiej wieży Tempie, od dnia trzynastego sierpnia 1792 roku zamienionej na więzienie.

43

Rewizji dokonywano wyłącznie w pomieszczeniu na trzecim piętrze, złożonym z przedpokoju i trzech izb.

Jedną z tych izb zajmowały dwie kobiety, młoda dziewczyna i dziewięcioletnie dziecko w żałobie.

Starsza z kobiet mogła mieć trzydzieści siedem lub trzydzieści osiem lat. Siedząc przy stoliku, czytała. Druga zajęta była robotą kobierca; liczyła zaledwie dwadzieścia osiem lub dwadzieścia dziewięć lat.

Młoda, czternastoletnia dziewczyna stała przy chorym dziecku, które leżało w łóżku, przymknąwszy oczy. Udało, że śpi, chociaż hałas, jaki czynili rewidujący, spać mu nie pozwalał.

Jedni przetrząsali łóżka, inni rozwijali bieliznę, inni wreszcie, skończywszy poszukiwania, natrętnie i uporczywie wpatrywali się w nieszczęśliwe kobiety, z których jedna umyślnie nie odrywała oczu od książki, druga od roboty, trzecia zaś nie spuszczała wzroku z twarzy brata.

Najstarsza kobieta była wysokiego wzrostu, blada i piękna. Zdawała się skupiać całą uwagę na książce, chociaż, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wodziła wzrokiem po stronicach, nie rozumiejąc, co czyta.

Wówczas zbliżył się do niej jeden z gwardzistów, wyrwał jej gwałtownie książkę z ręki i cisnął na środek izby.

Uwięziona spokojnie wzięła ze stołu inną książkę i znowu czytała.

Gwardzista uczynił gwałtowny gest, chcąc z tą książką uczynić to samo co z poprzednią, lecz młoda dziewczyna, widząc, że druga uwięziona, która haftowała przy oknie, zadrżała, podskoczyła ku czytającej, otoczyła ramionami jej szyję i z płaczem rzekła:

- O biedna moja matko!

Wtedy uwięziona zbliżyła usta do jej policzka, jakby chcąc ją pocałować, i szepnęła:

- Mario, w piecu jest kartka. Wyjmij ją!

44

- No, no' - krzyknął gwardzista, ciągnąc ku sobie dziewczynę i odrywając ją od matki. - Prędko skończycie te wasze pieszczoty?

- Panie - odezwała się dziewczyna - czy Konweni postanowił, że dzieciom nie wolno całować matki?

- Nie, ale wyznaczył karę na zdrajców, i dlatego przyszedliśmy tu na badanie. No, Antonino, odpowiadaj.

Ta, którą tak obcesowo zagadnięto, nie raczyła nawet, spojrzeć na pytającego. Odwróciła głowę i lekki rumienietzaróżowił jej blade od cierpienia i poorane łzami policzki.

- Niepodobna - mówił dalej gwardzista - abyś nie wiedziała o dzisiejszym zamachu. Kto jest jego sprawcą?

Uwięziona milczała.

- Odpowiadaj, Antonino - zbliżywszy się rzekł Sante; nie zwrócono uwagi na to, że młoda kobieta zadrżała z przerażenia na widok człowieka, który dnia dwudziestego pierwszego stycznia rano przybył do Tempie, aby zabrać króla Ludwika XVI i zaprowadzić go na rusztowanie. - Odpowiadaj. Tej nocy uknuto spisek przeciwko Republice i chciano uwolnić cię z więzienia, do którego wtrą-

cona zostałaś z woli narodu do chwili, kiedy odbierzesz karę za swe zbrodnie. Powiedz, czy wiedziałaś o tym spisku?

Królowa zadrżała na dźwięk głosu, przed którym, zdawałoby się, chciała uciec, i wcisnęła się głębiej w fotel. Na to pytanie również nie odpowiedziała, podobnie jak i na pierwsze.

- Nie chcesz więc odpowiadać? - wrzasnął Santerre, gwałtownie tupnąwszy nogą.

Uwięziona wzięła ze stołu trzecią książkę.

Santerre odwrócił się. Brutalna siła tego człowieka, który rozkazywał osiemdziesięciu tysiącom ludzi, którego jedno skinienie wystarczyło, by zagłuszyć głos konającego Ludwika XVI, kruszyła się w obliczu godności nieszczę-

45

snej uwięzionej, Mógł ściąć jej głowę, lecz ugiąć się przed nią nie był zdolny.

- A ty, Elżbieto! - zwrócił się do drugiej niewiasty, która na chwilę zaniechawszy roboty, złożyła ręce i błagała o litość nie ludzi tam obecnych, lecz Boga. - Cóż mi odpowiesz?

- Nie wiem, panie, o co pytasz - odparła - nie mogę ci więc odpowiedzieć.

- Ej, do pioruna, obywatelko Capet! - zawołał zniecierpliwiony Santerre. - Mówię przecież jasno. Powiadam, że usiłowano wczoraj ułatwić wam ucieczkę, i że powinniście znać winowajców.

- Nie komunikujemy się z nikim z zewnątrz, panie, a tym samym nie możemy wiedzieć, co dla nas lub przeciwko nam czynią.

- Dobrze - odezwał się gwardzista - zobaczymy, co powie twój bratanek.

To mówiąc, zbliżył się do łóżka małego delfina. Na tę groźbę Maria Antonina natychmiast się podniosła.

- Panie - rzekła - mój syn jest chory... Śpi... Nie budź go.

- Odpowiadaj więc sama.

- Ja o niczym nie wiem.

Gwardzista podszedł wprost do łóżka młodego więźnia, który, jak powiedzieliśmy, udawał, że śpi.

- No, obudź się, Capecie! - zawołał, mocno nim potrząsając.

Dziecko otworzyło oczy i uśmiechnęło się.

Wówczas gwardziści otoczyli jego łóżko.

Królowa pod wpływem cierpienia i obawy dała znak córce, a ta, korzystając ze sposobności, wsunęła się do sąsiedniego pokoju, otworzyła piec, wyjęła z niego kartkę, spaliła ją i natychmiast wróciła do pierwszej izby, rzucając na matkę uspokajające spojrzenie.

- Czego chcecie ode mnie? - spytało dziecko.

46

- Chcemy się dowiedzieć, czyś nic nie słyszał tej nocy?

- Nie, ja spałem.

- Zdaje się, że bardzo lubisz spać.

- Tak jest, bo kiedy śpię, to marzę.

- A o czym marzysz?

- Zdaje mi się, że widzę we śnie ojca, którego zamordowaliście.

- A więc nic nie słyszałeś? - porywczo rzekł Santerre.

- Nic.

- Te wilczki są w zмовie z wilczycą - rzekł gwardzista ze złością.

Królowa uśmiechnęła się.

- Oho, Austriaczka z nas szydzi! - wrzasnął gwardzista. - A więc jeśli tak, wykonamy z całym rygorem rozkaz Gminy. Wstawaj, Capecie!

- Co chcecie uczynić? - zawołała królowa, zapominając się. - Czy nie widzicie, że syn mój chory, że ma go-

rączkę? Chcecie, żeby umarł?

- Twój syn - odpowiedział gwardzista - jest powodem ciągłych obaw rady więziennej. On właśnie jest przyczyną wszystkich spisków. Spiskowcy pochlebiają sobie, że was wykradną. Dobrze. Niech wykradają. Tison! Zawołajcie Tisona!

Tison był czymś w rodzaju gospodarza w więzieniu.

Wkrótce się zjawiał.

Był to człowiek lat około czterdziestu. Cerę miał ogorzałą, twarz nikczemną, o dzikim wyrazie, włosy czarne, kędzierzawe, spadające aż na brwi.

- Tison - rzekł Sa-nterre - kto wczoraj przynosił żywność dla więźniów?
Tison wymienił jakieś nazwisko.

- A bieliznę?

- Moja córka.

- Twoja córka jest więc praczką?

- Tak jest

47

- I pozwoliłeś jej pracować dla więźniów?

- Dlaczegoż by nie? Lepiej, że ona coś zarobi, aniżeli kto inny. Wszak bierze pieniądze narodu, nie zaś pieniądze tych kobiet, bo naród za nie płaci.

- Powiedziano ci, abyś pilnie przeglądał bieliznę.

- No i co? Alboż nie spełniam należycie swych obowiązków? Dowodem tego jest znaleziona wczoraj chustka z dwoma węzłami, którą zaraz odniosłem radzie, a z jej rozkazu żona moja rozwiązała ją, i nic nie mówiąc, oddała pani Capet.

Na wzmiankę o dwóch węzłach na chustce królowa zdrżała i porozumiała się spojrzeniem z księżniczką Elżbietą.

- Tison - rzekł Santerre - o patriotyzmie twojej córki nikt nie wątpi, ale od dnia dzisiejszego niech noga

jej w Tempie nie postanie.

- O mój Boże! - zawołał przerażony Tison. - Co też to mówicie? Jak to? Nie zobaczę mojej córki, dopóki stąd nie wyjdę?

- Tobie odtąd wychodzić nie wolno - rzekł Santerre. Tison popatrzył wokoło, nie zatrzymując na żadnym przedmiocie swego błędnego wzroku, i krzyknął nagle:

- Nie wolno wychodzić? Kiedy tak, to wyjdę stąd raz na zawsze! Podaję się do dymisji. Nie jestem ani zdrajcą, ani arystokratą, aby mnie miano więzić. Powiadam, że chcę stąd wyjść!

- Obywatelu - rzekł Santerre - słuchaj rozkazów Gminy, bo możesz tego żałować. Zostań tu, uważaj na wszystko, co się tu dzieje. Uprzedzam cię, że mają na ciebie oko.

Królowa, sądząc, że zapomniano o niej, przyszła nieco do siebie i znowu położyła syna do łóżka.

- Zawołaj tu swoją żonę - powiedział gwardzista do Tlsona.

43

Ten usłuchał go, nic nie mówiąc. Pogrożki Santerre'a uczyniły go znów łagodnym jak baranek.

- Zbliź się, obywatelko - rzekł Santerre. - Wyjdziemy do przedpokoju, a ty tymczasem zrewiduj uwięzione.

- Słuchaj, żono - odezwał się Tison - nie chcą już wpuszczać naszej córki do Tempie.

- Jak to? Nie chcą wpuszczać mojej córki? Więc nie będziemy już jej widywać?
Tison zwiesił głowę.

- I cóż *y na to?

- Ja? Poślę raport do rady w Tempie, a rada zadecyduje. Tymczasem zaś...

- Tymczasem - dodała żona - będę się widywała z moją córką.

- Milcz! - zawołał Santerre. - Wezwano cię tu po to,

abyś zrewidowała uwięzione. Rób, co ci każą, a potem zobaczymy.

- Ale... tymczasem...

- Oho! - mruknął Santerre, marszcząc brwi. - Wydaje mi się, że coś się tu psuje.

- Zrób, żono, co każe obywatel generał. Zrób to, a potem, słyszałaś, że zobaczymy...
I Tison z pokornym uśmiechem spojrzął na Santerre'a.

- Dobrze - odpowiedziała kobieta - wyjdźcie, to przystąpię do rewizji.
Mężczyźni wyszli.

- Moja kochana pani Tison - powiedziała królowa - chciej mi wierzyć...

- Niczemu nie wierzę, obywatelko Capet - odparła kobieta z wściekłością - wiem tylko, że jesteś przyczyną wszystkich nieszczęść narodu. Niech no tylko znajdę coś podejrzanego przy tobie, a zobaczysz!

Czterech ludzi zostało przy drzwiach, aby siłą dopomóc żonie Tisona w wypadku, gdyby królowa stawiała opór.

• A. Dumas

4.1

Zaczęto od królowej. Znalaziono przy niej chustkę z trzema węzłami, która, na nieszczęście, zdawała się być odpowiedzią na wzmiankę Tisona o chustce. Znalaziono także ołówek, szkaplerz i lak.

- Spodziewałam się tego - powiedziała żona Tisona - miałam słuszną donosząc gwardzistom, że Austriaczka koresponduje! Przed kilkoma dniami znalazłam ślad laku na lichtarzu.

- O pani - błagalnie rzekła królowa - pokaż im tylko szkaplerz.

- Właśnie! - przerwała żona Tisona. - Ja bym miała litować się nad tobą! A czy dla mnie mają litość? Wszak

pozbawiają mnie córki.
Księżniczka Elżbieta i córka królewska nic przy sobie

nie miały.

Żona Tisona przywołała urzędników, a gdy wrócili z Santerre'em, oddała im rzeczy znalezione przy królowej. Przechodząc z rąk do rąk, stały się one przedmiotem tysiąca przypuszczeń, szczególnie chustka z trzema węzłami, która długo była przyczyną domysłów prześladowców rodziny królewskiej.

- A teraz odczytamy ci rozkaz Konwentu - powiedział Santerre.

- Jaki rozkaz? - spytała królowa.

- Rozkaz polecający rozłączyć cię z synem.

- Więc taki rozkaz istnieje naprawdę?

- Tak jest. Konwent musi się troszczyć o zdrowie moralne dziecka, które naród poruezył jego opiece i dlatego nie zostawi go wraz z matką tak zepsutą...

W oczach królowej zabłyśły błyskawice.

-•- Tygrysy! - rzekła. - Ułóżcie przynajmniej akt oskarżenia.

- Nic łatwiejszego - odezwał się jeden z urzędników - oto jest...

50

I wyrzekł jedno z owych niegodziwych oskarżeń, z jakimi Swetoniusz występował przeciw Agrypmie.

- Co? - zawołała królowa blednąc. -Odwołuję się do serc wszystkich matek.

- No, no! - rzekł gwardzista. - Wszystiko to bardzo dobrze i ładnie, ale bawimy tu już dwie godziny, a całego dnia na próżno tracić nie można. Wstawaj, Capecie, i chodź z nami.

- Nigdy! Przenigdy! - zawołała królowa, rzucając się między gwardzistów i młodego Ludwika, gotowa jak tygrysica bronić przystępu do łóżka. - Nigdy nie dopuszczę, abyście mi porwali dziecko!

- Panowie! - powiedziała księżniczka Elżbieta, składając dłonie błagalnym gestem. - Panowie, w imię nieba, zlitujcie się nad dwiema matkami!

- Mówcie - rzekł Santerre - wymieńcie nazwiska, wyjawcie zamiary waszych współników, wytłumaczcie znaczenie węzłów na chustce, przyniesionej między bieliną przez córkę Tisona i na chustce znalezionej przy tobie, Antonino, a wtedy zostawimy ci syna.

Księżniczka Elżbieta zdawała się spojrzeniem błagać królową, aby uczyniła tę okrutną ofiarę.

Lecz Maria Antonina, dumnie ocierając łzę, która jak brylant świeciła w kącie jej oka, rzekła:

- Bądź zdrow, mój synu! Pamiętaj o ojcu męczenniku, który jest już w niebie, pamiętaj o matce, która się z nim wkrótce połączy. Powtarzaj rano i wieczór modlitwę, której cię nauczyłam. Bądź zdrow, mój synu!

I pocałowała go po raz ostatni, a wstając, zimna i nieugięta, powiedziała:

- O niczym nie wiem. Czyńcie, co się wam podoba! Królowa więcej jednak potrzebowała siły, niż mogło jej zawierać serce kobiety, a przede wszystkim serce matki. Padła na kolana, gdy zabierano dziecko, które, zalane łza-

«•

H I

mi, wyciągnęło ku niej rączki, ale nie wydało żadnego okrzyku.

Zamknęły się drzwi za gwardzistami, którzy zabrali dziecko, i trzy niewiasty znowu zostały same.

Przez chwilę panowało rozpaczliwe milczenie, przerywane Jedyńie łkaniem.

Królowa odezwała się pierwsza:

- Córkę - rzekła - a owa kartka?

- Spaliłam ją z twego rozkazu, matko.

- Nie przeczytawszy jej?

- Tak jest, nie przeczytawszy.

- Żegnani cię więc, ostatni promieniu nadziei! - szepnęła księżniczka Elżbieta.

- Słusznie mówisz, słusznie, siostró, przebrała się już miara naszych cierpień.

A odwracając się do córki, dodała:

- Czy nie poznałaś, Mario, czyj to mógł być charakter pisma?

- Sądzę, matko...

Królowa wstała, podeszła do drzwi, aby przekonać się, czy nikt nie podsłuchuje lub nie podpatruje, wyjęła szpilkę z włosów, zbliżyła się do ściany, wydobyła z kryjówki mały paperek w kształcie biletu i pokazując go córce, rzekła:

- Przypomnij sobie dobrze, nim mi odpowiesz, moja córko. Czy charakter pisma był taki sam jak tutaj?

- Tak jest, matko - odpowiedziała księżniczka - tafc jest, poznaję doskonale.

- Chwała ci, Panie! - zawołała królowa, padając na kolana. - Jeżeli dziś mógł pisać, to znak, że ocalony. Dzięki ci, Boże!... Dzięki!... Tak szlachetny przyjaciel go-dzien Jest zaprawdę cudu z Twych rąk, Panie!...

- O kim mówisz, matko? - zapytała córka Marii Antoniny. - Kim jest ten przyjaciel? Powiedz mi, jak się nazywa, a będę się za niego modliła do Boga.

52

- Nie zapomnij, Mario, nigdy tego imienia, jest to bowiem imię człowieka honoru i męstwa. Nie kieruje nim ambicja, zjawił się bowiem w dniach nieszczęścia. Nigdy nie widział królowej Francji, a raczej królowa nigdy go nie widziała, poświęca jednak życie swoje w jej obronie. Może w nagrodę, według dzisiejszego zwyczaju wynagradzania każdej cnoty, poniesie okrutną śmierć, lecz... jeżeli zginie... tam... tam wysoko podziękuję mu za to... Nazywa się...

Królowa rozejrzała się z niepokojem dokoła i zniżając głos rzekła:

- Nazywa się kawaler de Maison-Rouge... Módl się za

niego!

vn

PRZYSIĘGA GRACZA

Próba porwania, mimo że się nie udała, u jednych wzbudziła gniew, u drugich wielkie zainteresowanie. Ponadto Komitet Ocalenia Publicznego otrzymał wiadomość, że przed trzema tygodniami lub miesiącem dostało się do Francji mnóstwo emigrantów przez różne punkty graniczne.

Jasną było rzeczą, że ludzie, narażający w ten sposób własne głowy, nie czynili tego bez pewnego zamiaru, a według wszelkiego prawdopodobieństwa zamiarem tym była chęć wykradzenia rodziny królewskiej.

Na wniosek członka Konwentu, Osselina, ogłoszono sięgający grozę dekret, skazujący na śmierć emigranta, któremu dowiedzie się, iż niedawno powrócił na ziemię francuską, każdego Francuza, któremu udowodni się zamiar wyemigrowania z kraju, każdego oskarżonego o ułatwienie ucieczki emigrującemu lub ułatwienie powrotu emigrantowi, na koniec każdego, kto udzieli emigrantowi schronienia.

53

To okrutne prawo zapowiadało terror. Brakowało już tylko prawa dotyczącego podejrzanych.

Kawaler de Maison-Rouge był zbyt czynnym i śmiałym nieprzyjacielem, aby powrót jego do Paryża i pojawienie się w Tempie nie pociągnęły za sobą najsurowszych środków ostrożności. W wielu podejrzanych domach dokonano ścisłej rewizji, jednak oprócz znalezienia kilku emigrantek, które dały się ująć bez oporu, i kilku starców, którzy nie myśleli wcale dyskutować z katem o pozostałych im jeszcze niewielu dniach życia, śledztwa te nie doprowadziły do żadnego rezultatu.

Sekcje, jak łatwo zrozumieć, miały przez kilka dni bardzo dużo pracy, więc sekretarz sekcji Lepelletier, jednej z najbardziej czynnych i wpływowych, miał mało czasu, aby myśleć o swej nieznajomej.

Opuszczając starą ulicę Saint-Jacques, zamierzał zapomnieć o wszystkim. Ale słusznie powiedział jego przyjaciel Lorin:

Kto sądzi, iż winien zapomnieć,
Ten jeszcze lepiej pamięta.

Maurycy milczał jak grób, przed nikim nie zwierzył się ani jednym słowem. Zachował w sercu wszystkie szczegóły przygody, które uszły badaniu przyjaciela, ten jednak, znając kolegę jako wesołego i żywego chłopca, widząc go teraz, jak oddaje się marzeniom i szuka samotności, domyślił się, że łotr Kupido musiał go przeszyć swoją strzałą.

Należy zauważyć, że w ciągu osiemnastu wieków istnienia monarchii francuskiej niewiele lat tak wiązało się z mitologią jak rok 1793.

Kawalera nie ujęto i przestano o nim mówić. Królowa, owdowiała po mężu, osierocona po dziecku, jedynie we łzach szukała pociechy, gdy ją zostawiono samą z córką i szwagierką.

Młody delfin, powierzony opiece szewca Simona, znosił

54

straszne męczarnie, na skutek których w parę lat później połączył się z ojcem i matką. Na chwilę więc zapanował spokój.

Wulkan - gdyż wulkanem można było nazwać stronnictwo górali - odpoczywał, gotując się do pochłonięcia żyrondistów.

Maurycy czuł ciężar tej ciszy, tak jak się czuje zmianę ciśnienia powietrza podczas burzy. Nie wiedząc, jak skorzystać z wolnego czasu, który wpływał tylko na narastanie jego uczucia, odczytał list, pocałował piękny szafir i mimo uczynionej przysięgi postanowił ulec pokusie, przyrzekłszy sobie przedtem, że czyni to po raz ostatni.

Miał wprawdzie zamiar udać się najpierw do sekcji Ogrodu Botanicznego i zasięgnąć kilku wiadomości u jej sekretarza, swego kolegi, wstrzymała go jednak od tego kroku pierwsza i, wyznać winniśmy, jedyna myśl, że piękna nieznajoma zawikłana jest w jakąś intrygę polityczną. Obawa, aby przez ciekawość nie zaprowadzić tej zachwycającej kobiety na plac Rewolucji, aby głowa tego anioła nie spadła na rusztowaniu, wprawiała go w drżenie.

Postanowił więc udać się na poszukiwanie sam, nie zasięgając żadnych informacji. Plan miał zresztą bardzo prosty. Listy lokatorów, wywieszane na drzwiach, służyć mu

miały, za pierwszą wskazówkę, badanie zaś odzwierciedlenia powinno być pomocne do wyjaśnienia tajemnicy. Tytuł sekretarza sekcji przy ulicy Lepelletier dawał mu pełne prawo do tego rodzaju badań.

Maurycy nie znał imienia nieznajomej, ale wiedział, że szukając jej musi kierować się drogą skojarzenia, przypuszczał bowiem, że tak czarująca istota musi nosić zapewne imię harmonizujące z jej urodą: jest to zapewne imię jakiejś sylfidy, wieszczki lub anioła. Sądził, że przybycie tej kobiety na ziemię musiano uczcić podobnie, jak przybycie jakiejś nadprzyrodzonej istoty.

Przywdział karmaniolę z grubego, ciemnego sukna, na

głowę włożył czerwoną odświętną czapkę i nie mówiąc nikomu, ruszył na poszukiwania.

W rękę trzymał grubą, sękatą pałkę, zwaną „konstytucją”. Laska ta w Jego silnej dłoni nabierała wartości herkułesowej maczugi. W kieszeni miał nominację na sekretarza sekcji Lepelletier, można więc powiedzieć, że zabezpieczony był fizycznie i moralnie.

Przebiegł ulicę Saint-Yictor, ulicę Samt-Jacques i czytał przy słabym świetle zachodzącego słońca nazwiska wypisane na drzwiach każdego domu bardziej lub mniej wprawna ręką.

Był już przy setnym domu, odczytywał już setną listę, a nic jeszcze nie wskazywało na to, że trafił na ślad nieznajomej, którą miał nadzieję znaleźć, jeżeli wyczyta imię w rodzaju tego, o jakim marzył.

Wtem jakiś dzielny szewc, widząc niecierpliwość malującą się na twarzy czytającego, otworzył drzwi, wyszedł z pociągłem w rękę, i patrząc przez okulary na Maurycego, zapytał:

- Obywatelu, czy potrzebujesz jakichś wiadomości o lokatorach tego domu? Mów, gotów jestem ci służyć.

- Dziękuję, obywatelu... - wyjąkał Maurycy - ale szukam nazwiska mego przyjaciela.

- Powiedz mi to nazwisko, znam wszystkich w tej dzielnicy. Gdzie mieszka ów przyjaciel?

- Mieszka, jak sądzę, przy starej ulicy Samt-Jacques, ale boję się, że się już wyprowadził.

- Ale jak on się nazywa?

Maurycy wahał się przez chwilę, a potem powiedział pierwsze lepsze nazwisko, jakie mu przyszło do głowy:

- Renę.

- A czym się zajmuje?

Naokoło znajdowały się same garbarnie.

- Jest czeladnikiem garbarskim - odpowiedział.

- To trzeba udać się do majstra... - odezwał się jakiś

56

mężczyzna, który zatrzymał się właśnie, i niby dobroduszenie, ale z pewnym wyrazem niedowierzania wpatrywał się w Maurycego.

- Majstrowie znają po imieniu wszystkich swych rzemieślników, a to właśnie jest obywatel Dixmer, dyrektor garbarni, w której pracuje przeszło pięćdziesięciu ludzi. On może udzielić ci potrzebnych wiadomości.

Maurycy obejrzał się i spostrzegł słusznego wzrostu, statecznego mieszczanina o poczciwej twarzy, w ubiorze zamężnego fabrykanta.

- Tylko, jak powiedział obywatel odźwierny, trzeba znać nazwisko tego przyjaciela - rzekł mieszczanin.

- Powiedziałem już, że nazywa się Renę.

- Renę to tylko imię dane na chrzcie, a ja pytam o nazwisko. U mnie każdy robotnik zapisany jest pod nazwiskiem.

- Na honor - rzekł Maurycy, nieco zniecierpliwiony tym badaniem - nie wiem, jakie jest jego nazwisko.

- Jak to! - rzekł mieszczanin z uśmiechem, w którym Maurycy dostrzegł więcej ironii, niż garbarz chciał okazać. - Nie znasz nazwiska swego przyjaciela?

- Nie.

- W takim razie zapewne go nie znajdziesz.

I mieszczanin, ukłoniwszy się grzecznie Maurycemu, odszedł i po chwili zniknął w jednym z domów przy ulicy

Samt-Jacques.

- Koniec końców, jeżeli nie znasz jego nazwiska... - powiedział szewc-odźwierny.

- Tol cóż stąd, że nie znam? - odparł Maurycy, szukając okazji do kłótni, aby wyrzucić na kimsz wzbierający w nim gniew.

- Nic, obywatelu, nic, tylko jeżeli nie znasz nazwiska twego przyjaciela, to być może, jak mówi obywatel Dixmer, wcale go nie odnajdziesz.

57

Powiedziawszy to, obywatel odźwierny wszedł do swej kłitki, wruszając ramionami.

Maurycy miał wielką ochotę uderzyć obywatela odźwiernego, lecz był to starzec, na którego nie godziło się podnosić ręki. Gdyby był o dwadzieścia lat młodszy, Maurycy dowiódłby mu, na czym polega równość wobec prawa, nierówność wobec siły.

Noc już zapadała.

Maurycy, korzystając z resztek dziennego światła, zapuścił się w najbliższą uliczkę, później przebiegł drugą. Przypatrywał się każdemu drzwicom, przeglądał każdy zakątek, wspinał się na każdy mur, rzucał okiem przez każdą kratę, każdy płot, oglądał każdy zamek, kołatał do każdego składu - i nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Stracił kilka godzin na bezużytecznych poszukiwaniach.

Wybiła godzina dziesiąta. Ściemniło się zupełnie. W pustej dzielnicy nie było słycać najmniejszego szelestu, nie widać było najmniejszego ruchu. Życie zdawało się zamierać wraz z dniem.

Maurycy z rozpaczy chciał już zrezygnować, gdy wtem niespodziewanie na zakręcie wąskiej uliczki dostrzegł jakieś światelko. Puścił się natychmiast w ciemne przejście, nie spostrzegając, że w tej samej chwili czyjaś ciekawa głowa, która spoza drzew wznoszących się nad murem od kwadransa śledziła jego kroki, nagle zniknęła.

W kilka sekund później trzech ludzi wyszło przez małe

drzwiczki wybite w murze i zniknęło w uliczce, którą udał się Maurycy, czwarty zaś, dla większej ostrożności, zamknął za nimi drzwiczki.

Maurycy natknął się przy końcu uliczki na dziedziniec;

po drugiej jego stronie błyszczało światelko. Zastukał do

drzwi nędznego i samotnego domku, i światelko natychmiast zgasło.

Stał jeszcze chwilę, lecz nikt mu nie odpowiadał. Nie
58

chcąc tracić czasu na próżno, przebył dziedziniec i znowu wrócił na uliczkę.

Jednocześnie drzwi domu z wolna zaskrzypiały, wyszło z nich trzech ludzi i dało się słyszeć gwizdnięcie.

Maurycy obejrzał się i w odległości dwa razy większej niż długość jego kija dostrzegł trzy cienie.

W ciemności, przy blasku nikłego światła, mignęły trzy sztylety.

Maurycy zrozumiał, że jest otoczony. Chciał swoją pałką zrobić młynka, ale uliczka była tak wąska, że pałka zawadziła o mur. W tej chwili ogłuszyło go gwałtowne uderzenie w głowę. Czterej ludzie, którzy wyszli przez małe drzwiczki w murze, rozpoczęli niespodziewanie bójkę. Siedmiu mężczyzn równocześnie napadło na Maurycego i mimo rozpaczliwego oporu obaliło go na ziemię, skrepiło mu ręce i zawiązało oczy.

Maurycy nie krzyczał, nie wzywał ratunku. Siła i odwaga stanowią cechy charakteru, które zdają się wstydzic obcej pomocy. W pustej dzielnicy nikt nie pośpieszyłby mu na ratunek.

Maurycy więc, jak powiedzieliśmy, został związany i skrepiowany, nie wydawszy najmniejszego jęku.

Sądził zresztą, że jeżeli zawiązano mu oczy, to zapewne nie dlatego, aby go zaraz zabić. W wieku Maurycego każda zwłoka stanowi nadzieję.

Starął się więc zachować całą przytomność umysłu i czekał.

- Kto jesteś? - spytał go jakiś głos.
- Jestem człowiekiem, którego mordują - odrzekł Maurycy.
- Gorzej, będziesz człowiekiem zamordowanym, jeżeli nadal będziesz mówił głośno, jeżeli tylko krzykniesz!
- Gdybym miał krzyczeć, nie byłbym czekał do tej pory.
- Czy gotów jesteś odpowiadać na moje pytania?

59

- Pytaj, a zobaczę, czy będę mógł odpowiadać.
 - Kto cię tu przysłał?
 - Nikt.
 - Przyszedłeś zatem z własnej inicjatywy?
 - Tak.
 - Kłamiesz!
- Maurycy szarpnął się gwałtownie, chcąc uwolnić ręce, ale na próżno.
- Nigdy nie kłamię! - odpowiedział.
 - W każdym razie, czy przychodzisz z własnej inicjatywy, czy cię tu kto przysłał, jesteś szpiegiem!
 - A wy podłymi nikczemnikami!
 - My?

- Tak jest, siedmiu was czy ośmiu zbójów przeciw skrepowanemu człowiekowi, i do tego jeszcze go znieważacie. Podli! podli! podli!

Gwałtowność Maurycyego, zamiast podrażnić jego przeciwników, zdawała się ich raczej uspokajać, dowodziła bowiem, że młodzieniec nie był tym, za kogo go uważano. Prawdziwy szpieg byłby drżał i błagał o łaskę.

- W tym, co powiedziałem, nie ma żadnej zniewagi - odezwał się jakiś głos łagodniejszy, ale zarazem jak gdyby przyzwyczajony do rozkazywania. - W obecnym czasie można być szpiegiem i jednocześnie uczciwym człowiekiem. Ryzykuje się tylko życie.

- Bądź pozdrowiony ty, który to rzekłeś. Odpowiem ci chętnie.

- Co robisz w tej dzielnicy?

- Szukam kobiety.

Odpowiedź tę przyjęto szmerem niedowierzania, który wzrastając przeszedł niemal w burzę.

- Kłamiesz - zaczął znowu ten sam głos. - Nie ma tu żadnej kobiety. Wiemy dobrze, kogo przez to należy rozumieć. Nie ma tu, powtarzam, kobiety, którą by należało ścigać. Wyznaj swój zamiar lub umrzesz.

60

- No, n® - powiedział Maurycy - przecież mnie nie zabijecie dla rozrywki, chyba że jesteście rozbójnikami.

I znowu szarpnął się jeszcze gwałtowniej, i bardziej niespodzianie niż przedtem, chcąc uwolnić ręce od krępującego je sznura. Ale nagłe bolesne i ostre zimno rozdarło mu pierś.

Maurycy cofnął się w tył mimo woli.

- Czujesz, co to jest? - spytał jeden z napastników. - Wiedz, że jest tu osiem sztyletów podobnych do tego, z którym dopiero co zawarłeś znajomość.

- No, dobijcie mnie - rzekł z rezygnacją Maurycy. - Niech się przynajmniej od razu wszystko skończy.

- Mów, kto jesteś? - odezwał się głos łagodny a rozkazujący.

- Czy chcecie znać moje nazwisko?

- Tak jest.

- Jestem Maurycy Lindey.

- Co? - zawołał jeden głos. - Maurycy Lindey, sekretarz sekcji Lepelletier?

Słowa te wymówiono z tak wielkim zapałem, że Maurycy przekonał się, iż były najzupełniej szczerze.

Maurycy niezdolny był do podłości. Wypreżył się jak struna i rzekł tonem stanowczym:

- Tak jest, Maurycy Lindey, sekretarz sekcji Lepelletier. Maurycy Lindey, patriota, rewolucjonista, jakobin. Maurycy Lindey, który do najpiękniejszych dni swego życia zaliczy dzień, w którym umrze za sprawę wolności. Oświadczenie to przyjęto śmiertelnym milczeniem. Maurycy Lindey nastawił pierś, sądząc, że za chwilę sztylet, którego ostrze poczuł niedawno, utkwi w jego sercu.

- Czy to rzeczywiście prawda? - rzekł po chwili głos wyraźnie zdradzający wzruszenie. - No, młodzieńcze, przestań kłamać.

- Zajrzyjcie mi do kieszeni - powiedział Maurycy. -

61

Spojrzyjcie na moją pierś, a znajdziecie na koszuli litery M. L., jeżeli ich krew nie zatarła.

Natychmiast potem poczuł, że silne ramię podnosi go z ziemi. Zniesiono go gdzieś niedaleko. Wkrótce usłyszał, jak się otworzyły drzwi jedne i drugie, drugie jednak węższe były niż pierwsze, gdyż niosący go ludzie ledwie mogli się w nich pomieścić.

Szmer i szepty nie milkły.

„Jestem zgubiony - pomyślał Maurycy. - Przywiążą mi kamień do szyi i wrzucą w jakąś dziurę do Bievre.”

Ale po chwili poczuł, że niosący go ludzie wstępują na jakieś schody. Owionął go delikatny powiew, po czym posadzono go na krześle. Usłyszał, że zamknięto drzwi na dwa spusty i że się oddalono. Zdawało mu się, że zostawiono go samego. Nasłuchiwał więc z uwagą, na jaką zdobyć się może człowiek, którego życie zależy od jednego słowa. Zdawało mu się, że słyszy, jak ten sam głos, który go przedtem uderzył swą stanowczością i łagodnością, rzekł:

- Naradźmy się.

VIII

GENOWEFA

Upłynął kwadrans, który wydał się Maurycemu wiekiem. Było to zupełnie naturalne: młody, przystojny, silny, otoczony setką przyjaciół gotowych zginąć dla niego, przyjaciół, z którymi, jak marzył, miał dokonać wielkich czynów - nagle, wcale się tego nie spodziewając, znalazł się w zasadzce, narażony na utratę życia.

Zdawał sobie sprawę, że zamknięto go w jakimś pokoju, lecz nie wiedział, czy go obserwowano.

Znowu próbował rozerwać więzy. Naprężył żelazne muskuły, sznur wpił mu się w ciało, ale nie pękł.

Najokropniejszą rzeczą było to, że ręce związano mu do

tyłu i że nie mógł zdjąć z oczu przepaski. Gdyby widział, może by mógł uciec.

Tymczasem nikt nie próbował przeciwdziałać jego usiłowaniu, nikt się nie ruszał. Przypuszczał więc, że jest sam.

Nogami dotykał czegoś miękkiego, sądził, że to piasek lub glina. Przykra i przejmująca woń świadczyła, że są tu jakieś rośliny. Maurycy myślał, że znajduje się w cieplarni lub w jakimś innym podobnym pomieszczeniu. Uczynił kilka kroków, dotknął muru, odwrócił się i wyciągając do tyłu ręce namacał narzędzia rolnicze. Wydał okrzyk radości.

Po kilku niesłychanych wysiłkach rozpoznał dotykiem wszystkie narzędzia, jedno po drugim. Jego ucieczka stała się kwestią czasu; jeżeli traf lub opatrzność udzieli mu pięciu minut, jeżeli między narzędziami znajdzie się coś ostrego, będzie ocalony.

Znalazł rydel.

Ponieważ był związany, musiał stoczyć walkę, nim ów rydel zdołał odwrócić żelazem do góry. Pomagając sobie plecami, oparł żelazo o mur i przerznął, a raczej przetarł sznur, który krępował mu ręce. Trwało to długo, bo żelazo rydla było tępe. Pot spływał mu z czoła. Uczynił ostatni gwałtowny wysiłek i sznur, w połowie przetarty, pękł w końcu.

Krzyknął z radości, bo teraz był przynajmniej pewny, że będzie się 'bronił, zanim umrze.

Zerwał z oczu przepaskę. Nie mylił się. Znajdował się w cieplarni, a raczej w pomieszczeniu, gdzie przechowywano rośliny, które wymagają ochrony przed chłodnym, ostrym powietrzem zimy. W jednym kącie stały narzędzia ogrodnicze, z których jedno wyświadczyło mu tak wielką przysługę. Na wprost kąta znajdowało się okno: Maurycy poskoczył ku niemu i przekonał się, że było zakratowane. Za nim stał człowiek uzbrojony w karabin.

Po drugiej stronie ogrodu, w odległości może trzydziestu

63

kroków, wznosił się mały pawilonik, podobny do tego, w którym znajdował się Maurycy. Żaluzje w nim były spuszczone, lecz przeglądało przez nie światelko.

Maurycy zbliżył się do drzwi i słuchał: drugi wartownik przechadzał się za drzwiami.

W głębi korytarza odzywały się pomieszane głosy. Narada widocznie zamieniła się w sprzeczkę. Maurycy nie mógł dobrze zrozumieć wszystkiego, co mówiono. Usłyszał jednakże kilka słów, takich jak: „szpieg”, „puginał”, „śmierć”.

Nateżył uwagę. Otworzono jedne drzwi, słyszał więc wyraźniej.

- Tak jest - dowodził jeden głos. - tak jest, to szpieg. Niewątpliwie coś zwierzył i przyszedł po to, aby zbadać nasze tajemnice. Jeżeli go uwolnimy, narazimy się na niebezpieczeństwo, bo nas zadenuncjuje.

- A jego słowo? - rzekł drugi głos.

- Słowo da, a mimo to nas zdradzi. Alboż on szlachcic, aby można było wierzyć jego słowu?

Maurycy zgrzytnął zębami na myśl, że są jeszcze ludzie utrzymujący, iż aby dotrzymać słowa, trzeba być szlachcicem.

- Nie zna nas, a więc nie będzie mógł zadenuncjować.

- Ze nas nie zna, to prawda, nie wie, czym się zajmujemy, ale zna nasz adres i może tu wrócić w dobrym to-

warzystwie.

Argument zdawał się być przekonujący.

- A więc - rzekł głos, który Maurycy kitka już razy brał za głos przywódcy - decyzja powzięta?

- Ależ tak, tak, nie rozumiem twojej wspaniałomyślności, mój kochany. Gdyby Komitet Ocalenia Publicznego miał nas w swoim ręku, zobaczylibyśmy, czy robiłby z nami tyle ceregieli.

- Nie zmieniacie zatem swojego postanowienia?

- Nie, i liczymy, że nie będziesz stawiał sprzeciwu.

64

- Ja mam tylko jeden głos, moi panowie, i dałem go za uwolnieniem więźnia, wy macie sześć i wszyscy głosujecie za śmiercią. Śmierć zatem, i sprawa skończona.

Pot, spływający po czole Maurycego, zastygł nagle.

- Będzie krzyczał, będzie wył - rzekł głos. - Czyście przynajmniej kazali wyjść pani Dixmer?

- O niczym nie wie. Jest w pawilonie naprzeciwko.

- Pani Dixmer? - szepnął Maurycy. - Zaczynam rozumieć. Jestem u garbarza, który rozmawiał ze mną na ulicy i odszedł, śmiejąc się, ponieważ nie umiałem mu powiedzieć nazwiska mego przyjaciela. Ale jakież, u diabła, ma garbarz interes, żeby mnie zabić?

Powiedziawszy to obejrzał się wokoło i spostrzegł żelazny drąg z drewnianą rękojeścią.

- W każdym razie - rzekł - nim mnie zamordują, niejednego położę trupem.

I szybko chwycił niewinne narzędzie, które w jego ręku miało się stać straszliwą bronią. Wrócił potem do drzwi i stanął tak, aby, gdy je otworzą, zasłoniły go zupełnie.

Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi, wśród głuchej ciszy zdawało się, że słyszc każde jego uderzenie.

Nagle Maurycy zadrżał na całym ciele. Jeden głos powiedział:

- Posłuchajcie mnie: wybijcie po prostu szybę i przez kraty wypalcie do niego z karabinu.

- O nie, nie, tylko bez hałasu - przerwał inny głos. - - Wystrzał mógłby nas zdradzić. Ach, jesteś, Dixmer. I cóż twoja żona?

- Właśnie zaglądałem przez -żaluzje. Niczego się nie domyśla, siedzi i czyta.

- Słuchaj, Diximer, ty musisz ostatecznie zdecydować. Głosujesz za karabinem czy za sztyletem?

- Wystrzegajmy się palnej broni, o ile można. Jestem za sztyletem.

- Chodźmy.

9 - A- n^mas?

65

- Chodźmy! - powiedziało razem pięć czy sześć głosów.

Maurycy, dnec^o Rewolucji, miał stalowe serce i przekonania ateisty, ale usłyszawszy wyraz „chodźmy”, wymówiony za drzwiami, które jedynie dzieliły go od śmierci, przypomniał sobie znak krzyża świętego, którego nauczyła go matka, gdy był jeszcze dzieckiem i gdy na klęczkach odmawiał pacierz.

Kroki zbliżały się, potem nastąpiła cisza Klucz obrócił się w zaniku i drzwi otworzyły się z wolna

Maurycy pomyślał: „Jeżeli będę tracił czas na obronę, zabiją mnie Wpadnę więc pierwszy na tych zbójców, zaskoczę ich, przez ogród dostanę się na uliczkę i może zdołam się ocalić.”

I rzucił się naprzód z nieprawdopodobną siłą i dzikim okrzykiem, w którym przebijała raczej groźba niż przestach, obalił dwóch najbliższych ludzi, którzy sądząc, że jest skrupowany i ma związane oczy, nie spodziewali się napadu. Rozpędził pozostałych, w jednej sekundzie przebył dzięki swej zwinności dziesięciosążniową odległość, spostrzegł na końcu korytarza otwarte drzwi do ogrodu, popędził tam, przeskoczył kilka schodów i zorientowawszy się szybko w położeniu, pobiegł ku bramie.

Brama była zamknięta na dwie zasuwy i zamek Maurycy odsunął zasuwy, chciał otworzyć zamek, lecz nie było klucza.

Prześladowcy wybiegli tymczasem na ganek i dostrzegli zbiega.

- Jest! Jest! - wołali. - Strzelaj, Dixmer, strzelaj!
Zabij! Zabij!

Maurycy jęknął: był zamknięty w ogrodzie Zmierzył mur wzrokiem i przekonał się, iż ma dziesięć, stóp wysokości.

Wszystko trwało zaledwie chwilę.

Mordercy rzucili się ku niemu.

Wi

Maurycy wyprzedzał ich o dwadzieścia kroków, spojrzą) naokoło siebie, jak skazany, który szuka choć cienia nadziei

Dostrzegł pawilan, żaluzję, a za nią światło.

Jednym prawie susem pokonał odległość dziesięciu kroków, schwycił żaluzję, zerwał ją, wybił okno i wpadł do oświetlonego pokoju, gdzie przy kominku siedziała jakaś kobieta czytając książkę.

Przestraszyła się i krzyknęła o pomoc.

- Usuń się, Genowefo, usuń się, bym mógł go zabić! -
wołał Di x mer

I Mauryc\ ujrział wymierzoną w siebie lufę karabinu.
Ale zaledwie kobieta go dostrzegła, natychmiast zamiast usunąć się, jak mąż jej nakazywał, wydała okropny krzyk ' rzuciła się między Maurycego a lufę karabinu.
Ten ruch zwrócił na nią uwagę Maurycego.
Teraz on znowu wydał okrzyk - była to bowiem szukana przezeń nieznajoma.

- Pani! Pani! tu?! - zawołał.

- Cicho! - rzekła Genowefa.

A potem obróciwszy się w stronę morderców, którzy

uzbrojeni zbliżali się do okna, zawołała:

- O, wy go nie zabijecie!

- To szpieg! - wrzasnął Dixmer, a jego miła i łagodna twarz przybrała wyraz nieubłaganej stanowczości. - To szpieg i musi umrzeć!

- Szpieg? On? - powiedziała Genowefa. - Chodź tu, Dixmer, powiem ci tylko jedno słowo, a przekonasz się, w jak wielkim jesteś błędzie.

Dixmer zbliżył się do okna. Genowefa podeszła ku niemu i coś mu szepnęła do ucha.

Garbarz podniósł żywo głowę.

- On? - powiedział.

- We własnej osobie! - rzekła Genowefa.

- Jesteś tego zupełnie pewna?

»•

67

Młoda kobieta nic nie odpowiedziała, lecz odwróciwszy się ku Maurycemu, podała mu z uśmiechem rękę.

Wówczas na twarzy Dixmera osiadł znowu wyraz łagodności i spokoju. Postawił karabin i rzekł:

- Kiedy tak, to co Innego.

Następnie dał znak towarzyszom, odszedł z nimi na bok, powiedział im kilka słów i oddalił się zaraz.

- Schowaj pan ten pierścień, bo go tu wszyscy znają - szepnęła Genowefa.

Maurycy zdjął pierścień z palca i wsunął go w kieszeń

kamizelki.

W chwilę potem otworzyły się drzwi i Dixmer, bez broni, stanął przed Maurycym.

- Wybacz, obywatelu - rzekł - że nie wiedziałem wcześniej, jak bardzo jestem ci zobowiązany! Ale żona moja, pamiętając o przysłudze, jaką jej wyświadczyłeś wieczorem dziesiątego marca, zapomniała zupełnie twego

nazwiska. Nie wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia, inaczej, wierzaj mi, ani na chwilę nie wąpilibyśmy o twoim honorze i zamiarach. Tak więc, jeszcze raz proszę

o przebaczenie!

Maurycy osłupiał. Ledwie trzymał się na nogach. Czuł, że kręci mu się w głowie i omal nie upadł. Oparł się

o kominek.

- Oto sekret, obywatelu, który powierzam twemu honorowi. Jak wiesz, jestem garbarzem i właścicielem garbarni. Większa część kwasów, których używam do preparowania skór, stanowi towar zakazany. Otóż przemysłowicy, z którymi mam do czynienia, dowiedzieli się, że za denuncjowano ich w radzie generalnej. Widząc ciebie, gdy zasięgałeś informacji u odźwiernego, zląkłem się. Moich przemysłowców, bardziej jeszcze niż mnie samego, przestraszyła twoja czerwona czapka, a przede wszystkim twoja odważna postawa. Nie ukrywam, że postanowiono, abyś zginął.

68

- Nic nowego mi nie mówisz, obywatelu. Dobrze o tym wiedziałem, bo słyszałem całą waszą naradę i widziałem twój karabin.

- Prosiłem cię już o przebaczenie - przerwał Dixmer z rozbijającą dobroduszością. - Chciejże zrozumieć, iż dzięki obecnemu nieladowi ja i wspólnik mój, pan Morand, jesteśmy na drodze do zrobienia majątku. Zajmujemy się dostawą tornistrów dla wojska. Co dzień robimy ich około dwóch tysięcy. Dzięki szczęśliwej epoce, w której żyjemy, władza, mająca i tak pełne ręce roboty, nie ma czasu na ścisłe sprawdzanie naszych rachunków. Winienem ci nadto wyznać, że łowimy ryby w nieco mętnej wodzie, tym bardziej że, jak ci powiedziałem, preparaty, które sprowadzamy za pośrednictwem przemysłowców, przynoszą nam dwieście procent zysku.

- Do diabła - rzekł Maurycy - niezły zysk. Rozumiem dobrze waszą obawę, ale obecnie, skoro mnie znacie, jesteście już spokojni, nieprawdaż?

- Teraz nie żądam już nawet twego słowa honoru, obywatelu - odpowiedział Dixmer.

I kładąc mu rękę na ramieniu, patrząc z uśmiechem

w oczy, dodał:

- Kiedy już, że się tak wyrażę, jes".;śmy przyjaciółmi, powiedz mi, młodzieńcze, po coś tu przyszedł w nasze strony? Rozumie się, jeżeli nie chcesz zdradzić sekretu, nie żądam odpowiedzi.

- Zdaje mi się, że ci już o tym mówiłem - wyjąkał Maurycy.

- Prawda, prawda - rzekł mieszczanin - mówiłeś o jakiejś kobiecie.

- O Boże, przebac, obywatelu - odpowiedział Maurycy - ale rozumiem doskonale, żem winien się wytłumaczyć. Dowiedz się zatem, że szukałem kobiety, która pewnego wieczoru, zamaskowana, powiedziała mi, że mieszka w tej dzielnicy. Nie znam ani jej nazwiska, ani stanu, ani

adresu, ale wiem, że jest małego wzrostu i że szaleję za nią z miłości.

Genowefa była wysoka.

- Wiem, że jest blondynką i ma wesoły wyraz twarzy. Genowefa była brunetką i miała wielkie, myślące oczy.

- Jest gryzетką - mówił dalej Maurycy - i aby się jej podobać, włożyłem zwykłe ubranie.

- Otóż i wszystko jest jasne -• powiedział Dbcmer z ewangeliczną wiarą, jak o tym świadczyło jego szczere spojrzenie.

Genowefa odwróciła się, czując, że się rumieni.

. - Biedny obywatelu Lindey - śmiejąc się rzekł Dixnaer - przykro nam, żeśmy tak niewłaściwie z tobą postąpili. O, byłbyś ostatnim, któremu chciałbym wyrządzić krzywdę. No, proszę, tak dobry patriota, brat... Ależ, do prawdy, sądziłem, że jakiś niegodziwiec podszywa się pod twoje nazwisko.

- Nie mówmy więcej o tym - rzekł Maurycy, zorientowawszy się, że już czas wracać do domu. - Wyprowadź mnie pan na ulicę i zapomnijmy o wszystkim.

- Wyprowadzić cię? Opuścić? - zawołał Dixmer. - O nie, nie! Ja, a raczej ja i mój wspólnik urządzamy dziś kolację dla zuchów, którzy cię niedawno chcieli zabić... Spodziewam się, że zechcesz wziąć z nami udział w tej

małej uczcie i przekonać się, że nie taki diabeł straszny, jak go malują.

- Ależ - odpowiedział Maurycy uradowany, że jeszcze kilka godzin będzie mógł spędzić obok Genowefy - nie wiem doprawdy, czy mam przyjąć...

- Jak to, czy masz przyjąć? - przerwał Dixmer. - Musisz przyjąć. Ci ludzie to również dobrzy i gorliwi patrioci jak ty. A poza tym, dopiero gdy podzielimy się kawałkiem chleba, uwierzę, żeś nam przebaczył.

Genowefa nie powiedziała ani słowa. Maurycy cierpiał okropnie.

70

- Doprawdy, obywatelu - wyjąkał młodzieniec - boję się, czy was nie będę krępował... Moje ubranie... niewesoła mina...

Genowefa nieśmiało spojrzała na młodzieńca.

- Prosimy pana z całego serca... - rzekła.

- Przyjmuję, obywatelko - odpowiedział Maurycy, kłaniając się uprzejmie.

- Dobrze więc, pójdę teraz i uspokoję moich towarzyszy - rzekł garbarz - a tymczasem ogrzej się, kochany przyjacielu.

I wyszedł. Maurycy i Genowefa pozostali sami.

- Ach, panie - odezwała się młoda kobieta, na próżno usiłując przybrać ton wymówki - nie dotrzymałeś słowa, nie byłeś dyskretny...

- Jak to, pani? - zawołał Maurycy. - Czyż cię skompromitowałem? Jeżeli tak, to przebacz, odejdę i nigdy...

- Boże! - zawołała Genowefa wstając. - Jesteś pan raniony w piersi! Koszula jest zboczona krwią!

Rzeczywiście, na cienkiej białej koszuli Maurycego, tak bardzo różniącej się od jego grubego ubrania, widać było wielką plamę zaschniętej krwi,

- O, uspokój się, pani - odrzekł młodzieniec. - Jeden z przemytników ukłuł mnie sztyletem.

Genowefa pobiła i ujęła go za rękę.

- Przebac pan - szepnęła - przebacz wszystko złe, które ci wyrządzono. Ocaliłeś mi życie, a ja o mało nie przyczyniłam się do twojej śmierci.

- Jestem sownie wynagrodzony, skoro znalazłem panią... Bo chyba pani ani przez chwilę nie przypuszczała, że szukałem kogo innego?

- Pójdź pan za mną - przerwała Genowefa - dam panu świeżą bieliznę. Nie trzeba, aby nasi współbiednicy widzieli pana w takim stanie. To byłoby dla nich zbyt okrutne.

71

- Ileż pani sprawiam kłopotu... - odpowiedział Maurycy z westchnieniem.

- Spełniam tylko obowiązek, a czynię to z największą przyjemnością.

Genowefa zaprowadziła Maurycego do wielkiej gotowalni, która swą wytwornością i smakiem mogła każdego y/prowadzić w podziw, szczególnie w zestawieniu z zawodem pana domu. Prawda, że garbarz wyglądał na milionera.

Potem otworzyła wszystkie szafy.

- Bierz pan - rzekła - czuj sSpjak u siebie w domu.

I wyszła.

Po powrocie Maurycy zastał już Dixmera w pokoju żony.

- Chodźmy, chodźmy do stołu - rzekł - tylko na pana czekają.

IX

WIECZERZA

Gdy Maurycy z Dixmerem i Genowefą zjawili się w sali jadalnej, kolacja była już przygotowana, lecz sala jeszcze pusta.

Współbiednicy przybywali kolejno. Wszyscy odznaczali się przyjemną powierzchownością. Po większej części

byli to młodzi ludzie, ubrani według ówczesnej mody, dwóch 'czy trzech nosiło nawet karmaniole i czerwone czapki.

Dixmer przedstawił im Maurycego, wymieniając wszystkie jego tytuły i przymioty, i dodał:

- Obywatelu Lindey! Widzisz tu wszystkich, którzy mi pomagają w handlu. Dzięki obecnym czasom, dzięki zasadom rewolucyjnym żyjemy wszyscy na zasadzie równości. Co dzień gromadzimy się dwa razy u tego stołu, i szczę-

śliwi jesteśmy, że raczyłeś zasiąść z nami do uczyty rodzinnej. No, do stołu, obywatele, do stołu!

- A czy na pana Morand nie zaczekamy? - zapytała nieśmiało Genowefa.

- Prawda! - odpowiedział Dixmer. - Obywatel Morand, o którym ci już wspomniałem, obywatelu Lindey, to mój współnik. Do niego należy, że się tak wyrażę, administracja domu. On prowadzi korespondencję, utrzymuje w porządku kasę i rachunki, płaci i przyjmuje pieniądze, dlatego też najbardziej z nas wszystkich jest zajęty i spóźnia się czasami. Ale każę go zawołać.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł obywatel Morand.

Był to niskiego wzrostu brunet, o gęstych brwiach. Czarne oczy zakryte były zielonymi okularami, jak u wszystkich, którym praca osłabia wzrok. Mimo to wydawało się, że z tych oczu tryskały błyskawice. Ledwie tylko się odezwał, Maurycy poznał od razu ów miły, a zarazem stanowczy głos, który podczas opisanego przedtem sporu przemawiał za zastosowaniem łagodnych środków. Morand miał na sobie ciemny frak z dużymi guzikami i jasną jedwabną kamizelkę. Maurycy zwrócił uwagę na jego delikatną rękę, nie wyglądającą na rękę garbarza, którą podczas wieczerzy wiele razy poprawiał swój cienki żabot.

Zajęto miejsca. Obywatel Morand siedział po prawej stronie Genowefy, Maurycy po lewej, Dixmer naprzeciwko żony, inni biesiadnicy zajęli pozostałe miejsca wokół podłużnego stołu.

Wieczera była bardzo wystawna. Dixmer miał wielki apetyt i z dużą dozą serdeczności czynił honory pana. domu. Rzemieślnicy, a raczej ci, którzy za nich uchodzili,

pod tym względem dotrzymywali mu placu. Obywatel Morand mówił mało, jadł jeszcze mniej, nic prawie nie pił, a śmiał się bardzo rzadko. Maurycy może na skutek wspomnień, jakie w nim budził ten głos, wkrótce poczuł dla

73

niego żywą sympatię. Miał wątpliwości co do jego wieku i to go niepokoiło. Raz przypuszczał, że ma czterdzieści lub czterdzieści pięć lat, a raz, że to zupełnie młody mężczyzna.

Siadając do stołu Dixmer sądził, że jest jakby obowiązany wyjaśnić swym współbiesiadnikom przyczynę, dla której dopuścił kogoś obcego do ich małego grona.

Wywiązał się z tego obowiązku jak człowiek naiwny i nie nawykły do kłamstwa. Wydawało się jednak, że biesiadnicy nie przypisują szczególnej wagi do podanej przez niego przyczyny, bo mimo całej niezręczności, z jaką fabrykant tłumaczył powód wprowadzenia młodego człowieka, wyjaśnienie jego zadowoliło wszystkich.

Maurycy, zdziwiony, spojrzał na gospodarza. „Na honor - pomyślał - sam sobie nie dowierzam. Jestże to ten sam człowiek o pałającym spojrzeniu, groźnym głosie, który przed godziną z karabinem w ręku ścigał mnie i chciał zabić? W owej chwili wyglądał na jakiegoś bohatera lub mordercę. Do kata! Jakże zamiłowanie do swego zawodu

może zmienić człowieka!”

W sercu Maurycyego, podczas gdy czynił te uwagi, gościła zarazem i głęboka boleść, i wielka radość, tak że nie umiał zdać sobie sprawy z prawdziwego stanu swej duszy. Znalazł się nareszcie obok pięknej nieznajomej, której tak długo szukał, słyszał jej słodkie imię, o którym ciągle marzył. Upajał się szczęściem, czując ją u swego boku. Chwytał każde jej słówko, a dźwięk jej głosu wstrząsał najtajniejszymi strunami jego serca. Lecz serce to było upokorzone tym, co widział.

Genowefa była w istocie taka, jaką ją ujrzał po raz pierwszy. Rzeczywistość nie zniszczyła bynajmniej snu burzliwej nocy. Była to ta sama elegancka, młoda kobieta o smutnym spojrzeniu, wzniosłym umyśle, a przy tym, jak się często zdarzało w ostatnich latach, była to kobieta dystygowana, która na skutek coraz większego zubożenia

T4

szlachty zmuszona była wejść w świat mieszczańsfc. Dis" mer wydawał się zacnym człowiekiem i był niewątpliwie bogaty, postępowanie jego w stosunku do Genowefy wskazywało na to, że pragnął ją uszczęśliwić. Ale czy jego dobroduszość, zamożność, najlepsze nawet chęci mogły wypełnić przepaść dzielącą żonę i męża, przepaść, dzielącą uroczą, romantyczną kobietę i człowieka przyziemnego, o pospolitym wyglądzie? Jakim uczuciem zapełniała Genowefa tę przepaść? Niestety! Przypadek zdawał się dostatecznie przekonywać Maurycego, że miłością. Musiał więc wrócić do pierwszej myśli, jaką powziął o Genowefie: że tego wieczoru, kiedy ją spotkał, wracała z miłosnej schadzki.

Myśl, że Genowefa kochała innego mężczyznę, dręczyła serce Maurycego.

Wzdychał i żałował, że zjawił się tutaj, aby wychylić kielich trucizny, zwanej miłością.

Potem, w innych momentach, słuchając miłego, czystego, pełnego harmonii głosu, badając jasne spojrzenie, które pozwalało sięgać do samego dna duszy, Maurycy myślał, iż niepodobna, aby taka istota zdolna była do zdrady. Wówczas doznawał gorzkiej radości, myśląc, że jej piękne ciało należy do tego mieszczanina o dobrodusznym uśmiechu, opowiadającego gminne żarty, i że jedynie do niego zawsze będzie należała.

Mówiono o polityce, bo inaczej być nie mogło. O czymże mówić w epoce, w której polityka wtargnęła do wszystkich dziedzin życia.

Jeden z biesiadników, który dotąd ciągle milczał, zapytał, czy nie ma wiadomości o więźniach w Tempie.

Na dźwięk tego głosu Maurycy zadrżał mimo woli. Poznał człowieka, który, nakłaniając do użycia ostatecznych środków, pchnął go najpierw sztyletem, a potem głosował za śmiercią.

Jednakże człowiek ten, uczciwy garbarz, kierownik wa.f-

sztatu, bo tak go Dixmer przedstawił, wkrótce przywrócił Maurycemu dobry humor, wyjawiając najbardziej patriotyczne idee i najbardziej rewolucyjne zasady. W pewnych okolicznościach młodzieniec nasz nie był wrogiem radykalnych środków, tak popularnych w owej epoce, środków, których apostołem i bohaterem był Danton. Na miejscu

mężczyzny, którego głos i broń sprawiały na nim jeszcze dotąd wstrząsające wrażenie, nie byłby zabił człowieka, którego ujęto jako szpiega, lecz zamknąłby go w ogrodzie i tam, z szablą w ręku, byłby z nim walczył bez litości. Tak postąpiłby Maurycy. Zrozumiał jednak wkrótce, że od garbarskiego wyrobnika nie mógł wymagać tego, czego wymagałby od siebie.

Człowiek ten, który w swoich politycznych poglądach zdawał się być równie radykalny, jak w życiu prywatnym systematyczny, mówił o więzieniu w Tempie i dziwił się, że straż nad tamtejszymi więźniami powierzono stałej radzie, którą łatwo przekupić, i miejskiej gwardii, której wierność już nieraz była wystawiona na próbę.

- Tak jest - powiedział obywatel Morand. - Wyznać jednak należy, że dotąd zawsze postępowanie gwardii usprawiedliwiało zaufanie, jakie naród w niej pokłada, chociaż historia powie kiedyś, że jeden tylko obywatel Robespierre zasługuje na przydomek Nieskazitelnego.

- Niewątpliwie, niewątpliwie - przerwał kierownik warsztatu - lecz niedorzecznością jest utrzymywać, że to, co dotąd nie miało miejsca, już się nigdy nie stanie. Tak samo rzecz się ma z Gwardią Narodową - mówił dalej kierownik warsztatu. - Kompanie wojskowe różnych sekcji sprawują po kolei wartę w Tempie. Czy nie przypuszczacie, że w kompanii złożonej z dwudziestu lub dwudziestu pięciu ludzi znaleźć się może ośmiu lub dziesięciu łotrów, gotowych którejkolwiek nocy wyrznąć straż i wykraść więźniów?

- Ba! - odezwał się Maurycy. -• To niewłaściwy śro-

76

dek, obywatelu, bo przed trzema tygodniami czy przed miesiącem chciano go użyć, ale się nie udało.

- Dlatego - zaczął znowu Morand - że jeden z arystokratów, który wchodził w skład patrolu, był na tyle nierozsądny, iż zwracając się do kogoś, powiedział niechętny „panie”.

- I dlatego - rzekł Maurycy, któremu chodziło o udowodnienie, że Republika ma dobrze zorganizowaną policję - że dowiedziano się, iż kawaler de Maison-Rouge znowu jest w Paryżu.

- Ba! - zawołał Dixmer.

- Wiedziano, że Maison-Rouge przybył do Paryża? - zapytał obojętnie Morand. - A czy wiedziano, jakim sposobem dostał się do Paryża?

- Doskonale.

- Tam' do licha! - rzekł Morand wychylając się naprzód, aby zająrzeć Maurycemu w oczy. - Ciekawy byłbym dowiedzieć się tego dokładnie, bo dotąd nic pewnego nam nie doniesiono. Ale ty, obywatelu, jako sekretarz jednej z najpopularniejszych sekcji w Paryżu, jesteś niewątpliwie lepiej poinformowany.

- Bezwzględnie - odrzekł Maurycy. - To, co teraz powiem, jest oczywistą prawdą.

Wszyscy biesiadnicy, nawet Genowefa, zdawali się z najpilniejszą uwagą oczekiwać tego, co powie młodzieniec.

- Kawaler de Maison-Rouge - zaczął Maurycy - przybył, jak się zdaje, z Wandei, i ze zwykłym sobie szczęściem przejechał całą Francję. Był jeszcze dzień, gdy zjawił się przy roгатce Roule i tam zaczekał aż do godziny dziewiątej wieczorem. Jakaś kobieta przebrana za wyrobnicę przyniosła mu mundur strzelca Gwardii Narodowej, a w dziesięć minut potem udała się z nim do miasta. Wartownik, który widział ją przedtem samą, spostrzegłszy, że wraca w towarzystwie, powziął podejrzenie i zaalarmował posterunek. Winowajcy, zobaczywszy żołnierzy, zrozumieli,

77

że to o nich zapewne chodzi. Zaczęli uciekać i wpadli do jakiegoś pałacyku, przez który tylnymi drzwiami dostali się na Champs-Élysées. Podobno jakiś patrol, oddany tyranom, oczekiwał na kawalera przy rogu ulicy Bar-du-Bec. Resztę już wiecie.

- No, no - rzekł Morand - ciekawe rzeczy pan nam opowiadasz...

- A przede wszystkim autentyczne --wtrącił Maurycy.

- Czy wiadomo, co stało się z tą kobietą?

- Nie, zginęła bez śladu i nie wiadomo, kim ona jest i skąd się tam wzięła.

Zdawało się, że obywatel Dixmer i jego wspólnik ode-

tchnęli swobodniej.

Genowefa podczas całego opowiadania była blada i milcząca.

- Któż jednak - spytał obywatel Morand ze zwykłym sobie spokojem - może z całą pewnością twierdzić, że kawaler de Maison-Rouge należał do patrolu, który w Tempie wywołał taki alarm?

- Poznał go jeden z gwardzistów, mój przyjaciel, który był tego dnia na służbie w Tempie.

- Miał więc jego rysopis?

- Nie, ale dawniej widział go kilka razy.

- Jak wygląda kawaler de Maison-Rouge? - spytał Morand.

- Ma jakieś dwadzieścia sześć lat, jest niskim blondynem o przyjemnej twarzy, pięknych oczach i bieluteńkich zębach.

Nastąpiło głębokie milczenie.

- No! - odezwał się Morand znowu. - Ale jeżeli ten pański przyjaciel poznał rzekomego kawalera de Maison-Rouge, dlaczego go nie aresztował?

- Po pierwsze, nie wiedząc o jego powrocie do Paryża, bał się, aby nie ulec złudzeniu na skutek tego podobień-

78

stwa, » po wtóre, przyjaciel mój nie jest zbyt stanowczy i nie wiedział, jak postąpić w wątpliwym wypadku.

- Ty byś pewnie inaczej postąpił, obywatelu - rzekł Dixmer do Maurycego, śmiejąc się głośno.

- Przyznaję - odpowiedział Maurycy - że byłbym wolał się omylić, niż wypuścić z rąk równie niebezpiecznego człowieka, jakim jest kawaler de Maison-Rouge.

- I cóż byś pan uczynił? - zapytała Genowefa.

- Krótco bym całą rzecz załatwił, obywatelko - odrzekł Maurycy. - Kazałbym pozamykać wszystkie drzwi i bramy w Tempie, podszedłbym do patrolu i chwytając

kawalera za kołnierz, powiedziałbym: „Kawalerze de Maison-Rouge, aresztuję cię jako zdrajcę narodu.” A skoro bym go schwytał, ręczę, że już bym go nie puścił.

- I cóż by wówczas nastąpiło? - spytała Genowefa.

- Wytoczono by proces jemu i jego współnikom, i dzisiaj byłby już zgilotynowany.

Genowefa zadrżała i rzuciła na sąsiada pełne trwogi spojrzenie.

Obywatel Morand zdawał się wcale na to nie zważać i powoli wypróżniając szklankę, rzekł:

- Obywatel Lindey ma słuszość. Tylko to pozostało do uczynienia Niestety jednak chciało inaczej.

- A nie wiadomo, co się stało z kawalerem de Maison-Rouge? - spytała Genowefa.

- Ba! - zawołał Dixmer. - Prawdopodobnie nie czekał na aresztowanie. Zobaczywszy, że zamach się nie udał, umknął z Paryża.

- A może nawet i z Francji - dodał Morand.

- Mylicie się - odpowiedział Maurycy.

- Jak to? Czyżby był na tyle nierozsądny, że zostałby w Paryżu? - zawołała Genowefa.

- Ani się nawet z niego ruszył.
Zdanie to, wypowiedziane z wielką pewnością, przyjęto powszechnym zdziwieniem.

79

- To tylko twój własny domysł, obywatelu, prosty domysł i nic więcej.

- Nie, to fakt, obywatelu.

- Co do mnie - odezwała się Genowefa - przyznam się, że w to nie wierzę. Byłaby to niewybaczalna nieostrożność.

- Jako kobieta zrozumiesz, obywatelko, że u człowieka o takim charakterze, jak kawaler de Maison-Rouge, pewna okoliczność mogła przeważać wszelkie względy osobi-

stego niebezpieczeństwa.

- Cóż to za okoliczność silniejsza od obawy utraty życia?

- Miłość, obywatelko, miłość - odrzekł Maurycy.

- Miłość? - powtórzyła Genowefa.

- Bez wątpienia. Czyż nie wiesz, obywatelko, że kawaler de Maison-Rouge jest zakochany w Antoninie?

Dały się słyszeć dwa czy trzy wybuchy śmiechu, pełne bojaźliwego niedowierzania. Dixmer spojrział na Maurycyego tak, jakby chciał wyczytać wszystkie jego myśli. Genowefa poczuła łzy w oczach i po całym jej ciele przebiegł dreszcz, co nawet dostrzegł Maurycy. Obywatel Morand rozlał wino ze szklanki, którą niósł właśnie do ust, i Maurycy byłby dostrzegł bladość jego twarzy, gdyby całej uwagi nie skupił na Genowefie.

- Wzruszona jesteś, obywatelko? - szepnął Maurycy.

- Czyż pan nie powiedział, iż cię rozumiem jako kobieta? Każde poświęcenie, choćby nawet stało w sprzeczności z naszymi zasadami, zawsze nas wzrusza.

- Poświęcenie kawalera de Maison-Rouge jest tym większe - dodał Maurycy - że, jak zapewniają, nigdy nawet nie mówił z królową.

- Pozwól, obywatelu Lindey - rzekł zwolennik środków ostatecznych - ale uważam, że zbyt jesteś pobłażliwy dla kawalera...

- Panie! - odparł Maurycy, umyślnie może posługując

80

się zwrotem, który już od dawna wyszedł z użytku. - Cenię zawsze ludzi dzielnych i odważnych, co mi jednak nie przeszkadza występować przeciwko nim, skoro spostrzegam ich w szeregu moich nieprzyjaciół. Mam też nadzieję, że kiedyś spotkam się z kawalerem de Maison-Rouge.

- A wtedy... - wtrąciła Genowefa.

- Wtedy... będę z nim walczył!

Wieczera się skończyła. Genowefa wstała, inni poszli za jej przykładem.

W tej chwili rozległo się bicie zegara.

- Północ! - powiedział Morand.

- Północ? - zawołał Maurycy. - Już północ!

- Oto słowa, które mi się podobają - rzekł Dixmer. - Stwierdzają, żeś się nie nudził, obywatelu, i każą mi przypuszczać, że nas znowu odwiedzisz. Dom dobrego patrioty będzie dla ciebie zawsze otwarty. Mam nadzieję, że wkrótce się przekonasz, iż potrafię być również dobrym przyjacielem.

Maurycy skłonił się i zwracając się do Genowefy, zapytał:

- Czy obywatelka raczy mi także pozwolić, abym odwiedzał jej dom?

- Owszem, nie tylko pozwalam, ale nawet proszę -

żywo odpowiedziała Genowefa. - Tymczasem, żegnam cię, obywatelu.

I wyszła.

Maurycy pożegnał wszystkich biesiadników, pozdrowił serdecznie Moranda, który mu się bardzo podobał, uścisnął dłoń Dixmera i wyszedł oszołomiony, lecz raczej wesoły niż smutny na skutek tylu różnych wrażeń, doznanych

tego wieczoru.

- O, niedobre spotkanie! - rzekła po odejściu Mauryciego młoda kobieta, zwracając się do męża, który ją odprowadzał. Łzy płynęły jej z oczu.

6 - A. Dumas

81

- Ależ przeciwnie! Obywatel Maurycy Lindey, znany patriota, sekretarz sekcji, nieskazitelny, uwielbiany, popularny jest bardzo cennym nabytkiem dla biednego garbarza, przechowującego przemywane towary - odpowiedział z uśmiechem Dixmer. -

- Sądzisz więc, mój przyjacielu?... - spytała bojaźliwie Genowefa.

- Sądzę, że daje on naszemu domowi świadectwo patriotyzmu, że kładzie na nim pieczęć rozgrzeszenia. Sądzę, że od dzisiejszego wieczoru nawet sam kawaler de Maison-Rouge mógłby się tu bezpiecznie ukrywać.

I ucałowałszy żonę w czoło na dowód raczej ojcowskiego niż małżeńskiego przywiązania, Dixmer zostawił ją w małym, przeznaczonym dla niej pawilonie, a sam wrócił do drugiej części budynku, gdzie mieszkał wraz z współbiedniakami, których pozostawiliśmy przy stole.

SZEW C SIMON

Nadszedł początek maja. Piersi, znużone ciągłym wdychaniem lodowatej zimowej mgły, z rozkoszą napawały się pogodą dnia wiosennego, a delikatne promienie ożywczego słońca padały na czarne mury Tempie.

Żołnierze, pełniący straż, przechadzali się po wewnętrznym dziedzińcu, dzielącym wieżę od ogrodu, śmieli się i palili fajki.

Mimo jednak pogodnego dnia, mimo udzielonego pozwolenia trzy uwięzione kobiety nie wyszły do ogrodu. Królowa od śmierci męża przesiadywała ciągle w swoim pokoju, nie chcąc przechodzić obok tego, który król dawniej zajmował na drugim piętrze.

Od nieszczęsnego dnia dwudziestego pierwszego stycznia

Maria Antonina czasem tylko zażywała świeżego powietrza na szczycie wieży, której okna-strzelnice zasłonięte żaluzjami.

Pełniący straż żołnierze Gwardii Narodowej uprzedzeni zostali, iż trzy kobiety mają zezwolenie na spacer po ogrodzie. Na próżno jednak czekali - przez cały dzień uwięzione nie chciały skorzystać z pozwolenia.

Około godziny piątej jakiś mężczyzna zszedł z góry i zbliżył się do sierżanta dowodzącego posterunkiem.

- A, to ty, ojciec Tison! - zawołał wesoło gwardzista.

- TaA, to ja, obywatelu. Gwardzista Maurycy Lindey, twój przyjaciel, który jest tam na górze, przesyła ci przeze

mnie pozwolenie, udzielone przez radę mojej córce, aby dtisiejszego wieczoru odwiedziła swoją matkę.

- I wychodzisz, wyrodny ojcze, wówczas, gdy ma przyjść twoja córka? - powiedział sierżant.

- Wychodzę, bo muszę, obywatelu sierżancie. Miałem nadzieję, iż ja także będę mógł uściskać moje biedne dziecko, którego już od dwóch miesięcy nie widziałem... Ale cóż chcesz, kazano, trzeba słuchać. Oj, ta służba przekłeta! Muszę złożyć Gminie raport. Dorożka i dwóch żandarmów czekają na mnie przed bramą i to właśnie w chwili, kiedy ma przyjść moja biedna Heloiza.

- Nieszczęśliwy ojciec - rzekł sierżant.

Tak to miłość Francji
Głos krwi w tobie głuszy,
Jedna jęczy, druga...

Słuchaj no, ojcze Tison, gdybyś przypadkiem znalazł rym do „Francji”, to mi powiesz, jak wrócisz, bo mi go w tej

chwili zabrakło.

- A ty, obywatelu sierżancie, kiedy moja córka przyjdzie odwiedzić matkę, która już umiera z niecierpliwości,

przepuścisz ją, prawda?

- Skoro jest rozkaz - odpowiedział sierżant, w którym

83

czytelnik poznał pewnie naszego przyjaciela Lorin - nie mam nic do powiedzenia, i gdy córka twoja przyjdzie, zaraz ją przepuszczę.

- Dziękuję, dzielny Termopilu, dziękuję! - rzekł Tison. I mrużąc: - Ach, jakże moja biedna żona będzie szczęśliwa - poszedł, aby zdać raport Gminie.

- Wiesz co, sierżancie - odezwał się inny gwardzista, usłyszawszy, co mówił Tison na odchodnym - mnie podobne sceny przejmują do głębi.

- Jakie sceny, obywatelu Devaux? - zapytał Lorin.

iv--

- No - zaczął znów współczujący gwardzista - toć ten

człowiek o surowej twarzy, szlachetnym sercu, nieugięty prześladowca królowej szedł ze łzami w oczach na pół radosny, na pół smutny, myśląc, że jego żona ujrzy córkę, on zaś nie! Nie trzeba o tym myśleć, sierżancie, bo to doprawdy bardzo przykre.

- Rzeczywiście, i dlatego też on sam o tym nie myśli, chociaż, jak widzisz, odchodził ze łzami w oczach.

- A o czymże miałby myśleć?

- O tym, że i ta kobieta, z którą tak bez litości się obchodzi, już od trzech miesięcy nie widziała swego dziecka. Nie myśli o jej nieszczęściu, ale o swoim, ot i wszystko. Prawda, że ta kobieta była królową - mówił dalej sierżant z szyderstwem, którego sens trudno byłoby wytłumaczyć - i że w stosunku do królowej nikt nie zmusza do takich względów, jakie się ma dla żony dozorca.

- Wszystko to jest bardzo smutne - powiedział Devaux.

- Smutne, ale konieczne - odparł Lorin. - Najlepiej więc, jak powiedziałeś, nie myśleć o tym wcale. I zaczął sobie nucić:

Nicette biedna

Pośród gaiku,

Przy wdzięcznym strumyku

Szła sama jedna.

84

Nagle z lewej strony dał się słyszeć hałas, przekleństwa, groźby i płacz.

- Co to jest? - spytał Devaux.

- Jakby głos dziecka... - odpowiedział Lorin, nasłuchując.

- Rzeczywiście - powiedział gwardzista - biją zapewne jakiegoś biednego malca. Tu naprawdę powinni przysłać samych tylko bezdzietnych.

- Będziesz ty śpiewał? - dał się słyszeć jakiś ochrypły, pijany głos. I zanucił:

Pani Weto obiecała...

- Nie! - odpowiedziało dziecko. -

Nie będę śpiewał!

- Śpiewaj mi zaraz!
I głos znowu zaczął:

Pani Weto obiecała...

- Nie! - odpowiedziało dziecko. - Nie, nie, nie!

- A, mały łajdaku! - wrzasnął ochryply głos.
I w powietrzu rozległ się świst pociągła. Dziecko zawyło z bólu.

- A, do krośset! - rzekł Lorin. -- To ten niegodziwy
Simon bije małego Capeta.

Kilku narodowych gwardzistów wzruszyło ramionami,
niektórzy uśmiechnęli się nawet. Devaux wstał i odszedł.

- Słusznie mówiłem, że ojcowie nigdy nie powinni tu
przychodzić - mruknął.

Nagle otworzyły się małe drzwi i królewskie dziecko,
uciekając przed strażnikiem, wbiegło na dziedziniec. Tuż
za nim padło na bruk coś ciężkiego i ugodziło je w nogę.

- O! - krzyknęło dziecko, zachwiało się i przyklękło.

- Przynieś mi to kopyto, mała poczwaro, albo...
Dziecko podniosło się i potrząsnęło głową na znak od-
mowy.

85

- Tak słuchasz?! - wrzasnął ten sam głos i dodał: -
Poczekaj, poczekaj, dam ja ci zaraz.

Mówiąc to szewc Simon wyskoczył ze swej budy jak
dzikie zwierzę z nory.

- Hola! Hola! - zawołał Lorin marszcząc" brwi. -
A dokąd to, mości Simon?

- Chcę skarcić tego wilczka - odpowiedział szewc.

- Za co? - spytał znowu Lorin.

- Za co?

- A tak.

- Bo ten mały łajdak nie chce śpiewać jak dobry patriota, i nie chce pracować jak dobry obywatel.

- No i cóż ci to szkodzi? - odrzekł Lorin. - Czy naród oddał ci Capeta na naukę śpiewu?

- Proszę! - powiedział zdziwiony Simon. - Chyba w nie swoje rzeczy wtrącasz się, obywatelu sierzancie?

- Jak to, w nie swoje rzeczy? Wtrącam się we wszystko, co obchodzi człowieka z sercem. Człowiek z sercem nie może obojętnie patrzeć, jak ktoś niesłusznie katuje dziecko.

- Przecież to dziecko byłego króla.

- Ale to dziecko nie brało żadnego udziału w zbrodniach swego ojca, to dziecko jest niewinne i dlatego nie należy się nad nim znęcać.

- A ja powiadam, że pozwolono mi robić z nim co mi się podoba. Chcę, żeby śpiewał piosenkę p pani Weto, i musi śpiewać.

- Ależ, nędzniku, pani Weto jest matką tego dziecka. Czy chciałbyś, aby twemu dziecku kazano śpiewać, żeś jest łotrem?

- Ja? - ryknął Simon. - Ja, niegodziwy arystokrato?!

- Tylko bez obelg - powiedział Lorin - bo ja nie jestem Capet... Mnie nie zmusisz do śpiewania.

- Każę cię aresztować, niegodziwy!

- Ty? - krzyknął Lorin. - Ty każesz mnie aresztować, mnie, Termopila? Spróbuj no tylko!

8G

- Dobrze, dobrze, zobaczymy, który z nas będzie się śmiał ostatni... Capet, podnieś kopyto i idź dokończyć trzewik albo, do stu piorunów...!

- A ja - rzekł Lorin blady jak trup ł uczynił krok

naprzód, zacisnąwszy pięści i zęby - ja powiadana ci, że nie podniesie twojego kopyta, że nie będzie robił trzewików. Słyszysz, nikczemniku? Masz, widzę, przy sobie swoje wielkie szablisko, ale nie boję się ani jego, ani ciebie. Tylko spróbuj je wydobyć!

- Co, do stu tysięcy diabłów! - ryknął Simon, pieniać się ze złości.

W tej chwili dwie kobiety weszły na dziedziniec. Jedna z nich, która trzymała w ręku jakiś papier, powiedziała coś do strażnika.

- Sierżancie - zawołał żołnierz - córka Tisona chce się widzieć z matką.

- Przepuść, bo rada pozwoliła - rzekł Lorin, nie chcąc odwracać się ani na chwilę z obawy, aby Simon, 'korzystając z jego nieuwagi, nie bił znowu dziecka.

Strażnik przepuścił obie kobiety, ale zaledwie wstąpiły na czwarty stopień ciemnych schodów, spotkały Maurycego, który schodził na dziedziniec. Ponieważ zapadł już zmierzch, trudno mu było rozpoznać twarze.

Zatrzymał obie.

- Kto jesteście, obywatelki, i czego chcecie? - zapytał.

- Ja jestem Heloiza Tison - odpowiedziała jedna. - Pozwolono mi odwiedzić matkę, więc przyszłam, aby się z nią zobaczyć.

- Dobrze, obywatelko - rzekł Maurycy - ale pozwolenie wydane jest tylko na twoje nazwisko.

- Przeprowadziłam z sobą przyjaciółkę, aby we dwójkę było nam raźniej... Tylu tu żołnierzy...

- Dobrze, ale twoja przyjaciółka nie wejdzie na górę.

- Jak ci się podoba, obywatelu - odrzekła Heloiza

87

Tison ściskając dłoń przyjaciółki, która oparta o mur wyglądała na przerażoną.

- Obywatele wartownicy! - zawołał Maurycy podnosząc głowę, tańc aby usłyszeli go strażnicy stojący na każdym piętrze. - Przepuście Heloizę Tison. Jej przyjaciółka pozostanie na dole przy schodach, a wy uważajcie, aby nic złego jej się nie stało.

- Dobrze, obywatelu - odpowiedzieli strażnicy.

- Idźcie więc - rzekł Maurycy.
Obie kobiety poszły.

Maurycy przeskoczył resztę schodów i wybiegł na dziedziniec.

- Co to jest? - spytał gwardzistów. - Kto tu tak hałasuje? Aż w pokojach uwięzionych słychać krzyki dziecka!

- Oto ten zdrajca - powiedział Simon, przyzwyczajony do sposobu, w jaki obchodzili się gwardziści z rodziną królewską, pewien, że Maurycy mu pomoże - ten arystokrata nie pozwala mi bić Capeta.

I pięścią wskazał na Lorina.

- Tak jest, do pioruna, nie pozwalam! - rzekł z pogardą Lorin. - A jeżeli jeszcze raz nazwiesz mnie arystokratą lub zdrajcą, przebiję cię na wylot szpadą.

- Grozi! - zawołał Simon. - Warta! Warta!

- Przecież ja stoję tu na warcie - rzekł Lorin. - Nie wołaj mnie więc, bo jeżeli przyjdę do ciebie, to pewno pożegnasz się z tym światem.

- Na pomoc, obywatelu gwardzisto, na pomoc! -

wrzeszczał Simon, któremu tym razem Lorin zagroził na serio.

- Sierżant ma słuszość - zimno odpowiedział gwardzista. - Krzywdzisz naród, nikczemniku, skoro bijesz dziecko.

- A czy wiesz, Maurycy, dlaczego je bije? Dlatego że

88

nie chce śpiewać Pani Weto, dlatego że syn nie chce znieważać matki.

- Nędzniku! - rzekł Maurycy.

- I ty także? - zawołał Simon. - Czyż tylko sami zdrajcy mnie otaczają?

^ - Milcz, szelmo! - krzyknął gwardzista, chwytając Simona za gardło i wrywając mu pocięgiel. - Spróbuj tylko dowieść, że Maurycy Lindey jest zdrajcą.

Mówiąc to, z całej siły uderzył rzemieniem w plecy szewca.

- Dziękuję ci, panie - rzekło dziecko, które ze spokojem przyglądało się tej scenie - ale on zemści się na mnie.

- Chodź tu, Capecie - powiedział Lorin - chodź tu, mój chłopcze. Jeżeli cię znowu będzie bił, wołaj o pomoc, a przyjdziemy ukarać tego kata. No, no, mały Capecie, idź do wieży.

- Dlaczego nazywasz mnie Capetem, ty, który mnie bronisz? - spytało dziecko. - Wiesz dobrze, że- nie nazywam się Capet.

- Jak to nie nazywasz się Capet? - rzekł Lorin. - A jak ci na imię?

- Nazywam się Ludwik Karol de Bourbon. Capetem nazywał się jeden z mych przodków. O, ja znam historię Francji, ojciec mnie jej uczył.

- I ty chcesz nauczyć robienia pantofli to dziecko, które król uczył historii Francji? - zawołał Lorin.

- Bądź spokojny, chłopcze - rzekł Maurycy zwracając się do dziecka. - Złożę o tym wszystkim raport, gdzie należy.

- Ja także - rzekł Simon. - Między innymi powiem i to, iż zamiast jednej kobiety, której pozwolono wejść do wieży, wpuściłeś dwie.

Istotnie, w tej chwili dwie kobiety wychodziły z wieży. Maurycy pobiegł ku nim.

89

- I cóż, obywatelko, czy widziałaś matkę? - spytał stojącą bliżej.

- Tak jest, obywatelu, dziękuję - odpowiedziała.

Maurycy chciał zobaczyć przyjaciółkę młodej dziewczyny albo przynajmniej usłyszeć jej głos, ale owinięta w mantylę jakby naumyślnie nie chciała powiedzieć ani słowa. Zdawało mu się nawet, że drżała.

Jej lęk obudził w Maurycym podejrzenie. Wbiegł czym prędzej na górę, wszedł do pierwszej izby i dostrzegł przez szklane drzwi, że królowa chowała do kieszeni jakiś papierek.

.- Oho - rzekł - czyżby mnie miano oszukać?

I zawołał kolegę.

- Obywatelu Agrykola - powiedział - wejdź do Marii Antoniny i ani na chwilę nie spuszczaaj jej z oka.

- Co, co? - spytał gwardzista. - Czy znowu...

- Wejdź tam, mówię ci, natychmiast, bez najmniejszej zwłoki.

Miejski gwardzista wszedł do królowej.

- Zawołaj żonę Tisona - rzekł do gwardzisty.

W pięć minut potem weszła żona obywatela Tisona z promiennym wyrazem twarzy.

- Widziałam swoją córkę - powiedziała.

- Gdzie? - spytał Maurycy.

- Tu właśnie, w tym pokoju.

- Dobrze, a czy twoja córka nie pragnęła widzieć się z Austriaczką?

- Nie.

- Nie wchodziła do niej?

- Nie.

- A czy podczas tej rozmowy z córką nikt nie wchodził do pokoju królowej?

- Alboż ja wiem? Patrzyłam cały czas na córkę, której nie widziałam od trzech miesięcy.

- Przyponmy no sobie dobrze.

CO

- Ach, prawda, zdaje mi się...

- No, co?

- Dziewczyna wychodziła.

- Maria Teresa?

- Tak.

. - I rozmawiała z twoją córką?

- Nie.

- Czy twoja córka nic jej nie dawała? ,

- Nie.

- A czy ona nie podnosiła czegoś z ziemi?

- Kto? Moja córka?

- Nie, córka Marii Antoniny.

- Tak, tak, podnosiła chustkę.

- Ach, nieszczęśliwa! - zawołał Maurycy.

I skoczył do sznurka od dzwonu, za który silnie po-
ciągnął.

Był to dzwon alarmowy.

XI

LIST

Dwaj inni miejscy gwardziści pośpieszyli czym prędzej
na górę. Towarzyszył im oddział żołnierzy.

Pozamykano drzwi i przy wejściu do każdego pokoju
ustawiono po dwóch ludzi na straży.

- Czego chcesz, panie? - spytała królowa Maurycyego,
gdy wszedł do jej pokoju. - Miałam się właśnie udać na
spoczynek, lecz oto obywatel gwardzista - tu królowa
wskazała na Agrykolę - wpadł nagle do mego pokoju, nie
mówiąc nawet, czego żąda.

- Pani - rzekł Maurycy kłaniając się - nie mój kolega, lecz ja sam mam z panią pomówić.

-- Pan? - spytała Maria Antonina, patrząc na Maury-

91

cego, którego postępowanie zjednało sobie u niej pewną wdzięczność. - I czegoż pan żądasz?

- Proszę, abyś mi pani raczyła oddać Ust, który chowałaś w chwili, gdy wchodziłem.

Królewska córka i księżniczka Elżbieta zadrżały. Królowa silnie pobladła.

- Mylisz się, panie, ja nic nie chowałam.

- Kłamiesz Austriacziko! - zawołał Agrykola. Maurycy szybkim ruchem położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

- Cierpliwości, kochany kolego, pozwól, niech ja pomówię z obywatelką. Jestem trochę prawnikiem.

- Dobrze, ale nie oszczędzaj jej.

- Chowałaś list, obywatelko - surowo rzekł Maurycy. - Musisz go nam oddać.

- Ale jaki list?

- Ten, który przyniosła córka Tisona i który twoja córka, pani - tu Maurycy wskazał na młodą księżniczkę - podniosła razem z chustką.

Trzy kobiety spojrzały na siebie z przerażeniem.

- Ależ, panie, to więcej niż tyrania! - powiedziała królowa. - Jesteśmy przecież kobietami!

- Nie mieszajmy jednego z drugim - rzekł Maurycy. - Nie występujemy w roli sędziów ani katów, jesteśmy tylko strażnikami, którzy obowiązani są pilnować cię, obywatelko. Mamy rozkaz. Naruszyć go zatem znaczyłoby zdradzić. Proszę, obywatelko, oddaj mi list, który schowałaś.

- Panowie - rzekła wyniośle królowa - "ponieważ jesteście strażnikami, szukajcie więc i pozbawcie nas snu

i dzisiaj, podobnie jak czynicie to już od kilku dni.

- Niech nas Bóg broni, ażebyśmy mieli podnieść rękę na kobietę. Każę uprzedzić Gminę i będziemy czekać na jej rozkazy, ale panie nie będziecie mogły spędzić nocy w łózkach. Będziecie musiały spać w fotelach, my zaś

02

będziemy was pilnować... Jeżeli zajdzie potrzeba, przystąpimy do rewizji.

- A co tam nowego? - spytała żona Tisona, wsuwając głowę przez drzwi. Na jej twarzy malował się przestach.

- To, obywatelko, że podając rękę zdradzie, pozbawiasz się na zawsze przyjemności widywania swej córki.

- Widywania mej córki? Co ty mówisz, obywatelu? - spytała zdziwiona Tison, nie rozumiejąc przyczyny, dla której by nie miała widywać swego dziecka.

- Córka twoja nie przyszła tu, aby się widzieć z tobą, lecz aby doręczyć list obywatelce Capet, i już więcej nie będzie miała prawa tu wejść.

- W takim razie, nigdy już jej nie zobaczę, bo nie wolno nam stąd wychodzić.

- Tym razem nie przypisuj winy nikomu, lecz sobie samej - rzekł Maurycy. ^

- O, sobie samej? - jęknęła biedna matka. - Jak to, powiadasz, sobie samej? Ręczę, że nic się nie stało. Gdybym była przekonana, że zaszło tu co złego, biada ci, Antonino, drogo byś za to zapłaciła.

I rozjątrzona kobieta pogroziła pięścią królowej.

- Nie groź nikomu - rzekł Maurycy. - Spróbuj raczej łagodnością osiągnąć to, czego pragniemy. Jesteś kobietą, a obywatelka Antonina, która również jest matką, zapewne zlituje się nad tobą. Jutro córka twoja zostanie aresztowana, uwięziona... Potem, jeżeli coś się wykryje, a wiesz, że jak zechcą, to zawsze coś wykryją, będzie zgubiona, tak jak i jej towarzyszka.

Stara Tison, która słuchała Maurycyego ze wzrastającą trwogą, rzuciła prawie błędne spojrzenie na królową.

- Czy słyszysz, Antonino?... Moja córka!... Moja córka może zginie przez ciebie!

Królowa zdawała się zatrwożona nie groźbą błyszczącą w oczach dozorczyńni, lecz rozpaczą, jaką w nich czytała.

93

- Zbliź się, moja Tison - rzekła - chcę z tobą pomówić.

- Hola! - zawołał kolega Maurycego. - Tylko bez żadnych szeptów. My tu, do licha, nie stoimy dla parady! Wszystko powinno się odbywać urzędowo!

- Pozwól, kolego Agrykola - rzekł mu Maurycy do ucha - abyśmy tylko doszli prawdy, mniejsza o sposób, w jaki jej dojdziemy!

- Masz słuszność, obywatelu Maurycy, ale...

- Chodźmy za szklane drzwi, obywatelu Agrykola, i jeśli mi ufasz, odwróćmy się. Jestem pewien, że osoba, której okazemy pobłażanie, nie każe nam tego żałować.

Królowa usłyszała powyższe słowa, umyślnie głośniej wymówione, i rzuciła pełne wdzięczności spojrzenie na młodzieńca. Maurycy, niby nie widząc tego, przeszedł za szklane drzwi, Agrykola zaś udał się za nim.

- Widzisz sam - powiedział do Agrykoli - że ta kobieta, chociaż winna jako królowa, jako kobieta posiada zaciąg i wielką duszę. Robimy dobrze, krusząc korony, gdyż będzie przez to oczyszczona.

_ Do kroćset! Jak ty pięknie mówisz, obywatelu Maurycy! - odpowiedział Agrykola. - Bardzo lubię słuchać ciebie i twojego kolegi Lorina. Czyżby to była poezja, to co powiedziałeś?

Maurycy uśmiechnął się.

Podczas tej rozmowy, po drugiej stronie szklanych drzwi odbywała się scena, którą przewidział Maurycy. Stara Tison zbliżyła się do królowej.

- Pani - rzekła Maria Antonina - rozpacz twoja rozdziera mi serce. Nie chcę pozbawiać cię dziecka, to okropne, lecz pomyśl, iż może nie ocalę twej córki, mimo że uczynię to, czego ci ludzie żądają.

- Uczyń, jak żądają! - zawołała Tison. - Uczyń!

- Ale dowiedz się przynajmniej, o co chodzi.

94

- O cóż chodzi? -
wprost ciekawością.

zapytała dozorczyń z niesłychaną

- Twoja córka przyprowadziła tu z sobą przyjaciółkę.

- Tak, " taką samą jak ona wyrobnicę. Nie chciała
przyjść sama, bo bała się żołnierzy.

- Ta przyjaciółka dała twej córce list, który ona upuściła Maria przechodząc podniosła go. Jest to zapewne nic
nie znaczący papier, ale ludzie złej woli mogą mu przypisać
jakieś znaczenie. Przecież gwardzista powiedział ci, że
jeżeli chcą coś znaleźć, to zawsze znajdą.

- Cóż więcej?

- Już nic. Chcesz, abym oddała ten papier, ale czy
chcesz także, abym poświęciła przyjaciela, nie ocalając
może twej córki?

- Uczyń, jak żądają! - zawołała kobieta.

- Ale leżeli ten papier skompromituje twoją córkę... -
rzekła królowa. - Zrozum przecież...

- Moja córka jest równie dobrą jak i ja patriotką! -
krzyczała dozorczyń. - Dzięki Bogu, Tisonów znają
wszyscy. Uczyń, jak żądają!

- O mój Boże! - powiedziała królowa. - Jakże bym
chciała cię przekonać.

- Oddaj mi moją córkę! Ja chcę widzieć moją córkę! -
wołała znowu stara Tison, tupiąc nogami. •- Dawaj ten
papier, Antonino, dawaj go!

- Oto jest.

To mówiąc, królowa podała nieszczęśliwej papier, ta zaś
porwawszy go, radośnie wzniosła nad głowę, wołając:

- Chodźcie! Chodźcie, obywatele gwardziści! Mam już papier. Weźcie go, a oddajcie mi moje dziecko.

- Poświęcasz naszych przyjaciół, siostró - rzekła księżniczka Elżbieta.

- Nie, siostró - smutnie odpowiedziała królowa - poświęcam tylko nas. List ten nikogo nie może skompromitować.

as

Na krzyk starej Tison Maurycy i jego kolega zbliżyli się do niej, ona oddała im list, który oni otworzyli. List

brzmiał:

„Na wschodzie czuwa jeszcze przyjaciel.”
Maurycy zadrżał, gdy tylko rzucił okiem na papier.
Zdawało mu się, że widzi znajomy charakter pisma.

- Boże! - zawołał. - Czyżby to miała być ręka Genowefy? O, nie, niepodobna, jam chyba szalony! Prawda, że pismo bardzo jest podobne do jej pisma, ale cóż by Genowefa mogła mieć wspólnego z królową?

Obejrzał się i spostrzegł, że Maria Antonina przygląda mu się. Stara Tison, czekając na wyrok, również pożerała wzrokiem Maurycego.

- Spełniłaś dobry uczynek - rzekł do żony Tisona - a ty, obywatelko, spełniłaś piękny czyn - powiedział do królowej.

- Skoro tak, mój panie - odpowiedziała Maria Antonina - idź za moim przykładem i spal ten papier, a spełnisz czyn litościwy.

- Żartujesz, Austriaczko - odezwał się Agrykola. - Mamy spalić papier, który może nam pomóc do wyśledzenia całego gniazda arystokratów? Na honor, to byłoby bardzo głupie.

- Właściwie, spalcie go - powiedziała Tison - bo może skompromitować moją córkę.

- Oczywiście, i nie tylko twoją córkę, ale i wielu in-

nych - rzekł Agrykola, biorąc z rąk Maurycego papier, który byłby spalił, gdyby był sam.

W dziesięć minut później złożono ów list w biurze Gminy, gdzie natychmiast został otwarty i na wszystkie strony komentowany.

- „Na wschodzie (a l'Orient) czuwa przyjaciel!” - rzekł jakiś głos. - Co to, u diabła, może znaczyć?

- Do licha - odpowiedział pewien geograf - to chodzi o Lorient, to jasne jak na dłoni. I-orient jest to małe mia-

9S

•teczko w Bretanii, między Vannes a Quimper. Trzeba, do pioruna, spalić to miastecziko, jeżeli to prawda, iż jest tam dużo arystokratów, czuwających jeszcze nad Austriaczką.

- Jest to miejsce tym niebezpieczniejsze - rzekł drugi - że Lorient to port morski, w którym można nawiązać kontakt z Anglikami.

- Wnoszę - powiedział trzeci - aby wysłano komisję do Lorient i nakazano przeprowadzić ścisłe śledztwo.

Niektórzy członkowie śmieli się z tego wniosku, lecz większość przychylnie się do niego ustosunkowała. Postanowiono wysłać do Lorient komisję, mającą wszcząć śledztwo przeciwko arystokratom.

Maurycego zawiadomiono o tej naradzie.

„Domyślam się, gdzie maże być ów wschód (l'Orient), o którym mowa - pomyślał sobie. - Na pewno nie w Bretanii.”

Nazajutrz królowa, która, jak powlc<tóeliśmy, nie udawała się do ogrodu, aby nie przechodzić obok pokoju będącego kiedyś więzieniem jej męża, zapragnęła wraz ze swą córką i księżniczką Elżbietą wejść na wieżę, aby zażyć świeżego powietrza.

Przychylono się natychmiast do tego żądania, lecz za uwięzionymi udał się także Maurycy i ukryty za małą budką, znajdującą się u szczytu schodów, czekał na rezultat wczorajszego listu.

Królowa zrazu z obojętnym wyrazem twarzy przechadzała się z córką i księżniczką Elżbietą, potem jednak za-

trzymała się i podczas gdy obie księżne dalej odbywały przechadzkę, obróciła się na wschód i pilnie wpatrywała w dam, w oknach którego pojawiło się kilka osób. Jedna z nich trzymała w ręku chustkę.

Maurycy wydobyl 2 kieszeni lunetę, lecz podczas gdy ją ustawiał, królowa uczyniła gwałtowny ruch, jakby dając anała ciekawym, aby odeszli od okna. Maurycy jednak dofrtnu^l j-ai był gloy/^ m^iczymy o ja Mych włosach,

r-A. r. u „,-AL

(^

bladej cerze, którego ukłon cechowała pełna uszanowania uniżoność.

Za młodzieńcem, który liczył dwadzieścia pięć lub dwadzieścia sześć lat, ukrywała się jakaś kobieta.

Maurycy skierował na nią lunetę i drgnął, bo mu się zdawało, że poznał Genowefę. Owa kobieta, która również trzymała w ręku lunetę, odskoczyła natychmiast do tyłu, pociągając za sobą młodego człowieka. Czy była to istotnie Genowefa? Czy także poznała Maurycyego? Czy obydwoje oddalili się od okna na znak dany przez królową?

Maurycy czekał przez chwilę, chcąc przekonać się, czy młodzieniec i jego towarzyszka pokażą się jeszcze w oknie. Gdyby to nie nastąpiło, polecił swemu koledze Agrykoli, aby pilnie uważał na wszystko, sam zaś zbiegł szybko po schodach i ukrył się za rogiem ulicy Porte-Foin, aby przekonać się, czy owe ciekawe osoby nie wyjdą ze wspomnianego domu. Zawiodły go jednak oczekiwania.

Wówczas, nie mogąc oprzeć się podejrzeniu, dręczącemu go okropnie od chwili, gdy towarzyszka młodej Tison uparła się, aby zachować milczenie, pobiegł ku starej ulicy Saint-Jacques i przybył tam pełen najdziwniejszych domysłów.

Gdy wszedł, zastał Genowefę w białym szlafroku, oczekującą w pokrytej jaśminami altance na śniadanie, które jej tam zwykle przynoszono. Przywitała Maurycyego jak najprzyjaźniej i zaprosiła na filiżankę czekolady.

Dixmer ucieszył się także z tak niespodziewanych odwiedzin. Lecz nim Maurycy wypił czekoladę, Dixmer, zawsze pełen zapału jeśli chodzi o zawodowe sprawy, zaprosił go, aby zwiedził warsztaty.

Maurycy uczynił zadość jego propozycji.

- Dowiedz się, mój kochany Maurycy - rzekł Dixmer biorąc go pod rękę i prowadząc z sobą - o bardzo ważnej rzeczy.

S3

-- Czy to jakaś wiadomość polityczna? - spytał Maurycy, ciągle zajęty swoimi myślami.

- E, drogi obywatelu - rzekł Dixmer z uśmiechem - czy my się wtrącamy do polityki? Nie, jest to wiadomość czysto zawodowa. Oto mój zacny przyjaciel Morand, który, jak ci wiadomo, należy do najznakomitszych chemików, wynalazł sekret wyrobu pąsowego safianu, jakiego dotąd jeszcze nie widziano. Jego kolor jest trwały. Chcę ci pokazać tę farbę, i poza tym zobaczysz Moranda przy robocie. To prawdziwy artysta.'

Maurycy nie bardzo rozumiał, jak można być artystą w dziedzinie pąsowego safianu, poszedł jednakże za Dixmerem, i minawszy warsztaty, znalazł się w oficynie, gdzie zastał Moranda przy robocie. Był w okularach i roboczym ubraniu, i rzeczywiście zdawało się, że jest bardzo zaabsorbowany pracą nad otrzymaniem pąsowej skórki. Jego gołe ręce, widoczne spod zawiniętych rękawów koszuli, były pokryte czerwonym barwnikiem aż po łokcie. Tak jak powiedział Dixmer, z całą radością kąpał je w koszenili.

Zajęty pracą, ledwie kiwnął głową Maurycemu.

- I cóż, obywatelu Morand - spytał Dixmer - nic nam nie powiesz?

- Stosując tę metodę, zyskamy sto tysięcy liwów rocznie - powiedzą! Morand. - Ale też nie sypiam od tygodnia, a kwasy przepaliły mi oczy.

Maurycy zostawił Dixmera i Moranda, a sam wrócił do Genowefy, mrużąc po cichu:

- Trzeba przyznać, że zajęcie gwardzisty może ogłupić nawet bohatera. Po tygodniu pobytu w Tempie człowiek gotów by samego siebie wziąć za arystokratę i sam się zadenuncjować. Ten Dixmer to taki dobry chłop, Morand taki dzielny, Genowefa tak pełna słodyczy! No, proszę, a ja przez chwilę powziąłem w stosunku do nich podejrzenie.

T*

99

Genowefa czekała na Maurycego r. uroczym uśmiechem, aby tym samym zmusić go do pozbycia się podejrzeń, które powziął istotnie. Była jak zwykle pełna czaru. Godziny, w ciągu których Maurycy patrzył na Genowefę, były dla niego godzinami prawdziwego, realnego życia. Przez resztę dnia trawiła go gorączka, którą by można nazwać gorączką roku 1793, gdyż dzieląc Paryż ^ia dwa obozy, co chwila wywoływała między nimi nową walkę.

Około południa musiał jednak pożegnać Genowefę i wrócić do Tempie.

Przy końcu ulicy' Sainte-Ayoye spotkał Lorina wracającego z warty. Opuścił on swój szereg i zbliżył się do Maurycego, którego twarz jaśniała jeszcze błogą radością, jaką widok Genowefy napawał jego serce.

- A! - rzekł Lorin, ściskając dłoń przyjaciela:

Na próżno skrywasz, nieszczęśliwy,
Oczu twych blask, serca twego bicie,
Nie mówisz nic, lecz wzdychasz tylko,
Miłość wypełnia ca'e twoje życie.

Maurycy włożył rękę do kieszeni, niby szukając klucza, w ten bowiem sposób powstrzymywał zwykle poetyczne zapędy swego, przyjaciela. Ale ten spostrzegł jego ruch i ucichł, śmiejąc się.

- Ale, ale... - rzekł wracając się - zostajesz na trzy dni w Tempie, mój Maurycy, polecam ci więc małego Capeta.

X(|

MIŁOŚĆ

Od pewnego czasu Maurycy czuł się szczęśliwy i nieszczęśliwy zarazem. Taki zwykle bywa początek ?'in.,ch namiętności.

Dni wypehnaŁi mu praca w Lekcji Lepelletier, odwiedzi-ny pray ulicy Sairit-Jacquea i wizyty w klubie Termopile.

Nie tał przed sobą, że widując codziennie Genowefę, wychyla pełnym haustem kielich beznadziejnej miłości.

Genowefa należała do rzędu kobiet nieśmiałych, które szczerze podają rękę przyjacielowi, dla których jednak słówko miłosne zdaje się być przekleństwem, a pożądanie zmysłowe - świętokradztwem.

Genowefa nie brała żadnego udziału w pracy męża i była jakby niczym z nim nie związana. Tchnąca świeżością i zapachem kwiatów, wśród których najczęściej widział ją Maurycy, wydawała mu się żyjącą zagadką, której znaczenia nie mógł rozwiązać i rozwiązania której nie śmiał żądać.

Pewnego wieczoru siedzieli oboje, jak zwykle, przy oknie, przez które owej pamiętnej nocy wskoczył tak niespodziewanie Maurycy. Powietrze wypełniała woń kwitnących bzów, czuć było lekki powiew wiatru. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Maurycy przerwał długie milczenie, w czasie którego śledził spojrzenie Genowefy, wpatrującej się w gwiazdę, błyszczącą na czystym tle nieba. Zapytał ją, Jał to się stało, że ona, tak młoda, ma męża o tyle lat od siebie starszego, że tak nad nim góruje pod względem pochodzenia i wykształcenia, że jest tak pełna romantyzmu, kiedy, przeciwnie, Dbcmer zdaje się jedynie interesować ważemem, rozwieszaniem i farbowaniem skór w swej pracowni.

- Skąd wreszcie u garbarza ta harfa, fortepian, farby, którymi pani maluje, jak to z jej własnych ust słyszałem? - spytał Maurycy. - Skąd ta wielkopańskość, której u innych tak nienawidzę, a którą u pani tak uwielbiam?

Genowefa rzuciła na Maurycyego pełne słodczy spojrzenie.

- Dziękuję za to pytanie - rzekła. - Świadczy ono,
191

że jest pan człowiekiem wyrozumiałym i że pan nigdy nikogo o mnie nie wypytywał.

- Nigdy, pani - odpowiedział Maurycy. - Mam przyjaciela, który jest do mnie ogromnie przywiązany, gotów poświęcić dla mnie życie, mam stu towarzyszy, którzy pójdą za mną wszędzie, gdzie ich poprowadzę. Ale jeśli chodzi o kobietę, a zwłaszcza taką, jak Genowefa, znam tylko jedno serce, któremu wierzę. Moje serce.

- Dziękuję ci, Maurycy - odrzekła młoda kobieta. - Powiem ci więc sama wszystko, o czym pragniesz wie-

dzieć.

-- Przede wszystkim, jakie jest pani panięskie nazwisko - spytał Maurycy - bo znam tylko nazwisko z męża?

Genowefa zrozumiała podyktowany miłością egoizm, tkwiący w tym pytaniu i uśmiechnęła się zalotnie.

- Nazywam się Genowefa du Treilly - rzekła.
Maurycy powtórzył:

- Genowefa du Treilly?

- Wojna amerykańska - mówiła dalej Genowefa - w której mój ojciec i starszy brat brali udział, doprowadziła moją rodzinę do upadku.

- Obaj więc byli szlachcicami - rzekł Maurycy.

- Nie, nie - zarumieniwszy się odparła Genowefa.

- Mówiła mi pani jednak, że nazywa się z domu Genowefa du Treilly.

- Bez „du”, panie Maurycy. Rodzina moja była bogata, lecz nie szlacheckiego pochodzenia.

- Pani mi niedowierza - rzekł z uśmiechem młodzieniec.

- O nie, nie - przerwała Genowefa. - W Ameryce ojciec mój wszedł w stosunki z ojcem pana Morand, a pan Dixmer był pełnomocnikiem pana Morand. Wiedząc, żeśmy podupadli i że pan Dixmer posiada znaczny majątek, pan Morand przedstawił go memu ojcu, a ten mnie z nim posnął. Przypuszczam, że z góry już ułożyli małżeństwo,

że żądała go moja rodzina, ^ ponieważ nigdy nikogo nie kochałam, więc się na nie zgodziłam. Od trzech lat jestem żoną Dixmera i muszę przyznać, że przez cały czas mąż mój był dla mnie tak dobry, tak wyrozumiały, że mimo różnicy wieku i upodobań, które pana tak uderzyły, ani na chwilę nawet nie pożałowałam tego kroku.

- Ale gdy pani zaślubiła pana Dixmera, nie stał on jeszcze na czele fabryki? - zapytał Maurycy.

- Nie, mieszkaliśmy wówczas w Blois. Po wypadkach w dniu dziesiątym sierpnia Dixmer kupił ten dom i warsztaty, które doń należą. Abym nie miała nic wspólnego

z robotnikami, abym nie widziała rzeczy, mogących razić moje, jak powiadają, nieco arystokratyczne przyzwyczajenia, Dixmer przeznaczył dla mnie ten pawilon, w którym żyję samotnie, według mojego gustu i chęci, szczęśliwa, jeżeli podobny do pana przyjaciel zjawi się, aby przerwać lub dzielić moje marzenia.

To mówiąc, podała rękę młodemu człowiekowi, który z zapalem ją ucałował.

Genowefa zarumieniła się lekko.

- Teraz, mój przyjacielu - rzekła, cofając rękę - wiesz, jakim sposobem zostałam żoną pana Dixmera.

- Wiem - zaczął znów Maurycy, wpatrując się w Genowefę - ale nie mówi mi pani, jakim sposobem pan Morand został współnikiem pana Dixmera.

- To bardzo proste - odpowiedziała Genowefa. - Pan Dixmer, jak już wspomniałam, miał sporo pieniędzy, ale nie tyle znowu, aby podjąć się na własne ryzyko otwarcia tak ogromnego zakładu. Syn pana Morand, jego protAto-
ra, o czym już także wspomniałam, syn przyjaciela mojego ojca dał połowę funduszu, a ponieważ jest to doskonały chemik, poświęcił się pracy z zapalem i wytrwałością, które sam pan widział. Dzięki temu fa!;r,-3<a pana Dixmera ogromnie się rozwinęła.

m

- Pan Morand zatem należy także do dobrych przyjaciół pani, nieprawdaż?

- Pan Morand jest człowiekiem pełnym najwznieślej-
szych i najszlachetniejszych uczuć - poważnie odpowiedziała Genowefa.

- Jeżeli oprócz podzielenia z panem Dixmerem kosztów założenia fabryki i wynalezienia nowego sposobu farbowania safianu nie dał państwu innych dowodów przyjaźni - rzekł Maurycy, urażony nieco wysokim uznaniem dla współnika męża młodej kobiety - pozwól mi pani uczynić uwagę, że pochwały jej są zbyt przesadne.

_ Dał mi również inne dowody - odrzekła Genowefa.

- Ale to jeszcze człowiek młody, jakkolwiek przez to, że nosi zielone okulary, trudno określić jego wiek, prawda?

- Ma trzydzieści pięć lat.

- Od dawna znacie się ze sobą?

- Od dzieciństwa.

Maurycy przygryzł usta. Podejrzewał od dawna Moranda, że kocha penowefę.

- Ach, więc to jest przyczyną jego poufałości w stosunku do pani - powiedział.

- Zawartej zawsze w granicach, które pan widział - przerwała z uśmiechem Genowefa. - Sądzę, że ta przyjacielska poufałość nie wymaga tłumaczenia.

- O, przebac mi, pani! - zawołał Maurycy. - W każdym silnym uczuciu tkwi zazdrość. Moje uczucie przyjaźni zbudziło zazdrość w stosunku do pana Morand, któremu zdawałaś się okazywać tyle życzliwości.

Zamilkła Genowefa nie odzywała się także. Tego dnia nie mówiono już więcej o Morandzie. Maurycy pożegnał Genowefę bardziej niż kiedykolwiek rozkochany, bo zazdrosny.

Zaślepiiony, targany namiętnością, młodzieniec nasz nie cacuł ani -nie dostrzegwał w apowis.da.ruu G^s.cws.fy widu

nie-doiniówi-Eń, ale później w Rys&o to przyszło mu na myśl. I dziwnie go dręczyło. Nie mogła go też uspokoić ani nieograniczona swoboda, na jaką pozwalał mu Dixmer w rozmowie z Genowefą, ani samotność, w której oboje spędzali każdy wieczór. Co więcej, Maurycy, gdy stał się stałym gościem Dixmerów, nie tylko cieszył się pełnym bezpieczeństwem u boku Genowefy, ale towarzyszył jej w wyprawach po drobne zakupy, które niekiedy musiała czynić w swojej dzielnicy.

W atmosferze zażyłości, jakiej zaznał w domu Dixmerów, niemało dziwiła Maurycyego pewna okoliczność. Otóż im bardziej starał się poznać Moranda, aby określić dokładnie uczucie, które, jak mniemał, ten żywił dla Genowefy, im ściślej pragnął nawiązać stosunki z tym człowiekiem, którego rozsądek i sposób bycia coraz bardziej go ujmowały, tym bardziej Morand zdawał się od niego odsuwać. Z tego powodu uskarżał się przed Genowefą, bo nie wątpił, że Morand odgadł w nim rywala i że unika go jedynie na skutek zazdrości.

- Obywatel Morand nienawidzi mnie - powiedział pewnego dnia do Genowefy.

- Nienawidzi? - rzekła Genowefa, patrząc nań swymi pięknymi i zdziwionymi oczyma. - Morand pana nienawidzi?

- Jestem tego najzupełniej pewny.

- Dlaczego?

- Czy pozwoli pani, abym jej wyznał prawdę? - zawołał Maurycy.

- Bardzo proszę - odpowiedziała Genowefa.

- Bo, bo...

Zawahał się, chciał powiedzieć: „Bo ja cię kocham, pani.”

- Nie mogę powiedzieć dlaczego - dodał rumieniąc się. Maurycy, nieustraszony republikanin, był wobec Genowefy nieśmiały jak panienka.

tSS.

Genowefa uśmiechnęła się znacząco.

- Bo - dodała - nie żywiecie ku sobie sympatii. Pan ma charakter zapalczywy, błyskotliwy umysł, jest pan człowiekiem kulturalnym, a Morand... to chemik o zmyśle kupieckim. Poza tym, jest nieśmiały, skromny... i nie ma odwagi uczynić pierwszego kroku w stosunku do pana.

- Któż żąda, aby pierwszy szukał zbliżenia ze mną? Ja nieraz już o to się starałem, ale widzę, że mnie unika. Nie, nie - dodał Maurycy, zwieszając głowę - inna jest zupełnie przyczyna tej niechęci.

- Jaka zatem?

-Maurycy nie odpowiedział.

Nazajutrz przybył o godzinie drugiej po południu i zastał Genowefę gotową do wyjścia.

- A to doskonale się złożyło! - zawołała. - Będziesz mi pan służył za towarzysza.

- Dokąd pani się wybiera? - zapytał młody człowiek,

- Do Auteuil. Pogoda jest tak prześliczna, że pragnę z niej skorzystać i zażyć przechadzki. Pojedziemy naszym powozem za rogatki, stamtąd pójdziemy pieszo do Auteuil. Gdy tylko załatwię swoje sprawy, wrócimy do domu.

- O, to znaczy, że ofiarowuje mi pani cudowny dzień! - rzekł Maurycy zachwycony.

Wyjechali. Minąwszy Passy, wysiedli z powozu i poszli dalej piechotą.

W Auteuil Genowefa się zatrzymała.

- Proszę zaczekać na mnie w parku - rzekła. - Wróć, jak tylko załatwię swoje sprawy.

- Do kogo pani idzie? - spytał Maurycy.

- Do przyjaciółki.

- A ja nie mogę pani odprowadzić?

Genowefa z uśmiechem poruszyła przecząco głową.

- Niepodobna... - rzekła.
Maurycy przygryzł wargi.

- Dobrze - powiedział - zaczekam.

306

;

l

- I cóż? - spytała Genowefa.

- Nic - odpowiedział Maurycy. - Czy długo pani tam zabawi?

- Przykro mi, że zabieram panu tyle czasu. Może pan miał jakieś zajęcie? - zapytała Genowefa. - Gdybym o tym wiedziała, nie prosiłabym pana o wyświadczenie mi tej drobnej przysługi. Poprosiłabym...

- Pana Morand - zawołał żywo Maurycy.

- Wie pan przecież, że Morand pojechał do fabryki w Rambouillet i że wróci dopiero wieczorem.

- Więc jedynie tej okoliczności zawdzięczam to szczęście?

- Panie Maurycy - rzekła łagodnie Genowefa - osoba, do której się udaję, nie może na mnie tak długo czekać. Jeżeli jest to panu nie na rękę, niech pan wraca do Paryża, ale proszę odesłać mi powóz.

- Nie, nie - odpowiedział żywo młody człowiek - będę czekał, dopóki pani nie wróci.

I uklonił się Genowefie. Ona z kolei lekko westchnęła i poszła.

Maurycy przechadzał się tam i z powrotem, ścinając łaską trawki, kwiaty i osty.

Ile by dał za to, żeby się dowiedzieć, czy Genowefa go kocha. Traktowała go jak siostra i przyjaciółka, ale czuł, że mu to nie wystarcza. Wypełniała wszystkie jego myśli, zjawiała się w nocnych marzeniach. Dawniej pragnął tylko na nią patrzeć, teraz już mu to nie wystarczało - pragnął, aby go kochała.

Genowefa bawiła w Auteuil całą godzinę, co Maurycemu wydawało się wiekiem. Nareszcie spostrzegł, że wraca, że idzie ku niemu uśmiechnięta. Poszedł naprzeciwko niej, zmarszczywszy brwi. Tęże to już jest, że biedne serce nawet na progu szczęścia pogrąża się w cierpieniu.

Genowefa zaś, uśmiechając się, ujęła rękę młodzieńca.

!•»'?

- Otóż jestem, mój przyjacielu - powiedziała. - Przebac mi, żeś tak długo czekał.

Maurycy odpowiedział jej skinieniem głowy. Po chwili podążyli prześliczną cienistą aleją, która miała zaprowadzić ich na gościniec.

Był to jeden z owych cudownych, wiosennych wieczorów, kiedy każda roślina wypuszcza z ziemi kiełek, kiedy każdy ptaszek siedzący nieruchomo na gałązce śle Stwórcy hymn miłości. Był to jeden z wieczorów, które później wiecznie się wspomina.

Maurycy milczał. Genowefa szła zamyślona i wrywała kwiatki z bukietu, który trzymała w lewej ręce, wspartej

na ramieniu Maurycego.

- Co pani jest? - zapytał nagle Maurycy. - Dlaczego pani dziś taka smutna?

Genowefa rzuciła nań swoje słodkie i ciepłe spojrzenie i odpowiedziała:

- Czy pan nie jest dziś także smutniejszy niż zwykle?

- Ja? - odpowiedział Maurycy. - Ja mam powód do smutku, jestem nieszczęśliwy, ale pani...

- Pan, nieszczęśliwy?

- Czy czasem, choćby po drzeniu mego głosu, nie domyśla się pani, że cierpię? Czyż nieraz w czasie rozmowy z panią lub jej mężem nie zrywam się nagle, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, gdyż duszność o mało nie rozsadzi mi piersi?

- A czemu przypisuje pan to cierpienie? - spytała zakłopotana Genowefa.

- Gdybym był przewrażliwiony - odrzekł z bolesnym uśmiechem Maurycy - powiedziałbym, że mam słabe nerwy.

- A w tej chwili, czy cierpi pan także?

" •- O, i jak jeszcze! - odrzekł Maurycy.

- Więc wracajmy.

- Już?

m

- No, naturalnie.

- Ach, prawda - szepnął młody człowiek. - Zapomniałem, że pan Morand ma wrócić wieczorem z Rambouillet i że to już właśnie wieczór.

- Znowu? - powiedziała.

- Dlaczego pani tak wychwalała przede mną pana Molanda?

- Od kiedyż to - spytała Genowefa - wobec tych, których poważamy, nie wolno wyrażać swego zdania

o tych, którzy również zasługują na szacunek?

- I w tej chwili zapewne nic innego tylko szacunek powoduje, że przyśpiesza pani kroku z obawy spóźnienia się choćby o kilka minut.

- Jesteś dziś okrutnie niesprawiedliwy, panie Maurycy. Czyż nie spędziłam z tobą większej części dnia?

- To prawda. Istotnie, jestem zbyt wymagający - powiedział Maurycy, puszczając wodze swej porywczoności. -- No, chodźmy, bo tam pan Morand czeka. Chodźmy.

Genowefa poczuła się dotknięta.

- Tak jest - rzekła - chodźmy zobaczyć pana Morand. On jest moim prawdziwym przyjacielem, on mi nigdy jeszcze nie sprawił żadnej przykrości.

- Nieoceniony przyjaciel - rzekł Maurycy, dusząc się z zazdrości. - Jeśli chodzi o mnie, to chciałbym mieć również takiego przyjaciela.

W tym momencie znaleźli się już na gościńcu. Niebo było różowe, słońce chyliło się coraz niżej, rzucając ostatnie promienie na złocone kopuły kościoła Inwalidów. Pierwsza gwiazda, ta sama, na którą pewnego wieczoru rwródlą uwagę GenowefaC, błyszczała na lazurze nieba.

Ze smutkiem pełnym rezygnacji młoda kobieta puściła ramię Maurycego.

- Dlaczego sprawia mi pan tyle cierpienia? - spytała

- 3 4atego - odrzekł Maurycy - że jostoro mniej m;'''.-'

ny niż inni moi znajomi, dlatego że nie umiem wzbudzić ku sobie miłości.

- Maurycy! - powiedziała Genowefa.

- On dlatego jest zawsze taki dóbr;' ł stały w uczuciach, bo on tak nie cierpi jak ja.

Genowefa oparła znowu swoją białą rękę na silnym ramieniu Maurycego.

- Proszę nie mówić już nic więcej, nic więcej - rzekła wzruszonym głosem.

- Dlaczego?

- Bo głos pana sprawia mi ból.

-- Wszystko się więc pani nie podoba, nawet mój głos ją razi...

- Milcz, zaklinam cię.

- Dobrze - odpowiedział rozgorączkowany młodzieniec, przesuwając rękę po wilgotnym od potu czole.

Genowefa zauważyła, że jej towarzysz cierpi rzeczywiście.

- Jesteś moim przyjacielem, Maurycy - rzekła patrząc nań z niebiańskim wyrazem twarzy - przyjacielem bardzo droгим. Spraw więc, abym cię nie utraciła.

- O, zapewne niedługo by mnie pani żałowała - powiedział Maurycy.

- Mylisz się - przerwała Genowefa - żałowałabym cię długo, zawsze.

- Genowefo! Genowefo! - zawołał Maurycy. - Miej litość nade mną!
Zadrżała.

Maurycy po raz pierwszy z takim uczuciem wymówił jej imię.

- Dobrze więc - zaczął znowu - dobrze, kiedyś odgadła pani część prawdy, pozwól, niech ci wyznam wszystko, chociażbyś mnie miała zabić swym wzrokiem... I tak już zbyt długo milczę.

- Panie - odezwała się młoda kobieta - zaklinam cię
110

na naszą przyjaźń, abyś milczał. Błagam, uczyn to dla mnie, jeżeli już nie dla siebie samego. Na miłość boską, ani słowa więcej! Ani słowa!

- Przyjaźń! Przyjaźń! A jeżeli taką samą jak dla mnie żywisz pani i dla pana Moranda? Ja gardzę taką przyjaźnią, Genowefo, ja więcej wymagam niż inni.

- Dostyc - powiedziała z dumą pani Lindey - dostyc, panie Lindey. Oto nasz powóz. Racz mnie pan odwiedzić do

męża.

Maurycy drżał ze wzruszenia. Gdy Genowefa, idąc do powozu stojącego o kilka kroków, wsparła znów rękę na jego ramieniu, zdawało mu się, że ręka ta była w płomieniach. Wsiadli - Genowefa w głębi powozu, Maurycy na przedzie. Przejechali przez cały Paryż nie powiedziawszy ani słowa.

Pani Dixmer przez całą drogę trzymała chustikę przy oczach.

Gdy przybyli do domu, mąż zajęty był w pracowni. Morand wrócił przed chwilą z Rambouillet i właśnie się przebierał. Genowefa, wchodząc do swego pokoju, podała rękę Maurycemu i powiedziała:

- Żegnam de, Maurycy, sam tego chciałeś.

Nie odpowiedział nic, tylko zbliżył się do kominka, nad którym wisiała jej 'miniatura, ucałował ją z zapalem, przycisnął do serca, zawiesił na dawnym miejscu i wyszedł.

Wrócił do siebie, nie wiedząc, jak to się stało. Przeszedł cały Paryż, nic nie widząc ani nie słysząc. Wszystko, co zaszło, wydawało mu się snem. Nie był w stanie zdać sobie sprawy ani ze swych czynów, ani ze słów, ani z uczucia, które je podyktowało. Są chwile, kiedy najbardziej pogodny, opanowany umysł ulega podszeptom podświadomości.

Maurycy, wracając do siebie, raczej biegł niż szedł. Rozebrał się bez pomocy służącego i nie odpowiedział kucharce, która prosiła go na kolację. Wziął ze stołu listy,

111

odczytał je po kolei, ale nie zrozumiał ani jednego słowa. Mgła zazdrości, przyćmiewająca rozsądek, jeszcze się nie rozproszyła.

Położył się o godzinie dziesiątej, czyniąc to równie machinalnie jak wszystko, co czynił od czasu rozstania się z Genowefą.

Gdyby mu ktoś opowiedział o jego dziwnym postępowaniu, on, zawsze tak opanowany, nie mógłby tego zrozumieć, nazwałby szaleńcem człowieka, który dopuścił się tak rozpaczliwego czynu, zwłaszcza że nie upoważniało go do tego zaufanie, jakie okazywała mu Genowefa. Czuł, że

zadał straszliwy cios nadziejom, z których nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy, nadziejom, na których opierały się wszystkie jego marzenia o szczęściu.

Maurycy doświadczył tego, co zawsze ma miejsce w podobnych wypadkach: ogłuszony doznany cios, usnął natychmiast, skoro tylko znalazł się w łóżku.

Obudził go szmer otwieranych przez służącego drzwi. Przyszedł jak codziennie, by pootwierać w pokoju sypialnym okna, i przyniósł kwiaty.

Maurycy bardzo lubił kwiaty, które w roku 1793 hodowano z zamiłowaniem, ale teraz nie rzucił nawet na nie okiem - na wół siedząc oparł na dłoni ociężałą głowę i usiłował przypomnieć sobie minione wypadki.

Pytał sam siebie, dlaczego był wczoraj w tak złym humorze, ale nie mógł znaleźć na to odpowiedzi. Dał się opanować uczuciu zazdrości w stosunku do Moranda, ale zrozumiał, iż chwila była niewłaściwa, gdyż człowiek ten przebywał w Rambouillet. Był z ukochaną kobietą, mógł cieszyć się tym sam na sam i urokiem, jaki roztacza przyroda w pierwszych dniach wiosny. Nie zazdrość więc była powodem jego złego humoru.

Nie był to także brak zaufania z powodu wyprawy do Auteuil, dokąd towarzyszył Genowefie i gdzie bawiła całą godzinę. Nie. Dręczyła go tylko nieustannie myśl, że Mo-

t

raad & w;ba Genowefę. Mogło to być tylko urojente c-zy kaprys wyobraźni, bo wspólnik Dixmera ani gestem, ani spojrzeniem, ani słowem nie dał żadnych powodów do takiego przypuszczenia.

Głos służącego wyrwał go z zadumy.

. - Obywatelu - rzekł, pokazując Maurycemu listy, leżące na stole - czy to do schowania, czy do spalenia?

- Co? - spytał Maurycy.

- Listy, które obywatel wczoraj, kładąc się spać, czytał. Maurycy nie pamiętał, co czytał.

- Spal wszystkie - odpowiedział.

- A tu są dzisiejsze, obywatelu - rzekł służący, po-

dając Maurycemu nowe listy, a stare niosąc do kominka.

Maurycy wziął podaną sobie paczkę, uczuł lak pod palcami i wydało mu się, że owionął go jakiś znajomy zapach.

Wśród listów znalazł jeden z pieczętką, na widok której zadrżał.

Ów mężczyzna, tak silny wobec każdego niebezpieczeństwa, teraz zbladł, poczuwszy zapach papieru. Służący, widząc nagłą zmianę, zbliżył się i zapytał:

- Co ci jest, obywatelu?

Maurycy zamiast odpowiedzi pokazał mu drzwi. Potem, obracając ów list na wszystkie strony - przeczuwał bowiem, że zwiastuje nieszczęście - zadrżał jak przed czymś nieznanym.

Zebrał w sobie jednak całą odwagę i przeczytał, co następuje:

„Obywatelu Maurycy!

Musimy zerwać łączące nas stosunki, bo boję się, że przekroczysz granice przyjaźni. Jesteś, obywatelu, człowiekiem honoru, kiedy więc cała noc dzieli nas od wczorajszych wypadków, sędzę, że pojmujesz, iż odtąd twoja bytność w naszym domu stała się niepodobieństwem. Liczę, że znajdziesz jakiś sposób na usprawiedliwienie się

» --• A. Diiiws

na

przed moim mężem. List do pana Dixmera, który zapewne dziś jeszcze przyślesz, przekona mnie, że winnam żałować zbłąkanego przyjaciela, ale ze względu na zwyczaje towarzyskie więcej widywać go nie mogę.

Żegnam na zawsze

Genowefa.

P.S. Oddawca czeka na odpowiedź."

Maurycy przywołał służącego.

- Kto przyniósł ten list? - zapytał.

- Jakiś obywatel posłaniec.

- Czy czeka jeszcze?

- Tak jest.

Maurycy nie westchnął ani się zawahał. Wskoczył z łóżka, ubrał się, siadł przy biurku i wzięwszy arkusz papieru, napisał:

„Obywatelu Dixmer!
. Lubilem cię i lubię, ale widywać cię nie mogę”.

Maurycy zastanawiał się, jaką by podać przyczynę, dla której nie może widywać się z Dixmerem. Przyszła mu tylko do głowy jedna myśl, ta mianowicie, która w owej epoce byłaby się każdemu nasunęła. Pisał więc dalej:

„Chodzą wieści, że jesteś zbyt obojętny dla spraw publicznych. Nie chcę cię oskarżać, ale nie upoważniłeś mnie do tego, abym był twoim obrońcą. Wierz mi, iż mocno nad tym ubolewam i bądź przekonany, że wszystkie twoje tajemnice zagrzebię na zawsze w moim sercu.”

Nie odczytał po raz drugi tego, co napisał pod wpływem pierwszej myśli, jaka mu się nasunęła. Skutek nie uległ wątpliwości. Dixmer, wspaniały patriota - bo z tego, co mówił, Maurycy mógł tak przypuszczać - rozgniewa się, otrzymawszy podobny list. Genowefa i obywatel Morand zechcą go zapewne w tym gniewie utrzymać, nie odpowie mu więc wcale i zapomnienie na kształt czarnej zasło-

114

ny zakryje promienną przeszłość, zamieniając ją w posępną przyszłość. Podpisał list, zapieczętował i wręczył służącemu. Ten oddał go posłańcowi.

Wówczas dopiero słabe westchnienie wyrwało się z piersi republikanina. Wziął rękawiczki, kapelusz i ruszył do sekcji.

Miał nadzieję, biedny Brutus, że wobec spraw publicznych odzyska spokój.

Sprawy publiczne przedstawiały się strasznie: zbliżał się pierwszy maja. Terror, potężniejąc jak lawina, spadając z wysokości Góry, usiłował porwać z sobą przeszkodę, jaką byli żyrondyści, stronnictwo śmiałe, lecz umiarkowane, które głośno domagało się zemsty za rzeź wrześnio-

wą i walczyło przez chwilę, aby obronić życie króla.

Podczas gdy Maurycy pracował z całą gorliwością, podczas gdy usiłował zwalczyć gorączkę, trawiącą raczej jego głowę niż serce, posłaniec znalazł się właśnie na starej ulicy Samt-Jacques.

Genowefa obejrzawszy list oddała go mężowi.

W sytuacji Dixmera, Moranda i towarzyszy, w sytuacji zupełnie nie znanej Maurycemu, ale znanej czytelnikom, list ten był istnym gromem.

- Czy to uczciwy człowiek? - zapytał z zakłopotaniem Dixmer.

- Oczywiście - bez namysłu odpowiedział Morand.

- Mniejsza o to! - przerwał zwolennik środków ostatecznych. - Widzicie sami, że trzeba było go zabić.

- Mój przyjacielu - powiedział Morand - walczymy przeciw gwałtom, piętnujemy je, nazywając je zbrodnią, cokolwiek więc z tego wyniknie, dobrze zrobiliśmy darując bliźniemu życie. Wreszcie, powtarzam, według mnie Maurycy to człowiek zacny i szlachetny.

- Tak, jeżeli jednak obok szlachetności 5 zacności jest zagorzałym republikaninem, może U7.na ?s występkiem, że

115

nie złożył własnego honoru na ołtarzu ojczyzny, posługując się ich wyrażeniem.

- Czy sądzicie, że się czegoś domyśla? - spytał Morand.

- Nie słyszałeś? Przecież mówi o tajemnicach, które zagrzebie w swym sercu. Zapewne to tajemnice dotyczące naszej kontrabandy. Sam mu je powierzyłem. Innych nie zna.

- Ale może powziął jakieś podejrzenie w związku z wycieczką do Auteuil? Wiesz, że towarzyszył tam twej żonie -y, powiedział Morand.

- Sam doradziłem Genowefie, aby dla bezpieczeństwa wzięła go ze sobą. »

- Posłuchajcie - powiedział Morand - przekonamy się wkrótce, czy te podejrzenia są słuszne. Drugiego czerwca, to jest od dziś za tydzień, na nasz batalion przypada kolej odbywania warty w Tempie. Ty, Dixmer, jesteś kapitanem, a ja porucznikiem. W wypadku gdyby nasz batalion lub kompania otrzymały jakiś inny rozkaz, jak to miało miejsce z batalionem Butte-des-Moulins, który Sannerre zastąpił batalionem Gravilliers, będzie to znaczyło, że wszystko zostało wykryte i że należy albo uciekać z Paryża, albo zginąć w walce. Jeżeli zaś sprawy potoczą się zwykłym torem...

- To również będziemy zgubieni - przerwał Dixmer,

- Dlaczego?

- Czyż wszystko nie opierało się na współdziałaniu tego gwardzisty? Przecież to on, nic o tym nie wiedząc, miał ułatwić drogę do królowej?

- Prawda - odrzekł znękany Morand.

- A więc - zaczął znowu Dixmer, marszcząc brwi -- trzeba za wszelką cenę nawiązać znowu stosunki z tym młodzieńcem.

- A jeżeli odmówi? Jeżeli lęka się kompromitacji? - wtrącił Morand.

f- Czekaj - rzekł Dixmer - pójdę spytać Genowefę. Ona ostatnia z nim się widziała, może więc będzie wiedziała coś na ten temat.

- Dixmer - przerwał Morand - przykro mi, że widać w te wszystkie spiski Genowefę. Nie dlatego o tym mówię, abym obawiał się z jej strony niedyskrecji. O, broń Boże! Ale to, co robimy, jest zbyt ryzykowne. Czuję wstyd i zarazem ogarnia mnie współczucie dla kobiety, której głowę narażamy na niebezpieczeństwo.

- Głowa kobiety - odrzekł Dixmer - znaczy tyle co głowa mężczyzny tam, gdzie przebiegłość, prostota i piękność mogą wyrzucić taki sam, a czasami nawet lepszy skutek niż siła, potęga i odwaga. Genowefa podziela nasze przekonania i sympatie, podzieli zatem i nasz los w razie potrzeby.

- Czyż zatem, mój przyjacielu, jak ci się podoba -• rzekł Morand. - Powiedziałem ci, oom powinien był powiedzieć. Genowefa pod każdym względem godna jest mi-

sji, jaką jej powierzyłeś, a raczej, jakiej sama się podjęła. Święci tylko byli męczennikami.

To rzekłszy, podał Dixmerowi swą białą, kobiecą rękę, a ten uściśnął ją swoją silną dłonią.

Dixmer, zaleciwszy Morandowi i towarzyszom zachowanie jeszcze większej niż dotąd ostrożności, poszedł do Genowefy.

Zastał ją siedzącą przy stoliku z opuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w robótkę.

Na odgłos otwieranych drzwi odwróciła się i spostrzegła Dixmera.

- A, to ty, mój przyjacielu? - zapytała,

- Ja - odpowiedział Dixmer ze słodkim uśmiechem. -• Odebrałem od naszego przyjaciela, Maurycego, list, którego zupełnie nie rozumiem. Masz, przeczytaj i powiedz, co o nim myślisz*.

m

Genowefa wzięła papier, drgnęła, mimo iż umiała panować nad sobą, i zaczęła czytać.

Dixmer śledził ją wzrokiem, w miarę jak oczy jej przebiegały kolejno każdy wiersz.

- I cóż? - zapytał, gdy skończyła.

- Sądzę, że pan Maurycy Lindey jest bardzo zacnym człowiekiem - odpowiedziała z największym spokojem - i że z jego strony nie potrzebujemy się niczego obawiać.

-Sądziś więc, iż nie wie, kogo odwiedzałaś w Auteuil?

- Jestem tego pewna.

- Ale skąd powziął tak nagłe postanowienie? Czy nie wydał ci się wczoraj bardziej obojętny, czy może bardziej wzruszony niż zwykle?

- Nie - odrzekła Genowefa. - Zdaje mi się, że był taki jak zazwyczaj.

- Genowefo, zastanów się dobrze nad tym, co mówisz, rozumiesz bowiem, że twoja odpowiedź będzie miała wielki

wpływ na nasze dalsze plany.

- Poczekaj - przerwała, nie mogąc mimo wysiłków pokryć wzruszenia obojętnością - poczekaj...

- Dobrze - rzekł Dixmer, zaciskając usta - dobrze, przypomnij sobie wszystko, Genowefo.

- Tak jest - zaczęła znowu młoda kobieta - tak, przypominam sobie. Pan Maurycy był wczoraj jakiś markotny - mówiła dalej z pewnym wahaniem. - Jest trochę tyranem w stosunku do swych przyjaciół... dlatego też czasem... całe tygodnie^dąsaliśmy się jedno na drugie.

- Czyżby to więc były zwykłe dąsy? - zapytał Dixmer.

- Być może.

- Genowefo, pomyśl, że w naszej sytuacji nie możemy się opierać na domysłach, ale na pewności.

- Jeśli tak, mój przyjacielu... to jestem tego pewna!

- Więc ten Ust to tylko pretekst, aby nie bywać w naszym domu?

118

i,

- Mój przyjacielu, jakże możesz wymagać, abym coś podobnego powiedziała?

- Powiedz wszystko, Genowefo, powiedz wszystko - nalegał Dixmer. - Od żadnej innej kobiety, prócz ciebie, nie żądałbym tego.

- To tylko pretekst - rzekła młoda kobieta, spuszcza-
jąc wzrok.

- O! - jęknął Dixmer.

Po chwili milczenia oparł o krzesło żony rękę, którą przedtem przyciskał do serca, chcąc je uspokoić, i powiedział:

- Wyświadcz mi pewną przysługę, kochana przyjaciółko.

- Jaką? - spytała zdziwiona Genowefa, zwracając się

do męża.

- Postaraj się przewidzieć i uprzedzić nawet cień niebezpieczeństwa. Maurycy może lepiej zna nasze tajemnice, niż się tego domyślamy. To, co uważasz za pretekst, istnieje może naprawdę. Napisz do niego.

- Ja? - zawołała Genowefa.

- Tak jest, napisz mu, żeś otworzyła list i że pragniesz, aby ci to wyjaśnił. Przyjdzie, wypytasz go o wszystko i rozwiążesz całą zagadkę.

- O, nie, nie! - zawołała Genowefa. - Nie mogę tego uczynić, nie uczynię tego.

- Kochana. Genowefo! Czyżbyś mogła się cofnąć przed nieistotnymi względami, które w tak ważnych sprawach dyktuje ci miłość własna?

- Wyjawiłam ci moją opinię o Maurycym - odpowiedziała Genowefa. - Jest to człowiek zacny, rycerski, ale przy tym trochę kapryśny, a ja chcę być zależna tylko od mego męża.

Powiedziała to z takim spokojem i stanowczością, że Dixmer zrozumiał, iż nalegać w tej chwili byłoby rzeczą

119

• be-?kuteczną. Nie mówił więc już nic, spojrzał na żonę niby nie patrząc, otarł spocone czoło i wyszedł.

Morand oczekiwał go niecierpliwie. Dixmer opowiedział mu słowo po słowie, co zaszło.

- Dobrze - odpowiedział Morand - poprzestańmy na tym i puśćmy wszystko w zapomnienie. Raczej wyrzeknę się moich zamiarów, niż stanę się przyczyną choćby cienia troski, niż zranię miłość własną twojej żony.

Dixmer położył mu rękę na ramieniu.

- Alboś szalony, mój panie - rzekł, silnie się weń wpatrując - albo nie wiesz, co mówisz.

- Jak to, Dixmer, myślisz więc?.,

- Myślę, kawalerze, że i ty, równie jak ja, nie umiesz panować nad popędami swego serca. Ani ty, ani ja, ani

Genowefa nie należymy do siebie, Morand. Jesteśmy powołani do obrony zasad, a zasady przygniatają nieraz swoim ciężarem.

Morand zadrżał, zamilkł i pogrążył się w bolesnej zadumie.

Obeszli kilka razy ogród, nie powiedziawszy ani słowa.

- Mam wydać pewne polecenia - odezwał się Dixmer

już spokojnym głosem. - Zegnam cię, panie Morand.

Morand podał mu rękę i długo za nim patrzył.

„Biedny Dixmer - pomyślał. - Boję się, aby w tym

wszystkim on najwięcej nie ryzykował.”

Dixmer wszedł istotnie do warsztatu, wydał kilkanaście poleceń, przeczytał dzienniki, kazał rozdać chleb i kaszę biednym ze swej sekcji i wróciwszy do siebie zrzucił robocze odzienie, a włożył ubranie odpowiednie do wyjścia.

W godzinę potem służący Maurycego udał się do sekcji i przerwał młodzieńcowi przemówienie w najważniejszym momencie. Zbliżył się do niego, nachylił do ucha. i szepnął:

- Obywatelu Lindey, czeka na ciebie w mieszkaniu
120

ktoś, kto twierdzi, że ma ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Maurycy wrócił do swego mieszkania i zdziwił się bardzo zobaczywszy Dixmera, który siedział i w najlepsze przeglądał gazety. Młodzieniec przez całą drogę wypytywał służącego, kto na niego czeka, ale ten nie mógł mu udzielić odpowiedzi, gdyż nie znał garbarza.

Spostrzegłszy Dixmera, Maurycy zatrzymał się w progu i mimo woli zarumienił.

Dixmer wstał i z uśmiechem podał mu rękę.

- Co to za mucha usiadła ci na nosie, żeś taki list do mnie napisał? Doprawdy, mój Maurycy, ugodziłeś mnie w najczulsze miejsce. Piszesz, że jestem obojętnym i fałszywym patriotą! No, no, nie wiem, czy potrafisz mi rzucić w twarz podobne oszczerstwo. Wyznaj raczej, że umyślnie szukasz ze mną zwady.

- Wyznam wszystko, co zechcesz, kochany Dixmer, boś zawsze ze mną postępował uczciwie. Mimo to powziąłem postanowienie, i to postanowienie nieodwołalne.

- Jak to? - rzekł Dixmer. - Mówisz, że nic nam nie masz do zarzucenia, a jednak nas opuszczasz?!

- Kochany Dixmer, wierz mi, że bardzo ważkie powody zmusiły mnie do tego kroku.

- Rozumiem - przerwał Dixmer śmiejąc się nienaturalnie - w każdym jednak razie w liście podajesz zupełnie inne przyczyny. Są one tylko zwykłym pretekstem.

Maurycy namyślał się chwilę.

- Słuchaj, Dixmer - odpowiedział. - Żyjemy w epoce, w której, doskonale to rozumiem, wątpliwość zawarta w liście może i powinna cię zaniepokoić. Człowiek honoru powinien zatem uwolnić się od ciężaru podobnego niepokoju. Tak jest, powody, które przytoczyłem, były tylko pretekstem.

Wyznanie to, zamiast rozjaśnić czoło fabrykanta, jeszcze barczniej; zachmurzyło.

5.3S

- Ależ, w końcu, jaki jest istotny powód tego kroku? - Spytał Dixmer.

- Nie mogę ci tego powiedzieć - odparł Maurycy - jestem jednak pewny, że gdybym to mógł uczynić, uznałbyś go za zupełnie słuszny.

Dixmer nalegał.

- Chcesz więc koniecznie...? - rzekł Maurycy.

- Tak jest - odpowiedział Dixmer.

- A więc - zaczął znowu Maurycy, czując tym większą ulgę, im bardziej zbliżał się do prawdy - rzecz ma się tak. Masz młodą i piękną żonę. Mimo jej znanej powszechnie niewinności zaczęto źle mówić o moich częstych u was odwiedzinach.

Dixmer lekko pokiwał.

- Doprawdy? - rzekł. - W takim razie, mój kochany Maurycy, mąż powinien ci podziękować za przykrość, jaką wyrządzasz przyjacielowi.

- Rozumiesz - mówił Maurycy - że nie jestem na tyle nierozsądny, abym mniemał, iż moja obecność może być niebezpieczna, jeśli idzie o wasz spokój. Może ona jednak stać się źródłem potwarzy, które im bardziej są niedorzeczne, tym większą, niestety, zyskują wiarę!

- Dziecko jesteś! - zawołał Dixmer, wzruszając ramionami.

- Sądź o mnie, co chcesz, lecz pozostając z dala od siebie nie przestaniemy być przyjaciółmi, bo nie będziemy mieli sobie nic do wyrzucenia. Z bliska natomiast...

- Co z bliska?

- Stosunki nasze mogłyby stać się drażliwe.

- Myślisz więc, Maurycy, że mógłbym kiedykolwiek przypuścić coś podobnego?

- Ależ, mój Boże! - rzekł młodzieniec.

- Dla czegoś więc pisał to wszystko, zamiast mi o tym powiedzieć?

- Właśnie dla uniknięcia naszej obecnej rozmowy.

123

- Gniewa cię zatem, mój Maurycy, że lubię cię na tyle, iż odważyłem się przyjść i żądać wyjaśnienia? - spytał Dixmer.

- O, wręcz przeciwnie! - zawołał Maurycy. - Przysięgam ci, że jestem bardzo szczęśliwy, mogąc cię widzieć jeszcze raz, zanim rozstaniemy się na zawsze.

- Więc miałbyś już u nas nie bywać, obywatelu? U nas, którzy tak szczerze cię kochamy? - powiedział Dixmer, ujmując i ściskając rękę młodzieńca. - , .

Maurycy zadrżał.

- Morand - mówił dalej Dixmer, którego uwagi to nie uszło, ale który nie dał nic poznać po sobie - Morand powtarzał mi kilka razy rano: „Czyń, co będziesz mógł,

aby sprowadzić kochanego Maurycego."

- O, panie - rzekł Lindey, marszcząc brwi i usuwając rękę - nie sądziłem nigdy, że zasłużył na taką życzliwość ze strony obywatela Morand.

- Wątpisz o niej? - spytał Dixmer.

- Ja? - odpowiedział Maurycy. - Ani wierzę, ani wątpię, nie mam powodu do zastanawiania się nad tym. Bywałem w twoim domu ze względu na ciebie i twoją żonę, lecz nie ze względu na obecność obywatela Morand.

- Nie znasz go - rzekł Dixmer. - Morand to wspaniały człowiek.

- Nie przeczę - powiedział z gorzkim uśmiechem Maurycy.

- Ale, ale - mówił dalej Dixmer - wróćmy do celu moich odwiedzin.

Maurycy skłonił się, jak ktoś, kto nie ma już nic więcej do powiedzenia, i czekał.

- Mówisz więc, że zaczęły krążyć wieści...?

- Tak jest, obywatelu.

- No, mój kochany, mówmy szczerze. Dlaczego miałbyś zwracać uwagę na nierozsądną paplaninę któregoś z próż-

123

nujących sąsiadów? Alboż brak tobie sumienia, a Genowefie uczciwości?

- Młodszy jestem od ciebie - powiedział Maurycy, zacinając dziwić się, że Dixmer tak nalega - i dlatego podejrzliwym może okiem patrzę na wszystko. Oświadczam ci, że na opinii takiej kobiety jak Genowefa nie powinna zaciążyć czcza gadanina któregoś z sąsiadów. Pozwól więc, kochany Dixmer, że wytrwam przy moim pierwszym postanowieniu.

- Skoro doszło już do wyznań, powiedzmy więc sobie jeszcze inne rzeczy - rzekł Dixmer.

- Co? - spytał Maurycy, rumieniąc się. - Cóż chcesz, abym ci jeszcze wyznał? -

- Że ani polityka, ani wieści o twoim częstym przebywaniu w mym domu nie skłoniły cię do zerwania z nami stosunków.

- A więc co?

- Tajemnica, którą odkryłeś.

- Jaka tajemnica? - spytał Maurycy z wyrazem naiwnej ciekawości, który uspokoił garbarza.

- Ów interes dotyczący kontrabandy, o którym dowiedziałeś się tego wieczoru, kiedy poznaliśmy de w tak dziwny sposób. Nigdyś mi nie darował tego przemytu. Zarzucasz mi ponadto, że jestem złym republikaninem, bo w garbarni używam angielskich produktów.

- Mój kochany Dixmer - odparł Maurycy - przysięgam ci, że ilekroć szedłem do dębie, nigdy nie pomyślałem, że idę do przemytnika.

- Doprawdy?

- Doprawdy.

- Przestałeś więc bywać u mnie jedynie z powodu, o którym wspomniałeś?

- Daję ci na to słowo honoru.

- Skoro tak - powiedział Dixmer, wstając i ściskając

124

dłoń s-akwzteńca - mam nadzieja, że zastanowisz się i cofniesz to tak bolesne dla ans wszystkich postanowienie.

Maurycy skłonił się i ciele odpowiedział. Równało się to ostatecznej odmowie.

Dixmer wyszedł zrozpaczony, że nie udało mu się naprawić stosunków z człowiekiem, który nie tylko stał mu się potrzebny, ale wprost niezbędny.

Był już najwyższy czas, aby się oddalił. Maurycym miały różne pragnienia. Dixmer prosił, aby zmów bywał u niego. Genowefa mogła mu przebaczyć. Dlaczego więc rozpaczal? Lorin na jego miejscu byłby przytoczył tysiąc aforyzmów ze swych ulubionych autorów. Ale Maurycy

miał przy sobie list Genowefy, owo formalne pożegnanie, które zabrał z sobą do sekcji i nosił na sercu wraz z bilecikiem, odebrany nazajutrz po wyzwoleniu jej z rąk znieważających ją ludzi. Poza tym Maurycy pałał zazdrością ku nienawistnemu Morandowi, który był pierwszą przyczyną zerwania z Genowefą.

Pozostał nieugięty w swym postanowieniu.

Wyznać jednak należy, że wyrzeczenie się codziennych odwiedzin w domu przy starej ulicy Saint-Jacques stworzyło w jego życiu jakąś pustkę. Gdy nadchodziła godzina, w której udawał się zwykle do dzielnicy Saint-Victor, wpadał w głęboką melancholię i przeżywał wszystkie stany oczekiwania i żalu.

Każdego poranka, przebudziwszy się, miał nadzieję, że znajdzie list od Dixmera. Nie taił przed sobą, że jakkolwiek oparł się osobistym naleganiom, z pewnością uległby listowi. Co dzień wychodził w nadziei, że spotka gdzieś Genowefę, i na myśl o tym układał sobie tysiące sposobów zbliżenia się do niej i rozpoczęcia rozmowy. Co wieczór wracał do domu z nadzieją, że zastanie posłańca, który pewnego poranka przyniósł mu cierpienie, nieodstępne odtąd towarzyska.

Często w chwilach rozmyślań duma Maurycyego wzdra-

135

gała się na myśl o doznaniu podobnych meczami, bez możliwości odwetu na ich sprawcy. A pierwszym sprawcą jego smutków był Morand. Chciał wówczas szukać z nim sprzeczki, lecz wspólnik Dixmera tak był delikatny i bezbronny, że znieważać go lub prowokować byłoby podłością ze strony takiego człowieka jak Maurycy.

Lorin przychodził czasem pocieszyć przyjaciela w troskach, których przyczyny nie znał. Czynił wszystko, co tylko mógł, aby zwrócić ojczyźnie serce pełne bólu na skutek miłości. Jakkolwiek sytuacja Francji była wówczas bardzo poważna, jakkolwiek przy innym stanie umysłu Maurycy byłby tym niesłuchanie przejęty, przyjaciel nie mógł obecnie przywrócić młodemu republikaninowi równowagi i dzielności, która w dniach czternastym lipca i dziesiątym sierpnia uczyniła zeń bohatera.

Istotnie, dwa stronnictwa, staczające ze sobą od dziesięciu miesięcy tylko lekkie potyczki, teraz miały stanąć do decydującej walki na śmierć i życie. Stronnictwo umiar-

kowane reprezentowane było przez żyrondistów w osobach: Brissota, Petiona, Vergniauda, Valazego, Lanjuinais'go, Barbaroux etc., stronnictwo terrorystyczne albo górali przez Dantona, Robespierre'a, Cheniera, Fabre'a, Marata, Collot-d'Herbois, Heberta i innych.

Po dziesiątym sierpnia zdawało się, że stronnictwo umiarkowane zaczyna zdobywać coraz większe wpływy. Powołano 'nowy gabinet, złożony z resztek dawnego i nowo wybranych osób. Weszli doń Roland, Seryien i Clavieres, dawni ministrowie, z nowych mianowano Dantona, Monge'a i Le Bruna. Z wyjątkiem jednego, który był niesłychanie energiczny, wszyscy inni ministrowie należeli do stronnictwa umiarkowanych.

Nazywając to stronnictwo umiarkowanym, zaznaczyć należy, że jest to pojęcie względne.

Dziesiąty sierpnia znalazł swe echo za granicą, a koalicja pośpieszyła nie w obronie Ludwika XVI, lecz w obrali

nie zasady rojalizmu, zachwianej u podstaw. Wówczas to w Brunzwiku zagrzały groźne słowa, a jakby na dowód ich okrutnej prawdy Longwy i Verdun wpadły w ręce nieprzyjaciela. Wówczas nastąpiła reakcja. Danton wymarzył sobie dni września i urzeczywistnił ów krwawy sen, w którym cała Francja w oczach nieprzyjaciół stała się współniczką strasznego morderstwa i gotowa była walczyć o swe istnienie z całym zapalem i rozpaczą. Wrzesień ocalił Francję, lecz wyjął ją spod prawa.

Gdy więc Francja została ocalona, gdy energia stała się nieużyteczna, stronnictwo umiarkowane nabrało nieco sił i zapragnęło pomścić dni pełne grozy. Wszędzie wymawiano imię mordercy i zabójcy. Do narodowego słownika wszedł nowy wyraz, a brzmiał on: wrześniowcy (septembriseursj).

Danton śmiało zaakceptował tę nazwę. Jak Klodwig, pochylił na chwilę głowę do krwawego chrztu po to, by potem podnieść ją, groźną, jeszcze wyżej. Proces Ludwika XVI nastęrczył nową sposobność do powrotu terroru. Gwałtowność i umiarkowanie rozpoczęły ze sobą walkę, ale tymczasem było to tylko starcie zasad i poglądów, a nie osób.

Na królewskim więźniu doświadczone wzajemnych sił. Umiarkowanie zostało pokonane, głowa Ludwika XVI spadła na rusztowaniu.

Dwudziesty pierwszy stycznia, podobnie jak dziesiąty września, przywrócił koalicji całą energię. Teraz znowu przeciwstawiono tego samego człowieka, lecz nie z tym samym powodzeniem. Dumouriez, wstrzymany w realizacji swoich projektów przez nieporządek panujący w administracji, co hamowało nadsyłanie pomocy w ludziach i pieniądzech, Dumouriez wypowiada się przeciwko jakobinom, których Obwinia e rozprężył. Przystępuje do stronnictwa żyrondyistów i gubi je, deklarując się jako jego przyjaciel. W Wandei wybucha powstanie, a departamenty

127

grożą, że pójdą za jej przykładem. Niepowodzenia rodzą zdrady, a zdrady niepowodzenia. Jakobioi oskarżają umiarkowanych i chcą na nich uderzyć dziesiątego marca, właśnie w chwili, od której rozpoczynamy nasze opowiadanie. Ale ocala ich zbyt ni pośpiech ze strony przeciwnej, a może też ów deszcz, który sprawił, że Petion, głęboki znawca ducha paryskiego, rzekł: „Deszcz pada, dziś nic z tego nie

będzie.”

Lecz po dniu dziesiątym marca wszystko zapowiadało upadek żyrondyistów: Marat został oskarżony i uniewinniony, Robespierre i Danton chwilowo się pogodzili, jak tygrys i lew, aby obalić żubra, którego wspólnie mają pożreć, Henriot, wrześnieowiec, mianowany został naczelnym dowódcą Gwardii Narodowej. Słowem, wszystko zapowiadało, że nadchodzi straszny dzień, który, jak trąba powietrzna, poa-wie za sobą wszelkie zapory, jakie rewolucja stawia terrorowi.

Maurycy, jaiko gorący patriota, byłby zapewne wziął czynny udział w wypadkach, gdyby nie obecny stan jego ducha. Na szczęście jednak czy też na nieszczęście, ani namowy Lorma, ani okropne wydarzenia, które zaszły na ulicach, nie zdołały zatrzeć jedynej natrętej myśli, która go uporczywie nurtowała. Gdy nadszedł trzydziesty pierwszy maja, ów straszny zdobywca Bastylji i zamku Tuileries leżał w łóżku, trawiony gorączką, która zabija najsilniejszych, a którą uśmierzyć może jedno spojrzenie, jedno słowo !...

XH1

TRZYDZIESTY PIERWSZY MAJA

Pamiętnego dnia trzydziestego pierwszego maj!, kiedy

W. G. osy dswo: v. i lx; ?Wi. od samego tu4 ^•""•t; r; - ?lt: ^;" - we

na ulicach Paryża, batalion z przedmieścia Saint-Yictor wchodził do Tempie.

Gdy dopełnione? zwykłych formalności, gdy porozstawiano straż, przybyli miejscy gwardziści i wtoczyły się cztery działa dla wzmocnienia baterii, znajdującej się przy wejściu do więzienia.

W tym samym czasie przybył Santerre w mundurze z żółtymi szlifami. Na mundurze tym widniały wielkie, tłuste plamy - widoma oznaka patriotyzmu.

Santerre odbył przegląd batalionu, a znalazłszy wszystko w należytych porządku, policzył gwardzistów, których było tylko trzech.

- Dlaczego jest tylko trzech? - zapytał. - Jak się nazywa nieodpowiedzialny obywatel, którego brakuje?

- Ten, którego brak, obywatelu generale, wcale nie jest nieodpowiedzialny - odpowiedział znajomy nam Agrykola - jest to bowiem sekretarz sekcji Lepelletier, przywódca klubu Termopile, słowem, obywatel Maurycy Lindey.

- Dobrze, dobrze - rzekł Santerre - nie zaprzeczam patriotyzmu obywatelowi Maurycemu Lindey, co jednak nie przeszkadza aapisać go na listę nieobecnych, jeżeli nie ijawi się za dziesięć minut.

Powiedziawszy to, Santerre przeszedł do innych spraw. O kilka kroków od niego, z boku, stał kapitan strzelców i jakiś żołnierz. Pierwszy podparł się karabinem, drugi leżał prawie na armacie.

- Słyszałeś? - spytał półgłosem kapitan żołnierza. - Maurycego jeszcze nie ma.

- Bądź spokojny, kapitanie, przyjdzie na czas, chyba że należy do buntowników.

- Gdyby nie przyszedł - powiedział kapitan - postawię cię na warcie na schodach, a gdy ona wyjdzie na wieżę, może będziesz mógł szepnąć jej parę słów.

W tej chwili nadszedł jakiś mężczyzna, po którego trój-

A. Dumas

kolorowej szarfie można było poznać, iż jest gwardzistą. Kapitan jednak i żołnierz nie znali go, pilnie więc śledzili go wzrokiem.

- Obywatelu generale - zwrócił się nowo przybyły do Saaterre'a - pozwól mi, proszę, zastąpić obywatela Maurycego Lindey, bo jest chory, jak tego dowodzi świadectwo lekarza. Moja kolej przypada dopiero za tydzień, więc się z nim zamieniłem. Za tydzień odbędzie on służbę za mnie, dzisiaj ja go zastąpię.

- Jeżeli tylko Capety przeżyją ten tydzień - wtrącił jeden z trzech gwardzistów.

Santerre uśmiechem odpowiedział na ten żart gorliwca i obracając się ku zastępcy Maurycego, rzekł:

- Dobrze, zapisz się w rejestrze na miejsce Maurycego Lindey i w uwagach wymień przyczynę zamiany.

Kapitan i strzelec z radosnym zdziwieniem spojrzeli po sobie.

- Za tydzień - rzekli.

- Kapitanie Dixmer - zawołał Santerre - zajmij stanowisko w ogrodzie z całą kompanią.

- Chodź, Morand - powiedział kapitan do swego towarzysza strzelca.

Uderzono w bęben i cała kompania pod dowództwem garbarza ruszyła we wskazanym kierunku.

Ustawiono broń w kozły, narodowi gwardziści podzielili się na grupy i zaczęli przechadzać się tam i z powrotem.

Miejszem ich przechadzki był ogród, w którym za Ludwika XVI rodzina królewska lubiła zażywać świeżego powietrza. Teraz ogród był zupełnie zaniedbany, ogołocony z kwiatów, drzew i wszelkiej zieleni.

O dwadzieścia pięć kroków od części muru, wychodzącej na ulicę Porte-Foin, wznosiła się chatka, którą pozwolono zbudować dla wygody narodowych gwardzistów, pełniących straż w Tempie. Podczas rozruchów, kiedy nie wolno łąm (było opuszczać Tempie, znajdowali tam oni jado i na-

pój. O zarządzanie tym małym szynkiem wielu się ubiegało. Przyznano go w końcu wypróbowanej patriotce. wdowie po mieszkańcu z przedmieścia poległym dziesiątego września, obywatelce Plumeau.

Mała chatka, zbudowana z desek i gliny, stała na terenie dawnego ogrodu, jak o tym świadczyły resztki niskiego żywopłotu z bukszpanu. Składała się z jednej izby, mającej dwanaście stóp kwadratowych, i urządzonej pod nią piwnicy, do której prowadziły schody wykopane w ziemi. Wdowa Plumeau przechowywała w tej piwnicy napoje i wiktuały, i czuwała nad nimi wraz ze swą dwunastoletnią córką.

Zaledwie narodowi gwardziści zainstalowali się na swym biwaku, jedni zaczęli przechadzać się po ogrodzie, drudzy rozmawiali z odźwiernymi, jeszcze inni przypatrywali się różnym patriotycznym rysunkom, umieszczonym na murze, część na koniec zwierzała się pani Plumeau ze swoich gastronomicznych upodobań, podyktowanych większym lub mniejszym apetytem.

Do liczby tych ostatnich należeli wspomniani wyżej kapitan i strzelec.

- O, kapitanie - rzekła szynkarka - mam przewyborne wLno saumur.

- Dobrze, obywatelko Plumeau, tylko że według mnie wino saumur nic nie jest warte bez sera brie - zauważył kapitan, który uprzednio rozejrzał się dookoła i między wiktuałami nie dostrzegł swego ulubionego sera.

- Nie ma już ani kawałeczka, kapitanie.

- Nie ma sera, to nie ma wina - oświadczył kapitan. - A szkoda, obywatelko, bo chciałem poczęstować całą kompanię.

- Daj mi, kapitanie, chwilę czasu, to pobiegnę do dozorczy i przyniosę. Jest to wprawdzie mój konkurent i będę mu mutiAła nieco drożej zapłacić, ale jesteś, kapitanie, abyt dobrym patriotą, ażebyś mi nie miał tego wynagrodzić.

-- Dobrze, dobrze - powiedział Dixmer - idź, obywa-

telko, a my tymczasem zejdziemy do piwnicy i sami wybierzemy sobie wino.

- Czuj się jak u siebie w domu, kapitanie.

I wdowa Plumeau pobiegła czym prędzej do domu dozorczy, kapitan zaś i strzelec wzięli świecę, podnieśli klapę

i zaczęli powoli schodzić do piwnicy.

- Dobrze - rzekł Morand po rozejrzeniu się. - Piwnica ciągnie się w kierunku ulicy Porte-Foin. Ma dziewięć do dziesięciu stóp głębokości i nigdzie nie jest murowana.

- A jaki jest rodzaj gruntu? - spytał Dixmer.

- Tuf kredowy. Jest to ziemia naniesiona, bo ogrody po kilka razy przewracano do góry nogami. Sikały nie ma nigdzie.

- Prędko! - zawołał Dixmer. - Słyszę kroki naszej markietanki. Weź parę butelek i marsz na górę.

Pokazali się u wylotu piwnicy właśnie w chwili, gdy wdowa Plumeau wchodziła, niosąc ser brie.

Za nią ciągnęło kilku strzelców, zwabionych apetycznym wyglądem sera.

Dixmer kazał dać dwadzieścia butelek wina dla kampanii, a obywatel Morand opowiadał tymczasem o poświęceniu się Kurcjusza, o bezinteresowności Pabrycjusza, o patriotyzmie Brutusa i Kasjusza, opowiadał historie, które wówczas prawie tak samo ceniono, jak ser brie i ofiarowane przez Dixmera wino anjou, co nie było rzeczą małej wagi.

Wybiła godzina jedenasta. Za pół godziny miano zmieniać placówki.

- Austriaczka przechadza się zwykle dopiero między dwunastą a pierwszą? - spytał Dixmer Tisona, przechodzącego właśnie obok chatki.

- Tak jest, od południa do pierwszej - odpowiedział zapytany.

I zaczął śpiewać:

Pani wchodzi na swą wieżę,

Mironton, tonton, mirontaine.

Ten żart przyjęli narodowi gwardziści powszechnym wybuchem śmiechu.

Dixmer przywołał natychmiast tych, którzy mieli stać na warcie od wpół do dwunastej do wpół do pierwszej, zalecił im, aby spiesznie kończyli śniadanie, Morandowi zaś kazał wziąć broń, bo według umowy miał pełnić straż na ostatnim piętrze wieży, w tej właśnie budce, za którą ukrył się Maurycy owego dnia, gdy dostrzegł znaki dawane królowej z okna przy ulicy Porte-Foin.

Gdyby ktoś widział Moranda w chwili, gdy odbierał, 'zdawałoby się, tak prosty rozkaz, którego zresztą się spodziewał, byłby spostrzegł, że długie, spadające na twarz czarne włosy nie zdołały ukryć bladości jego policzków.

Nagle na dziedzińcu Tempie rozległ się głuchy szmer, usłyszano z daleka huragan wrzasków i ryków.

- Co to? - zapytał Dixmer Tisona.

- O, o!- odpowiedział dozorca więzienia. - To nic, nic, łotry brysootyści chcą urządzić mały bunt, zanim pójdą na gilotynę.

Zgiełk stawał się coraz bardziej groźny, usłyszano strzały artylerii, a hałaśliwy tłum ludzi przebiegł koło Tempie, wrzeszcząc: „Niech żyją sekcje! Niech żyje Henriot! Precz z brysozystami! Precz z rolandystami! Precz z panią Weto!”

- Dobrze, dobrze - powiedział Tison, zacierając ręce - otworzę zaraz pani Weto, niech się nacieszy miłością swego ludu!

I zbliżył się do drzwi wieży. * .

- Hej, Tison! - krzyknął jakiś donośny głos.

- Co, generale? - odpowiedział stróż.

- Dziś - rzekł Santerre.- uwięzione nie wyjdą ani na krok z pokoju.

Rozkaz był nieodwołalny.

- Ano dobrze - odpowiedział Tison - mniej będę miał kłopotu.

Dixmer i Morand spojrzeli smutno po sobie, a potem, czekając, aż wybije godzina niepotrzebnej już teraz warty, zaczęli się obojętnie przechadzać pomiędzy chatą a murem przyległym do ulicy Porte-Foin. Tam Morand zaczął krokami mierzyć odległość.

- No, i jak? - spytał Dixmer.

- Sześćdziesiąt lub sześćdziesiąt jeden stóp - odpowiedział Morand.

- Ile dni trzeba będzie...?

Morand laseczką, którą trzymał w ręku, nakreślił na piasku kilka linii geometrycznych i zmazał je natychmiast.

- Przynajmniej siedem - odpowiedział.

- Za tydzień Maurycy będzie na służbie - szepnął Dixmer - musimy więc przez ten czas koniecznie się z nim pogodzić.

Wybiło wpół do dwunastej. Morand westchnął, wziął karabin na ramię i udał się za kapralem, aby zmienić wartę na wieży.

XIV

POŚWIĘCENIE

Nazajutrz po opowiedzianych przed chwilą wypadkach, to jest dnia pierwszego czerwca o dziesiątej rano Genowefa siedziała na zwykłym miejscu przy oknie i zapytywała sama siebie, dlaczego od trzech tygodni każdy dzień wydaje jej się tak smutny, dlaczego upływa tak powoli, i wreszcie, dlaczego teraz każdy wieczór przeraża ją, kiedy, przeciwnie, dawniej oczekiwała go z takim upragnieniem.

Nade, wszystko jednak smutne były noce, bo wśród nich marzyła o przeszłości i o jutrze.

Wzrok jej padł na wazonik nakrapianych, czerwonych

goździków, które na zimę brała do pokoju z tej właśnie cieplarni, gdzie więziono Maurycego.

Maurycy nauczył ją pielęgnować goździki w mahoniowej skrzyni. Dopóki bywał u niej, zawsze je podlewała, obrywała suche listki i obwiązywała kwiaty, gdy bowiem przychodził wieczorem, lubiła mu pokazywać, jak, dzięki ich wspólnym staraniom, kwiatki przez noc pięknie urosły. Ale odkąd Maurycy przestał ją odwiedzać, biedne, zaniedbane goździki z braku starania i pamięci opadły i poczęły żółknąć.

Widok ten wyjaśnił Genowefie przyczynę jej smutku. Wyznała sama przed sobą, że, podobnie jak kwiat, przyjaźń pielęgnowana troskliwie rozwesela serce. Lecz kiedy czasem jakiś kaprys lub nieszczęście zniweczy przyjaźń, wówczas serce, które ta przyjaźń ożywiała, jakby z wolna zamiera.

Uczuła okropny ból w sercu. Uczucie, które pragnęła pokonać, które miała nadzieję zwyciężyć, walcząc z nim z całym samozaparciem, uczucie to wołało, że umrze dopiero wraz z sercem. Genowefa zrozumiała, że walka staje się coraz trudniejsza. Pochyliła głowę, ucałowała zwiędły goździk i zapłakała.

Mąż wszedł w chwili, gdy ocierała oczy.

Ale Dixmer tak był pochłonięty własnymi myślami, że nie odgadł bynajmniej bolesnej rozterki, jaką właśnie przeżywała żona, nie dostrzegł jej zaczerwienionych powiek.

Genowefa, spostrzegłszy męża, szybko wstała i podbiegła ku niemu.

- I cóż? - zapytała.

- Nic nowego. Niepodobna zbliżyć się do niej, nie-

135

podobna nic jej wręczyć, niepodobna jej nawet widzieć.

- Co? - zawołała Genowefa. - Mimo takiego zamieszania w całym Paryżu?!

- Właśnie to przekłete zamieszanie podwoiło baczność czuwających. Obawiano się, aby ktoś, korzystając z po-

wszechnego zamętu, nie odważył się uczynić zamachu na Tempie. W chwili gdy Najjaśniejsza Pani miała wyjść na wieżę, Santerre wydał rozkaz, aby nie wypuszczano ani królowej, ani księżniczki Elżbiety, ani córki królewskiej.

- Biedny kawaler, musiało go to bardzo zasmucić.

- Wpadł w rozpacz, widząc, że tracimy tak dobrą okazję. Zbladł tak, że musiałem odprowadzić go na bok, aby się nie zdradził.

- A nie mieliście w Tempie żadnego znajomego gwardzisty? - nieśmiało spytała Genowefa.

- Miał być jeden, ale nie przyszedł.

- Kto taki?

- Obywatel Maurycy Lindey - rzekł Dixmer, zmuszając się do obojętności.

- A dlaczego nie przyszedł? - spytała Genowefa, czyniąc ten sam wysiłek.

- Bo jest chory.

- Chory?

- Tak jast, i to nawet dosyć poważnie. Mimo że jest dobrym patriotą, poprosił kogoś o zastępstwo na warcie.

- Szkoda.

- Nawet gdyby tam był, Genowefo - przerwał Dixmer - na nic by się to nie zdało, bo przecież poróżniliśmy się z sobą. Unikałby zapewne rozmowy ze mną.

- Sądzę, mój przyjacielu - odpowiedziała Genowefa - że trochę przesadzasz. Może to jakiś, kaprys ze strony Maurycego... Może wasze zbliżenie nie byłoby takie trudne. Może pan Maurycy ma jakieś swoje powody, dla których nie chce widywać się z tobą. Lecz mimo to on nie jest aa-

128

szym wrogiem. Oziębłość nie wyklucza grzeczności. Gdyby spostrzegł, że chcesz uczynić pierwszy krok, jestem pewna, że zapomniałby o wszystkim.

- Genowefo - powiedział Dixmer - my chcielibyśmy od Maurycego czegoś więcej niż grzeczności, chcielibyśmy dowodu prawdziwej, szczerzej przyjaźni. Przyjaźń została zerwana, jeśli więc o to chodzi, nie ma już żadnej nadziei.

Mówiąc to Dixmer westchnął głęboko, a jego czoło, zwykle pogodne i gładkie, zmarszczyło się teraz.

- Ale jeżeli uważasz - rzekła nieśmiało Genowefa - że pan Maurycy tak jest potrzebny w związku z waszymi projektami...

- Prawdę mówiąc - odpowiedział Dixmer - wątpię, aby one powiodły się bez jego pomocy.

- Czemuż więc nie próbujesz osiągnąć jakiegoś porozumienia z Obywatelą Lindey?

Genowefie zdawało się, że gdy mówiąc o Maurycem, wymienia jego nazwisko, głos jej nie brzmi takim uczuciem, jak gdy wymawia jego imię.

- Nie, nie - odpowiedział Dixmer, zwieszając głowę - czyniłem, co mogłem. Nowy krok z mojej strony dziwnie by wyglądał i mógłby obudzić w nim podejrzenia. A poza tym, moja Genowefo, jeśli chodzi o samą sprawę, to ja dużo dalej patrzę niż ty. Serce Maurycego kryje pewną ranę.

- Ranę? - spytała z wielkim wzruszeniem Genowefa; - Na Boga, przyjacielu, mów jaśniej!

- Oto, moja Genowefo, zapewne i ty jesteś przekonana, że powodem zerwania obywatela Lindey nie jest prosty kaprys...

- Czemu więc przypisujesz to zerwanie?

- Może dumie - odpowiedział żywo Dixmer.

- Dumie?

- Tak jest. Ten poczciwy paryżanin i półarystokrata, kryjący przesady pod płaszczem patriotyzmu, republikanin,

137

mający tak wielkie znaczenie na terenie swojej sekcji, klubu i Gminy, on czynił nam zaszczyt swymi odwiedzinami, nam, fabrykantom futer. Może okazywaliśmy mu za mało

grzeczności, może o czymś zapomnieliśmy?

- Lecz - przerwała Genowefa - jeżeli nie dość dla niego byliśmy grzeczni, jeżeli zapomnieliśmy o czymś, sądzę, że krokiem, któryś uczynił, okupiłeś wszystko.

- Tak, ale tylko w wypadku, gdyby błąd pochodził z mojej strony. Ale jeżeli, przeciwnie, ty jesteś winna?

- Ja? A jakimże sposobem, mój przyjacielu, mogłam popełnić jakiś błąd w stosunku do pana Maurycego? - spytała zdziwiona Genowefa.

- Ach, kto to wie? Czyż nie ty pierwsza nazwałaś go kapryśnikiem? Popełniłaś błąd, że nie chciałaś do niego napisać.

- Ja? - zawołała Genowefa. - I ty naprawdę tak myślisz?

- Nie tylko myślę - odrzekł Dixmer - ale nawet, od czasu jak się od nas odsunął, stale się nad tym zastanawiam.

- I...? - lękliwie spytała Genowefa.

- I uważam ten krok za nieodzowny.

- O! - zawołała Genowefa. - Nie, nie, nie wymagaj tego ode mnie!

- Wiesz dobrze, Genowefo, że nigdy niczego od ciebie nie wymagam. Proszę de tylko o to. A więc, moja droga, proszę cię, napisz do obywatela Maurycego.

- Ależ... - wyjąkała Genowefa.

- Słuchaj - przerwał Dixmer. - Albo poróżniłaś się z Maurycem z bardzo ważnych powodów, bo jeśli chodzi o mnie, nigdy nie żalił się na moje postępowanie, albo też wasze zerwanie jest wynikiem jakiejś dziecinady.

Genowefa nie odpowiedziała.

- Jeżeli przyczyną jest dziecinada, byłoby szaleństwem przeciągać nieporozumienie. Jeżeli, przeciwnie, powstało

138

z ważnego powodu, wierzaj mi, w obecnym stanie rzeczy

nie powinniśmy zważać ani na naszą godność, ani nawet na naszą miłość własną. Nie kładźmy na jednej szali sprzeczki dwojga młodych ludzi i spraw wielkiej wagi. Przewycięż samą siebie, napisz kilka słów do obywatela Maurycego Lindey, a zobaczysz, że przyjdzie. Genowefa namyślała się przez chwilę.

- Czyż nie można by obmyśleć jakiegoś mniej kompromitującego środka, aby przywrócić porozumienie pomiędzy tobą a panem Maurycym?

- Kompromitującego, mówisz? Przeciwnie, jest to, moim zdaniem, środek bardzo naturalny.

- Nie dla mnie, mój przyjacielu.

- Uparta jesteś, Genowefo.

- Pozwól mi powiedzieć, że po raz pierwszy dopiero spostrzegasz we mnie ten upór.

Dixmer, który od kilku chwil gniótł w rękę chustkę, otarł nią pot z czoła.

- Tak jest - rzekł - dlatego też tym bardziej on mnie dziwi.

- O Boże! - rzekła Genowefa. - Czyż to możliwe, abyś nie rozumiał powodów mojego uporu i zmuszał mnie do mówienia?

I słaba, przywiedziona do ostateczności kobieta zwiesiła głowę na piersi i opuściła rękę.

Dixmer próbował z wysiłkiem się opanować. Ujął rękę Genowefy, zmusił ją, by podniosła głowę, i patrząc jej prosto w oczy, wybuchnął śmiechem, który zapewne wydałby się Genowefie wymuszony, gdyby była mniej wzruszona.

- Wiem już teraz, o co chodzi - rzekł - i przyznaję, że masz słusność. Byłem ślepy. Mimo całego twego rozsądku, kochana Genowefo, mimo felej twojej wyższości dałaś się powodować głupstwu. Bałaś się, aby Maurycy cię nie pokochał-

139

Genowefa poczuła śmiertelne zimno koło serca. Ironia, z jaką mówił mąż o miłości Maurycego do niej, o miłości,

której gwałtowność zbyt dobrze mogła ocenić, znając charakter młodego człowieka, o miłości wreszcie, którą w głębi serca podzielała, jak ją o tym przekonywały głuche wyrzuty - ta ironia wprawiła ją w osłupienie. Nie mogła podnieść wzroku na męża. Czuła, że nie zdoła mu odpowiedzieć.

- Zgadłem, prawda? - zaczął znowu Dixmer. - No, uspokój się, Genowefo, znam dobrze Maurycego. Ten zawzięty republikanin prócz miłości Francji żadnej innej nie żywi w swym sercu.

- Panie! - zawołała Genowefa. - Czy jesteś przekonany o tym, co mówisz?

- Ależ, bez wątplenia - przerwał Dixmer. - Gdyby Maurycy cię kochał, zamiast poróżnić się ze mną, byłby, owszem, podwoił starania w stosunku do mnie - tego, którego zamierzał oszukać. Gdyby Maurycy kochał cię, nie byłby tak łatwo zrzekł się tytułu przyjaciela domu, który zwykle służy do pokrycia podobnych zrad.

- Zaklinam cię na twój honor - zawołała Genowefa - nie żartuj i nie mów o podobnych rzeczach.

- Ja nie żartuję, moja pani, powiadam ci tylko, że Maurycy cię nie kocha.

- A ja, ja... - zawołała Genowefa płonąc - powiadam ci, że się mylisz.

- W takim razie - zaczął znowu Dixmer - Maurycy jest uczciwy, bo wolał raczej oddalić się, niż zawieść moje zaufanie. A że, moja Genowefo, rzadko teraz o uczciwych ludzi, nigdy więc nie czyni zbyt wiele ten, kto się stara przyciągnąć ich ku sobie, jeżeli się usunęli. Genowefo, napiszesz do Maurycego, nieprawdaż?

- O mój Boże! - rzekła młoda kobieta.

I w obie dłonie wtuliła swoją głowę. Ten, na kim oprzeć

M

się miała w chwili niebezpieczeństwa, zamiast zatrzymać ją, popychał ku przepaści.

- No, droga przyjaciółko, zapomnij o miłości władnej. Jeżeli Maurycy zechce znów oświadczyć ci się ze swymi uczuciami, śmieję się z tego tak jak przedtem. Znam cię,

Genowefo, masz duszę godną i wspaniałą. Jestem ciebie zupełnie pewien.

- O mój Boże! - zawołała Genowefa osuwając się, tak że przyklękła na jedno kolano. -Któż może być pewny drugich, kiedy nie jest pewny samego siebie?

Dixmer zbladł, jakby wszystka krew spłynęła mu do serca.

- Genowefo - rzekł - zbłądziłem. Powinienem był powiedzieć ci od razu: „Żyjemy w epoce wielkich poświęceń. Ja naszej królowej, naszej dobrodziejce poświęciłem nie tylko swoją rękę, nie tylko swoją głowę, ale nawet swoje szczęście. Inni poświęcają jej swe życie, ja uczynię więcej, bo nie tylko życie, ale i honor jej poświęcę. Jego utrata będzie jedną łzą więcej w morzu boleści, zalewającym Francję. Lecz nie narażam swego honoru, skoro go strzeże taka kobieta, jak moja Genowefa!...”

Po raz pierwszy dopiero odsłonił Dixmer swą duszę.' Genowefa podniosła głowę, skierowała na niego swe piękne oczy, pełne teraz uwielbienia, i z wolna wstając podała mu czoło do pocałowania.

- Pragniesz więc tego? - spytała.
Dixmer skinął twierdząco głową.

- Dyktuj zatem - rzekła, biorąc pióro do ręki.

- O, nie - powiedział Dixmer. - Przestańmy korzystać, a może nawet nadużywać dobroci zacnego młodzieńca. Ponieważ pogodzi się z nami na skutek listu, który otrzyma od Genowefy, niech więc list ten pochodzi od niej samej, a nie od Dixmera.

I ucałowawszy po raz drugi czoło małżonki, podziękował jej i wyszedł.

141

Wówczas Genowefa, cała drżąc, napisała:

„Obywatelu Maurycy!

Wiesz, jak mój mąż cię kochał. Czyżbyś miał zapomnieć o tym przez trzy tygodnie, które wydały nam się całym wiekiem? Przybywaj, oczekujemy cię. Powrót twój będzie dla nas prawdziwą uroczystością.

Genowefa."

XV

BOGINI ROZUMU

Maurycy był naprawdę chory. Od czasu jak nie wychodził z domu, Lorin odwiedzał go regularnie i czynił, co mógł, aby nakłonić przyjaciela do jakiejś rozrywki. Ale Maurycy był nieugięty. Są choroby, z których nie chcemy się leczyć.

Pierwszego czerwca Lorin przyszedł około godziny pierwszej w południe.

- Co to dziś nadzwyczajnego, żeś się tak ubrał świątecznie? - spytał Maurycy.

Rzeczywiście, Lorin wystrojony był jak nigdy. Miał na sobie czerwoną czapkę, karmanłolę i trójkolorową szarfę, spod której wyglądały dwa narzędzia, zwane podówczas „flaszeczkami księdza Maury”, przedtem zaś i później nazywane po prostu pistoletami.

- Przede wszystkim - rzekł - ma nastąpić zupełny upadek żyrondistów, który już się właśnie dokonuje przy odgłosach bębna. A potem, mówiąc zaś dokładnie, pojutrze odbędzie się wielka uroczystość, na którą ci? zapraszam.

- A dziś co nowego?... Powiadasz, żeś po mnie przyszedł?

- Owszem, dziś odbędziemy próbę.

- Jaką próbę?

142

'- Próbę wielkiej uroczystości.

- Mój kochany, wiesz, że od tygodnia nigdzie nie wychodzę i nie wiem, co się dzieje, musisz mnie więc dokładnie o wszystkim poinformować.

- Jak to, alboż ci nie mówiłem?

- Absolutnie nic.

- Pnede wszystkim, mój kochany, wiesz o tym dobrze, że usunęliśmy Boga i że zastąpiliśmy go Najwyższą Istotą.

- Tak, wiem o tym.

- Dobrze. Otóż wydaje się, że spostrzeżono nagle jedną rzecz, a mianowicie, iż ta Najwyższa Istota należy do stronnictwa umiarkowanych, rolandystów czy żyrondy-
stów.

- Lorin, proszę cię, tylko bez żartów na tematy święte. Wiesz dobrze, że tego nie lubię.

- Czegóż chcesz, mój drogi, trzeba iść z biegiem czasu. Ja również kochałem dawnego Boga, ale przede wszystkim dlatego, że mnie do tego przyzwyczajono. Jeśli chodzi o Najwyższą Istotę, wydaje się, że ona często nie ma racji i że odkąd znalazła się na szczycie, wszystko idzie na opak. W końcu nasi ustawodawcy zdecydowali, że trzeba ogłosić jej upadek...

Maurycy wzruszył ramionami.

- Krzywżę się i wzruszaj ramionami ile ci się podoba - rzekł Lorin - my jednak będziemy czcić odtąd boginię Rozumu.

- I ty koniecznie musisz brać udział w tych wszystkich maskaradach? - zapytał Maurycy.

- O, mój kochany, gdybyś znał tak jak ja boginię Rozumu, byłbyś na pewno jej najzagorzalszym stronnikiem. Wiesz co? Ja cię z nią poznam, przedstawię cię jej...

- Dajże mi spokój z tymi wszystkimi głupstwami, widzisz przecież, że jestem smutny.

- Tym bardziej, mój kochany, tym bardziej. Ona cię rozweseli. To bardzo poczciwa dziewczyna. Ej, ale ty znasz

143

tę surową boginię, którą Paryż pragnie ukoronować wien-
cem i oprowadzać po ulicach na wozie ze złoczonego pa-
pieru! Jest to... zgadnij...

- Jakże mam zgadnąć?

- Jest to... Artemiza.

- Artemiza? - powtórzył Maurycy, na próżno usiłując przypomnieć sobie to imię.

- Tak, ta wysoka brunetka, którą poznałem zeszłego roku na balu w operze. Jadłeś przecież z nami kolację i upiłeś ją...

- A prawda - rzekł Maurycy. - Więc to ona?

.- Tak. Ona ma największe szansę. Podałem ją na kandydatkę, wszyscy termopiliści przyrzekli mi swe głosy. Za trzy dni nastąpią powszechne wybory. Dziś przelewać będziemy szampańskie wino, kto wie, może pojutrze przelejemy własną krew! Ale niech się przelewa, co chce, Artemiza będzie boginią lub mnie wszyscy diabli porwą! No, chodź, każemy jej przymierzyć tunikę.

- Dziękuję. Zawsze czułem wstręt do podobnych rzeczy.

- Do ubierania bogiń? O, do licha, mój kochany, to źle. No, no, chodź, zobaczymy, a nuż cię to rozerwie.

- Lorin! Jestem chory i nie tylko straciłem humor, ale nawet wesołość drugich bardzo mnie drażni.

- Przerażasz mnie, mój drogi Maurycy. Nie bijesz się, nie śmiejesz. Może przypadkiem knujesz jakiś spisek?

- Ja? Niech mnie Bóg broni!

- Aha! Chciałeś powiedzieć, niech mnie broni bogini Rozumu!

- Zostaw mnie, Lorin, nie mogę ani nie chcę wyjść, leżę w łóżku i ani na krok nie ruszę się z domu. Lorin podrapał się po uchu.

- Dobrze! - rzekł. - Rozumiem, co to znaczy.

- Co rozumiesz?

- Że czekasz na boginię Rozumu.

- Do kroćset! - zawołał Maurycy. - Dowcipni przy ja-

144

ciele są zawsze dokuczliwi. Idźże sobie albo cię przeklnę wraz z twoją boginią.

- Przeklinaj, przeklina]...

Maurycy, podnosząc w górę obie ręce, miał właśnie to

uczynić, gdy wtem wszedł oficjalista z listem.

• - Obywatelu Scewola - rzekł Lorin - przychodzisz w złym momencie. Twój pan miał być właśnie przewybomym.,,

Maurycy opuścił rękę i mimo woli sięgnął po list. Za ledwie go dotknął, zadrżał i zaczął pożerać wzrokiem pismo i pieczętkę, którą rozerwał błędnie, jakby mu się słabo zrobiło.

- Oho - mruknął Lorin - sprawa wyjaśnia się, jak widzę.

Maurycy nic nie słyszał, tylko całą duszą czytał wiersze listu Genowefy, a przeczytawszy je po raz drugi, trzeci i czwarty, otarł czoło i błędnym wzrokiem spojrzął na Lorina.

- Do diabła! Zdaje mi się, że ten list musi zawierać nie lada wiadomość.

Maurycy po raz piąty odczytał list Genowefy i nowy rumieniec wystąpił mu na policzki. Oczy napęły się łzami, głębokie westchnienie wyrwało mu się z piersi, a potem nagle, zapominając, że jest chory i osłabiony, wyskoczył z łóżka.

- Moje ubranie! - zawołał do zdumionego służącego. -•
Podaj mi moje ubranie, kochany Scewola! Ach, biedny mój Lorin, od szeregu dni czekam na ten list. Ale, prawdę mówiąc, wcale go się nie spodziewałem. Tak, tak, spodnie białe, koszula z żabotem, uczesz mnie i ogol natychmiast.

Oficjalista, jak mógł najspieszniej, wykonał wszystkie polecenia.

- O, zobaczę ją znowu, zobaczę! - wołał młodzieniec. - Lorin, doprawdy nie wiedziałem dotąd, co to jest szczęście!

M - A. Dumas

145

- Mój biedny Maurycy - rzekł Lorin - sądzę, że jednak koniecznie potrzebujesz odwiedzin, które ci przedtem radziłem.

- Przebacz, kochany przyjacielu - zawołał Maurycy - przebacz, lecz naprawdę wydaje mi się, że kompletnie

straciłem rozum.

- No, to ja ci mój odstąpię - rzekł Lorin, śmiejąc się z kalamburu, Artemizę bowiem nazwał swoim rozumem.

Maurycy roześmiał się również. Szczęście przywróciło mu chęć do dowcipkowania. Ale to nie było wszystko.

- Masz - rzekł, obcinając pokryte kwiatami gałązki pomarańczy - ofiaruj ode mnie ten bukiet zacnej wdowie Mausole.

- Brawo! - zawołał Lorin. - Otóż mi galant, przebaczam ci! Zresztą uważam, że jesteś okrutnie zakochany, a zawsze szanuję wielkie nieszczęścia.

- No tak, jestem zakochany! - zawołał Maurycy z radością. - Jestem zakochany. Mogę teraz przyznać się do tego, bo i ona mnie kocha, skoro mnie wzywa, prawda, Lorin?

- Bez wątplenia - uprzejmie odpowiedział wielbiciel bogini Rozumu. - Ale strzeż się, Maurycy, bo zaczynam się bać, że...

Maurycy zaklaskał w dłonie. Potem, włożywszy kapelusz, zbiegł po schodach jak szalony, dostał się na bulwar i ruszył w kierunku znanej nam ulicy Saint-Jacques.

Lorin zszedł także po schodach, lecz daleko wolniej. Artemiza nie była Genowefą.

Zaledwie znalazł się z pomarańczowymi kwiatami na ulicy Saint-Honore, tłumy młodych obywateli, którym zależnie od humoru miał zwyczaj rozdawać drobną monetę lub kułaki, zaczęły podążać za nim z uszanowaniem. Brano go zapewne za jednego z owych cnotliwych, którym święty Justyn proponował dać białe suknie i bukiety pomarańczowego kwiatu. Że zaś orszak coraz bardziej się powiększał,

146

bo w owej epoce człowiek cnotliwy był szczególnie wielką osobliwością, kilka zatem tysięcy młodych obywateli było świadkiem wręczenia bukietu Artemizie, a hołd ten przypisał o migrenę wszystkie inne boginie Rozumu, znajdujące się wśród tłumów.

' Tego samego wieczoru rozeszła się po Paryżu sławna kantata:

Niech żyje bogini Rozumu!
Czysty płomień, słodka światłość.

Ponieważ doczekała naszych czasów bez nazwiska autora, co niezmiernie zaostrzyło przenikliwość „archeologów” rewolucyjnych, przeto nieco zuchwale może ośmielimy się objaśnić, że ułożył ją przyjaciel nasz Hiacynt Lorin dla pięknej Artemizy.

XVI

SYN MARNOTRAWNY

Maurycy pędził jak wicher. Na tłumy ludzi, wypełniające ulice, nie zwracał uwagi. W gromadzących się tu i ówdzie grupach mówiono, że Konwent jest oblężony, że obrażono majestat ludu, ponieważ wzbroniono wejść jego reprezentantom. Widocznie coś podobnego musiało się wydarzyć, skoro rozległ się odgłos dzwonu i wystrzał działa na znak trwogi.

Ale co Maurycego mógł w tej chwili obchodzić dzwon lub działo? Nie interesowało go, czy deputowani będą mogli wejść do Konwentu, czy nie, ponieważ zakaz ten nie stosował się do niego. Biegł więc, jak mógł najprędzej.

Wyobrażał sobie przez drogę, że Genowefa czeka na niego, że stoi w małym oknie, wychodzącym na ogród, że gdy

M* 147

tylko z dala go spostrzeże, powita zaraz swym czarownym uśmiechem.

Dixmer, uprzedzony o jego szczęśliwym powrocie, poda mu swą uczciwą, tłustą dłoń, bezsprzecznie szczerą i prawą.

Kochał teraz Dixmera i Moranda nawet, kochał jego czarne włosy i zielone okulary, spod których, jak mu się dotąd zdawało, błyszczało chytre oko. Kochał wszystkie stworzenia, bo był szczęśliwy. Chętnie by zarzucił wszystkich kwiatami, byleby tylko czuli się szczęśliwi, podobnie jak on.

Jednakże mylił się biedny chłopiec w owych przypuszczeniach, jak mylą się ludzie, którzy kierują się tylko głosem serca.

Genowefa, zamiast słodkim uśmiechem, postanowiła przywitać go grzecznie, lecz zimno, sądziła bowiem, że tą słabą zaporą wstrzyma potok zagrażający jej sercu.

Skryła się do swego pokoju na pierwszym piętrze i miała zejść dopiero wtedy, gdy ją zawołają. Niestety, i ona się myliła.

Jedynie Dixmer trzeźwo patrzył na wszystko: obserwował Maurycego przez kratę i uśmiechał się ironicznie.

Obywatel Morand starannie 'farbował na czarno małe ogonki, które przyczepione do białych skórek kocich miały imitować gronostajowe futro.

Maurycy otworzył małe drzwiczki, prowadzące do ogrodu. Zawieszony nad nimi dzwonek brzęknął jak dawniej, zapowiadając przybycie młodzieńca.

Genowefa, stojąc przy zamkniętym oknie, zadrżała i spuściła podniesioną firankę.

Maurycy, wchodząc, doznał zatem zawodu. Nie tylko Genowefa nie oczekiwała go przy dolnym oknie, ale nie zastał jej nawet w salonie, w którym ją kiedyś pożegnał, kazał więc oznajmić swoje przybycie, jakby po trzytygod-

348

niowej przerwie stał się kimś obcym dla tego domu. Serce o mało nie pękło mu z żalu.

Najpierw ujrzał Dixmera. Ten podbiegł doń z okrzykiem radości i porwał go w objęcia.

Potem zeszła Genowefa.

'Maurycy gdy tylko ją zobaczył, skierował się ku niej z uśmiechem na ustach, a gdy chciał ucałować jej rękę, spostrzegł, jak bardzo przez ten czas się zmieniła. Ona również z przerażeniem dostrzegła bladość na twarzy Maurycego i gorączkowy blask jego spojrzenia.

- A więc zjawił się pan? - rzekła, nie mogąc ukryć wzruszenia. Miała zamiar powiedzieć obojętnie: „Dzień dobry, obywatelu Maurycy, dlaczegóż stałeś się u nas tak rzadkim gościem?”

Powitanie wydało się Maurycemu i tak bardzo zimne.

Dixmer przerwał wzajemne wypytywania i wymówki. Kazał podać obiad, bo już była blisko druga godzina.

Kiedy znaleźli się w sali jadalnej, Maurycy spostrzegł, że i dla niego przygotowano nakrycie.

Zjawił się wreszcie obywatel Morand w tym samym co zwykle fraku i w tej samej co zwykle kamizelce. Miał też swoje zielone okulary, długie, czarne włosy i biały żabot. Maurycy starał się być jak najbardziej uprzejmy i serdeczny dla wszystkich.

Istotnie, jakież miał dowód na to, że Genowefa kocha chemika? Tylko on, tak bardzo zakochany, a tym samym zupełnie szalony, mógł nabijać sobie głowę podobnymi niedorzecznościami.

Zresztą była to nieodpowiednia chwila do zazdrości. Maurycy miał w kieszeni list Genowefy. Serce biło mu z radości.

Twarz Genowefy przybrała znowu wyraz zwykłej pogody, bo natura kobieca posiada tę charakterystyczną cechę, iż terażniejszość prawie zawsze niszczy w niej ślady przeszłości i usuwa groźbę przyszłości.

149

Genowefa, czując, że odzyskuje szczęście, panowała nad sobą, była spokojna i chłodna, jakkolwiek bardzo uprzejma. Maurycy tego nie zauważył. Lorin byłby zapewne znalazł wyjaśnienie jej zachowania się w którymkolwiek ze swych ulubionych autorów.

Rozmowa potoczyła się na temat bogini Rozumu. Upadek żyrondistów i kult dla nowej bogini stanowiły dwa główne wypadki dnia. Dixmer utrzymywał, iż nie gniewałby się wcale, gdyby ten nieoceniony zaszczyt przypadł Genowefie. Maurycy chciał już roześmiać się z tego, lecz zauważył, że Genowefa podziela zdanie męża. Maurycy spojrział na nich zdziwiony, nie mogąc zrozumieć, iż uczucie patriotyzmu zdołało do tego stopnia otumanić człowieka tak rozsądnego jak Dixmer i duszę tak pełną poezji jak

Genowefa.

Morand rozwijał teorie o kobiecie interesującej się sprawami polityki, przechodząc od Theroigne de Mericourt, bohaterki dziesiątego września, aż do pani Roland, która stanowi duszę Zyrondy. Potem, niby nawiasem, powiedział

kilka słów skierowanych przeciwko emancypantkom. Słowa te rozśmieszyły Maurycego, a były przecież okrutnym szyderstwem z owych patriotek, którym później nadano haniebną nazwę „lizaetek gilotyny”.

- Ach, obywatelu Morand - rzekł Dixmer - czcimy patriotyzm nawet wówczas, gdy błądzi.

- Co do mnie - przerwał Maurycy - sędzę, że kobiety są zawsze dobrymi patriotkami, jeśli tylko nie sprzyjają zanadto arystokracji.

- Masz słuszość, obywatelu - powiedział Morand. - Szczerze wyznaję, że według mnie o tyle godną pogardy jest kobieta, przybierająca charakter mężczyzny, o ile podłym jest mężczyzna, znieważający kobietę, chociażby nawet była jego najzawziętszą nieprzyjaciółką.

Morand wprowadził Maurycego na bardzo drażliwy temat, a że Maurycy za całą odpowiedź skinął potwisrdza-

150

jąco głową, szranki zastały otwarte. Wtedy Dixmer, podobny do trąbiącego herolda, dodał:

- Pozwól, pozwól, obywatelu Morand. Spodziewam się, że wyłączasz z tego kobiety, nieprzyjaciółki narodu.

Po takim odparciu wypowiedzi Moranda nastąpiło milczenie, trwające kilka chwil. Pierwszy przerwał je Maurycy.

- Nie wyłączajmy nikogo - rzekł smutno. - Kobiety, które były nieprzyjaciółkami narodu, dziś są zbyt srogo, niestety, za to karane.

- Czy rozumiesz przez to, obywatelu, uwięzione w Tempie? Czy mówisz o Austriaczce, o siostrze i córce Capeta? - zawołał Dixmer pośpiesznie.

Morand pobladł, oczekując na odpowiedź młodego gwardzisty, a paznokcie jego zostawiły na pewno głęboki ślad, tak mocno wpił je w piersi.

- Istotnie, Tak jest, o nich mówię.

- Jak to? - rzekł stłumionym głosem Morand. - Czyżby miało być prawdą, co mówią, obywatelu Maurycy?

- A cóż mówią? - spytał młodzieniec.

- Ze z uwiezionymi zbyt okrutnie obchodzą się nawet ci, którzy powinni je wziąć pod opiekę.

- Są ludzie - powiedział Maurycy - niegodni nazwy ludzi. Są podli, którzy nigdy nie walczyli, ale którzy muszą dręczyć zwyciężonych, aby móc przekonać siebie, że są zwycięzcami.

- O, obywatelu Maurycy, ty nie należysz do rzędu takich ludzi, jestem tego pewna - zawołała Genowefa.

- Pani - odpowiedział Maurycy - ja, który to mówię, stałem na straży przy rusztowaniu, na którym zginął król. Miałem szablę w ręku, aby nią rozsiekać każdego, kto by się pokusił o ocalenie nieszczęśliwego monarchy. A jednak gdy przechodził koło mnie, mimo woli zdjąłem kapelusz i obracając się do moich żołnierzy, zawołałem: „Obywatele, Upprzedzam, że położę trupem tego, kto się odważy znieważyć byłego króla.” Kłamcą nazwę każdego, kto ośmieli

151

się utrzymywać, że choć jeden okrzyk dał się słyszeć w mojej kompanii. Ja także swoją własną ręką napisałem dziesięć tysięcy ogłoszeń rozlepionych na murach Paryża, gdy król wracał z Varennes, a które brzmiały: „Ktokolwiek pozdrowi króla, zostanie obity, ktokolwiek go znieważy, będzie powieszony.” Tak więc - mówił dalej nie zważając, jak straszne wrażenie wywarły jego słowa na obecnych - dowiodłem, że jestem prawym i prawdziwym patriotą, i oświadczam, że mimo mojej opinii płynącej jedynie z głębokiego przekonania, iż Austriaczka jest w dużej mierze przyczyną nieszczęść trapiących Francję, nigdy, przenigdy nikt, chociażby nawet sam Santerre, w obecności mojej nie znieważy eks-królowej.

- Obywatelu - przerwał Dixmer, potrząsając głową, jak człowiek, który nie pochwała podobnej śmiałości - musisz być bardzo nas pewny, jeżeli w naszej obecności głosisz podobne zasady!

- To, oo mówię wobec was, śmiało powtórzę wobec wszystkich. Dodam nawet: Maria Antonina zginie może na rusztowaniu, ale ja nie należę do rzędu ludzi, których kobieta się lęka i zawsze szanować będę wszystko, co jest słabsze ode mnie.

- A królowa? - zapytała nieśmiało Genowefa. - Czy dała ci poznać kiedy, panie Maurycy, że czuje twoją de-

likatność, z którą tak rzadko teraz się spotyka?

- Kilkakroć dziękowała mi za względy, jakie miałem dla niej.

- Zapewne więc z upragnieniem oczekuje czasu nadejścia twej służby, obywatelu?

- Tak sędzę - odpowiedział Maurycy.

- W takim razie - wtrącił Morand, drżąc jak kobieta - ponieważ wyznajesz pan to, czego nikt teraz nie śmie wyznać, bo objawiasz całą wspaniałomyślność swego serca, nie prześladujesz zapewne i jej dzieci.

- Ja?. - powiedział Maurycy. - Spytajcie niegodziwe-

152

go Simona, jak ciężkie jest ramię gwardzisty, wobec którego ten nędzanik śmiał bić małego Capeta.

Odpowiedź wywołała nagle poruszenie wokół stołu Dixmera. Wszyscy biesiadnicy powstali z szacunkiem.

Maurycy sam tylko siedział i nie domyślał się nawet, że wzbudzi taki wyraz uwielbienia.

- Cóż to ma znaczyć? - spytał zdziwiony.

- Sądziłem, że wołano mnie do warsztatu - odpowiedział Dixmer.

_ Nie, nie - powiedziała Genowefa. - I ja zrazu tak myślałam, aleśmy się omylili.

I znowu każdy zajął swoje miejsce.

- A więc to ty, obywatelu Maurycy - drżącym głosem rzekł Morand - ty jesteś owym gwardzistą, o którym powiadano, że tak szlachetnie bronił dziecka?

- Powiadano o tym? - rzekł Maurycy z rozczulającą naiwnością.

- Oto szlachetny człowiek - powiedział Morand, wstając od stołu, aby nie okazać zbytniego wzruszenia i oddalił się do warsztatu, gdzie wzywała go rzekomo pilna sprawa.

- Tak jest, obywatelu - odrzekł Dixmer - tak, mówiono o tym i winieniem wyznać, że wszyscy ludzie z sercem i odwagą wielbili cię, chociaż cię nie znali.

- I niech pozostanie nieznany - wtrąciła Genowefa. - Sława, jaką byśmy mu zjednali, byłaby zbyt niebezpieczna.

W tej szczególnej rozmowie każdy mimo woli rzucił słówko o bohaterstwie, poświęceniu i współczuciu.

Dał się nawet słyszeć okrzyk miłości.

XVII

SAPERZY

Zaraz po obiedzie dano znać Dixmerowi, że notariusz czeka na niego w gabinecie. Przeprosił więc Maurycego,

153

którego zresztą zwykł był opuszczać, i poszedł porozmawiać z przybyłym.

Chodziło o kupno domu przy ulicy Corderie, naprzeciwko ogrodu w Tempie, a Dixmer kupował właściwie plac, nie dom, bo domowi groziło zawalenie i trzeba było zbudować nowy.

Targ trwał niedługo. Notariusz widział się z właścicielem rano i uzgodnił z nim cenę na dziewiętnaście tysięcy pięćset liwrow. Przyszedł pobrać powyższą sumę i przyniósł umowę do podpisania. Właściciel miał się wyprowadzić jeszcze tego samego dnia, a nazajutrz miano tam posłać robotników.

Po podpisaniu umowy Dixmer i Morand udali się natychmiast z notariuszem na ulicę Corderie, aby obejrzeć nowo nabytą własność, kupili ją bowiem, nie zobaczywszy jej przedtem.

Był to dom położony tam, gdzie jest dziś numer dwudziesty. Miał trzy piętra i poddasze. Dolna część wynajęta była niegdyś kupcowi handlującemu winem i były tam doskonałe piwnice. Właściciel wychwalał piwnice jako najbardziej atrakcyjną część domu. Dixmer i Morand zdawali się niewielką przywiązywać do nich wagę, i przez grzeczność zeszli do owych piwnic, zwanych przez właściciela podziemiami. Piwnice były istotnie wspaniałe: jedna z nich znajdowała się pod ulicą Corderie i słyszano w niej turkot

przejeżdżających górą powozów.

Dixmer i Morand zdawali się nisko oceniać przydatność piwnic, mówili nawet, że każą je zasypać, ba, nadzwyczaj przydatne dla kupca win, zupełnie były nieużyteczne dla uczciwych mieszczan, zamierzających zająć cały dom. Następnie zwiedzili pierwsze, drugie i trzecie piętro. Z trzeciego widać było doskonale ogród w Tempie, który jak zwykle zajmowali narodowi gwardziści. Zażywali oni w/ nim rozrywki od czasu, gdy królowa zaniechała przechadzek.

154

Dixmer i Morand ujrzeli swą przyjaciółkę, wdowę Plumeu, królującą w swoim szynku. Nie chcieli być jednak przez nią rozpoznani, bo skryli się za właściciela, który w tej chwili mówił im o korzyściach płynących z urozmaiconego, przyjemnego widoku. Nabywca zażądał z kolei pokazania sobie poddasza. Właściciel zapewne się tego nie spodziewał, bo nie miał przy sobie klucza, ale zaraz poszedł go poszukać.

- Nie omyliłem się - rzekł Morand. - Dom ten doskonale dopomoże nam w zamierzonym przedsięwzięciu.

- A cóż powiesz o piwnicy?

- Ze opatrnością nam ją zsyła. Oszczędzimy sobie przynajmniej dwa dni pracy.

- Czy sądzisz, że znajduje się blisko piwnicy pod chatką?

- Położona jest nieco z lewej strony, mniejsza jednak o to.

- Ale jakże potrafisz zachować orientację pod ziemią, tak abyś mógł dostać się tam, gdzie trzeba? - spytał Dixmer.

- Bądź spokojny, kochany przyjacielu, już mnie to pozostaw.

- A gdybyśmy dali stąd jakiś znak, że czuwamy?

- Nie wiem, czy królowa będzie mogła go dostrzec z wieży. Zdaje mi się, że dopiero poddasze znajduje się na równym poziomie z wieżą, a i tego nie jestem pewien.

- Nic nie szkodzi - rzekł Dixmer. - Toulan albo Mauny mogą dostrzec ów znak przez jakiś otwór i uprzedzą Jej Królewską Mość.

Powiedziawszy to, Dixmer zrobił kilka węzłów na frędzli białej rolety i wysunął ją za okno tak, aby się zdało, że wypchnął ją wiatr.

Potem obaj, jakby chcąc koniecznie zwiedzić poddasze, wyszli na schody, aby zaczekać na właściciela. Przedtem zamknęli drzwi na trzecim piętrze, by poczciwcowi nie

155

przyszła do głowy myśl wciągnięcia do pokoju powiewającej rolety.

Jak przewidział Morand, poddasze nie sięgało jeszcze wysokości wierzchołka wieży. Była to zarazem i korzyść, i trudność. Trudność, ponieważ nie można było porozumieć się z królową za pomocą znaków, korzyść, ponieważ usuwało to wszelkie podejrzenie, a na wysokie domy największą wówczas zwracano uwagę.

- Trzeba by za pośrednictwem Mauny'ego, Toulana lub córki Tisona znaleźć sposób doniesienia Marii Antoninie, aby się miała na bacności! - szepnął Dixmer.

:- Pomyślę o tym - odpowiedział Morand.

Zeszli na dół. Notariusz czekał w salonie z podpisaną umową.

- Wszystko w porządku - rzekł Dixmer. - Dom mi się podoba, proszę przekazać obywatelowi należne mu dziesiętności tysięcy pięćset Uwrów, i niech pokwituje ich odbiór.

Właściciel przeliczył skrupulatnie pieniądze i położył swój podpis.

- Wiadomo ci, obywatelu - rzekł Dixmer - że głównym warunkiem umowy jest, aby dom został mi oddany jeszcze tego wieczoru, jutro bowiem chcę przysłać tu robotników.

- Dopełnię bezwzględnie tego warunku, obywatelu,

możesz zabrać z sobą klucze. O godzinie ósmej dom będzie zupełnie wolny.

- Przepraszam - dodał Dixmer - mówiłeś mi coś, obywatelu notariuszu, że jest tu drugie wyjście na ulicę Porte-Foin?

- Tak jest, obywatelu - odpowiedział właściciel - ale kazałem je zamurować, bo mam tylko jednego oficjalistę, nie chciałem więc zbytnio biedaka trudzić czuwaniem przy obu wyjściach. Zresztą, wystarczy tylko kilka godzin pra-

158

cy, a wyjście będzie znów otwarte. Czy chcecie się o tym przekonać, obywatele?

- Nie, nie, dziękujemy - odpowiedział Dixmer - nie przywiązuję do tego specjalnej wagi.

I wyszli, przypomniawszy właścicielowi po raz trzeci obietnicę wyprowadzenia się z domu przed godziną ósmą wieczorem.

O godzinie dziewiątej wrócili znowu, a za nimi w pewnej odległości szło kilku ludzi, na których, wśród panującego w Paryżu zamieszania, nikt nie zwracał uwagi.

Właściciel dotrzymał słowa - dom był zupełnie pusty. Dixmer i Morand weszli pierwsi, starannie pozamykali okiennice, skrzესali ogień i zapalili przyniesione w kieszeniach świece.

Potem jeden po drugim weszli wspomniani ludzie. Byli to biesiadnicy pana garbarza, ci sami przemytnicy, którzy pierwszego wieczoru chcieli zabić Maurycego, a później stali się jego przyjaciółmi.

Pozamykali drzwi i zeszli do piwnicy, o której w dzień mówili z taką pogardą, a która wieczorem stała się najcenniejszą częścią domu. Słysząc tu było, jak to słusznie twierdził poprzedni właściciel, turkot powozów przejeżdżających nad głowami, co dowodziło, że Istotnie znajdują się bezpośrednio pod ulicą.

Przede wszystkim pozatykano wszystkie otwory, przez które ktoś ciekawy mógłby zajrzeć do środka. Potem Morand szybko podniósł, a potem postawił pustą beczkę, i położywszy na niej papier, zaczął kreślić jakieś geometryczne figury. Podczas gdy to czynił, towarzysze jego pod przewodnictwem Dixmera wyszli z domu, przebyli ulicę Corderie i na rogu ulicy Beauce zatrzymali się przed

otwartym wozem. Znajdował się w nim jakiś mężczyzna, który starając się nie zwrócić niczyjej uwagi, rozdał każdemu z nich narzędzia: jednemu rydel, drugiemu oskard, trzeciemu lewar, czwartemu motyl-:ę. Każdy schował swoje

157

narzędzie pod płaszcz, a potem wszyscy skierowali się w stronę nowo nabytego domu. Wóz odjechał.

Morand, skończywszy swą pracę, poszedł prosto w kąć piwnicy.

- Tutaj kopcie - rzekł. ł

Rzemieślnicy wzięli się natychmiast do dzieła.

Położenie uwięzionych w Tempie stawało się coraz cięższe, coraz bardziej przykre. Przez chwilę królowa, księżniczka Elżbieta i córka królewska powzięły jakąś nadzieję. Gwardziści Toulan i Lepitre, zdjęci litością dla więźniów, objawiali im współczucie. Zrazu nieszczęśliwe kobiety, nie nawykłe do podobnych oznak sympatii, nie dowierzały im. Zresztą, cóż jeszcze mogło spotkać królową, rozdzieloną z synem przez więzienie, a z mężem przez śmierć, i to śmierć na rusztowaniu? Takie było przeznaczenie, któremu od dawna patrzyła w oczy, taki był los, do którego w końcu przywykła.

Gdy więc nadeszła znowu kolej warty na Toulana i Lepitre^, królowa spytała ich, czy to prawda, że zajmują się jej losem, i prosiła, aby opowiedzieli jej szczegóły śmierci króla. Smutna to zaiste była próba ich sympatii! Lepitre był obecny przy egzekucji, usłuchał więc rozkazu królowej.

Maria Antonina poprosiła o dzienniki, opisujące wykonanie wyroku. Lepitre przyrzekł, że przyniesie jej następnym razem, miało to zaś nastąpić dopiero za trzy tygodnie.

Za czasów króla znajdowało się w Tempie czterech gwardzistów. Po jego śmierci było już ich tylko trzech. Jeden czuwał w dzień, dwaj pozostali w nocy. Godziny straży zależne były od losowania. Na jednej kartce pisano „dzień”, a na dwóch pozostałych „noc”. Każdy wyjmował kartkę z kapelusza, los więc dobierał czuwających w nocy.

Za każdym razem, ilekroć Lepttre i Toulan byli na służbie, pisali „dzień” na wszystkich trzech kartkach, kładli je do kapelusza i podawali gwardziście, którego pragnęli usunąć. Ten wkładał rękę do zaimprovizowanej

urny i wyjmował naturalnie kartkę z napisem „dzień”, Tulan i Lepitre niszczyli zaraz obie pozostałe kartki, szmerząc na los, który ich zawsze skazywał na najnudniejszą, bo w nocy odbywaną służbę.

Kiedy królowa była już pewna obu swych strażników, zaleciła im, aby nawiązali stosunki z kawalerem de Maison-Rouge. Wówczas to ułożono plan ucieczki. Królowa i księżniczka Elżbieta, zaopatrzone w odpowiednie dokumenty, miały uciec przebrane za oficerów miejskiej gwardii. Co do córki królewskiej i młodego delfina, ponieważ podobne były do dzieci jednego z robotników, zapalających światła w Tempie, postanowiono, że Turgy, o którym nie wspomnieliśmy jeszcze, przebrany za tego właśnie robotnika, wyprowadzi je z sobą.

Powiedzmy w kilku słowach, kto to był ów Turgy.

Turgy był to chłopak sprowadzony do Tempie z Tuileries wraz z kilkoma innymi służącymi Ludwika XVI, na początku bowiem miał monarcha w więzieniu dosyć przyzwoitą obsługę przy stole. W pierwszych miesiącach na utrzymanie tej służby naród wydał około czterdziestu tysięcy franków.

Ale łatwo zrozumieć, że podobna rozrzutność nie mogła trwać długo. Gmina zajęła się zaprowadzeniem oszczędności i oddaliła kuchmistrza, kucharzy i kuchcików, zostawiając tylko chłopca do posług, a był nim Turgy. Stał się on zatem pośrednikiem między uwięzionymi kobietami a ich stronnikami, mógł bowiem wychodzić, a tym samym przynosić listy i odnosić odpowiedzi.

Listy zwykle owinięte były na korkach od butelek, w których przynoszono orszadę dla królowej i księżniczki Elżbiety. Pisane były cytrynowym sokiem, litery więc można było dostrzec dopiero po zbliżeniu ich do ognia.

Wszystko już przygotowano do ucieczki, gdy pewnego razu Tison, zapalając fajkę papierem zdjętym z korka, dostrzegł litery. Zgasił ogień natychmiast i skrawek za-

niósł radzie w Tempie. Tam zbliżono go do ognia, ale wyczytano tylko kilka wyrazów bez związku, bo druga część papieru zamieniona już była w popiół. Poznano

jednak charakter pisma królowej.

Badany Tison oświadczył, iż Lepitre i Toulan są zbyt uprzejmi dla uwięzionych. Doniesiono więc o tym radzie miejskiej i odtąd dwaj gwardziści nie pokazali się już więcej w Tempie. Pozostał tylko Turgy.

Ale brak zaufania wzrósł do najwyższego stopnia - nie zostawiono go nigdy ,sam na sam z uwięzionymi. Wszelki więc kontakt ze światem stał się niemożliwy.

Pewnego dnia księżniczka Elżbieta podała Turgy'emu do oczyszczenia nóż ze złotą rękojeścią, który służył jej do krajania owoców. Turgy domyślił się, że w tym musi się coś kryć. Czyszcząc nóż, znalazł w jego rękojeści list.

List zawierał cały alfabet znaków.

Turgy oddał nóż księżniczce Elżbiecie, ale pewien gwardzista, który właśnie tam się znajdował, wyrwał go z jej rąk i zaczął oglądać na wszystkie strony. Na szczęście, listu już nie było, niemniej jednak gwardzista nóż skonfiskował.

Wówczas to niezmordowany kawaler de Maison-Rouge zamierzał dokonać drugiej próby. Nabycie domu przez Dixmera miało mu w tym dopomóc. Tymczasem uwięzione traciły powoli wszelką • nadzieję. Tego dnia królowa, przestraszona wrzawą, która dochodziła aż z ulicy, i dowiedziawszy się, że wrzawa ta spowodowana była oskarżeniem żyrondistów, doznawała śmiertelnego smutku. Z upadkiem żyrondistów rodzina królewska traciła wszelkich obrońców w Konwencie.

O godzinie siódmej podano wieczerzę. Gwardziści, według zwyczaju, obejrzelili każdą potrawę, rozwinęli każdą serwetkę, pokłuli chleb widelcami, pokruszli makaroniki i orzechy, chcąc sprawdzić, czy nie ma gdzieś listu dla uwięzionych. Następnie, po dopełnieniu tych środków

160

ostrożności zaprosili królową i księżniczki do stołu, zwracając się po prostu:

- Wdowo Capet, możesz jeść.

Królowa poruszyła głową na zaak, że nie jest głodna, lecz w tej chwili córka królewska, całując matkę, szepnęła jej do ucha:

- Siadaj, mamó, do stołu, zdaje mi się, że Turgy chce nam dać jakiś znak.

Królowa zadrżała i podniosła głowę. Turgy stał naprzeciwko niej. Na lewej ręce zawiesił serwetkę, prawą dotknął oka,

Królowa wstała natychmiast i zajęła swe zwykłe miejsce przy stole.

Obaj gwardziści obecni byli przy wieczerzy. Zabroniono im choćby na chwilę pozostawiać uwięzione sam na sam z Turgy'm.

Nogi królowej i księżniczki Elżbiety spotkały się pod stołem i przycisnęły do siebie.

Ponieważ królowa siedziała naprzeciwko Turgy'ego, nie uszedł jej uwagi żaden jego ruch. Zresztą czynił wszystko w sposób tak naturalny, iż nie mógł wzbudzić najmniejszego podejrzenia u gwardzistów.

Po wieczerzy zdjęto całe nakrycie z tymi samymi co poprzednio środkami ostrożności: zebrano i obejrzano najmniejszą okruszynę chleba, po czym Turgy wyszedł pierwszy, za nim gwardziści. Została tylko stara Tison.

Od czasu jak rozłączono ją z córką, o której losie nic nie wiedziała, stała się prawie okrutna. Ilekroć królowa całowała swą córkę, Tison wpadała we wściekłość graniczącą z szaleństwem. Królowa, której macierzyńskie serce pojmowało boleść matki, zatrzymywała się częstokroć w chwili, gdy kosztować miała tej jedynej już teraz pociechy.

Tison przyszedł po żonę, lecz ta oświadczyła, że nie odejdzie, dopóki wdowa Capet nie położy się do łóżka. Wtedy księżniczka Elżbieta pożegnała królową i wyszła do

U - A. Uumaa

131

swego pokoju. Królowa rozebrała się i położyła, córka

uczyniła to samo. Stara Tison wzięła świecę i wyszła. Gwardziści spoczywali w korytarzu na swych łózkach.

Księżyc, błądy gość uwięzionych, przez szczelinę w daszku nad oknem rzucał promienie aż do łóżka królowej.

Przez chwilę panowała w pokoju głęboka cisza i milczenie. Potem drzwi leciutko się otworzyły: po promieniu przesunął się jakiś cień i zbliżył do głów łóżka. Była to księżniczka Elżbieta.

- Czy widziałaś? - spytała po cichu.

- Widziałam - odrzekła królowa.

- A rozumiałaś? ,

- Tak dobrze, iż nawet nie mogę w to uwierzyć.

- Powtórzmy znaki.

- Najpierw dotknął oka, dając nam znać, że przynosi jakąś wiadomość.

- Potem przełożył 'serwetkę z lewej ręki na prawą. Oznacza to, że myślą o naszym oswobodzeniu.

- Potem podniósł rękę do czoła na znak, że pomoc przychodzi z kraju, nie z zagranicy.

- Potem, kiedyś mówiła mu, aby nie zapomniał jutro o mleku, zrobił na chustce dwa węzły.

- Jest to więc znowu kawaler de Maison-Rouge! Co za szlachetna dusza!

- To on - powiedziała księżniczka Elżbieta.

- Czy śpisz, córko? - spytała królowa.

- Nie, matko... - odpowiedziała księżniczka.

- No, to módl się... wiesz za kogo.

Księżniczka Elżbieta wróciła, jak mogła najciszej, do swego pokoju, a przez pięć następnych minut słyszano wśród nocnej ciszy głos młodej księżniczki, modlącej się do Boga.

Było to właśnie w chwili, gdy na znak Moranda po raz pierwszy uderzono motyką w piwnicy domu przy ulicy Corderie.

Wi!ł!
CHMURY

Pierwsze spojrzenia przy powitaniu upoiły Maurycego. Przyjęcie zaś, jakiego doznał ze strony Genowefy, zawiodło zupełnie jego oczekiwanie. Liczył na samotność, mniemał, że wróci znowu na drogę, z której zboczył, lub z której zdawał się przynajmniej zboczyć, ale omylił się bardzo.

Genowefa postępowała według ułożonego przez siebie planu. Unikała umyślnie sposobności znalezienia się sam na sam z młodym człowiekiem, pamiętając, że taka chwila, mimo całej swej słodczy, była dla niej niebezpieczna.

Maurycy sądził, że nazajutrz sprawy ułożą się inaczej, lecz jakaś krewna przyszła w odwiedziny i Genowefa zatrzymała ją u siebie. Tym razem nie mógł nic powiedzieć, ponieważ nie była to może wina Genowefy.

Gdy wychodził, poproszono go, aby odprowadził krewną na ulicę Fosses-Saint-Victor.

Uczył to z widoczną niechęcią, ale że Genowefa uśmiechnęła się, wziął ten uśmiech za obietnicę.

Niestety, jakże się omylił. Nazajutrz drugiego czerwca, w okropny dzień upadku żyrondistów Maurycy pożegnał Lorina, który chciał go koniecznie zabrać z sobą do Konwentu. Młodzieniec odłożył wszystko na później i poszedł odwiedzić przyjaciółkę. Bogini Wolności miała straszną rywalkę w Genowefie.

Maurycy zastał ją w małym salonie. Przyjęła go z całym wdziękiem i uprzejmością. Siedziała przy niej młoda pokojówka z trójkolorową kokardą, haftując chustkę, i wcale nie ruszała się z miejsca.

Maurycy zmarszczył brwi. Genowefa spostrzegła, że jest w złym humorze, podwoiła więc swą uprzejmość, ale po-

n*

163

nieważ nie kazała odejść służącej, Maurycy zniecierpliwił się i pożegnał ją o godzinę wcześniej niż zwykle.

„Wszystko to mogło być przypadkiem” - myślał Maurycy i znowu uzbroił się w cierpliwość. Tego wieczoru zresztą sytuacja była tak groźna, że chociaż od pewnego czasu nie zajmował się polityką, powszechnie znane wieści dotarły do jego uszu. Upadek stronnictwa, które przez

dziesięć miesięcy rządziło Francją, zdołał na chwilę zagłuszyć w nim miłość.

Nazajutrz spodziewał się znowu takiego samego postępowania ze strony Genowefy. Przewidując to, wykonał z góry ułożony przez siebie plan: w dziesięć minut po swoim przybyciu, widząc, że pokojówka wyhaftowała już z tuzin chustek i zabierała się do znaczenia sześciu tuzinów serwet, wyjął zegarek, ukłonił się Genowefie i wyszedł, nie mówiąc ani słowa.

Co więcej, odchodząc, ani się nawet nie odwrócił.

Genowefa wstała, aby za nią popatrzeć, gdy będzie przechodził przez ogród, ale naraz blada, wzruszona, padła na krzesło, złamana jego metodą postępowania.

W tej chwili zjawił się Di-somer.

- Maurycy już wyszedł? - spytał zdziwiony.

- Tak - wyjąkała Genowefa.

- Ale przecież dopiero niedawno się zjawił.

- Przed kwadransem.

- To może wróci?

- Wątpię.

- Zostaw nas, Konwalio - powiedział.

Pokojówka przybrała imię tego kwiatu przez nienawiść do imienia Marii, które na nieszczęście nosiła Austriaczka. Na wezwanie pana wstała i wyszła.

- I cóż, kochana Genowefo - spytał Dixmer - pogodziłaś się z Maurycym?

- Przeciwnie, mój przyjacielu, sądzę, że obecnie jesteśmy bardziej dla siebie obcy, niż kiedykolwiek.

164

- I które z was teraz zawiniło? - spytał Dixmer.

- Naturalnie Maurycy.

- Zobaczymy, uczyni mnie waszym sędzią.

- Jak to - rzekła zakłopotana Genowefa - albo się nie domyślasz?

- Co go gniewa?

- Zdaje się, że uprzedził się do Konwalii.

- Doprawdy? No, to trzeba ją odprawić. Dla pokojówki nie zrezygnuję przecież z takiego przyjaciela jak Maurycy.

- O! - zawołała Genowefa. - Nie sądzę, żeby chciał wymagać oddalenia jej z domu i że wystarczy...

- Co?

- Że oddalę ją z mego pokoju.

- Słusznie - rzekł Dixmer. - Maurycy odwiedza ciebie, a nie Konwalię, nie trzeba więc, aby ona tu była podczas jego bytności.

Genowefa zdziwiona spojrzała na męża.

- Ależ, mój przyjacielu... - rzekła.

- Genowefo - przerwał Dixmer - sądziłem, że mam w tobie sprzymierzeńca, który mi pomoże urzeczywistnić powzięty zamiar, a tymczasem, przeciwnie, twoje obawy powiększają tylko trudności. Cztery dni temu mniemałem, że już wszystko między nami zostało ustalone, a teraz widzę, że znów muszę wszystko naprawiać. Czyż nie powiedziałem, że ufam ci zupełnie, że liczę na twój honor? Czyż nie mówiłem, że Maurycy winien koniecznie zostać naszym najbliższym przyjacielem, mniej nieufnym niż dotąd? O mój Boże, dlaczegoż kobiety zawsze krzyżują nasze plany?

- Ale, na Boga! Czyż nie możesz obmyślić jakiegoś innego środka? Powiedziałam ci, że lepiej byłoby dla nas wszystkich oddalić Maurycego.

- Dla nas wszystkich, to możliwe, ale dla tej, która jest nad nami, dla tej, której przysięgliśmy poświęcić nasz majątek, życie, a nawet szczęście, dla tej, mówię, Maurycy

1-5

powinien znowu wejść z nami w stosunki. Czy wiesz, że Turgy jest podejrzany i że mają dać księżnom innego służącego?

- Dobrze, odprawię Konwalię.

- Ach, moja Genowefo - rzekł Dixmer z rzadką u niego oznaką niecierpliwości - po co mi to mówisz? Dlaczego tłumisz ogień mojej myśli? Dla czegoś stwarzasz coraz to nowe trudności? Genowefo, uczyni, jak powinna uczynić szlachetna, pełna poświęcenia kobieta. Ja tytko tego przecież żądam. Jutro nie będę w domu, bo zastępuję Moranda w jego pracach zawodowych. Nie będę z wami na obiedzie, ale on będzie. Ma o coś poprosić Maurycego i sam ci to powie. Zważ, Genowefo, że wymagać będzie od niego bardzo ważnej rzeczy. Nie jest to cel, do którego dążymy, lecz środek, ostatnia nadzieja człowieka, który jest tak dobry, szlachetny i oddany, protektora nas obojga, któremu nasze życie winniśmy dać w ofierze.

- I dla którego chętnie bym to uczyniła! - zawołała Genowefa z zapalem.

- A więc, Genowefo, nie wiem, czemu przypisać, żeś dotąd nie umiała wzbudzić w Maurycym sympatii ku temu człowiekowi, co jest najważniejszą rzeczą. Maurycy, będąc z twojej przyczyny znowu źle usposobiony, odmówi może prośbie Moranda, prośbie, która za wszelką cenę musi być spełniona. Czy chcesz, Genowefo, abym ci powiedział, do czego doprowadzi Moranda twoja delikatność i sentymenty?

- O panie! - zawołała Genowefa, załamując ręce i blednąc. - Nie mówmy już o tym.

- A więc - powiedział Dixmer, dotykając ustami czoła żony - uzbrój się w odwagę i rozważ wszystko, co powiedziałem.

I wyszedł.

- Boże, Boże! - z rozpaczą zawołała Genowefa. -

W

Z jakimże gwałtem narzucają mi miłość, ku której wyrwa się moja dusza!

Nazajutrz, jak powiedzieliśmy, przypadła niedziela.

Rodzina Dixmera, podobnie jak wszystkie mnę rodziny mieszczańskie w owej epoce, według dawnego zwyczaju urządziła w niedziele dłuższe i bardziej ceremonialne obia-

dy niż w dni powszednie. Maurycy, zaproszony raz na zawsze na takie obiady, nie opuścił dotąd żadnego. W te dni, chociaż siadano do stołu dopiero o godzinie drugiej, Maurycy przybywał zwykle już w południe.

Wnosząc ze sposobu, w jaki się z nią rozstał po raz ostatni, Genowefa wątpiła, czy jeszcze go kiedykolwiek zobaczy.

Istotnie, minęło południe, wpół do pierwszej, na koniec pierwsza, a Maurycy nie przychodził.

Niepodobna opisać, ile udręczeń doznawało serce Genowefy przez cały czas oczekiwania.

Zrazu ubrała się jak najskromniej, potem widząc, że Maurycy spóźnia się, powodowana wrodzonym kobiecie uczuciem zalotności, przypięła sobie z boku jeden kwiatek, drugi umieściła we włosach i czekała znowu, czując, że serce jej coraz bardziej ściska się z niepokoju. Tak upłynął jej czas aż do chwili, gdy miano zasiadać do stołu. Maurycyego wciąż nie było widać.

Dziesięć minut przed godziną drugą Genowefa usłyszała tętent cwałującego konia. Poznała, że to koń Maurycego.

- Oto jest! - zawołała. - Miłość pokonała w nim dumę. Och, on mnie kocha! Naprawdę kocha!

Maurycy zeskoczył z konia, dał go pomocnikowi ogrodnika do potrzymania za uzdę, ale nie kazał odprowadzić go do stajni. Genowefa spostrzegła to i bardzo tym się zaniepokoiła.

Maurycy wszedł. Tego dnia jaśniał całym blaskiem swej urody. Obszerny, czarny żakiet z wyłogami, biała kamizelka, zamszowe spodnie, obciskające nogi zgrabne jak

167

u Apollina, biały batystowy kołnierz 5 piękne, czarne włosy, spadające na szerokie i gładkie czoło czyniły go człowiekiem pełnym wytworności i siły.

Wszedł. Jak powiedzieliśmy, obecność jego roznieciła płomień w sercu Genowefy. Przyjęła go, promieniejąc radością.

- Ach, jest pan przecież - rzekła, podając mu rękę. - Zapewne zostanie pan u nas na obiedzie?

- Przeciwnie, obywatelko - rzekł zimno Maurycy. -
Przybyłem prosić cię, abyś mi wybaczyła.

- Jak to?

- Tak jest, wzywają mnie pilne zajęcia w sekcji. Przy-
byłem tu jedynie z obawy, abyś pani na mnie nie czekała
i nie posądziła o niegrzeczność.

Genowefa uczuła, że serce, przez chwilę przepełnione ra-
dością, znowu ścisnęło się boleśnie.

- O mój Boże! - rzekła. - Dixmer nie będzie dziś w do-
mu. Spodziewa się, że jak wróci, zastanie pana. Kazał mi
cię zatrzymać.

- Ach, teraz rozumiem, dlaczego pani tak nalega, abym
został. Trzebaż było aż rozkazu twego męża? I ja się tego
nie domyślałem! Doprawdy, ja się widać nigdy nie po-
prawię!...

- Maurycy!

- Ja, pani, powinienem stosować się raczej do twych
czynów niż słów. Powinienem zrozumieć, że skoro Dixmera
nie ma w domu, tym bardziej nie wypada mi tu zostać.
Nieobecność jego zwiększyłaby tylko pani kłopot.

- Dlaczego? -- spytała z lękiem Genowefa.

- Bo od czasu jak znów bywam tutaj, zdajesz się pani
naumyślnie mnie unikać. A ja przecież przychodzę tu tyl-
ko dla pani, dla pani samej, pani o tym wie, mój Boże!
A jednak zamiast pani zawsze zastaję kogoś innego.

- Ależ - rzekła Genowefa - znowu gniewasz się, przy-
jacielu, a ja jednak staram się postępować jak najlepiej.

I są

- O nie, Genowefo, może pani postępować jeszcze le-
piej, to znaczy przyjmować mnie tak, jak poprzednio, albo
przepędzić stąd na zawsze.

- Maurycy - czule powiedziała Genowefa - zechciej
wejść w moje położenie, zrozum moją udrękę i przestań
mnie tak tyranizować.

Mówiąc to, młoda kobieta zbliżyła się ku niemu i smutno

nań spojrzała.
Maurycy milczał.

- Czegóż żadasz ode mnie? - dodała.

- Chcę kochać cię, Genowefo, bo czuję, że teraz nie mógłbym już żyć bez twojej miłości.

- Maurycy, przez litość!

- W takim razie, proszę pani - zawołał Maurycy - trzeba było pozwolić mi umrzeć.

- Umrzeć?!

- Tak, umrzeć lub zapomnieć.

- Mógłbyś więc zapomnieć?! - zawołała Genowefa i łzy trysnęły jej z oczu.

- O nie, nie - szepnął Maurycy padając na kolana. - Nie, Genowefo, umrzeć mógłbym, ale zapomnieć nigdy, nigdy!

- A jednak - poważnie przerwała Genowefa - tak byłoby lepiej, mój Maurycy, bo podobna miłość jest występkiem.

- Czy i panu Morand to samo powiedziałaś? - rzekł Maurycy, który opamiętał się nieco na skutek jej chłodu.

- Pan Morand nie jest tak szalony, jak ty, mój Maurycy, i nie miałam nigdy potrzeby mówić mu, jak ma postępować w moim domu.

- Założę się - odrzekł z ironicznym uśmiechem Maurycy - że kiedy Dixmer je obiad na mieście, Morand na pewno jest w domu. Dopóki tylko Morand będzie przy tobie, nie odstępując cię ani przez chwilę - dodał z po-

m

gardą - dopóty nigdy nie będę cię kochał lub przynajmniej nie przyznam się, że cię kochani.

- A ja - zawołała Genowefa, doprowadzona do ostateczności tym podejrzeniem, potrząsając jak szalona ramieniem młodzieńca - czy słyszysz, Maurycy? przysięgam ci, i to raz na zawsze, że Morand nigdy nie wyrzekł do mnie ani jednego słowa o miłości, że mnie nigdy nie ko-

chał ani kochać nie będzie, przysięgam na mój honor, na duszę mojej matki!

- Niestety! - zawołał Maurycy. - Jakże bym chciał w to uwierzyć!

.- Wierz mi, wierz, biedny szaleńcze - rzekła z uśmiechem, który dla człowieka pozbawionego uczucia zazdrości zastąpiłby najczulsze wyznanie. - Wierz, i jeżeli więcej wiedzieć pragniesz, dowiedz się, że Morand kocha kobietę, wobec której nikną wszystkie inne ziemskie istoty, jak nikną kwiaty polne przed gwiazdami na niebie...

- Jakaż to kobieta może zaćmić wszystkie inne, skoro w ich liczbie jesteś ty, Genowefo?

- Czyliż ta, którą kochamy, nie jest zawsze dla nas arcydziełem stworzenia? - przerwała z uśmiechem Genowefa.

- A więc - rzekł Maurycy - jeżeli nie kochasz mnie, Genowefo...

Młoda kobieta z niepokojem czekała końca pytania.

- Jeżeli nie kochasz mnie - dodał Maurycy - czy możesz mi przysiąc przynajmniej, że nigdy nie będziesz kochała innego mężczyzny?

- O, na to, Maurycy, przysięgam ci z całego serca - zawołała Genowefa, uradowana, że Maurycy sam podsunął jej możliwość wypowiedzenia tego, co czuje.

Maurycy ujął jej obie ręce, które wznosiła do nieba, i okrył je gorącymi pocałunkami.

- Teraz - rzekł - będę dobry, potulny, ufny, wspania-

179

łomyślny. Teraz będę się do ciebie uśmiechał, będę szczęśliwy!

- I nie będziesz żądał niozego więcej?

- Będę się starał.

- Kiedy tak - powiedziała Genowefa - sądzę, że niepotrzebnie koń stoi w pogotowiu. Sekcja może poczekać.

- O, Genowefo, chciałbym, aby cały świat czekał, abym

mógł mu kazać czekać na ciebie.

- Idą zawiadomić nas, że obiad jest na stole - rzekła Genowefa.

Ukradkiem uścisnęli sobie dłonie.

Był to Morand, który przyszedł oznajmić, że wszyscy są przy stole i tylko czekają na Maurycygo i Genowefę.

On także miał na sobie odświętne ubranie.

X!X

PROŚBA

Morand, ubrany z wyszukaną elegancją, stanowił dla Maurycygo niemały przedmiot ciekawości.

.Najbardziej wyrafinowany strojniś nie mógłby nic zarzucić węzłowi jego krawata lub gatunkowi jego bielizny.

Maurycemu wydało się wówczas, że po raz pierwszy widzi jego włosy i okulary, uspokoiła go bowiem przysięga Genowefy.

„Niech mnie diabli porwą - rzekł do siebie, podążając na spotkanie Moranda - jeżeli będę jeszcze kiedykolwiek zazdrosny o ciebie, kochany obywatelu Morand. Ubieraj się, ile razy zechcesz, w twój paradny strój, każ sobie nawet zrobić na święto ubiór ze złotego sukna. Przyrzekam, że od dziś patrzeć tylko będę na twe włosy i okulary, i nigdy nie będę cię obwiniał o miłość dla Genowefy.”

Łatwo pojąć, że pod wpływem tego monologu Maurycy

lii

daleko szczerzej i serdeczniej uścisnął dłoń obywatela Morand, niż to zwykle dotąd czynił.

Na stole, wbrew zwyczajowi, były tylko trzy nakrycia. Maurycy wpadł na pomysł, żeby pod stołem znaleźć nóżkę Genowefy. Zakończyłoby to nieme i miłosne wyznanie, które rozpoczęły ich ręce.

Usiedli. Maurycy patrzył na Genowefę z boku, bo siedziała między nim a oknem. Włosy jej połyskiwały niebieskawo niby skrzydła kruka. Cerę miała olśniewającą, oczy jej błyszczały miłością.

Maurycy po chwili szukania znalazł nóżkę Genowefy. Za pierwszym dotknięciem, którego wrażenie śledził na jej twarzy, spostrzegł, że rumieni się i blednie, lecz nie usuwa nóżki z jego uścisku.

Zdawało się, że Morand w swym surducie koloru gołębia odzyskał właściwy mu błyskotliwy dowcip, tak często tryskający z ust owego dziwnego człowieka, dowcip, któremu zapewne byłby towarzyszył blask oczu, gdyby nie gasiły go zielone okulary.

Morand sypał tysiącem żartów, ale nigdy się nie śmiał. Powaga stanowiła całą siłę i szczególny wdzięk jego dowcipu. Ów kupiec, który tyle podróżował w związku z handlem wszelkiego rodzaju skórami, począwszy od skór pantery, a skończywszy na skórach królika, ów chemik o zacerwienionych od barwników rękach znał Egipt jak Herodot, Afrykę jak LevaiUant, Operę zaś i buduary jak pierwszy wytwornis.

- Niech mnie szatan porwie, obywatelu Morand! - zawołał Maurycy. - Jesteś nie tylko uczonym, ale i mędrcom.

- Wiele widziałem, a przede wszystkim wiele czytałem - odpowiedział Morand. - A poza tym trzeba się przecież nieco przygotować do życia, jakie zamysłam prowadzić po zrobieniu majątku. Czas już wielki, obywatelu Maurycy; czas wieUdL.

-• Ba! -- rzekł Maurycy."- Mówisz jak starzec. A ile lat sobie liczysz?

Morand zadrżał i odwrócił się, słysząc to proste zapytanie.

- Trzydzieści osiem - odpowiedział. - Ale człowiek mądry, jak powiadasz, nie ma wieku.

Genowefa roześmiała się serdecznie. Maurycy także, Morand lekko się uśmiechnął.

- A więc sporo podróżowałeś? - spytał Maurycy, ścisnąc znowu nóżkę Genowefy.

- Część mojej młodości spędziłem za granicą - odrzekł Morand.

- Chciałem raczej zapytać, czy wiele widziałeś, czy wiele obserwowałeś - zaczął znowu Maurycy - bo czło-

wiek taki jak ty wszystkiemu przygląda się z uwagą.

- Na honor, tak jest, wiele widziałem - przerwał Morand - powiem nawet, że prawie wszystko widział.

- Wszystkiego, obywatelu, to bardzo dużo - wtrącił śmiejąc się Maurycy - przypomnij no sobie...

- Masz słuszność. Dwóch rzeczy nie widziałem, ale też, mówiąc prawdę, w naszych czasach obie te rzeczy są coraz rzadsze.

- Cóż to takiego? - spytał Maurycy.

- Pierwsza - odpowiedział Morand poważnie - to Bóg.

- A! - rzekł Maurycy. - W braku Boga, obywatelu Morand, mogę ci pokazać boginię.

- Co za boginię? - przerwała Genowefa.

- Boginię zupełnie nową, boginię Rozumu. Mam przyjaciela, o którym nieraz wam wspominałem. Jest nim kochany, drogi i dzielny Lorin, człowiek złotego serca, który ma tę jedną wadę, że rozmawiając, posługuje się ciągle albo czterowerszem, albo kalamburem.

- Cóż więc ten Lorin...?

- Wyposażył miasto Paryż w boginię Rozumu, pod

173

każdym względem odpowiadającą swemu powołaniu, boginię, której nikt nie znalazłby nic do zarzucenia. Jest nią obywatelka Artemiza, eks-tancerka Opery, sprzedająca obecnie perfumy przy ulicy Martm. Jak tylko obrona zostanie oficjalnie boginią, będę ci ją mógł pokazać.

Morand podziękował Maurycemu, skinąwszy poważnie głową, i dodał, kontynuując poprzednią myśl:

- Drugą jest król.

- O, to rzecz daleko trudniejsza - rzekła z wymuszonym uśmiechem Genowefa - bo go teraz nie ma.

- Powinieneś być widzieć ostatniego króla - rzekł Maurycy - to byłoby rozsądne.

- Wynika stąd - ciągnął dalej Morand - że nie mam najmniejszego pojęcia, jak wygląda głowa koronowana. To smutne, co?

- Bardzo smutne. A ja widuję jedną prawie co miesiąc - rzekł Maurycy.

- Koronowaną głowę? - spytała Genowefa.

- Tak, a przynajmniej tę, która dźwiga wielki, i bolesny ciężar korony - odpowiedział Maurycy.

- A prawda, królowa - rzekł Morand. - Masz słuszość, Maurycy, to musi być przykry widok...

- Czy ona w istocie jest taka piękna i dumna, jak powiadają? - spytała Genowefa.

- Alboż jej, pani, nigdy nie widziałaś? - zawołał zdziwiony Maurycy.

- Ja? Nigdy - odpowiedziała młoda kobieta.

- To dziwne - rzekł Maurycy.

- Dlaczego dziwne? - przerwała Genowefa. - Mieszkaliśmy na prowincji aż do roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego pierwszego, a od tego czasu mieszkam ciągle przy starej ulicy Saint-Jacques, przypominającej prowincjonalne uliczki, tylko że tu jest mniej słońca, mniej powietrza i kwiatów. Zna pan moje życie, obywatelu Maury-

174

cy? Zawsze było takie samo, skądże więc miałam widzieć królową? Nigdy nie nadarzyła mi się ku temu sposobność.

- I nie sądzę, abyś pani chciała korzystać z tej, która na nieszczęście może ci się nadarzyć? - powiedział Maurycy.

- Co przez to rozumiesz, obywatelu? - spytała Genowefa.

- Obywatel Maurycy - przerwał Morand - czyni tu aluzję do rzeczy, która nie jest już tajemnicą.

- Do jakiej rzeczy? - spytała znowu Genowefa.

- Do przypuszczalnego skazania Marii Antoniny i do jej śmierci na rusztowaniu. Słowem, obywatel powiada, że nie skorzystałabyś pani zapewne z możliwości oglądania jej w dnki, w którym wyjdzie z Tempie i uda się na plac Rewolucji.

- O nie! - zawołała Genowefa, słysząc, z jakim chłodem Morand wyrzekł te słowa.

- Kiedy tak, to ubieraj się pani w żałobę - dodał chemik - bo Austriaczki dobrze pilnują, a Republika jest czarodziejką, która umie czynić niewidzialnym każdego, kto jej się podoba.

- Przyznaję jednak - rzekła Genowefa - że bardzo byłabym ciekawa widzieć tę nieszczęśliwą kobietę.

- Czy rzeczywiście ma pani na to ochotę? - spytał Maurycy, gotów zadośćuczynić każdemu życzeniu Genowefy. - Rzeknij tylko słówko. Obywatel Morand ma słuszość, że Republika jest czarodziejką. Ja jednak, z tytułu swego urzędu, jestem jakby zaklinaczem.

- Mógłbyś mi pan pokazać królową? - zawołała Genowefa.

- Naturalnie, że mogę to uczynić.

- Jakim sposobem? - spytał Morand, zamieniając z Genowefą szybkie spojrzenie.

- Nic prostszego - powiedział Lindey. - Są gwardziści, którym nie ufają, ale ja zbyt dużo dałem dowodów

175

poświęcenia dla sprawy, aby mnie miano zaliczać do ich grona. Pozwolenie wejścia do Tempie zależy od gwardzistów i dowódcy. Dowódcą straży, w dniu, kiedy mam służbę, jest zawsze mój przyjaciel Lorin, który, jak mi się zdaje, niewątpliwie powołany będzie na zastępcę generała Santerre'a, bo w ciągu trzech miesięcy awansował z kaprała na adiutanta-majora. Przyjdźcie więc do mnie w dniu, w którym będę na służbie, to jest w przyszły czwartek...

- No! - rzekł Morand. - Spełniły się zatem życzenia pani.

-- O nie, nie - powiedziała Genowefa - nie chcę.

- Dlaczego? - zapytał Maurycy, widząc w odwiedzinach w Tempie sposobność zobaczenia Genowefy w dniu, który miał go tego szczęścia pozbawić.

- Bo - rzekła Genowefa - może bym cię naraziła przez to, kochany Maurycy, na jakąś przykrość, a ja nie chcę, żeby dla mojego widzimisię miało spotkać cokolwiek złego naszego przyjaciela. Nigdy w życiu nie mogłabym sobie tego wybaczyć.

- Oto mądre słowa, Genowefo - odezwał się Morand. - Wierzej mi, nieufność posunięto dziś do najwyższego stopnia, najlepsi patrioci są dziś w podejrzeniu. Wyrzeknij się więc zamiaru, który powzięłaś jedynie wskutek prostej ciekawości.

- Mógłby ktoś sądzić, Morand, że jesteś zazdrosny i że dlatego, iż nie widziałeś sam ani króla, ani królowej, nie chcesz, aby i inni ich zobaczyli. No, daj spokój i przyjdź tam także.

- Ja? O nie!

- Nie obywatelka Dixmer, ale te.raz ja proszę i ją, i ciebie, abyście chcieli przyjść i rozerwać mnie, biednego więźnia. Bo skoro zamykają się za mną wielkie drzwi, staję się, na szczęście tyłho na dwadzieścia cztery godziny, więźniem takim samym jak król albo książę krwi.

178

I silniej ścisnąwszy nóżkę Genowefy, dodał:

- Przyjdź, pani, błagam!

- No i jak, Morand - rzekła Genowefa - czy zechcesz mi towarzyszyć?

- Byłby to dla mnie stracony dzień - powiedział Morand. - Opóźniłby chwilę, w której pragnę zaniechać mego handlu.

- Więc ja też nie pójdę - powiedziała Genowefa.

- Dlaczego? - spytał Morand.

- To bardzo proste, mój Boże - odpowiedziała Genowefa. - Dlatego że mąż z pewnością nie zechce mi towarzyszyć, dlatego że jeżeli pan, człowiek rozsądny, mający

trzydzieści osiem lat, nie ma odwagi stawić czoła posterunkom kanonierów, grenadierów i strzelców, to tym bardziej ja nie odważę się żądać widzenia z gwardzistą starszym ode mnie zaledwie o trzy lub cztery lata.

- Ha - zawołał Morand - jeżeli obywatelka utrzymuje, że moja obecność jest nieodzowna...

- No, no, obywatelu, bądźże mądry i uprzejmy,' i poświęć połowę dnia żonie swego przyjaciela - wtrącił Maurycy.

- Niech i tak będzie! - rzekł Morand.

- Tytko - przerwał Maurycy - proszę was o dyskrecję. Odwiedziny w Tempie to przedsięwzięcie bardzo podejrzane i jeżeli spowodowałoby jakiś wypadek, poszlibyśmy wszyscy na gilotynę. Jakobini nie żartują! Widzicie, jak się obeszlą z żyrondistami.

- A toś mi zabił klina, obywatelu Maurycy. Taki sposób zaniechania mego handlu wcale mi się nie uśmiecha - powiedział Morand.

- Czy nie słyszałeś - przerwała z uśmiechem Genowefa - że obywatel Maurycy powiedział nas wszystkich?

- Wszystkich?

- Wszystkich razem.

U-A. Dumał

177

--No - dodał Morand - niewątpliwie towarzystwo byłoby bardzo przyjemne. Wolę jednak żyć, niż umierać w tym towarzystwie.

„Gdzie ja, u licha, miałem rozum - pomyślał Maurycy - przypuszczając, że ten człowiek kocha Genowefę?”

- A więc rzecz postanowiona - podjęła Genowefa. - Morand, do ciebie mówię, do ciebie, roztargniony marzy cielu. Pamiętaj o przyszłym czwartku i nie zaczynaj w środę wieczorem jakiegoś chemicznego doświadczenia, które by ci zajęło całą dobę, jak się to czasami zdarza.

- Bądź spokoJna - odparł Morand. - Zresztą, przy-

pomnisz mi, pani.

Genowefa wstała od stołu, Maurycy poszedł za jej przykładem. Morand miał uczynić to samo i pójść za nimi, lecz jeden z rzemieślników przyniósł mu flaszeczkę z jakimś płynem, który pochłonął całą jego uwagę.

- Spieszmy się - rzekł Maurycy, pociągając za sobą Genowefę.

- O, bądź spokojny - odpowiedziała - będzie zajęty przynajmniej przez dobrą godzinę.

I podała mu rękę, którą czule uściskał. Wyrzucała sobie zdradę, ale tą zdradą opłacała szczęście.

- Patrz - rzekła, prowadząc Maurycyego przez ogród i pokazując mu goździki, wystawione na powietrze w mahoniowej skrzyni. - Widzisz, jak te kwiaty zwiędły?

- A cóż się z nimi stało? - spytał Maurycy. - Pewnieś je zaniedbała. Biedne goździki!

- To nie ja je zaniedbałam, przyjacielu, ale ty o nich zapomniałeś.

- A jednak tak niewiele potrzebowały, Genowefo, trochę wody i nic więcej. Sądzę, że dzięki me| nieobecności dosyć miałaś czasu,

- O - rzekła Genowefa - gdyby kwiaty można było skraplać łzami, to te biedne goździki, jak powiadasz, nie byłyby z pewnością zwiędły.

Maurycy otoczył ją ramieniem, przyciągnął ku sobie i zanim miała czas się obronić, dotknął ustami jej oczu, które roześmiane i marzące spoglądały na skrzynkę z kwiatami.

Genowefa miała już sobie tyle do wyrzucenia, że stać J3 było tylko na pobłażliwość.

Dixmer wrócił późno i zastał Moranda, Genowefę i Maurycyego, rozprawiających w ogrodzie o botanice.

XX

KWIACIARKA

Nadszedł wreszcie oczekiwany czwartak, dzień służby

Maurycyego.

Było to na początku czerwca. Na niebieskawym tle nieba odbijały się jasno nowe domy. Paryż czysty był jak kobierzec, zapach wiosennego powietrza, drzew i kwiatów upajał mieszkańców stolicy, która pragnęła przytłumić nieco wyziewy krwi, buchające nieustannie ze wszystkich jej placów i ulic.

Maurycy miał przybyć do Tempie o godzinie dziewiątej. Kolegami jego mieli być Mercevault i Agrykola. O ósmej znajdował się na starej ulicy Saint-Jacques w obszernym mundurze miejskiego gwardzisty. TrójTsolorowa szarfa owijała jego giętką i silną postać. Do Genowefy przybył jak zwykle konno, a po drodze zbierał pochwały i oklaski dobrych patriotów, których w przejeździe spotykał.

Genowefa była już gotowa: miała na sobie prostą, muślinową sukienkę, lekki jedwabny płaszczyk i małą czapeczkę z trójkolorową kokardą. W tym pełnym prostoty stroju czarowała wszystkich swą pięknnością.

Morand, który, jak widzieliśmy, długo dał się prosić, zanim przyrzekł towarzyszyć Genowefie, z obawy zapewne, aby go nie wzięto za ;^",..ok:ratę, był w swym zwykłym

'''

179

ubraniu, na wpół mieazczańskim, na wpół rzemieślniczym. Wrócił przed chwilą i twarz jego nosiła jeszcze ślady wielkiego zmęczenia.

Powiedział, że dla dokończenia bardzo pilnej roboty musiał •całą noc pracować.

Dixmer wyszedł zaraz, jak tylko Morand powrócił.

- No, jakże? - spytała Genowefa. - Co postanowiłeś, Maurycy? Czy będziemy mogli widzieć królową?

- Posłuchajcie mego planu - rzekł Maurycy. - Przybywam z wami do Tempie i powierzam was opiece Lorina, który pełni tam dzisiaj wartę. Zajmuję swoje stanowisko i w odpowiedniej chwili przychodzę do was.

- Lecz gdzie i jakim sposobem zobaczymy uwięzione? -

spytał Morand.

- Podczas śniadania lub Obiadu. Jeżeli zechcecie, bę-

dziecie mogli widzieć je przez szklane drzwi z pokoju
gwardzistów.

- Doskonale! - powiedział Morand.

Maurycy spostrzegł, że Morand zbliżył się w tej chwili do szafy, stojącej w głębi sali jadalnej, i wypił duszkiem szklankę wina. Zdziwiło go to trochę. Morand pijał zwykle

tylko wodę.

Zdziwienie Maurycyego nie uszło uwagi Genowefy.

- Wyobraź sobie - rzekła - że ten nieszczęśliwy Morand zabija się pracą tak, iż pewno od wczorajszego ranka nic jeszcze nie jadł.

- Więc nie był na obiedzie? - spytał Maurycy.

- Nie, swoje doświadczenia robi zawsze w mieście. Genowefa niepotrzebnie była tak ostrożna. Maurycy, jako prawdziwy kochanek, to znaczy jako egoista, zwrócił na czyn Moranda tylko niewielką uwagę, spojrzął tak, jak człowiek zakochany patrzy na wszystko, co nie jest kobietą, którą kocha.

Po wypiciu szklanki wina Morand ukroił sobie kawałek chleba i zjadł go z apetytem.

180

- No, teraz jestem gotów, drogi obywatelu Maurycy. Jeżeli chcesz, to idziemy - powiedział.

Maurycy przestał obrywać płatki zwiędłego goździka, przyniesionego z ogrodu, i podając rękę Genowefie, rzekł:

- Chodźmy.

I poszli. Piersi Maurycyego rozsadzało szczęście. Zaledwie zdołał wstrzymać się od wydania okrzyku radości. Bo i czegoż więcej mógł żądać? Nie tylko był pewny, że Genowefa nie kocha Moranria, ale wiedział ponadto, że jest kochany i że może mieć nadzieję. Ręka Genowefy drżała wsparta na jego ramieniu, a woźni miejscy, wyjąc na całe gardło o triumfie jakobinów i upadku Brissota wraz z jego współnikami, głosili, że ocalono ojczyznę.

- O, co za piękny dzień! - zawołał Morand.

- O, tak, bardzo piękny - powiedziała Genowefa, mocniej opierając się na ramieniu Maurycego. - Oby do wieczora był tak czysty i bezchmurny, jak w tej chwili.

Maurycy był zachwycony.

Morand spojrział na Genowefę przez swe zielone okulary z wyrazem radosnej wdzięczności.

Przebyli mały most, minęli ulicę Juiverie i most Notre-Dame, potem udali się na plac l'Hôtel-de-Ville, ulicę Barre-du-Bec i Sainte-Avoye. V/ miarę jak szli, krok Maurycego stawał się coraz lżejszy, chód zaś jego towarzyszek i towarzysza coraz bardziej ociążały.

Na rogu ulicy Yieilles-Audriettes jakaś kwiaciarka z koszykiem pełnym kwiatów zastąpiła nagle drogę naszym przechodniom.

- Co za wspaniałe goździki! - zawołał Maurycy.

- A rzeczywiście bardzo piękne - potwierdziła Genowefa. - Zdaje się, że ci, co je pielęgowali, nie mieli nic innego do roboty i nie pozwolili im zwiędnąć.

l-'waga ta słodko zadźwięczała w sercu młodego człowieka.

181

- MÓ] piękny gwardzisto - odezwała się kwiaciarka -• kup goździk dla ślicznej obywatelki. Ma piękną, białą suknię, a to prześliczne pąsowe goździki. Pąsowe do białego świetnie pasuje. Obywatelka przypnie bukiet na sercu, a że jej serce znajduje się bardzo blisko twego niebieskiego munduru, utworzą więc razem kolory narodowe.

Kwiaciarka była młoda i ładna, i komplement wypowiedziała ze szczególnym wdziękiem, był on przy tym tak trafny, iż nie dałby się lepiej zastosować do okoliczności. Zresztą, kwiaty były prawie symboliczne, bo podobne do goździków Genowefy, które zwiędły w mahoniowej skrzynce.

- Owszem •- powiedział Maurycy - -kupię je, dlatego że to goździki, innych kwiatów nie cierpię.

- Och, Maurycy - rzekła Genowefa - niepotrzebnie •wydajesz pieniądze, przecież mamy tyle goździków w ogrodzie.

Mimo że usta Genowefy zdawały się oponować, oczy jej wyraźnie mówiły, iż pragnie tego bukietu.

Maurycy wziął najpiękniejszy ze wszystkich, to jest ten, który mu podała sprzedająca.

Bukiet składał się z dwudziestu pąsowych goździków, prześlicznie pachnących. Spośród nich wychylał się jeden ogromny kwiat, który zdawał się panować nad innymi.

- Masz - rzekł Maurycy do sprzedającej, rzucając jej do koszyka pięcioliwrową asygnatę - weź to dla siebie.

- Dziękuję, piękny gwardzisto - powiedziała kwiaciar-ka - stokrotnie dziękuję.

I postąpiła ku innej parze obywateli, w nadziei, że dzień tak wspaniale rozpoczęty będzie dalej równie pomyślny. Podczas tej sceny, na pozór prostej i trwającej zaledwie kilka sekund, Morand ocierał spocone czoło, Genowefa zaś była blada i drżała. Wzięła z rąk Maurycyego piękny bukiet i podniosła do twarzy nie dlatego, żeby odetchnąć jego zapachem, ale aby ukryć wzruszenie.

132

Przez resztę drogi jeden tylko Maurycy był naprawdę wesoły, bowiem wesołość Genowefy była wymuszona, a Morand ujawniał swój dobry humor w dziwaczny sposób:

tłumił westchnienia, wybuchał głośnym śmiechem i rzucał żarty o przechodniach.

O godzinie dziewiątej przybyli do Tempie.

Santerre przywołał gwardzistów.

- Jestem - rzekł Maurycy, zostawiając Genowefę pod opieką Moranda.

- Jak się masz! - rzekł Santerre podając mu rękę. Maurycy uściskał mocno podaną sobie dłoń. Przyjaźń

Santerre'a była w owej epoce rzeczą zbyt cenną.

Ujrzawszy człowieka, który wydał sławny rozkaz bicia w bębny, Genowefa zadrżała, a Morand pobladł.

- Kim jest ta piękna obywatelka - zapytał Santerre Maurycego - i po co tu przyszła?

- Jest to małżonka dzielnego obywatela Dixmera. Słyszałeś zapewne o tym patriocie, obywatelu generale.

- Znam go, znam - przerwał Santerre. - Właściciel zakładu garbarskiego i kapitan strzelców sekcji Victor.

- Taik.

- Ale, na honor, jaka ona ładna. A kto jest ten koczkodan, co ją trzyma pod rękę?

- Obywatel Morand, wspólnik męża, strzelec w kompanii Dixmera.

Santerre przystąpił do Genowefy.

- Dzień dobry, obywatelko - powiedział.

- Dzień dobry, obywatelu generale - uśmiechając się z wysiłkiem odrzekła Genowefa. Santerre'owi pochlebił i uśmiech, i tytuł.

- Po cóż tu przyszłaś, piękna patriofrko? - zapytał.

- Obywatelka nie widziała nigdy wdowy Capet i pragnęła ją zobaczyć - odezwał się Maurycy.

ruch

T^cri fcinterre i uczyni' -wyw.w

-'amm...

183

- Właśnie - odpowiedział zimno Maurycy.

- Dobrze - rzekł Santerre - staraj się tylko, aby jej r-ie widziano, jak będzie wchodziła do wieży. Byłby to zły przykład. Zresztą, zdaję się na ciebie.

Oświadczywszy to, Santerre uścisnął znowu dłoń Maurycego, skinął przyjaźnie i protekcyjnie głową Genowefie i poszedł.

Po licznych ewolucjach grenadierów i strzelców, po kuku manewrach artylerii, która rzucała na okolicę zba-

wienny przestrasz, Maurycy wziął znowu Genowefę pod rękę i w towarzystwie Moranda zbliżył się ku odwachowi, przed którym Lorin wrzeszczał, manewrując swoim batalionem.

- Brawo! - zawołał. - Do pioruna! Otóż i Maurycy z jakąś kobietką, która wydaje mi się całkiem przyjemna. Czyżby ten mruk miał ją protegować na współzawodniczkę mojej bogini Rozumu? O, jeżeli tak jest, biada ci, Arteni:izo.

- I cóż, obywatelu adiutancie? - rzekł kapitan.

- Ach, prawda. Baczość! - zawołał Lorin. - W prawo zwrot... Dzień dobry, Maurycy. Krok podwójny... marsz!

Uderzono w bębny. Kompanie udały się na swe stanowiska, a gdy je zajęto, przybiegł Lorin.

Po wzajemnym przywitaniu się Maurycy przedstawił 1. rma Genowefie i Morandowi.

Potem nastąpiły wyjaśnienia.

- Rozumiem, rozumiem - rzekł Lorin. - Żądasz, abym wpuścił do wieży obywatela i obywatelkę. E, to drobnostli-a, pójdę ustawić posterunki i powiem, że mogą cię przepuścić wraz towarzystwem.

W dziesięć minut później Genowefa i Morand wraz

7. trzema gwardzistami weszli i zajęli miejsce za szklanymi drzwiami.

XXI

PAŚOWY GOŹDZIK

Królowa właśnie wstała z łóżka. Chora od kilku dni, leżała dłużej niż zwykle. Dowiedziawszy się od księżniczki Elżbiety, że już wzeszło słońce, przemogła się i poprosiła, aby jej wolno było wraz z córką zażyć świeżego powietrza na tarasie, na co też chętnie zezwolono.

Właściwie skłoniła ją do tego inna przyczyna. Spostrzegła •- wprawdzie raz tylko - z wysokości wieży delfina biegającego po ogrodzie. Lecz po pierwszym znaku, który dała synowi, nadbiegł Simon i zabrał dziecko do domu.

Mimo to jednak widziała syna, a dla matki było to wiele. Prawda, że biedny, mały więzień blady był i zmieniony,

że, jak dziecko ludu, miał na sobie karmaniołę i grube spodnie, lecz zostawiono mu jego piękne, wijące się blond włoski, które okalały mu czoło niby aureola.

Gdyby więc choć raz jeszcze mogła widzieć syna, jakąż by to radość sprawiło jej sercu!

Nadto zachodziła inna jeszcze okoliczność.

- - Moja siostró - rzekła do niej księżniczka Elżbieta - • wiadomo ci, żeśmy znalazły na korytarzu źdźbła słomy, zatknięte w szpary muru. Według naszych umownych znaków, oczywiste jest, że musimy się mieć na baczności i że przyjaciel zbliża się do nas.

- Prawda - odrzekła królowa. Patrzyła z litością na szwagierkę i córkę, i wmawiała sobie, że zostaną ocalone.

Po dopełnieniu wszystkich czynności, wchodzących w zakres służby na wieży, Maurycy tym większym był panem w Tempie, że los przeznaczył go na dzień, kiedy dwaj gwardziści, Agrykola i Mercevault, mieli odbywać wartę w nocy.

185

Gwardziści schodzący ze służby pozostawili radzie w Tempie swe protokoły i udali się do domów.

- I cóż, obywatelu gwardzisto? - rzekła stara Tison, witając Maurycego. - Widzę, że przyprowadziłeś z sobą gości, aby im pokazać nasze gołąbki? Mnie tylko biednej nie wolno widywać swej córki Heloizy.

- Są to moi przyjaciele, którzy nigdy nie widzieli wdowy Capet - rzekł Maurycy.

- Za szklanymi drzwiami będzie im najlepiej.

- Tak jest - powiedział Morand.

- Szkoda tylko - odezwała się Genowefa - że będziemy wyglądać jak okrutni, ciekawi ludzie, którzy przypatrują się męczarniom więźnia.

- No to czemu, obywatelu, nie umieściłeś swych przyjaciół przy przejściu wiodącym na szczyt wieży? Uwięziona przechadza się tam dziś ze szwagierką i córką. Tak, tak, jej zostawili córkę, a mnie, com nic nie winna, odebrali moją. Niech co chce będzie, obywatelu Maurycy, ale

tych arystokratów zawsze obsypują łaskami.

- Przecież jej odebrali syna - odrzekł Maurycy.

- O, gdybym miała syna, sądzę, że nie tak bardzo żałowałabym córki - szepnęła dozorczyńni.

Genowefa zamieniła tymczasem kilka spojrzeń z Morandem.

- Mój przyjacielu - powiedziała do Maurycego - obywatelka słusznie mówi. Wolałabym, abyś pozwolił rai stanąć w przejściu. Stąd przykro mi jakoś patrzeć. Ten sposób przypatrywania się uwięzionym jest upokarzający i dla mnie, i dla nich.

- Genowefo - rzekł Maurycy - jakież to piękny dowód delikatności z twojej strony!

- Do licha, obywatelko! - zawołał jeden z kolegów Maurycego, który siedząc w przedpokoju zajadał chleb

z kielbasą. - Gdybyś była uwięziona, a wdowa Capet

186

chciała cię odwiedzić, nie robiłaby na pewno tylu ceregieli dla dogodzenia swej zachciance. To łotrzyca!

Genowefa rzuciła szybkie jak błyskawica spojrzenie na Moranda, aby dostrzec, jakiego doznaje on wrażenia, słysząc te obelgi. Istotnie, Morand zadrżał, oczy zabłyśły mu jakimś szczególnym, niby fosforycznym ogniem. Zacisnął na chwilę pięści, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Jak się nazywa ten gwardzista? - spytała Genowefa Maurycego.

- Obywatel Mercevault - odpowiedział młody człowiek.

A potem, jakby dla usprawiedliwienia jego grubianstwa, dodał:

- Kamieniarz.

Mercevault to usłyszał i spod oka spojrzął na Maurycego.

- No, no - rzekła stara Tison - skończ jeść kielbasę i pić wino, niech już sprzątnę.

- Austriaczka nie winna temu, że jem 1 piję o tej godzinie - mruknął gwardzista. - Gdyby mogła była zabić ranie dziesiątego sierpnia, byłaby to niezwłocznie uczyniła. Za to kiedy głowa jej odpadnie i kichnie w koszu, będę stał w pierwszym szeregu na swoim posterunku.

Morand zbladł jak śmierć.

- Chodźmy, chodźmy, obywatelu Maurycy, tam, gdzieś nas obiecał zaprowadzić. Tu wydaje mi się, że jestem również uwięziona, duszno mi - powiedziała Genowefa.

Maurycy wyprowadził Moranda i Genowefę, a strażnicy, uprzedzeni przez Lorina, bez trudności ich przepuścili.

Maurycy umieścił ich w wąskim korytarzu na wyższym piętrze, tak że w chwili, gdy królowa z księżniczką Elżbietą i córką miały iść na galerię, musiały przechodzić tuż obok nich.

Ponieważ przechadzka miała nastąpić o godzinie dziesiątej, do której brakowało już tylko kilku minut, Maurycy nie tylko opuszał przyjaciół, ••••• "i;,'dto, aby nie ściągnąć na

187

siebie najmniejszego podejrzenia, spotkawszy Agrykolę, wziął go z sobą.
Wybiła godzina dziesiąta.

- Otworzyć! - krzyknął z dołu wieży głos, w którym Maurycy poznał głos generała Santerre'a.

Straż natychmiast chwyciła za broń, pozamykano bramy, posterunki sprawdziły broń. W całej wieży słychać było szcęk żelaza i odgłosy kroków po kamieniach, co sprawiało przykre wrażenie na Morandzie i Genowefie. Maurycy spostrzegł, że oboje pobledli.

- Ileż to ostrożności w pilnowaniu trzech kobiet! - szepnęła Genowefa.

- Prawda - rzekł Morand z wymuszonym uśmiechem. - Jeżeli ci, którzy chcą ułatwić im ucieczkę, byli na naszym miejscu i widzieli to, co my widzimy, toby się im wszystkiego odechciało.

- Istotnie - powiedziała Genowefa - zaczynam wierzyć, że one nie zdołają się uratować.

- A ja mam niepłonną pod tym względem nadzieję - dorzucił Maurycy.

Powiedziawszy to, wychylił się za barierę i dodał:

- Baczość! Idą uwięzione.

- Nazwij je po imieniu - mówiła Genowefa - bo ich nie znam.

- Dwie pierwsze to siostra i córka Capeta, trzecia, ta, przed którą biegnie mały piesek, to Maria Antonina.

Genowefa postąpiła krok naprzód. Morand zaś, zamiast patrzeć, przywarł do muru.

Usta jego były bledsze od ściany. ''

Genowefa, o pięknych oczach, w białej sukni, zdawała się być aniołem, oczekującym na nieszczęśliwe, aby im rozjaśnić gorzką drogę, jaką przebywały, aby wlać odrobinę otuchy w ich serca.

Księżniczka Elżbieta i córka królewska przeszły, rzuciwszy na obecnych pełne zdziwienia spojrzenie. Pierwszej

188

przyszło na myśl, że są to zapewne ci, których zapowiadały znaki, bo żywo obróciła się ku bratanicy, uściśliła ją za rękę i upuściła chustkę, aby uprzedzić królową.

- Uważaj, siostró - rzekła - upuściłam chustkę. I szła dalej z młodszą księżniczką.

-Królowa, o której słabości świadczył ciężki i powolny oddech oraz lekki kaszel, schyliła się, aby podnieść chustkę, która leżała u jej nóg. Lecz szybszy niż ona mały piesek porwał ją i zaniósł księżniczce Elżbiecie. Królowa więc szła dalej na górę i przebywszy już kilka schodów, znalazła się tuż obok Genowefy, Moranda i młodszego gwardzisty.

- O, kwiatki! - rzekła. - Jakże dawno ich nie widziałam! Jakże pięknie pachną i jak jesteś pani szczęśliwa, że je posiadasz!

Genowefa wyciągnęła szybko rękę i podała bukiet królowej. Maria Antonina podniosła głowę, spojrzała na Genowefę i ledwie widoczne rumieńce zaróżowiły jej blade

czoło.

Ale Maurycy, powodowany jakimś naturalnym odruchem, nawykły do biernego posłuszeństwa dla przepisów, również wyciągnął rękę i -wstrzymał Genowefę.

Królowa jakby się zawahała i spojrzawszy na Maurycyego, poznała w nim od razu młodego gwardzistę, który zwykle zwracał się do niej w sposób stanowczy, lecz pełen uszanowania.

- Czy to jest zabronione? - spytała.

- Ależ nie, nie! - rzekł Maurycy. - Genowefo, możesz ofiarować swój bukiet.

- Dziękuję, dziękuję bardzo - z żywą wdzięcznością zawołała królowa.

I ukłoniwszy się czarująco Genowefie, wychudłą ręką wyjęła jeden goździk z podanego sobie bukietu.

- Ależ proszę wziąć wszystkie, proszę - szepnęła nieśmiało Genowefa.

189

,- Nie - z czarującym uśmiechem odpowiedziała królowa. - Może ten bukiet pochodzi od osoby, którą kochasz, nie chcę więc cię go pozbawiać.

Genowefa zarumieniła się, a rumieniec ten wywołał uśmiech na ustach królowej.

- No, no, obywatelko Capet - rzekł Agrykola - trzeba ruszać dalej.

Królowa skłoniła się i poszła dalej, lecz zanim znikła, jeszcze raz się odwróciła szepcząc:

- Jakże ten goździk ślicznie pachnie i jaka ta kobieta jest piękna!

- Nie widziała mnie - szepnął Morand, który, przyklękawszy prawie w kącie korytarza, nie zwrócił na siebie uwagi królowej.

- Ale dobrze ją widzieliście, nieprawda, Morand? Nieprawda, Genowefo? - rzekł Maurycy podwójnie uszczęśliwiony: z widoku, jakiego dostarczył swym przyjaciółom,

i z przyjemności, jaką sprawił nieszczęśliwej uwięzionej tak małym kosztem.

- O tak, tak - powiedziała Genowefa - doskonale ją widziałam i teraz, choćbym sto lat żyła, ciągle ją będę miała przed oczami.

- Jakże ci się podoba?

- Jest bardzo piękna.

- A tobie, Morand?

Morand załamał ręce i nic nie odpowiedział.

- Powiedz mi - spytał Maurycy Genowefę po cichu - czyżby Morand kochał się w królowej? Genowefa zadrzała, ale zaraz odrzekła, śmiejąc się także:

- Dalibóg, tak niby na to wygląda.

- I cóż, czy nie powiesz, Morand, jaik ona ci się podoba? - powtórnie spytał Maurycy.

- Jest bardzo blada - odrzekł Morand.

Maurycy wziął znowu Genowefę pod rękę i sprowadził

190

ją na dziedziniec. Na ciemnych schodach zdawało mu się, że Genowefa całuje go w rękę.

- Cóż to ma znaczyć, Genowefo? - zapytał.

- To znaczy, mój Maurycy, że nie zapomnę ci nigdy, iż dla mojego kaprysu narażałeś własną głowę.

. - O - powiedział Maurycy - przesadzasz, Genowefo. Wiesz, że mnie i ciebie nie wdzięczność, ale inne uczucie powinno łączyć.

Genowefa uścisnęła mu lekko rękę.

Morand szedł za nimi chwiejnym krokiem.

Przybyli na dziedziniec. Lorin zbliżył się, aby przyjrzeć się odwiedzającym, i wypuścił ich z Tempie.

Genowefa, nim pożegnała Maurycego, zmusiła go, aby przyrzekł, że nazajutrz będzie u nich na obiedzie.

XXII

SIMON OSKARŻYCIEL

Maurycy z sercem przepelnionym niemal niebiańską radością wrócił na swe stanowisko i zastał starą Tison płaczącą.

- Co ci to, matko? - zapytał.

- Jestem wściekła - odpowiedziała dozorczyńni.

- Dlaczego?

- Bo dla biednych ludzi wszystko jest niesprawiedliwe na tym świecie.

- Jak to?

- Jesteś bogaty, jesteś mieszczaninem. Przychodzisz tu tylko na jeden dzień, a wolno ci sprowadzać ładne kobiety, co dają bukiety Austriaczce. Mnie zaś, która ciągle gnieźdźę się w tym gołębniku, nie pozwalają widzieć mojej biednej Heloizy.

Maurycy wsunął jej w rękę dziesięcioliwrową asygnatę.

191

- Masz, moja pocziwa Tison - rzekł - weź to i nie poddawaj się. Austriaczka nie będzie żyła wiecznie.

- Asygnata dziesięcioliwrowa - mruknęła starucha. - Grzecznie to z twojej strony, ale wołałabym kawałek papieru z papilota mojej córki.

To, co powiedziała, usłyszał wchodzący w tej chwili Simon, a widział przy tym, jak dozorczyńni chowała do kieszeni wziętą od Maurycyego asygnatę.

Szedł on właśnie z dziedzińca, na którym spotkał Lorina. Ci dwaj mężczyźni czuli do siebie wyraźną antypatię. Była ona nie tyle wynikiem gwałtownej sceny, o której już wspominaliśmy naszym czytelnikom, ile raczej wynikiem różnicy pochodzenia, odwiecznego źródła wstępu lub pociągu, co, zdaje się, jest zupełnie jasne.

Simon był brzydki, Lorin zaś przystojny. Simon był brudny, Lorin wyglądał schludnie. Simon był to republikanin fanfaron, Lorin zaś należał do rzędu gorliwych patriotów, którzy dla Rewolucji ponosili prawdziwe ofiary

A przy tym, kiedy przychodziło do pięści, Simon czuł instynktownie, że pięść eleganta równie gładko jak pięść Maurycyego byłaby mu wymierzyła plebejuszowską karę.

Skoro więc spostrzegł Lorina, stanął jak wryty i zbladł.

- Znowu ten batalion ma dziś wartę? - mruknął.

- I cóż stąd? - spytał jeden z grenadierów, któremu nie podobała się ta uwaga. - Sądzę, że jest tak dobry, jak każdy inny.

Simon wydobyl ołówek z kieszeni swej karmanioli i udawał, że coś zapisuje na kawałku papieru, tak samo prawie czarnym jak jego ręce.

- Ho, ho! - odezwał się Lorin - Widzę, że nauczyłeś się pisać, Simon, odkąd zostałeś nauczycielem Capeta! Patrzcie no, obywatele. Daję słowo, że on coś notują!

Młodzi gwardziści, wszyscy prawie umiejący czytać i pisać, wybuchnęli głośnym śmiechem.

- Dobrze, dobrze - rzekł, zgrzytając zębami, blady ze

132

złości! - wpuściłeś obcych do wieży bez pozwolenia Gminy. Dobrze, dobrze, każę gwardziście spisać protokół.

- Ten gwardzista umie przynajmniej pisać - odpowiedział Lorin - bo to Maurycy, którego znasz, przezacny Simon. Maurycy żelazna ręka, przypominasz ją sobie?

W tej chwili właśnie wychodził Mora.nd z Genowefą.

Na ich widok Simon rzucił się w stronę wieży i, jak powiedzieliśmy, spostrzegł, że Maurycy dla pocieszenia starej Tison dal jej dziesięcioliwrowa asygnatę.

Maurycy nie zwrócił uwagi na nikczemnika, którego omijał z daleka, tak jak się omija jadowego lub plugawego gada.

- No, proszę - rzekł Simon do starej Tison, ocierającej oczy fartuchem - ty, obywatelko, jak widzę, koniecznie chcesz stracić głowę pod gilotyną.

- Ja? - przerwała Tison. - A to dlaczego?

- Bierzesz pieniądze od gwardzisty i wpuszczasz arystokratów do Austriaczki.

- Ja? - powiedziała stara Tison. - Milcz, głupcze!

- Zanotuje się to w protokole - rzekł Simon, robiąc ważną minę.

- Dajże spokój, są to przyjaciele gwardzisty Maurycego, jednego z najgorliwszych patriotów.

- To są spiskowcy, mówię ci, zresztą Gmina sama tę rzecz rozstrzygnie.

- Cóż to, chcesz mnie zadenuncjować, szpiegu niegodziwy?

- Chyba że ty sama pójdziesz złożyć donos!

- Ja? A cóż chcesz, abym zadenuncjowała?

- To, co się tu stało.

- Ale przecież nic się nie stało.

- Gdzie byli ci arystokraci?

- Tam, na schodach.

- Podczas gdy wdowa Capet szła na górę?

- Tak.

U-A. Dumas

183

- T mówili z nią? •

- Tak, zamienili z nią parę słów.

- Parę słów, a widzisz. Czuć tu zresztą arystokracją.

- Czuć goździk...

- Goździk? Jaki goździk?

-Bo obywatelka miała pachnący bukiet.

- Jaka obywatelka?

- Ta, co przypatrywała się przechodzącej królowej.

- A widzisz, mówisz „królowej”, matko Tison. Zgubi cię przestawanie z arystokratami, zgubi cię. Ale po czymże ja to stąпам? - powiedział schylając się Simon.

- A nastąpiłeś właśnie na kwiatek, na goździk - rzekła stara Tison. - Wpadł zapewne z rąk obywatelki Dixmer, podczas gdy Maria Antonina wyjmowała jeden kwiat z jej bukietu.

- Wdowa Capet wzięła kwiat z bukietu obywatelki Dixmer? - zapytał Simon.

- Ja go sam jej dawałem, słyszysz? - zawołał groźnym głosem Maurycy, który, zniecierpliwiony, od kilku już chwil słuchał tej rozmowy.

- Dobrze, dobrze... Widzę, co widzę, i wiem, co mówię - mruknął Simon, trzymając ciągle w ręku zdeptany nogą goździk.

- A ja - przerwał Maurycy - także coś wiem i powiem ci, że nie masz tu w wieży nic do roboty i że twoje katowskie stanowisko jest tam, przy małym Capecie, którego jednak dziś nie będziesz bił, bo ja tu jestem i będę go bronił.

- Co? Grozisz mi? Nazywasz ranie katem? - wrzasnął Simon, gniotąc kwiat palcami. - Zobaczymy, czy wolno arystokratom... Co to jest?

- Niby co? - spytał Maurycy.

- To, co tu czuję w tym goździku... Ach!
I na oczach zdumionego Maurycego Simon wyjął z kielicha kwiatu mały, starannie zwinięty papierek.

194

- Na Boga! - zawołał z kolei Maurycy. - Co to jest?

- Dowiemy się, dowiemy zaraz - rzekł Simon przystępując do okienka. - Twój przyjaciel Lorin twierdzi, że nie umiem czytać. Dobrze. Przekonamy się.

Lorin „oszkalował” Simona, gdyż umiał on czytać wszelki druk, a nawet odręczne pismo, gdy było wyraźne i skreślone wielkimi literami. Ale na tej karteczce literki były

tak drobne, że musiał uciec się do pomocy okularów. Położył więc kartkę na oknie i zaczął szukać okularów po kieszeniach. W tej chwili obywatel Agrykola otworzył drzwi do przedpokoju, znajdującego się naprzeciwko okna, i wiatr zdmuchnął lekki jak piórko papierek, wskutek czego, gdy Simon po kilku chwilach szukania okularów wydo- był je na koniec i włożył na nos, nadaremnie szukał kar- teczki. Karteczka znikła.

Simon ryknął:

- Tu leżał papierek! Leżał papierek, obywatelu gwar- dzisto, leżał i musi się znaleźć koniecznie!

I wybiegł jak strzała, zostawiając Maurycego, który stał jak ogłuszony.

W dziesięć minut później trzech członków Gminy weszło do wieży. Królowa znajdowała się jeszcze na tarasie. Wy- dano rozkaz, aby, broń Boże, nie dowiedziała się o tym, co zaszło. Członkowie Gminy kazali się do niej zaprowadzić.

Najpierw uderzył ich widok pąsowego goździka, który trzymała jeszcze w ręku. Spojrzeli po sobie zdziwieni i przystąpili do niej.

- Prosimy o ten kwiatek - rzekł prezes delegacji. Królowa, nie spodziewając się tak nagłego najścia, za- drżała i namyślała się przez chwilę.

- Oddaj pani ten kwiat - zawołał Maurycy z nacis- kiem. - Oddaj go, proszę.

Królowa podała kwiat.

Prezes wziął goździk i udał się wraz z kolegami do są- siedniej sali dla dokonania śledztwa i spisania protokołu.

"•

195

Rozdarli kwiat. Był pusty. Maurycy odetchnął.

- Chwileczkę, chwileczkę, obywatele - rzekł jeden z członków - serce goździka jest wyjęte. W nasadzie nie ma nic, ale musiała na pewno zawierać jakąś karteczkę.

- Jestem gotów złożyć wszelkie potrzebne wyjaśnie- nia - rzekł Maurycy - ale przede wszystkim proszę, aby mnie aresztowano.

- Przyjmujemy do wiadomości twoją propozycję - powiedział prezes - ale nie chcemy z niej korzystać. Znany jesteś jako prawdziwy patriota, obywatelu Lindey.

' - Życiem moim ręczę za przyjaciół, których lekkomyślnie tu sprowadziłem.

- Nie ręczę za nikogo - odezwał się prokurator.

Usłyszano wielki ruch na dziedzińcu.

Był to Simon, który po długim i daremnym poszukiwaniu porwanej przez wiatr karteczki pobiegł do generała Santerre'a i opowiedział mu o zamiarze porwania królowej, dodając mnóstwo szczegółów, jakimi jego bujna wyobraźnia upstrzyła ten wypadek. Gdy przybiegł Santerre, otoczono natychmiast Tempie i zmieniono •wartę ku wielkiemu zmartwieniu Lorina, który protestował przeciwko zniewadze wyrządzonej jego batalionowi.

- Poczekaj, nędzny szewcze - zawołał do Simona, grożąc mu pałaszem. - Tobie to winienem ten żarcik. Poczekaj, odpłacę ci za to z procentem.

- Zdaje mi się, że zapłacisz za wszystko nie mnie, lecz narodowi - rzekł szewc, zacierając dłonie.

- Obywatelu Maurycy - rzekł Santerre - bądź gotów na rozkazy Gminy, która będzie cię badać.

- Jestem do twojej dyspozycji, komendancie, ale prosiłem już i proszę znowu, aby mnie aresztowano.

- Poczekaj, poczekaj - mruknął chytrze Simon - skoro ci o to chodzi, postaramy się ci to ułatwić. I poszedł po starą Tison.

196

XXIII BOGINI ROZUMU

Cały dzień na dziedzińcu, w ogrodzie i w ofeolicy szukano karteczki, która wywołała tak wielkie zamieszanie i niewątpliwie zawierała plan spisku.

Badano królową, separując ją od szwagierki i córki. Królowa wyznała jedynie, że na schodach spotkała młodą kobietę, trzymającą w ręku bukiet, że ta kobieta ofiarowała jej ów bukiet, lecz ona poprzestała jedynie na wzięciu

jednego kwiatka. Uczyniła to zresztą, otrzymawszy pozwolenie gwardzisty Maurycego. Poza tym nic więcej nie wie.

Wszystko to oświadczone Maurycemu, gdy przyszła kolej na niego. Potwierdził on zeznanie królowej jako szczerze i prawdziwe.

- Jeśli tak - powiedział prezes - to rzeczywiście był to spisek.

- Niemożliwe - odparł Maurycy. - Ja sam, bywając na obiadach u pani Dixmer, zaproponowałem jej, aby przyszła zobaczyć królową, której nigdy nie widziała. Nie oznaczaliśmy jednak ani dnia, ani sposobu, w jaki to miało nastąpić.

- Ale zaopatrzone się w kwiaty - rzekł prezes. - Bukiet już dawno musiał być zrobiony.

- Bynajmniej. Ja sam kupiłem kwiaty u dziewczyny, która nam zastąpiła drogę na rogu ulicy Vieilles-Audriettes.

- Kwiaciarka musiała jednak sama wybrać ci ten bukiet?

- Nie, obywatelu, wybrałem go spośród wielu innych, prawda jednak, że wybrałem najpiękniejszy.

- Ale przez drogę można było włożyć weń karteczkę?

- Nie, obywatelu, było to niepodobieństwem, gdyż ani

na chwilę nie opuszczałem pani Dixmer. Aby zaś powkładać karteczki w każdy kwiat - zważ, obywatelu, że Simon utrzymuje, iż w każdym znajdowała się podobna kartka - trzeba by na to przynajmniej pół dnia.

- Ale jednak można było wsunąć pomiędzy kwiaty dwie przygotowane uprzednio kartki?

- Uwięziona na moich oczach wybrała jeden kwiatek, ale całego bukietu nie przyjęła.

- A więc, obywatelu Lindey, według ciebie nie kryje się w tym żaden spisek?

- Owszem - oświadczył Maurycy - nie tylko ta! myślę, ale jestem o tym przekonany. Przyjaciele moi nic nie zawinili w tej sprawie. Ponieważ jednak naród nie powi-

nien żywić jakiegokolwiek obawy, składam kaucję i uważam się za więźnia.

- Obejdzie się bez tego - odpowiedział Santerre. -
Z tak wypróbowanymi ludźmi, jak ty, nie postępuje się nigdy w ten sposób. Jeżeli uważasz się za więźnia, tyra samym ręczysz za swych przyjaciół, ja także uznam się za więźnia, aby poręczyć za ciebie. Rzecz jest bardzo prosta. Skoro formalne doniesienie nie ma miejsca, nikt nie będzie wiedział o tym, co tu zaszło. Podwójmy czujność, a przede wszystkim ty to uczyn, i w ten sposób, nie rozgłaszając o wypadku, dojdziemy do jego źródła.

- Dziękuję ci, komendancie - rzekł Maurycy - powiem jednak to, co byś sam powiedział, będąc na moim miejscu. Nie powinniśmy poprzestać na tym, lecz powinniśmy koniecznie odszukać kwiaciarkę.

- Z pewnością dobrze się już ukryła, ale bądź spokojny, odnajdziemy ją. Czuwaj nad swymi przyjaciółmi, ja zaś czuwać będę nad korespondencją więźniów.

Nikt nie pomyślał o Simonie, który przecież powziął pewien zamiar.

Przybył on na sam koniec opisanego przed chwilą posiedzenia i dowiedział się, co Gmina postanowiła.

198

- Potrzebna więc jest formalna denuncjacja? -
rzekł. - Poczekajcie, dostarczę jej za pięć minut.

- Cóż tam znowu? - spytał prezes.

- A to - odpowiedział szewc - że obywatelka Tison donosi o tajemnych konszachtach Maurycego, stronnika arystokratów, i o knowaniach drugiego fałszywego patrioty, jego przyjaciela, nazwiskiem Lorin.

- Strzeż się, strzeż, Simon! Twoja gorliwość dla sprawy może cię zaprowadzić zbyt daleko - rzekł prezes. - Maurycy Lindey i Hiacynt Lorin to ludzie wypróbowani.

- Zobaczymy w trybunale - odpowiedział Simon.

- Zastanów się dobrze, Simon, będzie to proces gorszący dla wszystkich dobrych patriotów.

- Gorszący czy nie gorszący, to mi zupełnie wszys-Kko

jedno! Czy ja się boję jakiegoś skandalu? Niech wyjdzie na jaw cała sprawa o zdrajcach.

- Trwasz więc w zamiarze złożenia denuncjacji w imieniu starej Tison?

- Dziś wieczór sam osobiście złożę doniesienie korde-
lierom na ciebie i na nich, obywatelu prezesie, jeżeli nie
każesz aresztować zdrajcy Maurycego.

- Zgoda, niech i tak będzie - rzekł prezes, który
w owych nieszczęśliwych czasach drżał przed każdym, kto
głośniej krzyczał. - Zgoda, Maurycy zostanie areszto-
wany.

Gdy nastąpiła ta decyzja, Maurycy wrócił do Tempie
i zastał tam następujący list:

„Zapewne nie zobaczymy się wcześniej niż jutro rano,
bo nas gwałtownie i niespodziewanie spędzono z warty.
Przyjdź do mnie na śniadanie, opowiesz mi o wszystkich
spiskach, wykrytych przez majstra Simona.

Mówią o szewcu, że złożył zeznania.
Cała heca powstała z goździka.
Róża udzieli mi dziś posłuchania
W odpowiedzi na czyn okrutnika,

W

Jutro powiem ci, co wyznała mi Artemiza.

Twój przyjaciel
Lorin."

„Nic nowego -' odpisał Maurycy. - Śpij spokojnie
i zjedz jutro śniadanie beze mnie, gdyż z powodu dzisiej-
szych wypadków nie wyjdę zapewne przed południem.

Chciałbym być zefirem, abym mógł przesłać pocałunek
róży, o której wspominasz.

Pozwalam ci wygwizdać moją prozę, podobnie jak ja
wygwizduję twoje wiersze.

Twój przyjaciel
Maurycy.

P.S. Zdaje mi się zresztą, że puszczono tylko fałszywą
pogłoskę o spisku."

Na skutek niegodnego podejrzenia szewca, Lorin wraz z całym swym batalionem wyszedł w istocie z Tempie około godziny jedenastej.

Nowy czterowersz i Artemiza pocieszyły go w tym upokorzeniu. Na widok Lorina Artemiza nie posiadała się z radości. Pogoda była, jak mówiliśmy, przepyszna, Artemiza zaprojektowała więc przechadzkę po wybrzeżu.

Idąc, rozmawiali o polityce, Lorin opowiadał o swoim wygnaniu z Tempie i domyślał się rozmaitych okoliczności, które mogły je spowodować. Gdy zbliżyli się do ulicy Barres, spostrzegli kwiaciarkę, która, podobnie jak i oni, szła prawym brzegiem Sekwany.

- Och, obywatelu Lorin - rzekła Artemiza - mam nadzieję, że kupisz mi bukiet.

- A jakże - powiedział Lorin. - Nawet dwa, jeśli ci to sprawi przyjemność.

I podwoiwszy krok, śpieszyli ku kwiaciarce, która również szła bardzo szybko.

Przybywszy na most Marie, młoda dziewczyna przysta-

200

.. i;'

'l

nęła i wychyliwszy się za balustradę, wysypała kwiaty do rzeki.

Pojedyncze kwiatki przez chwilę bujały w powietrzu, ale bukiety pod wpływem własnego ciężaru spadły szybko. Potem wszystko popłynęło, uniesione prądem wody.

.- Masz tobie - rzekła Artemiza patrząc na kwiaciarkę, która zachowywała się w tak dziwny sposób. - Powiedziałby kto, że to... ale tak... o! nie... o tak... tak... Ach, jakie to dziwne!

Kwiaciarka, rzuciwszy błagalne spojrzenie na Artemizę, położyła palec na ustach na znak, aby ta milczała i znikła.

- Co to jest? - spytał Lorin. - Czy znasz tę śmiertelną istotę, moja bogini?

- Nie, choć zrazu mi się zdawało. Ale omyliłam się.

- Jednakże dawała ci jakieś znaki - nastawa! Lorin.

- Dlaczegoż jest dziś kwiaciarką? - spytała samą siebie Artemiza.

- Przyznajesz więc, Artemizo, że ją znasz? - spytał Lorin.

- Tak jest - odpowiedziała Artemiza - czasem kupuję u niej kwiaty.

- W każdym razie ta kwiaciarka w szczególny sposób sprzedaje swój towar - rzekł Lorin.

I oboje, spojrzawszy po raz ostatni na kwiaty, które porwane prądem rzeki dopływały już do drugiego mostu, poszli dalej w stronę restauracji, w której mieli zjeść obiad.

Wypadek na razie nie przyniósł żadnych następstw, że jednak był niezwykle i tchnął jakąś tajemnicą, utkwiał mocno w poetycznej wyobraźni Lorina.

Denuncjacja starej Tison, wymierzona przeciwko Maurycemu i Lorinowi, wywołała tymczasem wielkie poruszenie w klubie jakobinów. Maurycemu oświadczono w Tempie, że jego wolność jest zagrożona na skutek ogólnego oburzenia. Tym sposobem dano młodemu gwardziście do zrozumienia, aby się ukrył, jeżeli poczuwa się do winy. Mau-

201

rycy jednak, mając czyste sumienie, pozostał w Tempie aż do chwili, w której przyszli go aresztować.

Natychmiast przystąpiono do badania. Maurycy postanowił nie wikłać w sprawę żadnego ze swych przyjaciół, których był pewien, nie chcąc jednak, jak bohater romansu, milczeniem narażać się na śmieszność, żądał, aby przywołano kwiaciarkę.

Lorin wrócił do domu dopiero o piątej wieczorem i dowiedział się natychmiast, że Maurycego aresztowano i że zażądał on przywołania jakiejś kwiaciarki.

Zaraz więc stanęła mu przed oczami kwiaciarka z mostu Marie, rzucająca w wodę bukiety. Nagle wpadł na trop całej sprawy. Dziwna kwiaciarka, ta sama dzielnica, pół-

wyznanie Artemizy - wszystko to zapowiadało wyjaśnienie tajemnicy, której wykrycia domagał się Maurycy.

Wyskoczył ze swego pokoju, przeleciał jak na skrzydłach cztery piętra i pobiegł do bogini Rozumu, którą zastał haftującą złote gwiazdy na niebieskiej gazowej sukni.

Była to suknia bóstwa.

- Dostyc tych gwiazd, kochana przyjaciółko! Dziś rano aresztowano Maurycego, a wieczorem pewno i mnie aresztują.

- Maurycy aresztowany!

- Tak, tak, w dzisiejszych czasach nie ma nic zwykłego niż takie wypadki. Ale że wszystkie wypadki prawie zawsze wynikają z drobnostek, nie lekceważmy drobnostek. Co to za jedna ta kwiaciarka, którą widzieliśmy dziś rano, kochana przyjaciółko?

Artemiza zadrżała.

- Jaka kwiaciarka?

- Cóż, do licha! No, ta, która tak rozrzutnie sypała kwiaty w Sekwanę.

- Czyżby ten wypadek był tak ważny, iż wracasz do niego z taką natarczywością?

302

- Jest tak ważny, kochana przyjaciółko, że proszę cię, abyś natychmiast odpowiedziała na moje pytanie.

- Nie mogę tego uczynić, mój przyjacielu.

- Bogini, cóż dla ciebie może być niepodobieństwem?

- Zakłęła mnie na honor, abym milczała.

- A mnie zakłęto na honor, abym cię zmusił do mówienia.

- Dlaczego?

- Dlatego, do krośset, aby Maurycemu głowy nie ucięto!

- Boże, Maurycy pod gilotyną! - zawołała przerażona

Artemiza.

- Nie mówię już nic o sobie, chociaż wcale nie ręcę,
czy mam jeszcze głowę na karku.

- O, nie, nie, zgubiłabym ją niezawodnie.
W tej chwili służący Lorina wpadł do mieszkania Artemizy.

- Obywatelu - zawołał - uciekaj, uciekaj!

- Dlaczego? - spytał Lorin;

- Żandarmi wyłamują drzwi do ciebie, ja dostałem się
tu przez sąsiedni dach i przybiegłem uprzedzić cię o tym.

Artemiza krzyknęła przeraźliwie, bo rzeczywiście kochała Lorina.

- Artemizo - rzekł spokojnie Lorin - czyż życie jednej kwiaciarki stawiasz na równi z życiem Maurycego i z życiem twego kochanka? Jeżeli tak, oświadczam ci, iż przestaję uważać cię za boginię Rozumu, i ogłaszam cię boginią Głupoty.

- Biedna Heloizo - zawołała eks-tancerka Opery -
nie moja wina, że cię zdradzam.

- Dobrze, dobrze, kochana przyjaciółko - rzekł Lorin,
podając Artemizie kawałek papieru. - Jużes mnie obdarowała jej imieniem, teraz napisz mi jeszcze jej nazwisko i adres.

- Nigdy, nigdy - zawołała Artemiza - wolę ci raczej
to' powiedzieć, niż napisać.

203

- Mówże więc i bądź spokojna, na pewno nie zapomnę.

Artemiza głośno i wyraźnie powiedziała Lorinowi nazwisko i adres mniemanej kwiaciarki.

Nazywała się Heloiza Tison, mieszkała przy ulicy Nonandieres nr 24.

Usłyszawszy nazwisko Lorin krzyknął i uciekł ile sił w nogach.

Jeszcze nie dobiegł do końca ulicy, gdy przybył posłaniec

z listem do Artemizy.

o

List ten składał się z czterech następujących wierszy:

„Ani słowa o mnie, kochana przyjaciółko, wykrycie nazwiska zgubiłoby mnie niezawodnie. Wstrzymaj się z tym do jutra, dziś wieczór opuszczam Paryż.

Twoja Heloiza."

- O mój Boże! - zawołała przyszła bogini. - Gdybym to była przewidziała, poczekalabym do jutra.

I rzuciła się do okna, chcąc przywołać Lorina, ale już go nie dostrzegła.

XXIV

MATKA I CÓRKA

Powiedzieliśmy już, że w ciągu kilku godzin Paryż dowiedział się o wypadku. Istotnie, w owej epoce wszystkie poczynania rządu były publiczną tajemnicą, gdyż polityka rodziła się i umierała na ulicy.

Straszna i groźna pogłoska dotarła także na starą ulicę Saint-Jacques, i w dwie godziny po aresztowaniu Maurycego dowiedziano się tam o tym.

Dzięki aktywności Simona szczegóły spisku wydostały się szybko poza bramy Tempie, ale że każdy opowiadający musiał coś dodać, wiadomość dotarła w bardzo już zmienionej formie' do majstra garbarza. Mówiono, że podano

204

królowej jakiś kwiat zatruty i że Austriaczka za jego pomocą miała uspić wartę i wyjść z Tempie. Do wieści tych dołączono jakieś podejrzenia co do wierności batalionu, który Santerre wczoraj odprawił, kilka więc osób od razu skazano na nienawiść ludu.

Ale na starej ulicy Saint-Jacques nie mylono się ani jeśli chodziło o przyczynę, ani o istotę wypadku. Morand i Dixmer wyszli natychmiast z domu, zostawiając Genowefę na pastwę okrutnej rozpacz.

Rzeczywiście, gdyby Maurycego spotkało nieszczęście, Genowefa byłaby główną tego przyczyną. Ona to nic nie podejrzewającego młodzieńca prowadziła za rękę aż do 'więzienia, w którym go zamknięto, i z którego, według

wszelkiego prawdopodobieństwa, wyjdzie chyba wprost na rusztowanie.

W każdym razie Genowefa postanowiła nie dopuścić, aby Maurycy zapłacił głową za dogodzenie jej kaprysowi. Jeżeli go skazano, miała sama oskarżyć się przed trybunałem, miała wyznać wszystko, wziąć odpowiedzialność na siebie, rozumie się» na siebie samą tylko, i miała kosztem własnego życia ocalić życie Maurycego.

I zamiast drżeć na myśl, że umrze za Maurycego, czuła jakąś gorzką radość.

Kochała go. Kochała bardziej, niż wypadało kochać kobiecie nie należącej wyłącznie do siebie. Cieszyła się więc, że będzie mogła ofiarować Bogu swą czystą i nieskalaną duszę, którą od niego w darze otrzymała.

Morand i Dixmer, wyszedłszy z domu, udali się każdy w inną stronę. Dixmer podążył ku ulicy Corderie, Morand pobiegł na ulicę Nonandieres. Przybywszy na most Marie, nasz chemik spostrzegł tłumy ciekawych paryskich próżniaków, tłumy, które zwykle podczas lub po jakimś wypadku zapełniają miejsce, na którym on nastąpił, niby kruki po bitwie, zalegające pobojowisko. . . .

205

Widok ten zatrzymał śpieszącego Moranda. Nogi ugięły się pod nim, musiał oprzeć się o balustradę mostu.

Po kilku chwilach odzyskał jednakże cudowną władzę, która w ważnych chwilach pozwalała mu panować nad sobą, i wmieszał się w tłum. Dowiedział się, że przed dziesięcioma minutami wzięto spod nr 24 przy ulicy Nonandieres młodą dziewczynę, winną zapewne zbrodni, o jaką ją obwiniono, ponieważ zastano ją przy pakowaniu rzeczy.

Morand zapytał, w którym klubie młoda dziewczyna ma być badana. Oznajmiono mu, że zaprowadzona została do sekcji głównej, dokąd udał się natychmiast.

Sekcja przepelniona była ludźmi. Morand jednak za pomocą pięści i łokcia zdołał przedostać się do jednej z trybun. Najpierw spostrzegł wysoką postać, szlachetne oblicze i pogardliwą minę Maurycego. Stał w ławie dla oskarżonych i miażdżył wzrokiem perorującego Simona.

- Tak jest, obywatele - wrzeszczał Simon - tak...
Obywatelka Tison oskarża obywatela Lindey i obywatela

Lorin. Obywatel wspomina o jakiejś kwiaciarence, na którą pragnie zwalić swą zbrodnię, ale uprzedzam was, że ta kwiaciarka się nie znajdzie. Arystokraci uknuli spisek i zwalają winę jedni na drugich, podli tchórze! Widzieliście zresztą, że obywatel Hiacynt Lorin uciekł z domu, gdyście po niego przyszli. I nie znajdziecie go podobnie jak kwiaciarki.

- Kłamiesz. Simon - dał się słyszeć głos pełen wściekłości. - Znajdzie się, bo oto jestem!
I Lorin wpadł na salę.

- Miejsce dla mnie, miejsce! - wołał, roztrącając widzów.

I stanął obok Maurycego.

Zjawienie się Lorina, uczynione w tak prosty, naturalny i szczerzy sposób, wywołało najkorzystniejsze wrażenie na trybunach. Rozległy się huczne brawa.

20B

Maurycy uśmiechnął się i podał przyjacielowi rękę, jakby chciał powiedzieć: „Jestem pewien że nie będę długo sam na ławie oskarżonych.”

Widzowie z wyraźnym współczuciem spojrzeli na obu pięknych młodzieńców, których oskarżał niechlujny szewc z Tempie, potwór zazdroszczący im młodości i piękności.

Simon spostrzegł, że wywarł niekorzystne wrażenie, postanowił więc zadać ostatni cios.

- Obywatele! - ryknął. - Żądam, aby wysłuchano wspaniałomyślniej obywatelki Tison, żądam, aby mówiła, żądam, aby oskarżała.

- Obywatele - rzekł Lorin - a ja proszę, abyście pierwiej wysłuchali młodej kwiaciarki, którą aresztowano i którą tu na pewno zaraz przyprowadzą.

- Nie - odpowiedział Simon - to znowu będzie jakiś fałszywy świadek, jakiś stronnik arystokratów. Wreszcie, obywatelka Tison pała niecierpliwością objaśnienia sprawiedliwości...

Przez ten czas Lorin rozmawiał po cichu z Maurycem.

- Dobrze - zawołały trybuny - dobrze! Niech żona Tisona złoży najpierw zeznania.

- Czy jest tu obywatelka Tison? - zapytał prezes.

- Na pewno jest - zawołał Simon. - Obywatelko Tison, odezwij się przecie.

- Oto jestem, prezesie - rzekła dozorczyńni. - Ale jeżeli zeznam wszystko, czy oddacie mi moją córkę?

- Twoja córka nie ma nic wspólnego z interesującą nas sprawą - powiedział prezes. - Złóż najpierw zeznanie, a potem możesz się udać do Gminy i prosić o swe dziecko.

- Rozumiesz?" Obywatel prezes rozkazuje ci, abyś zeznawała - krzyknął Simon. - Zeznawaj więc natychmiast.

- Chwileczkę, chwileczkę - rzekł prezes, odwracając się ku Maurycemu, zdziwiony spokojem tego tak zwykle

207

zapalczego młodzieńca. - Obywatelu gwardzisto, czy nie masz nic do powiedzenia?

- Nie, obywatelu prezesie, to tylko powiem, że Simon, zanim nazwał podłym i zdrajcą takiego jak mnie człowieka, powinien był pierwej lepiej się o wszystkim poinformować.

- Co mówisz, co? - przerwał Simon tonem szyderstwa, właściwym paryskiemu gminowi.

- Mówię, Simon - powtórzył Maurycy raczej smutny niż zagniewany - że wkrótce zostaniesz okropnie ukarany, kiedy zobaczysz, co nastąpi.

- A cóż ma nastąpić? - spytał Simon.

- Obywatelu prezesie - zaczął znowu Maurycy, nie odpowiadając nikczemnemu oskarżycielowi - i ja, podziękując zdanie mego przyjaciela Lorina, proszę cię, aby przesłuchano najpierw młodą dziewczynę, którą aresztowano, zanim zabierze głos ta biedna kobieta, namówiona zapewne do złożenia denuncjacji.

- Czy słyszysz, obywatelko? - zawołał Simon. - Czy słyszysz? Nazywają cię fałszywym świadkiem.

- Ja, fałszywym świadkiem? - rzekła stara Tison. -
Ach, zobaczysz! Poczekaj, poczekaj!

- Obywatelu - rzekł Maurycy - przez litość, rozkaż
tej nieszczęśliwej, aby milczała.

- Aha, boisz się! - wrzeszczał Simon. - Boisz się!
Obywatelu prezesie, ja domagam się, aby obywatelka Ti-
son zeznawała!

- Tak, tak, niech zeznaje! - zawołały trybuny.

- Milczeć! - zawołał prezes. - Oto wraca Gmina.
W tej chwili usłyszano turkot powozu, groźny szczęk
broni i zgiełk.

Simon niespokojnie odwrócił się ku drzwiom.

- Zejdź z trybuny - rzekł prezes - nie masz już gło-
su.

Simon usłuchał.

208

W tym momencie weszli żandarmi, a za nimi nowe tłu-
my ciekawych, które wnet roztrącono. Jakaś kobietę po-
pchnięto ku kratkom.

- Czy to ona? - spytał Lorin Maurycego.

- Tak, tak, ona - odrzekł Maurycy. - Och, nieszczę-
śliwa, jest zgubiona!

- Kwiaciarka! Kwiaciarka! Patrzcie! - szepnęły pod-
niecone ciekawością trybuny.

- Żądam przede wszystkim, aby zeznawała stara Ti-
son - ryknął szewc. - Kazałeś jej przecież, aby to uczy-
niła, prezesie, a jednak widzisz, że cię nie słucha.

Przywołano starą Tison, która zaczęła składać potworne
zeznania. Według niej kwiaciarka była wprawdzie winna,
lecz Maurycy i Lorin byli jej współnikami. Jej zeznanie
wywołało wielkie wrażenie na publiczności.

Simon triumfował.

- Żandarmi, przyprowadźcie kwiaciarkę! - zawołał

prezes.

- Och, co za okropność! - szepnął Morand, kryjąc głowę w dłoniach.

Przywołana kwiaciarka stanęła przed trybuną, naprzeciwko starej Tison, której zeznanie tak wyolbrzymiło zbrodnię, o jaką obwiniono dziewczynę.

Wtedy podniosła kryjącą twarz zasłonę.

- Heloiza! - zawołała stara Tison. - Moja córko! Ty[^] tutaj?!

- Tak jest - odpowiedziała łagodnie młoda kobieta.

- A dlaczego stoisz między żandarmami? ;

- Bo jestem oskarżona, matko.

- Ty... oskarżona?... - zawołała z rozpaczą stara Tison. - Przez kogo?

- Przez ciebie, matko!

Przerazające milczenie zapanowało nagle nad hałaśliwym tłumem, straszliwa scena ścisnęła wszystkim serca.

H - A. Dumas

209

-!- To jej córka! - szeptały w dali ciche głosy. - To jej córka... O nieszczęśliwa!

Maurycy i Lorin spojrzeli na oskarżającą i aa oskarżoną z uczuciem głębokiej litości i pełnej uszanowania boleści.

Simon, pragnąc, aby skończyła się scena, która, jak mniemał, zupełnie skompromituje Maurycego i Lorina, starał się unikać spojrzeń starej Tison. Wodziła ona błędnym wzrokiem wokół siebie.

- Jak się nazywasz, obywatelko? - spytał prezes, wzruszony widokiem spokojnej, gotowej na wszystko dziewczyny.

- Heloiza Tison, obywatelu.

- Ile masz lat?

- Dziewiętnaście.

- Gdzie mieszkasz?

_ Przy ulicy Nonandieres numer dwadzieścia cztery.

- Czyś to ty sprzedała dziś rano bukiet goździków gwardziście Lindey, którego widzisz na tej ławie? Heloiza odwróciła się ku Maurycemu i spojrzawszy nań,

rzekła:

- Tak jest, obywatelu, to ja.

Stara Tison patrzyła na córkę rozszerzonymi z trwogi oczyma.

- Czy wiesz, że w każdym z tych goździków znajdował się list do wdowy Capet?

- Wiem - odpowiedziała krótko oskarżona.

Na sali dały się słyszeć pomruki pełne grozy i podziwu.

- Dlaczego podałaś te goździki obywatelowi Maurycemu?

- Bo przepasany był szarfą gwardzisty i domyśliłam się, że idzie do Tempie.

- Jacy są twoi wspólnicy?

- Nie mam żadnych.

- Jak to? Więc sama tylko uknułaś spisek?

- Jeżeli to jest spisek, uknułam go sama.

210

- Czy obywatel Maurycy coś o nim wiedział?

- Czy wiedział, że w tych kwiatach były karteczki?

- Tak.

- Obywatel Maurycy jest gwardzistą, obywatel Maurycy mógł widywać królową bez świadków o każdej porze

dnia i nocy. Gdyby miał jej coś do powiedzenia, nie musiałby pisać, bo mógł z nią rozmawiać.

- I nie znałaś obywatela Maurycego?

- Widywałam go nieraz w Tempie wówczas jeszcze, gdy mieszkałam razem z moją biedną matką, ale znałam go tylko z widzenia.

- A widzisz, nędzniku! - zawołał Lorin, grożąc pięścią Simonowi, który zwiesiwszy głowę, przygnębiony nowym obrotem rzeczy, próbował umknąć nie zauważony przez nikogo. - Widzisz, coś narobił?

Wszystkie spojrzenia spoczęły na Simonie, pełne najgłębszej pogardy.

Prezes mówił dalej.

- Ponieważ sama dałaś ten bukiet, ponieważ wiedziałaś, że w każdym kwiatku jest karteczka, powinnaś zatem wiedzieć, co na nich było napisane.

- Oczywiście, wiem.

- A więc, powiedz nam, cóż zawierała każda kartka?

- Obywatelu - z godnością rzekła dziewczyna - wiedziałam już wszystko, co mogłam, a przede wszystkim, co chciałam powiedzieć.

- Odmawiasz więc dalszych zeznań?

- Odmawiam.

- Czy wiesz, na co się narażasz?

- Wiem.

- Masz może nadzieję, że ocali cię twoja młodość czy piękność?

- Mam tylko nadzieję w Bogu.

- Obywatelu Maurycy Lindey - powiedział prezes - obywatelu Hiacyncie Lorin, jesteście wolni. Gmina uznaje

"•

waszą niewinność i oddaje sprawiedliwość waszej obywa-

telskiej prawości. Żandarmi, odprowadźcie obywatelkę Heloizę do więzienia sekcji.

Zdawało się, że słowa te obudziły starą Tison. Wydała okropny krzyk i chciała rzucić się, aby raz jeszcze ucałować córkę. Ale żandarmi jej nie dopuścili.

- Przebaczam ci, matko moja! - wołała dziewczyna, którą ciągnęli już za sobą.

Stara Tison wydała dziki okrzyk i padła jak martwa.

- O szlachetna dziewczyno! - szepnął boleśnie wzruszony. Morand.

XXV LIST

Stara Tison, jak rażona piorunem, stała jakiś czas nieruchomo, opuszczona przez wszystkich, którzy jej towarzyszyli. Występek popełniony nawet mimo woli budzi wstręt, matka zaś, która zabija własne dziecko, chociażby z pobudek patriotycznych, popełnia czyn przeciwny naturze. Podniosła wreszcie głowę, rzuciła naokoło błędne spojrzenie i z okropnym krzykiem rzuciła się ku drzwiom.

U drzwi stało jeszcze kilku ciekawych, bardziej zawziętych niż inni. Ustąpili z drogi, gdy tylko spostrzegli dozorczyńnię, i wskazując ją sobie palcami, mówili:

- Widzisz tę kobietę? Zadenuncjowała własną córkę. Stara Tison wydała okrzyk rozpaczony i pobięła w kierunku Tempie.

Zaledwie przebyła część ulicy Michel-le-Comte, zaszedł jej drogę jakiś człowiek i zakrywszy twarz płaszczem zapytał:

- Jesteś zadowolona, żeś zabiła własną córkę?

212

..,K^

- Zabiłam córkę! Zabiłam córkę! - wrzeszczała biedna kobieta. - Nie, nie! To niemożliwe!

- A jednak tak jest, bo ją aresztowano.

- A gdzie ją zaprowadzono?

- Do Conciergerie. Stamtąd poprowadzą ją przed sąd rewolucyjny, a wiesz, co się dzieje z tymi, którzy tam się znajdują.
- Ustąp mi z drogi - rzekła stara Tison. - Puść mnie!
- Dokąd idziesz?
- Do Conciergerie.
- Cóż tam będziesz robiła?
- Zobaczę ją jeszcze.
- Nie wpuszczą cię.
- Ale mi pozwolą leżeć pod drzwiami, żyć tam, spać. Będę czekała, aż wyjdzie, zobaczę ją jeszcze raz.
- A gdybym ci obiecał odzyskać twoją córkę?
- Co mówisz?
- Powiadam, że gdyby ktoś przyrzekł ci ocalić twą córkę, czy uczyniłabyś to, czego by ten ktoś zażądał od ciebie?
- Uczynię wszystko dla mojej córki, dla mojej Heloizy - zawołała z rozpaczą stara Tison, załamując ręce. - Wszystko! Wszystko!
- Posłuchaj - zaczął znowu nieznajomy. - Bóg cię tak ciężko karze...
- Za co?
- Za męczarnie, jakie zadawałaś pewnej matce, równie jak ty nieszczęśliwej.
- O kim mówisz? Co przez to rozumiesz?
- Uwięzioną, której pilnujesz, własną ręką nieraz doprowadzałaś do rozpacz, jakiej sama w tej chwili doświadczasz, przez swoje grubiaństwo, przez swoje oskarżenia. Bóg więc karze cię, wiodąc na śmierć córkę, którą tak kochasz.
- Mówiłeś, że jest człowiek, który może ją ocalić. Gdzie on jest? Czego chce? Czego żąda?

- Człowiek ten żąda, abyś zaprzestała prześladować królową, abyś błagała ją o przebaczenie za zniewagi, które jej wyrządziłaś. Jeżeli spostrzeżesz, że ta kobieta, która także ma córkę, która również płacze, cierpi i rozpacza, jeżeli spostrzeżesz, że ta kobieta jakimś cudem lub nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności będzie mogła ratować się ucieczką, masz nie tylko jej w tym nie przeszkodzić, ale nawet dopomóc.

- Słuchaj, obywatelu - rzekła stara Tison - ty sam jesteś tym człowiekiem?

- I cóż stąd?

- Czy przyrzekasz ocalić moją córkę?
Nieznajomy milczał.

- Czy przyrzekasz?... Bierzesz to na siebie?... Czy przyśięgasz mi na to? Odpowiadaj!

- Słuchaj. Wszystko, co człowiek uczynić może dla ocalenia kobiety, uczynię dla ocalenia twojej córki.

- O, ty nie możesz tego dokonać! - zawołała przeraźliwym głosem stara Tison. - Nie, ty tego nie dokonasz!... Kłamiesz, jeżeli mi to przyrzekasz.

- Uczyń, co możesz, dla królowej, a ja uczynię, co będę mógł, dla twojej córki.

- Cóż mnie obchodzi królowa! To matka, mająca córkę. A jeżeli utną komu głowę, to pewno nie córce, ale jej samej. Niech więc i mnie utną głowę, lecz niech ocalą mi córkę. Niech mnie zawiodą pod gilotynę. Jeżeli jej ani jeden włos nie spadnie z głowy, ja pójdę tam, śpiewając Ca zra.

To mówiąc, stara Tison przeraźliwym głosem zaczęła śpiewać, ale nagle przerwała, wybuchając głośnym śmiechem.

Człowiek w płaszczu, przerażony tym atakiem szaleństwa, cofnął się o krok.

- O, ty tak nie odejdziesz ode mnie - rzekła z rozpaczą stara Tison, chwytając nieznajomego za płaszcz. - Matce nie można mówić: „Uczyń to, a ocalę twą córkę”, i potem dodać: „Może!” Czy ocalisz ją?

- Tak.

- Kiedy?

- Wówczas gdy ją będą prowadzić z Conciergerie na rusztowanie.

- Po co tak długo czekać? Czemuż to nie dzisiejszej nocy, nie dzisiejszego wieczoru, czemu nie w tej chwili?

- Bo to niemożliwe.

- Aha, widzisz, widzisz - zawołała stara Tison. - Widzisz, że nie możesz, ale ja mogę.

- Co możesz?

- Mogę prześladować uwięzioną, jak ją nazywasz, mogę czuwać nad królową, jak mówisz, arystokrato. Mogę w każdej chwili, w ciągu dnia i nocy, wejść do jej więzienia, i uczynię to niezawodnie. Co zaś do jej ucieczki, zobaczymy, zobaczymy! Kiedy nie chcesz ocalić mojej córki, i ona nie powinna się uratować. Głowa za głowę, chcesz? Pani Weto była królową, wiem o tym. Heloiza Tison jest tylko biedną dziewczyną, i to wiem, ale pod gilotyną wszyscy jesteśmy sobie równi.

- A więc, zgoda - rzekł człowiek w płaszczu. - Ocal królową, a ja ocalę twą córkę!

- Przysięgnij.

- Przysięgam.

- Na co?

- Na co chcesz.

- Czy masz córkę?

- Nie.

- Więc na cóż chcesz przysięgać? - powiedziała stara Tison, opuszczając w zwątpieniu rękę.

- Przysięgam ci na Boga!

?.lo

- Ba! - odrzekła stara. - Wiesz, że obalili dawnego,

a nowego jeszcze nie wybrali.

- Przysięgam ci na grób mojego ojca.

- Nie przysięgaj na grób, na złe by ci to wyszło. O Boże, mój Boże! Kiedy pomyślę, że może za trzy dni i ja także przysięgać będę na grób mojej córki... Moja córko! Moja biedna Heloizo - krzyknęła stara tak głośno, że aż otworzyło się kilka okien.

Na widok otwierających się okien jakiś mężczyzna, do-
tąd jakby przylepiony do muru, podszedł ku nieznajomemu.

- Nic nie zrobisz z tą kobietą - rzekł. - Ona oszalała.

- Nie, ona jest matką - odrzekł nieznajomy. I odszedł ze swym towarzyszem.

Stara Tison, widząc, że obaj mężczyźni oddalają się, zdawała się odzyskiwać zmysły.

- Dokąd idziecie? - zawołała. - Czy chcecie ocalić moją Heloizę? Czekaście, pójdę z wami. Czekaście, ależ czekaście!...

I biedna matka, jęcząc, pośpieszyła za nimi, lecz na rogu najbliższej ulicy straciła ich z oczu. Nie wiedząc, gdzie się udać, na chwilę stanęła niepewna, co ma czynić. Potem widząc, że jest sama jedna wśród nocy i ciszy, podwójnego symbolu śmierci, wydała rozdzierający okrzyk i bez zmysłów padła na bruk.

Wybiła godzina dziesiąta.

W tymże czasie, gdy ta sama godzina wybiła na zegarze w Tempie, królowa siedziała ze szwagierką i córką przy świetle ciemnej lampy, w znanym nam pokoju. Ukryta przed wzrokiem gwardzistów przez swą córkę, która udawała, że ją całuje, odczytywała mały liścik, napisany na cieniutkim papierze i tak delikatnym charakterem pisma, że oczy jej, piekące od łez, zaledwie mogły go przeczytać.

216

List brzmiał jak następuje:

„Jutro, we wtorek, żądam pozwolenia wyjścia do ogrodu. Otrzymasz je łatwo, ponieważ jest rozkaz, aby ci wyświadczono tę łaskę, skoro jej zażądasz. Przeszedłszy się kilka

razy, udaj znużenie, zbliż się do chatki i poproś wdowę Plumeau, aby ci pozwoliła trochę u niej odpocząć. Tam po chwili udaj, że ci jest słabo i niby omdlej. Zanikną wtedy drzwi, aby ci nikt nie mógł udzielić pomocy, i zostaniesz sama ze szwagierką i córką. Natychmiast otworzy się kłapa od piwnicy. Wejdźcie tam wszystkie trzy, a będziecie ocalone."

- O wielki Boże! - rzekła królowa. - Czyżby miały się skończyć nasze nieszczęścia?

- A może ten list to tylko pułapka? - dodała księżniczka Elżbieta.

- Nie, nie - odparła królowa - to znane mi pismo, które świadczy o obecności tajemniczego, lecz bardzo odważnego i wiernego przyjaciela.

- Kawalera de Maison-Rouge?

- Tak - odpowiedziała królowa.
Księżniczka Elżbieta załamała rękę.

- Odczytajmy cichutko ten list - podjęła znów królowa - byśmy dobrze zapamiętały każde słowo.

I wszystkie trzy zaczęły czytać, a gdy skończyły, dało się słyszeć skrzypnięcie otwieranych drzwi. Obie księżniczki odwróciły się, królowa zaś pozostała w tej samej postawie i niedostrzegalnie wsunęła liścik między włosy.

Wszedł jeden z gwardzistów.

- Czego pan sobie życzy? - zapytały równocześnie obie księżniczki.

- Hm - odpowiedział zapytany - uważam, że dziś coś za długo marudzicie.

- Czy Gmina wydała nowe postanowienie, mówiące,

217

o której godzinie mam udawać się na spoczynek? - zapytała z właściwą sobie godnością królowa. ;

- Nie, obywatelko - odpowiedział gwardzista - ale , ^.
skoro zajdzie potrzeba, postanowienie takie zostanie z pewno ś ci ą wydane.)| \ ^

- Tymczasem, panie - rzekła Maria Antonina - szanuj jeźeli nie pokój królowej, to przynajmniej pokój kobiety.

- Te arystokratki przemawiają takim tonem, jakby jeszcze coś znaczyły - mruknął gwardzista, wyszedł jednak pokonany przez ową godność, tak wyniosłą w latach powodzenia, tak złagodzoną długim pasmem cierpień.

W Chwilę później zgasła lampa i jak zwykle wszystkie trzy kobiety rozebrały się, kryjąc swój wstyd w ciemnościach.

Nazajutrz o dziewiątej rano królowa, ukryta za firankami łóżka, przeczytała jeszcze raz wczorajszy list, aby nie przeoczyć żadnej z podanych w nim instrukcji, podarła go na małe kawałeczki, ubrała się za firankami i obudzwszy szwagierkę, podeszła do córki.

W chwilę potem wyszła i przywołała pełniących służbę gwardzistów.

- Czego żądasz, obywatelko? - zapytał jeden z nich, stając w progu, podczas gdy drugi nie przerwał nawet śniadania, aby pośpieszyć na wezwanie monarchini.

- Panie - rzekła Maria Antonina - przychodzę z pokoju córki, która jest bardzo słaba. Nogi jej nabrzmiały, bo zbyt mało zażywa ruchu. Wiadomo panu, że ja sama skazałam ją na to. Wolno mi było przechadzać się po ogrodzie, ale ponieważ musiałabym przechodzić obok pokoju, w którym mieszkał mój mąż, zawiodło mnie serce, zabrakło siły, poprzestałam więc na przechadzce po tarasie. Przechadzka ta nie wystarcza jednak memu biednemu dziecku, proszę więc, obywatelu gwardzisto, zażądaj

w moim imieniu od generała Santerre'a, aby wyraził

213

zgodę na korzystanie z poprzedniego pozwolenia. Będę ci za to bardzo wdzięczna.

Słowa królowej wypowiedziane były głosem tak miłym, tak pełnym godności, przy tym Maria Antonina uniknęła wszystkiego, co mogłoby zranić republikańską wstydlwość gwardzisty, że ten, choć wszedł w czerwonej czapce - bo tak przewaźnie wchodzili wówczas wszyscy uchylił jej nieco i powiedział:

- Dobrze, pani, poproszę obywatela generała Santerre'a o pozwolenie, którego żądasz.

Wychodząc, dodał jakby dla przekonania siebie, że ulega raczej słuszości niż słabości:

- Tak jest, istotnie, ta prośba jest zupełnie uzasadniona.

- Co jest uzasadnione? - zapytał drugi gwardzista.

- Aby ta kobieta przespacerowała się ze swoją chorą córką.

- Czego więc chce?

- Prosi, aby mogła zejść na przechadzkę do ogrodu.

- Niech zażąda, aby mogła przejść się na piechotę z Tempie na plac Rewolucji. Wtedy się przespaceruje jak należy.

Królowa usłyszawszy to zbladła.

Gwardzista dokończył śniadania i zszedł na dół. Królowej przyniesiono posiłek do pokoju.

Królewna, aby dowieść, że jest chora, pozostała w łóżku. Matka i księżniczka Elżbieta siedziały przy niej.

Santerre zjawił się, jak zwykle, o jedenastej. Przybycie jego oznajmił odgłos bębnow, wejście nowego batalionu i nowych gwardzistów, mających zmienić wczorajszą wartę.

Kiedy Santerre zrobił przegląd batalionu, który obejmował s[^]bę, oraz tego, który opuszczał Tempie, kiedy paradował na swym ciężkim koniu po dziedzińcu w Tempie, zatrzymał się, jak zwykle; na chwilę, aby wysłuchać

239

różnych próśb, przyjąć różne doniesienia i załatwić inne sprawy.

Gwardzista skorzystał ze sposobności i zbliżył się do niego.

- Czego chcesz? - zapytał go Santerre opryskliwie.

- Obywatelu - odpowiedział gwardzista - przychodzę oznajmić ci w imieniu królowej...

- Co to jest królowa? - przerwał Santerre.

- A prawda - odrzekł gwardzista zdziwiony, że się tak dalece zapomniał. - Co ja też powiedziałem? Oszalałem czy co? Przychodzę więc oznajmić ci w imieniu pani Weto...

- No, tak to co innego - przerwał Santerre - teraz to rozumiem. Cóż mi przychodzisz oznajmić? Mów.

- Przychodzę oznajmić ci, że mała Weto jest chora, jak się zdaje z powodu braku powietrza i ruchu.

- Czyż jeszcze i o to mam zwracać się do narodu? Naród pozwolił jej przechadzać się po ogrodzie. Nie chciała, upadam do nóg!

- Właśnie teraz prosi, abyś pozwolił jej zejść...

- Nie mam nic przeciwko temu. Hej, słyszycie! - zawołał Santerre zwracając się do batalionu. - Wdowa Capet będzie się przechadzała po ogrodzie. Naród pozwala jej na to. Pilnujcie tylko, aby nie uciekła przez mur, bo wszystkie wasze łby stałyby się łupem kata.

Homerycznym śmiechem przyjęto żart obywatela generała.

it"

- A teraz - rzekł Santerre - kiedy już was o wszystkim uprzedziłem, bądźcie zdrowi. Jadę do Gminy. Zdaje się, że schwytano Rolanda i Barbaroux i że trzeba będzie wydać im paszporty na tamten świat.

Ta właśnie wiadomość wprawiła obywatela generała w tak dobry humor.

Santerre ruszył galopem. Za nim pociągnął batalion,

220

schodzący 2 warty, a dyżurni gwardziści ustąpili miejsca nowo przybyłym.

Jeden z nich poszedł do Marii Antoniny z zawiadomieniem, że generał zadośćuczynił jej prośbie.

„O! - pomyślała patrząc przez okno - czy liż gniew

Twój, Panie, już uśmierzyć raczyłeś, czyż już Twa straszna prawica przestanie na nas ciążyć?"

- Dziękuję panu - rzekła do gwardzisty z owym czarującym uśmiechem, za którym tyłu szalało i który zgubił Barnave'a. - Dziękuję!

Potem zwróciła się do małego pieska, który na tylnych łapkach skakał obok niej, jakby wyczytał z oczu swej pani, że dzieje się coś nadzwyczajnego.

- Chodź, Black - rzekła - pójdziemy na przechadzkę. Piesek zaczął skomleć i skakać, a spojrzawszy na gwardzistę odgadł widocznie, że to on przyniósł jego pani tak pomyślną wiadomość, bo czołgając zbliżył się ku niemu i zaczął się łaścić.

Gwardzista byłby może pozostał nieczuły na prośby królowej, ale wzruszyło go przymilanie psa.

- Choćby dla tego zwierzątka powinnaś była, obywatelko Capet, częściej wychodzić - powiedział. - Humanitaryzm nakazuje opiekować się wszelkim stworzeniem.

- O której godzinie wyjdziemy, panie? - spytała królowa. - Najlepiej będzie w samo południe, jak mi się zdaje.

- Wyjdiesz, obywatelko, kiedy zechcesz - odpowiedział gwardzista - w tym względzie nie mamy żadnego polecenia. Jeżeli jednak chcesz wyjść w południe, tym lepiej, zmieniają się wówczas placówki, nie będzie więc tyle ruchu w więzy.

- Dobrze więc, w południe, zgoda! - rzekła królowa i położyła rękę na piersi, chcąc uspokoić gwałtowne bicie serca.

Potem spojrzała na człowieka, który wydawał się sym-

231

patyc2n.iejs.zy niż jego •współtowErzyssEe, a który w n&gr&dę za swoją pobłażliwość w stosunku do jej żądań straci może życie w walce, jaką przygotowali spiskowcy.

Ale w chwili gdy litość miała zmiękczyć serce kobiety, obudziła się dusza królowej. Pomyślała o dniu dziesiątym sierpnia i o trupach przyjaciół, walających się po kobiercach jej pałacu. Pomyślała o drugim wrześniu i o głowie

księżnej de Lamballo, zatkniętej na ostrzu piki przed jej oknami, pomyślała o dwudziestym pierwszym stycznia i o swym mężu ginącym na rusztowaniu przy odgłosie bębnow, zagłuszających jego słowa. Wspomniała syna, nie-szczęśliwe dziecko, którego krzyki słyszała nieraz w pokoju, nie mogąc jednak przyjść mu z pomocą. Serce jej stężało na skutek tych myśli.

- Niestety - szepnęła - nieszczęście jest jak krew hydry: użyźnia ziemię pod nowe nieszczęścia.

XXVI

BLACK

Gwardzista wyszedł, aby przywołać towarzyszy i odczytać raport z dnia wczorajszego, złożony przez strażników, którzy odeszli.

Królowa pozostała ze szwagierką i córką. Najpierw wszystkie trzy spojrzały po sobie, potem córka królewska rzuciła się w objęcia matki, a księżniczka podała jej rękę.

- Módlmy się, ale módlmy się cichutko - rzekła krótów, a - aby nikt nie domyślił się, że rozmawiamy z Bogiem.

Istnieją okrutne chwile, w których modlitwa, naturalny głos, jakim Bóg obdarzył serce człowieka, staje się czymś podejrzanym w oczach innych ludzi. Bo modlitwa to akt nadziei lub wdzięczności, nadzieja zaś lub wdzięczność fcró-

222

Iowcj waaliecały zawsze niepokój w jej stróżach. Królowi. mogła spodziewać się jednej tylko rzeczy - ucieczki, a za umożliwienie jej gorąco dziękowałaby Bogu.

Skończywszy krótką modlitwę, trzy kobiety zachowały najgłębsze milczenie.

Na koniec wybiła godzina dwunasta.

W chwili gdy ucichł ostatni dźwięk zegara, dał się słyszeć na schodach szcęk broni, który doszedł do uszu królowej.

- Oto już zmieniają placówki - rzekła. - Wkrótce przyjdą po nas. Widząc zaś, że szwagierka i córka zbladły, dodała:

- Odwagi - i pobladła sama.

- Już południe - zawołano z dołu. - Wypuścić uwięziona.

- Jesteśmy, moi panowie - odpowiedziała królowa, z pewnym nawet żalem rzucając ostatnie pożegnalne spojrzenie na czarne mury, wśród których spędziła tyle godzin w samotności i smutku.

Otworzyły się pierwsze drzwi, wiodące na korytarz, którego ciemności ukryły wzruszenie malujące się na twarzach uwięzionych. Mały Black biegł przodem. Gdy doszły do drugich drzwi, do tych właśnie, od których Maria Antonina pragnęła odwrócić swój wzrok, wierne zwierzątko przytknęło swój pyszczek do ogromnych ćwieków, jakimi były nabite, kilka razy żałośnie szczeknęło i długo, boleśnie zawyło. Królowa szybko przeszła, nie mając siły przywołać pieska, i po chwili oparła się o ścianę.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa - musiała stanąć. Siostra króla i córka zbliżyły się do niej i przez chwilę wszystkie trzy zastygły w bezruchu. , -

Wreszcie przybiegł Black.

- I cóż - zawołał jakiś głos - schodzi ona czy nie schodzi?

223

- Jesteśmy - odpowiedział gwardzista, który rAwmież przystanął, oddając szacunek tak wielkiej boleści.

- Chodźmy - rzekła królowa i ruszyła dalej.

Gdy przybyły na koniec kręconych schodów i znalazły się na wprost ostatnich drzwi, przez których szczeliny przedostawały się szerokie wstęgi złotego słonecznego światła, dał się słyszeć odgłos bębna wzywającego wartę. Potem nastąpiło głębokie milczenie, wywołane ciekawością, i otworzyły się ciężkie drzwi skrzypiąc na zardzewiałych zawiasach.

. Jakaś kobieta siedziała, a raczej opierała się na kamieniu umieszczonym przy drzwiach. Była to stara Tison, której królowa nie widziała od dwudziestu czterech godzin, dziwiąc się bardzo wczoraj wieczór i dziś rano jej nieobecności.

Królowa widziała już światło, drzewa, ogród i chciwym okiem szukała poza kratą otaczającą ogród chatki, w której bez wątplenia czekali na nią przyjaciele, gdy wtem na odgłos jej kroków stara Tison rozłożyła ręce. Maria Antonina dojrzała jej twarz bladą i zboląłą, i siwe włosy.

Królowa była tak zdziwiona zmianą, jaką dostrzegła w jej twarzy, że stanęła. Wówczas stara, z właściwą obłąkanym powolnością, przyczołgała się do drzwi i uklęknęła, zamykając drogę Marii Antoninie.

- Czego chcesz, moja kobieto? - spytała królowa.

- On powiedział, że trzeba, abyś mi przebaczyła.

- Kto taki? - spytała królowa.

- Człowiek w płaszczu... - odrzekła stara.

Królowa, zdziwiona, spojrzała na księżniczkę Elżbietę i córkę.

- No, no - odezwał się gwardzista - przepuść wdowę Capet. Pozwolono jej przespacerować się po ogrodzie.

- Wiem o tym - rzekła stara - i dlatego czekałam tu na nią. Nie chciano mnie wpuścić na górę, a że powin-

224

nam prosić ja o przebaczenie, musiałam koniecznie na nią poczekać.

- Dlaczego nie chciano cię wpuścić? - zapytała królowa.

Stara Tison uśmiechnęła się.

- Bo oni utrzymują, że jestem szalona.

Królowa spojrzała na kobietę i w istocie w oczach niešťczęśliwej dostrzegła dziwny blask, świadczący o nieobecności myśli.

- O Boże! - zawołała. -• Cóż ci się stało, biedna kobieto?

_ Co mi się stało... Czyż nie wiesz?... - mówiła stara. -

Owszem... wiesz dobrze, bo z twojej winy ją skazano...

- Kogo?

- Heloizę.

- Twoją córkę?

- Tak, moją biedną córkę.

_ Skazano? Kiedy? Za co?

- No, bo to ona sprzedała bukiet...

- Jaki bukiet?

_ Bukiet goździków... A ona nie jest kwiaciarką - mówiła znowu stara Tison, jakby zbierając myśli. - Jakże ona mogła sprzedać ten bukiet?

Królowa zadrżała. Niewidzialny węzeł łączył tę scenę z obecnym stanem rzeczy. Królowa zrozumiała, że nie powinna tracić czasu na próżną rozmowę.

- Moja pocziwa, puść mnie, proszę, później mi to wszystko opowiesz.

- Nie, natychmiast musisz mi przebaczyć. Muszę ci pomóc w ucieczce, a on ocali za to moją córkę. Królowa zbladła śmiertelnie.

- O Boże! - szepnęła, wznosząc ręce ku niebu. A potem odwracając się do gwardzisty dodała:

- Panie, bądź łaskaw usunąć tę kobietę. Widzisz przecież, se jest obiąkariaL,

A. :E^R"f»

- No, no, nTłtko - rzekł gwardzista - ustąp. Ale stara Tison uchwyciła się muru.

- Nie! - zawołała. '•- Ona musi mi przebaczyć, a on musi ocalić moją córkę.

- Kto taki?

- Człowiek w płaszczu.

- Moja siostró - powiedziała księżniczka Elżbieta - pociesz ją kilkoma słowami.

- Chętnie - powiedziała królowa - tak w istocie będzie najlepiej.

I odwróciwszy się do szalonej dodała:

- Czego żądasz, poczciwa kobieto? Mów!

- Zadam, abyś mi przebaczyła wszystko, coś przeze mnie wycierpiała, wszystkie moje obelgi, wszystkie donosy. Kiedy zobaczysz człowieka w płaszczu, zadam, abyś rozkazała mu ratować moją córkę. On uczyni wszystko, co zechcesz.

- Nie wiem, kogo rozumiesz przez człowieka w płaszczu - odpowiedziała królowa - ale jeżeli dla spokoju twego sumienia chcesz, abym ci przebaczyła obelgi, jakimi według twego mniemania mnie obrzucałaś, z głębi mojej duszy przebaczam ci, nieszczęśliwa! Przebaczam ci szczerze, i bodaj by tak samo przebaczyli mi wszyscy, których ja kiedyś obraziłam!

- O! - z nieopisaną radością zawołała stara Tison. - Więc on ocali moją córkę, boś ty mi przebaczyła! Daj mi swą rękę, pani, daj mi swą rękę!

Zdziwiona królowa, nie rozumiejąc tej sceny, podała rękę starej Tison, a ta z zapalem chwyciła ją i ucałowała.

W tej chwili na ulicy Tempie dał się słyszeć oshrypły głos miejskiego woźnego.

- Oto wyrok skazujący na śmierć Heloizę Tison za uknućie spisku! - wołał on.

Zaledwie słowa te dotarły do uszu starej Tison, natych-

miast twarz jej się zmieniła, podniosła się na jedno kolano i rozpostarła ręce, aby zamknąć drogę królowej.

- Wielki Boże! - szepnęła Maria Antonina, która również usłyszała straszną wiadomość.

- Skazana na śmierć! - zawołała matka. - Moja córka skazana! Moja Heloiza zgubiona! Więc on jej nie ocalił, on jej ocalić nie może! Już za późno!... Ach!-..

- Nieszczęśliwa kobieto - rzekła królowa - wierz mi, że mi cię bardzo żal.

- Ty? - rzekła stara i oczy jej krwią nabiegły. - Ty mnie żałujesz? Nie, nie!

- Mylisz się, z całego serca cię żałuję. Ale przepuść mnie.

- Ja cię mam przepuścić? - Stara Tison wybuchła śmiechem. - Nie! nie! Chciałam pozwolić ci uciec, bo on mi powiedział, że jeżeli poproszę cię o przebaczenie, jeżeli pozwolę ci uciec, moja córka będzie ocalona. Ale kiedy córkę moją skazano, kiedy córka moja ma umrzeć, ty nie uciekniesz.

- Do mnie, panowie, na pomoc! - zawołała królowa. -

O Boże! Boże! Widzicie przecież, że ta kobieta jest szalona.

- Nie, jam nie szalona, nie, ja wiem, co mówię... - zawołała stara Tison. - Spisek miał istotnie miejsce i Simon go odkrył. Moja córka, moja biedna córka sprzedała bukiet i wyznała to przed trybunałem rewolucyjnym. Sprzedała bukiet goździków, w którym były papierki.

- Pani - rzekła królowa - przez miłość Boga!
Usłyszano znowu głos woźnego, który krzyczał:

- Oto wyrok skazujący na śmierć Heloizę Tison za uknućie spisku!

- Czy słyszysz? - krzyknęła szalona, koło której skupili się narodowi gwardziści. - Czy słyszysz?... Skazana na śmierć... przez ciebie... tak... przez ciebie zabijają rójkę córkę... Czy słyszysz? To przez ciebie, Awstriaćko!

.537

- Panowie - rzekła królowa - w imię nieba, jeżeli nie chcecie uwolnić mnie od tej nieszczęśliwej, pozwólcie, niech wrócę na górę. Nie mogę znieść wyrzutów tej kobiety, bo chociaż są niesłuszne, rozdzierają mi serce.

Powiedziawszy to, królowa odwróciła głowę i łzy tryśnęły jej z oczu.

- Płacz, płacz, obłudnico! - zawołała szalona. - Twój bukiet drogo ją kosztuje... Zresztą mogła się tego spodziewać, bo taką śmiercią giną wszyscy, którzy ci służą. Ty każdemu przynosisz nieszczęście, Awstriaćko! Pozabijano twoich przyjaciół, twego męża, twych obrońców, a teraz zabijają moją córkę! Kiedyż cię zabiją nareszcie, aby już nikt nie umierał przez ciebie?

Ostatnim słowom nieszczęśliwej towarzyszył okropny jęk i ruch ręki pełen groźby.

Królowa ukryła twarz w dłoniach.

- Nieszczęśliwa! - odezwała się księżniczka Elżbieta. - Zapominasz, że mówisz do królowej!

- Królowa?... Ona... królowa? - powtórzyła stara Tison, której obłąkanie zdawało się wzrastać z każdą chwilą. - Jeżeli jest królową, to niech zabroni podłym katom zabijać moje dziecko... niech ułaskawi moją biedną Heloizę, bo królowie ułaskawiają... No, zwróć mi moje dziecko, to cię uznam za królową, inaczej będziesz tylko kobietą przynoszącą nieszczęście! Kobieta, która zabija!

- Przez litość! - zawołała Maria Antonina. - Patrz na me cierpienie, patrz na me łzy!

I znowu usiłowała przejść obok nieszczęśliwej kobiety już nie w nadziei ucieczki, ale zupełnie odruchowo, aby ominąć przerażającą przeszkodę.

- Nie przejdiesz! - ryknęła stara. - Chcesz uciekać, pani Weto... Wiem, człowiek w płaszczu mówił mi o tym, ale nie ujdiesz - dodała czepiając się sukni królowej. - Ja cię nie puszczę, ja... Do broni, obywatele!... Do broni!...

I z wyciągniętą ręką, rozczochranymi, siwymi włosami,

229

r

czerveną twarzą, oczami nabiegłymi krwią - upadła, rozdzierając suknię, której poprzednio się uczepiła.

Królowa, nieprzytomna prawie, ale oswobodzona z rak szalonej, miała już wymknąć się w stronę ogrodu, gdy nagle okropny hałas i szczekanie psa oraz dziwny zgiełk wyrwały z osłupienia narodowych gwardzistów.

- Do broni! Do broni! Zdrada! - wołał jakiś mężczyzna, którego królowa poznała po głosie. Był to Simon.

Obok człowieka, który z szablą w ręku bronił przystępu do chatki, mały Black czekał zajadle.

- Do broni! Cały posterunek do broni! - wrzeszc?

Simon. - Jesteśmy zdradzeni! Odprowadźcie Austriaczki;
z powrotem na wieżę. Do broni! Do broni!

Przybiegł oficer. Simon coś mu powiedział i z roziskrzonym wzrokiem wskazał ręką na chatkę. Oficer krzyknął także:

- Do broni!

- Black, Black! - wołała królowa, postępując kilka
kroków naprzód.

Ale piesek nie słuchał, lecz ciągle szczekał zajadle.
Narodowi gwardziści chwycili za broń i rzucili się do
chatki. Tymczasem strażnicy obstarali królową, księżniczkę
Elżbietę i córkę, i zmusili do cofnięcia się za drzwi, które
się natychmiast zamknęły.

- Gotuj broń! - wołali gwardziści do strażników.
Natychmiast usłyszano szczęk nabijanej broni.

- Tam, tam, pod klapą! - wrzeszczał Simon. - Wi-
działem, jak się kłapa ruszała, jestem tego pewny. A nad-
to poczciwy piesek Austriaczki, nie należący zapewne do
spisku, szczekał na spiskowców znajdujących się prawdo-
podobnie w piwnicy. O, patrzcie, patrzcie, znowu szczeka!

Rzeczywiście Black, podniecony wołaniem Simona, szcze-
kał coraz zajadlej.

Oficer chwycił kółko u klapy, a dwaj najsilniejsi gre-

?39

nadierzy, widząc, że sam nie może sobie poradzić, pomogli
mu, lecz bez skutku.'

- Widzicie, przytrzymują klapę! - zawołał Simon. -
Przytknąć ogień do klapy! Przyjaciele, ognia!

- Ej! - zawołała wdowa Plumeau. - Potłuczecie mi
butelki.

- Ognia! - powtórzył Simon. - Ognia!

- Milcz, krzykaczu! - zawołał oficer. - A wy dajcie siekiery i rąbce podłogę. Niech cały pluton będzie gotowy. Bacność! Ognia do piwnicy, jak tylko będzie otwarta.

Po nagłym drgnięciu desek od klapy piwnicy narodowi gwardziści poznali, że pod spodem istotnie ktoś się ukrywał. Wkrótce usłyszano też jakiś łoskot, podobny do pchnięcia żelaznej zasuwki.

- Odwagi! - krzyknął oficer do nadbiegłych saperów.

Rozrąbano deski. Dwadzieścia luf karabinowych zniżyło się do otworu.

Ale nie dostrzeżono nikogo.

Oficer zapalił pochodnię i wrzucił ją do piwnicy. Piwnica była pusta.

- Za mną! - zawołał oficer, schodząc śmiało do piwnicy.

- Naprzód! Naprzód! - wołali narodowi gwardziści, podążając za oficerem.

- O, matko Plumeau - zawołał Simon - pożyczasz swojej piwnicy arystokratom.

Mur był przebity. Na wilgotnym gruncie znać było ślady ludzkich stóp. Przejście na trzy stopy szerokie i wysokie na pięć stóp biegło na kształt kanału w kierunku ulicy Corde.rie.

Oficer zagłębił się w otwór w zamiarze ścigania arystokratów nawet pod ziemią, ale zaledwie postąpił kilka kroków, zatrzymała go żelazna krata.

- Stanąć! - zawołał do napierających nań z tyłu. - Nie można iść dalej, jest przeszkoda.

- T cóż? - pytali gwardziści, którzy zamknąwszy uwięzione, przybiegli dowiedzieć się, co się stało.

- Spisek - odpowiedział wracający oficer. - Arystokraci chcieli porwać królową podczas jej przechadzki. Musiała zapewne być z nimi w zмовie.

- Trzeba posłać po obywatela Santerre'a i uprzedzić Gminę.

- Żołnierze! - rzekł oficer. - Zostańcie w piwnicy i strzelajcie do każdego, kto tylko się pokaże! Wydawszy ten rozkaz, pośpieszył napisać raport.

- Aha, aha! - wołał Simon, zacierając ręce. - Teraz już nie powiedzą, -Teem głupi. Dzielny Blaeku, wyborny z ciebie patriota! Tyś ocalił Republikę. Chodź, Black, chodź tu!

I nikczemny szewc zrobił słodką minę do pieska, a gdy psina podbiegła ku niemu, uderzył ją nogą tak, iż biedne stworzenie poleciało o dwadzieścia kroków.

- O, ja cię kocham, Black - powiedział. - Kiedyś poprowadzisz swoją panią na rusztowanie. Chodź tu, Black, chodź tu!

Ale teraz Black nie usłuchał. Wyjął, pobiegł w stronę wieży.

KONIEC TOMU I

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział

Rozdział"

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Roz-dział

Rozdział

Roadział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

Rozdział

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

x

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

xxv

XXVI

OCHOTNICY 5

NIEZNAJOMA 15

ULICA FOSSES-SAINT-VICTOB 22

ÓWCZESNE ZWYCZAJE 30

KTO TO BYŁ. OBYWATEL WAURYCY LINDEY 39

TEMPLE 43

PRZYSIĘGA GRACZA 53

GENOWEFA 62

WIECZERZA 72

SZEWEC SUMOM 82

LIST 91

MIŁOŚĆ 100

TRZYDZIESTY PIERWSZY MAJA . . . 123

POŚWIĘCENIE 134

BOGINI ROZUMU 142

SYN MARNOTRAWNY 147

SAPERZY 153

CHMURY 163

PROŚBA 1'(1

•KWIACIARKA 179

PĄSOWY GOŹDZIK 185

KIMON OSKARŻYCIEL 191

BOGINI ROZUMU 197

MATKA I CÓRKA 204

LIST 212

3LACK 222

J-----^

ALEKSANDER
DUMAS

kawaler
de Maison-Rouee

t.i

lfy(l«wmctwe Łódzkie \
^-----^.

ALEKSANDER
DUMAS

kawaler
de Maison-Rouge

ri t.2

Hydairmctwo Łódzkie

^ _____ ^

Tytuł oryginału
LE CHEVALIER DE MAISON-ROUGE

ELEGANT

Adaptacja

M. B. SEKELY

na podstawie tłumaczenia w wydaniu

JÓZEFA SLIWOWSKIEGO
(Warszawa 1890)

Okładkę i stronę tytułową projektował

JERZY SOWINSKI

W dwie godziny po zejściu dopiero co opowiedzianym Lorin przechadzał się po pokoju Maurycego, Scewola zaś czyścił panu buty w przedpokoju. Aby móc swobodnie rozmawiać, pozostawili uchylone drzwi. Lorin, ilekroć zbliżał się do nich, tyle razy pytał oficjalistę:

- Powiadasz zatem, obywatelu, że twój pan wyszedł dziś rano?

- O mój Boże, tak.

- O tej porze, co zawsze?

- Może kilka minut wcześniej, a może kilka później, nie mogę dokładnie powiedzieć.

- I nie widziałeś go dotąd?

- Nie widziałem, obywatelu.

Lorin, znowu milcząc, przeszedł się kilka razy po pokoju, a potem stanął.

- Czy wziął z sobą szablę? - zapytał.

- Zawsze ją bierze, gdy idzie do sekcji.

- A czy pewny jesteś, że poszedł do sekcji?

- Tak mi przynajmniej powiedział.

- W takim razie pójdę do niego - rzekł Lorin. - Gdybyśmy się minęli, powiesz, że byłem i że wrócę.

- Poczekaj, obywatelu - rzekł Scewola.

- Co?

- Słyszę go na schodach.

- Tak sądzisz?

- Jestem tego pewny.

Rzeczywiście, prawie w tej samej chwili drzwi otworzyły się i wszedł Maurycy. . . '

Lorin rzucił nań szybkie spojrzenie, a nie widząc na je-

go twarzy nic, co mogłoby wzbudzić niepokój, rzekł:

- Jesteś w końcu! Czekam na ciebie od dwóch godzin.

- Tym lepiej - odpowiedział z uśmiechem Maurycy. - Miałeś czas przygotować się do nowych dystychów i czterowierszy.

- Nie, mój kochany - odpowiedział improwizator - już tego zupełnie zaniechałem.

. - Jak to, zaniechałeś swoich wierszy?

- Tak.

- To chyba koniec świata.

-Maurycy, przyjacielu, jestem bardzo smutny!

- Smutny?

- Nieszczęśliwy!

- Nieszczęśliwy?

- Cóż chcesz, dręczą mnie wyrzuty sumienia.

- Wyrzuty?

- Tak jest - rzekł Lorin. - Ty albo ona, mój kochany, prócz was nie było nikogo. Ty albo ona, rozumiesz, żem się nie wahał. Ale, widzisz, Artemiza jest w rozpacz, bo to była jej przyjaciółka.

- Biedna dziewczyna!

- Dała mi jej adres...

- Byłbyś lepiej uczynił, gdybyś zostawił wszystko naturalnemu biegowi rzeczy.

- Tak... i zamiast niej ty byś został skazany! A ja, idąc do ciebie, aby cię prosić o radę, sądziłem, że jesteś silniejszy...

- No, zobaczymy, mniejsza z tym. Mów, słucham cię.

- A więc rozumiesz? Chciałbym spróbować, czy nie uda mi się ocalić tej biedaczki. Gdybym dostał za nią dobrze po karku, zdaje mi się, że byłoby mi lżej na sercu.

- Szalony chyba jesteś, Lorin - powiedział Maurycy wzruszając ramionami.

- No, a gdybym udał się z prośbą do trybunału rewolucyjnego?

- Za późno, już ją skazano.

- To okropna rzecz śmierć takiej młodej dziewczyny.

- Tym okropniejsza, że oddaje życie za moje ocalenie. Ale powinniśmy pocieszać się tym, że istotnie uknęła spisek.

- Ech, a czy my w mniejszym lub większym stopniu nie knujemy wszyscy spisków? I ona, biedaczka, postąpiła tak jak wszyscy!

- Nie żałuj jej zanadto, mój przyjacielu, a przede wszystkim nie żałuj jej za głośno - rzekł Maurycy - bo i na nas ciąży część jej winy. Wierzaj mi, jeszcze nie zmyliśmy plamy, jaką nas skalało oskarżenie o zмовę z tą dziewczyną. Dziś w sekcji kapitan strzelców z Sañt-Leu nazwał mnie żyrondystą, i już, już chciałem go przebić szpadą, aby przekonać go, że się myli.

- Dlatego więc wróciłeś tak późno!

- Właśnie dlatego.

- Czemu mnie o tym nie uprzedziłeś?

- Bo w tego rodzaju wypadkach nie umiesz panować nad sobą. Musiałem całą rzecz natychmiast załatwić, aby nie nabrała rozgłosu. Wzięliśmy świadków, których mieliśmy pod ręką.

- I ta bestia nazwała cię żyrondystą, ciebie, Maurycy?

- Niechże cię to przekona, mój kochany, że każda taka awanturka czyni nas niepopularnymi. W dzisiejszych czasach kto jest niepopularny, ten jest podejrzany.

- Wiem - powiedział Lorin - na dźwięk tego słowa drżą nawet najbardziej odważni, ale mniejsza o to! Wzdrygam się na myśl, że Heloiza pójdzie na szafot, a ja nie uzyskam od niej przebaczenia. H

- Mówże więc, czego żadasz?

- Chcę, abyś pozostał w domu, nie masz sobie przecie nic do wyrzucenia, ja zaś, jeżeli już nic dla niej uczynić nie mogę, pójdę i stanę tam, gdzie ona będzie przechodziła. Muszę to koniecznie uczynić, kochany Maurycy, muszę przynajmniej uścisnąć jej rękę.

- Ja pójdę z tobą - rzekł Maurycy.

- Niepodobna, mój przyjacielu, jesteś gwardzistą, jesteś sekretarzem sekcji, byłeś zamieszany w tę sprawę, kiedy ja, przeciwnie, byłem tylko twoim obrońcą. Na ciebie padnie podejrzenie i będzie bieda. Ze mną. jest zupełnie inaczej, ja nic nie ryzykuję, więc idę.

Wszystko, co powiedział Lorin, było słuszne i nie wymagało żadnej odpowiedzi. Maurycy samym tylko spojrzeniem na Heloizę Tison, idącą na rusztowanie, dowiodłby swe,) winy.

- Idź więc - rzekł - ale bądź ostrożny.

Lorin uśmiechnął się, pożegnał Maurycę i wyszedł. Maurycy otworzył okno i smutno kiwał mu ręką na pożegnanie. Lorin, zanim minął-róg ulicy, przystawał, ogładał się i ciągle, powodowany jakąś nieodpartą sympatią, patrzył i uśmiechał się.

Gdy znikł za rogiem bulwaru, Maurycy zamknął okno, rzucił się na fotel i ogarnęło go odrętwienie, które u ludzi silnego charakteru i konstrukcji fizycznej stanowi często przecucie wielkich nieszczęść, podobne jest bowiem do ciszy, poprzedzającej burzę.

Z tego odrętwienia wyrwał go dopiero oficjalista, który powrócił z miasta z wesołą miną, co znaczyło, że pała niecierpliwością opowiedzenia panu nowin, jakie usłyszał przed chwilą.

Widząc, że Maurycy jest zamyślony, nie chciał mu przeszkadzać i przeszedł koło niego kilka razy.

- Czego chcesz? - zapytał niedbale Maurycy. - Mów, jeśli masz coś do powiedzenia.

- O, obywatelu, odkryto znowu spisek. Maurycy wzruszył ramionami.

- Spisek, na wspomnienie którego włosy stają na głowie - mówił dalej Scewola.

- Doprawdy? - odpowiedział Maurycy spokojnie, jak

człowiek, który słyszał o trzydziestu przynajmniej spis-
kach na dzień.

- Tak, obywatelu - odrzekł Scewola - aż człowiek
truchleje ze strachu! Na samo wspomnienie dreszcz prze-
muje prawdziwego patriotę.

- Cóż to znowu za spiszek? - zapytał Maurycy.

- Austriaczka o mały włos me uciekła.

- Ba! - rzekł Maurycy, zaczynając pilniej słuchać.

- Zdaje się - ciągnął dalej Scewola - że wdowa Ca-
pet miała stosunki z Heloizą Tison, która dziś ma być
zgilotynowana. Ale nie wykradła jej, nieszczęśliwa.

- A jakież stosunki miała królowa z tą dziewczyną? -
spytał Maurycy, czując, że nau pot występuje na czoło.

- Wyobraź sobie, obywatelu, że jej w kwiatku, w goź-
dziku, przesłano cały plan wykradzenia.

- W goździku!... I któż to taki?

- Kawaler de... Czekaj no, obywatelu... Oj, dobrze zna-
ne nazwisko... ale ja zawsze zapominam... Kawaler z ja-
kiegoś zamku... Oj, jaki ja głupi, już teraz przecież nie
ma zamków... Kawaler...

- De Maison-Rouge.

- Tak! tak!

- Niemożliwe!

- Jak to, niemożliwe? Przecież odkryto klapę prowa-
dzącą do piwnicy, kraty...

- Nic jeszcze o tym nie mówiłeś.

- No, to powiem.

- Mów. Jeżeli to bajka, to przyznać należy, że ciekawa.

- Nie, obywatelu, to nie bajka, to prawda najszczerza,
bo mi ją opowiadał obywatel odźwierny. Arystokraci wy-

kopali tunel, ciągnący się od ulicy Corderie aż do piwnicy
pod chatką obywatelki Plumeau, którą o mało co nie po-

sądzono o współudział w spisku. Znasz przecie obywatelkę Plumeau?

- Znam - rzekł Maurycy. - Ale cóż dalej?

- Wdowa Capet miała uciec tym podziemiem. Już nawet stanęła na pierwszym schodku. Wtem obywatel Simon schwycił ją za suknię... Słuchaj, biją na alarm w całym mieście i wzywają do stawienia się w sekcjach. Słyszysz ten bęben, obywatelu? Mówią, że Prusacy są w Dammartin, że ich zwiad dotarł już do rogatki.

Wśród tej lawiny wiadomości prawdziwych, fałszywych i niedorzecznych Maurycy uchwycił prawdziwe nici prowadzące do kłębka. Przyczyną wszystkiego był ów goździk podany królowej w jego oczach, a kupiony przez niego u nieszczęśliwej kwiaciarki. Goździk zawierał cały plan spisku, o którym opowiedział Scewola.

W tejże chwili odgłos bębna przybliżył się i Maurycy usłyszał, jak wołano na ulicy:

- Wielki spisek odkryty w Tempie przez obywatela Simon! Wielki spisek dla uratowania wdowy Capet odkryto w Tempie!

- Tak - rzekł Maurycy - widzę, że to wszystko prawda. A Lorin wśród takiego podniecenia tłumów poda może rękę tej dziewczynie! O, nieszczęśliwy, rozsiekają go na kawałki!

Maurycy porwał kapelusz, zapiął pasek, przy którym umocowana była szabla, i w kilku susach znalazł się na ulicy.

„Gdzie on może być? - zapytał sam siebie. - Zapewne poszedł do Conciergerie.”

I pobiegł wzdłuż bulwaru.

Na końcu bulwaru Megisserie ujrzał bagnety i dzidy, wystające spośród licznego tłumu. Wydało mu się, że poznaje w tej ciżbie mundur narodowego gwardzisty. Po-

10

biegł ze ściśniętym sercem ku rzeszy ludzi, zalegającej brzeg rzeki.

Gwardzistą, na którego napierał tłum marsylian, był

Lorin, blady, z zaciśniętymi zębami, groźnym spojrzeniem, z ręką wspartą na rękojeści szabli, upatrujący z miejsca na ciosy, które chciał zadawać.

O parę kroków od niego stał Simon i z okrutnym uśmiechem wskazywał na Lorina marsylianom i tłumowi, mówiąc:

- Patrzcie! Patrzcie! Widzicie?... Jest to jeden z arystokratów, którego wczoraj kazałem wypędzić z Tempie. Jest to jeden z tych, którzy noszą listy w kwiatkach. Jest to wspólnik młodej Tison, którą zaraz tędy będą prowadzić. Cóż, widzicie go, jak spokojnie przechadza się po bulwarze. A może nawet to nie jego współniczka, może to jego kochanka, przychodzi więc ją pożegnać albo może ocalić!

Lorin nie mógł dłużej spokojnie słuchać. Wydobył szablę z pochwy.

W tej samej chwili tłum się rozstał, dając przejście mężczyźnie, który się gwałtem przedzierał i przewrócił już kilku ludzi.

Człowiekiem tym był Maurycy. Dotarłszy do Lorina, zarzucił mu lewą rękę na szyję.

- Szczęście ci sprzyja, Simon - odezwał się Maurycy. - Ubolewałeś zapewne, że mnie tu nie było obok przyjaciela, abyś mógł uprawiać rzemiosło denuncjatora na wielką skalę. Denuncjuj, Simon, denuncjuj, patrz, ja tu jestem!...

- A tak, na honor, tak - rzekł Simon z ohydnyim szyderstwem - w sam czas przychodzisz. Oto jest piękny Maurycy Lindey, którego oskarżono wraz z młodą Tison, ale się z tego wykręcił, bo ma pieniądze...

- Na latarnię! Na latarnię! - krzyknęli marsylianie.

-- No, no, tylko spróbujcie - rzekł Maurycy.

11

' I postąpiwszy naprzód, jakby dla próby pchnął w czoło jednego z najzagorzalszych marsylian, tak że krew zalała mu oczy.

: - Zabójca! - wrzasnął skaleczony.

Marsylianie opuścili dzidy, podnieśli topory, nabili ka-

rabiny. Przerażony tłum usunął się, a dwaj przyjaciele zostali wystawieni na krzyżowy ogień i na zabójcze ciosy.

Rzucili na siebie ostatnie spojrzenie, bo sądzili, że pochłonie ich żelazo i ogień, otaczające zewsząd.

Wtem otworzyła się brama domu, o którą byli oparci, i gromada młodzieży, zwanej elegantami, uzbrojonej w szable i pistolety, wpadła na marsylian i rozpoczęła straszliwą utarczkę.

- Hurra! - krzyknęli razem Lorin i Maurycy, ożywie- ni nagłą nadzieją ocalenia, niepomni, że walcząc w szeregach nowo przybyłych, potwierdzają oskarżenie Simona. - Hurra!

Jeżeli jednak nie myśleli przedtem o swym ocaleniu, kto inny o tym pamiętał. Niski, dwudziestopięcio- lub dwudziestosexletni młodzieniec, o niebieskich, ruchliwych oczach, ze zręcznością i zapalem uderzał ciężką saperską szablą, której, zdawało się, jego kobieca ręka unieść nie zdoła. Widząc, że Maurycy i Lorin, zamiast uciekać przez drzwi, które jakby naumyślnie pozostawił otwarte, walczą przy jego boku, odwrócił się ku nim i rzekł po cichu:

- Uciekajcie tymi drzwiami. To, co tu robimy, nie dotyczy was. Niepotrzebnie rzucacie na siebie podejrzenie. Widząc, że obaj przyjaciele wahają się, krzyknął do

Maurycyego:

- Na bok! Dla patriotów nie ma tu miejsca! Obywateli! Lindey, my jesteśmy arystokraci.

Usłyszawszy to i widząc człowieka, który w owej epoce śmiał nadawać sobie miano, równające się skazaniu siebie na śmierć, tłum wydał przeraźliwy okrzyk.

Ale jasnowłosy młodzieniec i jego przyjaciele, nie prze-

12

rażeni bynajmniej tym wrzaskiem, wepchnęli Maurycyego i Lorina do bramy, którą natychmiast za nimi zamknęli, a potem wpadli znowu pomiędzy tłum, który w międzyczasie się powiększył.

Maurycy i Lorin, cudownie ocaleni, spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

Od razu jednak zrozumieli, że nie mają czasu do stracenia i zaczęli szukać wyjścia.

Wyjście jakby umyślnie było dla nich przygotowane. Weszli na jakiś dziedziniec, w końcu którego znaleźli małe drzwi, prowadzące na ulicę Saint-Gennain-l'Auxerrois.

W tej chwili z mostu Change wyruszył oddział żandarmerii, który wkrótce rozproszył tłum na bulwarze, ale na ulicy, gdzie znajdowali się nasi dwaj przyjaciele, słychać jeszcze było odgłos zajadłej walki.

Żandarmi poprzedzali wóz, na którym wieziono biedną Heloizę na gilotynę.

- Galopem! - krzyknął jakiś głos. - Galopem!
Wóz rzeczywiście ruszył galopem. Lorin spostrzegł, że nieszczęśliwa dziewczyna stała uśmiechając się i dumnie patrząc naokoło. Nie mógł zamienić z nią nawet spojrzenia. Przejechała, nie widząc go wśród wrzeszczącego tłumu.

- Śmierć arystokratom! Śmierć!

Krzyki oddalały się w stronę Tuileries.

Jednocześnie otworzyły się małe drzwi, przez które wyszli Maurycy i Lorin, i wbiegło kilku elegantów w podartych i poszarpanych ubraniach. Zapewne tylu tylko pozostało z małej grupy.

Jasnowłosy młodzieniec szedł ostatni.

- Niestety! - rzekł. - Ta sprawa chyba jest przekłeta!

1 cisnawszy wyszczerbiony pałasz, pobiegł ku ulicy Landieres.

13

KAWALER DE MAISON-ROUGE

Maurycy spiesznie wrócił -do domu, aby napisać skargę przeciwko Simonowi.

Prawda, że Lorin, zanim pożegnał się z Maurycym, znalazł dogodniejszy sposób dla zapewnienia sobie zadośćuczynienia. Radził mu, aby zebrał kilku członków klubu

Termopile, czatował na Simona, gdy wyjdzie z Tempie, I zabił go w walce, choćby miała być najbardziej zacięta.

Ale Maurycy plan ten odrzucił.

- Zginiesz, jeżeli użyjesz gwałtu - rzekł doń. - Zniszczmy go, ale zgodnie z prawem. Będzie to dla nas rzeczą łatwą.

Nazajutrz Maurycy udał się z rana do sekcji i wniósł skargę.

Zdziwił się jednak bardzo, gdy prezes nie zrobił z niej użytku, wymawiając się, że nie może mieszać się w sprawę dwóch obywateli, ożywionych miłością kraju.

- Dobrze - rzekł na to Maurycy - wier- teraz, co wypada czynić, aby zasłużyć na tytuł dobrego obywatela. Zgromadzić lud i zabijać każdego, kto się wam nie podoba! I ty to nazywasz, obywatelu, miłością ojczyzny?... Ha, kiedy tak, podzielam teraz zdanie Lorina, które uważałem za niesłuszne. Odtąd dowodzić będę mego patriotyzmu tak, jak ty to pojmujesz, obywatelu, a zacznę od Simona.

- Obywatelu Maurycy - odrzekł prezes - w tej sprawie Simon mniej zawinił niż ty. Wykrył on spisek, chociaż sprawowane przez niego funkcje nie nakazywały mu tego Ty nic nie widziałeś tam, gdzieś powinien był widzieć, choć nakazywały ci to obowiązki z tytułu twego urzędu. Co więcej, masz przypadkowe lub rozmyślne może stosunki z nieprzyjaciółmi narodu, jakkolwiek nie wiemy o tym z całą pewnością.

14

- Ja?... - rzekł Maurycy. - Oto znowu coś nowego! A z kimże to mianowicie, obywatela prezesie?

- Z obywatelem Maison-Rouge.

- Ja?... - zawołał Maurycy zdumiony. - Ja mam stosunki z kawalerem de Maison-Rouge? Ja go nie znam, ja z nim nigdy nie...

- Widziano, żeś z nim mówił.

-- Ja?

- Tak jest.

- Kiedyż to? Gdzie? Kłamiesz, obywatelu prezesie! - dodał Maurycy, głęboko przekonany o swej niewinności.

- Twoja gorliwość dla spraw kraju - rzekł prezes - prowadzi cię zbyt daleko, obywatelu Maurycy. Za chwilę pożałujesz tego, co powiedziałeś, skoro ci dowiodę, że mówiłem czystą prawdę. Oto trzy różne oskarżające cię raporty.

- Ależ! - przerwał Maurycy. - Czy sądzisz, obywatelu, że jest na tyle głupi, iż wierzę w twego kawalera de Maison-Rouge?

- A dlaczegoż byś nie miał wierzyć?

- Ponieważ zawsze straszycie tym widmem wicherzyciela, aby móc z nim identyfikować swych nieprzyjaciół.

- Czytaj oskarżenie.

- Nie będę go czytał - odparł Maurycy. - Zaprzeczam, żebym miał kiedykolwiek widzieć kawalera de Maison-Rouge, żebym miał z nim kiedykolwiek rozmawiać. A kto nie zechce wierzyć memu słowu honoru, niech przyjdzie i mi to powie, a już będę wiedział, jak się z nim rozprawić.

Prezes wzruszył ramionami, Maurycy, nie chcąc być dłużny, uczynił to samo.

Po posiedzeniu prezes, który jako dobry patriota powołany został przez współobywateli na zwierzchnika okręgu, zbliżył się do Maurycyego i rzekł doń:

- Pójdź ze mną, Maurycy, mam ci coś do powiedzenia.

15

Maurycy udał się za prezesem, który go zaprowadził do gabinetu obok sali posiedzeń.

Tam spojrział mu w oczy i położywszy mu rękę na ramieniu, rzekł:

- Maurycy, znałem i poważałem twego ojca, dlatego też i ciebie poważam i lubię. Wierz mi, że narażasz się na wielkie niebezpieczeństwo przez brak wiary, który pro-

wadzi do upadku najbardziej rewolucyjne umysły. Mój przyjacielu, kto traci wiarę, traci i godność. Nie wierzysz w nieprzyjaciół ludu, przechodzisz koło nich, nie widząc Ich, i mimo woli stajesz się narzędziem w ich ręku.

- Co, u diabła, obywatelu! - odparł Maurycy- - Znam siebie, jestem patriotą pełnym odwagi i gorliwości dla sprawy, lecz ta gorliwość nie zaślepia mnie, patriotyzm nie czyni mnie fanatykiem! Republika określa tym samym mianem dwadzieścia mniemanych spisków. Niech mi pokażą choć jeden z nich!

- Nie wierzysz w spiski - przerwał prezes - a więc nie wierzysz w pąsowy goździk, za który zgilotynowano wczoraj młodą Tison.

Maurycy zadrżał.

v

- Nie wierzysz w podziemie pod ogrodem w Tempie, łączące piwnicę obywatelki Plumeau z pewnym domem przy ulicy Corderie?

- Nie - odrzekł Maurycy.

- Więc pójdz jak niewierny Tomasz i zobacz.

- Nie jestem na służbie w Tempie, więc może mnie tam nie wpuszczą.

- Teraz już wszystkim wolno tam wchodzić.

- A to dlaczego?

- Przeczytaj raport, kiedy mi nie wierzysz. Widzę, że odtąd trzeba ci pokazywać tylko dowody urzędowe.

- Jak to? - zapytał Maurycy, czytając raport. - Więc

aż do tego doszło?

- Czytaj dalej.

16

- Przenoszą królową do Conciergerie!

- I cóż... - spytał prezes.

- O! - wykrzyknął Maurycy.

- Sądziś więc, że Komitet Ocalenia Publicznego postępuje tak na zasadzie urojeń, czczej gadaniny, jak powiadasz?

- Różne bywają pobudki postępowania...

- Czytaj do końca - rzekł prezes.
I podał mu ostatnią kartkę.

- Nominacja Richarda na naczelnika więzienia Conciergerie! - zawołał Maurycy.

- Królowa jest tam już od dwóch godzin.
Maurycy zamyślił się głęboko.

- Wiesz o tym - mówił dalej prezes - że Gmina działa z głębokim namysłem, oblicza wszystko, a gdy coś przedsięwzięmie, nie robi tego na żarty. Przeczytaj tajne doniesienie ministra policji.

Maurycy czytał:

„Będąc głęboko przekonany, że były kawaler de Maison-Rouge znajduje się w Paryżu, że był widziany w rozmaitych miejscach, że pozostawił ślady swojej bytności w zawiązaniu szeregu spisków, na szczęście wykrytych, upraszam wszystkich przełożonych sekcji o podwojenie czujności...”

- I cóż? •- zagadnął prezes.

- Muszę ci wierzyć, obywatelu prezesie! - zawołał Maurycy i czytał dalej:

„Rysopis kawalera de Maison-Rouge: pięć stóp i trzy cale wysokości, włosy blond, oczy niebieskie, nos prosty, broda ciemnoblond, głos miły, ręce małe... wiek trzydziści pięć lub trzydziści sześć lat.”

Przy czytaniu tego rysopisu wspomnienie jak błyskawica przemknęło przez umysł Maurycyego: przypomniał sobie owego młodzieńca, który dowodził elegantami, który wczoraj, natarłszy na marsylian, uratował jego i Lorina.

- A. D u mas

1T

„Boże! - pomyślał Maurycy. - Czyżby to był on? Więc oskarżenie, za widziano mnie, jak z nim rozmawiałem, nie byłoby fałszywe. Nie przypominam sobie jednak, abym mu uścisnął rękę.”

- I cóż, Maurycy - spytał prezes - cóż teraz na to ;

powiesz?

- Powiem, że wierzę ci, obywatelu - odrzekł Maurycy i pogrążył się w smutnej zadumie.

- Nie narażaj tak swojej popularności, mój Maurycy - | mówił dalej prezes. - Dziś popularność stanowi o życiu, i Strzeż się niepopularności. Rzucono na ciebie podejrzenie o zdradę, a obywatela Maurycygo Lindey nikt o nią nie powinien posądzić.

Maurycy nie mógł nic zarzucić pogładowi, który sam podzielał. Podziękował staremu przyjacielowi i wyszedł 'z sekcji.

- A! - rzekł z westchnieniem. - Odpocznijmy nieco, dosyć już tych podejrzeń i walk. Chodźmy cieszyć się wypoczynkiem, niewinnością i radością. Chodźmy do Genowefy.

I udał się na starą ulicę Saint-Jacques.

Gdy przybył do garbarza, Dixmer i Morand uspokajali Genowefę, która dostała ataku nerwowego.

Wbrew zwyczajowi służący nie chciał go wpuścić.

- Powiedz, że przyszedłem - rzekł zaniepokojony Maurycy - a jeżeli Dixmer nie będzie mógł mnie przyjąć, odejdę natychmiast.

Służący udał się do małego pawilonu, Maurycy zaś pozostał w ogrodzie.

Wydało mu się, że musiało zajść w tym domu coś niezwykłego. Rzemieślnicy, porzuciwszy robotę, niespokojnie przebiegali ogród tam i z powrotem.

Sam Dixmer podszedł do drzwi.

- Chodź - rzekł - chodź, kochany Maurycy, ty nie należysz do tych, przed którymi zamykamy drzwi.

- Cóż się stało? - spytał młodzieniec.

- Genowefa jest cierpiąca - rzekł Dixmer - a nawet bardziej niż cierpiąca, bo wpadła nagle w malignę.

- O mój Boże! - zawołał młodzieniec, bolejąc, że i tu znalazł zamieszanie i cierpienie. - Cóż jej się stało?

- Wiesz, mój drogi, że nikt nie zna się na chorobach kobiecych, nawet mąż - odpowiedział Dixmer.

Genowefa leżała na szezlongu. Przy niej stał Morand, podając trzeźwiące sole.

- I cóż? - spytał Dixmer.

- Ciągle to samo - rzekł Morand.

- Heloizo, Heloizo - szepnęła młoda kobieta przez zaciśnięte zęby. ^

- Heloizo? - powtórzył zdziwiony Maurycy.

- A tak! - żywo podchwycił Dixmer. - Niestety chciało, że Genowefa wyszła wczoraj i widziała, jak wieszono nieszczęśliwą Tison na gilotynę. Od tej pory miała już kilka ataków nerwowych i ciągle powtarza to imię.

- Złamało ją to mianowicie - dodał Morand - że w tej dziewczynie poznała kwaciarkę, która sprzedała jej goździki... Wiesz które...

- O wiem, bo przed chwilą z tego powodu o mało nie ucięto mi głowy.

- I myśmy wiedzieli o tym, kochany Pilaurycy, i wierzej, że okropnie byliśmy przerażeni. Ale Morand był na posiedzeniu i widział, żeś wyszedł wolny.

- Cicho - rzekł Maurycy - zdaje mi się, że ona znowu coś mówi.

- O, jakieś niezrozumiałe, urywane słowa - wtrącił Dixmer.

- Maurycy - szepnęła Genowefa - zabiją Maurycego. Spiesz się, kawalerze, śpiesz...

Po tych kilku słowach nastąpiło głębokie milczenie.

- Maison-Rouge - szepnęła Genowefa - Maison-Rouge!
Podejrzanie jak błyskawica przebiegło Maurycemu przez

19

głowę, lecz była to tylko błyskawica. Zresztą zbyt mocno poruszony był cierpieniem Genowefy, aby mógł zastanowić się nad jej słowami.

- Czyście wzywali doktora? - zapytał.

- O, to już nie jest nic niebezpiecznego - rzekł Dix-Cier - maligna i nic więcej.

I tak mocno ścisnął rękę żony, że Genowefa przysła do Błebi'e i lekko krzyknąwszy, otworzyła oczy dotąd zamknięte.

- A, jesteście wszyscy-- rzekła. - I Maurycy z wami.
O, jakże mi miło, że cię widzę, mój przyjacielu. Gdybyś
•Wiedział, ile...

I poprawiając się dodała:

; - Ileśmy od dwóch dni wycierpieli!

- Tak - rzekł Maurycy - jesteśmy wszyscy. Uspokój się, pani... Nie trwóż się więcej i nie wspominaj nazwiska, które w tej chwili jest bardzo niebezpieczne.

- Jakież to nazwisko? - żywo zapytała Genowefa.

- Nazwisko kawalera de Maison-Rouge.

- Alboż ja wymieniłam nazwisko kawalera de Maison-Rouge? - rzekła przerażona Genowefa.

- Tak - z wymuszonym uśmiechem odpowiedział Dixmer. - Ale nie powinno cię to dziwić, Maurycy, bo wszędzie powiadają, że był on w zmowie w młodą Tison i że kierował spiskiem mającym na celu wykradzenie królowej, spiskiem, który na szczęście wczoraj się nie udał.

- Nie mówię, aby w tym było coś dziwnego - odrzekł Maurycy - ale powtarzam, że powinien dobrze się ukryć.

- Kto? - spytał Dixmer.

- Kawaler de Maison-Rouge, oczywiście! Gmina szuka go, a jej wyżły mają delikatny węch.

- Byleby go tylko ujęto - wtrącił Morand - zanim dokona nowego zamachu, który może mu się lepiej udać niż ostatni,

- W każdym razie -
tego dla królowej.

rzekł Maurycy - nie zrobi już

- A to dlaczego? - spytał Morand.

- Bo królowa jest teraz w bezpiecznym schronieniu.

- Cóż się z nią stało? - spytał Dixmer.

-•- Dzisiejszej nocy przewiezono ją do Conciergerie -
odpowiedział Maurycy.

Dixmer, Morand i Genowefa wydali okrzyk, który Maurycy wziął za oznakę zdziwienia.

- Widzicie więc państwo - mówił dalej - że kawaler musi się pożegnać ze swoimi planami porwania królowej, Conciergerie pewniejsze jest niż Tempie.

Morand i Dixmer rzucili na siebie spojrzenie, którego Maurycy nie dostrzegł.

- Ach, mój Boże! - zawołał. - Pani Dixmer znów blednie.

- Genowefo - rzekł Dixmer do żony - połóż się do łóżka, moja droga. Widzę, że bardzo cierpisz.

Maurycy zrozumiał, że chciano go grzecznie pożegnać. Ucałował więc rękę Genowefy i wyszedł.

Morand wyszedł także i towarzyszył mu przez całą ulicę Saint-Jacques.

Taro opuścił go i podszedł do służącego, który trzymał za uzdę osiodłanego konia.

Maurycy był tak roztargniony, że nie odezwał się do Moranda ani słowem od chwili, kiedy razem wyszli z domu. Nie spytał go nawet, kim jest człowiek trzymający konia za uzdę.

Udał się ulicą Fosses-Saint-Victor i przybył na buły/ar.

- Dziwna rzecz - mówił do siebie, idąc. - Czy umysł mój słabnie, czy też wypadki nabrały takiej wagi? Wszyst-

ko widzę w szalonym powiększeniu, jakbym patrzył przez mikroskop.

I aby nieco się uspokoić, odkrył głowę i oparł się o balustradę mostu. Owionęło go świeże powietrze wieczorne.

III

PATROL

Pogrążony w ponurych rozmyślaniach, ze wzrokiem utkwionym w przepływającą wodę, co u prawdziwego paryzanina oznacza melancholię. Maurycy oparł się o balustradę mostu. Nagle usłyszał miarowe kroki małego oddziału wojska. Poznał, że to patrol.

Obejrzał się. Z drugiego końca mostu nadchodziła kompania Gwardii Narodowej. Wydawało mu się, że wśród ciemności poznaje Lorina.

Rzeczywiście był to Lorin. Gdy spostrzegł Maurycyego, podbiegł ku niemu z otwartymi ramionami.

- Mam cię nareszcie! - zawołał. - Nie tak łatwo, u licha, spotkać się teraz z tobą.

Kiedy znajduję przyjaciela,
Szczęśliwym, jak w dniu wesela.

Tym razem zapewne się nie pogniewasz, że przytoczyłem Racine'a zamiast Lorina.

- Co ty tu robisz z patrolem? - spytał zaniepokojony

Maurycy.

- Jestem dowódcą wyprawy, przyjacielu. Musimy koniecznie odzyskać zachwianą sławę.

I odwróciwszy się w stronę kompanii, zakomenderował:

- Na ramię broń! Prezentuj broń! Do nogi broń! Ter

raz, moje dzieci, ponieważ nie jest jeszcze dość ciemno, pogadajcie o swoich interesach, a my pomówimy o swoich.

I zwracając się do Maurycego, dodał:

- Dziś w sekcji zdobyłem trzy ważne wiadomości.

- Jakie?

- Pierwsza: że obaj jesteśmy podejrzani.

- Wiem o tym. Cóż więcej?

- Wiesz?

22

- Tak jest.

- Druga: że całym spiskiem goździkowym kierował kawaler de Maison-Rouge.

- I to wiem również.

- Ale tego zapewne nie wiesz, że pąsowy goździk i podziemie to był jeden spisok.

- Owszem, to wiem także.

- A więc przejdźmy do trzeciej wiadomości. Tej. na pewno ci nikt jeszcze nie' przekazał. Dziś wieczór mamy schwytać kawalera de Maison-Rouge.

- Schwytać kawalera de Maison-Rouge?

- Ano tak.

- Zostałeś więc żandarmem?

- Nie, ale jestem prawym Francuzem i dla dobra kraju wszystko powinienem poświęcić. Kawaler de Maison-Rouge dręczy Francję spiskiem po spisku, mnie zatem, jej prawemu synowi, nakazuje ona uwolnić ją od kawalera de Maison-Rouge. Jestem posłuszny Francji.

- Szczególna rzecz, że podejmujesz się podobnych zleceń - odrzekł chłodno Maurycy.

- Nie podjąłem się sam z dobrej woli, lecz kazano mi i kwita. Dla odzyskania dobrej sławy trzeba dokonać ja-

kiegoś świetnego czynu, a czyn ten zapewni nam znowu bezpieczeństwo i pozwoli przy pierwszej lepszej okazji wpakować szpadę w brzuch nikczemnemu szewcowi Simon.

- Skądże się dowiedziano, że kawaler de Maison-Rouge stał na czele spisku?

- Niepewna to jeszcze wiadomość, ale tak przypuszczają.

- Opieracie się więc na domysłach?

- Opieramy się na przekonaniu.

- Jak to?

- Posłuchaj.

- Słucham.

- Zaledwie usłyszałem wołanie: „Wielki spisek odkry-

23

ty przez obywatela Simona...”, bo ten łotr, ten niegodziwiec Simon musi się wszędzie znaleźć, postanowiłem przekonać się o prawdzie. Mówiono o podziemiu!

- Czy istnieje to podziemie?

- „Istnieje, widziałem je, widziałem na własne oczy.”

Dlaczego nie gwizdzesz?

- Bo zacytowałeś Moliere'a, to raz, a po wtóre, to co mówisz, jest zbyt ważns, abym miał ochotę do żartów. '

- Z czegoż więc będziemy żartować, jeżeli nie z rzeczy ważnych?

- Powiadasz więc, że widziałeś...

- Podziemie? Tak jest, widziałem, styka się z piwnicą ' obywatelki Plumeau i z domem przy ulicy Corderie numer dwanaście czy czternaście, bo już tego dokładnie nie pamiętam.

- Naprawdę przeszedłeś je całe, Lorin?

- Prze-z całą długość, i zapewniam, że przejście to było doskonale wykopane, a, co najważniejsze, przedzielone w trzech miejscach żelaznymi kratami, które trzeba było wyłamywać jedną po drugiej. Kraty te pozwoliłyby spiskowcom przysporządzić spokojnie panią Capet w bezpieczne miejsce. Szczęście chciało, że stało się inaczej. Niegodziwy Simon odkrył przejście.

- Sądzę - powiedział Maurycy - że należało przede wszystkim zaarrestować mieszkańców domu przy ulicy

Corderie.

- Zapewne tak by zrobiono, gdyby w tym domu znalaziono choćby jedną żywą duszę.

- Przecież ten dom musi do kogoś należeć?

- Należy do nowego właściciela, nieznanego nikomu, do właściciela, który nabył tę posiadłość przed dwoma czy trzema tygodniami. Sąsiedzi słyszeli tam jakiś hałas, ale za dom jest stary, myśleli, iż przeprowadza się jakiś remont. Poprzedni właściciel wyjechał do Paryża. Przybyłem tam w chwili śledztwa. „Dla Boga! - rzekłem do Santerre'a,

24

wziąwszy go na stronę. - Wszyscy, jak widzę, jesteście mocno zakłopotani." - „A tak" - odpowiedział. „Ten dom podobno niedawno sprzedano?" - „Tak." - „Podobno dwa tygodnie temu?" - „Dwa czy trzy..." - „Sprzedaż nastąpiła przy notariuszu?" - „Tak." - „A więc, trzeba przeprowadzić rewizję u wszystkich paryskich notariuszy, odnaleźć akt, a w nim nazwisko i miejsce pobytu nabywcy." - „Masz rację, oto dobra rada! - zawołał Santerre. - A w dodatku dobra rada od człowieka posądzonego o brak patriotyzmu. Słuchaj, Lorin, ja ci przywrócę dawną dobrą opinię albo mnie diabli porwą!" Co powiedziano, zrobiono - ciągnął dalej Lorin. - Odnaleziono notariusza, odnaleziono akt sprzedaży, a w nim nazwisko i miejsce pobytu nowego właściciela. Santerre polecił mi aresztować tego człowieka.

- I człowiekiem tym jest kawaler de Maison-Rouge?

- Nie, ale zdaje się jego współnik.

- Dlaczego więc mówisz, że idziecie aresztować kawalera de Maison-Rouge?

- Zaaresztujemy wszystkich razem.
- Czy znasz tego de Maison-Rouge?
- Dostyc dobrze.
- Masz jego rysopis?
- Santerre mi bo dal. Ma piec stop i dwa lub trzy cale wzrostu, wlosy jasne, oczy niebieskie, nos prosty, ciemno-blond brode. Widzialem go zreszta.
- Kiedy?
- Dziś nawet.
- Widziałeś go?
- I ty także.
Maurycy zadrzał.
- Pamiętasz tego jasnowłosego młodzieńca, dowódcę elegantów, który rąbał tak dzielnie szablą i który nas oswobodził?
- Więc to był...? - zapytał Maurycy.

25

- Kawaler de Maison-Rouge. Ścigano go i stracono z oczu w okolicy mieszkania właściciela z ulicy Corderie. Należy przypuszczać, że mieszkają razem.
- Bardzo być może.
- To rzecz pewna. . . *'
- Sądzę jednak, Lorin - dodał Maurycy - że jeżeli dziś wieczorem zaaresztujesz człowieka, który nam wczoraj ocalił życie, uchybisz obowiązkowi wdzięczności.
- No, no - powiedział Lorin - więc ty myślisz, że on nas ocalił dlatego tylko, aby nas ocalić?
- A po cóż by innego?
- Zaczaili się tam w zamiarze porwania biednej He-loizy Tison w czasie, kiedy będą ją wieść na gilotynę. Nasi napastnicy przeszkodzili im, więc natarli na nich. To nas

ocaliło. Ponieważ nie mieli wcale zamiaru nas oswobodzić, a wynikło to tylko z przypadku, nie jestem obowiązany do najmniejszej nawet wdzięczności. Wreszcie, mój Maurycy, musimy koniecznie dokonać jakiegoś świetnego czynu, aby odzyskać dobrą opinię. Co więcej, ja zaręczyłem za ciebie.

- Komu?

- Santerre'owi. Wie, że ty dowodzisz wyprawą.

- Jak to?

- „Czy jesteś pewny, że zaaresztujesz winnych?” - zapytał mnie. „Tak jest - odpowiedziałem - jeżeli mi tylko Maurycy pomoże”. - „A czy jesteś pewny Maurycego? Od pewnego czasu zobojętniał on na sprawy kraju”. - „Myli się ten, kto tak utrzymuje. Ani ja, ani Maurycy nie staliśmy się obojętni na sprawy ojczyzny.” - „Ręczysz zatem za niego?” - „Jak za samego siebie.” Poszedłem zaraz potem do ciebie, ale cię nie zastałem. Udałem się więc tą drogą dlatego, że ty zwykle tędy chodzisz, spotkałem cię, a więc dalej naprzód marsz!

Laur zwycięstwa
Będzie nam nagrodą męstwa...

26

- Bardzo mi przykro, kochany Lorłn, ale ja nie mam najmniejszego przekonania do tej sprawy.. Powiesz, żeś mnie nie znalazł.

- Niepodobna! Wszyscy moi ludzie cię widzieli.

- Powiesz zatem, żeś mnie spotkał, ale że ja nie chciałem się do was przyłączyć.

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Dlatego że ni-e uważano by cię za obojętnego, ale za podejrzanego. A wiesz, co czynią z podejrzanymi? Wiodą ich na plac Rewolucji i każą im tam pozdrawiać statwę Wolności. Tylko zamiast pozdrawiać ją zdjęciem czapki, pozdrawia się ją zdjęciem głowy.

- Niech się stanie, co chce. Powiem ci coś, co wyda ci się może dziwne.

Lorin zrobił wielkie oczy i spojrzał na Maurycego.

- Otóż, mój kochany - powiedział Maurycy - życie mi obrzydło.

Lorin parsknął głośno.

- Rozumiem - rzekł. - Posprzecaliśmy się z kochanką i dlatego jesteśmy nastroszeni tak melancholijnie. No, no, piękny Amadysie, stań się znów człowiekiem, a przez to i obywatelem. Ja jestem wówczas najgorliwszym patriotą, kiedy się pokłócę z Artemizą. Ale, ale, bogini Rozumu kazała cię najuprzejmiej pozdrowić.

- Podziękuj jej za to i bywaj zdrów!

- Jak to, bywaj zdrów?

- Bo ja odchodzę.

- Dokąd?

- Do domu.

- Maurycy, gubisz siebie.

- Drwię sobie ze wszystkiego.

- Maurycy, przyjacielu, zastanów się.

- Stało się.

- Jeszcze ci wszystkiego nis powiedziałem.

27

- Jak to?

- Santerre mówił mł...

- Co ci mówił?

- Kiedy się domagałem, aby ciebie wybrał na dowódcę wyprawy, rzekł mi: „Strzeż się!” - „Kogo?” - „Maurycego.”

- Mnie?

- Tak jest. „Maurycy - mówił - coś zbyt często bywa w tamtej dzielnicy.”

- W jakiej dzielnicy?

- W dzielnicy kawalera de Maison-Rouge.

-^ Jak to - zawołał Maurycy - czy on się tutaj ukrywa?

- Tak przynajmniej przypuszczają, ponieważ tu mieszka jego domniemany wspólnik, nabywca domu przy ulicy Corderie.

- Na przedmieściu Victor? - spytał Maurycy.

- Tak; na przedmieściu Victor.

- Na której ulicy?

- Na starej ulicy Saint-Jacques.

- Wielki Boże! - szepnął Maurycy, oślepiiony jakby błyskawica.

I podniósł rękę do oczu.

Po chwili, zebrawszy całą odwagę, zapytał:

- Kto to taki?

- Mistrz garbarski.

-- A jak brzmi jego nazwisko?

- Dixmer.

- Dobrze - rzekł Maurycy, siłą woli wstrzymując się od okazania choćby najmniejszego wzruszenia. - Idę z tobą.

- Dobrze czynisz. A czy masz broń przy sobie?

- Mam szablę.

- Weź jeszcze parę pistoletów.

- A ty?

28

- Ja mam karabin. Na ramię broń! Naprzód marsz!

I patrol ruszył. Lorin szedł obok Maurycego, a oddział prowadził człowiek w szarym ubraniu. Był to agent policji.

Od czasu do czasu na rogach ulic lub przy drzwiach jakiegoś domu ukazywały się ludzkie cienie, które zbliżały się do człowieka w szarym ubraniu i zamieniały z nim kilka słów. Byli to jego pomocnicy.

Gdy cały orszak dotarł do małej uliczki, szaro ubrany mężczyzna nie wahał się ani przez chwilę - ruszył dalej pewnym krokiem.

Zatrzymał się przed drzwiami do ogrodu, przez które wprowadzano niegdyś skrępowanego Maurycego.

- To tu! - rzekł.

- Co tu? - zapytał Lorin.

- Tu znajdziemy obu przywódców.

Maurycy oparł się o mur, aby nie upaść na ziemię.

- Są tu aż trzy wejścia - rzekł agent. - Jedno główne, to tutaj, drugie i trzecie prowadzące do pawilonu. Ja z sześcioma lub ośmioma ludźmi pójdę przez główne drzwi, ty z czterema lub pięcioma pilnuj tych, a trzech pewnych ludzi postaw przy wejściu do pawilonu.

- Ja przejdę przez mur i będę czuwał w ogrodzie -* odezwał się Maurycy.

- Dobrze - odpowiedział Lorin. - Przejdź i otwórz nam drzwi od środka.

- Dobrze - oświadczył Maurycy - ale nie ustępujcie stąd i czekajcie, aż was zawołam. Z ogrodu będę widział wszystko, co będzie się działo w domu.

- Znasz więc ten dom? - zapytał Lorin.

- Chciałem go kiedyś kupić.

Lorin postawił swoich ludzi na czatach przy murze i we wnęce bramy, a agent policyjny oddalił się wraz z dziesięcioma narodowymi gwardzistami, by zdobyć główne jak powiedział, wejście.

Po chwili odgłos ich kroków ucichł zupełnie, nie obu-

dziwszy najmniejszego podejrzenia w tym odludnym miejscu.

Ludzie Maurycyego pozajmowali stanowiska i ukryli się jak mogli najlepiej. Każdy mógłby przysiąc, że na starej ulicy Saint-Jacques nie dzieje się nic nadzwyczajnego, że panuje tam zupełny spokój.

Maurycy zaczął wspinać się na mur.

- Zaczekaj no! - zawołał Lorin.

- Na co?

- Na hasło!

- Prawda.

- „Goździk i podziemie.” Aresztuj każdego, kto ci nie poda hasła, a oczywiście przepuść tego, kto ci je powie. Oto rozkaz.

- Dziękuję - szepnął Maurycy i z wysokości muru skoczył do ogrodu.

IV

GOŹDZIK I PODZIEMIE

Pierwszy cios był straszny i Maurycy musiał się zdobyć na największy wysiłek woli, aby się opanować i ukryć przed Lorinem swoje wzburzenie. Skoro jednak dostał się do ogrodu i znalazł się sam wśród nocnej ciszy, odzyskał spokój i zdołał jako tako uporządkować niespokojne myśli.

Jak to, dom, który z rozkoszą odwiedzał, który był dla niego ziemskim rajem, miałby być kryjówką krwawych intryg, przyjęcie jego żarliwej przyjaźni - obłudą, a miłość Genowefy - kłamstwem?

Znamy rozkład ogrodu, bo nieraz wspólnie z czytelnikiem śledziliśmy w nim oboje młodych ludzi. Maurycy pełzał pod murem, aż ukrył się przed blaskiem księżyca za cie-

plamą, w której go zamknięto, kiedy po raz pierwszy dostał się tutaj.

Cieplarnia znajdowała się na wprost pawilonu zamieszkanego przez Genowefę.

Tego wieczoru światło, które zwykle błyszczało samotnie i nieruchomo w pokoju młodej kobiety, teraz migotało raz w jednym, raz w drugim oknie. Maurycy spostrzegł Genowefę za firanką, podniesioną przypadkiem do połowy. Pakowała spiesźnie jakieś rzeczy i trzymała broń w ręku.

Aby lepiej zobaczyć, co się dzieje w pokoju, wszedł na kamienny słupek. Wielki ogień, płonący na kominku, zwrócił jego uwagę. Genowefa paliła jakieś papiery.

W tej chwili otworzyły się drzwi i jakiś młodzieniec wszedł do Genowefy.

Maurycy przypuszczał zrazu, że był to Dixmer. Genowefa podbiegła ku niemu, chwyciła go za rękę i przez chwilę stali oboje naprzeciwko siebie, przejęci głębokim wzruszeniem. Co oznaczało to wzruszenie, tego Maurycy nie mógł odgadnąć, bo nie słyszał ich rozmowy. Zmierzył wzrokiem wzrost przybysza.

- To nie Dixmer... - szepnął.

W istocie, mężczyzna, który wszedł, był mały i szczupły, Dixmer zaś barczysty i słusznego wzrostu.

Zazdrość jest silnym uczuciem. Maurycy w pierwszej chwili nie chciał wierzyć swym oczom, przyjrzał się więc jeszcze raz.

- To nie Dixmer... - szepnął, jakby to sam sobie musiał powtórzyć, aby przekonać się o zdradzie Genowefy.

Podszedł do okna, ale im bardziej się zbliżał, tym mniej widział. Głowa mu pałała.

Dotknął nogą drabinki. Okno znajdowało się na wysokości siedmiu lub ośmiu stóp od ziemi. Podniósł więc drabinkę i przystawił do muru.

Wszedł na nią i przyłożył oko do szpary w firance.

31

Nieznamy, znajdujący się w pokoju Genowefy, był dwudziesięciosiedmiu- lub dwudziestoosmioletnim młodzień-

cem o niebieskich oczach i zgrabnej sylwetce. Trzymał dłoń młodej kobiety w swoich rękach i rozmawiając, ocierał łzy, spływające po pięknej twarzy Genowefy.

Lekki szelest, którego sprawcą był Maurycy, zwrócił wzrok młodzieńca w stronę okna. Maurycy stłumił w sobie okrzyk zdziwienia, bo poznał tajemniczego zbawcę z placu Chatelet.

W tej chwili Genowefa cofnęła ręce z dłoni nieznanego. Zbliżyła się do kominka i przekonała się, że ogień strawił już zupełnie wszystkie papiery.

Maurycy nie mógł dłużej wytrzymać. Najsilniejsze namiętności, jakie dręczą człowieka: miłość, zemsta, zazdrość, szarpały jego serce. Pchnął nie domknięte okno i wskoczył do pokoju.

Natychmiast poczuł, jak dwa pistolety spoczęły na jego piersi. Genowefa, usłyszawszy hałas, obejrzała się i oniemiała na widok Maurycego.

- Panie - rzekł zimno młody republikanin do człowieka, który już po raz drugi miał w swym ręku jego życie - jesteś pan kawalerem de Maison-Rouge?

- A gdyby tak było? - odrzekł kawaler.

- O, to jest pan człowiekiem dzielnym i spokojnym, dlatego chciałbym z panem pomówić.

- Mów pan - rzekł kawaler, nie odejmując pistoletów od piersi Maurycego.

- Możesz mnie pan zabić, ale nie zabije mnie pan prędzej, nim krzyknę albo raczej nie umrę prędzej, aż krzyknę. Jeżeli zaś krzyknę, tysiąc ludzi, otaczających ten dom, w przeciągu dziesięciu minut w popiół go zamieni. Zniż pan zatem pistolety i słuchaj, co powiem tej pani.

- Genowefie? - rzekł kawaler.

- Mnie? - szepnęła młoda kobieta.

- Tak jest, pani.

Genowefa, bledsza niż posąg, ujęła rękę Maurycego.
Młodzieniec ją odtrącił.

- Wiesz, pani, co myślę o twych zapewnieniach -•
z głęboką pogardą rzekł Maurycy. - Widzę teraz, żeś
mówiła prawdę. W istocie, pani nie kocha pana Moranda.

-r- Maurycy, posłuchaj mnie! - zawołała Genowefa.

- Ja nie chcę nic słyszeć, pani - odparł Maurycy. -•
Pani mnie oszukałaś, jednym uderzeniem przecięłaś węzły,
jakie łączyły moje serce z twoim. Pani powiedziałaś, że
nie kochasz pana Moranda, ale nie powiedziałaś, że ko-
chasz innego.

- Panie - odezwał się kawaler - co mówisz o Moran-
dzie albo o jakim Morandzie mówisz?

- O Morandzie chemiku.

- Morand chemik stoi przed panem? Morand chemik
i kawaler de Maison-Rouge są jedną i tą samą osobą.

I sięgnąwszy ręką na sąsiedni stół, wziął z niego perukę,
która przez tak długi okres zmieniała go w oczach mło-
dego republikanina.

- Ach, tak - z jeszcze większą pogardą rzekł Mau-
rycy - rozumiem, pani nie kochałaś Moranda, bo Morand
nie istnieje. Ale wybieg ten, o ile był zręczny, o tyle
godny pogardy.

Kawaler uczynił ruch pełen groźby.

- Panie - mówił dalej Maurycy - pozwól, abym
przez chwilę pomówił z panią. Jeżeli chcesz, możesz na-
wet być obecny przy naszej rozmowie. Ręczę panu, że
potrwa bardzo krótko.

Genowefa dała znak kawalerowi de Maison-Rouge, aby
nie tracił cierpliwości.

- Tak więc- mówił dalej Maurycy - uczyniłaś mnie
pani pośmiewiskiem moich przyjaciół! Użyłaś mnie za
ślepe narzędzie swych spisków. Korzystałaś ze mnie, jak
z nikczemnego służalca. Jest to czyn niegodny! Ale też
zostaniesz zań ukarana, moja pani, bo ten oto jegomość

ł-A. oumas

zabije mnie w twoich oczach! Ale zanim upłynie pięć minut, on także albo wyzionie ducha u twych stóp, albo

zginie na rusztowaniu.

- On miałby umrzeć! - zawołała Genowefa. ~- Miałby

zginąć na rusztowaniu! O, chyba nie wiesz, Maurycy, że to mój opiekun, że to protektor mojej rodziny, że za jego życie gotowa jestem oddać moje, że skoro umrze i ja umrę także, i jeżeli ty jesteś moim kochankiem, to on jesi moim bóstwem!

- A! - zawołał Maurycy. - Może i teraz jeszcze będziesz pani utrzymywać, że mnie kochasz. Zaiste, kobiety

są słabe i nikczemne.

A potem odwracając się do młodego rojalisty dodał:

- No, mój panie, albo zabij mnie, albo sam umieraj.

- A to dlaczego?

- Bo zaaresztuję cię, jeżeli mnie nie zabijesz. Mówiąc to, Maurycy sięgnął ręką, aby go ująć za kołnierz.

- Nie będę przed panem bronił swego życia - rzekł

kawaler de Maison-Rouge. - Bierz je!
I cisnął na krzesło swoją broń.

- A dlaczego nie walczy pan o swe życie?

- Bo życie moje nie jest warte zgryzot, jakie musiałbym znieść zabijając szlachetnego człowieka, a poza tym nie mógłbym tego uczynić ze względu na Genowefę, która

kocha pana.

- O, Armandzie! - zawołała młoda kobieta, załamując

dłonie. - Jakiś ty dobry, wielkoduszny, prawy i wspaniałyomyślny!

Maurycy spojrział na nich osłupiały.

- Słuchaj pan - rzekł kawaler - wracam do swego pokoju. Daję słowo honoru, że nie po to, aby ratować się

ucieczką, ale aby ukryć pewien portret.

Maurycy żywo spojrział na portret Genowefy: wisiał na swoim miejscu.

34

Kawaler de Maison-Rouge odgadł może myśl Maurycyego lub też może chciał w najwyższym stopniu okazać się wspaniałomyślny, dość że powiedział:

- Wiem, iż jesteś republikaninem, ale wiem również i to, że masz serce czyste i ufam ci zupełnie. Patrz!

I wydobywszy z zanadru miniaturę, pokazał ją Maurycemu.

Był to portret królowej.
Maurycy 'zwiesił głowę i powiódł ręką po czole.

- Czekam na pańskie rozkazy - rzekł kawaler de Maison-Rouge. - Jeśli będziesz chciał mnie zaaresztować, zastukaj do tych drzwi, a natychmiast oddam się w twoje ręce. Nie dbam o życie od chwili, kiedy go nie ożywia nadzieja ocalenia królowej.

Kawaler wyszedł, a Maurycy nie uczynił żadnego gestu, aby go zatrzymać.

Zaledwie zniknął za drzwiami, Genowefa rzuciła się do nóg młodzieńca.

- Przebacz - rzekła - przebacz mi, Maurycy, wszystko złe, którem ci wyrządziła, przebacz wszystkie wybiegi, zaklinam cię na cierpienia i łzy moje! Przysięgam ci, że wiele wycierpiałam, wiele płakałam. O, mąż mój wyjechał dziś rano, nie wiem nawet dokąd, i może go już nigdy nie ujrzę. Teraz, kiedy mi pozostaje jeden tylko przyjaciel,

a raczej brat, ty go chcesz zabić. Przebacz, Maurycy, przebacz!

Maurycy podniósł młodą kobietę.

- Cóż począć wobec nieszczęsnych okoliczności - rzekł. - W tych czasach każdy stawia na kartę własne życie. Kawaler de Maison-Rouge grał także jak inni i przegrał. Teraz musi zapłacić za przegraną.

- To znaczy, musi umrzeć, jeżeli cię dobrze zrozumiałam.

- Tak jest.

- Musi umrzeć. I ty, Maurycy, ty mi to mówisz!

35

-'- Któż ja, Genowefo, lecz łóż.

- W tej sprawie los nie wydał jeszcze ostatecznego wyroku, ponieważ ty możesz jeszcze kawalera ocalić.

- Kosztem mego słowa, kosztem mego honoru. Rozumiem, Genowefo.

- Zamknij oczy, Maurycy, nie wymagam od ciebie niczego więcej, a przyrzekam ci, że odpłacę się taką wdzięcznością, na jaką tylko kobieta może się zdobyć.

- Na próżno bym "zamykał oczy, pani. Istnieje hasło, bez którego nikt stąd wyjść nie może, bo, powtarzam, dom jest otoczony.

- I ty znasz hasło?

• - Rozumie się, że znam.

. - Maurycy! . '*•'

- Słucham?

- Mój przyjacielu, kochany mój Maurycy, powiedz mi to hasło, koniecznie muszę je znać.

- Genowefo! - zawołał Maurycy. - Genowefo! Kimże jesteś, kiedy mi mówisz: „Maurycy, w imię miłości, jaką dla ciebie żywię, złam słowo, postradaj honor, zdradź sprawę, swe przekonania, kłam, wypieraj się." I cóż mi w zamian za to wszystko ofiarujesz, Genowefo, ty, która

mnie tal-; kuszysz?

- O, Mań-yzy, ocal go, ocal najpierw, a potem żądaj mojego życia.

- Genowefo - ponurym głosem odparł Maurycy - posłuchaj mnie. Jedną już nogą wstąpiłem na drogę niesławy, lecz pierwszej nim stanę na niej drugą, trzeba, abym sam dla siebie miał ważny ku temu powód. Genowefo,

przysięgnij mi, że nie kochasz kawalera de Maison-Rouge...

- Przysięgam, że kocham kawalera de Maison-Rouge miłością siostry, przyjaciółki, nie żadną inną.

- A czy mnie kochasz, Genowefo?

- Bóg mi świadkiem, że kocham cię, Maurycy.

- Jeżeli więc uczynię zadość twemu żądaniu, czy opuści-

38

cisz twych rodziców, przyjaciół, ojczyznę, by uciec M zdrajcą?

- -Maurycy! Maurycy!

- Waha się... O, waha się!

To powiedziawszy, Maurycy, pełen głębokiej pogardy, cofnął się.

Oparta o niego Genowefa uczuła, że młodzieniec nagle się usunął, znowu więc padła na kolana.

- Maurycy - rzekła rozpaczliwie, załamując ręce - przysięgam, że uczynię wszystko, co zechcesz. Rozkazuj, jestem posłuszna!

- Będziesz moją, Genowefo?

- Kiedy tego zażadasz.

- Przysięgnij na Chrystusa!

- Boże! - zawołała Genowefa, wznosząc dłonie do nieba. - Przebaczyłeś wiarołomnej żonie, mam nadzieję, że i mnie przebaczysz.

I wielkie łzy, toczące się po policzkach, spłynęły wzdłuż jej rozpuszczonych włosów.

- O nie, nie przysięgaj tak - rzekł Maurycy - albo nie przyjmę twojej przysięgi.

- Boże! - wołała znowu młoda kobieta. - Przysięgam, że całe moje życie poświęcę Maurycemu, że z nim i, jeżeli będzie trzeba, dla niego umrę, skoro tylko ocali mego przyjaciela, mego opiekuna, brata, kawalera de Maisoh-

-Rouge-

- Dobrze, będzie ocalony - powiedział Maurycy.
I poszedł do jego pokoju.

- Panie - rzekł - włóż na siebie ubranie garbarza
Moranda. Zwracam ci twoje słowo, jesteś wolny. A ty,
pani - dodał, odwracając się w stronę Genowefy - pa-
miętaj dwa wyrazy: „Goździk i podziemie”.

I jakby przejął go zgrozą pobyt w pokoju, gdzie wymó-
wił słowa czyniące go zdrajcą, otworzył okno i wyskoczył
do ogrodu.

37

v

PENETRACJA

Maurycy stanął w ogrodzie naprzeciwko okna Genowe-
fy, lecz w oknie nie było już widać światła. Genowefa we-
szła do pokoju kawalera de Maison-Rouge.

. Czas był najwyższy, gdyż zaledwie Maurycy dopadł cie-
plarni, otworzyły się drzwi prowadzące tło ogrodu i ukazał
się w nich szaro ubrany człowiek, któremu towarzyszył
Lorin i kilku grenadierów.

- I cóż? - spytał Lorin.

- Jak widzisz, jestem na swoim stanowisku - odrzekł

Maurycy.

- Czy nikt nie usiłował przedrzeć się przez posterun-
ki? - spytał znowu Lorin.

- Nikt - powiedział Maurycy, szczęśliwy, że tego ro-
dzaju pytanie pozwoliło mu uniknąć kłamstwa - absolut-
nie nikt! A co wyście robili?

- My nabraliśmy przekonania, że kawaler de Maison-
-Rouge przed godziną wszedł do tego domu i do tej pory
go nie opuścił - odparł agent policji.

- A czy wiesz, który jest jego pokój? - spytał Lorin.

- Korytarz tylko przedziela jego pokój od pokoju oby-
watela Dixmer.

, - A... - rzekł Lorin.

- Do licha, to wcale niepotrzebne. Wydaje się, że kawaler de Maison-Rouge jest zuchem nie lada.

Maurycy poczuł, że krew uderza mu do głowy. Zamknął oczy i ujrzał tysiące gwiazd.

- Ale, ale, a cóż na to mówił obywatel Dixmer? - spytał Lorin.

- Uważał, że to dla niego wielki zaszczyt.

- No i cóż postanowimy? - stłumionym głosem rzekł Maurycy.

38

- Ha! - odpowiedział agent policji. - Schwytemy go w jego własnym pokoju, a może nawet w łóżku.

- Więc on niczego się nie spodziewa?

- Niczego.

- Jaki jest rozkład domu? - spytał Lorin.

- Mamy tu doskonały plan - odrzekł szaro ubrany mężczyzna. - Pawilon, znajdujący się w rogu ogrodu, jest tutaj. Wchodzi się do niego po czterech schodach, widzicie? Następnie sień, na prawo drzwi do obywatelki Dixmer. Zapewne to ten pokój, którego okno widzimy. W głębi, naprzeciwko okna, są drzwi na korytarz, w tym korytarzu drzwi do pokoju zdrajcy.

- Dobrze. Oto dokładność co się zowie - rzekł Lorin. -• Z takim planem można iść po omacku. Więc chodźmy!

- Czy ulice są dobrze strzeżone? - spytał Maurycy z zainteresowaniem, które zgromadzeni naturalnie przypisywali obawie, aby kawaler nie uciekł.

- Ulice, przejścia, skrzyżowania, wszystko - odrzekł człowiek w szarym ubraniu. - Sądzę, że nawet mysz się nie wymknie, jeżeli nie zna hasła.

Maurycy zadrżał.

- Ilu potrzeba ludzi, aby schwytać kawalera? - spy-

tał agent.

- Sądzę, że ja i Maurycy sami damy sobie radę - odpowiedział Lorin. - Prawda, Maurycy?

- Tak - wyjął tenże - poradzimy sobie.

- Słuchajcie - wtrącił agent policji - tylko bez niepotrzebnej fanfanady. Czy bardzo wam na tym zależy, abyście go sami schwytali?

- Do pioruna! Czy nam zależy na tym? - zawołał Lorin. - 'Eak mi się zdaje! Nieprawdaż, Maurycy, to my winniśmy go schwycić?

Lorin położył nacisk na ostatnich słowach. Wiedział bowiem, że powzięto w stosunku do nich podejrzenia,

»

a w owych czasach nie należało dopuścić, aby te podejrzenia umocniły się. Lorin więc pomyślał, że nikt nie będzie śmiało wątpić o patriotyzmie dwóch ludzi, którzy schwytają kawalera de Maison-Rouge.

i - Ha, jeżeli wam istotnie o to chodzi... - rzekł agent policji. - Weźmiemy więc trzech lub czterech ludzi. Kawaler gdy śpi, ma zawsze szpadę pod poduszką i dwa pistolety na stole.

- Do kroćset! - zawołał grenadier z kompanii Lorina. - Chodźmy wszyscy razem, po co komuś dawać pierwszeństwo. Jeżeli odda się dobrowolnie w nasze ręce, zachowamy go i zginie na gilotynie, jeżeli stawia opór, to go rozsiekamy.

- Zgoda - rzekł, Lorin. - Dalej, naprzód! Czy wejdziemy drzwiami, czy oknem?

- Drzwiami - odparł agent policji. - Może znajdziemy w nich klucz. Gdybyśmy weszli oknem, brzęk szyb narobiłby hałasu.

- Więc drzwiami! - zawołał Lorin. - Mniejsza o to, którądy wejdziemy, bylebyśmy weszli. No, Maurycy, szabla do ręki!

Maurycy machinalnie wy dobył szablę z pochwy, po czym wszyscy skierowali się w stronę pawilonu. Zgodnie ze wskazówkami szaro ubranego mężczyzny, znaleźli scho-

- Ale czy jesteście pewni, że to tu? - spytał Maurycy, który ledwo mógł mówić.

- Jeżeli plan jest dokładny, powinno to być tutaj - odpowiedział agent policji. - Zresztą zaraz zobaczymy. Grenadierzy, wyważcie drzwi, a wy, obywatele, gdy to nastąpi, bądźcie gotowi natychmiast do wejścia do pokoju.

Czterej ludzie, wezwani przez agenta policji, podnieśli kolby karabinów i na dany przez niego znak uderzyli razem we drzwi, które zaraz rozpadły się z łoskotem.

41

- Poddaj się albo umrzesz! - zawołał Lorin wpadając do pokoju.

Nikt nie odpowiedział. Firanki nad łóżkiem były zasunięte.

i

- Pilnować wyjścia! - zawołał agent policji. - Celuj, i za pierwszym poruszeniem firanek - ognia!

- Czekajcie - przerwał Maurycy - ja sam je rozsunę.

I zapewne w nadziei, że Maison-Rouge ukrywa się za firanką, że go pierwszy ugodzi sztyletem lub kulą z pistoletu, przypadł ku zasłonie, którą gwałtownym ruchem rozsunął.

W łóżku nie było nikogo.

- Do licha! - rzekł Lorin. - Nie xña nikogo!

- Uciekł - wyjąkał Maurycy.

-- Niepodobna, obywatele, niepodobna! - zawołał szaro ubrany mężczyzna. - Powiadam wam, że przed godziną widziano, jak wrócił do domu, a nie zauważono, aby wychodził, bo wszystkie wejścia są strzeżone.

Lorin otwierał drzwi do gabinetów, do szaf, przeglądał wszystko, nawet takie kąty, gdzie niepodobieństwem było, aby ukrył się tam człowiek.

- Widzicie jednak, że nie ma nikogo.

- Nikogo! - powtórzył Maurycy z łatwym do zrozumienia wzruszeniem. - Rzeczywiście nikogo nie ma.

- A może jest w pokoju obywatelki Dixmer? - rzekł agent policji.

- O! - zawołał Maurycy. - Uszanujcie pokój kobiety,

- Jak to? - wtrącił Lorin. - Kto mówi, że go nie będziemy szanować, tak samo jak i obywatelkę Dixmer? Ale zrewidować go trzeba.

- Czy "i obywatelkę Dixmer? - odezwał się grenadier, rad, że się może popisać niesmacznym conceptem.

- Nie, tylko pokój - odpowiedział Lorin.

- To pozwólcie mi iść naprzód - rzekł Maurycy.

- Idź - rzekł Lorin - jesteś kapitanem. Starszemu należą się honory.

W opuszczonym pokoju zostało dwóch ludzi, potem wrócono do pokoju, gdzie zapalono pochodnie.

Maurycy zbliżył się do drzwi prowadzących do sypialni Genowef;/.

Po raz pierwszy dopiero miał tam wejść.

Serce biło mu gwałtownie.

Klucz tkwił w zamku.

Maurycy położył na nim rękę, ale zawahał się przez chwilę.

- No, dalej! - rzekł Lorin. - Otwieraj!

- A jeżeli obywatelka Dixmer śpi? - zapytał Maurycy.

- Zajrzymy do łóżka, do kominka, do szafy - odpowiedział Lorin - a jeżeli ją samą tylko znajdziemy, powiemy jej „dobranoc”.

- Nie - przerwał agent policji - aresztujemy ją. Obywatelka Genowefa Dixmer jest arystokratką uznaną za współniczkę młodej Tison i kawalera de Maison-Rouge.

- Otwierajcie zatem - rzekł Maurycy - ja nie aresztuję kobiet.

Agent policji z ukosa spojrział na Maurycego, a grenadierzy poczęli szemrać.

- Oho - rzekł Lorin - szemrzecie? Szemrajcie więc na nas obu, bo i ja podzielam zdanie Maurycego.

To powiedziawszy, uczynił krok do tyłu.

Mężczyzna w szarym ubraniu chwycił klucz, obrócił go szybko, drzwi się otworzyły i żołnierze wpadli do pokoju.

Dwie świece paliły się na stoliku, ale w pokoju Genowefy, podobnie jak i w pokoju kawalera de Maison-Rouge, nie było nikogo.

- Pusty! - zawołał agent policji.

43

- Pusty! - powtórzył Maurycy blednąc. - Gdzież ona się podziała?

Lorin zdziwiony spojrział na Maurycego.

- Szukajmy - rzekł agent policji.

I wraz z żołnierzami przejrzał cały dom od piwnic aż po dach.

Zaledwie wszyscy obecni odwrócili się, Maurycy, który nie spuszczał ich z oka, sam wpadł teraz do pokoju, otwierał już przedtem rozwierane szafy i pełnym przerażenia głosem wołał:

- Genowefo! Genowefo!

Ale Genowefa nie odpowiadała.

Wtedy Maurycy, niby szalony, zaczął przetrząsać cały dom, ale wszystkie jego poszukiwania były daremne.

Nagle usłyszano wielki gwar. W bramie ukazał się zbrojny oddział, zamienił hasło z placówką, zajął ogród i rozsypał się po całym domu. Na czele oddziału jaśniał pióropusz Santerre'a.

- I cóż, gdzie spiskowiec? - zapytał Lorina.
 - Jak to, gdzie spiskowiec?
 - A tak, pytam, coś z nim zrobił?
 - I ja mógłbym również o to zapytać, bo jeżeli od-
dział dobrze strzegł wszystkich wyjść, powinien go być
schwytać, ponieważ my nie zastaliśmy go już w domu.
 - Co mówisz! - zawołał generał z wściekłością. -
A więc pozwoliliście mu uciec?
 - Nie mogliśmy na to pozwolić, bośmy go wcale nie
schwyтали.
 - Teraz już nic nie rozumiem - rzekł Santerre.
 - Czego nis rozumiecie, generale?
 - Tego, coście mi kazali oświadczyć przez waszego
posłańca.
 - Przez naszego posłańca?
 - Bez wątpienia. Człowiek w- ciemnym ubraniu, brun-
net, w zielonych okularach, uprzedził mnie w waszym
- 44
- tmieniu, że właśnie macie zająć dom kawalera de Mat-
son-Rouge, który się broni jak lew. Dlatego też natych-
miast pośpieszyłem. • .
- Człowiek ciemno ubrany, brunet, w zielonych oku-
larach? - zapytał Lorin.
 - A tak, prowadził pod rękę jakąś kobietę.
 - Młodą, ładną? - zawołał Maurycy, podbiegając do
generała.
 - Tak, młodą i ładną.
 - To był on i obywatelka Dixmer.
 - Kto, on?
 - Kawaler de Maison-Rouge... O, ja nędzny, czemu-
żem oboje nie położył trupem! ^

- No, no, obywatelu Lindey, uspokój się, my ich schwytnamy - rzekł Santerre.

- Ale jakim sposobem, u diabła, przepuściliście ich? - spytał Lorin.

- Do licha, przepuściłem ich, bo mi powiedzieli hasło - odrzekł Santerre.

- Znali nasze hasło? - zawołał Lorin. - Więc zdrajca jest wśród nas!

- Nie, nie, obywatelu Lorin - rzekł Santerre - wszyscy was znają i są przekonani, że żaden z was nie jest zdrajcą.

Lorin spojrział wokół siebie, jakby szukając zdrajcy. Spostrzegł zachmurzone czoło i błękitne oczy Maurycego.

- O, cóż to ma znaczyć? - szepnął.

- Ten człowiek nie może być daleko - powiedział Santerre. - Przejrzyjmy okolicę, może wpadł w ręce jakiegoś zręczniejszego od nas patrolu, który nie dał się oszukać.

- Tak, tak, szukajmy - powiedział Lorin. I chwyciwszy Maurycego za ramię, wyprowadził go z ogrodu,

46

- Tak, szukajmy - powtórzyli żołnierze - ale pierwszej...

I jeden z nich cisnął pochodnię pod szopę pełną drzazg i suchych roślin,

- Chodź - rzekł Lorin - chodź.

Maurycy nie stawiał żadnego oporu. Szedł jak dziecko za Lorinem, potem obaj w milczeniu pobiegli aż do mostu, tam dopiero stanęli i Maurycy obejrzał się.

Na horyzoncie jaśniała luna, ponad domami wzlatywały, tysiące iskier.

VI

ZAPRZYSIĘŻONA WIARA

Maurycy zadrżał, wyciągnął rękę w stronę ulicy Saint-Jacques.

- Gore! - rzekł. - Pali się!

- I cóż? Tak, pali się - rzekł Lorin. - Cóż z tego?

- O mój Boże, Boże, a jeżeli • ona wróciła!

- Kto taki? , ' -'

- Genowefa.

- Genowefa to pani Dixmer, nieprawda?

- Tak, to ona.

• Nie bój się, nie wróciła. Nie po to przecież wyszła.

- Lorin, ja muszę ją odnaleźć, ja muszę się zemścić.

- Oho! - rzekł Lorin.

- Pomożesz mi ją odnaleźć, prawda, Lorin?

- E, to rzecz nietrudna.

- Dlaczego?

- Jeżeli los obywatelki Dixmer obchodzi cię w takim stopniu, jak się tego domyślam, znasz ją zapewne dobrze oraz jej bliskich przyjaciół. Zapewne nie opuściła Paryża, bo oni wszyscy, na przekór rozsądkowi, postanowili w zim

46

pozostać. Schroniła się na pewno u jakiejś przyjaciółki i jutro z rana za pośrednictwem jakiejś Róży lub Maryli przyśle ci liścik takiej mniej więcej treści:

Jeżeli Mars widzieć pragnie

Brzegi Cytery, wyspy małej, ; ..

Niech lazurowa szarfa nocy

Użyczy mu swej pomocy.

I niech się stawi u odźwiernego, przy takiej a takiej ulicy, pod takim a takim numerem i zapyta o Panią Trzech Gwiazd.

Maurycy wzruszył ramionami. Wiedział dobrze, że Genowefa nie miała u kogo się schronić.

-- Nie, my jej nie znajdziemy - szepnął.

- Pozwól, że ci coś powiem, mój Maurycy - rzekł Lorin.

- Cóż takiego? "• ,

- Że nie byłoby może zbyt wielkim nieszczęściem, gdybyśmy jej nie znaleźli.

- Lorin, jeżeli jej nie znajdziemy, ja umrę - odparł Maurycy.

- Tam, do diabła! Więc to z powodu miłości już raz o mało co nie umarłeś?

- Tak - odpowiedział Maurycy. Lorin zamyślił się przez chwilę.

- Maurycy - rzekł - już blisko jedenasta. Na ulicach pusto, a oto kamienna ławka, jakby naumyślnie czekająca na dwóch przyjaciół. Racz zezwolić na poufną rozmowę, jak mówiono za dawnego reżimu. Daję ci słowo, że będę mówić tylko prozą.

Maurycy spojrział wokół siebie i siadł na ławce. Lorin obejrzał się także i usiadł przy nim.

- Mów - rzekł Maurycy, opuszczając ociężałą głowę.

- Słuchaj, kochany przyjacielu, powiem ci bez wstępu, bez ogródek, bez komentarzy, że się gubimy, a raczej, że ty nas gubisz.

47

- Jakim sposobem? - spytał Maurycy.

- Mój drogi - zaczął znowu Lorin - istnieje pewien dekret Komitetu Ocalenia Publicznego, mieniący zdrajcą Francji każdego, kto pozostaje w stosunkach z jej nieprzyjaciółmi. Cóż, znasz ten dekret?

- Znam - odpowiedział Maurycy.

- Otóż ja sędzę, że i ty także zdradzasz Francję. Cóż ty na to?

- Lorin! •

- Tak, niewątpliwie, skoro uważasz, że ludźmi ubóstwiającyymi ojczyznę są ci, którzy swe mieszkanie, stół i łoże' dzielą z panem kawalerem de Maison-Rouge, a ten przecież, według mnie, nie jest zbyt postępowym republikaninem, nikt go też nie może obwiniać o udział w dniach wrześniowych.

- Lorin! - westchnął Maurycy.

- Stąd wynika - prawil dalej moralista - że mi się wydawało i wydaje dotąd, iż jesteś nieco zbyt wielkim przyjacielem wroga Francji. No, no, nie oburzaj się, mój kochany, jesteś jak zmarły Encelades, wstrząsasz górą, gdy tylko się obrócisz. Powtarzam ci, nie oburzaj się, a wyznaj raczej, że przestałeś być gorliwym republikaninem.

Lorin, mówiąc te słowa, zdobył się na największą łagodność, do jakiej tylko był zdolny, zabarwił ją jednak prawdziwie cycerońskim zapałem.

Maurycy zaprzeczył tylko gestem.
Ale Lorin, nie zważając na nic, mówił dalej.

- O, gdybyśmy żyli w temperaturze panującej w cieplarni, w której, według zasad botaniki, termometr winien wskazywać zawsze szesnaście stopni, powiedziałbym ci, kochany Maurycy, że to bardzo ładnie, że wszystko jest w najlepszym porządku, że dobrze jest czasem być arystokratą, bo to dobrze robi ł pięknie pachnie. Ale my dzisiaj gotujemy się w temperaturze trzydziestu pięciu

lub czterdziestu stopni, wszystko wre. Komu więc w tych warunkach chłodno, tego nazywają zimnym, a kto jsst zimny, ten jest podejrzany. Za dużo masz rozsądku, mój kochany, abyś nie wiedział, czym będzie, a właściwie czym nie będzie taki człowiek.

- Dobrze, mniejsza o to, niech mnie zabiją, niech się wszystko raz skończy! - zawołał Maurycy. - Życie sprzykrzyło mi się zupełnie. „

- Od kwadransa - rzekł Lorin. - Doprawdy, niewie-

le czasu upłynęło, odkąd ci pozwalam postępować według własnej woli. Rozumiesz jednak, że kto dziś umiera, powinien umrzeć jako republikanin, a ty umrzesz jako arystokrata.

«

- O! - zawołał Maurycy, czując, że dotkliwe cierpienie, zadane przez wyrzuty sumienia, zaczyna burzyć w nim krew. - Za daleko się posuwasz, mój drogi.

- Posunę się jeszcze dalej, bo uprzedzam cię, że skoro zostaniesz arystokratą...

- To mnie oskarżysz?

- E, gdzie tam! Zamknę cię w jakiejś piwnicy i każę cię szukać przy odgłosach bębna jako zaginionego. Następnie ogłoszę, iż arystokraci, wiedząc, jakie miałeś w stosunku do nich zamiary, pochwycili cię, umęczyli i zamordowali głodem. Tak więc, podobnie do Elie de Beaumonta, Latude'a i innych, jak tylko zostaniesz znaleziony, damy targowe i gałganiarki z sekcji Victor uwieńczą cię przeszlicznie kwiatami. Spiesz się zatem, jeżeli pragniesz znowu zostać Arystydesem, bo twoja sprawa jest jasna.

- Lorin, Lorin, wiem, że masz słuszość. Czy dlatego mnie dręczysz, że wir zdarzeń ciągnie mnie za sobą?

- Ja cię nie dręcę, ale się z tobą spieram. Przypomnij sobie sceny, jakie się co dzień odbywały między Pyladesem a Orestesem, sceny, które świadczą w sposób przekonywający, że przyjaźń jest tylko paradoksem, po-

• A. Dumas

43

nieważ ci wzorowi przyjaciele klócili się od rana do wieczora. •

- Zostaw mnie, Lorin, tak będzie najlepiej.

- Nigdy.

- No, to pozwól mi kochać, być szalonym, nawet może zbrodniarzem, gdyż skoro ją znajdę, czuję, że ją zabiję.

- Albo rzucisz się jej do nóg. O, Maurycy!... Maurycy zakochany w arystokratce!... Nigdy bym w to nie uwierzył. Jesteś jak ów biedny Osselin przy markizie de Charny.

- Dosyć, Lorin, błagam cię!

-•Maurycy, ja cię wyleczę z tej choroby albo mnie diabli porwą. Nie chcę, abyś na loterii wygrał szanowną gilotynę. Strzeż się, Maurycy, bo mnie irytujesz. Doprowadzisz mnie do tego, że stanę się krwio pijcą. Maurycy, ja czuję potrzebę podpalenia wyspy Świętego Ludwika. Dajcie nri pochodnię albo lont!

Maurycy mimo woli się roześmiał.

- E, wiesz co! - powiedział Lorin. - Chodź/napijmy się, a potem, mój Maurycy, upiwszy się, róbmy projekty, uczmy się ekonomii politycznej, ale, na miłość Jowisza, ni ° bądźmy zakochani.

- Tylko w bóstwie Rozumu.

- A, prawda, moja bogini prosiła, aby ci przekazać wiele grzeczności, bo uważa, że jesteś wcale miłym śmiertelnikiem.

- I nie jesteś zazdrosny?

.- Maurycy, aby ocalić przyjaciela, gotów jestem do wszelkich ofiar.

- Dziękuję ci, biedny mój Lorin, i cenię twoje przywiązanie, ale najlepszym dla mnie środkiem pocieszenia 'będzie rozpamiętywanie mojej boleści. Bądź zdrow, Lorin, idź do Artemizy.

- A ty dokąd pójdziesz?

- Ja pójdę do domu. ' i

SO

To mówiąc, Maurycy uczynił kilka kroków.

- Mieszkasz więc teraz w pobliżu ulicy Saint-Jacques?

- Nie, ale chciałbym się przejść w tamtą stronę.

- Aby jeszcze raz ujrzeć miejsca, w których mieszkała twoja bogini?

- Aby się przekonać, czy nie wróciła tam, gdzie wie, że na nią czekam. O, Genowefo!" Nie sądziłem, że jesteś

zdolna do takiej zdrady!

- Maurycy, pewien tyran, wielki znawca płci pięknej, który śmiercią przypłacił zbytnie do niej przywiązanie, mawiał: „Kobieta zmienna jest, szalony, kto jej ufa.”

Maurycy westchnął i obaj przyjaciele udali się na ulicę Saint-Jacques. »

Im bardziej zbliżali się do celu, tym większa dolatywała ich wrzawa. Widzieli coraz większe światło, słyszeli śpiew, który wśród białego dnia, przy blasku słońca, w atmosferze walki, wydawałby się hymnem bohaterów, lecz teraz, w nocy, przy blasku pożogi, robił wrażenie wrzasku towarzyszącego uczcie Kanibala.

- O Boże, Boże! - zawołał Maurycy, -zapominając, że Bóg był już obalony.

I szedł dalej złany potem.
, Lorin patrzył na niego, mruczając pod nosem:

Miłości, miłości, kto ciebie uczuje,
Ten traci głowę, rozum mu szwankuje!

Cały Paryż zdawał się dążyć ku widowni opowiedzianych przed chwilą wypadków. Maurycy musiał przebijać się przez kolumnę grenadierów, szeregi członków sekcji,[^] wreszcie przez stłoczone tłumy burzliwego i chciwego wrażeń pospólstwa, które w owej epoce, wrzeszcząc, biegło z widowiska na widowisko.

W miarę jak się zbliżał, na skutek gwałtownej niecierpliwości przyśpieszał kroku. Lorin ledwie mógł za nim nadążyć, lecz zbyt go kochał, żeby go miał w tej chwili opuścić.

<* G1

Wszystko już prawie się dokonało. Ż szopy, pod którą żołnierz rzucił zapaloną pochodnię, ogień przeniósł się na warsztaty zbudowane z desek. Skóry spaliły się, a teraz gorzały już budynki mieszkalne.

- O mój Boże! - rzekł do siebie Maurycy. - Jeżeli ona znajduje się w którymś pokoju, objętym pierścieniem ognia, jeżeli czeka na mnie, jeżeli wzywa mnie?...

I prawie oszalały na skutek cierpienia, nie chcąc dopuścić myśli o zdradzie tej, którą kochał, wpadł w pier-

wsze drzwi, które ujrzał wśród dymu.

Lorin ciągle szedł za nim. Towarzyszyłby mu nawet do piekła.

Dach już się palił. Ogień zaczynał przenosić się na schody'

I

Maurycy, zadyszany, przebiegł całe pierwsze piętro, pokój Genowefy, pokój kawalera de Maison-Rouge i korytarze, stłumionym głosem wołając:

- Genowefo! Genowefo!

Nikt mu nie odpowiedział.

Wróciwszy do pierwszego pokoju, dwaj przyjaciele ujrzeli kłęby dymu wciskające się przez drzwi. Mimo krzyków Lorina, wskazującego na okno, Maurycy przeszedł przez środek płomieni.

Następnie wpadł do domu, niczym nie powstrzymany przebiegł dziedziniec zarzucony połamanymi sprzętami, znalazł salę jadalną, pokój Dixmera, gabinet chemika Moranda. Wszędzie pełno było dymu, gruzów, potłuczonego szkła. Ogień dosięgnął już tej części domu i zaczynał ją trawić.

I tu Maurycy obejrzał każdy pokój, każdy zakątek. Był nawet w piwnicach, bo sądził, że Genowefa, uciekając przed pożarem, tam się może ukryła.

Nie znalazł jednak nikogo.

- Do licha - rzekł doń Lorin - widzisz przecież, że nikt by tu nie wytrzymał, chyba tylko salamandry, a ty

52

nie szukasz przeciąż tego zwierzęcia z bajki. Chodź, popytamy się ludzi, może ją ktoś widział.

Trzeba było użyć wszelkich sił, aby wyprowadzić Maurycyego z domu.

Dwaj przyjaciele'przejrżeli całą okolicę, zatrzymywali przechodzące kobiety, przeszukali wszystkie przejścia, ale bez żadnego rezultatu. Już była godzina pierwsza po północy. Maurycy, mimo niezwykłej siły, uległ wreszcie znu-

żeniu i postanowił zaniechać dalszych wypytywań.

Przejeżdżała właśnie dorożka. Lorin ją zatrzymał.

- Mój kochany - rzekł do Maurycego - czyniliśmy, co tylko można, aby odnaleźć twoją Genowefę. Dla niej zmordowaliśmy się, dla niej poparzyliśmy się, przez nią dosyć otrzymaliśmy kułaków. Sam nawet Kupido, jakkolwiek bardzo wymagający, nie może więcej żądać od zakochanego człowieka, a przede wszystkim od nie zakochanego. Wsiądźmy i wróćmy każdy do swego domu.

Maurycy nie odpowiedział nic, ale pozwolił sobą kierować. Dwaj przyjaciele w milczeniu doszli do drzwi mieszkania Maurycego.

Właśnie gdy Maurycy wysiadał z dorożki, usłyszał, że zamknięto okno od jego pokoju.

- A więc - rzekł Lorin - czekaj na mnie jutro rano, to razem wyjdziemy.

- Dobranoc! - machinalnie odpowiedział Maurycy.

I zamknął za sobą drzwi.

Zaraz u wejścia na schody spotkał swego oficjalistę.

- Obywatelu Lindey - zawołał tenżs - ile niepokoju nam pan przysporzył!

Wyraz „nam” uderzył Maurycego.

- Wam? - spytał.

- Tak jest, mnie i tej damie, która czeka na ciebie, obywatelu.

, - Dama! - powtórzył Maurycy, nie uważając za stosowne przypomnieć sobie w tej chwili którąkolwiek ze

53

swych dawnych przyjaciółek. Dobrze .zrobiłeś, żeś mi to powiedział. Pójdę na noc do Lorina.

- O, niepodobna. Ona była v/ oknie, widziała, jakieś wysiadał, obywatelu, i zawołała: „Otóż i on!”

- E, niniejsza, że wie, iż to ja!... Nie jestem dziś uspo-

sobiony do amatorów. Idź na górę i powiedz tej kobiecie, że się pomyliła.

Służący już chciał usłuchać, ale zatrzymał się.

- Obywatelu - rzekł - myślę, że bardzo źle czynisz. Ta dama jest bardzo smutna, moja odpowiedź może doprowadzić ją do rozpacz.

- Ale cóż to za kobieta? - odparł Maurycy.

- Obywatelu, nie widziałem jej twarzy. Owinięta jest w mantyle i płacze, więcej nic o niej nie wiem.

- Płacze! - powiedział Maurycy.

- Tak, ale bardzo cicho, bo tłumi ły.

- Płacze... - powtórzył Maurycy. - Jest więc na świecie istota, którą do tego stopnia niepokoi moja nieobecność? I powoli wszedł na górę za służącym.

- Oto jest, obywatelko, jest! - zawołał tenże, wpadając do pokoju.

Maurycy wszedł za nim.

Wówczas spostrzegł w rogu salonu jakąś drżącą postać, która zasłaniała twarz rękami, jakąś kobietę, którą byłby wziął za umarłą, gdyby nie słyszał jęków, jakie wydawała.

Dał znak oficjalscie, aby się oddalił. Ten usłuchał i zamknął drzwi.

Wtedy Maurycy pospieszył ku młodej kobiecie, a ona podniosła głowę.

- Genowefa! - zawołał. - Genowefa u mnie! Czyżbym oszalał, mój Boże!?

- Nie, tyś nie oszalał, przyjacielu - odpowiedziała młoda kobieta. - Przysięgam, że będę twoją, gdy ocalisz kawalera de Maison-Rouge. Ocaliłeś go! Oto jestem. Czekam.

54

Maurycy niezbyt dobrze zrozumiał znaczenie tych słów. Cofnął się i smutnie patrząc na Genowefę, rzekł:

- Więc nie kochasz mnie już, Genowefo?
Łzy stanęły w oczach Genowefy, odwróciła głowę i oparła się o poręcz sofy, wybuchnęła głośnym łkaniem.

- Niestety! - mówił Maurycy. - Widzisz sama, że już mnie nie kochasz. Co więcej, czujesz zapewne do mnie nienawiść, bo tak rozpaczasz.

Maurycy z taką boleścią wyrzekł ostatnie słowa, że Genowefa spojrzała na niego i podała mu rękę.

- O mój Boże!... Czyż ten, którego Uważałam za najlepszego, zawsze będzie egoistą?

- Egoistą? Cóż to znaczy, Genowefo?

- Więc nie rozumiesz, jak ja cierpię? Mąż mój musiał uciekać, brat wyjęty spod prawa, dom spalony, i to wszystko w ciągu jednej nocy! Wreszcie ta okropna scena między tobą a kawalerem!

Maurycy słuchał przejęty ogromną radością.

- Więc przyszedłeś, jesteś tu, przy mnie, i już mnie więcej nie opuścisz!
Genowefa zadrżała.

- Dokąd miałam iść? - odrzekła z goryczą. - Czyż mam jakieś schronienie, czyż mam jakiegoś opiekuna prócz człowieka, który nałożył cenę za swą opiekę? Przerazona, - nieprzytomna z gniewu przebyłam most, jednak po drodze zatrzymałam się, aby się przyjrzeć ciemnej wodzie, szmerzącej pod arkadami. Widok ten pociągał mnie, wabił. „Tam - mówiłam sobie - tam spoczynek dla ciebie, biedna kobieto, tam spoczynek, tam zapomnienie!”

- Genowefo, Genowefo!- zawołał Maurycy. - I tyś to powiedziała? Więc chyba już mnie nie kochasz?

- Powiedziałam... - po cichu rzekła Genowefa - powiedziałam i przyszedłam.

Maurycy odetchnął i upadł jej do nóg.

- Genowefo - szepnął - nie płacz, Genowefo, znajdź

•

i

pocieszenie po tylu nieszczęściach, przecież kochasz mnie...
W imię nieba, powiedz, że cię tu nie sprowadziły moje
groźby. Powiedz, że gdybyś nawet nie zobaczyła mnie
dzisiejszego wieczoru, to uświadomiwszy sobie, że jesteś
sama, opuszczona, pozbawiana schronienia, byłabyś tu
przyszła. Przysięgam ci, że cię uwolnię od przysięgi, do ja-
kiej cię zmusiłem.

Genowefa odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym nie-
zrównanej wdzięczności.

-- Jesteś wspaniałomyślny! - rzekła. -. O Boże, dzięki
ci, że w nim ten przymiot odkryła!

- Posłuchaj mnie, Genowefo - mówił znowu młodzie-
niec. - Bóg, którego wypędzają ze świątyń, ale którego
wygnać nie mogp, z naszych serc, napełnionych miłością,
Bóg sprawił, że dzisiejszy wieczór jest na pozór smutny,
lecz mimo to jaśniejący radością i szczęściem. Bóg sprowa-
dził cię do mnie, Genowefo, oddał cię w moje objęcia
i przemawia do ciebie moim tchnieniem. Bóg tym sposo-
bem pragnie wynagrodzić wszystkie nasze cierpienia,
wszystkie cnoty, których dowiedliśmy pokonując miłość,
uważaną za .nieprawą, jakby uczucie pozostawione tak
długo czyste i zawsze tak głębokie mogło być występkiem.
Nie płacz więc, Genowefo. Podaj mi rękę. Czy chcesz po-
zostać u brata? Czy chcesz, aby ten brat z czcią całował rą-
bek twej szaty i wyrzekł z całą szczerością: „Wyjdę za próg
tego mieszkania i nawet się nie obejrzę?” Powiedz, daj
znak, a przekonasz się, że odejdę, że cię zostawię samą,
wolną i bezpieczną jak dziewicę w świątyni. Ale, droga
Genowefo, jeżeli zechcesz pamiętać, że cię do tego stopnia
kochałem, iż o mało co śmiercią nie przypłaciłem tej mi-
łości, że dla tej miłości, którą możesz uczynić zgubną lub
szczęśliwą, zdradziłem swoich stronników, że zniena-
widziłem i obrzydziłem sobie samego siebie!... Genowefo, ty,
która jesteś aniołem dobroci, powiedz, czy chcesz uczynić
omnie tak szczęśliwym, iżbym nie żałował życia, iżbym już

68

pożądał tylko wiecznego szczęścia? Zamiast odtrącać mnie
od siebie, uśmiechnij się do mnie, Genowefo, pozwól,
niech rękę twą przyłożę do mego serca. Pochyl się ku te-
mu, który cię kocha całą siłą, całym pragnieniem, całą
duszą. Genowefo, moja miłości, moje życie, nie cofaj swej

przysięgi!...

Pragnienie miłości, znużenie, powstałe na skutek świe-

zych cierpień, wyczerpały siły Genowefy, oczom jej łez już zabrakło, a jednak -łkania wyrywały się ciągle z jej piersi.

Maurycy zrozumiał, że Genowefa nie ma już sił dłużej mu się opierać, chwycił ją więc w ramiona. Wtedy głowę oparła na jego ramieniu, a długie, rozplecione warkocze osłoniły gorącą twarz kochanka.

Wtem Maurycy poczuł, że serce jej bije gwałtownie, miotane jakąś wewnętrzną! burzą.'

- O, ty płaczesz, Genowefo - rzekł głęboko zasmucony - płaczesz. Uspokój się! Nie, nie, teraz, kiedy tak cierpisz, nie będę ci narzucał mojej miłości. Nigdy usta moje nie splamią się pocałunkiem, który by zatrąła choćby jedna łza żalu.

I rozluźnił mocny uścisk swych ramion, odsunął czoło od czoła Genowefy i odwrócił się powoli.

Ale natychmiast, wskutek reakcji wrodzonej kobiecie, która się broni, mimo że pragnie, Genowefa zarzuciła drżące ramiona na szyję Maurycyego, uścisnęła go gwałtownie i zimną zwilżoną łzami twarz przyłożyła do gorących policzków młodzieńca, na których zastygły jej łzy.

- O - szepnęła - nie opuszczaj mnie, Maurycy, ty mi jeden już tylko na świecie pozostałeś.

87

VII

NAZAJUTRZ

Pogodne słońce, wpadające przez zielone rolety, złociło liście trzech krzaczków róż, stojących w skrzynkach na oknie Maurycyego.

Kwiaty, tym przyjemniejsze, że kwitły o spóźnionej porze roku, napełniały wonią małą salkę jadalną, niebywalej czystości, salkę, w której siedział Maurycy z Genowefą przy stole zastawionym nie obficie, lecz elegancko.

Drzwi były zamknięte, gdyż na stole znajdowało się wszystko, czego potrzebowali. Łatwo pojąć, że postanowili •

sami sobie usługiwać. W sąsiednim pokoju oficjalista krzątał się pospiesznie, zajęty jakąś robotą. Ostatnie piękne dni lata słały ciepło przez szczeliny rolet, a liście róż, oblane słońcem, błyszcząły jak złoto i szmaragdy.

Genowefa niechcący upuściła na talerz przepyszny owoc, który trzymała w ręku, i zamyślona, uśmiechając się samymi tylko ustami, bo w oczach miała jeszcze wyraz melancholii, siedziała, milcząc, nieruchoma, ociążała, jakkolwiek żywa i szczęśliwa w słońcu miłości, tak jak piękne

kwiaty.

Wkrótce oczy jej zaczęły szukać oczu Maurycego i spotkały się z jego wzrokiem, bo Maurycy także patrzył na Genowefę i marzył.

Wtedy Genowefa swą białą rączkę położyła na ramieniu młodzieńca, który zadrżał. ^Potem oparła na jego ramieniu główkę z zaufaniem i swobodą, które nieraz są czymś więcej niż miłość.

Genowefa patrzyła na Maurycego nie mówiąc, ale patrząc, zarumieniła się.

Maurycy lekko pochylił głowę i dotknął ustami rozchylnych ust kochanki.

Genowefa zbladła, powieki jej zamknęły się jak płatki kwiatu, kryjącego kielich przed promieniami światła.

58

Gdy tak prawie zamierali w niezwykłym szczęściu, usłyszeli przykry dźwięk dzwonka.

Odsunęli się od siebie.

Wszedł służący, tajemniczo zamykając drzwi za sobą.

- Obywatel Lorin - rzekł.

'- A, kochany Lorin - powiedział Maurycy. - Pójdę, odprawię go. Wybacz, Genowefo.

Genowefa zatrzymała go.

- Miałbyś nie przyjąć przyjaciela - rzekła - przyjaciela, który cię pocieszał, pomagał, wspierał? Nie, nie pozwolę, abyś takiego przyjaciela usunął z twego domu i z twego serca. Proś go, Maurycy, proś.

- Jak to, pozwalasz? - podchwycił Maurycy.

- Nawet pragnę tego - odrzekła Genowefa.

- Jakże cię kocham! - zawołał Maurycy, oczarowany jej delikatnością. - Chcesz chyba, abym nie tylko cię kochał, ale ubóstwiał.

Genowefa pochyliła ku niemu zapłonione czoło. Maurycy, otworzywszy drzwi, wprowadził Lorina pięknego jak dzień, w eleganckim ubraniu. Lorin, spostrzegłszy Genowefę, zrazu zdziwił się, lecz natychmiast z szacunkiem ją pozdrowił.

- Chodź, Lorin - rzekł Maurycy - i spójrz na panią. Jesteś złożony z tronu, bo teraz istnieje ktoś, kogo przekładam nad ciebie. O, dla ciebie, Lorin, byłbym poświęcił moje życie, dla niej... niczego nowego się nie dowiesz, skoro ci powiem, że poświęcił moje szczęście.

- Pani - rzekł Lorin z powagą, zdradzającą głębokie wzruszenie - będę się starał kochać Maurycyego bardziej niż ty, aby nie przestał mnie lubić.

- Siadajże pan - z uśmiechem rzekła Genowefa.

- Tak, siadaj - dodał Maurycy, a gdy uścisnął rękę przyjaciela i rękę kochanki, serce wypełniła mu taka radość, jakiej śmiertelnik na ziemi rzadko może zaznać.

59

- Więc teraz me pragniesz już śmierci, nie chcesz się zabić?

- Jak to? - spytała Genowefa.

- Miły Boże - rzekł Lorin - jakże zmienną istotą jest człowiek i jak słusznie filozofowie gardzą jego lekomyślnością. Czy uwierzysz pani? On wczoraj chciał rzucić się w ogień, w wodę, utrzymywał, że na tym świecie nie ma już dla niego szczęścia. A dzisiaj zastaję go wesołym, szczęśliwym, dziś ma uśmiech na ustach, pogodę na czole, żywo bijące serce, a przed sobą dobrze zastawiony stół. Prawda, że nie je, ale to nie znaczy, aby z tego powodu- był nieszczęśliwy.

- Jak to- rzekła Genowefa - on to wszystko chciał Uczynić?

- Tak. to wszystko i wiele innych niedorzeczności. Póź-

niej pani opowiem, bo w tej chwili zbyt jestem głodny, a winien temu Maurycy, który wczoraj pędził mnie po całej dzielnicy Saint-Jacques. Pozwólcie więc, że wezmę się do śniadania, którego żadne z was jeszcze nie tknęło.

- Tak, Lorin ma słuszość! - z dziecinną radością zawołał Maurycy. - Jedzmy śniadanie, bośmy jeszcze nic nie mieli w ustach, Genowefo!

Wyrzekłszy to imię, spojrzął na Lorina, ale ten nawet nie mrugnął. „

- No, zgadłeś więc, że to ona? - spytał Maurycy.

- A cóżes myślał! - odrzekł Lorin, krojąc spory kawałek szynki.

- I mnie się jeść chce - odezwała się Genowefa, podając talerz.

- Lorin - wtrącił Maurycy - wczoraj wieczorem byłem chory.

- O, byłeś więcej niż chory, byłeś szalony.

- Otóż wydaje mi się, że dziś ty z kolei jesteś cierpiący.

- A to dlaczego?

60

- !Boś jeszcze nic nie powiedział wierszem.

- E, nie o wierszach chcę z tobą pomówić, ale o rżęcach trochę' smutniejszych.

- Cóż słyszeć nowego? - z niepokojem zapytał Maurycy.

- Wkrótce będę na straży w Conciergerie.

- W Conciergerie! - rzekła Genowefa. - Przy królowej?

- Przy królowej... zapewne.

Genowefa zbladła, Maurycy zmarszczył brwi i skinął znacząco na Lorina. Ten ukroił sobie nowy kawałek szynki, dwa razy większy od poprzedniego.

W istocie królową przeprowadzono do Conciergerie, dokąd się za nią udamy.

VIII WIĘZIENIE CONCIERGERIE

Na rogu mostu Change i wybrzeża Fleurs wznoszą się szczątki starego pałacu Świętego Ludwika, gmachu, który zachował monarszą nazwę, mimo że jedynymi królami, którzy go teraz zamieszkiwali, byli pisarze sądowi, obrońcy i sędziowie.

Wielki i ponury dom sprawiedliwości budzi raczej strach, niż miłość dla swej surowej bogini. Są tam sale, w których przebywają oskarżeni, inne, w których ich sądzą, poniżej lochy, gdzie ich zamykają po wyroku. Przy wrotach znajduje się mały plac, na którym znaczą ich rozpalonym, hańbiącym żelazem. Wreszcie, o pięćset kroków dalej, drugi plac, większy i obszerniejszy, na którym ich zabijają.

Jak widać, sprawiedliwość ma tu wszystko pod ręką.

Dalej, wzdłuż bulwaru Lunettes, ciągnie się szereg budynków przylegających do siebie, ponurych, szarych, z za-

61

kratowanymi okienkami, wyglądających jak zakratowane jaskinie. To Conciergerie. '

Więzienie to ma lochy, które woda Sekwany napełnia czarnym mułem, tajemnicze wyjścia, którymi niegdyś wrzucano do rzeki ludzi niewygodnych dla monarchii.

W roku 1793 Conciergerie, ów niezmordowany dostawca ludzi przeznaczonych na rusztowanie, przepełnione było ofiarami.

Nocą, pod sklepieniem bramy, kołysała się czerwona ognista latarnia, złowrogie godło miejsca cierpień.

W wigilię dnia, kiedy Maurycy, Lorin i Genowefa jedli razem śniadanie, głuchy turkot rozległ się na bruku bulwaru i wstrząsnął szybami więzienia, wreszcie ustał na przeciwko ostrołukowej bramy. Żandarmi uderzyli w nią rękojeściami pałaszy i brama otworzyła się, wpuszczając na dziedziniec jakiś pojazd, z którego wysiadła kobieta, po czym bramę znowu zamknięto i znowu zasunięto rygle.

Kilka ciekawych głów, które przy świetle pochodni zapragnęły zobaczyć uwięzioną, ukazało się w półcieniu i znikło. Potem dały się słyszeć jakieś wulgarne śmiechy i ordynarne słowa pożegnania.

Osoba przywieziona zatrzymała się wraz z żandarmami w pierwszych drzwiach i zobaczyła, że trzeba będzie przebyć następne, lecz zapomniawszy, iż mijając je trzeba schylić głowę, uderzyła się o żelazną kratę.

- Czy bardzo cię boli, obywatelko? - zapytał żandarm.

- Teraz mnie już nic nie boli - odpowiedziała spokojnie.

.I szła dalej, nie wypowiedziawszy słowa skargi, choć ponad brwiami jej widniał krwawy ślad od uderzenia czołem o żelazną kratę.

Wkrótce ujrano krzesło dozorca, tak godne poszanowania w oczach więźniów, gdyż dozorca więzienia jest rozdawcą łask, a dla więźnia wszelka łaska ma ogromną wagę,

62

Dozorca Richard, przeświadczony o swej powadze i wielkim znaczeniu, mimo łaskotu żelaznych krat, mimo turkotu powozu, zapowiadającego przybycie nowego gościa, nie podniósł się, tylko zażył tabaki, spojrzął na uwięzioną, otworzył zatłuszczoną księgę, poszukał pióra i małego drewnianego kałamarza, w którym spleśniały po brzegach atrament zachował już tylko trochę wilgoci, podobny do wulkanu, w którego kraterze pozostają resztki topniejącej lawy.

- Obywatelu dozorczo - rzekł dowódca eskorty - przygotuj dla nas listę, ale śpiesz się, bo Gmina na nas czeka.

- O, zaraz, zaraz, chwileczkę - odrzekł odzwierny, wlewając do kałamarza kilka kropel wina ze stojącej obok szklanki. - Mam w tym wprawę, dzięki Bogu! Twoje imię i nazwisko, obywatelko?

I umoczywszy pióro w tym niby kałamarzu, zabrał się do zapisywania imienia i nazwiska nowo przybyłej w rubryce prawie całkowicie wypełnionej innymi nazwiskami. Tymczasem obywatelka Richard, stojąca za jego krzesłem, z podziwem pełnym szacunku przypatrywała się szlachet-

nej i dumnej kobiecie, której mąż jej zadawał pytania.

- Maria Antonina Joanna Józefa Lotaryńska, arcyksiężna austriacka, królowa Francji - odpowiedziała uwięziona.

- Królowa Francji? - powtórzył zdziwiony dozorca, podnosząc się nieco z krzesła.

- Tak, królowa Francji - tym samym tonem powtórzyła uwięziona.

- Zwana inaczej wdową Capet - dodał dowódca eskorty.

- Pod którym z tych dwóch nazwisk mam ją zapisać? - spytał dozorca.

- Pod którym zechcesz, byle prędzej - odpowiedział dowódca.

63

Dozorca siadł znowu na krześle i drżącą ręką zapisał w rejestrze nazwisko, imiona i tytuł, jaki mu podyktowała uwięziona. Zapis ten i dziś jeszcze, jakby krwią nakreślony, zobaczyć można w owej książce, której najszacowniejsze karty pogryzły szczury rewolucyjnego Conciergerie.

Zona Richarda stała ciągle za krzesłem męża, ale powodowana współczuciem złożyła ręce jak do modlitwy.

- Twój wiek, obywatelko? - pytał znowu dozorca.

- Trzydzieści siedem lat i dziewięć miesięcy - odpowiedziała królowa.

Richard zapisał wszystko, podał jeszcze cały rysopis, a ukończywszy swe dzieło, rzekł:

- Dobrze, już koniec.

- Gdzie mamy zaprowadzić uwięzioną? - zapytał dowódca eskorty.

Richard znowu zażył tabaki i spojrzał na swą małżonkę.

- Do licha! - rzekła. - Nie uprzedzono nas, nie wiemy, co robić.

- No, pomyślże - rzekł brygadier.

- Jest wprawdzie izba narad... - ciągnęła dalej żona dozorczy. •

- Dobrze, niech będzie izba narad, ale nie ma w niej łóżka - rzekł Richard.

- Jutro wniesiecie łóżko, przecież do jutra już niedaleko - wtrącił żandarm.

- Zresztą, mój mężu, obywatelka może dzisiaj przeno-cować w naszym pokoju - rzekła żona Richarda.

- A my gdzie się podziejemy? - spytał dozorca.

- Mylnie będziemy spali, przecież obywatel żandarm utrzymuje, że noc prędko minie.

- No, to zaprowadźcie obywatelkę do mego pokoju - odrzekł Richard.

- A tymczasem przygotujesz nam pokwitowanie, nie-prawdaż?

Żona Richarda wzięła świece ze stołu i poszła naprzód.

64

Maria Antonina postępowała za nią w milczeniu, spokojna i blada. Dwaj strażnicy, na których skinęła żona dozorczy, zamykali orszak. Pokazano królowej łożo, które żona Richarda spiesznie zasłała białą pościelą. Strażnicy stanęli we drzwiach, wreszcie drzwi zamknięto na dwie zasuwki i Maria Antonina znalazła się sama.

Dopiero nazajutrz przeprowadzono królową do izby narad, której drzwi wychodziły na korytarz. Salę tę przedzielono na dwie części. Po jednej stronie mieściła się straż, drugą zajmowała królowa.

Każdą z tych dwóch części rozjaśniało światło padające przez okno, opatrzone gęstą żelazną kratą.

Parawan, ustawiony przy drzwiach, oddzielał królową od strażników i zasłaniał środkowe wejście. Izba miała posadzkę z cegieł.

Na ścianach wisiały jeszcze strzępy tapety z królewskimi liliami, obramowane złożoną drewnianą listwą.

Łóżko, znajdujące się naprzeciwko okna, i krzesło przy tymże oknie stanowiły całe umeblowanie królewskiego więzienia.'

Królowa zażądała, aby przyniesiono jej książki i robotki.

Przyniesiono jej Rewolucję w Anglii, którą zaczęła czytać: w Tempie, Podróż młodego Anarchisty i krosienka.

Żandarmi zajęli sąsiednią celkę. Historia zachowała do dziś ich nazwiska, jak czyni to z nazwiskami najniższych nawet istot, które los związał z wielkimi wydarzeniami.

Nazywali się oni Duchesne i Gilbert.

Gmina, znając ich patriotyzm, powierzyła im nieustanny nadzór nad Marią Antoniną aż do godziny sądu.

Tego samego jeszcze dnia królowa z rozmowy owych dwóch ludzi dowiedziała się o tym ro.: porządzeniu, wszystko bowiem, co między sobą mówili, słyszała dobrze, zwłaszcza że nie zniżali głosu. Ucieszyło ją to poniekąd, bo pomyślała, że chociaż ludzie ci muszą się cieszyć całkowitym

(-A. Duma* 85

zaufaniem, ponieważ ich właśnie wybrano spośród tylu innych, przyjaciele jej łatwiej znajdą sposób na ziednanie dwóch stałych strażników, niż gdyby pilnowali jej stale zmieniający się wartownicy.

Pierwszej nocy, zanim się udała na spoczynek, jeden z żandarmów zapalił fajkę. Dym tytoniu wciskał się przez otwory przepierzenia i dokuczał nieszczęśliwej królowej.

Wkrótce poczuła, że odór fajki zaczyna powodować u niej mdłości, sprowadza ociążałość i duszność. Ale niezachwiana duma nie pozwoliła jej się użalać

Gdy tak leżała, nie mogąc zasnąć, wydało jej się, że na dworze słyszy jakieś złowrogie i przeciągłe wycie.

Wkrótce poznała, że dźwięk, który ją zrazu przejął drżeniem, bolesny, nie ustający ani na chwilę, był tylko żalnym wyciem psa. Natychmiast stanął jej przed oczami biedny Black, o którym zapomniała w chwili, gdy ją zabierano z Tempie, a którego głos, wydało jej się teraz rozpoznała.

Rzeczywiście, biedne zwierzę, które przez zbytnią czujność stało się przyczyną zguby swej pani, nie postrzeżone pobięło za nią, podążyło za powozem aż do wrót Conciergerie, skąd musiało jednak uciec, bo podwójne żelazne wrota, zamykając się za królową, o mało co go nie zmiażdżyły.

Ale wkrótce biedny pies znowu wrócił, a czując, że panią jego zamknięto w wielkim, kamiennym grobie, wył, wzywając jej, i siadłszy o dziesięć kroków od bramy, czekał na jej pieszczotliwe słowo.

Królowa odpowiedziała westchnieniem, które zwróciło uwagę strażników.

Nazajutrz o świcie królowa wstała i ubrała się. Światło, wpadające przez zakratowane okno, przy którym siedziała, objęło jej wychudłe ręce niebieskim promieniem. Zdawało się, że czyta, ona jednak błędziła myślą gdzieś daleko.

Żandarm Gilbert odsunął parawan i milcząc spojrzął na

Marię Antoninę Usłyszała skrzypnięcie sprzętu przesuwanego po podłodze, ale nie podniosła głowy.

Siedziała tak, że żandarmi mogli widzieć dokładnie jej głowę, skąpaną w porannym świetle.

Gilbert dał znak koledze, aby wraz z nim spojrzął przez otwór.

Duchesne się zbliżył.

- Patrz - rzekł Gilbert po cichu - jaka ona blada. Aż strach! Takie ma czerwone oczy, że chyba jest chora albo może płąfała.

- Wiedz o tym - odpowiedział Duchesne - że wdowa Capet nigdy nie płacze. Ona jest na to zbyt dumna.

- No, to chyba jest chora - podjął znowu Gilbert i zapytał głośno-

- Obywatelko Capet, czy nie jesteś chora? Królowa z wolna podniosła wzrok, a jej jasne i badawcze spojrzenie padło na obu ludzi.

- Panowie do mnie mówicie? - spytała pełnym słodkim głosem, gdyż wydało jej się, że w słowach tego, który ją zagadnął, daje się wyczuć współczucie.

- Tak, obywatelko, do ciebie - podjął znowu Gilbert. - Pytam, czy nie jesteś chora?

- A to dlaczego?

- Bo masz bardzo zaczerwienione oczy.

- I blada jesteś - dodał Duchesne.

- Dziękuję wam, moi panowie. Nie, chora nie jestem, ale bardzo cierpiałam dzisiejszej nocy.

- A tak, prawda... Masz dużo zmartwień.

- Nie. panowie, zmartwienia moje są ciągle takie same, ale religia nauczyła mnie składać je u stóp krzyża. Dzisiaj nie są one przyczyną większych cierpień niż wczoraj. Czuję się niedobrze, bo nie spałam dzisiejszej nocy.

- O, zapewne dlatego, że to nowe miejsce... nowe łóżko - rzekł Duchesne.

5*

67

- A poza tym, to mieszkanie nie jest takie piękne - wtrącił Gilbert.

- Nie, mci panowie - odrzekła królowa, opuszczając głowę. - Czy moje mieszkanie jest brzydkie, czy piękne, to zupełnie nieważne.

- Więc dlaczego nie spałaś?

- Bardzo panów przepraszam za to, co powiem Otóż ta woń tytoniu, którą i teraz jeszcze czuć od pana, nie pozwoliła mi w nocy spać.

Istotnie, Gilbert palił jak zwykle fajkę.

- Ach, mój Boże! - zawołał zmieszany łagodnym głosem królowej. - Czemuś tego wcześniej nie powiedziała, obywatelko?

- Bo nie mam prawa wymagać, aby pan rezygnował ze swoich przyzwyczajień.

- Dobrze, dobrze, to ja ci przynajmniej przestanę do-

kuczać - rzekł Gilbert, rozbijając fajkę o podłogę. -
Już ci kopcić nie będę.

I odwróciwszy się, wyprowadził kolegę i zasunął parawan.

- Może jej utną głowę, to już sprawa narodu, lecz po
cóż dokuczać biednej kobiecie? Przecież jesteśmy żołnierzami,
nie katami, jak Simon.

- Ej, kolego, postępujesz trochę po arystokracku -
rzekł Duchesne, potrząsając głową.

- A cóż ty nazywasz po „arystokracku”? No, wytłumacz mi to.

- Wszystko, co gniewa naród, a sprawia przyjemność jego
nieprzyjaciołom.

- To według ciebie ja tym gniewam naród, że nie chcę
uwędzić wdowy Capet? - spytał Gilbert. - Widzisz,
przyjacielu, ja tylko pamiętam przysięgę, którą złożyłem
Francji na rozkaz mego brygadiera. Znam ten rozkaz na
pamięć: „Pilnować, aby uwięziona nie umknęła, nie do-
puszczać do niej nikogo, żadnych listów, j. umrzeć na sta-

68.

nowisku." Oto wszystko, co przyrzekłem i czego dotrzymam.
Niech żyje naród!

- Nic do ciebie nie mam - odezwał się Duchesne -
ale wierz mi, byłoby mi bardzo przykro, gdybyś się czymś
naraził.

- Cicho! Ktoś nadchodzi.

Jakkolwiek rozmowę prowadzono po cichu, królowa słyszała
każde słowo.

Szmer, jaki zwrócił uwagę obu strażników, sprawiło kilka
osób, zbliżających się ku drzwiom.

Drzwi otworzyły się i weszło dwóch gwardzistów wraz
z odźwiernym i kilkoma strażnikami.

- I cóż! - spytali. - Jak się zachowuje uwięziona?

- Jest tam - odpowiedzieli dwaj żandarmi.
I Gilbert odsunął parawan.

- Czego chcesz? - zapytała królowa.

- Obywatelko Capet, Gmina przybywa cię odwiedzić.
„To jakiś poczciwy człowiek - pomyślała Maria Antonina. - A jeżeli przyjaciele moi zechcą...”

- Dostyc już, dostyc - odezwali się gwardziści, odsuwając Gilberta i wchodząc do królowej. - Po co tyle ceremonii?

Królowa nie podniosła oczu, a obojętność jej sprawiła wrażenie, że nie widzi ani nie słyszy, co się wokoło niej dzieje, jakby była zupełnie sama.

Wysłańcy Gminy obejrzeli z ciekawością wszystkie szczegóły pokoju, przypatrywali się obiciu, łóżku, kratom U okna, wychodzącego na dziedziniec, i wreszcie zaleciwszy żandarmom, czujność, wyszli, nie powiedziawszy ani słowa do Marii Antoniny, która jakby wcale nie zwróciła na nich uwagi.

IX -

SALA SKAZAŃCÓW

U schyłku dnia, kiedy gwardziści tak starannie przejrzeni więzienie królowej, jakiś mężczyzna o gęstych, czarnych włosach, w szarej karmanioli, mający na głowie czapkę, którą nosili wówczas zagorzali patrioci, przechadzał się po wielkiej sali, zwanej salą skazanych, jakby zwracał pilną uwagę na osoby, jakie zwykle ją napęniają.

Człowiek, którego postać właśnie naszkicowaliśmy, przybrał wytworną postawę. Ówczesna społeczność dzieliła się na dwie klasy: na wilków i baranów. Naturalnie jedni powinni byli straszyć drugich, ponieważ jedna połowa społeczeństwa pożerała drugą.

Nasz spacerujący był małego wzrostu, czarną i brudną ręką potrzasał pałką, którą nazywano „konstytucją”. Jakkolwiek ręka, wywijająca tę straszną broń, wydałaby się bardzo drobna każdemu, kto by wobec tej dziwnej osoby zapragnął odegrać rolę inkwizytora, nikt jednak nie śmiał kontrolować człowieka o tak odstraszałającej powierzchowności.

Istotnie, ów człowiek z pałką napęniał niemałym niepokojem gromadki pokątnych pisarzy, rozprawiających o publicznych sprawach.

Poczcivi ludzie spod oka przypatrywali się długiej, czarnej brodzie owego mężczyzny, jego zielonkawym oczom, osadzonym między gęstymi jak dwie szczotki brwiami, drżeli, gdy przechadzając się po sali groźny patriota ku nim się zbliżał.

Przyczyna trwogi pochodziła stąd, że ilekroć zbytnio się do niego przybliżyli lub zbyt bacznie nań spojrzeli, człowiek ten uderzał swą ciężką bronią o posadzkę i z kamieni jej wydobywał dźwięk raz suchy i głuchy, raz głośny i dźwięczny.

70

Gdyby pisarze nie byli tak zajęci, a przechodnie bardziej przenikliwi, byłiby się niezawodnie przekonali, że nasz buńczuczny patriota, podobnie jak wszyscy oryginałowie, niektórym tylko płytom posadzki oddawał pierwszeństwo, a mianowicie przyległym do prawej strony ściany i środkowym, wydającym dźwięk bardziej czysty i głośny.

Co więcej, człowiek ten wywierał swój gniew szczególnie na kilku środkowych płytach. Na chwilę zapomniał się nawet do tego stopnia, że wydawał się mierzyć okiem odległość.

Prawie jednocześnie drugi patriota (w owej epoce przekonania każdego obywatela wyryte były, na jego czole, a raczej odzieży) wszedł drzwiami od galerii i jakby nie dzieląc powszechnego wrażenia trwogi, jaką ów jegomość przejmował wszystkich, skierował swe kroki tak, że obaj spotkali się prawie w połowie sali.

Nowo przybyły, podobnie jak i tamten, miał czapkę futrzaną, szarą karmaniolę i kij, nadto u boku jego wisiał wielki pałasz, objijający mu się o nogi. Tym większe zaś siał przerażenie, że gdy pierwszy wydawał się groźny, ten wyglądał na chytrego i nikczemnego.

Chociaż obaj zdawali się* być jednakowych przekonań, obecni spojrzeli na nich ciekawie, czekając, co wyniknie z ich spotkania.

Z początku oczekiwanie spełzło na niczym. Dwaj dziwni patrioci poprzestali tylko na obrzuceniu się spojrzeniami. Pierwszy z nich lekko pobałdł, lecz mimowolne drganie ust świadczyło o tym, że bladość ta nie pochodziła z uczucia obawy, lecz odrazy.

Gdy jednak powtórnie się spotkali, pierwszy patriota uczynił jakby gwałtowny wysięk. Twarz jego, dotąd tak ponura, wy pogodziła się, coś w rodzaju uśmiechu przemknęło po jego ustach. Zwrócił się nieco w lewo, widocznie, aby zatrzymać drugiego patriotę.

Spotkali się prawie na środku sali.

71

- A, obywatel Simon! - rzekł pierwszy,

- Tak! A czego chcesz od obywatela Simon? Kto jesteś?

- Nie udawaj, że mnie nie znasz!

- A skąd mam cię znać, kiedy nigdy cię nie widziałem.

- No, no, nie poznajesz mnie? Mnis, który miałem zaszczyt obnosić głowę księżny de Lamballe?

Słowa te, pełne głuchej wściekłości, wyrwały się gwałtownie z ust patrioty w karmanioli.

Simon zadrżał.

- To ty? - rzekł. - Ty?

- O, czyż cię to dziwi? Mój obywatelu, sądziłem, że lepiej znasz przyjaciół i wiernych... Bardzo mi przykro, że tak nie jest.

- Tak, dobrześ się zasłużył, ale ja cię nie znałem - rzekł Simon.

- Daleko lepiej być stróżem małego Capeta, bo można wszędzie się pokazywać i wszędzie zwracać uwagę. Ja ciebie znam i szanuję.

- Dziękuję bardzo.

- Nie ma za co... Cóż, przechadzasz się tu, obywatelu?

- Tak, czekam na kogoś. A ty?

- I ja także.

- Jak się nazywasz? Powiem o tobie w klubie.

- Nazywam się Theodore.

- A dalej?
- Dalej? Alboż to nie dosyć?
- O, aż nadto... Na kogóż więc tu czekasz, obywatelu Thódore?
- Na przyjaciela, któremu mam oznajmić pewną ciekawą wiadomość.
- Doprawdy? Cóż takiego?
- O pewnych arystokratach.
- Jakże się nazywają?
- Nie, nie, to tylko mojemu przyjacielowi mogę wyznać.

72

- To źle, bo oto zbliża się ku nam mój przyjaciel, który zna się dobrze na rzeczy i potrafiłby zaraz wszystko załatwić! No, i cóż ty na to?

- Fouquier-Tinville! - zawołał pierwszy patriota.

- Anb, to dobrze.

- Zapewne, że dobrze... Dzień dobry, obywatelu Fouquier.

Fouquier-Tinville, blady, spokojny, jak zwykle mrugający czarnymi oczkami, o gęstych brwiach, wszedł bocznymi drzwiami do sali, niosąc w ręku rejestr, a pod pachą plik papierów.

- Dzień dobry, Simon - rzekł. - Cóż tam nowego?

- Bardzo wiele. Przede wszystkim mamy tu obywatela Theodore, który niósł głowę księżny de Lamballe i może uczynić pewne odkrycie. Przedstawiam ci go... Oto on.

Fouquier żywo i badawczo spojrział na patriotę, który zmieszał się, chociaż usiłował panować nad sobą. ,

- Theodore? - podchwycił Fouquier. - Cóż to za Theodore?

- To ja - odezwał się człowiek w karmanioli.

- To ty obnosiłeś głowę księżny de Lamballe? - spytał oskarżyciel z powątpiewaniem.

- Tak jest, ja, na ulicy Saint-Antoine.

- Ależ ja znam dobrze człowieka, który się tym chlubi - odpowiedział Fouquier.

- A ja znam dziesięciu takich - odważnie odpowiedział obywatel Theodore - ale ponieważ oni zawsze czegoś żądają, a ja nie żądam niczego, mam więc chyba pierwszeństwo.

Ta dowcipna odpowiedź rozśmieszyła Simona i wpo-
godziła czoło Fouquierowi.

- Masz słuszość, ale chociaż niczego nie żądałeś, masz prawo żądać. Zostaw nas, proszę, obywatelu, Simon ma mi coś do powiedzenia.

73

Theodore oddalił się, bynajmniej nie obrażony szczerością oskarżyciela publicznego.

- Czekaj - zawołał Simon - nie odprawiaj go z niczym, wysłuchaj wiadomości, jaką z nami chce się podzielić. *

- E! - zawołał Fouquier-Tenville lekceważąco. - Wiadomość? Powiedz - denuncjacja!

- Tak, na całą sforę arystokratów - rzekł Simon.

- A więc mów, o co to chodzi?

- E, to bagatelka, chodzi tu o obywatela Maison-Rouge i kilku jego przyjaciół.

Fouquier skoczył jak oparzony, Simon wznosił ręce ku niebu.

- Doprawdy? - zawołali razem.

- Ależ oczywiście. Cóż, czy chcecie schwycić wszystkich razem?

- Choćby natychmiast. Gdzie oni są?

- Spotkałem obywatela Maison-Rouge przy ulicy Grande-Truanderie.

- Mylisz się, jego nie ma w Paryżu - odpowiedział Fouquier.

- Widziałem go, powiadam.

- To niemożliwe, stu ludzi wyprawiono za nim w pogon. On nie śmiałby pokazywać się na ulicy.

- On? on? - krzyknął patriota. - Taki wielki, czarny, silny ł zarośnięty jak niedźwiedź. Fouquier pogardliwie wzruszył ramionami.

- Nowe brednie - rzekł - Maison-Rouge jest mały, chudy i wcale nie ma zarostu. Patriota zasmucony opuścił ręce.

- No, nie martw się! Dobre chęci starczą za dobry uczynek. A teraz, Simon, na nas kolej. Spiesz się, bo czekają na mnie w kancelarii.

- U mnie nic nowego. Dziecko zdrowe.

74

Patriota odwrócił się, aby go nie posądzono o ciekawość, ale tak, aby wszystko móc dokładnie usłyszeć.

- Idę już, jeżeli wam przeszkadzam - rzekł.

- Bądź zdrow - odpowiedział Simon.

- Zegnam - dodał Fouquier.

- Powiedz swemu przyjacielowi, żeś się omylił - dodał Simon.

- Dobrze, zaczekam na niego.

Theodore, powiedziawszy to, usunął się nieco i oparł na kiju.

- Więc malec zdrow? - zagadnął Fouquier Simona. A jak się sprawuje?

- Kształcę go powoli.

- 'Znowu! Widzę, że chcesz mnie zameczyć robotą.

- Przecież trzeba służyć krajowi.

Simon mówiąc to podał mu papier. Fouquier wziął go i przeczytał.

- Znowu ten twój obywatel Lorin. Musisz bardzo nie-
nawidzić tego człowieka?

- Uważam go za bardzo podejrzanego. Wczoraj wieczorem powiedział „dobranoc pani” do jakiejś obywatelki, która mu się kłaniała z okna. Jutro, mam nadzieję, doniosę ci kilka słów o innym podejrzanym, o tym Maurycym, co to był na służbie w Tempie podczas wypadku z pąsowym goździkiem.

- Byle coś dokładnego i poważnego - rzekł Fouquier, uśmiechając się do Simona.

Podał mu rękę i odwrócił się z pośpiechem, który nie świadczył o zbytnim szacunku dla szewca.

- Jakiejże, u diabła, wymagasz dokładności? Przecież gilotynowano wszystkich, nawet mniej winnych.

- Cierpliwości, cierpliwości! - spokojnie odparł Fouquier. - Wszystkiemu naraz podolać trudno!

I szybko się oddalił.

Simon poszukał wzrokiem obywatela Theodore'a, ale już go w sali nie dostrzegł.

Zaledwie jednak wyszedł za zachodnią kratę, znów uj-

78

rzał Theodore'a przy budce, pisarza. Przy nim stał mieszkaniec budki.

- O której godzinie zamykają kraty? - pytał Theodore.

- O piątej.

- A potem co tu robią?

- Nic, sala pusta jest aż do rana.

- I nie ma żadnych patroli? Nikt nie dyżuruje?

- Nie, panie, nasze baraki zamykane są na klucz.
Theodore usłyszawszy wyraz „panie” zmarszczył brwi
i natychmiast z niedowierzaniem spojrzął wokół siebie.

- Czy łom żelazny i pistolety są w baraku? - spytał.

- Są, pod dywanikiem.

- Wracaj do domu... Ale, ale, pokaż mi jeszcze izbę
trybunału, której nie zakratowane okno wychodzi na dzie-
dziniec przy placu Dauphine.

- Na lewo między kolumnami, pod latarnią.

- Dobrze. Idź i miej konie w pogotowiu w umówionym
miejscu!

- O, panie, powodzenia, powodzenia!... Może pan na
mnie liczyć.

- Teraz najlepsza chwila... nikt nie patrzy... Otwieraj
swój barak.

Obywatel Theodore, rzuciwszy wymowne spojrzenie, tak
zgrabnie wsunął się pod niski daszek budki, że znikł po-
dobny do cienia pisarza zamykającego barak.

Zacny pisarz wyjął klucz z zamka, wziął papiery pod
pachę i wyszedł z obszernej sali z niewielu urzędnikami,
których piąta godzina wypędziła z kancelarii.

OBYWATEL THEODORE

Szara zasłona nocy pokryła obszerną salę, której nie-
szczęsne echa powtarzają nieustannie cierpkie słowa adwo-
katów i błagalne wołania oskarżonych.

Od czasu do czasu przerywały ciszę harce szczurów, któ-

77

re gryzły papiery zamknięte w szafach, nie szczędząc na-
wet samego drzewa.

Czasem także można było słyszeć turkot pojazdu i ponu-
ry brzęk kluczy, dochodzący jakby spod ziemi. Wszystko
to jednak odbywało się jakby gdzieś w oddali, a każdy
szmer czynił ową ciszę jeszcze bardziej wyrazistą, podo-
bnie jak blask odległego światła bardziej uwydatnia ciem-

ność.

Bez wątpienia trwoga przejęłaby każdego, kto by o tej godzinie ośmielił się wejść do sali, której ściany czerwieniły się jeszcze od krwi wrześniowych ofiar, po której schodach tego samego dnia przeszło dwudziestu pięciu skazanych na śmierć i którą zaledwie tylko kilka kroków dzieliło od pomieszczeń zapelnionych szerniałymi szkieletami.

A jednak wśród tej przerażającej nocy, wśród uroczystego milczenia, dało się słyszeć przygłuszone skrzygnięcie. Drzwi budki pisarza obróciły się na wrzciądzach i ostrożnie wysunął się z niej cień, czarniejszy od cienia nocy.

Był to ów zajadły patriota, którego po cichu nazywano „panem”, a który głośno utrzymywał, że nazywa się Theodore. Lekką nogą dotknął chropowatej posadzki. W prawej ręce trzymał ciężki drąg żelazny, lewą zaś przymocowywał do pasa pistolet.

- Od budki aż dotąd naliczyłem dwadzieścia płyt... - szepnął. - Tutaj kończy się pierwsza.

I znowu licząc, szukał stopą między dwoma kamieniami szpary, którą czas czynił coraz większą.

- Zobaczmy - rzekł sam do siebie, zatrzymując się - czy dobrze wszystko przemyślałem, czy będę miał dosyć sił, a ona dosyć odwagi? O, znam dobrze jej odwagę. Mój Boże! Kiedyż dotknę jej ręki, kiedy jej powiem: „Jesteś, pani, ocalona!”

I umilkł, jakby przygnieciony ciężarem podobnej nadziei.

78

- Co za śmiały i nierozsądny zamiar, powie niejeden, kryjąc głowę pod poduszkę lub poprzestając jedynie na przywdzianiu liberii i przechadzaniu się koło Conciergerte. Ale oni do takiej odwagi nie są zdolni, bo ja nie tylko królową, ale i kobietę pragnę ocalić. A więc do dzieła. Podnieść płytę to nic trudnego, ale zostawić ją podniesioną to niebezpieczne, bo może nadejść patrol, choć powiada ją, że nigdy tu nie przychodzi. Nikogo nie podejrzewają, bo nie mam współników, a dla człowieka tak pełnego zapalu jak ja niewiele trzeba czasu na przebycie ciemnego korytarza. Za trzy minuty będę pod jej pokojem, za pięć minut podniosę kamień, służący jako płyta do palenia og-

nia na jej kominku. Ona usłyszy mnie, ale się nie prze-
lęknie, bo ma zbyt wiele przytomności umysłu, przeciwnie,
zrozumie zaraz, że zbliża się wybawca. Dwóch ludzi jej
strzeże, i ci zapewne przybiegną. Cóż stąd: dwóch tylko... -
rzekł z ponurym uśmiechem patriota, patrząc to na broń,
którą miał u pasa, to na drąg trzymany w ręku. - Dla
nich wystarczą dwa strzały z pistoletu lub dwa uderzenia
drągiem. Biedacy!...O, ale iluż mniej winnych już zginęło!

I obywatel Theodore odważnie wsadził drąg w szparę,
dzielącą dwie kamienne płyty posadzki. W tej samej chwili
jasne światło, jak błyskawica, przebiegło po posadzce, i ja-
kiś szmer, odbijając się o sklepienie, sprawił, że spiskowiec
odwrócił się i jednym skokiem ukrył się znowu w budce.

Wkrótce do uszu Theodore'a dobiegły jakieś odległe gło-
sy.

Schylił się i przez szczelinę w budce spostrzegł czterech
ludzi. Pierwszy, w wojskowym mundurze, miał u boku
wielką, wlokącą się po podłodze szablę, którą sprawiał
wielki hałas. Drugi, w zielonym ubraniu, trzymał w ręku
linijkę i zwój papierów pod pachą. Trzeci miał na sobie
grubą, wełnianą bluzę, czwarty - karmaniołę, a na nogach

saboty.

Żelazna krata zaskrzypiała na zardzewiałych zawiasach

79

I uderzyła o łańcuch, który w ciągu dnia służy? do Jej pod-
trzymywania Wszyscy czterej weszli do sali.

- To patrol - szepnął Theodore. - Chwała ci, Boże,
dziesięć minut później byłbym zgubiony.

I przypatrując się z głęboką uwagą, usiłował rozpoznać
osoby, które wchodziły w skład patrolu. Trzech poznał nie-
bawem.

Pierwszym, który szedł przodem w generalskim mundu-
rze, był Santerre. Za nim, w wełnianej bluzie i futrzanej
czapce, postępował dozorca Richard. Człowiekiem w sabo-
tach i karmaniole był prawdopodobnie odźwierny.

Ale nie widział nigdy mężczyzny w zielonkawym ubra-
niu, który trzymał w ręku linijkę i papiery pod pachą.

Kto to mógł być? Co robili w sali skazanych, o go-

dzinie dziesiątej wieczorem, generał Gminy, dozorca Conciergerie, odźwierny i nieznajomy człowiek?

Obywatel Theodore przyklął, trzymając w jednej ręce nabity pistolet, a drugą poprawił czapkę.

Czterej przybysze dotąd milczeli albo słowa ich rozmowy nie dobiegały uszu spiskowca.

Lecz gdy zbliżyli się na dziesięć kroków od budki, pierwszy przemówił Santerre, a jego głos wyraźnie usłyszał obywatel Theodore.

- Tak - powiedział - oto jesteśmy w sali skazańców. Obywatelu architekcie, powinienes nas teraz poprowadzić i przekonać, że odkrycie twoje nie jest niedorzecznością. Wiadomo ci zapewne, że Rewolucja zawsze wymierzała sprawiedliwość za wszelkie tego rodzaju głupstwa i teraz nie wierzymy już ani w podziemia, ani w duchy! Cóż ty na to, obywatelu Richard? - dodał Santerre, zwracając się do człowieka w wełnianej bluzie i futrzanej czapce.

- Ja nie spieram się nigdy o istnienie podziemi w Conciergerie - odpowiedział Richard - ale Grakchus, który od dziesięciu lat jest tu odźwiernym, a tym samym zna Conciergerie jak własną kieszeń, utrzymuje stanowczo, iż

80

nic nie wie o podziemiu, o jakim mówi obywatel Giraud. Ponieważ jednak obywatel Giraud jest budowniczym miasta, musi ze względu na swój zawód lepiej o tym wiedzieć niż my.

Theodore, słysząc to, zadrżał na całym ciele.

- Na szczęście - szepnął - sala jest wielka, muszą szukać co najmniej dwa dni, zanim znajdą to, czego pragną.

Architekt rozwinął wielki zwój papieru, włożył na nos okulary i przyklęknął przed planem, oświetlonym drgającym światłem latami, którą trzymał Grakchus.

- Boję się - rzekł Santerre drwiąco - czy czasem obywatel Giraud nie jest marzycielem.

- Zobaczysz, obywatelu generale - odpowiedział architekt - zobaczysz, czy jestem marzycielem. Poczekaj tylko.

-- Widzisz przecież, że czekamy - odparł Santerre.

- Dobrze - rzekł budowniczy, a potem licząc na głos dodał: - Dwanaście a cztery to szesnaście, a osiem to dwadzieścia cztery, podzielone przez sześć to będzie cztery. Otóż znalazłem już to miejsce, a jeżeli się mylę choć o jedną stopę, będziecie mogli powiedzieć, że nieuk.

Architekt z taką pewnością wymówił te słowa, że obywatel Theodore skamieniał.

Santerre z pewnym rodzajem szacunku spojrział na plan.

Tym bardziej go podziwiał, im mniej rozumiał.

- Tu na tym planie, który narysowałem, o trzynaście kroków od ściany jest ruchoma płyta, którą oznaczyłem literą A. Widzicie? Pod tą taflą są schody... - mówił dalej budowniczy. - Jak widzisz, oznaczyłem je literą B.

- B... - powtórzył Santerre. - Widzę B, ale schodów nie widzę.

I generał roześmiał się na głos z tego żartu.

- Podnieś płytę, zejź aż na ostatni schodek - mówił dalej budowniczy - policz pięćdziesiąt kroków i trzy stopy,

S-A. Dumas 81

spójrzyj w górę, a znajdziesz się na samym końcu podziemia pod więzieniem królowej.

- Wdowy Capet, chciałeś powiedzieć, obywatelu Giraud - wtrącił Santerre, marszcząc brwi.

- A tak, wdowy Capet.

- Dlaczegoż powiedziałeś „królowej”?

- Tak z przyzwyczajenia.

- I powiadasz, że można znaleźć się pod więzieniem? - spytał Richard.

- Nie tylko pod więzieniem, ale, dokładnie mówiąc, pod miejscem, gdzie stoi kominek.

- O, to ciekawe - podchwycił Grakchus. - Rzeczywiście, ile razy kładę drzewo w tym miejscu, zawsze odzywa się jakieś echo.

- Wiesz co, obywatelu architekcie, jeżeli znajdziemy to, o czym mówisz, przyznam otwarcie, że geometria to piękna nauka.

- O, już teraz możesz to przyznać, obywatelu Santerre.

Obywatel Theodore wbił sobie paznokcie w ciało.

- Muszę sam się o tym przekonać - rzekł Santerre. - Jestem niewierny jak święty Tomasz.

- Oho, teraz wspomniałeś świętego.

- A tak, prawda. Ale to z przyzwyczajenia/podobnie jak ty powiedziałaś „królowa”. Nikt mnie jednak nie obwini o spisek na korzyść świętego Tomasza.

- Ani mnie o spisek na korzyść królowej. To powiedziawszy, architekt wziął znowu linię do ręki, przemierzył potrzebną mu odległość i uderzył w jedną z płyt.

Była to właśnie ta sama płyta, w którą obywatel Theodore tak często stukał, uniesiony wściekłym gniewem.

- To tu, obywatelu generale - rzekł budowniczy.

- Tak sądzisz, obywatelu Giraud?

82

Patriota, znajdujący się w schowku, do tego stopnia się zapomniał, że zaciśniętą pięścią uderzył się gwałtownie w nogę i wydał głuchy jęk.

- Jestem tego pewien - mówił dalej Giraud. - Wąska ekspertyza wraz z moim raportem przekona Konwent, że się nie myliłem. Tak, obywatelu generale - z dumą dodał budowniczy - płyta ta otwiera zejście do podziemia. kończącego się pod więzieniem wdowy Capet. Podnieśmy płytę, zejźmy razem do podziemia, a przekonam cię, że dwóch ludzi, a nawet jeden może którejś nocy wykraść uwięzioną, kiedy nikt nie będzie się tego spodziewał.

Szmer trwogi i zdziwienia, obudzony słowami budowniczego, przebiegł po zgromadzonych.

- Widzicie więc, że byliśmy narażeni na niebezpieczeństwo - ciągnął dalej Giraud. - Ale teraz mam na to sposób. Przegrodzę podziemie żelazną kratą i ocalę Francję!

- Obywatelu Giraud - zawołał Santerre - to wzniosła myśl!

- Niech cię piekło pochłonie, przeklęty ośle! - z wściekłością mruknął Theodore.

- Teraz podnieś płytę - rzekł budowniczy do obywatela Grakchusa, który oprócz latarni miał także i drąg.

Obywatel Grakchus zabrał się do dzieła i po chwili płyta była już podniesiona. Wówczas ukazało się wejście do podziemia, a w głębi schody. Buchnęło stamtąd powietrze gęste jak para.

- Znów daremny wysiłek! - szepnął obywatel Theodore. - Czyż niebo nie chce jej ocalić? Czyż sprawa jej jest przeklęta?

c

OBYWATEL GRAKCHUS

Przez chwilę Santerre, budowniczy i Richard stali nieruchomo nad wejściem do podziemia, odźwierny zaś spuścił latarnię w otwór, ale tylko oświetlił jego górne część.

Budowniczy, pełen triumfu, wydawał się swym geniuszem górować nad towarzyszami.

- I cóż? - rzekł po chwili.

- Na honor! - odpowiedział Santerre. - Tale... To pod ziemię. Niewątpliwie podziemie. Trzeba tylko dowiedzieć się jeszcze, dokąd ono prowadzi.

- To zejdziesz, obywatelu, a przekonasz się, czy mówię prawdę.

- Zamiast tędy wchodzić - odrzekł Richard - lepiej będzie pójść razem na górę. Tam podniesiemy płytę w kominku.

- Bardzo dobrze - rzekł Santerre. - Chodźmy!

- Ej, strzeż się - odparł architekt. - W ten sposób zostawiona płyta może kogoś naprowadzić na ślad.

- Któż, u diabła, mógłby tu przyjść o tej godzinie? -
rzekł Santerre.

- A poza tym - podjął Richard - w sali nie ma nikogo, zostawimy tu więc Grakchusa i wszystko będzie w porządku. Zostań tu, obywatelu Grakchusie, przyjdziemy do ciebie podziemiem z drugiej strony.

- Dobrze - rzekł Grakchus.

- Masz jakąś broń przy sobie? - spytał Santerre.

- Mam szablę i drąg, obywatelu generale.
I wszyscy trzej, zamknąwszy kratę, odeszli przez galerię Merciers korytarzem wiodącym do Conciergerie.

Odźwierny widział, jak się oddalali, śledził ich wzrokiem, dopóki mógł, słuchał, dopóki mógł coś dosłyszeć.

84

Wreszcie, gdy znowu wszędzie zaległa cisza, postawił latarnię na ziemi, usiadł, zwiesiwszy nogi w czeluść podziemia, i zaczął marzyć.

Bo i odźwierni czasami marzą, tylko nikt jeszcze nie zadał sobie trudu, aby dociec, jakie są ich marzenia.

Nagle, gdy pogrążył się w zadumie, uczuł, że czyjaś ręka opiera się na jego ramieniu. Odwrócił się, ujrzał przed sobą obcą twarz i chciał krzyknąć, ale natychmiast zimny pistolet dotknął jego czoła. Głos ugrzął mu w gardle, ręce opadły bezwładnie, a w oczach pojawił się wyraz największego błagania.

- Ani słowa - rzekł nowo przybyły - albo umrzesz.

- Czego pan chcesz ode mnie? - wyjąkał odźwierny.
Widzimy, że i w roku 1793 zdarzały się chwile, kiedy nie

mówiono sobie „ty”, kiedy zapomniano tytułować się

„obywatelem”!

- Chcę - odpowiedział obywatel Theodore - abyś pozwolił mi tam wejść.

- A to po co?

- Co ci do tego?

Odźwierny z największym zdziwieniem spojrział na człowieka, zwracającego się do niego z tak niezwykłym żądaniem. Ale w spojrzeniu przybysza dostrzegł tak szczególny wyraz, że odwrócił swój wzrok.

- Nie odrzuciłbyś majątku, co?

- Nie wiem, nikt mi dotąd nic podobnego nie proponował.

- No, to ja ci zaproponuję.

- Pan mi ofiaruje majątek?

- Tak jest.-

- Co pan rozumie przez słowo majątek?

- Na przykład... pięćdziesiąt tysięcy liwrów w złocie. Pieniądz to teraz bardzo rzadki, przyznasz więc, że pięćdziesiąt tysięcy liwrów w złocie warte tyle co milion. Otóż, ja ci je ofiaruję.

85

- Czy za to tylko, że pan tam wejdzie?

- Tak, ale pod warunkiem, że mi będziesz towarzyszył i dopomożesz .w realizacji moich zamiarów.

- Jakich zamiarów? Za pięć minut żołnierze znajdą się w podziemiu i zaarrestują pana.

Obywatel Theodore zrozumiał całą wagę tych słów.

- A czy nie mógłbyś przeszkodzić żołnierzom?

- Nie mogę, nie mam żadnego sposobu. Na próżno usiłuję coś wymyślić.

Rzeczywiście, odźwierny daremnie wyteżał cały swój umysł, usiłując wynaleźć jakiś sposób, ażeby zostać panem pięćdziesięciu tysięcy liwrów w złocie.

- A jutro? - zapytał obywatel Theodore. - Czy jutro nie będziemy mogli tam się dostać?

- Owszem, ale do jutra podziemie przegrodzone zo-

stanie kratą, i to, dla większego bezpieczeństwa, mocną solidną kratą.

- Więc trzeba obmyślić coś innego - podchwycił obywatel Theodore.

- Tak - odparł odźwierny. - Pomyślmy.

Z samego sposobu wyrażania się obywatela Grakchusa

wynikało jasno, że między nim a obywatelem Theodore'em

nastąpiło zupełne porozumienie.

- To do mnie już należy - odrzekł Theodore. - Co robisz w Conciergerie?

- Jestem odźwiernym.

- I sypiasz tam?

- Tak, panie.

- I jadasz?

- Nie zawsze. Miewam godziny wolne.

- I co wtedy czynisz?

- Idę na umizgi do gospodyni szynku „Pod Studnią Noego”, która przyrzekła oddać mi rękę, skoro, zbiorę tysiąc dwieście franków.

- A gdzie jest szynk „Pod Studnią Noego”?

88

- Przy ulicy Vieille-Draperie.

- Bardzo dobrze.

- Cicho, panie!
Patriota nastawił ucha.

- AL.

- Słyszysz coś?

- Tak... słysząc głosy i stąpania,

- Już wracają. Widzi pan, że nie mielibyśmy czasu.

To „my” coraz bardziej określało ich stosunek.

- Prawda. Jesteś dzielnym chłopcem, obywatelu, i uważam, że przeznaczone ci jest być bogatym.

- Daj Boże!

- Wierzysz więc w Boga?

- Czasem. Dzisiaj na przykład...

- Wierz zatem - rzekł obywatel Theodore, kładąc dzieśnię luidorów w rękę odźwiernego.

- O, do diabła! - odpowiedział tenże, przyglądając się złotu przy świetle latarni. - Więc to prawda?

- Najprawdziwsza. . . .

- Cóż więc mam czynić?

- Bądź jutro w szynku „Pod Studnią Noego”, powiem ci wtedy, czego od ciebie będę chciał. Jak się nazywasz?

- Grakchus.

- A więc, obywatelu Grakchusie, postaraj się, aby dozorca Richard jutro cię stąd wypędził.

-- Cóż więc stanie się ze mną?

- Czy myślisz pozostać odźwiernym, mając pięćdziesiąt tysięcy luidorów?

- Nie, ale jako odźwierny i jako ubogi człowiek wiem, że nie będę zgilotynowany.

- Schowaj pieniądze i zalecaj się do jakiejś pończoszarki, nie zaś do gospodyni szynku „Pod Studnią Noego”.

- Zgoda.

- Więc jutro w szynku!

- O której godzinie?

87

'- O szóstej wieczorem.

- Uciekaj pan prędko. Oni już nadchodzą... Uciekaj pan, powtarzam, bo będzie źle!

- Do jutra zatem! - powtórzył Theodore, oddalając się prędko.

W istocie, czas naglił. Kroki i głosy coraz bardziej się zbliżały. W ciemnym podziemiu widać już było blask światła.

Theodore dopadł drzwi, jakie mu przedtem wskazał pisarz, odbił zamek, dostał się do wiadomego okna, otworzył je, wyskoczył i znalazł się na ulicznym bruku. Ale zanim opuścił Conciergerie, słyszał jeszcze, jak obywatel Grakchus zadawał pytania Richardowi i jak ten mu odpowiadał.

- Obywatel architekt miał zupełną słuszość. Podziemie przechodzi pod pokojem wdowy Capet. To bardzo niebezpieczne.

- I ja tak sędzę - rzekł Grakchus, któremu sumienie nakazywało głośno powiedzieć prawdę.'
Santerre ukazał się u wylotu schodów.

- A twoi robotnicy, obywatelu architekcie? - zapytał

Girauda.

- Będą tu przed świtem i krata natychmiast zostanie ustawiona - odrzekł głos wydobywający się jakby z wnętrza ziemi.

- I ocalisz ojczyznę! - odpowiedział Santerre na pół szyderczo, na pół poważnie.

- Nie wiesz, jak słusznie mówisz, obywatelu generale-wyszeptał Grakchus.

XII

KRÓLEWSKIE DZIECKO

Tymczasem, jak mogliśmy wnioskować z poprzedniego rozdziału, zaczęto przygotowywać proces królowej.

Wszystko wskazywało na to, że przez ofiarę, uczynioną z głowy królowej, wzbierająca od dawna nienawiść ludu będzie w końcu zaspokojona.

*

Nazajutrz po opisanej scenie w Conciergerie szczęk broni znowu przeraził więźniów, którzy pozostali jeszcze w Tempie.

(Więźniami tymi byli księżniczka Elżbieta, córka królowa i dziecko, któremu w kołysce nadano tytuł królewski, a teraz nazywano tylko małym Ludwikiem Capet.

Generał Hanriot z trójkolorową szarfą i wielką szablą, na opastym koniu, wraz z kilkoma narodowymi gwardzistami wjechał na dziedziniec Tempie. Przy boku jego siedł protokolant z kałamarzem w ręku, plikiem papierów pod pachą, wywijając niezwykle długim piórem. Za nim postępował oskarżyciel publiczny - widzieliśmy go już, znamy i zobaczymy jeszcze później - suchy, żółty, wyniosły, który nawet w krwawym • generale Santerre wzbudzał drżenie swym okrutnym spojrzeniem. Resztę orszaku stanowiło kilku gwardzistów i porucznik.

Simon z chytrym uśmiechem, trzymając w jednej ręce niedźwiedzią czapkę, w drugiej pocięgiel, prowadził komisję i wskazywał jej drogę.

Wszyscy weszli do ciemnego, obszernego i pustego pokoju, gdzie w głębi siedział nieruchomo na łóżku młody Ludwik.

Kiedy widzieliśmy, jak nieszczęśliwe dziecko uciekało przed zwierzęcą wściekłością Simona, można w nim było dostrzec pewien zasób sił żywotnych, które powodowały, iż reagował przeciwko niegodziwemu postępowaniu szewca z Tempie. Dziecko uciekało, krzyczało, płakało, bało się więc, cierpiało, ale miało jakąś nadzieję. Dziś obawa i nadzieja już znikły. Cierpienie istniało zapewne, lecz dziecko, któremu w tak okrutny sposób kazano pokutować za błędy rodziców, kryło owo cierpienie w głębi serca i osła-

88

niało pozorami zupełnej obojętności. Nie podniosło więc głowy, gdy komisarze zbliżyli się ku niemu.

Oni zaś bez żadnych wstępów zasiedli na krzesłach, oskarżyciel publiczny u wezłowania łóżka, Simon w nogach,;

protokolant przy oknie, gwardziści i porucznik po bokach, nieco w cieniu.

Ci z obecnych, którzy z niejakim zainteresowaniem, a nawet ciekawością przyglądali się małemu więźniowi, zauważyli, że miał bladą twarz, dziwnie nabrzmiałą, spuchniętą i wychudzone nogi.

- To dziecko jest bardzo chore - rzekł porucznik tak stanowczo, że Fouquier-Tinville aż się odwrócił, chociaż zamierzał już rozpocząć badanie.

Mały Capet podniósł wzrok i szukał tego, który wymówił te słowa.

Poznał młodzieńca, który niegdyś na dziedzińcu w Tempie obronił go przed uderzeniami Siroona. Wyraz wdzięczności, pełen słodczy, zabłysł w jego oczach, ale po chwili znikł.

- A, to ty, obywatelu Lorin -• rzekł Simon, zwracając tym sposobem uwagę Fouquier-Tinville'a na przyjaciela Maurycego.

- Ja we własnej osobie, obywatelu Simon - odparł nieustraszony Lorin. A chociaż zawsze był gotów stawić czoło niebezpieczeństwu, teraz, nie chcąc go szukać niepotrzebnie, skorzystał ze sposobności i pozdrowił Fouquier-Tinville'a, a ten oddał mu grzeczny ukłon.

- Uczyniłeś uwagę, obywatelu - rzekł oskarżyciel publiczny - z'e to dziecko jest chore. Czy jesteś lekarzem?

- Lekarzem wprawdzie nie jestem, ale uczyłem się medycyny. ! • • ^

- To powiedz, co mu jest?

- Czy mam powiedzieć, jakie są oznaki choroby? -• spytał Lorin.

- Tak.

M

- Widzę, że ma powieki i policzki nabrzmiałe, ręce blade i wychudłe, spuchnięte kolana, a zbadawszy puls, przekonałbym się z pewnością, że jest bardzo przyśpieszony.

- A czemu nauka przypisać może ten stan więźnia? - zapytał oskarżyciel publiczny.

Lorin podrapał się w ucho i mruknął:

Filis sądzi, że mnie znęci
Do mówienia mimo chęci.

I dodał głośno:

- Na honor, obywatelu, nie znam tak dalece organizmu małego Capeta, żebym ci mógł odpowiedzieć, jednakże...

Simon nastawił ucha i śmiał się w duszy, widząc, że jego nieprzyjaciel o mało co się nie skompromitował.

- Jednakże sądzę - dodał Lorin - że za mało ma ruchu.

- Bardzo być może - rzekł Simon - ten mały łotr wcale nie chce chodzić.

Słowa szewca nie sprawiły żadnego wrażenia na dziecku.

Fouquier-Tinville wstał, zbliżył się do Lorina i rozmawiał z nim po cichu.

Nikt nie słyszał, co mówił oskarżyciel publiczny, widać jednak było, że o coś się wypytywał.

- I ty w to wierzysz, obywatelu?... Nie, matka by tego nie popełniła.

- W każdym razie dowiemy się o tym - rzekł Fouquier. - Simon utrzymuje, że sam słyszał, jak dziecko mówiło o tym do siebie, i gotów jest powiedzieć jej to w oczy.

- Byłoby to haniebne - odparł Lorin - ale wszystko jest możliwe. Austriaczka nie jest Zapewne wolna od grzechu, zresztą, to do mnie nie należy... Zrobiono z niej Mesalinę, a teraz Agrypinę chcą z niej zrobić. To doprawdy trochę już za wiele.

91

- Tak nam przynajmniej donosi Simon - rzekł niezruszony Fouquier.

- Nie wątpię, że Simon mógł to powiedzieć. Są ludzie, których żadne, nawet niewiarygodne oskarżenie nie przeraża. Ale ty, obywatelu - mówił dalej Lorin, śmiało pa-

trząc Fouquierowi w oczy - ty, który jesteś dzielny i prawy, czyż sądzisz, że przystoi wypytywać dziecko o szczegóły, dotyczące osoby, którą najnaturalniejsze i najświętsze prawa nakazują mu szanować? Byłoby to tym samym, co znieważać godność ludzką w osobie tego dziecka!

Oskarżyciel nawet nie mrugnął, ale wydobył z kieszeni papier i pokazał go Lorinowi.

- Konwent rozkazuje, abym przeprowadził śledztwo.

- Tak, to słusznie - rzekł Lorin. - Jeżeli dziecko zna... - dodał, wzdrygając się z odrazą.

- Zresztą - podchwycił Fouquier - postępowanie nasze nie jest wynikiem samej tylko denuncjacji Simona. Patrz, oto oskarżenie publiczne - dodał, wyjmując z kieszeni jakiś papier.

Był to numer dziennika zwanego „Ojciec Duchesne”, redagowanego, jak wiadomo, przez Heberta.

Dziennik rzeczywiście zawierał oskarżenie.

- Tak napisano, a nawet wydrukowano - rzekł Lorin - ale tak samo jak ty nie uwierzę, dopóki nie usłyszę tego oskarżenia z własnych ust dziecka, naturalnie, jeżeli uczyni to dobrowolnie, bez żadnych gróźb!

Simon niecierpliwie czekał końca tej rozmowy. Nie rozumiał, jakie wrażenie wywiera na rozsądnym człowieku wzrok, w którym objawia się albo cała sympatia, albo najbardziej zajadła nienawiść.

Fouquier poczuł całą wagę spojrzenia Lorina i chciał mu dać poznać, że go rozumie.

- Przystępujemy do badania - rzekł oskarżyciel publiczny. - Sekretarzu, bierz pióro do ręki. Protokolant napisał wstęp do zeznań i również, jak Si-

92

mon, Hanriot i wszyscy inni, czekał na koniec rozmowy Fouquier-Tinville'a z Lorinem. Tylko dziecko wydawało się obojętnym widzem sceny, której było głównym aktorem. Rzuciło znowu nieobecne spojrzenie, które na chwilę rozjaśnił blask żywej inteligencji.

- Uciszcie się! - zawołał Hanriot. - Obywatel Fou-

quier-Tinville będzie dziecku zadawał pytania.

- Capecie - odezwał się oskarżyciel - czy wiesz, co się stało z twoją matką?

Marmurowa bladość znikła z twarzy małego Ludwika, ustępując miejsca rumieńcom. Nie odpowiedział jednak ani słowa.

- Czy słyszałeś mnie, Capecie? - podjął znowu oskarżyciel.
Milczenie.

- O, on słyszy bardzo dobrze - odezwał się Simon - ale jest jak małpa, która nie chce odpowiadać z obawy, aby jej nie wzięto za człowieka i nie kazano pracować.

- Odpowiadaj, Capecie - rzekł Hanriot. - Komisarze Konwentu przyszli cię badać i winieniś im posłuszeństwo. Dziecko zbladło, ale nic nie odpowiedziało. Simon pogroził mu wściekle - gniew u głupców i brutalni. przypomina opilstwo, gdyż towarzyszą mu ohydne przejawy pijaństwa.

- Odpowiesz, wilczku, czy nie? - zawołał pokazując mu pięść.

- Milcz, Simon - rzekł Fouquier-Tinville - nie masz głosu.

Słowo, do którego przyzwyczał się w trybunale rewolucyjnym, wyrwało mu się teraz niechęcący.

- Słyszysz, Simon - podchwycił Lorin - nie masz głosu, już po raz .drugi mówią ci to w mojej obecności. Po raz pierwszy .powiedziano ci wtedy, kiedyś oskarżał córkę starej Tison, której ku twemu zadowoleniu kazano

uciąć głowę.

93

Simon umilkł. •

- Czy twoja matka kochała cię, Capecie? - spytał Fouquier.

Dziecko milczało. <

- Mówią, że nie - ciągnął dalej oskarżyciel.

Błady uśmiech przebiegł po ustach dziecka.

- Ależ powiadam wam - ryknął Simon - że sam mi mówił, iż matka zbyt go kochała!

- Widzisz, Simon, jak to niedobrze, że mały Capet, tak rozmowny z tobą sam na sam, przy ludziach staje się zupełnie niemy - rzekł Lorin.

- O, gdybyśmy tu byli sami! - odparł Simon.

- Tak, gdybyście byli sami... ale na nieszczęście nie jesteście. O, gdybyście byli sami, dzielny Simon, znakomity patrioto, jakże byś zbił to dziecko, nieprawdaż? Ale nie jesteś sam i nie śmiesz być nikczemny wobec nas wszystkich, bo jesteśmy uczciwymi ludźmi i wiemy, że starożytni, na których pragniemy się wzorować, szanowali zawsze wszystko, co słabe. Nie śmiesz tego uczynić, bo nie jesteś sam i tchórzysz, mój pocziwcze, kiedy musisz stanąć do walki z dzieckiem mającym pięć stóp i sześć cali wzrostu.

- O!... - mruknął Simon zgrzytając zębami.

- Capecie - zaczął znowu Fouquier - czy zwierzałeś się z czegokolwiek Simonowi?

Dziecko obejrzało się, a w spojrzeniu jego odmalował się wyraz trudnej do opisania ironii.

- Czy mówiłeś mu coś o swej matce? - dodał oskarżyciel.

W oczach dziecka zabłysła pogarda.

- Odpowiadaj, tak czy nie? - krzyknął Hanriot.

- Odpowiadaj! - ryknął Simon, wznosząc pocięgiel nad dzieckiem.

Dziecko zadrżało, ale nie usiłowało bynajmniej uniknąć ciosu.

94

Zgromadzeni wydali jakby okrzyk odrazy. Tylko Lorin skoczył naprzód i zanim ramię Simona opadło, schwycił go za rękę.

'- Puścisz mnie? - wrzasnął Simon, drżąc cały

z wściekłości.

:- No, no - odrzekł Fouquier - nie ma w tym nic złego, że matka kocha swe dziecko. Powiedz nam, w jaki sposób kochała cię twoja matka. To, co powiesz, może się jej przydać...

Młody więzień zadrżał na myśl, że może się stać matce użyteczny.

- Ona mnie kochała, panie, jak matka kocha syna - rzekł. - Matki mają tylko jeden sposób kochania swych dzieci i dzieci tylko jednym sposobem odpłacają matkom miłość.

- A ja, mały wężu, utrzymuję, żeś mi powiedział, iż twoja matka...

- Śniło ci się tylko - spokojnie przerwał Lorin. - Zmora musi cię często dusić, Simon.

- Ej, Lorin, Lorin! - jęknął Simon.

- No, cóż? Nie możesz zabić tego Lorina, bo on zawsze bije wszystkich złoźników. Nie możesz go zadenuncjować, bo jeżeli wstrzymał twoją rękę, uczynił to wobec generała Hanriot i obywatela Fouquier-Tinville, którzy to pochwalają, a przecież nie są obojętnymi patriotami. Nie ma więc sposobu, aby zaprowadzić Lorina pod gilotynę, jak ci się to udało z Heloizą Tison. Szkoda, wielka Szkoda, mój biedny Simon, ale tak to na świecie bywa!

- Poczekaj, później ci pokażę! - odgrażał się szewc z wściekłością.

- Dobrze, kochany przyjacielu - zawołał Lorin - ale mam nadzieję, że przy pomocy Najwyższej Istoty - a myślałeś, że powiem przy pomocy bożej, co? - przy pomocy więc Najwyższej Istoty i mojej szabli mam nadzieję, że

95

ci pierwszej kiszki wypruję. No, usuń się, Simon, bo mi

Zasłaniasz.

- Rozbójniku!

- Milcz, bo nic nie można usłyszeć - dodał Lorin,

przygniatając Simona spojrzeniem.
Simon. zacisnął pięści.

- Obywatelu Fouquier - rzekł Hanriot - skoro mały Capet zaczął mówić, będzie mówił dalej. Przystąp więc znów do badania.

- Cóż, będziesz mi teraz odpowiadał? - spytał Fouquier.
Dziecko znowu milczało.

- A widzisz, obywatelu, widzisz! •- odezwał się Simon.

- Tak, ten mały jest szczególnie uparty - wtrącił Hanriot, mimo woli zmieszany stanowczością królewskiego dziecka.

- Złego ma doradcę - wtrącił Lorin.

- A kogóż to? - spytał Hanriot.

- No, swego zwierzchnika - rzekł Lorin.

- Oskarżasz mnie! - zawołał Simon. - Denuncjujesz mnie! A, ciekaw jestem, co z tego będzie...

- Pomówmy z nim łagodnie - rzekł Fouquier.
I zwróciwszy się do dziecka, które wydawało się obojętne na wszystko, dodał:

- Moje dziecko, odpowiedz narodowej komisji, nie pogarszaj swego położenia, odmawiając potrzebnych wyjaśnień. Mówiłeś obywatelowi Simon o pieszczotach twojej matki, mówiłeś, jak cię pieściła, jak cię kochała...

Ludwik powiódł wzrokiem po zgromadzonych i spojrzenie pełne nienawiści zatrzymał na Simonie, ale nic nie odpowiedział.

- Czy uważasz się za nieszczęśliwego? - spytał oskarżyciel. - Masz tu może złe mieszkanie, może cię źle karmią i źle się z tobą obchodzą? Może pragniesz większej swobody, innej żywności, innego więzienia, innego dozorczy?

W

Może chcesz mieć za towarzyszy kilku chłopców w twoim wieku?

Ludwik pogrążył się znowu w głębokim milczeniu, któ-

re przedtem przerwał jedynie, by bronić swej matki.

Komisję zdziwiła niepomernie taka stanowczość i niepojęty rozsądek dziecka.

- Jak mam spisać protokół zeznań? - spytał zakłopotany protokolant.

- Najlepiej będzie poruczyć to Simonowi - wtrącił Lorin. - Nie ma nic do pisania, to dla niego nie lada gratka.

Simon pogroził pięścią nieubłaganemu wrogowi. Lorin roześmiał się na cały głos

- Zobaczmy, czy się tak roześmiejesz, kiedy kichniesz w worek - pijany wściekłością rzeki Simon.

- Nie wiem, czy przed tobą, czy po tobie wezmę udział w ceremonii, którą mi grozisz - odparł Lorin - ale wiem, że niejeden śmiać się będzie, skoro na ciebie przyjdzie kolej. Bogowie... o, powiedziałem w liczbie mnogiej.. bogowie, jakież ty brzydki wtedy będziesz, Simon! O! Jaki okropny, jaki szkaradny!

I wybuchając wesołym śmiechem, Lorin cofnął się, a członkowie komisji, nie mając już nic do czynienia, wyszli.

Dziecko, pozbywszy się natrętnych gości, siadło na łóżku i melancholijnym głosem zaczęło nucić ulubioną piosenkę swego ojca.

XIII BUKIET FIOŁKÓW

Łatwo było przewidzieć, że spokój niedługo będzie gościć w szczęśliwym schronieniu Maurycego i Genowefy. Burza, miotająca wiatry i pioruny, tak samo wstrząsa

1 - A. Dumas

97

gniazdem gołębi, jak drzewem, co je ukrywa pod swymi konarami.

Genowefa żyła w ciągłym strachu. Nie bała się już o kawalera de Maison-Rouge, ale o Maurycego. Znając

dobrze swego męża, wiedziała, że jeśli znikł, to znaczy, że ocalał. Była tego pewna, lecz drżała o siebie samą.

Nie śmiała powierzyć swoich zmartwień Maurycemu, ale zaczerwienione oczy, pobladłe usta wyraźnie świadczyły o jej trosce.

Pewnego ranka, pogrążona w głębokiej zadumie nie słyszała, że Maurycy wszedł po cichu, stanął i patrzył, jak siedzi nieruchomo, z osłupiałym wzrokiem, - bezwładnie opuściwszy ręce.

Maurycy, bardzo smutny, patrzył tak przez • chwilę, a umiając czytać w głębi jej duszy, przeniknął myśli młodej kobiety.

Zbliżył się więc do niej i rzekł:

- Ty już nie kochasz Francji, Genowefo, wyznaj szczerze, Wnikasz nawet powietrza, jakim w niej oddychają i ze wstrętem zbliżasz się do okna.

- Niestety - odpowiedziała Genowefa. - Wiem, że nie potrafię ukryć przed tobą swych myśli. Zgadłeś, Maurycy.

- To jednak piękny kraj - rzekł znowu młodzieniec. - Życie w nim jest wypełnione: działalność klubów, różne spiski, wszystko to osładza wieczorne godziny przy kominku. Gdy człowiek wraca do domu, kocha jeszcze bardziej, bo się lęka, niepewny, czy jutro będzie mógł kochać znowu, bo jutro może już przestanie żyć.

Genowefa wstrząsnęła głową.

- O niewdzięczny kraju! - rzekła.

- Jak to, niewdzięczny?

- No, tak. Alboż ciebie, który tyle uczyniłeś dla jego wolności, nie uważają niemal za podejrzanego?

- Ale ty, kochana Genowefo - mówił Maurycy, rzucając na nią pełne miłości spojrzenie - ty, zaprzysiężona

98

nieprzyjaciółko tego kraju, ty, która tyle uczyniłaś przeciwko niemu, śpisz spokojnie pod dachem republikanina. Sama więc widzisz, że zawsze istnieje równowaga.

- Tak, prawda - odpowiedziała Genowefa - ale to niedługo potrwa, ponieważ wszystko, co niesprawiedliwe, nie może trwać długo.

- Co przez to rozumiesz?

- To rozumiem, że ja, afystokratka, która skrycie marzę o zgnębieniu waszego stronnictwa, o bankructwie waszych idei, ja, która nawet w twoim mieszkaniu knuję spiski przeciwko Republice, ja, która, gdybym była poznana, ściągnęłabym na ciebie śmierć i hańbę, ja, mój Maurycy, nie pozostanę tutaj jako zły duch tego domu i nie przyczynię się do tego, by zawleczono cię na rusztowanie.

- A dokąd pójdziesz, Genowefo?

- Dokąd?... Któregoś dnia pójde i złożę na siebie oskarżenie.

- O! - krzyknął Maurycy dotknięty do głębi. - Czyż będziesz aż tak niewdzięczna?

- Nie - odrzekła młoda kobieta, zarzucając ramiona na szyję Maurycyego - nie, mój przyjacielu, przysięgam ci miłość, miłość najczystsza. Nie chciałam, aby mego brata schwymano i zabito jako buntownika, nie chcę również, aby mojego kochanka schwymano i zabito jako zdrajcę.

- I ty to uczynisz, Genowefo? - zawołał Maurycy.

- Boga, który patrzy na mnie z nieba, biorę na świadka, że tak uczynię! - odpowiedziała młoda kobieta. - Zresztą, obawa to głupstwo, ale wyrzuty sumienia...

To mówiąc, pochyliła głowę, jakby nie mogła znieść ciężaru zgryzot.

- Genowefo! - rzekł Maurycy.

- Rozumiesz dobrze, Maurycy, co mówię, a przede wszystkim, co czuję - dodała Genowefa - bo i ty także się dręczysz. Wiesz, że ci się oddała, choć do ciebie nie należę, żeś mnie wziął nie pytając, czy mam prawo oddać się tobie.

- Dosyć! - rzekł Maurycy. - Dosyć!
Zmarszczył czoło i jakieś smutne postanowienie zabłysło w jego czystych oczach.

- Dowiodę ci, Genowefo, jak bardzo cię Kocham - podchwycił. - Przekonam cię, że miłość moja gotowa jest do wszelkich ofiar. Nienawidzisz Francji, zgoda! Zatem opuścimy ten kraj.

Genowefa załamała ręce i spojrzała na kochanka z wyrazem pełnym uwielbienia.

-- Ty mnie nie zwodzisz, Maurycy? - wyjąkała.

- Czyż kiedyś cię zwodziłem? - spytał Maurycy. - Czy nawet wtedy, gdy dla posiadania ciebie okryłem się hańbą...

Genowefa zbliżyła usta do ust kochanka i zawisła na jego szyi.

- Tak, masz słuszość, Maurycy - rzekła. - To ja ciebie okłamałam. To co czuję, to nie są wyrzuty sumienia, ale świadomość jakiegoś poniżenia. Lecz ty, przynajmniej ty mnie rozumiesz, ty wiesz, że zbyt cię Kocham, abym prócz obawy utracenia ciebie doznawała jakiegoś innego uczucia. O, przyjacielu mój, uciekajmy daleko, tam gdzie nas nikt nie doścignie.

- Dzięki ci, dzięki! - rzekł Maurycy, uniesiony radością.

- Ale jakże uciekać? - zapytała Genowefa, truchlejąc na tę straszliwą myśl.

- Genowefo - powiedział Maurycy - Bóg się nami opiekuje. Dziś nagrodzony będzie dobry czyn, który chciałem spełnić z powodu drugiego września. Miałem zamiar ocalić biednego księdza, z którym razem się uczyłem. Znalazłem Dantona, na którego prośbę Komitet Ocalenia Publicznego wydał paszport jemu i jego siostrze. Danton wręczył mi ów paszport, ale nieszczęśliwy ksiądz, zamiast

100

przybyć do mnie po odbiór tego dokumentu, jak mu to zaleciłem, zamknął się u karmelitów i tam umarł.

- A cóż się stało z paszportem? - spytała Genowefa.

- Mam go właśnie. Dziś nie oddałbym go za miliony, Genowefo, dziś on znaczy tyle co życie, tyle co szczęście.

- O Boże mój, Boże, bądź błogosławiony! - zawołała młoda kobieta.

- Jak ci wiadomo, mam wieś, którą zarządza stary sługa mojej rodziny, prawdziwy syn Francji i prawy człowiek, któremu możemy zaufać: Dochody z tej wsi będzie mi przysyłał, dokąd tylko zechcę. Po drodze do Boulogne wstąpimy do niego.

- A gdzież on mieszka?

- W okolicy Abbeville.

- Kiedy wyjedziemy, mój Maurycy?

- Za godzinę.

-- Nikt nie powinien wiedzieć, że wyjeżdżamy.

- Nikt też nie będzie wiedział. Biegnę do Lorina. On ma kabriolet, a ja konia, wyjedziemy natychmiast, jak tylko wrócę. Ty, Genowefo, zostań tu i przygotuj się do drogi. Niewiele rzeczy zabierzemy z sobą. To, czego nam zabraknie, kupimy w Anglii. Wyślę zaraz Scewołę, aby go się pozbyć z domu. Lorin wytłumaczy mu dziś wieczorem,

dłaczego musieliśmy wyjechać, a my tymczasem będziemy już daleko.

- A jeżeli nas w drodze zatrzymają?

- Alboż nie mamy paszportu? Pojedziemy do Huberta, tak się nazywa mój intendent. Jest on członkiem rady miejskiej w Abbeville. Pod jego strażą i w jego towarzystwie wyruszmy stamtąd do Boulogne, tam kupimy sobie albo wynajmiemy łódkę.

- Dobrze, mój drogi przyjacielu... Ale jakżeś się dziś wyperfumował! - rzekła młoda kobieta, tuląc twarz do piersi Maurycego.

- Prawda, przechodząc koło Palais-Egalite kupiłem ci 101

bukiet fiołków, ale kiedy tu wszedłem i zastałem cię tak smutną, myślałem tylko o tym, aby cię zapytać o przyczynę smutku.

- O, daj mi go, daj ten bukiet*

Genowefa rozkoszowała się wonią kwiatów z tego rodzaju upodobaniem, jakiemu ulegają istoty nerwowe. Po chwili oczy jej zaszyły łzami.

- Co ci jest? - spytał Maurycy.

- Biedna Heloiza! - szepnęła Genowefa.

-- A, prawda - wzdychając odpowiedział Maurycy. - Ale myślimy o sobie, kochana przyjaciółko, dajmy pokój umarłym, niech śpią spokojnie w grobie, który im zbudowało poświęcenie. Odchodzę. Zegnam ciel

- Wracaj prędko!

- Będę tu za pół godziny.

- A jeśli nie zastaniesz Lorina w domu?

- To nie ma znaczenia. Jego służący mnie zna, a przy tym, czy go zastanę w domu, czy nie, przecież mi wolno wziąć od niego co mi się podoba, bo i on, gdyby zaszła potrzeba, uczyniłby to samo.

- No tak, oczywiście.

- Ty zaś, moja Genowefo, przygotuj wszystko, ale zabierz tylko to co najpotrzebniejsze. Wyjazd nasz nie powinien zwrócić niczyjej uwagi.

- Bądź spokojny.

Młodzieniec szedł ku drzwiom.

- Maurycy! - zawołała Genowefa.

Odwrócił się i ujrzał, że młoda kobieta wyciąga ku niemu rękę.

- Do widzenia, moja droga, do widzenia! - rzekł. -

Odwagi! Za pół godziny znów będę przy tobie!

Genowefa, zostawszy sama; zajęła się przygotowaniami do podróży. Czyniła to z jakimś gorączkowym pośpiechem. Dopóki była w Paryżu, ciągle myślała, że jest podwójnie winna. Teraz sądziła, że skoro opuści Francję, skoro znaj-

pisać nie jej samej, ale nieszczęsnemu zrządzeniu losu, nie będzie jej tak ciężki. Łudziła się, że w ustroniu i samotności zapomni, iż oprócz Maurycyego istnieją jeszcze inni ludzie.

Według projektu schronić się mieli w Anglii. Tam postanowili nabyć mały domek samotny, odosobniony, odsunięty sprzed ludzkich oczu. Mieli zmienić i przybrać jedno nazwisko. Przyjął dwóch służących, którzy by nie znali ich przeszłości. Przypadek chciał, że Maurycy i Genowefa znali język angielski. Żadne z nich nie pozostawiało we Francji nic godnego żalu, tylko matkę, której każdy żałuje, chociażby nawet była macochą, a której na imię Ojczyzna. Genowefa więc zaczęła wybierać przedmioty niezbędne do podróży, a raczej do ucieczki. Doznawała niewypowiedzianej przyjemności, biorąc między innymi te, które Maurycy najbardziej lubił: ubranie, które najlepiej na nim leżało, chustkę na szyję, w której najbardziej mu było do twarzy, książki, które najczęściej czytał. Wybrała już prawie wszystko: ubranie, bieliznę, książki i czekała tylko na kufry, do których miała je zapakować. Rzeczy leżały tymczasem na krzesłach, kanapach, fortepianie. Wtem dal się słyszeć zgrzyt klucza w zamku.

- Wraca Scewola. Widać, że Maurycy go nie spotkał-rzekła.

I dalej zajęła się przygotowaniem do podróży. Drzwi od salonu były otwarte, słyszała więc, jak oficjalista wchodził do przedpokoju.

- Scewola! - zawołała.

W przyległym pokoju dał się słyszeć odgłos zbliżających się kroków.

- Scewola! - powtórzyła Genowefa. - Chodź tu, proszę.

- Jestem! - odpowiedział jakiś głos. Na dźwięk tego głosu Genowefa nagle się odwróciła i wydała okrzyk pełen przerażenia.

103

- Mój mąż! - zawołała.

- Tak, on sam - spokojnie odrzekł Dixmer. Genowefa siedziała na krześle i szukała czegoś w szafie. Na widok męża uczuła nagły zawrót głowy, opuściła ręce i upadła, myśląc, że otwiera się pod nią przepaść i że

ją pochłania.

Dixmer podtrzymał ją, przeniósł na kanapę i posadził.

- Cóż to, moja kochana? - zapytał. - Czy obecność moja tak przykre czyni na tobie wrażenie?

- Umieram... - wyjąkała Genowefa padając do tyłu i oburącz zakrywając oczy, aby nie widzieć straszliwej zjawy.

- Jak to, moja kochana - rzekł znowu Dixmer - czy uważałaś mnie za umarłego? Czyż sądzisz, że jestem upiorem?

Genowefa błędnym wzrokiem powiodła wokół siebie, a spostrzegłszy portret Maurycego, zsunęła się z kanapy i padła na kolana, szukając jakby pomocy w obrazie, który nie przestawał się do niej uśmiechać. Biedna kobieta rozumiała, ile groźby kryło się pod maską łagodności Dixmera.

- Tak, moje kochane dziecko - mówił dalej garbarz - to ja jestem. Sądziłaś może, że przebywam gdzieś daleko za Paryżem, a tymczasem wcale się z niego nie ruszyłem. Nazajutrz po wyjściu z domu wróciłem i na jego miejscu ujrzałem kupkę popiołu. Wypytywałem ludzi o ciebie, nikt cię nie widział. Począłem więc cię szukać i z niemałym trudem znalazłem. Przyznam, że nie spodziewałem się zastać cię tutaj, a jednak wpadłem na tę myśl, bo, jak widzisz, przyszedłem. Jakże się ma kochany Maurycy? Wierz mi, że zdaję sobie sprawę, ile musiałaś wycierpieć, ty, tak dobra rojalistka, tym bardziej że byłaś zmuszona żyć pod jednym dachem z tak zajadłym republikaninem.

- O Boże, Boże, ulituj się nade mną! - westchnęła Genowefa.

104

T

- Ale koniec końcem - mówił znowu Dixmer, oglądając się naokoło - pociesza mnie to, że masz tu bardzo dobre mieszkanie. Ja, od chwili jak spalił się nasz dom, jak znikł nasz majątek, błąkałem się to tu, to tam, mieszkałem w piwnicach, na dnie rybackich łodzi, a nieraz nawet w kanałach prowadzących do Sekwany.

- Boże! - jęknęła Genowefa.

- Widzę na stole piękne owoce. Ja musiałem nieraz obejść się bez deseru, a nawet i bez obiadu. Genowefa ukryła zapłakaną twarz w dłoniach.

- Nie dlatego, abym nie miał pieniędzy - mówił dalej Dixmer - bo, dzięki Bogu, zabrałem z sobą około trzydziestu tysięcy franków w złocie, co dziś ma wartość pięciuset tysięcy. Ale jakim sposobem węglarz, rybak lub gałganiarz może płacić złotem za ser lub kielbasę? Tak, moja pani. Bóg świadkiem, że kolejno używałem takiego przebrania! Dziś, aby mnie nie poznano, wyglądam jak zagorzały patriota, jak marsylianin. Seplenię i klnę. Do licha, będąc wyjętym spod prawa, nie tak łatwo przechadzać się po ulicach Paryża jak młoda i piękna kobieta, a los nie pozwolił mi poznać żadnej gorliwej republikanki, która by mnie mogła ukryć przed ludzkim wzrokiem.

- Panie, panie! - zawołała Genowefa. - Miej litość nade mną! Widzisz przecie, że umieram.

- Z niepokoju! Rozumiem, bardzo byłaś o mnie niepokojna, ale pociesz się, oto jestem i już cię nie opuszczę, pani.

- O, ty mnie zabijesz! - zawołała Genowefa. Dixmer z przerażającym uśmiechem spojrzał na nią.

- Miałbym zabić niewinną kobietę?! O, co też pani mówi? Chyba ze smutku i z żalu za mną straciłaś rozum.

- Panie! - zawołała Genowefa. - Błagam cię, zabij mnie raczej, a nie dręcz tak okropnie. Nie, ja wiem, że zawiniłam, wiem, że jestem występna, wiem, że zasługuję na śmierć. Zabij mnie więc, zabij!

IOS

- Wyznajesz zatem, że zasłużyłaś na śmierć?

- Tak jest.

- I żeby odpokutować nie wiem jaką zbrodnię, o którą się obwiniasz, bez żalu poddasz się śmierci?

- Uderz mnie, panie, a nie wydam najmniejszego krzyku. Zamiast złorzeczyć, błogosławić będę rękę, która omie będzie biła.

- Nie, pani, ja cię bić nie będę, być może jednak, że umrzesz. Ale śmierć twoja, zamiast być haniebną, czego się zapewne obawiasz, będzie zaszczytna i prawie męczeńska. Podziękuj mi więc, pani, bo karząc cię, unieśmiertelnię twoje imię.

^- Cóż więc uczynisz ze mną, panie?

- Znowu iść będziesz do celu, do którego dążyliśmy, kiedy udaremniono nam prowadzenie naszego dzieła:

W moim i twoim przekonaniu umrzesz jako winna, w przekonaniu innych jako męczennica.

- O Boże, chcesz więc, aby mnie twoje słowa przyprawiły o szaleństwo? Dokądże mnie prowadzisz? Dokąd?

- Może prowadzę cię na śmierć.

- Pozwól zatem, niech się pomodłę.

- Do kogo?

- Cóż ci do tego? Od chwili gdy pragniesz mnie zabić, spłaciłam mój dług, a tym samym nic ci nie jestem winna.

- To prawda - rzekł Dixiner, wychodząc do drugiego pokoju. - Czekam na ciebie.

I wyszedł z salonu,

Genowefa, ściskając oburącz serce, które zdawało się, że pęknie, uklękła przed portretem.

- Przebac mi, Maurycy - rzekła cicho - nie miałam nadziei, że będę szczęśliwa, ale sądziłam, że ciebie uczynię szczęśliwym. Maurycy, zabieram ci szczęście, które było twym życiem, przebac mi twą śmierć, mój kochany.

To mówiąc, ucięła pukiel długich włosów, owinęła nim

106

bukiet fiołków i zatknęła u dołu portretu, a nieczułe płótno zdawało się przybierać wyraz bóleści, widząc, że Genowefa odchodzi.

- I cóż, czy pani gotowa? - spytał Dixiner.

- Tak - szepnęła Genowefa.

• ^- O, nie śpiesz się, pani - odrzekł Dixmer - mnie niepilno. Zresztą, Maurycy zapewne powróci, a miło by mi było podziękować za gościnność, jakiej ci dawał do wody.

Genowefa struchlała na myśl, że jej kochanek i mąż mogliby się spotkać.

Wstała jakby poruszona sprężyną.

- Skończyłam, panie - rzekła. - Jestem gotowa!

Dixmer wyszedł pierwszy. ^

Genowefa, drżąc cała, postępowała za nim, zamknąwszy prawie oczy i głowę odchyliwszy do tyłu. Wsiedli do drożki, która czekała przy drzwiach, i odjechali.

- Skończyło się - powiedziała Genowefa.

XIV

SZYNK „POD STUDNIĄ NOEGO”

Człowiek w karmanioli, którego widzieliśmy, jak przechadzał się wzdłuż i wszerz sali skazańców, którego podczas wyprawy architekta Giraud, generała Hanriot i ojca Richard słyszeliśmy, jak rozmawiał z odźwiernym strzegącym wejścia do podziemi, zagorzały patriota w niedźwiedziej czapce, z sumiastym wąsem, który, jak to przedstawił się Simonowi, obnosił głowę księżnej de Lamballe, nazajutrz po owym wieczorze pełnym wrażeń t około godziny siódmej po południu znajdował się w szynku „Pod Studnią Noego” na rogu ulicy Vieille-Draperie. Siedział w sklepie kupca, a raczej kupcowej wina, w głębi

107

sali zakopconej dymem tytoniu i łożowych świec, udając, że zajada rybę polaną spalonym masłem.

W sali pozostało zaledwie dwóch czy trzech stałych gości, korzystających z przywileju siedzenia do późnej godziny, jaki im dawało codzienne odwiedzanie tego zakładu. Stoły więc po większej części były puste, ale na pochwałę szynku „Pod Studnią Noego” zapisać należy, iż czerwone, a raczej amarantowe obrusy świadczyły o bezspornej obecności obfitej liczby nasyconych biesiadników. Wreszcie oddalili się i trzej ostatni goście, a około godziny za kwadrans ósma patriota pozostał sam jeden.

Wówczas z odrazą odsunął od siebie półmisek i wyjął z kieszeni tabliczkę hiszpańskiej czekolady, którą jadł powoli, przybierając inny niż dotychczas wyraz twarzy. Jadł więc to czekoladę, to chleb razowy, ale tylko dla pozorów, a znać było, że go najbardziej interesują szklane drzwi, zasłonięte kraciatą firanką, na które rzucał pełne niecierpliwym trwogi spojrzenie, czasem nawet nasłuchiwał ciekawie. Wtem u drzwi zabrzączał dzwonek, patriota nasz zadrżał i znowu niby zabrał się do ryby, ale gdy gospodyni nie widziała, rzucał jeden kawałek zgłodniałemu psu, który się do niego łąsił, drugi zaś kotu, który od czasu do czasu uderzał łapą psa po pysku. Nareszcie otworzyły się drzwi za kraciatą firanką i wszedł jakiś mężczyzna, tak samo prawie ubrany, jak nasz patriota, ale zamiast futrzanej czapki miał na głowie czapkę czerwoną.

U pasa zwisał mu ogromny pęk kluczy oraz szeroka szabla w blaszanej pochwie.

- Zupy i wina! - zawołał, wchodząc do ogólnej sali, nie dotknąwszy nawet czapki, poprzestał jedynie na powitaniu gospodyni kiwnięciem głowy. Potem odetchnął, jakby był znużony i usiadł nie opodal stolika, przy którym spożywał wieczerzę patriota.

108

Gospodyni widocznie przejęta szacunkiem dla nowego przybysza wstała i sama poszła przynieść mu jedzenie.

Obaj goście siedzieli odwróceny do siebie plecami, jeden patrzył na ulicę, drugi w głąb izby, i nie przemówili do siebie ani słowa, dopóki gospodyni nie zniknęła za drzwiami.

- Dobry wieczór - rzekł patriota do towarzysza, nie odwracając się wcale.

- Dobry wieczór panu, - odrzekł nowo przybyły.

- I cóż - z udaną obojętnością zapytał patriota - jakże nasz interes?

- Ha, to już rzecz załatwiona.

- Jak to, załatwiona?

- Tak, jakeśmy się umówili. Potrafiłem wymówić się'

ojcu Richard od służby. Wymyśliłem, że jestem ogłuch, oślepiłem, słowem, w jego własnych oczach rozchorowałem się na dobre.

- Bardzo dobrze. I cóż on na to?

- Ojciec Richard przywołał żonę, ta natarła mi o czołowiek i niby to przyszedłem do siebie.

-- Cóż dalej?

- Potem, stosownie do naszej umowy, powiedziałem, że brak powietrza źle działa na mój wzrok i że służba w Conciergerie, w którym jest w tej chwili czterystu więźniów, zabija mnie zupełnie.

- Cóż ci odpowiedział?

- Matka Richard żałowała mnie.

- A ojciec Richard?

- Wypchnął mnie za drzwi.

- Ale to za mało, że cię wypchnął.

- Czekajże pan. Poczciwa matka Richard wyrzucała mi, że jestem człowiekiem bez serca, ponieważ tak się obchodzi z ojcem rodziny.

- A on co na to?

109

- Przyznał żonie słuszność, ale dodał, że aby być odzwiązanym, trzeba mieszkać w więzieniu, do którego jest się przydzielonym, że Republika nie żartuje i ucina głowy wszystkim, którzy ślepną na służbie.

- Tam do diabła! - wtrącił patriota.

- I nie mylił się ojciec Richard. Od czasu jak tam osadzono Austriaczkę, powstało istne piekło. Tam by i własnego ojca nikt nie oszczędził.

Patriota dał swój talerz polizać psu.

- Cóż potem? - rzekł nie odwracając się wcale.

- Potem zacząłem jęczeć, narzekać, że czuję się bar-

•dzo niedobrze. Prosiłem o lekarstwa, zapewniałem, że mi dzieci pomrą z głodu, jeżeli moja pensja zostanie wstrzymana.

- I cóż ojciec Richard?

- Ojciec Richard powiedział, że kto jest odźwiernym, nie powinien mieć dzieci. „Przecież ty także masz żonę, ojczu Richard” - rzekłem. Na szczęście ona mi przyszła z pomocą, wyrzucając mężowi, że ma złe serce. Wtedy ojciec Richard rzekł do mnie: „No, obywatelu Grakchusie, porozum się z którymś ze swych przyjaciół, może cię zastąpi i pożyczyci cokolwiek na rachunek twej pensji. Przedstaw mi go, a przyrzekam ci, że go przyjmę.” Wyszedłem więc mówiąc: „Dobrze, ojczu Richard, pójdę go poszukać.”

- I znalazłeś, mój zuchu?

W tej chwili weszła właścicielka zakładu, przynosząc Grakchusowi zupę i wino.

Patriota i Grakchus nie bardzo byli z tego radzi, bo mieli z sobą jeszcze wiele do pomówienia.

- Obywatelko - odezwał się odźwierny - ojciec Richard dał mi małą gratyfikację, pozwolę więc sobie zjeść v. dziś kotlet wieprzowy z korniszonami i wypić butelkę burgundzkiego wina. Poślij więc kogoś po mięso do rzeźnika i do piwnicy po wino.

110

Gospodyni natychmiast wydała stosowne rozporządzenia. Służąca jej wyszła na ulicę, ona sama udała się do piwnicy.

- Dobrze - rzekł patriota - roztropny z ciebie chłopak. ""

- I to tak roztropny, że pomimo pańskich pięknych obietnic nie ukrywam woale przed sobą, do czego nas to wszystko doprowadzi. Czy pan się tego nie domyśla?

- Wcale.

- Tu chodzi o nasze głowy.

- Nie bój się o moją.

- Wyznam panu szczerze, że pańska mniej mnie obchodzi, niż moja własna.

- A, twoja.

- Tak.

- A jeżeli ja ją cenię dwa razy więcej niż jest warta?

- E, mój panie, głowa to rzecz nieoceniona,

- Ale nie twoja.

- Jak to nie moja? •

- Przynajmniej w tej chwili.

- Co pan przez to rozumie?

- Że twoja głowa nie warta ani szeląga, bo gdybym ja n/a przykład był agentem Komitetu Ocalenia Publicznego, jutro byłbyś zgilotynowany.

Odźwierny tak szybko się odwrócił, że aż pies zaszcze-
kał. Był blady jak trup.

- Nie odwracaj się i nie blednij - rzekł patriota. -
Owszem, kończ spokojnie supę. Ja cię nie wyciągam na
słówka jak agent, mój przyjacielu. Zaprowadź mnie do
Conciergerie, osadź na swoim miejscu, daj klucze, a jutro
wyplacę ci pięćdziesiąt tysięcy liwrów w złocie.

- I to prawda?

- Czyż możesz wątpić, skoro ci moją głowę dają jako
kaucję?

lit

Odźwierny namyślał się przez kilka chwil.

- No - rzekł patriota, widząc go w lustrze - jeżeli
mnie zedenuncjujesz, spełnisz tylko swoją powinność
i Republika nie da ci ani grosza. Jeżeli mi pomożesz,
a tym samym nie spełnisz powinności, wypłacę ci pięćdzie-
siąt tysięcy liwrów. "

• - O, bardzo dobrze rozumiem - rzekł odźwierny -
ile może mi przynieść korzyści pańskie żądanie, ale oba-
wiam się dalszych skutków.

- Skutków?... Czegóż obawiasz się na przykład? Przecież ja cię nie będę denuncjował,

- Tak sędzę.

- Nazajutrz po objęciu przeze mnie posady będziesz się przechadzał koło Conciergerie, a ja ci wypłacę dwadzieścia pięć rulonów, każdy po dwa tysiące liwrów. To wszystko łatwo zmieści się w kieszeniach. Razem z pieniędzmi dam ci paszport na wyjazd z Francji, wyjedziesz i dokądkolwiek się udasz, będziesz jeżeli nie bogaty, to przynajmniej niezależny.

- Ha, zgoda, mój panie, niech się dzieje co chce. Jestem biedny, nie mieszam się do polityki. Beze mnie było Francji dobrze, to i teraz z mojej winy nie zginie. A jeżeli pan zrobi co złego, tym gorzej dla pana.

- W każdym razie - rzekł patriota - sędzę, że nie można nic gorszego zrobić nad to, co dziś robią.

- Pozwoli pan, że nie będę krytykował polityki Konwentu.

- Wyborny i niefrasobliwy z ciebie filozof. Ale do rzeczy. Kiedy przedstawisz mnie ojcu Richard?

- Choćby i dziś jeszcze, jeżeli pan chce.

- I owszem. Któż ja jestem?

- Mój kuzyn Mardoche.

- Mardoche, zgoda. Podoba mi się to imię. Jakiż mój zawód?

- Spodniarz.

H»

- Spodniarz a garbarz to niewielka różnica.

- Alboż pan jesteś garbarzem?

,- Ale mógłbym nim być... O której godzinie mnie zaprowadzisz?

-^ Za pół godziny, jeżeli pan chce.

- Zatem o godzinie dziewiątej.,

- A kiedy dostanę pieniądze?
- Jutro.
- To pan jest niezmiernie bogaty?
- Mam, ile mi potrzeba.
- Albo byłeś pan...
- Co ci do tego!
- Bo mieć pieniądze i wydawać je po to, aby się narażać na gilotynę, to doprawdy mogą czynić tylko głupcy.
- Ba, sankiuloci tyle mają rozumu, że już go dla innych zabrakło.
- Idzie już gospodyni z winem.
- Więc dziś wieczorem naprzeciwno Conciergerie.
- Dobrze.

. Patriota zapłacił i skierował się ku wyjściu. Od strony drzwi dał się słyszeć jego gromki głos:

- Hej, obywatelko, kotlety z korniszonami! Prędziej, bo mój kuzyn Grakchus umiera z głodu.
- Poczciwy Mardoche! - rzekł odźwierny, kosztując wina, które mu nalała gospodyni, patrząc nań zalotnie.

XV

SEKRETARZ MINISTERSTWA WOJNY

Patriota wyszedł, ale się nie oddalił i przez zakopcone szyby śledził, czy odźwierny nie zwróci się do jakiegoś agenta policji republikańskiej, najlepszej, jaka kiedykolwiek istniała we Francji. Wówczas jedna połowa spo-

1 - A. Dumas

113

łeczeństwa szpiegowała drugą nie tyle dla korzyści rządu, ile dla własnego bezpieczeństwa.

Wszelako obawy patrioty nie sprawdziły się, bo na kil-

ka minut przed dziewiątą odźwierny wstał, pogłaskał gospodynię pod brodę i wyszedł. Patriota spotkał się z nim na bulwarze Conciergerie i razem udali się do więzienia. Tego samego wieczoru dobili targu. Ojciec Richard przyjął odźwiernego Mardoche'a, który miał zastąpić obywatela Grakchusa.

Na dwie godziny przed załatwieniem tej ważnej sprawy w mieszkaniu dozorca inna scena, na pozór nic nie znacząca, ale nie mniej ważna dla głównych bohaterów tej historii, rozgrywała się w drugiej części więzienia.

Kancelista Conciergerie, strudzony całodzienną pracą, składał właśnie swoje papiery i zabierał się do wyjścia, gdy wtem jakiś mężczyzna, wprowadzony przez obywatelkę Richard, przedstawił się w jego biurze.

- Obywatelu kancelisto - rzekła żona Richarda - oto twój kolega z ministerstwa wojny, który w imieniu samego ministra przybywa wypełnić niektóre rubryki, dotyczące wojskowych.

- Trochę za późno przychodzisz, obywatelu. Zbieram już wszystkie papiery.

- Przebacz, kochany kolego - odpowiedział nowo przybyły - ale tyle mamy roboty, że dodatkowe zajęcia możemy wykonywać tylko w wolnych chwilach, a nasze wolne chwile przypadają wtedy, gdy inni jedzą lub śpią.

- Jeżeli tak, drogi kolego, to bierz się do roboty, ale śpiesz się. Czy masz odpowiednie upoważnienie? *"

- Oto jest - odparł sekretarz ministerstwa rozkładając tekę, której jego kolega, mimo całego pośpiechu, przypatrywał się z największą uwagą.

- O, wszystko jest jak należy - wtrąciła żona Richarda - mąż mój już sprawdził dokumenty.

4

114

- O, nie, jeszcze nie - rzekł kancelista, przeglądając papiery.

Sekretarz ministerstwa czekał cierpliwie, jakby przygotowany na ścisłe dopełnienie • formalności.

- Wszystko w porządku - rzekł wreszcie kancelista Conciergerie. - Teraz kolega może przystąpić do dzieła. Dużo rubryk masz do wypełnienia?

- Około stu.

- No, to zabierze ci to kilka dni czasu.

- Tak, kochany kolego, myślę tu u was założyć pewien rodzaj pracowni, jeżeli pozwolicie.

- Jak to? - zapytał kancelista Conciergerie.

- Wyjaśnię ci to po drodze, bo spodziewam się, że pójdziesz do mnie na kolację. Mówiłeś, że jesteś głodny.

- I nie zapieram się tego.

- A zatem wybornie! Poznasz moją żonę, niezła z niej kucharka. Potem zaprzyjaźnimy się bliżej i przekonasz się, że dobry ze mnie chłopak.

- O, to już widzę, kochany kolego.

- Pozwól, że po drodze kupię trochę ostryg na placu Chatelet, kurczę u pasztecjarza i leguminę, do'której pani Durand dodaje przewyborny sos.

- Łechcesz mi podniebienie, kochany kolego - wtrącił kancelista Conciergerie na myśl o przysmakach, do których nie był przyzwyczajony. Trybunał rewolucyjny płacił mu dziesięć liwrow asygnatami, które w rzeczywistości były warte zaledwie dwa franki.

- Więc zgadzasz się?

- Owszem. , \-

- No, to odłóżmy pracę do jutra, a teraz chodźmy.

- Zaraz, zaraz. Pozwól pierwej, że powiadomię o tym żandarmów pilnujących Austriaczki.

- A to po co?

- Aby wiedzieli, że wychodzę, i aby zwracali uwagę

«•

na najmniejszy szmer, gdy nikogo nie będzie w kancelarii.

- Bardzo dobrze. O, uważam, że ostrożność nigdy nie zawadzi.

- Spodziewam się, że rozumiesz dlaczego?

- Bardzo dobrze. No, chodźmy.

Kancelista Conciergerie zastukał do drzwi królowej
Otworzył mu żandarm, zapytawszy przedtem:

- Kto tam?

- Ja, kancelista. Przyszedłem, aby powiedzieć wam,
że wychodzę. Bądź zdrow, obywatelu Gilbert.

- Bądź zdrow, obywatelu kancelisto.

I krata znowu się zamknęła.

Sekretarz ministerstwa wojny z uwagą przypatrywał się tej scenie, a gdy drzwi od więzienia królowej zostały otwarte, wzrok jego szybko przeniknął do pierwszego pokoju, gdzie dostrzegł żandarma Duchesne, siedzącego przy stole, i przekonał się, że królowa miała tylko dwóch

strażników.

Nie trzeba nadmieniać, że skoro kancelista Conciergerie odwrócił się, kolega jego przybrał jak mógł naj-
obojętniejszą minę.

Gdy opuszczali Conciergerie, weszło tam dwóch mężczyzn. Byli to: obywatel Grakchus i jego krewny Mardoche.

Jakby pod wpływem tego samego uczucia, Mardoche i sekretarz ministerstwa wojny, spostrzegłszy się, głębiej nasunęli na oczy: jeden czapkę futrzaną, drugi kapelusz o szerokim rondzie.

- Co to za jedni?

- Znam tylko jednego, to odźwierny Grakchus.

- Więc w Conciergerie wolno odźwiernym wychodzić?

- W pewne dni, tak.

Na placu Chatelet sekretarz ministerstwa wojny, sto-

116

^

y'l'l

sownie do zapowiedzianego programu, kupił dwanaście tuzinów ostryg, po czym udano się bulwarem Gevres.

Obywatel Durand, sekretarz ministerstwa wojny, mieszkał bardzo skromnie, zajmował bowiem trzy pokoiki na placu Greve. Każdy lokator miał klucz od głównych drzwi, a umówiono się, że jeżeli ktoś zapomni klucza, wówczas uderzy młotkiem jeden, dwa lub trzy razy, zależnie od piętra, które zamieszkuje, a czekająca osobą, rozpoznawszy znak, zejdzie i otworzy drzwi.

Obywatel Durand miał klucz w kieszeni, nie potrzebował więc dawać znaków młotkiem.

Gdy weszli na drugie piętro, obywatel Durand wyjął z kieszeni drugi klucz i otworzył drzwi.

Pani sekretarzowa bardzo przypadła do gustu więzieniemu urzędnikowi. Była to rzeczywiście bardzo miła kobieta. Wyraz głębokiego smutku, malujący się na jej twarzy, budził wielką sympatię. Należy pamiętać, że smutek jest najpewniejszym środkiem uwodzenia u ładnych kobiet. Smutek wznieca miłość we wszystkich mężczyznach bez wyjątku.

Dwaj przyjaciele jedli z apetytem, ale pani Durand nic do ust nie brała. Mówiono o tym i o owym.

Sekretarz ministerstwa wojny ze szczególną ciekawością wypytywał o różne zwyczaje w Conciergerie, o dni, kiedy się odbywa sąd, o środki pilnowania więźniów.

Kancelista, ucieszony, że go tak uważnie słuchano, uprzejmie opowiadał o zwyczajach Fouquier-Tinville'a i obywatela Sanson, głównego aktora tragedii, jaką co wieczór odgrywano na placu Rewolucji.

Potem z kolei kancelista wypytywał gospodarza o szczegóły dotyczące jego biura.

- O - odpowiedział Durand - ja, jako osoba mniej ważna od ciebie, jestem daleko gorzej poinformowany.

Jestem tylko zwykłym urzędnikiem, pełnię obowiązki naczelnego sekretarza, choć w rzeczywistości jestem tylko

117

jego pomocnikiem, mnie więc przypada praca, jemu korzyść, jak to zwykle bywa we wszystkich biurach, nawet rewolucyjnych.

- No, to ja ci dopomogę, obywatelu - rzekł kancelista więzienia, podochocony dobrym winem gospodarza, a przede wszystkim zachwycony pięknymi oczami pani Durand.

- O, dziękuję ci - rzekł sekretarz ministerstwa wojny - każda zmiana przyzwyczajzeń czy miejsca pracy jest zwykle dla biednego urzędnika rzeczą przykrą. Myślę, że moje praca w Conciergerie wkrótce dobiegnie końca, pozwól więc, abym co wieczór mógł przyprowadzić do was panią Durand, która by się tu nudziła...

- Nie widzę w tym nic kłopotliwego - odrzekł kancelista ucieszony na myśl o przyjemnej rozrywce, jakiej miał mu dostarczyć kolega.

- Ona będzie mi dyktować to, co mam wpisać do rubryk - mówił dalej obywatel Durand - a potem po skończonej robocie, jeżeli spożycie z nami dzisiejszej wicherzy sprawiło ci przyjemność, będziesz nas odprowadzał do domu i jadł z nami kolację.

- Dobrze, byle nie często - z pewną dozą zarożumiałości odrzekł kancelista - bo wyznam ci, że łąjano by mnie, gdybym później niż zwykle przyszedł do pewnego domu przy ulicy Petit-Musc.

- O, jak się wszystko dobrze składa - rzekł Durand - nieprawdaż, kochana przyjaciółko?

Pani Durand, ciągle bardzo blada i smutna, spojrzawszy na męża odpowiedziała:

- Niech będzie, jak sobie życzysz.

Wybiła jedenasta. Trzeba było wracać do domu.

Kancelista więzienia wstał i pożegnał nowych przyjaciół, oświadczając, że znajomość z nimi i kolacja sprawiły mu wielką przyjemność.

118

Obywatel Durand odprowadził gościa aż na podwórze, a potem wróciwszy do pokoju rzekł:

- No, Genowefo, idź spać.

Młoda kobieta, nic nie odpowiedziawszy, wstała, wzięła lampę i przeszła do pokoju po prawej stronie.

Durand, a raczej Dixmer, patrzył za wychodzącą i na chwilę pograżył się w ponurych myślach, potem udał się do drugiego pokoju, położonego z innej strony mieszkania

• XVI DWA LISTY

Odtąd sekretarz ministerstwa wojny co wieczór usilnie pracował w biurze swego kolegi w Conciergerie. Pani Durand sporządzała wykazy więźniów, wpisując ich nazwiska do z góry przygotowanych rejestrów, a Durand gorliwie je przepisywał.

Po godzinie rozmowy, a raczej przypatrywania się, bo urzędnik więzienny bardzo lubił przypatrywać się żonie kolegi z ministerstwa wojny, mąż i żona zwykle zostawali sami. Wtedy urzędnik Fouquier-Tinville'a wychodził na ulicę Petit-Musc, mrużąc:

- Do licha, jaka ona ładna, ta mała pani Durand! Ale co za diabeł ją dręczy, że jest taka smutna?

Następnie Durand wychodził także, zawiadomiwszy, według przyjętego zwyczaju, żandarmów i starannie pozamykawszy swe książki.

Tak upłynęły cztery dni. Durand- przypatrywał się wszystkiemu, zdając się na nic nie zwracać uwagi. Dostrzegł on, że co wieczór o godzinie dziewiątej Richard albo jego żona przynoszą koszyk i stawiają go pod

drzwiami.

W chwili gdy kancelista mówi żandarmom: „Odchodzę

118

obywatele", żandarm Gilbert lub Duchesne bierze koszyk i niesie go Marii Antoninie.

Przez trzy wieczory z rzędu, kiedy Durand dłużej siedział przy pracy, koszyk później dostawał się do rąk

Marii Antoniny, ponieważ żandarm brał żywność dopiero wtedy, gdy otworzył drzwi," aby pożegnać sekretarza ministra wojny.

W kwadrans po wzięciu pełnego koszyka żandarm stał za drzwiami wypróżniony koszyk, przyniesiony poprzedniego dnia.

Czwartego dnia wieczorem, a było to w październiku, kiedy kancelista więzienia już wyszedł, Durand, pozostawszy sam, rzucił pióro, spojrzął wokół siebie i nasłuchując bacznie, jakby szło o jego życie, żywo podniósł się i cichutko podbiegł pod drzwi więzienia królowej. Tam odsłonił serwetę nakrywającą koszyk i w chlebie przeznaczonym dla uwięzionej umieścił małe srebrny futerałik.

A potem, blady, drżąc ze wzruszenia, jakiemu zwykle ulega człowiek, który spełnia czyn niezwykle doniosły, od dawna przygotowany i oczekiwany, Dixmer wrócił, siadł na swym miejscu, jedną rękę położył na czole, drugą zaś na sercu.

Genowefa patrzyła nań, ale nie powiedziała ani słowa:

od czasu jak mąż zabrał ją z mieszkania Maurycego, czekała zwykle, aż pierwszy do niej przemówi. Tym razem jednak przerwała milczenie.

- Czy to dziś... - spytała.

- Nie, jutro - odpowiedział Dixmer.

I znowu rozejrzał się naokoło, nasłuchując, potem wstał, poskładał rejestry, podszedł ku drzwiom więzienia i zapukał.

- Kto tam? - spytał Gilbert.

- To ja, już wychodzę, obywatelu.

- Dobrze - rzekł żandarm z głębi celi. - Dobranoc!
Na korytarzu, prowadzącym z mieszkania ojca Richard

/

120

na dziedziniec, Dixmer spotkał odźwiernego w futrzanej czapce, który dzwonił pękiem kluczy.

Dixmer zląkł się. Przyszło mu na myśl, że ten nieokrze-

sany człowiek, jak wszyscy ludzie jego stanu, zatrzyma go, będzie badał, będzie mu się przypatrywał, a może go pozna. Zaraz więc nasunął kapelusz na uszy, a Genowefa otuliła twarz czarną mantylką. Mylił się jednak.

- A, przepraszam - rzekł odźwierny, chociaż nie on, ale jego potrącono.

Dixmer zadrzał na dźwięk tak miłego i pełnego uprzejmości głosu. Ale odźwierny musiał się zapewne śpieszyć, bo wszedł w korytarz, otworzył drzwi od mieszkania ojca

Richarda i zniknął.

Dixmer ruszył w dalszą drogę, prowadząc za sobą Genowefę.

- To szczególne... - rzekł, kiedy już był na podwórzu i kiedy świeże powietrze owiało jego palające czoło.

- O tak, bardzo szczególne - szepnęła Genowefa. Tymczasem żandarm Gilbert wyszedł i zabrał koszyk z żywnością dla królowej. Były tam owoce, kurczę na zimno, butelka białego wina, karafka wody i pół bochenka chleba.

Gilbert podniósł serwetę i sprawdził, czy obywatelka-Richard, według zwyczaju, zapakowała do koszyka przedmioty przeznaczone dla królowej. Potem, odsuwając parawan, rzekł głośno:

- Obywatelko, kolacja.

Maria Antonina rozłamała chleb, ale dotknąwszy go uczuła pod palcami chłód srebra i domyśliła się, że chleb musi w sobie zawierać coś niezwykłego. Machinalnie spojrzała wokół siebie i spostrzegła, że żandarm wyszedł.

Kiedy upewniła się, że usiadł przy swym towarzyszu, wydobyla z chleba srebrny futeralik. Wewnątrz znajdował się Ust. Rozwinęła go i zaczęła czytać:

121

„Pani, bądź gotowa jutro o tej samej porze, gdyż jutro o tej godzinie pewna kobieta zostanie wprowadzona do więzienia Waszej Królewskiej Mości. Ta kobieta przebierze się w suknie Najjaśniejszej Pani, a Najjaśniejsza Pani w jej' odzież, następnie wsparta na ramieniu jednego

z najbardziej oddanych sług wyjdiesz, Najjaśniejsze Pani, z Conciergerie.

Niech hałas, jaki da się słyszeć w pierwszym pokoju, nie niepokoi Waszej Królewskiej Mości, niech jej nie, wstrzymają ani krzyki, ani jęki. Racz tylko jak najspieszniej przywdziać suknię i mantylę mojej żony, która zostanie na miejscu Waszej Królewskiej Mości."

- Poświęcenie! - szepnęła królowa. - O, dzięki ci, Boże! A więc nie jestem, jak mówiono, przedmiotem powszechnego obrzydzenia.

I znowu zaczęła czytać list. Wtedy uderzył ją drugi ustęp:

- „Niech cię nie wstrzymają ani krzyki, ani jęki...”
To znaczy, że zabiją moich strażników. Biedni! Dawali mi tyle dowodów współczucia!... O nie, nigdy, przenigdy!

Natychmiast oddarła nie zapisaną połowę listu, a że nie miała ołówka ani pióra, aby odpisać nieznanemu przyjacielowi, wyjęła szpilkę z chustki i wykłuła na liście następujące wyrazy:

„Nie mogę ani nie powinnam przyjąć ofiary czyjegoś życia, aby ratować swoje.

M.A."

A potem, włożywszy papier w srebrny futerał, umieściła go w drugiej połowie rozłamanego chleba.

Właśnie była godzina dziesiąta, gdy królowa, trzymając w ręku kawałek chleba, liczyła ze smutkiem każde przeciągłe uderzenie zegara. Wtem usłyszała, że ktoś jakby diamentem wyrzyna szybę w jej oknie wychodzącym na dziedziniec, zwany dziedzińcem kobiet. Dziwnemu dźwię-

122

kowi towarzyszyło lekkie pukanie w szybę, powtarzane kilkakrotnie. Równocześnie kaszel jakiegoś mężczyzny zdawał się naumyślnie zagłuszać owo pukanie. Wreszcie w kącie okna ukazał się mały zwinięty papiererek, który z wolna stoczył się po ścianie i upadł na podłogę.

Następnie królowa usłyszała brzęk kluczy i odgłos oddalających się kroków.

Przekonała się, że szybę przerżnięto w samym kącie i że papier wrzucić musiał człowiek, który właśnie się Oddał.

Papier leżał na ziemi.

Królowa pożerała go wzrokiem, słuchając, czy nie nadchodzi któryś z jej strażników. Przekonała się jednak, że jak zwykle rozmawiają po cichu, aby nie zakłócać jej spokoju. Wówczas, tłumiąc oddech, wstała i podniosła paperek z podłogi.

Jakiś delikatny, a zarazem twardy przedmiot wysliznął się jak z pochwy i padając na posadzkę, zadźwięczał metalicznie.

Był to mały wąski pilnik, a raczej cacko niż narzędzie, za pomocą którego nawet najsłabsza i najbardziej niezręczna ręka w przeciagu kwadransa powinna przepiłować grubą żelazną kratę.

Królowa rozwinęła kartkę:

„Pani, jutro o wpół do dziesiątej pewien człowiek zjawi się pod oknem od strony dziedzińca kobiet i będzie rozmawiał z żandarmami, którzy cię pilnują. Tymczasem Wasza Królewska Mość przepiłujesz trzecią kratę w oknie, licząc od lewej ręki ku prawej. Piłować należy ukośnie, a piętnaście minut powinno na to wystarczyć. Następnie Wasza Królewska Mość bądź gotowa do wyjścia przez okno. Pismo to pochodzi od jednego z najbardziej oddanych i najwierniejszych twych poddanych, który poświęcił swe życie dla Waszej Królewskiej Mości i który będzie szczęśliwy móc za nią umrzeć.”

123

- O, to zasadzka - szepnęła królowa. - Ale nie, zdaje mi się, że znam to pismo. Tak, to pismo kawalera de Maison-Rouge!... O, może Bóg pragnie, abym została ocalona.

To powiedziawszy, padła na kolana i szukała pociechy w modlitwie, owym balsamie dla uwięzionych.

XVII

PRZYGOTOWANIA DIXMERA

Nadszedł nareszcie straszny, jakby ociekający krwią poranek, poprzedzony bezsenną nocą.

Rzeczywiście, w owej epoce i owym roku co dzień występowały na słońcu sine plamy.

Królowa zaledwie zapadła w niespokojny sen, zaledwie przymknęła oczy, wydało jej się, że widzi krew, że słyszy czyjeś jęki.

Usnęła z pilnikiem w ręku.

Część dnia spędziła na modlitwie. Strażnicy tak często widzieli ją modlącą się, że ta niezwykła pobożność wcale ich nie zdziwiła.

Od czasu do czasu uwięziona wyjmowała z zanadru pilnik, przesłany przez jednego z jej zbawców, i porównywała słabość tego narzędzia z siłą krat. Na szczęście, kraty z jednej tylko strony, to jest od dołu, były osadzone w murze. W górnej części umocowane były poprzecznym, żelaznym drągiem. Przy podpiłowaniu więc u dołu mogły być za lada poruszeniem wyjęte.

Po drugiej stronie kraty, jaką jej kazano przepiłować, poza ciałami obu ludzi, którzy, broniąc zbawcom przystępu, musieliby zginąć, dostrzegła życie, swobodę, a może i zemstę, trzy rzeczy tak miłe, zwłaszcza dla kobiety, iż błagała o przebaczenie za to, że pożąda ich tak gorąco.

- O dziwny losie! - wyszeptwała. - Dwa spiski naraz

124

dla ocalenia nieszczęsnej kobiety, która nic przecież nie uczyniła, co by dodało odwagi spiskowcom. Dwa spiski jednocześnie wybuchną... Więc mogłabym być ocalona, gdybym chciała... Ale ta biedna kobieta dla mnie się poświęci. Dwaj żandarmi zostaną zabici... Bóg i potomność nigdy mi tego nie przebaczą... Nie, nie!... Niepodobna!

Przed oczyma jej przesunęły się niewyraźne widma rozpadających się monarchii, wasali wiernych królestwu, władców życia i śmierci.

- Anna Austriaczka zgodziłaby się na to - mówiła do siebie. - Anna Austriaczka uważałaby, że najwyższą racją jest ocalenie monarchy. Annę Austriaczka była tej samej krwi co ja i prawie w tej samej sytuacji... Szaleństwem było wprowadzać i umacniać królestwo Anny Austriaczki we Francji. To nie ona przybyła tutaj. Dwóch monarchów mi powiedziało: „Jest rzeczą ważną, żeby dwoje królewskich dzieci, które nigdy się nie widziały,

nie kochały i może nigdy się nie pokochają, żeby dzieci te złączyły się węzłem małżeńskim przy jednym ołtarzu po to, by zginąć na jednej gilotynie..." A pozę tym, czy moja śmierć nie pociągnie za sobą śmierci mego biednego dziecka, które w oczach nielicznych przyjaciół jest jeszcze królem Francji?... A kiedy mój syn umrze, jak umarł mąż, czy ich cienie nie uśmiechną się z litości, widząc, jak moja krew plami resztki tronu Świętego Ludwika po to, aby oszczędzić kilka kropli krwi kogoś z pospólstwa?

W ciągłej udręce, w gorączce niepewności, przyśpieszającej bicie pulsu, w najokropniejszej obawie królowa doczekała się wieczoru. Przyglądała się swym strażnikom i nigdy nie wydali się jej bardziej spokojni. Drobne grzeczności tych dwóch nieokrzesanych ludzi bardziej niż kiedykolwiek ujmowały ją za serce.

Kiedy ciemności nocy zaległy więzienie, kiedy odezwały się kroki maszerujących sztyldwachów, kiedy szcęk

125

broni i wycie psów zbudziło echa ponurych sklepień, kiedy uświadomiła sobie swoją tragiczną sytuację, Maria Antonina, zwyciężona właściwą kobiecej naturze słabością, zerwała się przerażoną.

- O, ucieknę! - rzekła. - Tak, ucieknę. Gdy przyjdą, gdy się odezwą, przepiłuję kratę i będę czekała[^] na rozkazy Boga i moich wybawców. Mam dzieci i nie dam ich zabić...

- Nie dokończyła. Przymknęła oczy, wyrazy skonały na jej ustach. Nieszczęśliwa królowa, zamknięta w więzieniu, zapadła w straszliwy sen. Widziała we śnie, jak otworzyły się więzienne kraty. Znalazła się wśród groźnych i nielitościwych żołnierzy Kazała wszystko niszczyć ogniem i mieczem, mściła się nad ludem, który właściwie nie był jej ludem.

Tymczasem Gilbert i Duchesne spokojnie rozmawiali, przyrządzając sobie wieczerzę.

W tym czasie Dixmer i Genowefa weszli do Conciergerie i jak zwykle zasiedli do pracy w biurze kancelisty. W godzinę później kancelista, skończywszy robotę, zostawił ich samych.

Gdy drzwi zamknęły się za kolegą, Dixmer chwycił

próżny koszyk, stojący na miejscu tego, który przyniesiono ze świeżymi zapasami żywności. Znalazł w nim kawałek chleba, przełamał go i wydobyl srebrny futeralik.

Gdy przeczytał odpowiedź królowej, zbladł. Ale że Genowefa nie spuszczała z niego wzroku, podarł kartkę na drobne kawałeczki i rzucił je w płonąca paszczę pieca.

- Dobrze - rzekł - wszystko jest ustalone.
I obróciwszy się do Genowefy, dodał:

- Chodź, pani!

- Ja?

- Tak, muszę z panią pomówić po cichu.
Genowefa, niewzruszona i zimna jak marmur, zbliżyła się, czyniąc gest pełen rezygnacji.

126

- Oto nadeszła godzina - rzekł Dixmer. - Wolisz zapewne śmierć, która ściągnie na ciebie błogosławieństwo całego stronnictwa i żal całego narodu, nad śmierć haniebną, wynikłą z zemsty?

- Tak, panie.

- Mogłem zabić cię na miejscu, kiedym cię zastał
•U kochanka, ale człowiek, który życie swoje oddał za szczytnej i świętej sprawie, powinien umieć korzystać z własnego nieszczęścia, poświęcając je tej sprawie. Po-
wziąłem postanowienie. Widziałaś, żem się wyrzekł przy-
^ l'emności wymierzenia tobie sprawiedliwości. Widziałaś również, że oszczędziłem twojego kochanka.

Po wybladłych ustach Genowefy przebiegło coś w rodzaju straszliwego uśmiechu.

- Ale znając mnie, rozumiesz zapewne, że jeśli chodzi o twego kochanka, czekam stosowniejszej chwili.

- Jestem gotowa- rzekła Genowefa. - Po cóż tyle mówić? Postanowiłem mnie zabić, masz słuszność, czekam.

Dixmer spojrzal na Genowefę i zadrzał mimo woli. Miała w sobie coś wzniosłego, a czoło jej jakby opromieniała aureola najpiękniejszego uczucia.

- Uprzedziłem królową - mówił dalej Dixmer - ona

czeka. A jednak, według wszelkiego prawdopodobieństwa, będzie się jeszcze wahać, ale ty ją zmusisz do działania.

- Dobrze, rozkazuj, a spełnię wszystkie twoje" polecenia.

- Zaraz - mówił dalej Dixmer. - Teraz zapukam do drzwi, Gilbert mi otworzy, a ja zabiję go tym sztyletem.

Przy tych słowach Dixmer odpiął płaszcz i wysunął do połowy ukryty w zanadru sztylet.

Genowefa zadrżała.

Dixmer ręką nakazał jej milczenie.

- Gdy go uderzę, ty wpadniesz 'do drugiego pokoju, w którym znajduje się królowa. Czym prędzej zamienisz

127

z nią suknie, ja tymczasem zabiję drugiego żandarma. Potem wezmę królową pod rękę i wyprowadzę ją z więzienia.

- Dobrze - rzekła zimno Genowefa.

- Rozumiesz? - podchwycił Dixmer. - Co wieczór widzą cię w czarnej jedwabnej mantylce, która osłania ci twarz. Ubierz więc królową w swoją mantylę i okryj ją tak, jak ty się zwykle okrywasz.

- Uczynię, jak pan żąda.

- Teraz powinienem ci, pani, przebaczyć i podziękować - rzekł Dixmer.

- Nie potrzebuję ani pańskiego przebaczenia, ani podziękowań - rzekła wyciągając rękę. - To co czynię albo raczej co mam uczynić, zmaszałoby nawet zbrodnię, a ja uległam tylko słabości. Co więcej, przypomnij pan sobie, żeś mnie prawie zmusił do tego własnym postępowaniem. Unikałam Maurycego, a tyś mnie sam popychał w jego objęcia, sam więc byłeś winien, sam jesteś teraz sędzią i mścicielem. To ja zatem powinnam ci wybaczyć moją śmierć i czynię to w tej chwili. Ja powinnam ci podziękować, że mnie pozbawiasz życia, bo życie moje byłoby nieznośne, gdyż rozdzielona zostałam z człowiekiem, którego jedynie kocham od chwili,, jak przez swą

zemstę zerwałeś wszystkie węzły, jakie' mnie z nim

łączyły,

Dixmer wbił sobie paznokcie w ciało. Chciał odpowiedzieć, ale głosu mu zabrakło. Przeszedł się kilka kroków po kancelarii.

- Czas upływa - rzekł na koniec. - Każda sekunda może się na coś przydać. No, czy jesteś pani gotowa?

- Mówiłam już, że czekam - odrzekła Genowefa ze spokojem.

Dixmer pozbierał papiery, obejrzał wszystkie drzwi, czy są dobrze zamknięta, przekonał się, że nikt nie bę-

128

dzie mógł wejść do kancelarii i chciał znów powtórzyć żonie dane polecenie.

- Nie trzeba, panie - rzekła Genowefa. - Wiem doskonale, co powinnam zrobić.

- Żegnam cię!

I • Dixmer podał jej rękę, jakby w tej ważnej chwili tragizm sytuacji i wzniosłość poświęcenia zatrzeć miały wszelki ślad wzajemnych wyrzutów. Genowefa, drżąc całą, końcem palców dotknęła ręki męża.

- Stań przy mnie, pani - powiedział Dixmer. - Skoro ugodzę Gilberta, wychodź natychmiast.

- Jestem gotowa.

Wtedy Dixmer prawą ręką ścisnął szeroki sztylet, a lewą zapukał do drzwi.

•

XVIII

PRZYGOTOWANIA KAWALERA DE MAISON-ROUGE

Gdy scena opisana w poprzednim rozdziale rozgrywała się u drzwi wiodących do więzienia królowej, a raczej do pierwszego pokoju, który zajmowali dwaj żandarmi, w przeciwległej stronie gmachu, to jest na dziedzińcu więzienia kobiet, czyniono inne przygotowania. •

Wśród ciemności ukazał się jakiś człowiek, niby posąg, kamienny oderwany od muru.

Dwa psy biegły za nim. Szedł, śpiewając Ca trą, piosenkę modną w owym czasie, i pękiem kluczy, które trzymał w ręku, uderzył po pięciu kratkach zasłaniających okno królowej.

Królowa zrazu zadrżała, ale poznając hasło, natychmiast otworzyła okno i zabrała się do dzieła z niespodziewaną sprawnością. Nieraz w warsztacie ślusarskim królewskiego małżonka, spędzając z nim niejedną chwilę,

9 - A. Dumas

i za

delikatną ręką dotykała narzędzi podobnych do tego, na którym obecnie spoczywały wszystkie jej nadzieje.

Gdy człowiek z pękiem kluczy usłyszał, że okno królowej otwiera się, zapukał zaraz do okna żandarmów

- Aha - rzekł Gilbert, patrząc przez szyby - to obywatel Mardoche.

- Tak, on we własnej osobie - odpowiedział odzwierny. - I cóż? Wydaje się, że dobrze spełniamy nasze obowiązki?

- Jak zwykle, obywatelu odzwierny.

- Bo to, widzicie, dzisiejsza noc wymaga większej czujności niż zawsze.

- Ba! - odrzekł zbliżając się Duchesne.

- Tak, tak.

- Cóż tam znowu nowego?

, - Otwórz okno;' to ci powiem.

Gilbert otworzył okno i ścisnął rękę odzwiernego, który zaprzyjaźniony był z żandarmami.

- Cóż tam nowego, obywatelu Mardoche? - powtórzył Gilbert,

- Posiedzenie Konwentu było nieco zbyt gorące. Czy-

taliście sprawozdanie?

- Nie. Cóż się tam działo?

- Najpierw obywatel Hebert odkrył pewien fakt.

- Jaki?

- Ze spiskowcy, których uważano za umarłych, żyją i cieszą się najlepszym zdrowiem.

- A tek - rzekł Gilbert - Delessart i Thierry. Słyszałem, że obaj podobno są w Anglii.

- A kawaler de Maison-Rouge? - wtrącił odźwierny, podnosząc głos tak, aby go królowa usłyszała.

- Przecież i on jest w Anglii.

- Bynajmniej, on również przebywa we Francji - mówił dalej Mardoche tym samym tonem.

- Jak to? Powrócą?

130

- Nie musiał wracać, bo wcale nie wyjeżdżał

- To mi dopiero śmiałek! - rzekł Duchesne.

- No. jednak kiedyś go złapią.

- Zapewne, ale zdaje się, że to nie pójdzie tak łatwo. W tej chwili pilnik królowej tak silnie zazgrzytał, że odźwierny w obawie, aby nie usłyszano tego dźwięku, nadepnął psu na łapę tak mocno, że psisko aż zawyło z bólu.

- Biedaczysko! - odezwał się Gilbert.

- Ech - rzekł odźwierny - że też twój pan musiał włożyć saboty. Cicho, Żyryndysto, cicho!

- Nazywasz swego psa Żyryndystą, obywatelu Mardoche?

- Tak, ta nazwa wydała mi się najwłaściwsza.

- Mówiłeś więc - odezwał się znowu Duchesne, który ••am nic mogąc wyjść z więzienia, ciekaw był wszel-

kich wiadomości - mówiłeś więc?... »,

- A prawda, mówiłem, że obywatel Hebert obstawał za przeniesieniem Austriaczki z powrotem do Tempie.

- A to dlaczego?

- Utrzymał, że na skutek przeniesienia jej z Tempie uwolniono ją od bezpośredniego nadzoru ze strony Gminy Paryża.

- O, i troszkę od spisków tego przekłętego Maison-Rouge ~ rzekł Gilbert. - Sądzę, że on znów gotów jest zrobić podkop.

- Tak samo odpowiedział obywatel Santerre, ale Hebert oświadczył, że od chwili gdy spisek wykryto, zniknęło wszelkie niebezpieczeństwo i w Tempie można by było zachować daleko mniejszą ostrożność dla dopilnowania Marii Antoniny aniżeli tutaj.

- Co do mnie - rzekł Gilbert - tobym, na honor, wolał, ażeby ją tam znowu przenieśli.

- Rozumiem, bo cię już musi nudzić to ciągle pilnowanie.

131

- Nie, ale mnie smuci.

Maison-Rouge silnie zakasłał: im bardziej pilnik zagłębiał się w żelazną kratę, tym mocniej skrzypiał.

- I na czymże stanęło? - spytał Duchesne, gdy odźwierny przestał się krztusić.

- Postanowiono, że Maria Antonina pozostanie tutaj, lecz niezwłocznie przystąpią do jej procesu.

- Biedna kobieta! - odrzekł Gilbert.

Duchesne, czy dlatego że miał delikatniejszy słuch niż kolega, czy też zwracał nieco mniejszą uwagę na opowiadanie Mardoche'a, dość że pochylił się w stronę przyległego pokoju i słuchał.

Odźwierny to spostrzegł.

- Rozumiesz więc, obywatelu Duchesne - powiedział

żywo - że usiłowania spiskowców będą bardziej rozpaczliwe, ponieważ niewiele pozostanie im czasu na ich wykonanie. Podobno wobec spodziewanego napadu zbrojnego na Conciergerie władze mają podwoić strażę, bo spiskowcy nikogo oszczędzać nie będą, byle tylko dostać się do królowej, to znaczy do wdowy Capet, chciałem powiedzieć.

- E, którędy by tu weszli?

- Może przebraliby się za patriotów, udaliby, że chcą powtórzyć dzień drugi września, łajdaki. Gdyby im raz otworzono drzwi, bądź zdrów!

Żandarmów ogarnęło tak wielkie zdumienie, że nastąpiła chwila milczenia. Odźwierny z pełną trwogi radością słyszał ciągle skrzypiący pilnik. Wybiła godzina dziewiąta.

Jednocześnie zapukano do drzwi więzienia, ale żandarmi, zamyśleni, nic nie odpowiedzieli.

- Dobrze, dobrze, będziemy pilnowali!

- A jeżeli będzie trzeba, zginiemy na naszych posterunkach jak prawdziwi republikanie - dodał Duchesne.

123;

„Królowa przepiłuje wkrótce kratę...” - pomyślał odźwierny, ocierając pot z czoła.

- Ja sędzę - rzekł Gilbert - że ty także czuwasz jak należy, bo i ciebie również nie oszczędzono by jak i nas, gdyby sprawdzić się miały twoje przepowiednie.

- Naturalnie - odrzekł odźwierny - ja też nocami obchodzę posterunki, jestem zawsze na nogach, kiedy wy się zmieniacie... Wy przynajmniej co drugą noc możecie się przespać.

W tej chwili znowu zapukano do drzwi więzienia. Mardoche zdrzął. Każdy najmniejszy nawet wypadek mógł zniweczyć całe przedsięwzięcie.

- Co to? - zapytał mimo woli.

- Nic, nic - odpowiedział Gilbert - sekretarz ministerstwa wojny odchodzi i zawiadamia mnie o tym. Ale sekretarz ciągle pukał.

- Dobrze, dobrze - wołał Gilbert nie odchodząc od okna. - Dobranoc! Bywaj zdrów, obywatelu!
• - Zdaje mi się, że mówi coś do ciebie.... - rzekł Duchesne, odwracając się w stronę drzwi. - Odpowiedz mu.

Wówczas usłyszano głos sekretarza.

- Chodź no tu, obywatelu żandarmie! - wołał -
Chcę ci coś powiedzieć.

Odźwierny wytężył słuch, bo wydawało mu się, że poznaje głos, mimo iż wzruszenie pozbawiło go naturalnego tonu.

- Czegoż chcesz, Obywatelu Durand? - spytał Gilbert.

- Muszę z tobą pomówić.

- A czy nie można by odłożyć tego do jutra?

- Nie, dziś jeszcze muszę z tobą porozmawiać - odparł ten sam głos.

- O, co to takiego? - szepnął odźwierny. - Wszak to głos Dixmera.

Wydawało się, że odległe echa ciemnego korytarza na-

133

dają jakiś grobowy - ton złowrogemu i dźwięcznemu
głosowi.

Duchesne odwrócił się.

- Ha, jeśli koniecznie chce, pójdę i otworzę - powiedział Gilbert.

I poszedł ku drzwiom.

Odźwierny, korzystając z tego, że uwaga obydwu żandarmów skierowała się w stronę Duranda, podbiegł do okna pokoju królowej.

- Gotowe? - zapytał.

- Przepiłowałam więcej niż połowę - odpowiedziała królowa.

- Na Boga! - szepnął. - Prędzej, prędzej!

- Hej, obywatelu Mardoche, gdzieżeś się podział? - zapytał Duchesne.

- Oto jestem! - zawołał odźwierny, wracając szybko do okna pierwszego pokoju.

W chwili gdy miał zająć swoje miejsce, w więzieniu rozległ się straszny krzyk, potem przekleństwo i suchy szczęk szabli wyciąganej z pochwy.

- A, zbrodniarzu! Bandyto! - krzyknął Gilbert.

I w korytarzu dał się słyszeć odgłos walki.

W tym samym czasie otworzyły się drzwi i odźwierny ujrzał dwa cienie trzymające się za bary. Jednocześnie jakaś kobieta, odepchnawszy Duchesne'a, przemknęła obok walczących i weszła do pokoju królowej.

Duchesne, nie zaniepokojony widokiem kobiety, pobiegł koledze na pomoc.

Odźwierny podskoczył ku drugiemu oknu. Ujrzał królową, a u jej nóg kobietę, która błagała Marię Antoninę, aby włożyła jej suknie.

Nagle wydał okrzyk bóleści:

- Genowefa! Genowefa!

Królowa upuściła pilnik i stanęła jak wryta. Jeszcze jeden spisek nie udał się.

1.34

Odźwierny chwycił oburącz przepiłowaną kratę i potrząsnął nią z całej siły. Ale krata nie była dostatecznie podpiłowana - nie drgnęła nawet.

Tymczasem Dixmer zdołał wepchnąć Gilberta do pokoju żandarmów i również miał się tam już dostać, ale Duchesne, napierając na drzwi, wypchnął go na zewnątrz. Nie mógł jednak ich zatrzasnąć, gdyż Dixmer, w rozpacz, wetknął rękę między drzwi.

W ręce tej Dixmer trzymał sztylet, który natrafiwszy na guzik munduru żandarma, ześliznął się po jego piersi, ale zdołał rozedrzeć mu odzież i ciało.

Obaj żandarmi, zbierając wszystkie siły, wołali o pomoc.

Dixmer poczuł, że złamię mu rękę, podparł więc barkami drzwi, potrząsnął nimi gwałtownie i wyrwał w końcu pokaleczoną rękę.

Drzwi z łoskotem zamknęły się. Duchesne zasunął zasuwę, a Gilbert obrócił klucz w zamku.

Na korytarzu dały się słyszeć szybkie kroki i wszystko się uciszyło. Obój żandarmi spojrzeli najpierw na siebie, a potem rozejrzeli się naokoło. Usłyszeli łoskot, jaki sprawiał mniemany odźwierny, usiłując wyłamać kratę.

Gilbert wpadł do pokoju królowej i zobaczył tam Genowefę, która klęcząc błagała Marię Antoninę, aby włożyła na siebie jej suknie.

Duchesne chwycił za karabin i podbiegł do okna, spostrzegł bowiem, że jakiś mężczyzna wisi u kraty i potrząsając nią gwałtownie, nadaremnie usiłuje ją wyłamać. Zmierzył.

Młodzieniec zauważył wymierzoną w niego lufę karabinu.

- O tak - rzekł - zabij mnie, zabij!
I w desperackim geście wyprężył pierś, gotów na przyjęcie kuli.

- Kawalerze, błagam cię, żyj, żyj! - zawołała królowa.

13»

Na głos Marii Antoniny Mciison-Rouge padł na kolana. Ten nagły ruch ocalił go, bo kule przeszła mu nad głowę. Genowefa sądząc, że zabito jej przyjaciela, zemdlona

padła na posadzkę. •

Gdy dym strzałów rozproszył się, na dziedzińcu kobiet nie było już nikogo.

W dziesięć minut później trzydziestu żołnierzy pod dowództwem dwóch komisarzy przetrząsało wszystkie, nawet najbardziej niedostępne zakamarki Conciergerie.

Odźwierny zaś wypadł, wołając:

- Do broni! Do broni!

- Wartownik chciał go przebić bagnetem, ale psy odz-wiernego skoczyły mu do szyi.

Aresztowano tylko Genowefę.

XIX POSZUKIWANIA

Nie możemy dłużej zapominać o jednej z głównych postaci naszej powieści, o postaci, która, gdy odbywały się wypadki opisane w poprzednim rozdziale, cierpiała najwięcej i z racji tych właśnie cierpień zasłużyła sobie na sympatię czytelnika.

Gdy Maurycy zgodnie z przyrzeczeniem sprowadził kabriolet, słońce przyświecało na ulicy Monnaie, kumoszki wesoło gwarzyły przy drzwiach domów, jakby nie pamiętając, że nad miastem od dziesięciu już miesięcy wisi krwawa chmura.

Czyścicielowi butów, spotkanemu na placu Sa-mt-Eustache, kazał potrzymać konia, sam zaś z sercem przepelnionym radością wbiegł na schody, wiodące do jego mieszkania.

Maurycy nie widział kumoszek, nie słyszał ich gadaniny. Widział tylko Genowefę, gotującą się do podróży, któ-

136

ra zapewnić im miała trwałe szczęście. Słyszał tylko Genowefę nucącą z roztargnieniem ulubioną piosenkę, a piosenka ta tak dźwięczała mu w uszach, iż byłby przysiągł, że słyszy różne tony jej głosu.

Ale w przedpokoju Maurycy zatrzymał się. Drzwi były otwarte. Ten fakt zdziwił go niemało, gdyż zwykle skrupulatnie je zamykał. Spojrzał naokoło, sądząc, że zobaczy Genowefę na korytarzu, ale jej tam nie było. Minął przedpokój, pokój jadalny, salon, sypialnię. Nie było nikogo. Wołał, nikt mu nie odpowiadał.

Oficjalista, jak wiadomo, wyszedł. Maurycy pomyślał z początku, że Genowefa podczas jego nieobecności chciała coś kupić na drogę i dlatego wyszła na ulicę. Wydało mu się to bardzo nierozważne, ale chociaż był mocno zaniepokojony, niczego ponadto nie podejrzewał.

Czekał, przechadzając się wzdłuż i wszerz pokoju, wyglądając od czasu do czasu oknem, przez które wdzierało się ciężkie deszczowe powietrze. Wkrótce wydało mu się, że ktoś idzie po schodach. Począł nasłuchiwać, ale nie był to odgłos kroków Genowefy. Mimo to wybiegł na schody, wychylił się przez poręcz i poznał swego oficjalistę, który z właściwą służącym beztrząską wchodził na górę.

- Scewola! - zawołał.
Oficjalista podniósł głowę.

- A, to ty, obywatelu!

- Tak, to ja. Ale gdzie jest obywatelka?

- Obywatelka? - powtórzył zdziwiony Scewola, idąc dalej po schodach.

- Tak. Czyś jej nie widział na dole?

- Nie.

- No, to spytaj o nią odźwiernego i sąsiadów.'

- Dobrze.

I Scewola zaczął schodzić na dół.

- Prędejj! prędejj! - wołał Maurycy. - Czyż nie widzisz, że stoję jak na rozżarzonych węglach?

137

Maurycy czekał kilka minut na schodach, ale widząc, że Scewola nie wraca, wszedł z powrotem do pokoju i znów zaczął wyglądać przez okno.

Spostrzegł, że Scewola wchodzi do kilku sklepów, ale niczego nie może się dowiedzieć. Zniecierpliwiony zawołał na niego.

Oficjalista podniósł głowę. Maurycy dał mu znak, aby przyszedł na górę.

- Nie, to niepodobna - rzekł sam do siebie - ona nie mogła stąd wyjść.

I znowu wołał:

• - Genowefo! Genowefo!

Cisza. Pokój nie odbijał nawet echa.

Wtem wszedł Scewola.

-I cóż? - spytał Maurycy.

- Widział ją tylko odźwierny.

-- Co? Widział ją?

- Tak, ale sąsiedzi nic o niej nie słyszeli.

- Mówisz, że odźwierny ją widział. Jakże to było?

- Widział, jak wychodziła.

- A więc wyszła!

- Tak.

- Sama? Nie, to niepodobna, Genowefa nigdy nią wyszłaby sama!

- Nie sama, obywatelu, ale z jakimś mężczyzną.

- Jak to? Z mężczyzną?

- Tak przynajmniej utrzymuje obywatel odźwierny.

- Idź, poproś go tu, muszę wiedzieć, co to za mężczyzna. Scewola skierował się ku drzwiom, ale zatrzymał się i rzekł jakby z namysłem:

- Zaraz, zaraz, obywatelu...

- Co? Co? Mów, nie męcz mnie.

- Może to był ten sam człowiek, który biegł za mną.

- Człowiek, który za tobą biegł?

- Tak.

138

- A po co? - ^

- Żądał w twoim imieniu, obywatelu, abym mu dał klucz.

- Jaki klucz? Mówże, niegodziwcze!

- Klucz od mieszkania.

- I ty dałeś nieznajomemu klucz od mieszkania? -
zawołał Maurycy, chwytając oficjalistę za kołnierz.

- Ale to przecież nie był nieznajomy, lecz twój przy-
jaciół, obywatelu.

• - Ach tak, mój przyjaciel, zapewne Lorin?... No, nie
nie szkodzi, że wyszła z Lorinem.

I Maurycy uśmiechnął się, i otarł spocone czoło.

- Nie, nie! - zawołał Scewola. - To nie on, obywate-
lu, przecież ja bardzo dobrze znam obywatela Lorfn.

- No to któż to był?

- E, wiesz bardzo dobrze, obywatelu. To ten przystoj-
ny mężczyzna, który tu raz przychodził.

- Kiedy?

- Wówczas, kiedy byłeś, obywatelu, taki smutny, kie-
dy to zabrał cię z sobą t kiedyś od niego wrócił w tak
dobrym humorze.

Maurycy spojrzał na niego błędnym wzrokiem i zadrzał
na całym ciele, wreszcie po długim milczeniu zawołał:

- Dixmer?

- Na honor, obywatelu, zdaje mi się, że to on - od-
rzekł oficjalista-

Maurycy zachwiał się i padł na krzesło.

- O Boże mój. Boże! -• szepnął, zamykając oczy.
Ale otworzywszy je zaraz, spojrzał na bukiet fiołków,

który Genowefa zostawiła. Skoczył ku niemu, wziął do
ręki, ucałował je' i rzekł:

- Tak, te fiołki... To jej ostatnie pożegnanie!
Potem Maurycy odwrócił się i wtedy dopiero dostrzegł,
że kufer do połowy tylko był zapakowany, a reszta bie-

lizny leżała na podłodze i w otwartej szafie.

139

Bielizna, rozrzucona po podłodze, zapewne wypadła

A z rąk Genowefy w chwili, gdy Dixmer się zjawił.
Teraz wszystko stawało się jasne.

Zgnębiony i skołatany, młodzieniec nasz wstał zamknął okno, wziął z biurka parę nabitych pistoletów, które przygotował do podróży, obejrzał podsypkę na panewce i włożył je do kieszeni. Następnie wyładował sakiewkę dwoma rulonami luidorów, które mimo patriotyzmu uznał za rozsądne schować na dnie szuflady, i wzięwszy do ręki pałasz, zawołał:

- Scewola! Sądzę, że jesteś do mnie przywiązany, bo od piętnastu lat służyłeś mojemu ojcu, a teraz mnie.

- Tak, obywatelu - odrzekł oficjalista, przerażony marmurową bledością i nerwowym drżeniem, które opowiadało jego pana. - Cóż mi, obywatelu, rozkażesz?

- Słuchaj! Jeżeli ta dama powróci - rzekł po chwili - wpuść ją i zamknij drzwi. Weź ten karabin, stań na schodach i zaklinam cię na twą głowę, na twe życie i duszę, nie wpuszczaj nikogo. Gdyby chciano wysadzić drzwi, broń ich, bij się, zabijaj! I nie lękaj się niczego, mój Stewola, ja wszystko biorę na siebie!

Głos młodzieńca i okazane zaufanie zelektryzowało Scewolę.

- Nie tylko zabiję każdego - odpowiedział - ale sam nawet gotów jestem umrzeć za obywatelkę Genowefę!

- Dziękuję ci. A teraz posłuchaj: nienawidzę tego mieszkania i nie wrócę tu, aż ją odnajdę. Jeżeli ona powróci, postaw na oknie wielki japoński wazon z astrami, które tak lubiła... To w dzień. W nocy zaś postaw na oknie lampę. Będzie to dla mnie znak... Dopóki nie ujrzę wazonu lub lampy, dopóty nie ustane w poszukiwaniach.

- O panie, bądź ostrożny, na miłość boską! - zawołał Scewola.

Maurycy nie odpowiedział. Wybiegi z pokoju jak szalony i pośpieszył do Lorina.

Niepodobna opisać zdumienia, gniewu, wściekłości zagnanego poety, gdy dowiedział się o zniknięciu Genowefy.

- Więc nie wiesz, gdzie się podziała? - powtarzał ciągle.

- Znikła! Przepadła! - z rozpaczą rzekł Maurycy. - On ją zabił, Lorin, on ją zabił.

- E, nie, mój kochany, nie! On jej nie zabił, mój poczciwy Maurycy. Nie, takiej kobiety jak Genowefa nie zabija nikt po tylu dniach namysłu. Nie. Gdyby ją miał zabić, byłby to zrobił na miejscu i na znak zemsty ciało jej zostawiłby u ciebie. Nie, on uciekł z nią, szczęśliwy, że odzyskał swój skarb.

- O, nie znasz go, Lorin, nie znasz go - powiedział Maurycy. - Temu człowiekowi zawsze źle z oczu patrzyło.

- Nie, mylisz się. Wydawało mi się zawsze, że to dzielny człowiek. Zabrał ją po to, aby uczynić z niej ofiarę. On się każe wraz z nią aresztować i zabiją ich oboje razem. Ja przynajmniej widzę tylko to niebezpieczeństwo - rzekł Lorin.

Słowa te pogłębiły rozpacz Maurycego.

- Ja ją znajdę! - zawołał. - Ja ją znajdę lub umrę!

- Nie ma wątpliwości, że ją znajdziemy - przerwał Lorin. - Uspokój się, mój Maurycy. Wierz mi, że ten źle szuka, kto szuka bez zastanowienia, a nie zastanawia się ten, kto jest tak poruszony jak ty.

- Bądź zdrow, Lorin.

- Co to znaczy?

- Idę już.

- Jak to, opuszczasz mnie? Dlaczego?

- Bo chodzi tu tylko o mnie, bo ja sam tylko powinienem narażać swoje życie dla ocalenia Genowefy.

- Chcesz więc zginąć?

- Gotów jestem na wszystko... Pójdę do prezesa Ko-

141

mitetu Ocalenia Publicznego: pomówię z Hebertem, Dantonem, Robespierre'em, Wyznam tm wszystko, ale muszę ją odzyskać.

- Dobrze - odrzekł Lorin.

I natychmiast wstał, poprawił szablę, włożył czapkę i tak jak Maurycy uzbroił się w parę nabitych pistoletów, które ukrył w kieszeniach.

- Chodźmy - dodał.

- Ale niepotrzebnie się narażasz! - zawołał Maurycy.

- I cóż stąd?

- Więc gdzie się najpierw udamy? - spytał Maurycy.

- Szukajmy najpierw na starej ulicy Saint-Jacques, potem znajdziemy kawalera de Maison-Rouge. Tam, gdzie on jest, musi być także i Dixmer. Wreszcie przejdźmy się obok domów na ulicy Vieille-Corderie. Wiesz, że mówią znowu o przeniesieniu Antoniny do Tempie? Wierzaj mi, tacy ludzie jak oni do ostatniej chwili nie tracą nadziei.

- Tak - powtórzył Maurycy - masz słuszność... Sądzisz więc, że Maison-Rouge jest w Paryżu?

- Dixmer jest na pewno.

- Prawda, prawda, oni musieli się spotkać - odrzekł Maurycy, któremu z wolna wracał rozsądek. - Chodź!

Od tej chwili dwaj przyjaciele nie ustawali w poszukiwaniach. Ale na próżno.

Genowefa zaś, podobnie jak wszystkie wspaniałomyślne istoty, widząc, że musi zginąć, los swój przyjęła z pokorą-i postanowiła umrzeć, nie wywołując rozgłosu. Bała go się nie tyle ze względu na Dixmera, ile ze względu na królową, a wiedziała, że Maurycy nie omieszka wyrzucić krwawej zemsty.

Milczała, jakby śmierć zamknęła już na wieki jej usta.

Maurycy tymczasem zwracał się z prośbą do rozmaitych członków okrutnego Komitetu Ocalenia Publicznego, a Lorin, nie mówiąc nic Maurycemu, czynił również to samo.

142

Tego samego dnia 'Pouqueter-Tinville nazwiska ich oznaczył czerwonymi krzyżykami, a wyraz „podejrzały” objął ich krwawym uściskiem.

XX

SAP

Dwudziestego trzeciego dnia, pierwszego miesiąca, drugiego roku Republiki, odpowiadającego dniu 14 października 1793 roku, według dawnego stylu, jak wówczas mówiono. tłumy ciekawych od rana zapełniały trybuny sali, w której odbywały się posiedzenia rewolucyjne.

Wszystkie korytarze Conciergerie wypełnione były żądnymi sensacji widzami, którzy wywoływali zgiełk i podniecali się nawzajem.

Przy drzwiach trybunału ściśnięta gromadka ludzi sprzeczła się między sobą o kilka cali miejsca, bo kilka cali wszecz pozwalało im poprzez obce ramiona dostrzec narożnik sali i oblicza sędziów, a kilka cali w przód pozwalało widzieć przez obce głowy twarz oskarżonego.

Na nieszczęście, wąskie przejście z korytarza do sali prawie całkowicie zajmował jakiś mężczyzna o szerokich barach, który ująwszy się pod boki, odpierał falujący tłum, gotowy rozlać się po sali, gdyby mu tylko nie przeszkadzała owa żywa przeszkoda.

Człowiek ten, stojąc jak mur u wejścia do trybunału, był młody i przystojny. Przy każdym silniejszym popchnięciu potrząsał gęstą grzywą włosów, spod których błyskał okiem o ponurym i przenikliwym spojrzeniu. A potem, kiedy gwałtownym ruchem i spojrzeniem odtrącał tłumy, kiedy podobny do żywej tamy wstrzymywał uporczywe ataki, znów przybierał nieruchomą postawę.

143

Stłoczona masa sto razy usiłowała go obalić, ponieważ był wysokiego wzrostu i wszystkim stojącym za nim zasłaniał widok, ale, jak powiedzieliśmy, łatwiej byłoby poruszyć skałę niż jego.

Tymczasem w drugim końcu ludzkiego morza inny mężczyzna przebijał się przez ścieśnione tłumy z niezwykłą wytrwałością. Nic go nie wstrzymywało: ani kulaki tych, których za sobą zostawiał, ani obelgi tych, których, przeciskając się, prawie dusił, ani narzekania kobiet, bo tych wiele było w tłumie.

Na razy odpowiadał razami, na obelgi spojrzeniem, przed którym cofali się najodważniejsi, na narzekania obojętnością podobną do pogardy.

Na koniec dotarł do silnego młodzieńca, który zatarasował wejście do sali. Wśród tłumu zapanowała ciekawość, jak się pogodzą dwaj straszni przeciwnicy.

Był to człowiek młody, małego wzrostu, o bladej twarzy, wątłej budowie i oczach, których wyraz świadczył o niezwykłej woli.

Zaledwie jednak jego łokieć dotknął młodzieńca, który stał przed nim, ten, zdziwiony zaczepką, żywo się odwrócił i podnosząc pięść, pogroził z gniewem śmiałkowi.

Wtedy dwaj przeciwnicy spojrzeli sobie w oczy i wydali równocześnie lekki okrzyk.

Poznali się.

- A, obywatel Maurycy! - z wyrazem niepojętego bólu rzekł szczupły. - Przepuść mnie, pozwól, niech się przypatrzę, błagam cię, a potem mnie zabijesz!

Maurycy, bo on to był w istocie, poczuł, że przejmuje go litość i podziw dla poświęcenia, wierności i niezłomnej woli tego człowieka.

- Pan! - szepnął. - Pan tutaj! Co za nierozwaga!

- Tak, jestem tutaj, ale zupełnie wyczerpany... O mój Boże! Ona mówi, pozwól, niech ją zobaczę! Pozwól, niech ją usłyszę!

MA

Maurycy usunął się i przepuścił młodzieńca, a że stał na czele tłumów, nic więc już nie zasłaniało widoku temu, który zniósł tyle razy i obelg, docierając aż do tego miejsca.

Cała ta scena i szmer, który wywołała, Obudziły ciekawość sędziów.

Oskarżona również spojrzała w tę stronę, a wtedy spostrzegła i poznała kawalera, stojącego w pierwszym rzędzie.

Drżenie przez chwilę wstrząsnęło królową, siedzącą na żelaznym krześle.

Badania, kierowane przez prezesa Harmand, wyjaśnienia udzielane przez Fouquier-Tinville'a i obrona Chauveau-Lagarde'a, adwokata królowej, trwały dopóty, dopóki starczyło sił sędziom i oskarżonej.

Przez cały czas Maurycy stał nieruchomo na swoim miejscu, podczas gdy widzowie znajdujący się w sali i korytarzach kilka razy już się zmienili.

Kawaler oparł się o kolumnę, a blady był jak stiuk, który mu służył za podporę.

Po dniu nastąpiła ciemna noc. Kilka świec, gorejących na stołach sędziów, kilka lamp, kopających przy ścianach sali, rzucało złowrogi, czerwony odblask na szlachetną twarz kobiety, która tak była piękna, jak podczas wspinających uczt w Wersalu.

Siedziała teraz sama, krótko i pogardliwie odpowiadała na pytania prezesa, tylko czasem pochylała się ku swemu obrońcy i rozmawiała z nim po cichu.

Jej białe, gładkie czoło nie straciło nic z wyrazu wrodzonej dumy. Miała na sobie suknię w czarne paski, którą nosiła od czasu śmierci męża.

Sędziowie opuścili salę, udając się na tajną naradę. Posiedzenie się skończyło.

- Może okazywałam zbyt wiele pogardy? •- spytała Chauveau-Lagarde'a.

10 - A. Dumas 143

- Och, pani - odpowiedział - będzie najlepiej, kiedy będziesz sama sobą.

- Patrzcie ją, jaka dumna! - zawołała jakaś kobieta spośród widzów, jakby głos ludu odpowiedział na pytanie, które nieszczęśliwa królowa zadawała adwokatowi.

Królowa spojrzała na kobietę.

- Tak, Antonino, tak, powiadam ci, żeś dumna i że twoja duma właśnie cię zgubiła.

Królowa zarumieniła się.

Kawaler zwrócił się ku kobiecie, która wyrzekła te słowa, i łagodnie jej odpowiedział:

- Ona była królową.

' Maurycy schwycił go za rękę.

- O - rzekł po cichu - odwagi, bo będziesz zgubiony.

- Panie Maurycy - odpowiedział kawaler - jesteś człowiekiem i wiesz, że mówisz do człowieka. Powiedz, czy sądzisz, że oni mogą ją skazać?

- Nie tylko tak sądzę, ale jestem tego pewny.

'- Och!... Kobietę? - łkając, zawołał Maison-Rouge.

- Nie, królową - podchwycił Maurycy. - Przecież" &am to przed chwilą powiedziałaś.

Teraz kawaler ujął Maurycego za rękę i z niepojętą na pozór siłą zmusił, aby nachylił się do jego ucha.

Była godzina wpół do trzeciej rano. Widownia bardzo się przerzedziła. Kilka świateł zgasło tu i ówdzie, i gdzieś niegdzie było ciemno.

Część sali, w której znajdowali się kawaler i Maurycy, była jedną z najciemniejszych.

- Ale po cóż pan tu przyszedł, co pan tu robi, pan, który przecież nie ma w sobie krwiożerczych uczuć? - spytał kawaler.

- Niestety! - rzekł Maurycy. - Przyszedłem tu, żeby dowiedzieć się, co się stało z pewną nieszczęśliwą kobietą.

- Tak, tak - rzekł Maison-Rouge - z tą, którą mąż

146

wtrącił do więzienia królowej, z tą, którą tam schwyta-
no na moich oczach?

- Z Genowefą?

- Tak, z Genowefą.

- Więc Genowefa, którą poświęcił własny mąż, jest uwięziona?... O, teraz już wszystko rozumiem. Kawalerze, opowiedz mi wszystko, co zaszło, powiedz mi, gdzie ona jest, gdzie bym ją mógł znaleźć! Kawalerze, ta kobieta to moje życie!...

- Widziałem ją, byłem tam, kiedy ją aresztowano. Znajdowałem się tam, aby umożliwić ucieczkę królowej, ale nasze usiłowania, by urzeczywistnić dwa plany, co do których nie mogliśmy się porozumieć, pogorszyły tylko sytuację.

- I nie ocaliłeś jej, swojej siostry Genowefy?

- Alboż mogłem? Dzieliła mnie od niej żelazna krata. O, czemuż ciebie tam nie było, czemuż nie mogłeś swoich sił połączyć z moimi! Przeklęta krata byłaby ustąpiła i bylibyśmy obie ocalili.

- Genowefo! Genowefo! - szepnął Maurycy. I patrząc na kawalera z nieopisaną wściekłością, zapytał:

- A cóż się stało z Dixmerem?

- Nie wiem. Uciekł w jedną stronę, a ja w drugą.

- O... - wyrzekł Maurycy, zacisnąwszy zęby - jeżeH go kiedy spotkam...

- Rozumiem. Ale dla Genowefy jeszcze nie wszystko stracone, podczas gdy dla królowej... - przerwał kawaler de Maison-Rouge. - O, Maurycy, jesteś człowiekiem szlachetnym, wiele możesz, masz przyjaciół. Błagam cię, jakbym błagała Boga... Maurycy, dopomóż mi ocalić królową. •

- I ty jeszcze o tym myślisz, kawalerze?

- Maurycy! Genowefa błaga cię o to przez moje usta.

- O, nie wymawiaj pan tego imienia! Kto wie, może i pan, tak jak Dixmer, oddał na pastwę losu tę kobietę?

10«

H7

- Maurycy - dumnie odrzekł kawaler - kiedy od-
dfiję się jakiejś sprawie, poświęcam tylko samego siebie!

W tej chwili otworzyły się drzwi od izby narad. Maury-
cy chciał coś odpowiedzieć.

- Cicho! - rzekł kawaler. - Sędziowie wracają.
I Maurycy poczuł, jak kawaler drży. Zbladł i zachwiał
się na nogach.

- O! - szepnął kawaler. - Brak mi już odwagi.
.- Uspokój się pan alboś zgubiony - odrzekł Maurycy.

Rzeczywiście sąd wracał.

Wprowadzono królową. Szła wyprostowana, niewzruszo-
na, dumna, ze wzrokiem utkwionym gdzieś nieruchomo,
z zaciśniętymi ustami.

Odczytano wyrok, skazujący ją na karę śmierci.

Wysłuchiwała go spokojnie. Nie zbladła ani nie mrugnęła.
okiem, żadnym muskulem twarzy nie zdradziła najmniej"-
szego wzruszenia.

Następnie odwróciła się w stronę kawalera, spojrzała
nań przeciągle i wymownie, jakby chciała mu podzięko-
wać. Potem wsparta na ramieniu oficera, który dowodził
zbrojnym oddziałem, spokojna i dumna opuściła salę.

Maurycy westchnął.

- Bogu dzięki! - rzekł. - Żadne jej zeznanie nie
skompromitowało Genowefy, jest więc jeszcze nadzieja.

- Bogu dzięki! - szepnął także kawaler de Maison-,
-Rouge. - Wszystko się skończyło i walka już skończo-
na. Zabrakło mi już sił, abym ją mógł dalej prowadzić.

- Odwagi, panie - rzekł po cichu Maurycy.

- Nie zabraknie mi jej - odpowiedział kawaler.

I uściskawszy sobie dłonie, wyszli.

Królową odprowadzono do Conciergerie. Gdy wchodziła
do więzienia, czwarta godzina biła na wielkim zegarze.

Na końcu Pont-Neuf Lorin oburącz chwycił Maurycego za ramiona.

148

- Stój! - rzekł. - Nie wolno!

- A to dlaczego?

- Przede wszystkim, dokąd idziesz?

-• Idę do domu. Teraz już wiem, gdzie jej szukać.

- Tym lepiej... Ale nie pójdziesz do domu.

- Dlaczego?

- Bo przed dwiema godzinami byli u ciebie żandarmi i chcieli cię aresztować.

- A!... - zawołał Maurycy. - To świetnie.

- Czyś oszalał?... A Genowefa?

- Prawda. Więc dokąd pójdziemy?

- Do mnie!

- Zginiesz przeze mnie.

- Tym lepiej. Chodź!
I pociągnął go za sobą.

XXI

KSIĄDZ I KAT

Z sali sądowej odprowadzono królową do Conciergerie.

Gdy wróciła do pokoju, wzięła nożyczki i obcięła długie i piękne włosy, zwinęła je w papier i napisała na nim:

„Oddać to mojemu synowi i mojej córce.”

Potem siadła, a raczej upadła na krzesło, i znużona osiemnastogodzinnym badaniem, usnęła.

O godzinie siódmej obudził ją nagle łoskot odsuwanego parawanu. Odwróciła się i ujrzała nieznanego mężczyznę.

- Czego chcą ode mnie? - spytała.

Człowiek ten zbliżył się i witając ją, jakby nigdy nie była królową, rzekł:

- Nazywam się Sanson.

Królowa lekko się wzdrygnęła i wstała.

Nazwisko samo przez się mówiło więcej niż najdłuższa rozmowa. :

149

- Bardzo wczesnie przychodzisz, panie - rzekła. -
Mógłbyś nieco się spóźnić.

- Nie, pani - odpowiedział Sanson - taki mam rozkaz.
To powiedziawszy, uczynił krok w stronę królowej.
W tej chwili człowiek ten wydawał się straszny.

- O, rozumiem - rzekła uwięziona - chcesz pan
obciąć mi włosy?

- To rzecz konieczna - odparł.

- Wiedziałam o tyra, panie - rzekła królowa - i oszczędziłam ci trudu. Moje włosy leżą tam, ma stole. ,
Sanson spojrział we wskazanym kierunku.

- Chciałabym tylko - mówiła dalej - aby dziś jeszcze doręczono je moim dzieciom.

- Pani - odrzekł Sanson - to do mnie nie należy.

- Sądziłam jednak...

- Do mnie - przerwał Sanson - należy tylko spuścizna... po osobach... ich suknie, klejnoty, i to tylko wtedy, gdy mi je wyraźnie przekazują. W innym wypadku wszystko idzie na rzecz szpitala Salpetriere. Tak nakazuje dekret Komitetu Ocalenia Publicznego.

- Ale ja, panie - spytała tonem nalegania Maria Antonina - czy mogę liczyć, że włosy moje będą oddane dzieciom?

Sanson milczał.

•

- Ja się o to postaram - odezwał się Gilbert.
Uwięziona spojrzała na żandarma z wyrazem niewypowiedzianej wdzięczności.

- Przyszedłem tu - rzekł Sanson - ażeby obciąć pani włosy, ale skoro to już niepotrzebne, mogę teraz panią zostawić na chwilę samą, jeśli pani tego sobie życzy.

- Owszem, proszę o to, bo muszę spokojnie zebrać myśli i pomodlić się.

Sanson uklonił się i wyszedł.

Królowa znowu została sama, bo Gilbert tylko wytknął głowę poza parawan, aby powiedzieć to, cośmy przytoczyli.

259

Gdy skazana uklękła na krześle niższym nieco od innych, które służyło jej za klęcznik, nie mniej straszna scena rozgrywała się w probostwie kościoła Saint-Landry na wyspie.

Pleban tej parafii właśnie wstał, a stara gospodyni przyrządzała mu skromne śniadanie, kiedy nagle mocno zapukano do drzwi.

- Zobaczcie no, Hiacynto - rzekł - kto tam kołacze tak rano. Jeżeli to niepilny jakiś interes, powiedzcie, że jestem dziś wezwany do Conciergerie i że muszę tam iść natychmiast.

Hiacynta nazywała się dawniej Magdalena, ale zmieniła swe imię i przyjęła imię kwiatu, podobnie jak ksiądz Girard przyjął tytuł obywatela zamiast dawnego tytułu proboszcza.

. Na wezwanie pana, Hiacynta czym prędzej zbiegła po schodach, otworzyła drzwi i spostrzegła młodzieńca o bardzo bladej, ale miłej twarzy.

- Czy tu mieszka ksiądz Girard? - zapytał ów młodzieniec.

Hiacynta spojrzała na nieporządne ubranie przybysza, na długą brodę, spostrzegła, że drżał cały i wzięła to Wszystko za bardzo złą wróżbę.

-- Obywatelu - rzekła - tu nie ma żadnego księdza.

- Przepraszam panią - przerwał młodzieniec - chciałem powiedzieć, czy tu mieszka proboszcz parafii Saint-Landry?

Wyraz „pani” uderzył Hiacyntę mimo jej patriotyzmu, odpowiedziała więc:

- Nie można się z nŁm widzieć, obywatelu, bo czyta teraz brewiarz.

- To ja poczekam - odpowiedział młodzieniec.

- Ależ - odparła Hiacynta, nieco przestraszona naleganiem mŁodego człowieka - na próżno byś czekał, obywatelu. Wezwano go do Conciergerie i zaraz wychodzi.

151

Młodzieniec zbladł okropnie albo raczej bladość jego stała się trupia.

- Więc to prawda! - szepnął.
A potem dodał gŁośniej:

- Właśnie, proszę pani, dlatego przychodzę do obywatela Girard.

I mówiąc to, mimo oporu starej pchnął lekko drzwi i nie zważając na groźby Hiacynty, wszedł do mieszkania księdza i dostał się do jego pokoju.

Ten, spostrzegŁszy go, krzyknął zdziwiony.

- Przebacz, mości proboszczu - rzekł natychmiast młodzieniec. - Pozwól, abyśmy zostali sami.

Stary ksiądz wiedział z doświadczenia, jak objawia się wielka boleść. Wyczytał on cierpienie w twarzy młodzieńca, a w drżącym jego gŁosie - wzruszenie.

- Zostaw nas, Hiacynto - rzekł.

Młodzieniec niespokojnym wzrokiem spojrział na gospodynię, która przyzwyczajona do dzielenia tajemnic swojego pana namyślała się, czy ma wyjść. Wreszcie, gdy zamknęła drzwi, rzekł:

- Księżę proboszczu, spytasz mnie zapewne, ktom jest. Powiem ci: jestem wyjęty spod prawa, skazany na śmierć i żyję tylko dzięki swej odwadze. Jestem kawaler de Maison-Rouge.

Przerażony ksiądz aż zadrzał w wielkim fotelu.

- Nie lękaj się niczego - mówił dalej kawaler - nikt nie widział, że tu wszedłem, a ci, którzy nawet mnie widzieli, nie rozpoznają mnie, bom się zbyt zmienił w ciągu dwóch miesięcy.

- Lecz czego żądasz, obywatelu? - spytał proboszcz.

- Idziesz dziś do Conciergerie, prawda?

- Tak, wezwał mnie tam dozorca.

- A wiesz do kogo?

- Zapewne do kogoś, kto jest chory, umierający, a może skazany.

152

- Tak, oczekuje cię osoba skazana.

Stary ksiądz ze zdziwieniem spojrział na kawalera.

- Ale czy wiesz, kto jest tą osobą? - spytał Maison-

-Roug-e.

- Nie... nie wiem.

• - Tą osobą jest królowa!
Ksiądz wydał okrzyk rozpacz:

- Królowa! O, mój Boże!

- Tak, panie, królowa! Dowiedziałem się, który duchowny ma przyjść do niej, powiedziano mi, że ksiądz. Dlatego przybiegłem.

- Czego pan chce ode mnie? - zapytał ksiądz, przerażony drżącym głosem kawalera.

- Ja chcę... ja nie chcę... panie. Przychodzę cię prosić i błagać.

- O co?

- Abyś mnie wprowadził z sobą do królowej!

- O, oszalałeś pan chyba! - zawołał ksiądz. - Pan i mnie, i siebie chcesz zgubić!

- Proszę niczego się nie lękać.

- Biedna kobieta! Skazana!

. - Wiem o tym, i nie dlatego chcę ją widzieć, abym się kusił o jej ocalenie, ale... Słucha j,'ojcze! O! Ty mnie nie słuchasz!

- Nie słucham, bet pan żądasz niepodobieństwa. Nie słucham, bo postępujesz jak wariat - powiedział starzec. - Nie słucham, bo mnie przerażasz, mój panie.

- Mój ojcze, uspokój się - rzekł młodzieniec, usiłując opanować swe wzruszenie. - Wierz mi, że jestem przy zdrowych zmysłach. Wiem, że królowa jest zgubiona, ale chciałbym na chwilę upaść do jej nóg. To ocali mi życie. Jeżeli jej nie zobaczę, ziabfję się, a ponieważ ty, ojcze, będziesz przyczyną mojej rozpaczy, zabijesz więc mą duszę i ciało.

- Mój synu, mój synu - rzekł ksiądz - żądasz ofiary,

153

którą mogę przypłacić życiem. Zastanów się!... Jakkolwiek jestem stary, to jednak potrzebny nieszczęśliwym. Jakkolwiek jestem stary, mówię, gdybym umyślnie narażał się na śmierć, równałoby się to popełnieniu samobójstwa.

- Nie odmawiaj, ojcze - odparł kawaler - musisz wziąć z sobą wikariusza. Weź mnie, weź mnie z sobą.

Ksiądz, u którego dało się już zauważyć pewne wahanie, rzekł:

- Nią, nie, to byłoby uchybieniem moim obowiązkom. Przysięgłem na wierność konstytucji, a uczyniłem to z głębi serca, całą duszą i zgodnie ze swoim sumieniem. Skazana .na śmierć kobieta to królowa, która jest winna. Umarłbym chętnie, gdybym swoją śmiercią mógł przynieść korzyść bliźniemu, lecz obowiązkom uchybić nie chcę.

- Ale powiadam przecież - zawołał kawaler - przecież powtarzam i przysięgam, że nie chcę ocalić królowej. Przecież zaklinam się na ten krucyfiks, że idę do Conciergerie nie po to, aby przeszkodzić jej śmierci!...

- Po cóż wiec tam chcesz iść? - spytał starzec, wzru-

szony szczerym głosem rozpaczy młodzieńca.

- Słuchaj, ojcze - rzekł kawaler. - Ona wie, że jestem jej oddany. Skoro mnie ujrzy w ostatniej swojej godzinie, z pewnością przyniesie jej to prawdziwą pociechę.

- Czy to jest wszystko, czego ode mnie żądasz? - zapytał ksiądz, nie mogąc oprzeć się błaganiu, które brzmiało w głosie młodego człowieka.

- Absolutnie wszystko.

- A nie uknujesz spisku w celu uwolnienia skazanej?

- Żadnego! Jestem chrześcijaninem, mój ojcze, a jeżeli w sercu moim kryje się choć cień kłamstwa, jeżeli ludzie się nadziejają, że ona będzie żyć, jeżeli uczynię cokolwiek, aby tak się stało, niech mnie Bóg skarzę na wieczne potępienie.

154

;

- Nie! nie! Nic ci przyrzec nie mogę - powiedział pleban, któremu znowu stanęły przed oczami liczne niebezpieczeństwa wynikłe z tak nierozważnego kroku.

- Posłuchaj mnie, ojcze - rzekł kawaler tonem, w którym brzmiało głębokie cierpienie. - Mówiłem z tobą jak posłuszny syn, wspomniałem tylko o uczuciach chrześcijańskich i miłosiernych, z ust moich nie wyszła żadna groźba, żadne gorzkie słowo, chociaż głowa mi płonie, krew burzy się, rozpacz szarpie mi serce, chociaż, patrz, jestem uzbrojony, mam sztylet!

To mówiąc młodzieniec wy dobył z zanadrza błyszcząca stal, która rzuciła blask na jego bladą rękę. Ksiądz cofnął się żywo.

- Nie lękaj się, ojcze! - ze smutnym uśmiechem rzekł kawaler. - Wiem, że dobrowolnie dotrzymasz słowa. Może kto inny, korzystając z twego przerażenia, wydarłby ci je przemocą. Ale ja nie. Błagałem cię i błagam wciąż jeszcze - mówił dalej, złożwszy ręce w pokorze - spraw, niech ją zobaczę przez chwilę. A to będzie rękojmią twego bezpieczeństwa...

I wy dobył z kieszeni jakieś pismo, które podał ojcu Girard. Ksiądz rozwinął papier i czytał:

„Ja, kawaler René de Maisom-Rouge, oświadczam przed Bogiem i zaręczam honorem, że pod groźbą śmierci zmusiłem, zacnego plebana z Saint-Landry, aby mnie zaprowadził do Conciergerie, mimo że mi odmawiał, że silnie się opierał, co stwierdzam własnoręcznym podpisem, Maisom-Rouge,”

- Dobrze - rzekł ksiądz - ale przysięgnij mi, że nie będziesz nierozważny, bo nie dosyć, że moje życie będzie ocalone, ale ja odpowiadam także i za twoje.

- O, nie myślałem o tym, ojczy - rzekł kawaler. -
Więc zezwalasz?

- Muszę, kiedy tak chcesz koniecznie. Poczekasz na

155

mnie na dole, a gdy ona będzie szła do kancelarii, zobaczysz ją.

Kawaler schwycił rękę starca i pocałował ją z zapamiętaniem i uszanowaniem.

- O! - szepnął - przynajmniej umrze jak królowa, nie dotknie jej ręka kata!

XXII

ŚMIERTELNY WÓZ

Maison-Rouge, gdy tylko uzyskał zezwolenie plebana, wszedł szybko do przyległego gabinetu, w którym ksiądz zwykle się ubierał. Tam pod ostrzem brzytwy spadła jego broda i wąsy. Wtedy dopiero spostrzegł swą przerażającą błądź.

Tymczasem przyszło po księdza dwóch funkcjonariuszy. Proboszcz natychmiast udał się tam, dokąd go wzywano, a za nim Maison-Rouge, pełen śmiałości, nie nasuwającej żadnych podejrzeń, zmieniony na skutek gorączkowego podniecenia. Wszedł na dziedziniec Conciergerie przez prowadzącą tam wówczas bramę.

Podobnie jak ksiądz Girard, miał na sobie czarne ubranie, ponieważ w tej epoce nie używano kapłańskich sukni.

W kancelarii zastano przeszło pięćdziesiąt osób, głównie urzędników lub komisarzy, oczekujących na przejście

królowej.

Kawaler, skoro znalazł się przy drzwiach więzienia, poczuł, że serce tak mocno mu bije, iż nie słyszy rozmowy księdza z żandarmami i dozorcą.

Jakiś mężczyzna, trzymając w ręku nożyczki i kawałek świeżo okrojonej materii, potrącił go na progu.

Maison-Rouge obejrzał się i poznał kata.

- Czego chcesz, obywatelu? - spytał Sanson.

lo6

»- Ja? - rzekł. - Widzisz przecież, obywatelu Sanson, że towarzyszę plebanowi z Saint-Landry.

- A, dobrze - odpowiedział kat.

I usunął się na stronę, by wydać rozkazy swemu pomocnikowi.

Tymczasem Maison-Rouge dostał się do pokoju, który zajmowali żandarmi.

Ale kawaler, z miejsca, na którym się znajdował, nie mógł dostrzec królowej, bo parawan tylko na chwilę został odsunięty, aby przepuścić plebana.

Gdy kawaler wszedł, królowa już rozmawiała z plebanem.

- Panie - rzekła doń offtro i dumnie - ponieważ zaprzysięgłeś wierność Republice, w imieniu której skazuję mnie na śmierć, nie mogę mieć do ciebie zaufania. 'Czimy nie tego samego Boga!

- Pani - odrzekł Girard, bardzo poruszony tym pogardliwym wyznaniem - chrześcijanka, która ma umrzeć, powinna umrzeć bez nienawiści w sercu i nie odtrącać Boga, bez względu na to, kto w danej chwili jest jego posłannikiem. ..

Maison-Rouge chciał odsunąć parawan w nadziei, że królowa go spostrzeże i zmieni zaraz zdanie w stosunku do plebana, lecz obaj żandarmi natychmiast się poruszyli.

- Ale jestem przecież wikariuszem... - odezwał się Maison-Rouge.

- Ona nie chce plebana, tym bardziej nie będzie chciała i wikariusza - odpowiedział Duchesne.

- Ale może go jednak przyjmie - mówił dalej kawaler podnosząc głos. - To niepodobna, żeby się na to nie zgodziła.

Jednak Maria Antonina, oddana w tej chwili tylko jednemu uczuciu, nie mogła ani słyszeć, ani poznać głosu kawalera.

- Idź pan - mówiła znowu do Girarda - idź i zo-

157

staw mnie. Ponieważ żyjemy teraz we Francji, którą rządzi wolność, niechże więc umrę tak, jak tego pragnę. Girard jeszcze raz próbował ją przekonać

- Zostaw mnie, panie - rzekła - zostaw mnie, powiadam.

Girard znowu chciał coś dodać.

- Ja tak chcę - rzekła królowa, czyniąc gest Marii Teresy. Girard wyszedł.

Maison-Rouge usiłował spojrzeć przez szparę w parawanie, ale uwięziona stała odwrócona plecami.

Pleban spotkał się z pomocnikiem kata, który szedł ze sznurami w ręku.

Zanim kawaler, zrozpaczony, złamany, mógł krzyknąć lub uczynić jakikolwiek ruch, by spełnić swój zamiar, obaj żandarmi wypchnęli go za drzwi.

Znalazł się wraz z Girardem na korytarzu. Z korytarza wepchnięto ich do więziennej kancelarii, gdzie już rozeszła się wieść, że królowa nie przyjęła księdza, gdzie duma Marii Antoniny, jako Austriaczki, stała się dla jednych przedmiotem grubiańskich obelg, dla innych zaś przedmiotem tajemnego uwielbienia.

- Wracaj do domu - rzekł Richard do księdza. - Kiedy cię wypędza, niech sobie umiera, jak chce.

- Ona ma rację, ja bym tak samo uczyniła - powiedziała żona Richarda.

- I źle byś zrobiła, obywatelko - odrzekł ksiądz.

- Milcz, żono - mruknął z przestachem dozorca - to do ciebie nie należy. Idź, księżo, idź. ,

- Nie - powtórzył Girard - je mimo jej woli będę jej towarzyszył. Jedno, tylko jedno słowo przypomni jej o obowiązku chrześcijańskim. Poza tym, taki rozkaz dała mi Gmina, a ja powinienem być Gminie posłuszny.

- Zgoda, ale odeślij swojego wikariusza - rzekł grubiańsko adiutant-major, dowodzący zbrojnym oddziałem.

153

Był to dawny aktor z teatru Comedie-Francaise, nazwiskiem Grammont.

Oczy kawalera błysnęły dziko. Machinalnie wst[^]iał rękę w zanadrze.

Girard wiedział, że kawaler ma sztylet ukryty pod kamizelką. Wstrzymał go więc błagalnym spojrzeniem.

- Nie narażaj mojego życia - rzekł do niego po cichu. - Widzisz, że dla ciebie wszystko już stracone, nie giń razem z nią. W drodze wspomnę jej o tobie, przysięgam ci. Powiem Jej, na co się odważyłeś, aby ją po raz ostatni zobaczyć.

Słowa te uśmierzyły wzburzenie młodzieńca.

- Tak - rzekł- tak być musiało: krzyż dla Chrystusa, rusztowanie dla niej. Bogowie i królowie zwykle aż do dna wypróżniają kielich goryczy, podany przez ludzi.

Na skutek tej myśli pełnej rezygnacji młodzieniec pozwolił się wypchnąć za drzwi, wydając mimo woli jęk i stawiając opór podobny do tego, jaki stawiała skazana na śmierć Ofelia. widząc, jak unoszą ją fale;

U wrót Conciergerie tłoczyły się przerażające tłumy ludzi.

Niecierpliwość dominowała nad wszystkimi namiętnościami, które przemówiły właściwym sobie językiem, sprawiając długą i huczną wrzawę, tak iż się zdawało, że cała ludność zgromadziła się w obręb pałacu sprawiedliwości.

Naprzeciwko tłumów obozowała cała armia z armatami, które przeznaczone były do zapewnienia bezpieczeństwa wszystkim, którzy pragnęli nacieszyć się uroczystą chwilą.

Maison-Rouge, który niemal wypchnięty został z Conciergerie, znalazł się w pierwszym szeregu żołnierzy.

Żołnierze zapytali go, kim jest.

Odpowiedział, iż jest wikariuszem . księdza Girarda,

IW

lecz że królowa ich nie przyjęła, ponieważ obaj związani byli przysięgą.

Żołnierze z kolei wypchnęli go do pierwszego szeregu widzów.

Tu musiał znowu powtarzać to, co powiedział poprzednio żołnierzom.

Wówczas podniosły się okrzyki:

- On był u niej przed chwilą... Widział ją... Cóż mu powiedziała?... Co ona robi?... Czy ciągle taka dumna?... Czy upadła na duchu?... Czy płacze?...

Na liczne pytania kawaler odpowiadał głosem słabym, ale zarazem miłym i uprzejmym, jakby ten głos był ostatnim tchnieniem jego życia.

Odpowiedzi jego były czystą, pełną prostoty prawdą, tylko że prawda ta stanowiła pochwałę dla stanowczości Antoniny, prostota zaś niejedno serce przejęła trwogą i niepokojem.

Kiedy mówił o małym delfinie, o jego matce, królowej bez tronu, małżonce bez męża, matce bez dzieci, kobiecie samotnej i opuszczonej, pozbawionej przyjaciół, otoczonej katami, smutek osiadł na niejednym czole, niejedna łza zwilżyła oczy przepelnione nienawiścią.

Zegar pałacowy wybił godzinę jedenastą i natychmiast wrzawa ustała.

Sto tysięcy osób liczyło uderzenia zegara, sto tysięcy osób słyszało uderzenia własnych serc.

A potem, gdy zamilkł ostatni dźwięk zegara, za bramą powstał wielki zgiełk i jednocześnie śmiertelny wóz, zajeżdżając od strony bulwaru Fleurs, potoczył się .obok posterunków wojska i ludu, i wreszcie stanął przy stopniach więziennego podestu schodów.

Wkrótce na podeście ukazała się królowa. Wszyscy wstrzymali oddech i skierowali na nią spojrzenia.

Krótko ostrzyżone, w więzieniu posiwiałe włosy sre-

160

brzystością swą dodawały delikatności bladej, niebiańsko pięknej córce Cezarów.

Miała na sobie białą szatę, z tyłu związane ręce.

Gdy ukazała się na wysokości schodów, mając po prawej stronie księdza Girard, który jej towarzyszył, mimo że mu tego wzbraniała, a po lewej kata, obu czarno ubranych, w całym tłumie powstał szmer, który sam tylko Bóg, czytający w ludzkich sercach, mógł zrozumieć i ocenić.

Wtedy pomiędzy Marią Antoniną a katem przeszedł jakiś mężczyzna.

Był to Grammont. Chciał, aby zobaczyła haniebny wóz.

Królowa mimo woli się cofnęła.

- Wsiadaj! - rzekł Grammont.

Zebrany tłum usłyszał to słowo, bo poruszenie zamknęło wszystkim usta.

Wówczas zauważono, jak krew występowała na policzki królowej, ale po chwili twarz Marii Antoniny znów odzyskała śmiertelną bladość.

Jej zsiniałe usta rozchyliły się.

- Po co ten wóz - rzekła - kiedy król jechał na rusztowanie w swoim powozie?

Wtedy ksiądz Girard rzekł coś do niej po cichu. Chciał, aby potępiona powstrzymała ostatni krzyk królewskiej dumy.

Królowa umilkła i zachwiała się.

Sanson wyciągnął obie ręce, pragnąc ją podtrzymać, lecz królowa wyprostowała się, zanim zdołał jej dotknąć.

Gdy zstępowała ze schodów, pomocnik kata przywiązał z tyłu wozu drewniane stopnie.

Królowa wsiadła, ksiądz zajął miejsce obok niej.

Gdy wóz zaczął się toczyć, lud ogarnęło wielkie poruszenie. Żołnierze, nie wiedząc, co ono oznacza, wspólnym wysiłkiem odparli tłum znajdujący się między wozem

II - A. Dumaa

161

a pierwszymi szeregami widzów, co utworzyło dużą, pustą przestrzeń.

Stąd właśnie ozwało się ponure wy<4e..

Królowa zadrżała, podniosła się i spojrzała wokół siebie.

Wtedy spostrzegła swego pieska, którego już od dwóch miesięcy uważała za straconego, a który nie mógł dostać się do Conciergerie, Pomimo krzyków, razów i odpędzania biedny Black rzucił się na wóz, lecz prawie natychmiast wycieńczony, chudy, znikł pod końskimi

kopytami.

Królowa śledziła go wzrokiem. Nie mogła mówić, bo hałas zagłuszyłby jej słowa, nie mogła wyciągnąć doń ręki, bo ręce miała związane, wreszcie, gdyby nawet usłyszano jej życzenie, czyżby mu uczyniono 7.adość?

Jednakże straciwszy go na chwilę z oczu, znowu go ujrzała.

Trzymał go na ręku jakiś blady młodzieniec, górujący nad tłumem. Młody człowiek stał na armacie i uniesiony niewypowiedzianym zapałem pozdrawiał ją, wskazując na niebo.

Maria Antonina również spojrzała na niebo i łagodnie się uśmiechnęła.

Kawaler de Maison-Rouge wydał jęk, jakby ten uśmiech zranił mu serce, a widząc, że wóz kieruje się w stronę mostu Change, wpadł między tłum i znikł.

XXIII RUSZTOWANIE

Na placu Rewolucji stało dwóch mężczyzn opartych o latarnię.
Wraz z tłumem, którego jedna część ruszyła w stronę

162

placu przed pałacem, druga w stronę placu Rewolucji, reszta zaś, ściśnięta, rozlała się po wszystkich drogach, łączących dwa place, czekali oni, aż królowa stanie przy narzędziu męki. Rusztowanie zdawało się ze złowrogą dumą panować nad otaczającymi je głowami, jak monarchini panuje nad ludem.

Dwaj mężczyźni, trzymający się pod rękę i rozmawiający po cichu, byli to Lorin i Maurycy.

Zmieszani z tłumem widzów i mający takie miejsce, że wzbudzali we wszystkich zazdrość, nie przestawali prowadzić rozmowy zapewne nie mniej interesującej od wszystkich rozmów, jakie krążyły w gromadkach ludzi. Grupki te, jakby połączone drutem elektrycznym, poruszały się na kształt falującego morza, poczynając od mostu Change aż do mostu Rewolucji.

Widok rusztowania, górujący nad głowami wszystkich, nasunął im podobną myśl.

- Patrz - rzekł Maurycy - jak ten ohydny potwór rozpościera czerwone ramiona. Rzekłbyś, że nas woła.

- O, na honor - odrzekł Lorin - przyznam ci się, że nie wyznawałem nigdy poezji, która wszystko widzi na czerwono. Dla mnie wszystko wygląda różowo i u stóp nawet tej ohydnej maszyny jeszcze bym śpiewał, jeszcze bym miał nadzieję. Dum spiro, spsro.

- Ty masz nadzieję, kiedy zabijają kobiety?

- O Maurycy, synu rewolucji - rzekł Lorin - nie wypieraj się swej matki, pozostań dobrym i prawym patriotą. Maurycy, osoba mająca umrzeć, nie jest zwyczajną kobietą, lecz kobietą zupełnie inną, odmienną,

to zły duch Francji.

- O, ja jej nie żałuję, ja jej nie oplakuję! - zawołał Maurycy.

- Rozumiem, żałujesz i oplakujesz Genowefę.

-- O szaleństwo przyprawia mnie myśl - rzekł Maurycy - że Genowefa jest w ręku dostawców gilotyny:

163

Heberta i Pouqnier-Tmville'a, w ręku ludzi, którzy posłali tu biedną Heloizę, a teraz posyłają dumną Marię

Antoninę.

- Cóż stąd? - rzekł Lorin. - Ja dlatego właśnie mam nadzieję, bo kiedy gniew ludu pożre dwie ukoronowane głowy, może się nasyci na jakiś czas, jak wąż boa, który trawi swoje ofiary trzy miesiące. W tym czasie nie połknie już nikogo, jak twierdzą prorocy z przedmieścia, bo najmniejszy kęs go przestraszy.

- Lorin, Lorin - odparł Maurycy - ja mam zdrowszy niż ty sąd o rzeczach i powiem ci po cichu to, co i na głos jestem gotów powtórzyć. Ja nienawidzę, Lorin, nowej królowej, którą przeznaczenie zdaje się wyznaczać na następczynię Marii Antoniny. Smutna to królowa, bo jej purpurę stanowi codziennie płynąca krew, a pierwszym jej ministrem jest Sanson.

- Ba, my mu się wymkniemy.

- Nie wierzę - potrząsając głową powiedział Maurycy. - Widzisz przecież, że, aby uniknąć aresztowania, które by było rzeczą nieuchronną, gdybyśmy byli w domu, musimy mieszkać na ulicy.

- E, cóż nam przeszkadza wyjechać z Paryża. Nie narzekajmy zatem. Mój wuj oczekuje nas w Saint-Omer, mamy pieniądze i paszporty, żaden żandarm nas nie zatrzyma. Cóż ty na to? Zostajemy tutaj, bo sami tego

chcemy.

- Nie, niezupełnie tak jest, jak mówisz, najlepszy, najbardziej oddany przyjacielu. Ty zostajesz, bo ja chcę zostać.

- A ty zostajesz, bo chcesz odnaleźć Genowefę. Cóż więc naturalniejszego, coż słusniejszego? Sądzisz, że ona jest w więzieniu, i masz zupełną rację. Pragniesz nad nią czuwać i dlatego nie możemy wyjechać z Paryża.

Maurycy westchnął. Widać było, że myśl jego błądzi gdzieś daleko. • • , ..

164

- Czy przypominasz sobie śmierć Ludwika XVI? - rzekł. - Byłem jednym z przywódców tłuszczy, wśród której do dziś się ukrywam. U stóp tego rusztowania byłem wyższy niż ten, który na nim ginął. Jakaż teraz zmiana, Lorin! A kiedy pomyślę, że dziewięć miesięcy wystarczyło, aby ją wywołać!

- Dziewięć miesięcy miłości, mój Maurycy!... O miłości, tyś zgubiła Troję!

Maurycy westchnął. Jego myśl skierowała się na inną tory.

- Biedny Maison-Rouge! - szepnął. - Jakiż to okropny dzień dla niego.

- Niestety! - rzekł Lorin - Wiesz, Maurycy, co ja najsmutniejszego widzę w rewolucjach? Chcesz posłuchać?

- Tak.

- Że często naszymi wrogami są ludzie, których chcielibyśmy uważać za przyjaciół i...

- Trudno mi w jedną rzecz uwierzyć - przerwał Maurycy.

. - W jaką?

- Że ten szaleniec nie znajdzie już żadnego sposobu ocalenia królowej.

- Ten człowiek, silniejszy od stu tysięcy innych?

- Powiadam ci, że byłby chyba szalony. Ja wiem, że dla • ocalenia Genowefy...
Lorin zmarszczył brwi.

- Powtarzam ci, Maurycy - rzekł - że jesteś w błędzie. Nie. Nawet gdyby trzeba było ocalić Genowefę, nie

zostaniesz złym obywatelem. Ale dość tego, Maurycy, słuchają mas. Patrz, oto wszystkie głowy poruszają się. Pomocnik obywatela Sansona podnosi się i patrzy. Austriaczka jedzie.

Rzeczywiście tłum zafalować gwałtownie, co słusznie zauważył Lorin.

165

Maurycy wspiął się na słup latami i spojrzął w stronę ulicy Saint-Honore.

- Prawda - rzekł drżąc cały - to oma!

W istocie spostrzeżono już inną, równie obrzydliwą jak gilotyna machinę. Był to śmiertelny wóz.

Po prawej i lewej stronie wozu błyszczała broń eskorty, z przodu Grammont za pomocą szabli odpowiadał na krzyki niektórych fanatyków. Ale w miarę jak wóz się zbliżał, krzyki powoli cichły pod wpływem zimnego i ponurego spojrzenia skazanej.

Niczyja twarz bardziej nie nakazywała szacunku. Maria Antonina nigdy nie była tak pełna wielkości i majestatu. Jej duma wzbudzała trwogę we wszystkich.

Obojętna na napomnienia księdza Girard, który jej towarzyszył, nie skłoniła głowy ani na prawo, ani na lewo. Myśl, tkwiąca w jej mózgu, zdawała się być równie niewzruszona jak jej wzrok. Wyglądała jak posąg z marmuru, z tą tylko różnicą, że oczy jej pełne były blasku, a krótkie włosy rozwiewały się na wietrze.

Cisza zaległa nagle wśród trzystu tysięcy widzów tej sceny.

Wkrótce w miejscu, gdzie znajdował się Maurycy i Lorin, usłyszano zgrzyt osi śmiertelnego wozu i sapanie gwardyjskich koni.

Wóz stanął wreszcie u stóp rusztowania.

Królowa, która zapewne nie myślała o tej chwili, jakby przebudziła się i zrozumiała. Dumnym wzrokiem powiodła po tłumach i spostrzegła, że na granitowym słupie stoi ten sam błady młodzieniec, którego niedawno widziała na armacie,

Posłał on jej takie samo pełne szacunku pozdrowienie, jak uczynił to przedtem, gdy wyjeżdżała z Conciergerie. Potem znowu zeskoczył ze słupka.

Widziało go kilka osób, ponieważ zaś był czarno ubrany, zaczęto mówić po cichu, że ksiądz czefca na Marię

166

Antoninę, aby udzielić jej rozgrzeszenia, gdy wstąpi na rusztowanie.

Królowa ostrożnie zeszła po stopniach. Podtrzymał ją Sanson, który spełniając do ostatniej chwili obowiązek, na jaki sam zdawał się być skazany, okazywał jej największe względy.

Gdy szła ku stopniom rusztowania, kilka koni stanęło dęba, kilku gwardzistów i żołnierzy zdawało się chwiać na nogach i tracić równowagę. Potem widziano, że jakiś cień wśliznął się pod rusztowanie, ale spokój został natychmiast przywrócony. W tej uroczystej chwili nikt nie chciał opuścić swego miejsca, ażeby nie stracić najmniejszego szczegółu wielkiego dramatu, który miał się rozegrać. Oczy wszystkich skierowały się ku skazanej.

Królowa stała już na rusztowaniu. Ksiądz wciąż do niej mówił, pomocnik kata lekko popychał ją z tyłu, drugi odwiązywał chustkę osłaniającą jej ramiona.

Maria Antonina poczuła, że haniebna ręka dotyka jej szyi. Uczyniła nagle gwałtowny ruch i nastąpiła na nogę Sansona, który przywiązywał ją do okropnej deski w ten sposób, że tego nie widziała.

- Niech mi pan wybaczy - rzekła królowa - nie uczyniłam tego naumyślnie.
Sanson cofnął nogę.

Były to ostatnie słowa, które wymówiła córka Cezarów, królowa Francji, wdowa po Ludwiku XVI.

Na zamku Tuileries zegar wybił kwadrans po godzinie pierwszej po południu, kiedy Maria Antonina przeniosła się do wieczności.

Straszny krzyk, będący wyrazem wszystkich namiętności: radości, trwogi, żałoby, triumfu, żalu, rozległ się podobny do huraganu i zagłuszył inny słaby pisfc, dobiegający spod rusztowania.

Usłyszeli go żandarmi i posunęli się kilka kroków naprzód, ale tłumy już nieco przerzedzone rozlały się jak

1C7

rzeka, która zerwała tamę, obaliły przegrodę, rozproszyły gwardzistów i jak fale morskie podmyły stopy rusztowania, tak że całe aż się zatrzęsło.

Każdy chciał z bliska przypatrzeć się szczątkom królestwa, które, jak mniemał, przestało na zawsze istnieć 'we Francji.

Lecz żandarmi szukali czego innego: pragnęli się dowiedzieć, czyj to cień przemknął między ich szeregami i wśliznął się pod rusztowanie.

Wkrótce dwaj z nich wrócili, prowadząc za kołnierz młodzieńca, który przyciskał do serca zakrwawioną chustkę.

Za nim biegł mały piesek, wyjąc żałośnie.

- Śmierć! Śmierć arystokracie! - zawołało kilka głosów z tłumu, wskazując na młodzieńca. - Umaczał chustkę we krwi Austriaczki! Śmierć!

- Wielki Boże - rzekł Maurycy do Lorina - poznajesz go?

- Śmierć rojaliście! - krzyczeli szaleńcy. - Zabierzcie mu chustkę, którą chce sobie zatrzymać jako relikwię! Zabierzcie!

Dumny uśmiech przebiegł po ustach młodzieńca, który rozerwał koszulę, odkrył pierś i upuścił chustkę.

- Panowie, nie jest to krew królowej, ale moja - rzekł. - Pozwólcie mi umrzeć spokojnie.

Wszyscy ujrzeli głęboką, krwią zbroczoną ranę w jego lewym boku.

Tłumy wydały okrzyk przerażenia i cofnęły się.

Wtedy młodzieniec osunął się z wolna i padł na kolana, patrząc na rusztowanie, jak męczennik patrzy na ołtarz.

- Maison-Rouge!-szepnął Lorin do ucha Maurycemu.

- Żegnaj! - rzekł cicho młodzieniec z nieziemskim uśmiechem. - Żegnaj, a raczej do widzenia!

108

;

I skonał wśród otaczających go zdumionych gwardzistów.

Mały piesek, przestraszony, wyjął, kręcił się naokoło trupa.

- Patrzcie, to Black - powiedział jakiś człowiek, trzymający w ręku gruby kij.-Patrzcie, to Black. Chodź tu, chodź, stary!

Piesek podbiegł ku mężczyźnie, który go wołał, a ten podniósł kij i wybuchając głośnym śmiechem, rozplątał mu głowę.

- O nędznik! - zawołał Maurycy.

- Cicho! - szepnął Lorin. - Cicho albo jesteście zgubieni!... To Stmon!

XXIV

REWIZJA

Maurycy wrócił z Lorinem do jego mieszkania; Maurycy bowiem, aby zbyt otwarcie nie kompromitować przyjaciela, uznał za wskazane wychodzić z jego domu bardzo wcześnie, a wracać dopiero wieczorem.

Co dzień obecny był przy przewozie aresztowanych do Conciergerie, co dzień wypatrywał Genowefy, bo -nie wiedział, gdzie jest uwięziona.

Co dzień chodził od Karmelitów do Port-Libre, od Magdalenek do Świętego Łazarza, od Force do pałacu Luxembourg, i stawał przed więzieniami, gdy odchodziły z nich wozy z oskarżonymi, aby ich zawieźć do rewolucyjnego trybunału. Rzuciwszy okiem na ofiary, natychmiast biegł do innego więzienia.

Wkrótce przekonał się, że dziesięciu najczynniejszych ludzi nie zdołaloby w ten sposób czuwać nad trzydziestu więzieniami Paryża, postanowił więc chodzić do trybunału rewolucyjnego i tam czekać na zjawienie się Genowefy.

Był już u progu rozpacz.

Rzeczywiście, po wyroku nie było już żadnego ratunku dla skazanego. Trybunał, rozpoczynający posiedzenie o godzinie dziesiątej rano, do godziny czwartej skazał nieraz dwadzieścia lub trzydzieści osób.

Trapiony niepokojem i wątpliwościami, Maurycy przeklinał Dixmera. Groził mu, upajał się nienawiścią do tego człowieka, który pod pozorem oddania dla sprawy królowej krył okropną zemstę osobistą.

„O, ja go znajdę - myślał Maurycy. - Znajdę ja tego niegodziwca, a wtedy biada mu!”

Rankiem tego samego dnia, gdy rozegrały się opowiedziane przez nas wypadki, Maurycy wyszedł, jak zwykle, na plac Rewolucji, a Lorin jeszcze spał.

Zbudził go wielki zgiełk. Spojrzał wokół siebie nieprzytomnym wzrokiem, jak ktoś niespodziewanie napałnięty, gdy pragnie się przekonać, czy nie ma przy sobie czegoś kompromitującego.

W tym momencie weszło do' pokoju czterech członków sekcji, dwóch żandarmów i komisarz.

Odwiedziny te były tak jednoznaczne, że Lorin. czym prędzej zaczął się ubierać.

- Aresztujecie mnie? - spytał.

- Tak, obywatelu Lorin.

- Dlaczego?

- Bo jesteś podejrzany.

Komisarz napisał coś w protokole aresztowania.

- A gdzie jest twój przyjaciel? - zapytał po chwili.

- Jaki przyjaciel?

-• Obywatel Maurycy Lindey.

- Zapewne u siebie •- odparł Lorin.

- Nie, o-n przecież tutaj mieszka.

- On? Cóż znowu? Szukajcie, a jeżeli znajdziecie...

- 'Oto doniesienie - rzekł komisarz. - Jest dosyć jasne.

W

- No, ubieraj się prędeż - rzekł komisarz. I podał. Lorinowi pokryty obrzydliwym pismem papier. W doniesieniu twierdzono, że widziano, jak każdego poranka z mieszkania obywatela Lorin wychodzi obywatel Lindey, który jako podejrzany podlega zaarrestowaniu. Doniesienie podpisał Simon.

- No, proszę! Ten szewc wkrótce straci całą swoją klientelę, jeżeli będzie spełniał naraz dwa obowiązki. Chce być szpiegiem i łataczem starych butów! To prawdziwy Cezar z tego pana Simon.

I wybuchnął śmiechem.

- Gdzie jest obywatel Maurycy? - zapytał komisarz. - Gdzie on jest? Żądamy, abyś go wydał!

- Powiadam, że go tu nie ma!

Komisarz skierował się do drugiego pokoju, potem wszedł na niewielką antresolę, gdzie mieszkał oficjalista Lorina, na koniec otworzył komórkę. Maurycego nigdzie nie było.

W jadalnym pokoju na stole leżał jakiś list, który zwrócił uwagę komisarza. Był to list Maurycego, który go położył tam, nie chcąc budzić przyjaciela.

„Idę do trybunału - pisał Maurycy. - Zjedz śniadanie beze mnie, wrócę dopiero wieczorem.”

- Obywatele - rzekł Lorin - chociaż pragnąłbym jak najszybciej pójść z wami, rozumiecie, że w koszuli iść nie mogę. Pozwólcie więc, niech mnie ubierze mój 'oficjalista.

- Arystokrata! - rzekł czyjś głos. - Trzeba mu pomagać przy ubieraniu.

- A tak - odpowiedział Lorin - jestem jak obywatel Dagobert. Zwróciliście uwagę, że nie powiedziałem

król.

- No ubieraj się prędzej - rzekł komisarz.
Oficjalista zszedł z antresoli i pomógł swojemu panu ubrać się.

171

Lorin nie potrzebował lokaja, ale chciał, aby służący był świadkiem tego, co zaszło, i aby tym sposobem Maurycy mógł dowiedzieć się o wszystkim.

- Teraz, panowie... przepraszam, obywatele, jestem gotów i służę wam. Ale pozwólcie, proszę, abym mógł zabrać z sobą ostatni tom Listów do Emilii pana Demoustier, który to tom wyszedł z druku i którego jeszcze nie czytałem. To mi uprzyjemni więzienne nudy.

- Uwężenie twoje - odezwał się nagle Simon, który zostawszy miejskim gwardzistą wszedł teraz z czterema członkami sekcji - długo trwać nie będzie. Zamieszany jesteś w proces kobiety, która chciała ułatwić ucieczkę Austriaczce. Dziś ją sądzą... Ciebie będą sądzić jutro.

- Za prędko szyjesz buty - poważnie rzekł Lorin.

- Tak, ale je ładnie kroję - z obrzydliwym uśmiechem odparł Simon. -+ - Zobaczysz, mój piękny grenadierze!

Lorin wzruszył ramionami.

- Cóż, jedziemy? - rzekł. - Czekam na was. "
Gdy wszyscy odwrócili się tyłem, aby zejść ze schodów,

Lorin tak kopnął Simona, iż ten, wyjąc z bólu, stoczył się z wywoskowanych schodów.

Członkowie sekcji nie mogli powstrzymać się od śmiechu, a Lorin włożył ręce do kieszeni.

- I to przy sprawowaniu obowiązków! - krzyknął Simon pobladłszy z gniewu.

- A my! - odparł Lorin. - Czyż my tu wszyscy nie sprawujemy swoich obowiązków?

Wsiadł do dorożki i wraz z komisarzem pojechał do pałacu sprawiedliwości.

m

xxv

LORIN

Jeżeli czytelnik po raz drugi towarzyszyć nam pragnie do trybunału rewolucyjnego, zastanie tam Maurycego na tym samym miejscu, gdzieśmy go już przedtem widzieli. Bledszy jest tylko i bardziej wzburzony.

W chwili gdy otwiera się scena straszego teatru, do-
kład prowadzą nas raczej wypadki niż upodobanie, przy-
sięgli naradzają się nad wysłuchaną przed chwilą spra-
wą. Dwaj oskarżeni, którzy pełni pogardy dla sędziów
ubrali się już jak na rusztowanie, rozmawiali z obrońca-
mi. Czcze słowa tych ostatnich podobne były do słów
lekarza, który powątpiewa już o zdrowiu chorego.

Lud, zajmujący tego dnia trybuny, był rozdrażniony,
jego zaciekłość udzielała się przysięgłym. I nic dziwne-
go - byli oni pod bezpośrednim nadzorem pończoszarki
i andrusów z przedmieścia, starali się więc zadowolić lud,
jak aktor nieprzychylnie nastawioną publiczność.

Dwaj ludzie, siedzący na ławie oskarżonych, oczekiwali
właśnie na „tak” lub „nie”, które albo miało przywrócić
ich życiu, albo rzucić w ramiona śmierci.

Lud, zdziaczały na skutek oglądania codziennie tragedii,
które stanowiły jego ulubione widowisko, prowadził na-
stępujące rozmowy:

- Patrz no, patrz na tego wielkiego! - mówiła poń-
czoszarka, która zamiast czepka miała wpiętą we włosy
trójkolorową kokardę. - Patrz, jaki on blady, jakby już
umarł!

Skazany spojrział na nią pogardliwie i uśmiechnął się.

- Co? - odrzekła sąsiadka. - Przecie on się śmieje!
Jakiś mieszczanin spojrział na zegarek.

- Która godzina? - zapytał jego towarzysz.

173

- Za dziesięć minut pierwsza. Już trzy kwadransy,

jak się naradzają.

- A ten mały! - zawołał inny z sąsiadów. - Patrzcie na niego! Ale będzie ładny, kiedy kichnie w worek!

- Ba, to tak prędko idzie, że nie będziesz miał czasu tego zauważyć.

- Poprosimy pana Śansona O jego głowę. Przecież każdemu wolno ją zobaczyć.

- A ten, patrz, jak pięknie ubrany na niebiesko... Biednym ludziom przyjemnie patrzeć, kiedy takich elegantów ścinają.

Maurycy słuchał tych rozmów, ale nie zwracał na nie uwagi. Można by powiedzieć, że od kilku dni serce jego tylko czasem biło. Obawa lub nadzieja kolejno zdawały się zawieszać bieg jego życia, wskutek czego stał się mniej czuły i wrażliwy, a ogarnęła go dziwna niemoc, podobna do bezwładu.

Przysięgli powrócili do sali i, jak przewidywano, prezes odczytał wyroki: obaj oskarżeni skazani zostali na śmierć.

Wyprowadzono ich. Szli nieustraszeni, bo w owej epoce każdy śmiało umierał.

Głos woźnego ozwał się ponuro, złowrogo:

- Obywatel oskarżyciel publiczny przeciwko obywatelce Genowefie Dixmer.

Maurycy zadrżał na całym ciele i pot zrosił mu twarz.

Otworzyły się drzwi, którymi wprowadzano oskarżonych, i ukazała się Genowefa. Miała na sobie białą suknię, uczesana była starannie, nawet z pewną kokieteryą, gdyż nie obcięła włosów, jak to czyniło wiele innych kobiet. Zapewne aż do ostatniej chwili pragnęła się wydać piękną temu, który ją mógł zobaczyć.

Maurycy spostrzegł Genowefę i uczył, że siły go opuszczają.

Na widok młodej, pięknej kobiety wszyscy wydali

okrzyk. W ustach jednych był to okrzyk wściekłości - w owej epoce ludzie najczęściej nienawidzili wszystkiego, co wykraczało poza przeciętność czy to pod względem piękności, czy majątku, geniuszu lub pochodzenia - inni wykrzyknęli z podziwu, a niektórzy nawet z litości

Genowefa jednak wśród ogólnej wrzawy poznała widocznie jeden głos, bo zwróciła się w stronę Maurycego. Prezes tymczasem przewracał kartki aktu oskarżenia, od czasu do czasu patrząc na nią z ukosa.

Biedna kobieta od razu spostrzegła Maurycego, mimo że twarz zasłaniał mu kapelusz. Zwróciła się wtedy ku niemu ze słodkim uśmieszkiem, różowe i drżące ręce przyłożyła do ust, przesyłając mu tajemniczy pocałunek, do którego w tym tłumie on jeden miał prawo.

S;:mer współczucia przebiegł po całej sali. Genowefa, zapytana przez któregoś z sędziów, zwróciła się ku niemu, lecz nagle wzrok pełen niewypowiedzianej trwogi utkwiała w jednym punkcie sali.

Na próżno Maurycy wspinał się na palce. Nic nie dojrzał.

Fouquier-Tinville zaczął czytać akt oskarżenia.

Akt ten twierdził, że Genowefa Dixmer była żoną zagorzałego buntownika, podejrzanego o udzielenie pomocy byłemu kawalerowi de Maison-Rouge w jego spiskach, mających na celu umożliwienie ucieczki królowej.

Schwytano ją u stóp królowej w momencie, gdy błagała Marię Antoninę, aby ta włożyła jej suknie. Była gotowa poświęcić swe życie dla królowej. Tak nierozsądny fanatyzm - mówił akt oskarżenia - zjedna sobie zapewne pochwały kontrrewolucjonistów. Ale dziś, kiedy każdy obywatel francuski winien jest narodowi swe życie, ten, kAo poświęca je nieprzyjaciołom Francji, zdradza swój naród.

Genowefa zapytana, czy w istocie przyznaje się, iż, jak 17»

twierdzą żandarmi Duchesne i Gilbert, ujęto ją u nóg Królowej, odpowiedziała z prostotą:

- Tak jest.

- A zatem •- rzekł prezes - opowiedz nam, jakie miałaś plany i nadzieje.
Genowefa uśmiechnęła się.

- Kobieta może mieć nadzieję - odparła - ale nigdy nie może przedsięwziąć takiego planu, jakiego ja stałam się ofiarą.

- Jakim więc sposobem tam się dostałaś?

- Nie rozporządzałam własną osobą, kazano mi tam iść.

- Kto ci kazał? - zapytał oskarżyciel publiczny.

- Ludzie, którzy w razie nieposłuszeństwa grozili mi Śmiercią.

I znowu swój gniewny wzrok utkwiała w punkcie sali, którego Maurycy nie mógł dojrzeć.

- Ale dla uniknięcia śmierci, jaką ci grożono, naraziłaś się również na wyrok śmierci?

- Kiedy uległam, nóż dotykał mojej piersi, a giloty-
na znajdowała się jeszcze daleko od mojej głowy. Ugię-
łam się pod tym gwałtem.

- Czemuś nie wzywała pomocy? Każdy obywatel był-
by cię obronił.

- Niestety, mój panie - odpowiedziała Genowefa tak smutno, że Maurycemu omal nie pękło serce - Niestety, nikogo więcej nie było wtedy przy mnie.

Wzruszenie zastąpiło współczucie, jak współczucie ustąpiło przedtem ciekawości. Mnóstwo ludzi opuściło głowy:

jedni, ażeby ukryć łzy, inni, aby pozwolić im płynąć.

Wtedy Maurycy ujrzał po lewej stronie twarz nie-
wzruszoną, nieugiętą.

Był to Dixmer, ponury, nieubłagany, który nie spuszczał z oka Genowefy ani członków sądu.

Krew uderzyła młodzieńcowi do głowy. Gniew ogarnął jego serce i mózg, napełniając całego żądzą zemsty.

Rzucił na Dixmera spojrzenie pełne tak wielkiej nienawiści, iż ten odwrócił ku niemu głowę.

Spojrzenia ich skrzyżowały się jak dwa płomienie.

. - Podaj mi nazwiska inicjatorów spisku - rzekł prezes.

• - Znam tylko jedno, panie.

- Czyje?

- Mego męża.

- A wiesz, gdzie on się teraz znajduje?

- Wiem.

- Wskaż nam jego miejsce pobytu.

- On sW stosunku do mnie był nikczemny, ale ja nie będę podła. Nie do mnie należy odkrycie jego miejsca pobytu, wy musicie to uczynić.

Maurycy spojrzał na Dixmera. Dixmer nie poruszył się. Jakaś myśl przebiegła przez głowę młodzieńca: chciał zadenuncjować Dixmera, demaskując samego siebie, ale się wstrzymał.

- Nie - rzekł - on nie powinien umrzeć w ten sposób.

- Odmawiasz więc udzielenia nam wskazówek? - zapytał prezes.

- Sądzę, panie, że ulegając waszemu żądaniu, byłabym godna pogardy w swoich oczach, jak również w oczach innych! - odparła Genowefa.

- Czy są świadkowie? - zapytał prezes.

- Jest jeden - odpowiedział woźny.

- Przywołaj go.

- Maksymilian Jan Hiacynt Lorin! - zawołał woźny.
„Lorin! - pomyślał Maurycy. - O Boże, cóż się

stało?"

Scena ta odgrywała się w dniu, kiedy aresztowano

Lorina, o czym Maurycy nie wiedział.

- Lorin... - szepnęła Genowefa, z niepokojem spoglądając wokół siebie.

Q - A. Dumas

177

- Dlaczego świadek nie odpowiada na wezwanie? - spytał prezes.

- Obywatelu prezesie - rzekł Fouquier-Tinville - wskutek nowej denuncjacji świadek został niedawno zatrzymany w swoim mieszkaniu. Zaraz go tu przyprowadzą.

Maurycy zadrżał.

- Był drugi, ważniejszy świadek - mówił dalej Fouquier-Tinville - ale go jeszcze nie ujęto.

Dixmer z uśmiechem zwrócił się ku Maurycemu. Może myśl, która przedtem powstała w umyśle kochanka, powstała teraz w umyśle męża.

Genowefa zbladła.

W tej chwili dwaj żandarmi wprowadzili Lorina.

Za nim tymi samymi drzwiami wszedł Simon i jako zwykły gość zasiadł pomiędzy zgromadzonymi.

- Jak się nazywasz? - spytał prezes.

- Maksymilian Jan Lorin.

- Twój stan?

- Wolny człowiek.

- Niedługo nim będziesz - rzekł Simon, pokazując mu pięść.

- Czy wiedziałeś, że oskarżona należała do spisku, który miał na celu wykradzenie królowej?

- Skądże miałem wiedzieć?

- Mogła ci się zwierzyć.

- Mnie, członkowi sekcji klubu Termopile? Cóż znowu?

- Jednak widziano was nieraz razem.

- Nie tylko nieraz, ale nawet często.

- Znałeś ją jako arystokratkę?

- Nie, znałem ją jako żonę garbarza.

- Mąż jej wykonywał zawód garbarza tylko dla pozoru.

- Nic o tym nie wiem, nie jestem przyjacielem jej męża.

178

- Powiedz nam coś o nim. >

-- O, bardzo chętnie. Jest to człowiek nikczemny™

- Panie Lorin, przez litość! - zawołała Genowefa. Lorin mówił dalej niewzruszenie.

- Poświęcił on biedną kobietę, którą przed sobą widzicie, dla zaspokojenia osobistej zemsty, bo nie dla politycznych przekonań. O, stawiam go równie nisko jak samego Simona.

Dixmer zbladł. Simon chciał coś powiedzieć, ale prezes ruchem ręki nakazał mu milczenie.

- Zdaje się, obywatelu Lorin, że znasz dokładnie całą historię - rzekł Fouquier-Tinville. - Opowiedz ją nam.

- Wybacz, obywatelu Fouquier - odrzekł Lorin wstając - ale powiedziałem już wszystko, co było mi wiadome.

Uklonił się i usiadł.

- Obywatelu Lorin - odezwał się znowu oskarżyciel - obowiązkiem twoim jest udzielenie wyjaśnień trybunałowi.

- Niech trybunał sam przekona się o tym, co powie-

działem, co zaś do tej biednej kobiety, powtarzam, że jest niewinna, że uległa jedynie gwałtowi. Spójrzcie tylko na nią, czyż wygląda na spiskowca?... Zmuszono ją, aby uczyniła to, co uczyniła, i nic więcej.

- Tak sądzisz? • -

- Jestem tego pewny.

- W imieniu prawa żądam - zawołał Fouquier - aby świadek stanął przed trybunałem jako obwiniony o znowę z tą kobietą!

Maurycy jęknął.

Genowefa ukryła twarz w dłoniach, Simon, wydając okrzyk wściekłej radości, ryknął:

- Obywatelu oskarżycielu, dobrze zasłużyłeś się ojczyźnie!

ii*

Lorin, nic nie odpowiadając, przeskoczył kratki, usiadł przy Genowefie i wzięwszy jej rękę, z uszanowaniem ją pocałował.

- Dzień dobry, obywatelko! - rzekł z zimnym spokojem, który poruszył całe zgromadzenie. - Jakże się czujesz?

XXVI

DALSZY CIĄG POPRZEDNIEGO ROZDZIAŁU

Cała scena przesunęła się przed wzrokiem Maurycego jak jakaś nierealna wizja. Oparty na rękojeści szabli, ani przez chwilę nie wypuszczając jej z ręki, widział, jak przyjaciele jego wpadają w otchłań, która nigdy nie wydaje swych ofiar, i pytał sam siebie, dlaczego on, towarzysz nieszczęśliwych, czepia się jeszcze krawędzi i stawia opór odmętowi, który go wraz z nimi porywa?

Lorin, przeskakując kratki, dostrzegł ponurą i szyderczą twarz Dixmera.

Genowefa, jak powiedzieliśmy, pochyliła się ku niemu, gdy tylko usiadł przy niej.

- Mój Boże! - rzekła. - Czy wiesz pan, że Maurycy jest tutaj?

- Gdzie? .

- Nie patrz pan na niego od razu, bo mógłbyś go zgubić.

- Bądź pani spokojna.

- Stoi za nami przy drzwiach. Jakże cierpieć będzie, gdy nas skażą na śmierć.

Lorin ze współczuciem spojrział na młodą kobietę.

- Skażą nas niewątpliwie - rzekł. - Złudzenia pani byłyby zbyt okrutne, gdybyś miała jeszcze jakąś nadzieję.

180

- O mój Boże! - rzekła Genowefa. - Biedny przyjaciel, sam jeden pozostanie na świecie!

Lorin zwrócił się ku Maurycemu, a Genowefa, nie mogąc również oprzeć się pokusie, rzuciła w jego stronę szybkie spojrzenie.

Maurycy patrzył na nich, trzymając rękę na sercu.

- Jeden jest sposób .ocalenia pani - powiedział Lorin.

- Czy pewny? - spytała Genowefa, a oczy jej zabłyśły radością.

- O, ręczę, że pewny.

- Gdybyś mnie pan ocalił, Lorin, jakże bym była panu wdzięczna.

- Ale... - rzekł znowu Lorin.

Genowefa w jego wzroku wyczytała wahanie.

- Więc pan go widział także? - spytała.

- Tak jest, widziałem. Czy chcesz pani być ocalona? Niech Dixmer tu siada na tej ławie.

Dixmer z wyrazu oczu Lorina poznał zapewne, o czym ten mówi, gdyż zrazu zbladł, wkrótce jednak opanował

się i twarz jego przybrała znów wyraz ponurego spokoju.

- Niepodobna! - powiedziała Genowefa. - Nie mogłabym już go bardziej nienawidzić.

- Powiedz pani raczej, że on zna twoją wspaniałość i że się ciebie nie boi.

- Bez wątpienia, bo jest pewny siebie, mnie i nas wszystkich.

- Genowefo, Genowefo, nie jestem takim ideałem jak pani. Pozwól mi wciągnąć go w naszą sprawę i niechaj zginie.

- Nie, Lorin, zaklinam pana, nie chcę, by cokolwiek łączyło mnie z tym człowiekiem, nawet śmierć. Wydaje mi się, że sprzeniewierzyłabym się Maurycemu, gdybym umierała z Dixmerem.

- Ale pani nie umrzysz.

181

-- Jakże można żyć, skoro on umrze?

- A! - rzekł Lorin. - Nie dziwię się, że Maurycy kocha cię, pani! Jesteś istnym aniołem. Biedny, kochany Maurycy!

Tymczasem Simon, nie mogąc słyszeć, co mówili między sobą oskarżeni, pożerał wzrokiem ich twarze.

- Obywatelu żandarmie - rzekł - nie pozwalaj tym buntownikom, aby jeszcze w trybunale rewolucyjnym knuli spisek przeciw Republice.

- Dobrze - odrzekł żandarm. - Wiesz pewno, obywatelu Simon, że tutaj już nie czas knuć spiski, bo tutaj spisek długo trwać nie może. Oni tylko rozmawiają, a ponieważ prawo pozwala rozmawiać nawet na śmiertelnym wozie, dlaczegóż by miało zabraniać tego w trybunale?

Żandarmem tym był Gilb&tt, który poznawszy osobę ujętą w więzieniu królowej, z wrodzoną sobie uczciwością dawał dowody współczucia.

Prezes, naradziwszy się z asesorami, na żądanie Fou-

quier-Tinville'a rozpoczął badanie.

- Oskarżony Lorin - spytał - jakiego rodzaju stosunki łączą cię z obywatelką Dixmer?

- Jakiego rodzaju, obywatelu prezesie?

- Tak jest.

Lorin odpowiedział:

Najczystsza przyjaźń serca nasze łączyła,
Jam był lubym jej bratem, ona siostrą była.

- Obywatelu Lorin - wtrącił Fouquier-Tuiville - wiesz twój nie jest zbyt udany.

- Dlaczego? - spytał Lorin.

- Jest w nim o jedną zgłoskę za dużo.

- Obetnij ją, obywatelu oskarżycielu, obetnij. To twoja specjalność!

182

Na tak okrutny żart pobladła lekko twarz Fouquier-Tinville'a.

- Jakim okiem obywatel Dixmer patrzył na związek człowieka, którego uważał za republikanina, ze swoją żoną? - pytał prezes.

-O, ma to nie potrafię odpowiedzieć, bo nigdy nie znałem obywatela Dixmera i bardzo mi z tym było

dobrze.

- Ale nic nie mówisz - przerwał Fouquier-Tinville - że twój przyjaciel Maurycy Lindey stanowił ogniwo tak idealnej przyjaźni pomiędzy tobą a oskarżoną.

- Nie mówię - odparł Lorin - bo wyjawienie takich rzeczy uważam za niewłaściwe, a sądzą nawet, że i ty, obywatelu, powinienes mnie w tym względzie naśladować.

- Znałeś- tę kobietę, byłeś jej przyjacielem, ona zwała cię bratem, ty siostrą i nie wiedziałeś nic o jej postępowaniu? Czy to możliwe, jak sam zeznałeś, aby ona

wyłącznie sama dokonała czynu, jaki jej przypisano? - zapytał prezes.

- Nie, ona go wyłącznie sama nie dokonała - podjął znowu Lorin, powtarzając słowa prezesa - bo jak zeznała wam obywatelka i jak ja zeznałem, zmusił ją do tego jej mąż.

- Więc jak to być może, abyś nie znał męża, skoro on działał wspólnie ze swoją żoną? - wtrącił Fouquier-Tinville.

Wystarczyłoby, aby Lorin opowiedział o pierwszym zniknięciu Dixmera, aby opisał miłość Genowefy i Mauricego, aby w końcu opowiedział, w jaki sposób mąż porwał żonę i ukrył ją w niedostępnym miejscu, a byłby się usprawiedliwił z udziału w spisku, byłby wytłumaczył wszystkie niejasności.

Ale tym sposobem zdradziłby tajemnicę dwojga przyjaciół, byłby zawstydził Genowefę wobec pięciuset osób.

183

Zwiesił więc głowę, jakby sam sobie chciał powiedzieć „nie”.

- I cóż? - spytał prezes. - Co odpowiesz na pytanie obywatela oskarżyciela?

- Że jego logika jest miażdżąca - rzekł Lorin - i że przekonał mnie o tym, o czym nie miałem najmniejszego pojęcia.

- O czym?

' - Że, jak się zdaje, jestem jednym z najstraszniejszych buntowników, jakich dotąd widziano.

Oświadczenie to wzbudziło powszechny śmiech, któremu nie mogli się oprzeć nawet przysięgli.

Fouquier zrozumiał całe znaczenie tego szyderstwa, a że z niezmordowaną, wytrwałością dociekał zawsze wszelkich tajemnic oskarżonych i znał je równie dobrze jak oni sami, nie mógł więc odmówić Lorinowi pewnego uczucia podziwu, zabarwionego współczuciem.

- No, obywatelu Lorin - rzekł - broń się. Trybunał wysłucha cię, bo zna twoją przeszłość, bo wie, żeś

był dzielnym republikaninem.

Simon chciał coś powiedzieć, ale prezes dał mu znak, aby milczał.

- Mów, obywatelu Lorin, mów, słuchamy cię.
Lorin znowu opuścił głowę.

- Kto milczy, ten przyznaje się do winy - rzekł prezes.

- Nie - odparł Lorin - kto milczy, ten milczy,
i nic więcej. f>»

- Jeszcze raz pytam, czy będziesz mówił? - rzekł Fouquier-Tmville.

Lorin zwrócił się ku słuchaczom, pragnąc zapytać Maurycego wzrokiem, co ma czynić, Maurycy nie dał mu znaku, aby mówił. Lorin więc milczał.

Dalszy ciąg następował więc szybko.

Fouquier przedstawił akt oskarżenia, prezes streścił

184

przebieg badania, przysięgli przystąpili do głosowania i uznali Lorina i Genowefę za winnych.

Prezes skazał oboje na karę śmierci.

Na wieży pałacu wybiła godzina druga.

Prezes z ostatnim dźwiękiem zegara skończył ogłaszanie wyroku.

Maurycy słyszał wyrok, i godzinę, a kiedy umilkł dźwięk głosu zegara, poczuł, że jego siły wyczerpały się zupełnie.

Żandarmi odprowadzili Genowefę i Lorina, który jej podał rękę.

Oboje ukłonili się Maurycemu, każde w inny sposób, Lorin bowiem uśmiechnął się, Genowefa zaś, blada i prawie omdlała, przesłała mu ostatni pocałunek. Aż do ostatniej chwili miała nadzieję, że będzie żyła. Nie żał jej było życia, ale miłości, która miała zgasnąć wraz z życiem.

Maurycy, na wpół oszalały, nie odpowiedział na pożegnanie przyjaciół, ale, blady, wstał z ławki, do której czuł się prawie przykuty. Żył w nim jeszcze tylko jedno uczucie - nienawiść trawiąca serce.

Ostatni raz spojrzął wokół siebie i dostrzegł Dixmera, który wychodząc wraz z innymi, schylał się właśnie pod sklepieniem drzwi korytarza.

Poderwawszy się z miejsca jak sprężyna, Maurycy począł skakać z ławki na ławkę i dostał się do tych samych drzwi.

Dixmer zniknął w ciemnościach korytarza.

Maurycy pośpieszył za nim. W chwili gdy noga Dixmera dotknęła posadzki wielkiej sali, Maurycy położył mu rękę na ramieniu.

185

XXVI!

POJEDYNEK

Dixmer obejrzał się i poznał Maurycego.

- Dzień dobry, obywatelu republikanie - rzekł Dixmer, usiłując zapanować nad drżeniem ciała, wywołanym widokiem młodego człowieka.

- Dzień dobry, podły obywatelu - odpowiedział Maurycy. - Spodziewałeś się mnie zobaczyć, nieprawdaz?

- O, raczej nie teraz - odrzekł Dixmer.

• - Dlaczego?

- Bo spodziewałem się tego wcześniej.

- Według ciebie zjawiam się jeszcze za wcześnie, zbójco - przerażającym szeptem dodał Maurycy.

- Twój wzrok miota błyskawice, obywatelu - rzekł Dixmer. - Poznają nas i będą śledzić.

- Prawda, a ty się boisz, aby cię nie zatrzymano?

Boisz się, aby cię nie poprowadzono na rusztowanie, na które wysyłasz innych? Owszem, niechaj nas aresztują, bo dziś, aby zadośćuczynić sprawiedliwości, brak jednego winowajcy.

- Tak jak na liście ludzi honoru brakuje jednego nazwiska, odkąd twoje z niej znikło, nieprawdaż?

- Dobrze, dobrze, mam nadzieję, że później o tym wszystkim pomówimy. Ale ty tymczasem pomściłeś się, i to pomściłeś nikczemnie - na kobiecie. Skoro mówisz, że gdzieś na mnie czekałeś, dlaczego nie uczyniłeś tego w moim domu, w dniu wykradzenia Genowefy?

- Sądziłem, że ty pierwszy dałeś mi przykład kradzieży.

- Nie wiedziałem, mój panie, żeś taki dowcipny, ale bez niepotrzebnych słów. Wiem, że w czynie silniejszy jesteś niż w słowie, dowodzi tego dzień, w którym mnie chciałeś zabić.

186

- Nieraz też wyrzucałem sobie, że tego nie uczyniłem - spokojnie odpowiedział Dixmer.

- No, teraz możesz to sobie wynagrodzić - uderzając po szabli zawołał Maurycy.

- Jutro, jeżeli chcesz, ale nie dzisiaj.

- 'Dlaczego jutro?

- No, to dzisiaj wieczorem.

- Dlaczego nie zaraz?

- Bo do godziny piątej muszę załatwić niektóre sprawy.

- Znowu jakieś nikczemne zamiary, jakaś zasadzka - powiedział Maurycy. ^

- O, mości Maurycy - podjął Dixmer - doprawdy jesteś niewdzięczny. Jak to, przez pół roku pozwalałem, aby cudowna miłość między tobą a moją żoną rozwijała się bez przeszkód, przez pół roku tolerowałem wasze schadzki, nie zważałem na wasze uśmiechy. Wyznaj, iż prócz mnie żaden człowiek nie zdobyłby się na większą łagodność.

- Sądziłeś, iż mogę ci być użyteczny i dlatego mnie oszczędzałeś.

- Bez wątpienia - spokojnie odpowiedział Dixmer, o tyle panując nad sobą, o ile Maurycy się unosił. - Bez wątpienia! Bo gdy ty zdradzałeś swoją Republikę i sprzedawałeś mi ją za spojrzenie mojej żony, gdyś ty okrył się hańbą przez swoją zdradę, a ona przez wiarołomną miłość, ja byłem mądry, byłem bohaterem. Czekalem i triumfowałem.

- O zgrozo! - rzekł Maurycy. •

- Tak, tak... Oceń swoje postępowanie, mości panie. Prawda, że jest obrzydliwe? Prawda, że jest nikczemne?

- Mylisz się, panie Dixmer, obrzydliwe i nikczemne postępowanie przypisuję człowiekowi, któremu powierzono honor kobiety, który przysiągł go strzec i zachować czystym i nietkniętym, a zamiast dotrzymać tej

187

przysięgi, z piękności tej niewiasty uczynił sidła \ schwytał w nie słabe serce. Mój panie, obowiązek nakazywał ci opiekę nad tą kobietą, a ty zamiast opiekować się, sprzedałeś ją.

- Powiem ci, panie, co powinienem był uczynić - odrzekł Dixmer. - Powinienem był ocalić przyjaciela, który wraz ze mną popierał świętą sprawę. Tak jak poświęciłem tej sprawie mój majątek, tak poświęciłem i honor. O sobie zapomniałem zupełnie. Teraz nie mam już przyjaciela. Odebrał sobie życie. Teraz nie ma już królowej, bo umarła na rusztowaniu. Teraz więc... teraz myślę o zemście.

- Powiedz raczej, o morderstwie.

- Kto wymierza cios wiarołomnej, ten jej nie morduje, ale karze.

- Wiarołomstwo tyś mm jej nakazał.

- Tak sądzisz? - z ponurym uśmiechem rzekł Dixmer. - Zapytaj, czy jest wolna od wyrzutów sumienia, czy jest pewna, że postąpiła zgodnie z prawem?

- Kto karze, ten wymierza cios w oczach wszystkich, ty zaś nie karzesz, bo wymierzając cios, uciekasz, bo kładąc głowę swej żony pod gilotynę, sam się ukrywasz.

- Ja uciekam? Ja ukrywam się?... Jak mi tego do- »
wiedziesz, kurzy mózdzku? - spytał Dixmer. - Alboż
nazywasz ukrywaniem się to, że byłem obecny, kiedy
ją skazano? Alboż nazywasz ucieczką to, że chcę iść na
Salę Umarłych i rzucić jej moje ostatnie pożegnanie?

- Ty idziesz ją zobaczyć? - zawołał Maurycy. -
Idziesz ją pożegnać?

- E, obywatelu Maurycy - odpowiedział Dixmer,
wzruszając ramionami - widzę, że zemsta nie jest twoją
specjalnością. Ty więc, na moim miejscu, byłbyś zado-
wolony, pozostawiając wypadki ich własnemu biegowi.
Sądziś więc, że gdy wiarołomna żona zasłużyła sobie
na śmierć, gdy ukarałem ją śmiercią, już wszystko mię-

188

dzy mną a nią skończone, a raczej wszystko już między
nią a mną skończone? Nie, obywatelu Maurycy, ja sędzę
inaczej, ja znalazłem sposób, aby odwzajemnić się tej
kobiecie za wszystko zło, jakie mi wyrządziła. Ona cię
kocha i dlatego umrze nie widząc ciebie. Ona mnie nie-
nawidzi i dlatego mnie zobaczy. Patrz - dodał wyjmując
pugilares z kieszeni - jest tu bilet z podpisem kan-
celisty więzienia. Ten bilet zaprowadzi mnie do skaza-
nych. Dostanę się więc do Genowefy i nazwę ją wy-
stępłą żoną. Będę widział, jak ręka kata obetnie jej
włosy, a kiedy włosy spadną, ona usłyszy mój głos, po-
wtarzający: „Wiarołomna!" Odprowadzę ją na śmiertelny
wóz, a kiedy wstąpi na rusztowanie, ostatnie słowo, któ-
re usłyszy, będzie: „Wiarołomna!"

- Strzeż się! Zabraknie jej sił, aby znieść tyle podłoś-
ci, i oskarży cię.

- Nie - odparł Dixmer - ona tego nie uczyni, bo
zbyt mnie nienawidzi. Gdyby miała mnie oskarżyć, by-
łaby to uczyniła, kiedy jej to po cichu doradzał twój przy-
jaciół. Kiedy jednak, aby ocalić swoje życie, nie oskar-
żyła mnie, to dlatego że nie chce ze mną umrzeć. Ona
wie dobrze, że wstrzymałbym wykonanie kary o jeden
dzień, że poszedłbym za nią na rusztowanie. Wie, że
zamiast pożegnać ją u bram więzienia, usiadłbym obok
niej na śmiertelnym wozie i przez całą drogę powta-
rzałbym okropne słowo: „Wiarołomna!", że powtarzałbym
je nawet na rusztowaniu, aby w chwili gdy przejdzie
do wieczności, przyłgnęło do niej na zawsze.

Przejęty gniewem i nienawiścią, Dixmer wyglądał prze-

rażająco. Chwycił rękę Maurycego i gwałtownie ją ścisnął, lecz teraz w młodzieńcu nastąpiła zmiana. W miarę jak Dixmera opanowywało coraz większe podniecenie, Maurycy stawał się spokojniejszy.

- Słuchaj - rzekł młodzieniec - twoja zemsta nie jest całkowita.

189

- Dlaczego?

- Bo powinienes jej powiedzieć, wychodząc z trybunału: „Spotkałem twojego kochanka i zabiłem go.”

- Przeciwnie, wolę raczej powiedzieć jej, że żyjesz i że przez resztę swojego życia będziesz cierpiał, mając przed oczami widok jej śmierci.

- Jednakże ty mnie zabijesz - rzekł Maurycy - albo raczej... - Maurycy obejrzał się i widząc, że jest panem sytuacji, dodał: - Albo raczej ja ciebie zabiję.

I blady ze wzruszenia, rozjątrzony gniewem, poczuł, że okrutne słowa Dixmera dodają mu siły. Schwycił go za gardło i cofając się, przyciągał do schodów, wiodących nad brzeg rzeki.

- Dobrze - rzekł Dixmer - nie musisz mnie ciągnąć gwałtem, pójdę dobrowolnie.

- Pójdź, jesteś uzbrojony.

- Idę za tobą.

- Nie, idź przede mną, ale uprzedzam, że za najmniejszym poruszeniem moja szabla rozplata ci głowę.

- O, wiesz dobrze, że się nie boję - ze straszliwym uśmiechem odpowiedział Dixmer.

- Wiem, że nie boisz się mojej szabli - mruknął Maurycy - ale boisz się, że możesz nie dokonać zamierzonej zemsty. A jednak - dodał - skoro patrzymy na siebie oko w oko, możesz się z nią pożegnać.

Tak rozmawiając zeszli po małych schodkach nad brzeg rzeki, gdzie, jeżeli mógł ich ktoś wysledzić wzrokiem, nigdy nie zdołałby przybyć dość wcześnie, aby przeszkodzić pojedynkowi.

Poza tym obydwu pożerała jednakowa zaciekłość.

Znaleźli się na pustym prawie wybrzeżu, gdyż sądy jeszcze się nie odbywały i tłumy zapełniały salę sądową, korytarze i dziedzińce. Zdawało się, że Dixmer tak samo pragnie krwi Maurycego, jak Maurycy krwi Dixmera.

Zapuscili się w jeden z podziemnych kanałów, wio-

ISO

dących z Conciergerie ku rzece, którędy nieraz spuszcza-
no trupy do wody.

Maurycy stanął tuż nad wodą.

- Zdaje się, mój Maurycy - odezwał się Dixmer -
że to ja ciebie zabiję, bo zanadto drżysz.

• - Ja zaś sądzę przeciwnie-odrzekł Maurycy, dobywa-
jąc pałasza. - Myślę, że raczej ty zginiesz z mojej ręki,
i że, zabiwszy cię, wyjmę z twego pugilaresu przepustkę
kancelisty pałacu. O, niepotrzebnie się zapinasz! Mój pa-
łasz rozetnie ci odzież, ręczę ci, choćby nawet była
z miedzi jak starożytne pancerze.

- Wezmiesz przepustkę? - ryknął Dixmer.

- Wezmę - odparł Maurycy - i ona zaprowadzi
mnie do Genowefy. To ja usiądę obok niej na śmiertel-
nym wozie, ja, dopóki tylko żyć będzie, szeptać jej będę:

„Kocham cię”, a kiedy spadnie jej głowa, wtedy powiem:

„Kochałem cię.”

Dixmer. sięgnął lewą ręką po pugilares, chcąc cisnąć
go w rzekę, ale szabla Maurycego, szybka jak piorun,
ostra jak topór, spadła na rękę i prawie zupełnie oddzie-
liła pięść od ramienia.

Raniony krzyknął i zwieszając zranioną rękę, przybrał
obronną postawę.

Wtedy pod ciemnym, złowrogim sklepieniem rozpoczęła
się zjadła walka. Przeciwnicy, zamknięci w tak ciasnej
przestrzeni, iż zaledwie obracać się mogli, ślizgali się po,
wilgotnych kamiennych płytach, z trudnością opierając
się o lepkie ściany, tym bardziej że w miarę wzrastającej
zaciekłości walka przybierała na sile.

Dixmer czuł, że wraz z upływem krwi wyczerpują się jego siły, natarł więc na Maurycego tak gwałtownie, iż ten musiał raptownie się cofnąć. Noga mu się pośliznęła, a pałasz przeciwnika dotknął jego piersi. Ale Maurycy, chociaż już klęczał, szybkim jak myśl poruszeniem lewej ręki odtrącił go i ostrze swej szabli nadstawił w ten

191

sposób, że Dixmer, uniesiony gniewem, nie pamiętając o pochyłości gruntu, wpadł na ostrza i sam się przebił.

Dało się słyszeć straszliwe przekleństwo i oba ciała tocząc się wypadły z podziemnego kanału.

Jeden z walczących powstał - był to Maurycy, zalany krwią, ale krwią nieprzyjaciela.

Gdy się przekonał, że Dixmer już nie żyje, pochylił się nad jego ciałem, odpiął karnuaniolę, wydobyl pugilares i oddalił się szybko.

Gdy jednak spojrzal na siebie, zrozumiał, że jeśli uczyni kilka kroków, natychmiast go zaarrestują, gdyż cały był zbroczony krwią.

Udał się na brzeg rzeki, pochylił się nad wodą, obmył ręce i odzież, po czym znowu szybko wbiegł na schody i po raz ostatni spojrzal w stronę podziemnego kanału.

Przybywszy pod pałac, otworzył pugilares, znalazł w nim przepustkę, podpisaną przez kancelistę.
~- -• Dzięki ci, sprawiedliwy Boże! - szepnął.

XXVIII

SALA UMARŁYCH

Przypomnijmy sobie, że kancelista więzienia otworzył Dixmerowi księgi i wszedł z nim w stosunki, które bardzo uprzyjemniała obecność mniemanej pani sekretarzowej.

Łatwo się więc domyślić, że człowiek ten uległ nieopisaney trwodze, kiedy odkryto spisek Dixmera, albowiem gdyby tylko został posądzony o współnictwo ze swoim rzekomym kolegą, byłby na pewno skazany na śmierć.

Fouquier-Tinville wezwał go do siebie.

Biedak niemało cierpiał, usiłując usprawiedliwić się w oczach publicznego oskarżyciela, lecz dzięki zeznaniom

192

Genowefy przekonano się, iż nic nie wiedział o zamiarze jej męża. Uniewinniony więc został dzięki Fouquier-Tinville'owi, który pragnął udowodnić, iż jego urzędnicy są bez skazy.

- Obywatelu - rzeki kancelista, padając mu do nóg -
j przebacz mi, dałem się oszukać.

- Obywatelu - odpowiedział oskarżyciel publiczny-urzędnik, który pozwala się oszukiwać, zasługuje na gilotynę.

- Ależ przecież można być głupim, obywatelu - podjął kancelista, o mało co nie tytułując Fouquier-Tinville'a „Jego Ekscelencją”.

- Nikt, czy głupi, czy nie - przerwał surowo oskarżyciel - nie powinien zaniedbywać swoich obowiązków wobec Republiki. Gęsi kapitołińskie były także głupie, a jednak przebudziły się, aby ocalić Rzym.

Na taki argument kancelista nic już nie umiał odpowiedzieć, westchnął więc i czekał.

- Przebaczam ci - rzekł Fouquier. - Będę cię nawet bronił, bo nie chcę, aby najmniejsze nawet podejrzenie zaciążyło na którymś z moich urzędników. Ale pamiętaj, jeśli raz jeszcze usłyszę o tobie choćby najmniejsze słówko, już ci to nie ujdzie na sucho.

Urzędnik powrócił do kancelarii, gdzie miał wziąć akta, których żądał Fouquier-Tinville. Jakież jednak było jego zdumienie, gdy niespodzianie ujrzał Dixmera, który spokojnie zbliżył się ku niemu.

- O! - krzyknął, jak gdyby spostrzegł widmo.

- Nie poznajesz mnie? - zapytał nowo przybyły.

- Owszem. Jesteś obywatelem Durand, a raczej Dix-

mer.

•Bak.

Ależ ty umarłeś, obywatelu?

Jeszcze nie, jak widzisz.

Ale lada chwila cię zaaresztują.

13-A. Dum-

193

- Któż ma mnie aresztować, kiedy mnie nikt nie zna?

- Ale ja cię znam i gdy tylko słówko pisnę, pójdziesz pod gilotynę.

- Niech no ja się tylko odezwę, a będziesz zgilotynowany wraz ze mną.

- To wstrętne, co mówisz.

- Nie, tylko logiczne.

- O cóż ci więc chodzi? Mów prędzej, bo im krócej będziemy rozmawiać, tym mniejsze grozi nam niebezpieczeństwo.

- Słuchaj, moją żonę skazą na śmierć.

. - Tak mi się zdaje. Biedna kobieta!

- Otóż chciałem się z nią widzieć po raz ostatni, chciałem się z nią pożegnać!

- Gdzie?

- W Sali Umiarłych.

- I będziesz miał odwagę tam wejść?

- Czemu nie?

- O! - zawołał kancelista, któremu na samą myśl o tym włosy powstały na głowie.

- Musi być na to jakiś sposób - odezwał się znowu Dixmer.

- Aby wejść ma Salę Umarłych? Tak, oczywiście.

- Jaki?

- Trzeba mieć przepustkę.

- A gdzie ją można 'dostać'?

Kancelista zbladł okropnie i wyjąkał:

- Pytasz, gdzie można dostać taką przepustkę?

- Tak - odrzekł Dixmer. - Sądzę, że moje pytanie jest jasne.

- Można dostać... tutaj.

- O! A kto podpisuje przepustki?

- Kancelista.

- To ty przecież jesteś kancelistą?'

- Tak... ja.

194

- Widzisz, jak to się wszystko dobrze sikiada - podchwycił Dixmer, siadając. - Podpisz mi zatem małą karteczkę.

- Żądasz mojej głowy, obywatelu!

- Ech, nie, żądam tylko przepustki. To wszystko.

• -- Ja cię tu każę aresztować, niegodziwcze! - zdobywając się na odwagę rzekł kancelista.

- Czyń, co chcesz - powiedział Dixmer -!• ale ja natychmiast oskarżę cię o współnictwo ze mną i zamiast iść sam na sławną salę, pójdę tam razem z tobą.

Kancelista zbladł.

- Zbrodniarzu! - zawołał.

- Nie ma tu żadnej zbrodni - przerwał Dixmer. - Pragnę mówić z żoną i proszę cię o przepustkę, abym mógł się do niej dostać.

- Koniecznie musisz z nią porozmawiać?

- Widocznie, jeśli narażam swoją głowę. Słowa Dixmera widocznie trafiły kanceliście do przekonania, gdyż Dixmer zauważył, że się waha.

- No - rzekł - uspokój się, nikt się o tym nie dowie.

- Ale musimy to zrobić inaczej.

- Jeżeli to jest możliwe, proszę bardzo.

- Wejdiesz przez drzwi dla skazanych, tamtędy wchodzi się bez przepustki, a kiedy pomówisz z żoną, zawołasz mnie, a ja cię wyprowadzę.

- Tak byłoby nieźle - rzekł Dixmer. -• Ale kiedyś już z tego powodu wydarzył się bardzo niemiły wypadek.

- Jaki wypadek?

- Z biednym garbusem, który zamiast do archiwum i wszedł do Sali Umarłych. Ponieważ zaś wszedł drzwiami dla skazanych, nie zaś przez drzwi główne, i nie miał przepustki, a tym samym nie mógł udowodnić swojej tożsamości, nie chciano go wypuścić. Powiedziano, że kiedy wszedł drzwiami dla skazanych, to musi być skaza-

ła* 195

ny. Daremnie się wypierał, daremnie przysięgał, nikt mu nie przyszedł z pomocą, nikt nie chciał wypuścić. Pomimo przysięg i krzyków kat obciął mu najpierw włosy, a potem głowę. Czy ta anegdota jest prawdziwa, ty najlepiej powinieneś wiedzieć, obywatelu kancelisto.

-- Niestety, prawdziwa! - drżąc, odpowiedział kancelista.

- Widzisz więc, że byłbym chyba wariatem, gdybym, mając taki przykład, usiłował tam wejść bez przepustki.

- Ale kiedy ci mówię, że tam będę?

- A jeżeli cię zawołają? Jeżeli będziesz potrzebny gdzie indziej? - rzekł Dixmer z ironią. - Jeżeli zapomniaisz, że ja tam jestem?

- Ależ ja ci przyrzekam.

- Nie. A poza tym to by cię mogło skompromitować. Widziano by, że rozmawiasz ze mną. Ja tego nie chcę, wolę mieć przepustkę.

- To niemożliwe!

- No, mój przyjacielu, chcesz chyba, ażebym milczał, bo jeżeli zacznę mówić o tobie, obaj pójdziemy pospacerować po placu Rewolucji.

Przerażony kancelista podpisał przepustkę dla „obywatela”.

Dixmer porwał ją i czym prędzej wyszedł, aby się dostać do sali sądowej.

Resztę już znamy.

Kancelista więc, aby uniknąć jakiegokolwiek posądzenia o współnictwo, usiadł w sali obok Fouquier-Tinville'a, przekazawszy przedtem wszystkie sprawy najstarszemu ze swoich pomocników. .

O godzinie dziesięć minut po trzeciej Maurycy, mając przepustkę, minął szereg dozorców i żandarmów, i bez przeszkody stanął u nieszczęsnych drzwi.

Izba, do której wszedł Maurycy, podzielona była na dwie części.

196

W jednej siedzieli urzędnicy, zapisujący nazwiska przybyłych, w drugiej, zawierającej zaledwie kilka drewnianych ławek, znajdowali się aresztowani i skazani na śmierć.

Ciemną salę oświetlał słaby blask, padający przez trzy szyby umieszczone w przepierzeniu, które oddzielało salę od kancelarii.

Jakaś na wpół omdlała kobieta, biało ubrana, siedziała w kącie oparta o ścianę. Przed nią stał jakiś mężczyzna ze złożonymi na piersi rękami, poruszający od czasu do czasu głową, jakby chciał coś powiedzieć.

Obok nich kręcili się inni skazani, łkając lub śpiewając patriotyczne pieśni.

Był to zaiste przedpokój śmierci, a umeblowanie czyniło go godnym tej nazwy.

Widziano tu trumny, napelnione słomą, jakby wzywające do siebie żywych. W trumnach tych odpoczywano

przed śmiercią.

Naprzeciwko przepierzenia widać było ogromnych rozmiarów szafę.

Jeden z więźniów otworzył ją przez ciekawość i cofnął się przerażony.

W szafie wisiała zbroczona krwią odzież osób ściętych poprzedniego dnia, tu i ówdzie widniały długie zwoje włosów: był to spadek kata, który tę spuściznę odsprzedawał krewnym, jeżeli władza nie poleciła mu spalić owych szczątków.

Maurycy, drżący i nieprzytomny, zaledwie tylko otworzył drzwi, jednym rzutem oka objął cały obraz.

Wszedł na salę i padł do stóp Genowefy.

Nieszczęśliwa wydała okrzyk, który on stłumił na jej ustach.

Lorin, płacząc, uściskał Maurycego.

Troje przyjaciół przez chwilę pozostało złączonych niemym, serdecznym, prawie radosnym uściskiem.

Lorin pierwszy uwolnił się z objęć przyjaciół.

- Więc '). ty także jesteś skazany? - spytał Maurycego.

- Tale - odpowiedział tenże.

- Co za szczęście! - szepnęła Genowefa.
Radość ludzi, którzy mają żyć tylko godzinę, nie może nawet trwać tak długo, jak samo ich życie.

Maurycy patrzył na Genowefę wzrokiem pełnym głębokiej, żarliwej miłości, potem podziękował jej za niechcący wypowiedziane, samolubne i zarazem czułe słowo, i zwrócił się do Lorina.

- A teraz - rzekł, biorąc ręce Genowefy w obie dłonie - porozmawiajmy ze sobą.

- O tak, porozmawiajmy - odpowiedział Lorin - niewiele już nam pozostaje czasu. Cóż mi powiesz?

- Aresztowano cię z mojej przyczyny, skazano przez

Genowefę, a ty przecież nic przeciwko prawu nie uczyni-
łeś. Ja i Genowefa spłacamy s,woje długi, ale po co ty
masz przez nas pokutować?

- Nie rozumiem cię.

- Lorin, jesteś wolny.

- Ja wolny? Chyba oszalałeś! - rzekł Lorin.

- Nie, nie oszalałem, powtarzam ci, że jesteś wolny.
Patrz, oto przepustka. Spytają cię, kto jesteś, powiesz, żeś
przyszedł z jakąś sprawą do kancelisty, że przez ciekawość
poprosiłeś go o przepustkę, aby móc zobaczyć skazanych.
A teraz, kiedy już ich zobaczyłeś, to ci wystarcza i od-
chodzisz.

- Chyba żartujesz?

, - Nie, mój drogi, oto przepustka, korzystaj ze sposob-
ności. Ty nie jesteś zakochany. Nie musisz umierać po
to, aby spędzić kilka minut dłużej z ukochaną.

- Dobrze, mój Maurycy - rzekł Lorin. - Nie spodzie-
wałem się nigdy, że można stąd wyjść, ale zaklinam cię,

198

ocal najpierw panią!... Co do ciebie, później damy sobie
jakoś radę.

- To niemożliwe - rzekł Maurycy. - Patrz, na prze-
pustce napisano „obywatel”, nie zaś „obywatelka”. Poza
tym Genowefa nie wyszłaby stąd beze mnie, nie chciałaby
żyć, wiedząc, że ja mam umrzeć.

- Więc jeżeli ona ni'e chce, dlaczegoż ja mam chcieć?
Sądziś, że jestem mniej odważny niż kobieta?

- Nie, przyjacielu, wiem, że jesteś najdzielniejszym
z ludzi, ale nic nie zdołałoby usprawiedliwić twego uporu.
No, Lorin, korzystaj z chwili i daj nam cieszyć się radoś-
cią i przekonaniem, że jesteś wolny i szczęśliwy.

- Szczęśliwy! - zawołał Lorin. - Czy ty żartujesz?..
Szczęśliwy? Ja bez was? I cóż, u diabła, chcesz, abym ro-
bił na tym świecie bez was, bez moich przyjaciół, w Pa-
ryżu?

- Lorin, przyjacielu!

- Właśnie dlatego nalegam, że jestem twoim przyjacielem. Gdybym sam tylko był uwięziony i miał nadzieję zobaczenia was, o! obaliłbym mury, byleby się uratować. Ale teraz iść przez ulicę ze schyloną głową, słysząc nieustannie głos sumienia, powtarzający natarczywie: „Maurycy! Genowefa!”, przechodzić przed domami, w których was widywałem, gdzie teraz widziałbym tylko wasze cienie, obrzydzić sobie wreszcie drogi Paryż, który tak kocham, o! na honor, na to się nigdy nie zgodzę! Dlatego wam powiadam, że nie powinniśmy nigdy się rozstawać, nawet pod gilotyną. Czuję, że mi tu dobrze, i zostaję.

- Biedny, biedny przyjacielu! - rzekł Maurycy.

Genowefa nic nie mówiła. Patrzyła na nich, mając oczy pełne łez.

- Żałujesz życia? - rzekł Lorin.

- Tak, dla niej!

- Ja zaś wcale go nie żałuję, nie dbam nawet o boginię Rozumu, która, zapomniałem ci powiedzieć, niesłuszną

199

miała do mnie urazę, ale zapewne łatwo się pocieszy. Spokojnie pojedę na śmiertelnym wozie, żarcikami bawić będę gapiów, biegnących za mną, powiem ładny czterowiersz Sansonowi i dobranoc państwu... Ale... ale... czekaj no.

Lorin przerwał.

- A, prawda - rzekł - prawda, wyjdę stąd. Wiedziałem, że nie kocham nikogo, ale zapomniałem, że nie-nawidzę kogoś. Która godzina, Maurycy?

- Wpół do czwartej.

- Jeszcze mam czas, doprawdy mam czas.

- Zapewne - zawołał Maurycy - dziś jeszcze jest dziewięciu oskarżonych, sprawy potrwają do piątej. Mamy więc prawie dwie godziny przed sobą.

- Tyle mi właśnie potrzeba... Daj mi swoją przepustkę i pożycz mi dwadzieścia sous.

- O mój Boże! Co chcesz uczynić? - szepnęła Geno-

wefa.

Maurycy ścisnął jej dłoń. Najważniejszą dla niego rzeczą było, aby Lorin wyszedł.

- Mam pewną myśl - rzekł Lorin.

Maurycy wydobył sakiewkę z kieszeni i podał ją przyjacielowi.

- A teraz, na miłość boską, daj mi przepustkę... chciałem powiedzieć, na miłość Najwyższej Istoty.

Maurycy wręczył mu przepustkę.

Lorin pocałował Genowefę w rękę i korzystając z chwili, w której wprowadzono do kancelarii nową grupę skazanych, przeskoczył drewniane ławki i stanął pod wielkimi drzwiami.

- O, wydaje mi się, że chcesz uciekać? - rzekł żandarm.

Lorin wyprostował się i pokazał przepustkę.

- Patrz, obywatelu żandarmie - rzekł -• i naucz się lepiej poznawać ludzi.

200

Żandarm poznał podpis kancelisty, ale należał do ludzi podejrzliwych. Właśnie w tej chwili wychodził z sali rozpraw nie mogący ciągle pozbyć się strachu kancelista. Zobaczywszy go, żandarm zawołał:

- Obywatelu kancelisto, tu jakiś prywatny chce wyjść z Sali Umarłych za papierkiem. Czy dobry ten papier?

Kancelista zbladł z przerażenia i pewny, że gdyby spojrzeć, zobaczyłby okropną twarz Dixmera, nie patrząc, wziął czym prędzej kartkę i" zawołał:

- Tak, to mój podpis.

- No - odezwał się Lorin - kiedy twój, to oddaj mi przepustkę.

- Nie - rzeki kancelista, drąc kartkę na tysiąc kawałków - tego rodzaju przepustki służą tylko na Jeden raz.

Lorin przez chwilę nie wiedział, co ma zrobić.

- Ha, tym gorzej - rzekł - ale przede wszystkim muszę go zabić.
I wybiegł z kancelarii.

- Ocalony - rzekł Maurycy do Genowefy głosem pełnym radości. - Podarto mu przepustkę i już nie będzie mógł wrócić. Poza tym, choćby wrócił, posiedzenie trybunału już się skończy. Zjawi się o piątej, kiedy my już nie będziemy żyć.

Genowefa westchnęła i zadrżała.

- O, obejmij mnie ramionami - rzekła - i nie opuszczaj już. Boże, dlaczego nie możemy zginąć od jednego ciosu, dlaczego nie możemy razem oddać ostatniego tchnienia?

Usunęli się w najciemniejszy kąt sali, Genowefa usiadła przy Maurycym, objęła go ramionami, i tak, przepelnieni miłością, czekali na zbliżającą się śmierć.

Minęło pół godziny.

201

XXIX

DLACZEGO LORIN WYSZEDŁ

Nagle dał się słyszeć jakiś szmer, żandarmi otworzyli zapasowe drzwi i ukazał się Sanson wraz z pomocnikami, niosącymi sznur.

- O, przyjacielu, przyjacielu! - rzekła Genowefa. - Oto nadeszła godzina... Czuję, że mdleję.

- Złe pani czynisz - dał się słyszeć donośny głos Lorina. - Złe pani czynisz, bo śmierć to prawdziwa wolność!

- Lorin! - z rozpaczą zawołał Maurycy. - Po co wróciłeś, nieszczęśliwy!

- Sądzę, że się tak umówiliśmy? Słuchaj, bo to, co ci powiem, i panią także interesuj".

- O Boże, Boże!

• - Pozwólże mi mówić, bo nie będę miał czasu opowie-

dzieć wam, co zaszło. Chciałem wyjść i kupić sobie nóż na ulicy Barillerie.

- Cóż chciałeś począć z tym nożem?

- Chciałem zabić pocziwego Dixmera.
Genowefa zadrżała.

- O, rozumiem cię - rzekł Maurycy.

- Kupiłem go. Oto co sobie myślałem, a zgadzasz się zapewne, że twój przyjaciel posiada sporo logiki. Zaczynam wierzyć, że powinienem być zostać matematykiem, nie zaś poetą. Na szczęście, teraz już jest za późno. Otóż tak sobie myślałem: pan Dixmer zgubił swoją żonę. Pan Dixmer nie odmówi sobie przyjemności widzenia jej na wozie śmiertelnym, zwłaszcza w naszym towarzystwie. Znajdę go więc zapewne w pierwszym szeregu widzów, przysunę się do niego i powiem mu: „Dzień dobry, panie Dixmer!”, a potem wpakuję mu nóż między zębra.

- Lorin! - zawołała Genowefa.

202

- Uspokój się, kochana przyjaciółko, opatrność wszystko dobrze urządziła. Wyobraźcie sobie, że widzowie zamiast stać naprzeciwko placu, jak to zwykle czynią; stali po prawej stronie rzeki. Oho, rzekłem sobie, zapewne jakiś pies tonie. Może i Dixmer tam jest, bo przyglądanie się takiemu widowisku zawsze zajmuje czas... Zbliżam się i widzę mnóstwo ludzi stojących wzdłuż brzegu, którzy gestykulują i wołają: „O, szkoda!” Podchodzę bliżej, patrzę, i zgadnijcie, co widzę.

- Dixmera - ponurym głosem rzekł Maurycy.

- Tak, ale jakim sposobem tak łatwo to odgadłeś?
Tak, Dixmera, kochany przyjacielu, który sam sobie otworzył wnętrzności. Nieszczęśliwy zabił się zapewne na skutek pokuty.

- O, czy tak pomyślałeś? - z ponurym uśmiechem zapytał Maurycy.
Genowefa opuściła głowę. Była zbyt słaba, aby móc

znieść tyle wzruszeń.

- Tak, tak właśnie myślałem, bo znaleziono przy nim;

zakrwawiony pałasz. Chyba... że kogoś spotkał...

Maurycy, nie mówiąc nic, skorzystał z chwili, że Genowefa nie mogła go widzieć, odpiął swą karmaniołę i pokazał Lorinowi zbroszoną krwią kamizelkę i koszulę.

- A, to co innego - rzekł Lorin.
I podał rękę Maurycemu.

- Teraz - dodał, pochylając się do ucha przyjaciela - ponieważ mnie nie rewidowano i wszedłem tu, mówiąc, że należę do orszaku pana Sansona, mam nóż przy sobie. Jeżeli czujesz wstręt do gilotyny...

Maurycy z radością chwycił podaną sobie broń.

- Nie - rzekł po chwili - ona zanadto by cierpiała.

I oddał nóż Lorinowi.

- Masz słuszność - odpowiedział tenże - niech żyje machina pana Guillotin! Bo cóż to za machina pana Guil-

203

lotin? Prztyczek w kark, jak powiedział Danton. A cóż to dla nas znaczy?
, I cisnął nóż w tłum skazanych.

Jeden z nich porwał go, wbił go sobie w piersi i natychmiast padł martwy.

W tej chwili Genowefa poruszyła się i krzyknęła. Sanson położył rękę na jej ramieniu.

XXX

NIECH ŻYJE SIMON!

Maurycy, słysząc krzyk Genowefy, pojął, że walka już się zaczyna.

Miłość może wznieść duszę aż do wyżyn bohaterstwa, miłość też, mimo wrodzonego instynktu, może natchnąć człowieka pragnieniem śmierci, ale nie tłumi w nim nigdy obawy przed cierpieniem.

Niewątpliwie Genowefa z większym spokojem i cierpliwością przyjmowała myśl o śmierci od czasu, gdy Maurycy wraz z nią umierał. Ale rezygnacja nie usuwa prze-

cięż cierpienia.

Maurycy jednym spojrzeniem objął cały obraz i jedną myślą przeczuł to, co miało nastąpić.

Na środku sali leżał trup, z którego piersi żandarm wyrwał nóż, aby inni nie mogli go użyć.

Wokół niego ludzie, niemi z rozpacz, ściskali sobie nawzajem dłonie albo bez przerwy, jak wariaci, powtarzali ukochane imiona lub zlewali łzami jakiś portret, pierścionek albo splot włosów. Inni lżyli tyranię - słowo wytarte i na wieki przekłęte przez świat, czasami nawet przez tyranów.

Wśród tych nieszczęśliwych uwijał się Sanson, mniej obciążony pięćdziesięciu czterema latami niż powagą ohyd-

204

nego obowiązku. W miarę jak pozwalał mu na to jego urząd, jednym dodawał otuchy, drugim udzielał rad, znajdując zawsze odpowiednie słowo dla pokrzepienia ducha nieszczęśliwych w obliczu śmierci.

- Obywatelko - rzekł do Genowefy - trzeba będzie zdjąć chusteczkę i podczesać albo obciąć włosy, jeżeli wolisz.

Genowefa struchlała.

- Odważnie, przyjaciółko - rzekł łagodnie Lorin.

- Czy wolno, abym ja podczesał pani włosy? - spytał Maurycy.

- O tak! - zawołała Genowefa. - Niech on to zrobi! Błagam o to, panie Sanson.

- Dobrze - odwracając głowę odpowiedział kat. Maurycy rozwiązał swój krawat, Genowefa pocałowała go i klękając przed młodzieńcem, nadstawiła swą głowę, piękniejszą w chwili cierpienia niż w chwilach radości.

Kiedy Maurycy podczesywał jej włosy, ręce mu tak drżały i taka boleść malowała się na jego twarzy, iż Genowefa zawołała:

- O, jestem odważna, Maurycy!
Sanson odwrócił się.

- Prawda, panie, że jestem odważna?

- Rzeczywiście, obywatelko - odrzekł wzruszonym głosem - jesteś naprawdę odważna.

Tymczasem pierwszy pomocnik przejrzał wykaz podany przez Fouquier-Tinville'a.

- Czternastu - rzekł.
Sanson policzył skazanych.

- Piętnastu wraz z umarłym - rzekł. - A to jakim sposobem?

Lorin i Genowefa, kierowani jedną myślą, liczyli z nim razem.

- Mówicie, że jest tylko czternastu skazanych, a nas jest piętnaście osób? - rzekła.

205

- Tak, obywatel Fouquier-Tinville musiał się omylić.

- O, kłamałeś - powiedziała Genowefa do Maurycego - ty nie jesteś skazany!

- Po cóż mam czekać do jutra, kiedy ty dzisiaj umierasz? - odpowiedział Maurycy.

- Przyjacielu - rzekła z uśmiechem - uspokajasz mnie. Widzę teraz, że umrzeć to rzecz łatwa.

- Lorin - rzekł Maurycy - Lorin... ostatni raz cię proszę... Nikt cię tu nie pozna... Powiedz, że przyszedłeś mnie pożegnać... Powiedz, że cię przez omyłkę zamknięto... Zawołaj żandarma, który widział, jak wychodziłeś. 'Ja' będę prawdziwym skazanym, ja, który powinienem umrzeć, ale ty!... Błagamy cię, przyjacielu, spraw, abyśmy umierali w radosnym przekonaniu, że będziesz żył dla zachowania nas w pamięci. Lorin! Błagamy cię! Póki czas!

Genowefa na znak prośby złożyła obie ręce.

Lorin wziął je w swoje i ucałował.

- Powiedziałem nie, zatem nie - rzekł Lorin stanowczo. - Nie wspominajcie mi więcej o tym albo naprawdę będę myślał, że wam przeszkadzam.

- Czternastu - powtórzył Sanson - a jest ich piętnastu.

I podnosząc głos, dodał:

- Czy jest tu taki, który mógłby udowodnić, że się tutaj dostał przez omyłkę?

Może jakieś usta otworzyły się, chcąc odpowiedzieć na to pytanie, ale zaraz zamknęły się, nie wymówiwszy ani słowa. Ci, którzy by skłámali, wstydziłiby się kłámstwa, ten zaś, który by mógł powiedzieć prawdę, nie chciał mówić.

Przez kilka minut trwało milczenie, w ciągu którego pomocnicy wykonywali swoje ponure czynności.

- Obywatele, jesteście gotowi! - głuchym i uroczystym głosem rzeki stary Samson.

Na ten głos odpowiedziało kilka łkań i jęków.

206

- No, więc - zawołał Lorin - umrzeć za ojczyznę to rzecz najpiękniejsza! Tak, ale tylko wtedy, gdy rzeczywiście umiera się za ojczyznę. Ale ja zaczynam teraz wierzyć, że my nie dla niej umieramy, lecz dla przyjemności tych, którzy patrzą na naszą śmierć. Na honor, Maurycy, podzielam twoje zdanie, już i mnie także sprzykrzyła się ta Republika.

- Apel! - rzekł stojący w drzwiach komisarz.

Kilku żandarmów weszło do sali i pozamykało wszystkie wejścia.

Odczytano listę skazanych.

Maurycy słyszał w czasie sądu nazwisko skazanego, który nożem Lorina odebrał sobie życie, i odpowiedział teraz za niego.

Przekonano się więc, że jest za dużo o osobę, która się zabiła.

Wyniesiono ją z sali.

Tych, którzy ją przeżyli, popchnięto ku drzwiom. W mia-

rę jak wychodzili, wiązano im z tyłu ręce.

Przez dziesięć minut żaden z nieszczęśliwych nie wymówił ani słowa.

Tylko kaci rozmawiali i wykonywali swe czynności. Maurycy, Genowefa i Lorin, nie mogąc się już trzymać za ręce, zbliżyli się ku sobie, aby ich nie rozłączono. Na koniec wyprowadzono skazanych z Conciergerie na dziedziniec.

Widowisko stało się przerażające.

Kilku zemdlało na widok śmiertelnych wozów, dozorca pomógł im potem wsiąść.

Za wrotami, które były jeszcze zamknięte, słyszano głosy tłumy.

Genowefa wsiadła na wóz. Maurycy podtrzymał ją za łokieć i sam szybko wskoczył za nią.

Lorin nie śpieszył się. Wybrał sobie miejsce i usiadł po lewej stronie Maurycego.

207

Otworzono wrota. Simon stał w pierwszym szeregu widzów.

Dwaj przyjaciele poznali go, on także ich dostrzegł. Stał

na słupku, obok którego miały przejeżdżać wszystkie wo-

^y-

Właśnie wyjechał pierwszy, na* którym znajdowało się

troje przyjaciół.

- Dzień dobry, piękny grenadierze - odezwał się Simon do Lorina - zdaje mi się, że spróbujesz mojego szwajcarskiego nożyka.

- Tak - odrzekł Lorin - ale postaram się go nie wyszczerbić, ażeby mógł z czasem i twoją skórę dokładnie

pokroić.

Okropne krzyki, jęki, przekleństwa i oklaski dały się

słyszeć wokół skazanych.

- Odwagi, Genowefo, odwagi! - szepnął Maurycy.

- O! - odpowiedziała młoda kobieta. - Żałuję tylko,
' że nie mam wolnych rąk, że przed śmiercią nie mogę cię
uścisnąć.

- Lorin - rzekł Maurycy - poszukaj w kieszeni mo-
jej kamizelki, znajdziesz tam scyzoryk.

- O, do pioruna - rzekł Lorin - to mi odpowiada!
Upokarzające było dla mnie iść na śmierć związany jak
cieleń.

Maurycy przysunął się do przyjaciela.

Lorin wyjął scyzoryk, potem obaj otworzyli go i Mau-
rycy, wzięwszy scyzoryk w zęby, przeciął nim sznury krę-
pujące Lorina.

Lorin, uwolniony z więzów, wyświadczył Maurycemu tę
samą przysługę.

- Spiesz się - powiedział młodzieniec - bo Genowefa
mdleje.

Rzeczywiście, aby przeciąć więzy, Maurycy na chwilę
odwrócił się od nieszczęśliwej kobiety, która zamknęła
oczy i opuściła głowę na piersi.

208

- Genowefo - rzekł Maurycy - otwórz oczy, moja
droga, już tylko kilka chwil nam pozostało, aby popatrzeć
na siebie na tym świecie. ^,

- Sznury ranią mnie - szepnęła młoda kobieta. ;. .

Maurycy rozwiązał jej rękę.

Genowefa natychmiast otworzyła oczy i wstała. Była
urzekająco piękna.

Jedną ręką objęła szyję Maurycego, drugą szyję Lorina
i tak stojąc w'e troje na wozie, wzajemnie o sobie oparci,
przesłali ku niebu spojrzenie pełne wdzięczności.

Lud, który ich znieważał, gdy siedzieli, umilkł teraz.

W oddali ukazało się rusztowanie.

Maurycy i Lorin zauważyli je, Genowefa zaś patrzyła tylko na swego kochanka.

Na koniec wóz się zatrzymał.

- Kocham cię! - rzekł Maurycy do Genowefy. - Kocham cię!

- Kobieta najpierw! Najpierw kobieta! - krzyknęły tysiące głosów.

- Dziękuję ci, narodzie! - rzekł Maurycy. - Któż śmiał ci zarzucać okrucieństwo?

Wziął Genowefę na ręce i przyłożywszy usta do jej ust, oddał ją Sansonowi.

- Odwagi! - wołał Lorin. - Odwagi!

- Nie boję się - odrzekła Genowefa.

- Kocham cię! - szepnął Maurycy. - Kocham cię!
Wyglądali nie jak ofiary, które za chwilę mają zginąć, ale jak przyjaciele, którzy ze śmierci uczynili święto.

- Żegnaj! - zawołała Genowefa do Lorina.

- Żegnaj! - odpowiedział.

I Genowefa znikła na nieszczęsnej desce.

-•- Twoja kolej! - zawołał Lorin.

- Twoja kolej! - powtórzył Maurycy.

- Słuchaj, ona cię woła!

14 - A. Dumas 209

Rzeczywiście, G-enowefa wydając ostatni krzyk zawołała:

- Chodź!

Tłumy się poruszyły, jej piękna głowa spadła.

Maurycy skoczył.

- Bardzo słusznie - powiedział Lorin - i bardzo logicznie. Słyszysz mnie, Maurycy?

- Słyszę!

- Ona kochała* ciebie i zabili ją najpierw, ty nie jesteś

skazany i umierasz drugi. Ja nic nie zawiniłem, ale ponieważ jestem z nas trojga największym przestępcą, idę na śmierć ostatni.

Tak pięknie i ślicznie
Wszystko składa się logicznie.

- Na honor, daruj, obywatelu Sanson, przyrzekłem ci czterowiersz, ale niech ten dwuwiersz ci wystarczy.

- Kochałem! - szepnął Maurycy przywiązany do nie-
szczęsnej deski, uśmiechając się do głowy przyjaciółki. -

Koch...

Żelazo przecięło połowę słowa.

- Ja teraz! - zawołał Lorin, wskakując na szafot. -
Prędeż, bo doprawdy tracę głowę. Obywatelu Sanson, jesteś uboższy o dwa wiersze, ale za to ofiaruję ci kalambur.

Sanson z kolei przywiązał jego.

- No - powiedział Lorin - modne jest krzyczeć niech żyje coś, gdy ktoś umiera. Dawniej wołano: „Niech żyje król!”, ale już nie ma króla. Potem krzyczano: „Niech żyje wolność!”, ale wolności też już nie ma. Wołam więc:

„Niech żyje Simon!”, który nas troje połączył!

I głowa szlachetnego młodzieńca spadła obok głowy Maurycygo i Genowefy.

KONIEC

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział T FLEGANT ...;.;. 5

Rozdział II	KAWALER DE MAISON-ROUGE . .	14
Rozdział III	PATROL	22
Rozdział IV	GOŹDZIK I PODZIEMIE	30
Rozdział V	PENETRACJA	38
Rozdział VI	ZAPRZYSIĘŻONA WIARA . . .	46
Rozdział VII	NAZAJUTRZ	58
Rozdział VIII	WIĘZIENIE CONCIERGERIE	61
Rozdział IX	SALA SKAZAŃCÓW	70
Rozdział X	OBYWATEL TH&ODORE . . .	77
Rozdział XI	OBYWATEL GRAKCHUS . . .	84
Rozdział XII	KRÓLEWSKIE DZIECKO . . .	88
Rozdział XIII	BUKIET FIOŁKÓW	97
Rozdział XIV	SZYŃK „POD STUDNIĄ NOEGO"	107
Rozdział XV	SEKRETARZ MINISTERSTWA WOJ- NY	113
Rozdział XVI	DWA LISTY	119
Rozdział XVII	PRZYGOTOWANIA DIXMERA . .	124
Rozdział XVIII	PRZYGOTOWANIA KAWALERA DE MAISON-ROUGE	129
Rozdział XIX	POSZUKIWANIA	136
Rozdział XX	SĄD	143
Rozdział XXI	KSIĄDZ I KAT	119
Rozdział XXII	ŚMIERTELNY WÓZ	156
Rozdział XXIII	RUSZTOWANIE	162
Rozdział XXIV	REWIZJA	169
Rozdział XXV	LORIN	173
Rozdział XXVI	DALSZY CIĄG POPRZEDNIEGO ROZ- DZIAŁU	180
Rozdział XXVII	POJEDYNEK	186
Rozdział XXVII]	SALA UMARŁYCH	192
Rozdział XXIX	DLACZEGO LORIN WYSZEDŁ . .	202
Rozdział XXX	NIECH ŻYJE SIMON!	204